

SEBASTIEN DE CASTELL



KREW ŚWIĘTEGO

Pierwszorzędna
powieść przygodowa,
pierwszorzędna, i kropka!

Conn Iggulden

S E B A S T I E N D E C A S T E L L

KREW ŚWIĘTEGO

przekład

GRZEGORZ PIĄTKOWSKI

 insignis

Spis treści

Strona tytułowa 1

Dedykacja

Mapa Tristii

Strona tytułowa 2

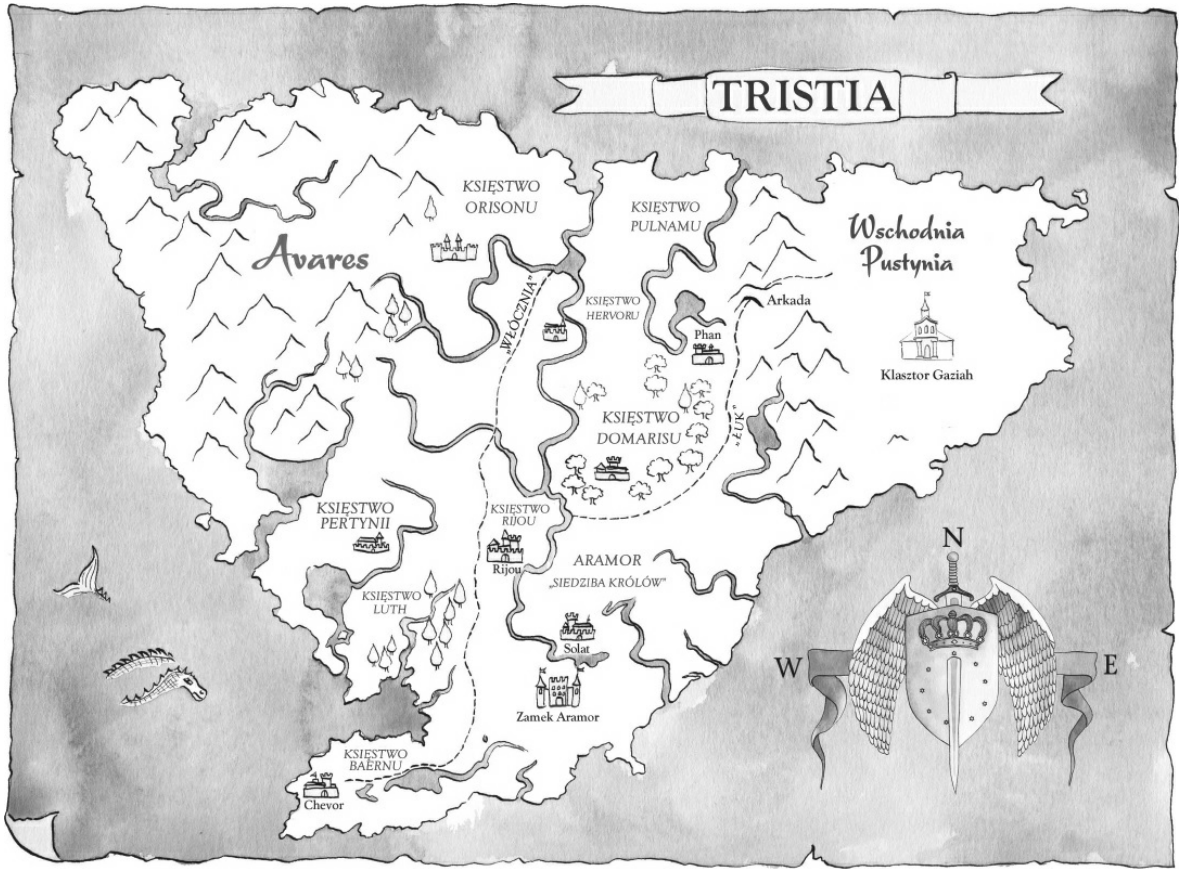
1. Poranek przed pierwszym pojedyńkiem
2. Krwiopuszcz
3. Piruet skowronka
4. Uzdrowiciele
5. Ranni
6. Nieproszony gość
7. Czerwień i biel
8. Martyrium
9. Dowód
10. Sześćcioro drzwi
11. Inkwizytorzy
12. Motłoch
13. Cień Króla
14. Pierwsze oszustwo
15. Ostatni oddech
16. Święta Miłosierdzia
17. Strzaskane kamienie
18. Karczma
19. Taniec
20. Sanktuarium
21. Kobieta w płaszczu
22. Uśmiech
23. Włócznia króla
24. Krwawe ćmy

25. Sala tronowa
26. Dwa Wielkie Płaszczce
27. Sypialnia
28. Sojusznik
29. Pudełko
30. Laska
31. Pozostali
32. Język
33. Uwolnienie
34. Szaleństwo
35. Zasłony
36. Wiadomość
37. Ciała
38. Przysługa
39. Lis i kury
40. Miłość bogów
41. Gość
42. Generał
43. Awertarz
44. Wojna
45. Obrońca
46. Delegacja
47. Hymn
48. Chłosta
49. Hrabstwo
50. Sanktuarium
51. Ucieczka
52. Kaplica
53. Heretyk
54. Bóg

55. Apostata
56. Złamane serce
57. Kraina umarłych
58. Przebudzenie
59. Zamek
60. Świątynia
61. Odwaga
62. Chłopiec i kot
63. Kamień modlitewny
64. Powrót
65. Przysięgi
66. Plan
67. Upadająca wieża
68. Żelazo
69. Wyzwanie
70. Pojedynek
71. Duch
72. Strzał
73. Strzała
74. Koniec
75. Kurz po bitwie
76. W przeddzień ostatniego pojedynku

Podziękowania

Dla mojej cudownej szwagierki, Terry Lanthier,
której najbliżej z nas wszystkich
do spotkania prawdziwego Świętego...



KREW
ŚWIĘTEGO

ROZDZIAŁ 1

PORANEK PRZED PIERWSZYM POJEDYNKIEM

Rankiem przed twoim pierwszym pojedynkiem w drzwiach stanie niezwyklej urody posłaniec z zachęcającym uśmiechem i zapieczętowanym liścikiem. Nie ufaj ani wiadomości, ani uśmiechowi. Sądy pojedynkowe już dawno dostrzegły, że nowicjusze są mniej skłonni do ucieczki, gdyż oznacza ona zhańbienie się w oczach pięknych nieznajomych. Może wydać ci się to zwodnicze, może cię urazić – pamiętaj tylko, że to ty jesteś tym idiotą, który zgodził się walczyć w pojedynku.

Nie kłopotcz się otwieraniem koperty. List może rozpocząć kwiecista pochwała twojej odwagi i godności, szybko jednak przechodząca w długi opis kary za niestawienie się na miejscu pojedynku. Gdybyś wciąż to rozważał, wiedz, że w Tristii kara za próbę uniknięcia legalnego pojedynku jest w przybliżeniu taka sama jak próba ucieczki ze szczytu drzewa z pętlą zawiązaną na szyi. Weź nieotwartą kopertę od posłańca, zgnieć ją w dłoniach i wrzuć do ognia. Dla podkreślenia efektu możesz pozwolić sobie na okraszenie gestu lekceważącym prychnięciem lub nawet gromkim okrzykiem. Następnie, gdy płomienie wciąż jeszcze uczują na szczegółowym opisie twojej nadchodzącej śmierci, weź się pod boki i udawaj pewnego siebie.

W tym momencie posłaniec może zasugerować, że dobrze będzie, jeśli coś na siebie narzucisz.

Wybierz spodnie lub bryczesy wykonane z lekkiego, luźnego materiału,

by nie krępowwały ci ruchów. Nie ma nic bardziej wstydliviego od chwili, w której twój wypad okazuje się za krótki dokładnie wtedy, gdy twój przeciwnik decyduje się na kontratak, a jego ostrze wbija ci się głęboko w brzuch przy akompaniamencie pękających w kroku szwów.

„Zaraz, zaraz!”, powiesz zapewne. „Nie zrobiłem nic złego! Jak mogłem znaleźć się w tej okropnej sytuacji, skoro nie potrafię nawet porządnie trzymać miecza?”

Posłaniec wybuchnie perlistym śmiechem, głęboko przekonany, że raczysz żartować, a następnie pomoże ci wyjść i doprowadzi do sądu, byś mógł poznać swego sekundanta.

Prawo przestrzegane we wszystkich dziewięciu księstwach Tristii wymaga, aby każdy pojedynekował się w asyście sekundanta. W przeciwnym razie kto kursowałby między tobą a twoim przeciwnikiem w trakcie obowiązkowej wymiany zjadliwie zuchwałych obelg? Jeśli nie ma nikogo, kto chciałby – lub był w stanie – wypełnić ten święty obowiązek, a ty jesteś zbyt ubogi, by zatrudnić odpowiednią osobę, możesz liczyć na lokalnego lorda lub samego księcia, którzy zapewnią ci sekundanta. Nie przesłyszałeś się: mieszkasz w kraju tak beznadziejnym i skorumpowanym, że ci sami szlachetnie urodzeni, którzy z radością patrzeć będą, jak umierasz z głodu, nigdy, przenigdy nie pozwolą, byś nadział się na ostrze miecza bez kogoś, kto dumnie prężyłby się wówczas obok ciebie.

Przejdź obok bliźniaczych posągów bogów śmierci i wojny strzegących podwójnych drzwi prowadzących do gmachu sądu i dużego centralnego pomieszczenia zdobionego wspaniale rzeźbionymi detalami. Nie zwrócisz na nie uwagi, nie mogąc oderwać wzroku od pojedynekowej areny. W klasycznej formie jest to biały okrąg o średnicy około dziesięciu jardów, jednak obecnie może zastępować go pięciokąt lub sześciokąt, czy też jakikolwiek inny kształt uważany za najszczodrzej pobłogosławiony przez bogów w danym księstwie. Gdy już się napatrzysz, spójrz na osobę stojącą po przeciwnej stronie placu. Wtedy należy pamiętać o zaciśnięciu

wszystkich mięśni dolnych partii ciała, aby zapobiec... wypadkom.

Twój przeciwnik – najpewniej biegły w walce rycerz albo zagraniczny najemnik – uśmiechnie się lub skrzywi pogardliwie, czasem splunie ci pod stopy, po czym natychmiast odwróci się i wda w dowcipną wymianę zdań z kimś z widowni. Nie przejmuj się zbytnio – zrobi to tylko po to, by cię zdenerwować.

Herold ogłosi następnie warunki pojedynku. Możesz ulec pokusie nabrania otuchy, słysząc, że pojedynek nie będzie na śmierć i życie – to błąd. Lord lub dama, których obraziłeś, prawie na pewno poinstruowali swego człowieka, aby cię najpierw upokorzył, następnie pokrwawił i wreszcie – z wielkim kunsztem, który poderwie publiczność z miejsc i zmusi do owacji – zabił.

Kiedy to się wydarzy, główny sędzia bez wątpienia wyrazi swoje szczere oburzenie tym rażącym pogwałceniem zasad i bezzwłocznie nałoży grzywnę na owego lorda lub damę. Wysokość grzywny będzie zbliżona do ceny wina, które będą sączyć z kielichów, patrząc, jak twoja krew wsiąka w piach.

Miewałeś lepsze dni, prawda?

Wróćmy do pojedynku. Przyjrzyj się dobrze przeciwnikowi stojącemu naprzeciwko – czas nauczyć się, jak wygrywać.

Twój oponent jest zapewne znamienitym szermierzem – szybkim, silnym, o wyjątkowym poczuciu równowagi, błyskawicznym refleksie i nerwach ze stali. Taki szermierz przez całe lata uczy się od najlepszych fecht mistrzów w kraju. Niestety, ty pewnie nie posiadasz żadnej z tych wspaniałych cech i istnieje spora szansa, że twoim jedynym nauczycielem szermierki był twój najlepszy przyjaciel – mieliście wtedy sześć lat, okładaliście się kijami i marzyliście o tym, by zostać Wielkimi Płaszczami.

Na szczęście to, co się zaraz wydarzy, to nie pokaz szermierki – to pojedynek.

W pojedynku nie chodzi o technikę. Pojedykujący się nie będzie zaczynał walki, mając nadzieję, że zrobi wrażenie na publiczności lub zyska

przychylność możliwych. Tu idzie tylko o jedno, najstarsze i podstawowe prawo: „Wpakuj sztych miecza w drugiego gościa jako pierwszy”.

Kiedy więc herold rozpocznie pojedynek uderzeniem w dzwon, a twój przeciwnik zaprezentuje swe mistrzowskie umiejętności, wywołując westchnienia publiczności, zapomnij o życiu i śmierci, zapomnij o honorze i tchórzostwie, zapomnij o wszystkim, z wyjątkiem znalezienia tej jednej okazji, tej krótkiej chwili, w której będziesz mógł wbić głownię miecza w brzuch przeciwnika.

Mamy w Tristii powiedzenie: *Deato mendea valus febletta*. Bogowie każdego obdarzają słabością.

Pamiętaj o tym, a może uda ci się przeżyć. Może będzie ci dane wygrać następne pojedynki. Może nawet zostaniesz jednym z najgroźniejszych szermierzy twojego pokolenia. Oczywiście, może się tak stać, ale równie prawdopodobne jest to, że któregoś dnia – może nawet dzisiaj... Pamiętasz tego wielkiego szermierza, który za chwilę przegra pojedynek?

To możesz być ty.

ROZDZIAŁ 2

KRWIOPUSZCZ

– Zdajesz sobie sprawę, że przegrywasz, Falcio? – spytał Brasti, opierając się o kolumnę tuż obok siedmiobocznej areny pojedynkowej w pałacu książęcym w Baern.

– Zamknij się, proszę – odpowiedziałem.

Mój przeciwnik, jak mi powiedziano, niepokonany dotąd w sądowych pojedynkach, a którego imię już wyleciało mi z głowy, uśmiechnął się lekko, robiąc wypad szpadą pod gardą mojego rapiera. Odpowiedziałem półkolistym wymachem, parując cios w udo, ale on w ostatniej chwili uchylił się, unosząc ostrze ku górze. Wyciągnął broń przed siebie i skoczył do przodu z szybkim wypadem. Gdyby na świecie istniała sprawiedliwość, nie udałooby mu się mnie dosięgnąć.

– Na jaja świętego Zagheva – mruknąłem, gdy prawe ramię zapłonęło bólem od niewielkiego zranienia: kara za błąd w ocenie odległości.

„Dlaczego zawsze mi się to przytrafia, gdy przeciwnik walczy szpadą?”

Mimo delikatnego i cienkiego ostrza szpady są zwodniczo groźne. Ta, którą posługiwał się mój przeciwnik, była tylko o kilka cali krótsza niż mój rapier, jednak rywal nadrabiał to nadzwyczaj długimi wypadami w rodzaju tych uwiecznionych na ilustracjach drogich podręczników szermierki.

Po przeciwnej stronie placu hrabia Kuncet, margrabia Gerlac, parszywy grubas, który zaaranżował ten pojedynek, zakrzyknął: „*Bravasa!*” do swojego czempiona. Gromada popleczników margrabiego dołączyła do wiwatów, dorzucając „*Fantisima!*”, „*Dei blesse!*” i kilka innych niewłaściwie dobranych okrzyków szermierczych.

Choć bardzo mnie to irytowało, praktyka kibicowania szermierzom była

powszechnie akceptowana – miałem oczywiście prawo do podobnych wybuchów entuzjazmu moich stronników.

– Niezwykle utalentowany gość z tego Undriela – zauważył Kest.

Undriel. Więc tak miał ten bękart na imię.

Brasti zdecydował się na swój sposób stanąć w mojej obronie.

– To nie wina Falcia. Starzeje się. Robi się coraz wolniejszy. Do tego wygląda na to, że mu się przytyło. Spójrz tylko na niego, minęły ledwie cztery miesiące, odkąd pokonał Shurana, a już jest tylko w połowie tak dobry jak kiedyś.

„Zawsze dobrze mieć przy sobie przyjaciół w potrzebie”, pomyślałem, niezgrabnie parując ostrze Undriela, co potwierdziło moje rosnące zmęczenie.

– Nie rozpraszaście go – powiedziała Ethalia.

Chciałem spojrzeć na nią, by rzucić jej uspokajający uśmiech, ale zamiast tego poczułem, że obcas mojego prawego buta ślizga się, i musiałem zatoczyć się do tyłu, by złapać równowagę.

„Idiota! Uspokoisz ją, nie ginąc w pojedynku”.

Undriel i ja krążyliśmy wokół siebie przez kilka sekund, szukając u przeciwnika słabości, które można by wykorzystać.

„Bogowie, ależ mam dość. Dlaczego on nie wygląda, jakby się męczył?”

Głośne siorbnięcie przyciągnęło uwagę wszystkich: Ossia, chuda, elegancko postarzała księżna Baern zasiadała u szczytu sali na tronie z wysokim oparciem. Aline, spadkobierczyni Korony Tristii i Valiana, Obrończyni Królestwa, zajmowały miejsca u jej boku na znacznie mniejszych siedziskach, niczym dzieci, którym kazano się opiekować starą ciotką. Aline od czasu do czasu spoglądała na księżną z irytacją, ale z trudem hamowana wściekłość Valiany była zarezerwowana wyłącznie dla mnie.

Właściwie nie mogłem jej za to winić.

To, co zaczęło się jako ceremonia przedstawienia Aline szlachcie

Księstwa, przybrało nieoczekiwany obrót, gdy margrabia Gerlac, jeden z sześciu mężczyzn mających widoki na zastąpienie na tronie starzejącej się i bezdzietnej księżnej Ossii, wykorzystał naszą obecność do wszczęcia procesu przeciwko Koronie. Posługując się nieznośnie pokrętną logiką, stwierdził, że połączył włości z majątkiem świątynnym na swoich ziemiach, w związku z czym, mimo że nadal nimi włada, jest zwolniony z płacenia podatków. Powołał nawet na świadków kilku kapłanów w imponująco ozdobnych szatach, by potwierdzili jego wersję.

Księżna Ossia, dyplomatycznie jak zawsze, postanowiła przekazać wydanie wyroku w tej sprawie Valianie, która jako obrończyni Królestwa cierpliwie wysłuchiwała każdego argumentu, przejrzała każdy dokument, a następnie bez wahania oddała sprawę. Kuncet – jak mają w zwyczaju mężczyźni w tych rzadkich przypadkach, kiedy nie dostają tego, czego chcą – zrobił wielką awanturę. Zakwestionował ważność werdyktu i praw Valiany do tytułu obrończyni Królestwa, a następnie zaczął na naszych oczach wysuwać niezbyt subtelne groźby wobec Aline.

Wtedy zdecydowałem się wkroczyć do akcji.

Niecałe sześć miesięcy temu przelałem litry krwi, by Shuran i jego Czarne Tabardy nie przejęli tego przekłętego kraju. Ryzykowałem nie tylko własnym życiem, ale i życiem swoich najbliższych, ratując tych samych książąt, którzy z prób pozbawienia mnie życia uczynili swoje ulubione hobby. Byłem bity, torturowany i ocierałem się o śmierć, aby córka mojego króla mogła pewnego dnia zająć należne jej miejsce na tronie.

Czy ktoś naprawdę wierzył, że zamierzam pozwolić, by taki zapchlony szlachetka jak Kuncet publicznie jej groził?

„Do diabła, zapłaci mi za to”.

Undriel niespodziewanie zanurkował pod moim ostrzem, przetaczając się po ziemi i atakując z lewej, po czym odskoczył, nim zdążyłem wyprowadzić cięcie. I zostawił po sobie kolejną krwawą pamiątkę, tym razem na moim lewym ramieniu.

– Trzeba było założyć płaszcz – powiedział Brasti.

– Zamknij się – powtórzyłem.

Pancerz jest zabroniony w pojedynkach sądowych, ale większość interpretuje to jako zakaz korzystania z kolczugi czy zbroi płytowej. Jako że nasze płaszcze wykonane są ze skóry, to chociaż mają wszyte kościane płytki, technicznie nie są zbroją. Zresztą takie było założenie ich twórcy.

Dlaczego w takim razie nie miałem go na sobie? Ponieważ Kuncet, margrabia Gerlac, uznał taką ochronę za „tchórzliwą”, i Kest, połączeniem uniesionych brwi i cichego kaszlnięcia, najwyraźniej się z nim zgodził. Innymi słowy, ponieważ jestem idiotą, a moi przyjaciele próbują mnie zabić.

Czerwień zaczęła plamić lewe ramię mojej białej lnianej koszuli, niemalże idealnie dopasowując się do plamy po prawej stronie. Undriel chciał nadać symetrię swojej kompozycji na płótnie, którym najwyraźniej dla niego byłem.

Sukinsyn próbuje wykrwawić mnie na śmierć.

Podobnych Undrielowi nazywa się wśród szermierzy krwiopuszczami: ich główną strategią jest zadawanie małych cięć – ran, które pieką, krwawią i rozpraszają cię, aż zaczniesz zwalniać, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Krwiopuszcz nie spieszy się, tnąc cię raz za razem, by skończyć walkę jednym, zamaszystym cięciem – zwykle mierzą w tętnicę, byś mógł spektakularnie wykrwawić się na placu. Publiczność ich uwielbia.

Ja ich nienawidzę.

Same rany były bardziej irytujące niż groźne. Później, zakładając, że przeżyję, Ethalia użyje którejś z jej prawie magicznych maści do zaleczenia rany, a następnie zamknie ją kleistym balsamem. Jeden z wielu powodów, dla których powinienem był już dawno poprosić ją o rękę, to delikatny sposób, w jaki przesuwiała palcem po ranie, aby zetrzeć nadmiar lekarstwa. Było to tak przedziwnie zmysłowe, że niemal sprawiało, iż chciałoby się mieć takich cięć jeszcze kilka...

Z moich ust wydostał się niechciany i żenująco wysoki okrzyk, gdy

ostrze Undriela kolejny raz sięgnęło celu, tym razem po lewej stronie mojej szczęki. „Skup się, głupcze. Udaje mu się wykrwawić cię i bez twojej pomocy”.

Undriel natarł w wirującym ataku, kreśląc ostrzem ósemki, by po chwili nagle uderzyć niczym wąż i wycofać się, gdy tylko próbowałem odparować.

„Dashini”, pomyślałem, ledwo powstrzymując się przed ucieczką z pojedynekowego kręgu. „Używa techniki dashini”.

Undriel zauważył strach na mojej twarzy i uśmiechając się, zwiększył szybkość i brutalność swojego ataku. Machnąłem rapierem w niezdarnej zasłonie, by nie dać mu zbliżyć się za bardzo, ale ciężar rapiera uczynił z tego bardzo męczący manewr. Pocitem się teraz już nie tylko z wysiłku.

Co za bzdura! Dashini wymarli, a nawet jeśli nie, to nie ma mowy, żeby ten brykający fircyk był jednym z nich. Zrobił to tylko po to, by wytrącić mnie z równowagi.

– Więc prawdą jest, co o tobie słyszałem – powiedział Undriel. Odezwał się po raz pierwszy i to głosem tak spokojnym, jakby dopiero co wstał z łóżka.

– Jeśli słyszałeś, że dostanie ci się tak bardzo, że nie będziesz w stanie wsiąść na konia przez rok, to owszem. To najprawdziwsza prawda. – Moje słowa brzmiałyby bardziej przekonująco, gdyby nie towarzyszyło im ciężkie dyszenie.

– Plotka głosi, że od Lamentu co wieczór budzisz się z krzykiem, błagając, by skończyć twoją udrękę.

– Ciężko powiedzieć – odparłem. – Miłosne zapasy przed zaśnięciem sprawiają, że ostatnio jestem zbyt zmęczony, by pamiętać sny.

„Dlaczego to powiedziałem? Gadam od rzeczy. Bogowie, czym Ethalia sobie na mnie zasłużyła?”

Zadałem niski cios rapierem po łuku z siłą wystarczającą, by roztrzaskać kości w kolanie Undriela, ale on uniknął go z wdziękiem tancerza, by po chwili powtórzyć paradę dashini, którą tak mnie denerwował.

„Dlaczego pozwalam mu się rozpraszać? Co gorsza, dlaczego tak dobrze mu to idzie?”

Elementy układanki zaczęły do siebie pasować: Undriel celowo przedłużał pojedynek. Zwykle nie stanowiłoby to problemu, teraz jednak szybko się męczę z powodu ran odniesionych kilka miesięcy wcześniej. Wybrał szpadę, bo przez ostatnie lata walczyłem z rycerzami i żołnierzami, którzy używali cięższej i wolniejszej broni jak miecze czy buzdygany. Szkoła dashini, nawet jeśli nie była szczególnie zabójcza, to przy użyciu lżejszej szpady, sprawiała, że stawałem się nerwowy i niezgrabny. Innymi słowy, Undriel był idealną osobą do walki ze mną. Jak to możliwe, że Kuncet miał akurat w zanadrzu mistrza potrafiącego połączyć te wszystkie elementy w jeden niepowtarzalny styl?

Sukinsyn szkolił się specjalnie do tej walki.

Undriel wyszczerzył zęby, jakbym miał wszystkie te myśli wypisane na twarzy, i natarł na mnie, a kiedy potknąłem się i cofnąłem, próbując uniknąć szybkiego, tanecznego ataku, reszta brakujących fragmentów historii wskoczyła na swoje miejsce. Kuncet nie stracił dziś panowania nad sobą. Nie dbał o cholerne podatki. Cała sprawa była dla niego tylko pretekstem do starcia z Koroną i wmanewrowania mnie w pojedynek.

Czy można lepiej obwieścić swoje roszczenie do tytułu księcia Baern niż przez zabicie Wielkiego Płaszczka i publiczne sprzeciwienie się Obrońcy Królestwa, a wszystko to bez złamania ani jednego z Królewskich Praw?

Co więcej, Kuncet robił to w obliczu osoby, której stanowisko chciał zająć.

Księżna – otwarcie sprzyjająca dziedzicze tronu – mogła tylko bezsilnie obserwować bieg wydarzeń. Tak oto pokazuje się wszystkim roszczenie do tytułu księcia.

Mógł wzmocnić swoją pozycję w jeden tylko sposób: zabijając nie jednego z Wielkich Płaszczki, a ulubieńca przyszłej Królowej. Zabijając Pierwszego Kantora.

Którym, zupełnie przypadkiem, byłem ja. Undriel uśmiechnął się jeszcze szerzej: drobne rany zaczynały mnie spowalniać. W głowie miałem już tylko jedno: kiedyś byłem w tym naprawdę dobry.

ROZDZIAŁ 3

PIRUET SKOWRONKA

Spytałem kiedyś lekarza, dlaczego czas wydaje się zwalniać, gdy jesteśmy o krok od śmierci. Odpowiedział, że w chwilach skrajnego zagrożenia jeden z organów w naszym ciele zaczyna wydzielać płyn zwany „życiodajnym sokiem”, który zwiększa siłę kończyn i przyspiesza reakcje organizmu. Takiej osobie wydaje się, że sam czas na moment zatrzymuje się, dając jej ostatnią szansę na przetrwanie.

Można by pomyśleć, że dzięki tak cudownemu płynowi umysł skupia się wyłącznie na źródle niebezpieczeństwa, ale w moim przypadku skutek był odwrotny. Nawet gdy Undriela sunął w moją stronę, zmuszając mnie do cofnięcia się i wytrącając z równowagi, gdy gotował się do zadania śmiertelnego ciosu, nie mogłem przestać skupiać się na drobiazgach dookoła.

Oczy Brastiego zwięzły się w zdumieniu, co uświadomiło mi, że dopiero teraz zorientował się, że mam kłopoty. Usta Kesta były lekko otwarte, jakby zamierzał podszeptać mi tajemną fintę szermierczą, która mogłaby mnie uratować, i jednocześnie zdał sobie sprawę, że jest już za późno. Widziałem nawet, że dłoń Valiany drgnęła, jakby chciała wyciągnąć miecz i ruszyć mi na odsiecz. Ethalia, kobieta, którą kochałem, kobieta, której powiedziałem: „Równie dobrze możesz zostać i popatrzeć, to głupstwo zajmie mi ledwie parę minut!”, była biała jak śmierć.

Dlaczego nie poprosiłem, by poczekała na zewnątrz? Po jaką cholere w ogóle przyjmowałem to wyzwanie? Gdy tylko dotarliśmy na południe, powinienem był wziąć Ethalię na ręce, znaleźć najbliższą łódź i pożeglować w stronę tej wyspy, o której opowiadała mi setki razy.

Z zaciekłością straceńca odbiłem ostrze Undriela i przypuściłem jeden, dwa, trzy ataki, za każdym razem w przekonaniu, że znalazłem lukę w jego obronie. Za każdym razem też parował moje ciosy bez większego wysiłku, po czym na moim ramieniu, udzie lub klatce piersiowej pojawiało się kolejne drobne cięcie. Zużywałem ostatnie rezerwy sił tylko po to, by przedłużyć pojedynek.

Wszystko na marne.

Kątem oka zobaczyłem, jak Kuncet pochyła się do przodu z chełpliwym uśmiechem człowieka, który latami pielęgnował ogród i właśnie dostrzegł, jak rozkwita pierwsza róża. Ludzie z jego świty zaczęli poklepywać się po plecach. Ossia, księżna Baern, wyglądała na rozczarowaną.

„Cóż, ja też jestem rozczarowany, Wasza Łaskawość”. Byłem o krok od porażki i wiedział o tym każdy w pomieszczeniu – każdy oprócz Aline. W przeciwieństwie do innych patrzyła na mnie bez emocji w spojrzeniu czy drżenia ust, podczas gdy mój przeciwnik sterował mną jak marionetką na pojedynkowej arenie.

„Ona nie widzi, co się dzieje”, z przerażeniem zdałem sobie sprawę. „Wygrywałem z rycerzami i tępymi osiłkami, nawet z zabójcami dashini, musi uważać mnie za niepokonanego”.

To typowy problem z tymi, którzy nigdy nie walczyli w pojedynku: nie rozumieją, że każdy kiedyś przegrywa.

Niewyraźny metaliczny smak na przygryzionym języku sprowadził mnie na ziemię. „Nie umrę tu, nie przed tymi, których kocham. Przysięgam na wszystkich bezwartościowych bogów i świętych, znajdę sposób, żeby wygrać, a potem, jak już dojdę do siebie, poproszę Ethalię o rękę”.

Undriel, któremu z pewnością obiecano ogromną nagrodę za moją śmierć, był gotów do wielkiego finału. Szybkim ruchem ciął mnie w prawy nadgarstek, niezbyt głęboko, ale wystarczająco, bym poluźnił chwyt na rapierze, po czym mocno i szybko uderzył jelcem w klingę mojej broni, posyłając ją w powietrze nad moją głową.

Wyciągnąłem do góry lewą rękę w desperackiej próbie chwycenia rękojeści, podczas gdy Undriel zamierzył się do wysokiego cięcia, które miało przeciąć moją tętnicę szyjną. Cios w serce byłby pewniejszy, ale nie wywołałby artystycznego rozbryzgu krwi.

Arogancki dupek.

Chciałem kopnąć go w kolano, które szybko odsunął z mojego zasięgu, ale to dało mi cenną chwilę, by złapać spadający rapier lewą ręką. W odpowiedzi Undriel wykonał kolejne, głębsze cięcie na moim prawym przedramieniu. Już czułem, jak drętwieje z bólu.

„Świetnie, teraz będę musiał walczyć lewą ręką”.

Pozbawiony pierwszej okazji na spektakularne, stylowe zakończenie walki, Undriel obniżył głownię swej broni i ustawił ostrze w pionie.

„Piruet skowronka? Zamierza mnie zabić cholernym piruetem skowronka!”

Kwiecista nazwa kryła śmiertelną i niebezpieczną technikę. Atakujący przeskakuje obok swojego przeciwnika, obracając ostrze – nie po to, by ciąć, ale by sparować kontratak po wejściu w zasięg broni oponenta. Kończy ruch idealnym pchnięciem za siebie, jego pięta i ramię wędrują do tyłu, a sztych wbija się głęboko w nerkę ofiary.

Piruet skowronka wygląda niesamowicie: wykonujesz go, kiedy chcesz pokazać światu, że jesteś prawdziwym mistrzem ostrza, ale tylko wtedy, gdy masz absolutną pewność, że twój przeciwnik wyczerpał już wszystkie siły. Undriel mógł zabić mnie na wiele prostych, czystych sposobów, ale najpierw chciał złamać mojego ducha.

Poczułem, że wzbiera we mnie gniew. Śmierć – z nią jeszcze mógłbym żyć – ale to? „Przyjechałeś tu, by upokorzyć Wielkie Płaszcze, grozić dziewczynie, którą przysięgałem przywrócić na tron, i jeszcze chcesz z tego zrobić przedstawienie? Zapomniałeś pierwszej zasady miecza, sukinsynu”.

Zwalczyłem instynktowną chęć, by się wycofać, i zamiast tego zrobiłem coś, co razem z Kestem ćwiczyliśmy jako chłopcy: natarłem prosto na ostrze

Undriela. Kiedy on obracał się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, przeskakując obok mnie, ja zakręciłem się w drugą stronę, pozwalając mu odepchnąć mój rapier, i przygotowałem wolną rękę, by złapać jego ostrze. To była cudaczna, desperacka taktyka, ale w tym momencie byłem cudacznym, zdesperowanym człowiekiem.

Kiedy tak kręciliśmy się wokół siebie jak tancerze na scenie, Undriel, widząc, co robię, chciał odsunąć broń, zanim mogłem ją mocniej chwycić, tak by przeciąć moją dłoń – oczywiście, właśnie dlatego większość mistrzów mówi, żeby nigdy nie kontrować piruetu skowronka w ten sposób. Drugą częścią mojego manewru było rzucenie rapiera na ziemię między nogi przeciwnika, gdy ten jeszcze się obracał. Rękojeść uderzyła o marmur, a ostrze utknęło między lewą łydką a prawym udem Undriela, zupełnie plącząc mu nogi. Był już w połowie obrotu – za późno, by złapać równowagę. Jego wzrok skrzyżował się z moim, ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

Moja kolej na uśmiech.

Natarłem na niego, zginając kolana w poszukiwaniu dźwigni i mocno trzymając jego ostrze w zakrwawionej prawej dłoni, przycisnąłem lewą do jego piersi i pchnąłem ze wszystkich sił, jakie mi jeszcze zostały.

Undriel upadł do tyłu, ruchy wciąż uniemożliwiał mu rapier między nogami, a próba odzyskania równowagi tylko pogorszyła jego sytuację. Rozpaczliwie próbował ustać na nogach, dopóki nie uderzył tyłem głowy o jedną z marmurowych kolumn stojących wokół areny.

Pomieszczenie wypełniło echo satysfakcjonującego trzasku, a po nim radujący me serce widok Undriela osuwającego się powoli po kolumnie, aż padł na podłogę z głośnym łomotem. Takie uderzenie nie wystarczyłoby, by go zabić, jednak wystarczyło, by wszyscy na widowni skrzywili się z bólu, a następnie buchnęli gromkim śmiechem.

Wziąłem głęboki oddech i opadłem na kolana. W ostatniej chwili nie tylko unikałem upokarzającej śmierci, która okryłaby hańbą Koronę

i podważyła osławione umiejętności Wielkich Płaszcy, ale i pokonałem człowieka margrabiego, nie zabijając go przy tym – i to w sposób, który sprawił, że ludzie uwierzyli, iż jestem lepszym szermierzem i najzwyczajniej bawiłem się walką, póki mnie nie znudziła.

Wszystko to byłoby niezwykle satysfakcjonujące, gdybym tylko sam nie był absolutnie przekonany, że Undriel był lepszym szermierzem niż ja. Odniosłem zwycięstwo dzięki sztuczce z dzieciństwa i łutowi szczęścia. Inaczej byłbym już martwy.

Nazywam się Falcio val Mond i jestem Pierwszym Kantorem Wielkich Płaszcy. Niedawno byłem jednym z najlepszych szermierzy na świecie.

Odnoszę wrażenie, że to ostatnie mam już za sobą.

ROZDZIAŁ 4

UZDROWICIELE

W pojedynku zabawne jest to, jak mało uwagi poświęca się walczącym po jego zakończeniu. Gdy jeden z przeciwników pada, wszyscy zrywają się na równe nogi – jedni, by opłacić przegrany zakład lub wymknąć się z widowni, zanim zaczną ich szukać wierzyciele. Inni wiwatują i przechwalają się dokładnością swoich przewidywań, zupełnie jakby to oni walczyli w pojedynku, podczas gdy jeszcze inni złorzeczą i narzekają na słaby poziom szermierzy.

W tej samej chwili szermierze, uświadamiając sobie swoje obrażenia, poczynają wydawać z siebie rozmaite jęki i czołgać się ku czemuś, na czym mogliby usiąść. Lekarze lub kapłani (w zależności od tego, kto jest pilniej potrzebny) ruszają do pracy, ale ja wtedy najbardziej pragnę, by to Ethalia zajęła się moimi ranami. Szermierz stający w obronie Korony musi jednak najpierw zostać zbadany przez królewskiego lekarza, krępego mężczyznę w średnim wieku imieniem Histus, z którym łączyła mnie dokładnie jedna rzecz: obaj nie cierpieliśmy chwil, gdy musiał mnie leczyć.

– Pewien jesteś, że wygrałeś ten pojedynek? – mruknął, rozpoczynając raczej mało delikatne oględziny.

Skrzywiłem się.

– Pewien jesteś, że nie pracujesz dla drugiej strony? – odpowiedziałem.

Wyciągnął butelkę odkażającego alkoholu i obficie polał każdą z moich ran.

– Będę musiał amputować jedną z twoich kończyn, jeśli nie przestaniesz.

– Moje rany nie są zakażone.

– Nie powiedziałem, że zrobię to z przyczyn medycznych.

Zerknąłem na Undriela, leżącego na podłodze obok jednej z kolumn. Zwykle istnieje pewien rodzaj więzi tworzącej się między przeciwnikami, jeśli żaden z nich nie kończy pojedynku martwy. Tym razem nie liczyłem, że tak się stanie.

Kilku ludzi Kunceta – co ciekawe, nie było wśród nich samego margrabiego – stało nad Undrielem, wydając odgłosy świadczące o zaniepokojeniu, choć nie o jego obecny stan, jak można by się spodziewać. Usłyszałem: „Czy myślisz, że kiedykolwiek jeszcze będzie mistrzem?”, i w odpowiedzi: „Nie widzę tego, nie po takim laniu”. Potem pojawiły się też eksperckie komentarze: „Stracił wprawę jak nic. Dostrzegłem to u niego, jak tylko wszedł na arenę”. Może jednak myliłem się z tym brakiem więzi.

Kuncet zajął się tymczasem inną pojedynkową tradycją: tą, w której przegrany natychmiast zaczyna rzucać oskarżenia o nieczystą grę i oszustwo. Wybuchnął nieprzerwanym strumieniem zarzutów, począwszy od niegodnego zachowania z mojej strony (dotykać przeciwnika podczas pojedynku? „To się nie godzi!”), przez zakwestionowanie wykonania okręgu, aż po dość zawiłe oskarżenia o czarnoksiężstwo, w które miałem być zaangażowany wraz Valianą, Aline, Kestem i Brastim. Miało ono polegać na dość śmiałych wyczynach seksualnej natury dokonanych w ramach rytuału poświęconego Świętemu Zaghevowi Co Śpiewa o Łzy.

Kapłani, bez wątpienia zaniepokojeni, że ich finansowy układ z margrabią miał wkrótce stracić ważność, gorliwie go popierali.

Przeszło mi przez myśl, by rzucić wyzwanie tłustemu draniowi, po chwili jednak zdałem sobie sprawę, że w moim obecnym stanie prawdopodobnie udałoby mu się mnie pokonać. Na szczęście w pobliżu był ktoś jeszcze bardziej wściekły ode mnie.

– Jeszcze jedno słowo, margrabió – powiedziała Valiana głosem zimnym jak północny wiatr – zwłaszcza skierowane do następczyni tronu Tristii, a przysięgam, że zaraz ze mną przyjdzie ci zatańczyć na arenie.

Kuncet wydał dźwięk, który miał zapewne być szyderczym

parsknięciem, ale odgłos z jego ust zabrzmiał o wiele mniej dostojnie.

Trzeba pamiętać, że Valiana może i jest młoda, może i została wychowana tak, aby być piękną i nikczemną w równym stopniu. Ale to wszystko przeszłość. Dawno już porzuciła podobne gierki i okazała się inteligentną, śmiałą i gotową oddać życie, by chronić Aline i bronić Tristii. Co ważniejsze, mimo nowego tytułu i obowiązków, które się z nim wiązały, każdy, kto spojrzałby jej w oczy, zobaczyłby, że jest Wielkim Płaszczem do szpiku kości.

Kuncet też to dostrzegł.

Możni nie lubią być publicznie poniżani; kiedy są postrzegani przez swoje towarzystwo jako słabi, wiążą się z tym same problemy. O ile mogłem się przekonać, jedyną nadzieją margrabiego było teraz wsparcie księżnej Ossii...

...która spojrzała na niego bez wyrazu.

– Wspaniale było cię zobaczyć, margrabio – powiedziała, popijając herbatę z pięknie malowanej porcelanowej filiżanki. – Twoje wizyty są zawsze cudowną rozrywką.

– Oburzające – powiedział w końcu Kuncet.

Najwyraźniej Valiana to jedno słowo mogła zaakceptować, ponieważ pozwoliła margrabiemu, jego świecie i kapłanom wycofać się z sali sądowej.

Dwóch z nich wlokło oszołomionego Undriela, póki margrabia nie warknął:

– Zostawcie go na zewnątrz wraz z resztą śmieci. Niech wraca do brudnej wioski, w której go znalazłem.

Przez chwilę współczułem mojemu byłemu przeciwnikowi. Nie znajdzie już innego patrona, może pożegnać się z szansą na bogactwo i awans. Wyobrażałem sobie, że dzisiejszy dzień zmieni go w nieprzyjemnego człowieka.

Kuncet spojrzał na mnie groźnie, gdy dotarł do podwójnych drzwi, ale jako że dzisiaj byłem już celem wystarczającej liczby ciosów, poczułem, iż

zdobyłem prawo do zadania jednego.

- Pamiętaj, żeby przekazać swoim przyjaciołom, margrabio.
- Co takiego? – odburknął.
- Że Wielkie Płaszczki już po nich idą.

Skoro słowo „oburzające” uszło mu na sucho za pierwszym razem, margrabia Gerlac zdecydował się użyć go jeszcze kilkakrotnie w drodze do wyjścia.

– Naprawdę, musi popracować nad zasobem słownictwa – zauważył beztrąsko Brasti. – Nie uchodzi wypaść ze spotkania jak burza, powtarzając w kółko to samo. Mógł przynajmniej dorzucić, że to „niedorzeczne” lub „niewybaczalne”.

- „Skandaliczne”? – zaproponował Kest.
- „Odrażające” ma więcej smaku – skontrolował Brasti.
- Masz na myśli „odstręczające”?
- To co właściwie znaczy „odrażające”?
- Coś innego.

Brasti próbował wyglądać na oburzonego.

- W porządku. Czy możemy zgodzić się na „niewyobrażalne”?
- Nie wygłupiaj się.
- Czy już za późno, by sprowadzić Undriela z powrotem i pozwolić mu po prostu mnie zabić? – jęknąłem, odsuwając się od Histusa, który odwałł godną podziwu pracę polegającą na bolesnym uświadamianiu mi faktu istnienia każdej rany na moim ciele. W końcu zauważyłem Ethalię przepychającą się przez tłum.

Bardatti mawiają, że życie jest słodsze w tych cennych chwilach tuż po otarciu się o śmierć. Z mojego doświadczenia wynika jednak, że „życie” w tym konkretnym momencie najczęściej pachnie potem, zasychającą krwią i... tym podobnymi. Ethalia była wyjątkowa. Poczulem nagle pragnienie, by ją przytulić, zatopić twarz w jej długich czarnych włosach i wdychać jej zapach. Gdyby moja koszula nie była cała we krwi i gdybym nie miał

pewnych trudności z utrzymaniem się na nogach, pobiegłbym do niej. Na szczęście to ona przyszła do mnie.

O Ethalii można dowiedzieć się wszystkiego z jej oczu. Są jasnoniebieskie jak linia, gdzie niebo spotyka się z morzem na horyzoncie, i oczywiście piękne, ale to bez znaczenia. Chodzi o sposób, w jaki na mnie patrzy. Gdy tylko mnie zobaczy, w jej spojrzeniu pojawia się natychmiastowy błysk radości, który rozświetla jej tęczę. Jest to coś tak ujmującego, że całkowicie zaprzecza tym wszystkim, którzy są głęboko przekonani, że świat byłby lepszym miejscem, gdybym był martwy. Potem przychodzi ta trudniejsza część, kiedy dostrzega najświeższe owoce mojej głupoty. Widzę pierwsze łzy w kącikach jej oczu, potem troska i smutek ustępują miejsca determinacji, gdy jej oczy zwężają się i zaczynają przebiegać po siniakach, skaleczeniach i otarciach, gdy decyduje, od czego zacząć.

– Dziękuję, doktorze Histus – powiedziała, podnosząc krzesło i przynosząc mi je. – Zajmę się pacjentem.

Histus niesłabnącą pogardą darzył szkolenie, które Ethalia odebrała w Zakonie Miłosiernego Światła. Podobnie jak zbyt wielu innych, uważał, że Zakon jest niczym więcej niż tylko burdelem z drogimi prostytutkami. Podejrzewam, że tej opinii nie poprawiał fakt, iż Ethalia była o wiele lepszym uzdrowicielem niż on.

– Postaraj się nie zarazić go jakąś nieuleczalną chorobą zakaźną – rzucił Histus, zamykając torbę.

– Upewnię się, że jego rany są odpowiednio oczyszczone, doktorze.

– Nie o to mi chodziło – powiedział Histus i odszedł.

– Nie można go winić za poczucie humoru. – zaśmiała się Ethalia.

– Wierz mi, bardzo go za nie obwiniam – odparłem.

Posadziła mnie na krześle i pomogła zdjąć koszulę, a następnie wyciągnęła z torby tuzin niebieskich słoiczek. Wszystkie wyglądały tak samo, doświadczenie zdążyło mnie już nauczyć, że w istocie tak nie jest.

Ustawiała je obok siebie na podłodze.

– Wiem, co miał na myśli, Falcio. Myślisz, że mógłby mi powiedzieć coś, czego nie słyszałam, od kiedy skończyłam trzynaście lat?

„Trzynaście lat. Święci, na jakim świecie żyjemy, jeśli...?”

– Wystarczy – powiedziała. – Otworzą ci się wszystkie rany, jeśli nadal będziesz spinać ramiona w ten sposób. – Wybrała jeden słoik, obejrzała go, a następnie zamieniła na inny.

– Chciałbym, żebyś dała chociaż część z nich Histusowi. Jego maści w ogóle mi nie pomagają.

– Obawiam się, że jemu w ogóle by się nie przydały. – Nabrała na dłoń grubą warstwę maści ze słoika, zamknęła oczy i zaczęła wcierać ją w duże rozcięcie na moim brzuchu, którego podczas walki nawet nie zauważyłem, a które teraz piekło jak diabli. – Maść jest łącznikiem pomiędzy sercem uzdrowiciela a ranami pacjenta. – Gdy jej palce dotknęły rany, zadziwiająco ciepłe uczucie rozlało się wzdłuż cięcia, zabierając ze sobą sporo bólu.

– Wiesz, co myślę? – powiedziałem, czując się trochę nieswojo w otaczającym nas tłumie. – Myślę, że zmyślasz to wszystko. Po prostu masz lepsze lekarstwa niż Histus!

– Cicho bądź – powiedziała – albo użyję najsilniejszej maści.

– Jak ona działa? – spytałem.

Nagle objęła mnie ramionami, zatopiła twarz w mojej szyi i przytuliła mnie.

– Sprawia, że człowiek odzyskuje rozum, Falcio – powiedziała, płacząc cicho. – Sprawia, że przyznaje się, że jest ranny, że prześladują go wspomnienia z przeszłości. Sprawia, że przestaje chcieć dać się zabić tylko po to, by udowodnić, że się nie boi. Nie jestem pewna, czy twoje głupie serce by to zniosło.

Sięgnąłem niezgrabnie prawą ręką i przytrzymałem jej głowę, ignorując ból w ramieniu. „Teraz, idioto”, pomyślałem, „przestań się wahać. Przestań szukać wymówek. Poproś ją, by za ciebie wyszła”.

Przysięgam, że te słowa już miały popłynąć z mych ust, ale w tej samej chwili obrończyni Królestwa skończyła się cierpliwość.

ROZDZIAŁ 5

RANNI

– Pierwszy Kantorze – powiedziała sucho, podchodząc do mnie.

Nigdy nie wróży to dobrze, kiedy zaczyna rozmowę od „pierwszy kantorze”. Podniosłem się niepewnie na nogi.

– Obrończyni Królestwa?

Nim Valiana podeszła bliżej, Aline wybiegła przed nią i rzuciła mi się na szyję.

– Robisz się coraz wolniejszy, Falcio – powiedziała.

Objąłem ją.

– Wiesz, przydałby mi się tam nóż do rzucania. Gdzie byłaś, kiedy cię potrzebowalem?

Aline cofnęła się o krok, a na jej twarzy pojawił się dobrze udawany wyraz zaskoczenia i trwogi.

– Falcio val Mondzie, chciałbyś, żeby twoja przyszła królowa pomagała ci oszukiwać w pojedynku?

– Pierwszy Kantor nigdy nie oszukuje w pojedynku – powiedział ktoś inny, z pewnością w głosie właściwą dwunastoletnim chłopcom. Tommer, dziedzic książęcego tronu w Rijou, podszedł bliżej. W ostatnim czasie zwykł nosić długi, skórzany płaszcz, podejrzanie podobny do mojego, co doprowadzało jego ojca do białej gorączki. Książę Jillard, rozmawiający właśnie z księżną Ossią, posłał mi przez ramię spojrzenie odpowiednio długie, by przekazać mi w nim swój ambiwalentny stosunek do wyniku pojedynku.

– Falcio oszukuje cały czas – powiedziała Aline z lekką przyganą w głosie.

– Posłuchaj, młoda damo – powiedziałem – jako Pierwszy Kantor Wielkich Płaszczy, a zarazem sędzia, oświadczam Ci, że prawnie dopuszczalne i zupełnie właściwe byłoby, gdybyś rzuciła mi wtedy nóż. Albo i ze dwa czy trzy.

– I pewnie właśnie dlatego – wyszczerzyła się Aline – ludziom przestało się podobać, że to Wielkie Płaszcze egzekwują Królewskie Prawa, nie uważasz?

Warknąłem w udawanej złości i sprzedałem jej lekkiego kuksańca.

– Nie powinnaś przypadkiem uczyć się teraz o geografii mórz i oceanów, czy innym podobnie zajmującym temacie?

Aline odpowiedziała mi mrugnięciem i dygnęła lekko, nim odeszła, pociągając za sobą Tommera. Wykonała swoje zadanie, opóźniając Valianę na tyle, by mogła się uspokoić przed rozmową ze mną. Miło, że o tym pomyślała. Poczułem, jak dłoń Ethalii wślizguje się w moją, częściowo dla wsparcia, częściowo, by przypomnieć mi, żebym trzymał emocje pod kontrolą.

– To twój trzeci pojedynek w tym miesiącu, Pierwszy Kantorze – powiedziała Valiana, zaciskając usta tak mocno, że trudno było sobie wyobrazić, iż jeszcze niedawno uważała mnie za wzór.

– Ani razu nie poprosiłeś o pozwolenie ani nawet nie spytałeś mnie o zdanie, co myślę o wystawianiu na szwank reputacji Wielkich Płaszczy w pojedynku o kolejną błahostkę.

Brasti postanowił się wtrącić.

– Złociutka, nie obwiniaj Falcia. Margrabia miał prawo do domagania się pojedynku w odwołaniu od twojej decyzji. Zgodnie z Trzecim Prawem Królewskim o Własności, nie mieliśmy innego wyj...

– Idioto – przerwała mu, rozwścieczona – Trzecie Prawo nie mówi o...

– Możemy wrócić do tej rozmowy później? – zaproponował Kest.

– Nie – odpowiedziała. – Jeżeli mam być zmuszana do użerania się z sędziami koronnymi krzyżującymi moje plany zdobycia jakiegokolwiek

kontroli nad możnymi, to niech ci sędziowie chociaż powołują się na właściwe prawa!

Spojrzała na Brastiego.

– Piąte Prawo Królewskie mówi o apelacjach. Trzecie Prawo traktuje o umowach i handlu.

Brasti cofnął się o krok.

– No, teraz to już...

– Co więcej, Piąte Prawo nie przyznaje margrabiemu przywileju pojedynku sądowego. Mówi o tym, że można się powołać na takie rozwiązanie tylko wtedy, gdy materiał dowodowy jest niewystarczający, by przesądzić sprawę na rzecz jednej ze stron. Zapewne umknęło waszej uwadze, że Korona spędziła trzy godziny na prezentacji dowodów na bezprawne unikanie podatków przez Kunceta?

– No tak – odparł Brasti. – Całkiem możliwe, że akurat na tę część nie zwróciłem uwagi.

Tym razem to Kest postanowił się wtrącić.

– To nie zmienia faktu, że...

– Nawet nie zaczynaj, myślicie, że nie wiem, jak to działa? – Wskazała na mnie.

– On robi coś niewiarygodnie głupiego, a reszta z was unika mnie do chwili, kiedy muszę zająć się czymś, co ma realne znaczenie dla Królestwa.

Brasti uśmiechnął się szeroko.

– Czyli to działa?

– Kuncet nie miał prawa wygrać sprawy – powiedziała Valiana, jej słowa podkreślała nuta rozpaczy w spojrzeniu. – Pojedynek był niepotrzebny. Gdybyś przegrał, każdy szlachcic w Tristii mógłby zacząć układać się z najbliższą świątynią, by uniknąć płacenia podatków.

– Mogli też zabić Falcia – dodał Kest.

– To akurat martwi mnie coraz mniej – odpowiedziała Valiana.

Z cienia wyszła Darriana.

– Może powinniśmy się zastanowić, dlaczego rzekomo „najlepszy szermierz świata” nie staje do tych idiotycznych pojedynków?

– To proste – odparł Kest, podnosząc do góry prawą rękę zakończoną kikutem. – Przegrałbym.

To okazało się zaskakująco skutecznym sposobem na zakończenie rozmowy. Nikt nie spytał go o powód, bo zgodnie z wszelkimi przesłankami Kest wciąż powinien być najlepszym szermierzem w kraju. Całymi latami ćwiczył oburęczność – ba, czasem nawet w środku walki na śmierć i życie zdarzało mu się walczyć lewą ręką tylko po to, żeby nie wyjść z wprawy. Dlaczego więc zupełnie stracił pewność siebie po stracie dłoni? Najdziwniejsze było to, że wciąż walczył tak samo dobrze, ale za każdym razem, gdy trzymał miecz w ręku, na twarzy miał bolesny grymas. A kiedy jeden z nas zaczynał z nim rozmowę na ten temat, ucinał ją szybko, mówiąc, że „po prostu potrzebuje czasu”.

Valiana wróciła spojrzeniem do mnie, w jej oczach kryły się strach i desperacja.

– Z całych sił staram się przekonać szlachtę do przywrócenia Królewskich Praw, Falcio. Nie możesz im pozwalać, by wplątywali cię w pogoń za symbolicznym zwycięstwem; to tylko sprawia, że tym chętniej widzieliby nas na przegranej pozycji.

Wzruszyłem ramionami, zdając sobie sprawę z pomyłki w chwili, w której wszystkie drobne rany na moim ciele krzyknęły z bólu.

– Symboliczne zwycięstwa mają znaczenie. Tacy jak Kuncet muszą wiedzieć, że nie mogą...

– Zapomnijmy o tym – powiedziała, po czym ruszyła do wyjścia. – Wygrałeś.

Jej słowa sprawiły, że poczułem się niezręcznie.

– Valiano, dzięki temu inni możni zastanowią się dwa razy, zanim...

– Nie! – krzyknęła z wściekłością, zwracając się w moją stronę. – Nie zrobią tego. Może i nie potrafię powstrzymać twojej lekkomyślności, ale nie

zniosę udawania, że ma to cokolwiek wspólnego z przestrzeganiem Praw. Chcesz po prostu pokazać wszystkim, jak twardzi są przedstawiciele Wielkich Płaszczy.

– On groził Aline...

– Właściwie to wcale jej nie zagroził, powiedział tylko, że „kruche bezpieczeństwo naszej monarchii zależy od dobrej woli bogów i szlachty”.

– Czy to właśnie nie było zawołaną groźbą? – spytał Kest.

– Oczywiście, że było, taką samą cholerną groźbą, jakimi książęta i księżne obrzucają się podczas każdego spotkania na szczycie. Na tym właśnie polega polityka, to ich chleb powszedni – odpowiedziała.

– W takim razie mają go teraz trochę mniej – odparłem.

– Falcio, planujesz zabić wszystkich, którym nie podoba się Aline? – Cały gniew zdążył już ulecieć z jej głosu.

Przez chwilę wstrzymywałem się od odpowiedzi. Wróciłem myślami do wszystkich, którzy głośno wiwatowali po aresztowaniu króla Paelisa w oczekiwaniu na jego egzekucję.

– Tak – odparłem.

Otworzyła usta, chcąc odpowiedzieć, ale zatrzymała się w pół słowa.

– Nie musisz się hamować – powiedziałem.

– Jak chcesz. Cztery miesiące po zawarciu książęcego paktu, tym kilku Wielkim Płaszczom, którzy powrócili do królestwa, nie udało się przywrócić Królewskiego Prawa. Ludzie zaczynają tracić wiarę, a ty...

Gniew rozgorzał we mnie na nowo, sprawiając, że rany zapłonęły bólem.

– Myślisz, że tego nie wiem? Myślisz, że nie zastanawiam się każdej nocy nad tym, jak to powstrzymać?

Valiana już nie szczydziła mi słownych razów.

– Myślisz tylko o tym! Jesteś przekonany, że kolejny pojedynek i pokonanie kolejnego najemnego knechta jakiegoś margrabiego, hrabiego czy księcia, da ci szansę na udowodnienie wszystkim, że z Wielkimi Płaszczami wciąż jeszcze trzeba się liczyć. Przekonałeś Nehra i innych

bardatti, żeby jeździli po całej Tristii i głosili, że „Wielkie Płaszcze powróciły”. Czy o taki „powrót” ci chodzi? To właśnie z tym chcesz być kojarzony?

Nie byłem pewny, jak zareagować, ale Valiana już zmierzała do wyjścia, nie czekając na odpowiedź. Takie kończenie rozmów było ostatnio naszą tradycją.

– Falcio... – zaczął Kest.

Popatrzyłem na niego i Brastiego.

– Idźcie – odparłem.

A oni ruszyli za Valianą, by spróbować załagodzić spór. Do następnego razu.

– Muszę przyznać, Pierwszy Kantorze, jak na kogoś, kto zrobił tak wiele, by powstrzymać wojnę domową w naszym królestwie, zaskakująco ciężko pracujesz nad tym, żeby samodzielnie wywołać taki konflikt – powiedział, podchodząc, księżę Jillard.

Westchnąłem, czując się nagle potwornie zmęczony.

– Wasza Księżęca Mość, czy masz mi coś do powiedzenia?

Spodziewałem się kolejnego przytyku, ale zamiast tego jego twarz przybrała śmiertelnie poważny wyraz.

– Falcio, ona ma rację. Wśród żywych pozostało pięcioro książąt, z których każdy zgodził się, byś został wybrany na Obrońcę Królestwa pod warunkiem przywrócenia Królewskich Praw. Czy naprawdę spodziewasz się, że uda się to osiągnąć z pomocą garstki Wielkich Płaszczy i pokazu szermierki od czasu do czasu?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, spojrział w stronę podwyższenia.

– Musisz mi wybaczyć, mamy z księżną Ossią wiele do omówienia.

Poczułem nagłe zawroty głowy, co przypomniało mi, że pozycja stojąca nie jest wskazana, kiedy krwawi się z tuzina ran ciętych. Ethalia próbowała skłonić mnie do powrotu na krzesło, jednak dostrzegłem stojącą w pobliżu Darrianę, co oznaczało, że w całym przedstawieniu pozostał do odegrania

jeszcze jeden akt.

Zaczęła rozmowę bez owijania w bawełnę.

– Gdyby nie twój stan, zabiłabym cię na miejscu.

Jej niedawno nabyta opiekuńczość wobec Valiany była czymś, czego nawet nie próbowałem w pełni zrozumieć. Czy mogło chodzić o zwykły podziw, czy raczej poczucie winy za zdradę Niesplamionych, kiedy to Heryn był niebezpiecznie bliski pozbawienia Valiany życia? Niezależnie od przyczyny, Darriana najwyraźniej zdecydowała, że odpłaci dziesięciokrotnie za każdą wyrządzoną Valianie krzywdę, rzeczywistą lub urojoną.

W odniesieniu do mojej osoby oznaczało to publiczne obrzucanie obelgami, póki nie skończyły jej się synonimy słów „idiota” i „tchórz”.

Oparłem dłoń na krześle, czując, że mógłbym przewrócić się pod wpływem silniejszego podmuchu wiatru.

– No dobrze, miejmy to za sobą.

– Nie – odparła Ethalia.

Zaskoczyło mnie to tak, że prawie straciłem równowagę. Tolerowała kłótnie jedynie odrobinę bardziej niż pojedynki, ale wtrącanie się i w jedno, i w drugie zupełnie do niej nie pasowało. Delikatnie, ale stanowczo popchnęła mnie z powrotem na krzesło i rozpoczęła długi proces bandażowania moich ran. „Święci, aż tak ze mną źle?”

– Nie? – spytała Darriana. – Czyżby nasza droga Siostra Miłosierdzia zdecydowała się wreszcie zaangażować w sprawy państwowe?

– Wystarczy, Darriano – odparła z roztargnieniem Ethalia, owijając cięcie na moim brzuchu świeżym bandażem. – Rozumiem, że żyjemy w trudnych czasach. Rozumiem, że chcesz chronić Valianę, ale Falcio jest ranny, nalegam więc, żebyś przestała mu grozić.

– A jeśli odmówię?

– Będę niezadowolona, Darriano. To powinno ci wystarczyć.

Darriana parsknęła lekceważącym śmiechem.

– Za żadne skarby nie chciałabym ryzykować niezadowolenia dziwki

Świętego Co Nikogo Nie Obchodzi. Może jeszcze zechcesz wyzwać mnie na pojedynek?

„Tego już za wiele”.

– Darriano, zamknij...

– Wygłaszanie czczych pogroźek na arenie to nie najlepszy pomysł – odpowiedziała Ethalia całkowicie spokojnym tonem.

Oczy Darriany rozszerzyły się, była z pewnością tak samo zaskoczona jak ja.

– Doprawdy? Rozejrzyj się: tysiące osób zginęło w kręgach takich jak ten. A ty, w ilu pojedynkach walczyłaś?

– W żadnym – przyznała Ethalia. Umocowała bandaż na moim ramieniu, po czym wróciła wzrokiem do Darriany. – Chyba powinnam to w końcu zmienić, nie sądzisz?

Żadne z wydarzeń dzisiejszego dnia nie przeraziło mnie tak bardzo jak ta perspektywa.

– Czy mogę z szacunkiem poprosić, by żadna z was nie zabijała drugiej, dopóki ktoś nie skończy opatrywać moich ran? – powiedziałem tak stanowczo, jak tylko mogłem.

– Cicho, kochany – powiedziała Ethalia. – Kobiety rozmawiają.

– Zrobiłabyś to? – spytała z niedowierzaniem Darriana. – Walczyłabyś ze mną?

Po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, wyglądała na naprawdę skonsternowaną.

– Nie masz nawet miecza!

– Domyślam się, że uczyni to wynik pojedynku tym bardziej dla ciebie zawstydzającym.

Mierzyły się wzrokiem, gdy tak siedziałem oszołomiony i osłabiony, przekonany, że powinienem coś zrobić, a jednocześnie nie mając bladego pojęcia co. Zobaczyłem, jak dłoń Darriany przesuwają się w stronę miecza u jej boku, i zacząłem sięgać po rapier – musiałem ją powalić, zanim go

dobędzie, lecz nie przetrwałbym ani chwili wyrównanej walki.

Nagle Darriana zatrzymała się i powiedziała:

– Może innym razem, kiedy już znajdziesz sobie broń.

Czekała na odpowiedź, a kiedy nie doczekała się żadnej, odeszła w milczeniu, przegrawszy tę próbę siły woli. Tymczasem Ethalia jak gdyby nigdy nic wzięła kolejny bandaż i zaczęła owijać moje drugie ramię.

– Wygląda na to, że jesteś pełna niespodzianek – powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Bycie Siostrą Tajemnicy zobowiązuje – odparła.

– A nie Siostrą Miłosierdzia?

Pocałowała mnie w policzek.

– Kto powiedział, że trzeba się ograniczać do jednego?

To był jej sposób na przekazanie mi, żebym nie pytał o więcej, i przez kilka chwil, dopóki nie skończyła opatrywać moich ran, nawet mi się to udawało. W końcu jednak nie mogłem się powstrzymać.

– Wciąż nie mogę pojąć, od kiedy to wyzywasz na pojedynki dawne zabójczynie dashini?

– Nie rzuciłam jej wyzwania – odparła spokojnie Ethalia. – Ustalałam granice.

– Granice? Mówisz o niej, jakby była rówieśniczką Aline! Darriana jest dorosłą kobietą i to naprawdę niebezpieczną!

– Jest dorosłą kobietą, która przez większość swojego życia była narzędziem wykorzystywanym najpierw przez króla, a później przez dashini. Nie ma pojęcia, jak zachowywać się wśród zwyczajnych ludzi, jak być blisko nich, jak się im przeciwstawiać. Jest dorosłą kobietą, która nigdy nie miała szansy dorosnąć – przerwała mi. – Wszyscy traktują ją jak coś w rodzaju śmiercionośnej broni, tak też się więc zachowuje. Cierpi, jest smutna i samotna.

Pomyślałem o wieczornych schadzках, którymi ostatnio chwalił się Brasti.

– Nie wydaje mi się, żeby narzekała na brak towarzystwa.

Ethalia zmarszczyła brwi.

– Brasti traktuje to jak zabawę, zatem ona robi to samo. Dopóki nie nauczy się szanować samej siebie, zabawa to wszystko, co między nimi będzie.

Próbowałem przedrzeć się przez logikę jej słów, ale związki nigdy nie były moją mocną stroną.

– Rzuciłaś to wyzwanie dla jej dobra?

– Dla dobra jej, twojego, wszystkich.

Uklękła przede mną i dostrzegłem dyskomfort w jej spojrzeniu. Nie czuła się dobrze, zmuszając Darrianę do wycofania się.

– Wszyscy cierpicie, Falcio, na zewnątrz i w środku, a to sprawia, że wszyscy jesteście tak twardzi, że można was skruszyć jak szkło. Nie dostrzegasz tego? Bardzo staracie się chronić ten kraj, ale nie ma nikogo, kto ochroniłby was.

– Uważasz, że to twoje zadanie? – Powinienem był dostrzec to już dawno.

– Nie mam miecza, Falcio. Nie mogę wikłać się w polityczne intrygi z tymi, którzy zniszczyliby królestwo dla własnych korzyści. Wszystko, co mogę zrobić, to poczekać, aż opadnie kurz po walce, i próbować wyleczyć rany, zanim...

Cokolwiek miała zamiar powiedzieć, zostało zagłuszone nagłym krzykiem, tupotem butów, brzękiem broni i ogólnym harmiderem, któremu towarzyszyło bicie w dzwon. Ponad dwudziestu książęcych zbrojnych wpadło do sali sądowej. Miałem rapier w ręku, zanim zdążyli zbliżyć się na odległość dwudziestu stóp.

– Co się, do cholery, dzieje?! – zawołała Valiana, wbiegając do pomieszczenia z Kestem, Brastim i Darrianą depczącymi jej po piętach.

– Wydostańcie stąd Valianę! – krzyknąłem do pozostałych, po czym zwróciłem się do Ethalii. – Musisz iść z nimi.

Jej twarz nagle pobladła.

– Falcio... coś jest nie tak. Coś...

Nim zdążyła dokończyć, osunęła się na mnie, a ja sam, wciąż osłabiony, zacząłem przewracać się do tyłu.

Kest przytrzymał mnie i wziął Ethalię z moich objęć.

– Co się z nią dzieje? – zapytałem.

– Oddycha normalnie – powiedział, kładąc ją na podwyższeniu. – Wydaje się, że jest w rodzaju... sam nie wiem, transu.

Większość baerneńskich strażników zajęła pozycje między nami a podwójnymi drzwiami prowadzącymi do chaosu na zewnątrz. Antrim Thomas, jeden z niewielu Wielkich Płaszczy, którym udało się wrócić, i obecny kapitan straży Aramoru, wszedł do sali i roztrącił baerneńczyków, zwracając się do Valiany.

– Wróg przedostał się za mury, Obrończyni Królestwa. Musimy odesłać cię w bezpieczne miejsce, zanim...

– Dziedziczka tronu – przerwałem mu – gdzie jest Aline?

– Bezpieczna – odpowiedział. Jego wzrok powędrował w stronę Valiany, jakby nie chciał być tym, który mi to wytłumaczy.

– Jest w powozie z eskortą, już wydostali się z pałacu – powiedziała Valiana. – Zgodnie z procedurą w przypadku ataku mamy zapewnić jej bezpieczeństwo i odesłać w bezpieczne miejsce.

– Dlaczego nie wiem nic o jakichś cholernych procedurach?

Wyraźnie się zmieszała. O czymś mi nie mówiła.

– Bo nie miałeś o nich wiedzieć, Falcio.

– Ilu napastników? – spytałem Antrima, a potem potoczyłem wzrokiem po książęcych strażnikach. – I jak, na Świętą Martę Co Zatrzęsła Lwem, przedostali się przez bramę niezauważeni?

– W tym rzecz, Falcio – odpowiedział. – Nie sądzę, żeby...

– Po prostu powiedz, ilu ich jest – przerwał mu Kest.

Antrim Thomas, Pamięć Króla, nie prosił o bycie kapitanem straży

Aline, ale kiedy wydałem mu taki rozkaz, nie protestował ani przez chwilę. Jak my wszyscy brał udział w trudnych i morderczych walkach, ale nigdy nie widziałem, by z jakiegokolwiek się wycofał. Właśnie dlatego poczułem ciarki na plecach, widząc w jego oczach strach i zmieszanie.

– To właśnie próbuję ci powiedzieć. Intruz jest tylko jeden, ale nikt z nas nie może jej zatrzymać.

NIEPROSZONY GOŚĆ

Czekaliśmy w sali sądowej, słuchając żołnierskich okrzyków odbijających się echem po korytarzach.

– Jeśli to Trin... – zaczął Brasti.

– Zamknij się – powiedział Kest.

– Mówię tylko, że jeżeli to Trin, to opuszczam Wielkie Płaszcze. Mamy trzysta praw w tym kraju i chociaż jedno z nich powinno stwierdzać, że nie może próbować zabić nas częściej niż raz w roku.

– Kimkolwiek jest napastnik, zbliża się w naszą stronę – powiedział Kest.

– obrońcy Królestwa, czas na ciebie – syknął Antrim. – Wymknij się drzwiami za tronem sędziego. Nie możemy zapewnić ci bezpieczeństwa, jeśli...

Valiana wyciągnęła miecz.

– Nie ochronię królestwa, uciekając.

– No proszę, a myślałem, że gardzisz lekkomyślnymi symbolicznymi gestami – zakpiłem. Spojrzałem na Brastiego, który właśnie wyciągał łuk. Wskoczył na tron i odzyskawszy równowagę, stanął w rozkroku na podłokietnikach, skąd mógł strzelać ponad głowami strażników, jeśli dojdzie do walki.

Do sali wpadło więcej zbrojnych, tylko po to, by dać się powalić przez napastniczkę nadciągającą z siłą huraganu – widziałem ją wyraźnie, ale to, na co patrzyłem, nie miało dla mnie żadnego sensu.

Intruzem, któremu udało się ominąć dwa tuziny zwiadowców patrolujących drogi i nabrzeża wokół pałacu Ossii, przejść tuż obok

kuszników i włóczników stojących przy bramach i na murach, który właśnie kładł pokotem zbrojnych chroniących pałac, była chuda kobieta w brudnej, postrzępionej sukni z bladymi, zmierzwionymi włosami przyklejonymi do twarzy.

– Czy to Trin? – spytał Brasti, mrużąc oczy. – Nie mogę dostrzec.

Kobieta zrobiła krok w naszym kierunku. Znajdowała się w odległości co najmniej trzydziestu stóp. Za nią widzieliśmy strażników, którzy wciąż próbowali ją zatrzymać. Kiedy któryś z nich zbliżał się do niej, podnosiła rękę i krótkim gestem sprawiała, że lądował na posadzce.

Przecisnąłem się do przodu i stanąłem jakieś dwadzieścia stóp przed nią.

– Kim jesteś i co tu robisz? – spytałem.

Kiedy zrobiła mały krok naprzód, stanowczo powiedziałem:

– Przestań. Zatrzymaj się i odpowiedz albo...

Kobieta nie odpowiedziała.

Kątem oka zauważyłem gest Antrima i dwóch jego ludzi przebiegło obok mnie, wyciągając miecze i podnosząc je do ataku. Nim zdolali wykonać pełny zamach, byli już na kolanach, a ich ostrza spoczywały beczynnie tuż obok.

– Nie wiem, jakie czary chronią cię przed ciosami mieczy, ale strzały nie zatrzymasz – powiedziałem, mając ogromną nadzieję, że tak właśnie jest. – Przestań natychmiast.

Po raz kolejny nie doczekałem się odpowiedzi. Zrobiła kolejny krok naprzód. Stała teraz mniej niż dziesięć stóp ode mnie.

– Kimkolwiek jesteś, błagam cię, zatrzymaj się. Brasti nie chybia, a z tej odległości mógłby trafić cię nawet z zamkniętymi oczami. Nie podchodź bliżej.

Kest stanął obok mnie.

Popatrzył na nią i niskim głosem rzekł:

– Falcio, ona chyba ma coś na twarzy, pod włosami. To wygląda jak... żelazo?

Przyjrzałem się dokładniej i dostrzegłem błysk czegoś w rodzaju maski lub hełmu pod włosami przyklejonymi do twarzy. Zawahałem się przez chwilę, przypominając sobie drewniane ramy, które Trin przywiązywała do twarzy swoich ofiar, by kontrolować je na odległość. Czy to była nowa forma tej samej przeklętej magii?

Zrobiła kolejny krok do przodu.

Nie było czasu na odpowiedź.

– Brasti – powiedziałem – kiedy następnym razem się poruszy, celuj prosto w serce.

– Tam właśnie celuję – odpowiedział.

Kobieta podniosła nogę, by postawić kolejny krok, ale zanim go zrobiła, świst wypuszczanej strzały wypełnił salę, za pierwszą błyskawicznie poleciały druga i trzecia.

Czekałem, aż kobieta padnie na ziemię, ale tak się nie stało.

Brasti chybił.

– Zabierz stąd Obrończynię Królestwa. Natychmiast! – krzyknąłem do Antrima.

– Nie! – Valiana zaprotestowała.

Jednak Antrim wolał okazać nieposłuszeństwo Obrończynie Królestwa niż żyć ze świadomością, że pozwolił jej zginąć. Dał sygnał swoim ludziom gestem ręki, którego nie rozpoznałem – pomyślałem, że po wszystkim muszę go o to spytać – a dwóch z nich natychmiast złapało Valianę za ramiona i pociągnęło na tyły sali sądowej, gdzie pojedyncze drzwi prowadziły do pałacu. Dwaj kolejni szli tuż za nimi, osłaniając Valianę na wypadek, gdyby ktoś zamierzał do niej strzelić.

– Wygląda na to, że Antrim opracował kilka nowych procedur – stwierdził Kest, trzymając rapier w lewej ręce. W oczach malował mu się bezbrzeżny ból.

– Patrzcie państwo, jednak zdecydowałeś się walczyć – powiedział Brasti z tyłu, głos miał bardziej spięty niż zwykle. Nie był przyzwyczajony

do chybiania celu.

Usłyszałem skrzypienie cięciwy i raz jeszcze odgłos strzał przelatujących obok nas jedna po drugiej.

– Coś jest nie tak, Falcio. Nie mogę jej trafić. Celuję prosto w nią, ale...

– Może to nie twój dzień na strzelanie z łuku – powiedziała Darriana.

I zobaczyłem jej rozmytą sylwetkę przeskakującą obok z cienkim ostrzem uniesionym wysoko i skierowanym w dół, w głowę tajemniczej osoby. W ostatniej chwili przed uderzeniem cała jej siła jakby wyparowała, a ona przeleciała obok mnie jak lalka rzucona przez rozzłoszczone dziecko i uderzyła o ścianę sali, powoli osuwając się na posadzkę.

Antrim wykrzyczał rozkaz, którego nie dosłyszałem, i wraz z pozostałymi gwardzistami rzucił się na kobietę – ta jednak ponownie tylko uniosła lekko rękę i wszyscy padli na ziemię.

Wokół leżało już kilkanaście nieruchomych ciał, wśród których staliśmy jeszcze tylko Kest, Brasti i ja.

I ona.

– Wygląda na to, że strażnicy Ossii zdecydowali się uciąć sobie drzemkę – powiedział Brasti.

Spojrzałem na mężczyzn na podłodze i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie są nieprzytomni – w rzeczywistości nawet nie upadli. Klęczeli, kłaniając się nisko przed kobietą, która w pojedynkę zaatakowała niezdojdy do dziś pałac książęcy.

I właśnie zrobiła kolejny krok do przodu.

– Falcio, co robimy? – zapytał Kest, gdy potężna siła zginająca kolana zaczęła przygniatać nas do ziemi.

Impuls do poddania się, zaakceptowania nieuniknionego, był przytłaczający. Ale ta kobieta, kimkolwiek lub czymkolwiek była, zapomniała o jednej rzeczy.

Z całych sił starając się utrzymać na nogach, podniosłem rapier i powiedziałem:

– Jesteśmy Wielkimi Płaszczami. Nie kłaniamy się kurwa nikomu.

„Stój”, rozkazywałem w myślach memu opornemu ciału. „Nie. Waż. Się. Klęknąć”.

Pomimo starań nogi uginały się pode mną. Opierałem się tej nieznannej mocy każdym pozostałym skrawkiem siły woli, ale i tak z wolna postać kobiety robiła się coraz wyższa, podczas gdy ja pochylałem się ku ziemi. Kątem oka widziałem, że Brasti i Kest też przegrywają tę walkę.

Próbowałem przywołać to – ostatnimi czasy nad wyraz częste dla mnie – uczucie: „Nie pokłonię się przed tobą, kimkolwiek jesteś”.

Ręka kobiety uniosła się nieco wyżej i dopiero teraz dostrzegłem, że lekko drży. Czułem, że nacisk wciąż rośnie, a ja straciłem kolejny cal w tej walce. Próbowałem siły skierowane na stawianie oporu jej mocy użyć, by rzucić się na nią, ale bezskutecznie, zauważyłem jedynie, że jej dłoń zaczęła drżeć o wiele mocniej.

Zbliżyła się o krok, a nacisk stał się nie do zniesienia. Moje kolana były już na wpół ugięte, powoli traciłem równowagę.

„Nie wytrzymam”, pomyślałem, nie mogąc nawet utrzymać głowy w górze. „Jeśli pozwolę jej przejść, bez problemu dotrze do miejsca ukrycia Aline”.

Usłyszałem pierwsze uderzenie, a sekundę po nim kolejne, kiedy Brasti, a za nim Kest, padli na kolana.

„Zrobi to, co sobie zamierzyła, przychodząc tu, i nikt nie będzie w stanie jej powstrzymać”.

Odgłos krwi kapiącej na podłogę przede mną uzmysłowił mi, że z wysiłku moje rany na nowo się otworzyły.

„Nie!” – krzyknąłem w duchu. „Przysięgałem chronić tę dziewczynę. Nie dostaniesz jej, dopóki mam coś w tej kwestii do powiedzenia”.

Z wysiłkiem poruszyłem ustami, choć czułem, jakby mój język był miażdżony ciężarem kowadła.

– Wielkie Płaszcze. Nie. Klękają.

Siła wzrosła jeszcze bardziej i poczułem, że zaczynam upadać, gdy nagle ciśnienie całkowicie ustąpiło – nie z powodu przyływu mojej silnej woli, ale dlatego, że w napastniczce stojącej przede mną coś pękło. Zrobiła jeszcze jeden krok w moją stronę i już miałem nadzieć ją na swój rapier, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie próbuje mnie zaatakować, ale sama pada na ziemię.

Wylądowała twardo na kolanach przede mną, a potem upadła na bok i przewróciła się na plecy. Włosy opadły z jej twarzy i mogłem teraz zobaczyć szaro-czarną żelazną maskę, którą nosiła. Nie było w niej żadnych szpar, przez które mógłbym dojrzeć rysy kobiety. Podszedłem do niej ostrożnie, trzymając rapier w gotowości.

– Kim jesteś? – spytałem niezwykle słabym głosem. Pochyliłem się nad nią i odgarnąłem resztę włosów. Fragment maski został zerwany, jeden z metalowych trzpieni mocujących drugą połowę żelastwa z tyłu głowy został częściowo odcięty.

„Czegoś takiego nie zakłada się z własnej woli”.

Antrim podszedł chwiejnie w moją stronę.

– Falcio, nie wyglądasz najlepiej.

– Pomóż mi to zdjąć – powiedziałem, klęcząc niezgrabnie nad kobietą leżącą na ziemi. Nie nosiła tego dla ochrony, to jakiś rodzaj...

Próbowałem ciągnąć za paski mocujące, bezskutecznie. Wyglądało na to, że nie ma żadnych klamerek, które można by odpiąć, żeby wyjąć trzpienie. Wytarłem dłonie o koszulę, by móc je lepiej złapać, ale poczułem tylko, że dłonie mam śliskie, mokre i czerwone. „Krwawię”, skonstatowałem machinalnie.

Poczułem, że cała siła, jaką dały mi strach i wściekłość, ulatuje, i upadłem na bok. Leżałem niemal twarzą w twarz z kobietą, która prawie nas pokonała. Dopiero teraz zauważyłem, że całe jej ciało pokrywają drobne rany, widoczne pod podartą tkaniną sukienki.

– Niech ktoś wezwie tu tego przeklętego lekarza! – krzyknął Brasti.

– Maska – mruknąłem niewyraźnie. – Zdejmijcie jej maskę.

Nie sądziłem, że ktoś mnie usłyszał, ale Kest podniósł swój ciężki miecz i spuścił go w dół z oszałamiającą siłą. Przez chwilę spodziewałem się, że cios przebije maskę na wylot, ale zamiast tego skruszył jeden z żelaznych trzpieni mocujących. Zrobił to po raz drugi, a ja wyciągnąłem rękę i ściągnąłem maskę z twarzy kobiety.

Jej twarz była tak zmęczona, tak pełna bólu, że prawie jej nie rozpoznałem.

– Na Świętą Shiulę Co Kąpie Się ze Zwierzyną, kto to? – spytał Brasti, wciąż trzymając napięty w gotowości łuk.

Najdelikatniej jak mogłem, położyłem dłoń na jej policzku.

– Nie Shiula – szepnąłem. – Birgid. Birgid Co Wypłakuje Rzeki.

Na dźwięk jej imienia powieki kobiety rozchyliły się, a drżącą dłoń położyła na mojej dłoni.

– Znów się spotykamy, bohaterze – powiedziała głosem niezwykle pięknym i melodyjnym. Potem zakaszła, a w kąciku jej ust pojawiła się krew. – Zawiodłam, Falcio.

– Dlaczego? Kto ci to zrobił?

Jej ból spowodowany przez rany okazał się silniejszy niż wola, zamknęła oczy. Czuję, że i ja zachowałem tylko resztki świadomości, ale jedno pytanie nie dawało mi spokoju: kto miał wystarczającą moc – i motywację – by zrobić coś takiego Świętej Miłosierdzia?

Podniosłem rapiery z podłogi i stanąłem na nogi. Wzrok mi się rozmywał.

– Falcio – powiedział Kest, wyciągając do mnie rękę – musisz odpocząć. Twoje rany...

Nie usłyszałem nic więcej. Byłem zbyt skupiony na ludziach, którzy bezładnie krzatali się po sali i przyległych korytarzach: strażnicy, szlachta, kupcy. Dziwne jak ludzie poruszają się w grupach, prawie jak mrówki. Nawet w takim chaosie ich ruch miał w sobie swoistą regularność. Dlatego

właśnie dostrzegłem postać stojącą w pobliżu drzwi, która nie poruszała się tak jak inni.

– Chronicie Birgid – nakazałem Kestowi i Brastiemu, gdy ruszyłem w pościg za człowiekiem, który być może właśnie zabił Świętą.

Biegając korytarzami baerneńskiego pałacu w pościgu za uciekającym przeciwnikiem, zacząłem myśleć o pojedynkowej technice zwanej „prześladowcą”: szermierz, który opanował sztukę utrzymywania swojego miecza w ciągłym kontakcie z ostrzem przeciwnika, nie musi stosować fint i uników, w zamian skupiając się na nieustannym ściganiu przeciwnika po placu.

„Oczywiście by go użyć, trzeba wpierw dogonić przeciwnika”.

Uderzyłem kontuzjowanym ramieniem w ścianę, gdy próbowałem za szybko pokonać zakręt, a potem poślizgnąłem się na czymś mokrym i lepkiem. Nie znałem zbyt dobrze budynku, a mój przeciwnik poruszał się szybciej.

Im bliżej znajdowaliśmy się centralnej części pałacu, tym bardziej sale były zatłoczone ludźmi biegającymi tam i z powrotem, aby dowiedzieć się, co się stało, lub uciec przed niebezpieczeństwem. Ruszyłem naprzód, omijając kogo tylko mogłem i spychając z drogi tych, których musiałem. Kiedy przyciągałem spojrzenie mijanych w biegu ludzi, dostrzegłem, że ich wyraz twarzy szybko zmieniał się z rozdrażnionego w przerażony.

„Chyba nie wyglądam najlepiej”, pomyślałem, docierając do głównych drzwi i zdając sobie jednocześnie sprawę, że ściganemu udało się mnie zgubić. Co gorsza, byłem tak zdyszany i oszołomiony, że jedyne, na co starczyło mi jeszcze sił, to pozostać w pozycji stojącej.

Jakiś mężczyzna zatrzymał się przede mną i położył mi dłoń na ramieniu.

– Nie wyglądasz najlepiej.

– Z drogi, ścigam kogoś. – Próbowałem odepchnąć go na bok.

– W twoim stanie pościg nie potrwa długo – odpowiedział.

Spojrzałam w dół i zobaczyłam czerwone róże krwi rozkwitające na białym polu mojej koszuli. „No tak. To pewnie dlatego poruszam się tak powoli, a wszystko jest rozmazane”.

To także wyjaśniało, dlaczego Kest i Brasti krzyczeli za mną kilka minut wcześniej: „Falcio, krwawisz!”.

Wada stylu prześladowcy polega na tym, że skupiasz się tak bardzo na swoim celu, że przestajesz dostrzegać wszystko to, co dzieje się wokół ciebie. Ja na przykład zapomniałem, jak ciężkie rany odniosłem w pojedynku z Undrielem, tak samo jak zapomniałem, że wciąż nie w pełni wyleczyłem się z Lamentu Wielkiego Płaszczka, lub skoro już o tym mowa – z zatrucia neathą, kiedy to prawie postradałem życie.

A co najważniejsze, gdy spojrzałem w uśmiechniętą twarz człowieka, który do mnie przemówił – człowieka, który w przeciwieństwie do wszystkich wokół mnie stał nieruchomo – zdałem sobie sprawę, że zapomniałem, jak łatwo jest się zakraść do budynku tej wielkości, wykorzystując zamieszanie.

– Dobrze – powiedział Undriel, patrząc mi prosto w oczy. – Chcę, żebyś był świadomy tego, co się stanie.

Absurdalność sytuacji sprawiła, że nieomal wybuchnąłem śmiechem. Myślałem, że postać, którą dostrzegłem czającą się w cieniu, to człowiek, który próbował zabić Świętą. Zamiast tego chodziło jedynie o małąstkową zemstę za przegraną w pojedynku, w którym żaden z nas nie powinien był walczyć.

Undriel wyjął zza pleców cienkie, proste ostrze, nie dłuższe niż sześć cali.

– Nazywasz to bronią? – parsknąłem. – Pozwól, że pokażę ci prawdziwą.

Sięgnąłem po rapier, ale zdałem sobie sprawę, że upuściłem go na podłogę kilka kroków wcześniej.

– Tam! – krzyknął gdzieś za mną Kest.

– Zabierz stąd tych przeklętych ludzi, Kest! – krzyknął Brasti. – Nie mam czystej linii strzału!

Moje oczy spotkały wzrok Undriela; obaj wiedzieliśmy, że nie zdążą na czas. Jego ręka wystrzeliła do przodu, krótkie ostrze skoczyło w moją stronę.

Mankiety, pomyślałem; czas posłużyć się płytkami kostnymi w mankietach mojego płaszczu. Ale oczywiście płaszcz zdjąłem wcześniej, więc jedynie za sprawą małego cudu nóż Undriela nie przebił mi dłoni, kiedy odtrącałem go w bok. Nazywam go małym, ponieważ cud pełnowymiarowy sprawiłby, że jednocześnie wytrąciłbym mu sztylet z ręki.

Złapałem Undriela za kołnierz lewą ręką i szarpnąłem, uderzając jego twarzą o narożnik ściany. Zatoczył się do tyłu.

Dwaj gwardziści w końcu nas zauważyli i zaczęli ku nam bieć. Undriel natychmiast cofnął się i uniósł ręce w górę.

– Coś mi się widzi, że zgubiłeś swój nóż – powiedziałem, widząc jego puste dłonie.

Undriel uśmiechnął się w odpowiedzi, co nasunęło mi na myśl miejsce, gdzie mógł zostawić broń.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem krótką rękojęść wystającą z mojego brzucha. To, co pozostało z uroczej bieli mojej koszuli, było teraz całkowicie pokryte intensywną czerwienią.

– Ha, prawie w ogóle nie boli – powiedziałem głupio.

Undriel nie odpowiedział, a kiedy uważniej mu się przyjrzałem, by poznać powód jego milczenia, zauważyłem, że i na jego koszuli rozkwitają krwiste czerwone róże w miejscu, gdzie trzy strzały wbiły się głęboko w jego pierś.

Zdawało mi się, że staliśmy tak godzinami, choć nie mogło to trwać dłużej niż kilka sekund, zdeterminowani, by to przeciwnik upadł jako pierwszy. Myślałem, że idzie mi całkiem nieźle, póki nogi nie ugięły się pod mną.

– Wygrałem – powiedział Undriel, a z jego otwartych ust trysnęła krew.

„To chyba prawda, co o mnie mówią”, pomyślałem, gdy patrzyłem, jak podłoga rusza w moją stronę. „Naprawdę przysparzam sobie zbyt wielu wrogów”.

CZERWIEN I BIEL

Świat przesuwał się pode mną, gładki i wyrazisty niczym obrus wyciągany spod naczyń, który posyła wszystko z brzękiem na podłogę. Tuż przed uderzeniem podłoga zmiękła i zmieniła się w piękną czerwoną rzekę, której prądy porwały mnie ze sobą i wsysały pod powierzchnię jak łódź nabierająca zbyt dużo wody. Kiedy tak dryfowałem, stopniowo zostawiałem za sobą kakofonię dźwięków, aż w końcu tylko dwa głosy towarzyszyły mi w podróży.

– W imię każdego świętego, który kiedykolwiek stapał po ziemi, Falcio, czy umiejętność przegrywania każdej walki masz od urodzenia?

Głos był męski, cienki, prawie piskliwy, ale miał w sobie psotną nutę, którą uważałem za dziwnie czarującą.

– Zastanawiam się, czy to jakaś nowa forma dobrych manier, którą sobie wymyśliłeś? „Och, wybacz mi, *sirrah*, że nie pozwoliłem ci zabić się swoim ostrzem. Proszę, pozwól, że stanę tu i ponownie otworzę sobie rany, aż wykrwawię się na śmierć?”

Spojrzałem w górę, a raczej wyobraziłem sobie, że patrzę w górę na mężczyznę w wieku około trzydziestu lat, o przeciętnym wzroście i lekko zgarbionego, który kroczył obok mego unoszonego prądem ciała. Krew wokół mnie uniosła się z powierzchni, by otoczyć go elegancką jedwabną szatą, zbyt dużą na jego chudą posturę. Nie zadał sobie trudu, żeby właściwie związać szatę z przodu i ku mojemu głębokiemu przerażeniu mogłem dostrzec, że nie miał na sobie bielizny.

– Czyż nie wycierpiałem już wystarczająco widoku Waszej Wysokości?
– jęknąłem.

Paelis, niegdyś król całej Tristii, a przez ostatnie sześć lat nieboszczyk, mrugnął do mnie.

– Mówisz o moim wspaniałym królewskim berle z taką pogardą? Nic dziwnego, że chcą cię zabić.

– Dźgają go wciąż dlatego, że upiera się, by realizować twoje głupie marzenie – powiedział drugi głos. Był kobiecy, a jednak jego moc sprawiła, że szybciej podryfowałem z rzeczonym prądem. Spojrzałem na prawo i zobaczyłem moją żonę, Aline, idącą obok mnie. Miała na sobie prostą suknię koloru białego marmuru zdobiącego mury pałacu.

– A to nowość – powiedziałem z rozmysłem.

Zawirowania w nurcie wokół mnie zmieniły się w stado płynących obok aligatorów, które w pewnym momencie zacisnęły szczęki wokół moich rąk i nóg, wyciągnęły z wody i bezceremonialnie rzuciły na twardą, płaską skałę pod gorejącym słońcem.

„Stół. Zostałem przeniesiony na jakiś stół. A światło... to latarnia nad głową”.

Zakaszlałem i poczułem strużkę spływającą mi kącikiem ust. To nigdy dobrze nie wróży. Oczywiście, wizja dwojga martwych ludzi, którzy nigdy nie spotkali się za życia, kłócących się nad twoim ciałem, prawdopodobnie też nie świadczyła najlepiej o moim stanie.

– Śmiesz twierdzić, że moja królewska osoba jest eterycznej natury? – Król Paelis zadrwił z moich myśli.

Wsparł ręce na biodrach i zastygł w tej pozycji, powodując dalsze rozsunięcie się szaty.

– Błagam, nie rób tego – jęknąłem.

Zignorował moją skargę.

– Czy pomyślałeś, że moja obecność tutaj może być wynikiem jakiegoś głębokiego duchowego i nadprzyrodzonego wydarzenia? Być może sami bogowie, zatroskani o stan świata, przywrócili do życia swego najlepszego sługę, czyli ma się rozumieć mnie, by uratować świat przed...

Bardzo chciałem usłyszeć jego następne słowo, ale Aline przerwała mu w tej właśnie chwili.

– To tylko złudzenie – powiedziała, a potem spojrzała na króla z ukosa. – Do tego muszę przyznać, że nieszczególnie imponujące.

– Droga Pani, jeśli jak twierdzisz, jestem tylko wytworem rozgorączkowanego mózgu Falcia, to czym ty jesteś?

Aline zwróciła się do mnie i dotknęła mojego policzka. Prawie uwierzyłem, że poczułem dotyk jej palców na skórze. Prawie.

– Oczywiście jestem jego zdrowym rozsądkiem. Jestem tą częścią, która zdaje sobie sprawę, że stracił przytomność i zbyt dużo krwi i że został przeciągnięty po podłodze przez Kesta i Brastiego, bo był to jedyny sposób, w jaki mogli go zabrać do infirmerii.

Umilkła, gdy cztery orły chwyciły w szpony moje nadgarstki i kostki, i wzniosły mnie wysoko w powietrze, by na koniec upuścić mnie do gniazda. Dość niewygodnego gniazda.

Aline zachichotała.

– Jesteś na wozie, głuptasie. Minęło kilka dni od wydarzeń w pałacu. Muszę przyznać, że zazdrozczę ci wyobraźni. Powinieneś zostać bardatti, a nie Wielkim Płaszczem. – Po czym zwróciła się do króla. – Jestem tą częścią Falcia, która rozwiązuje zagadki, kiedy innym się to nie udaje.

Tęskniłem za jej niewzruszoną wiarą w rzeczy, o których prawdziwości była przekonana.

– Jesteś tym, co sprawia, że wierzę, iż na tym nędznym świecie wciąż istnieje dobro – powiedziałem.

– Nie, kochany, to jego zadanie – wskazała na Paelisa.

– Ha! – zakrzyknął król, jakby właśnie zdobył punkt w grze. – Uosabiam jego idealizm! Jego nieustraszoną determinację, by naprawiać świat! Jego bystry umysł i...

– Część tego ostatniego należy też do Aline – przerwałem mu, rozkoszując się ciepłem jej oddechu i zapachem czerstwokrzewu, którym

nacierając twarz i szyję, by uniknąć poparzeń w słoneczne dni. Gdybym tylko mógł, chciałbym wiecznie napawać się tym słodkim zapachem.

– Tworzysz sobie fałszywe wspomnienia – ostrzegła mnie Aline. – Czerstwokrzew śmierdzi jak sto piekieł, pamiętasz? Byliśmy rolnikami.

Wyciągnęła do przodu palce jednej ze swoich idealnych dłoni.

– Jaki rolnik ma takie ręce?

Jej palce zacisnęły się na puklu miękkich włosów o lśniącym bladobrazowym kolorze i podniosły go do góry, abym mógł je lepiej obejrzeć.

– Nigdy w życiu moje włosy tak nie wyglądały.

– Dość! – ryknął Paelis. – Czy mężczyzna nie może kochać swojej żony? Czy nie wolno mu dostrzegać piękna, którego inni – wskazał na nią palcem – lub nawet ona sama nie dostrzegają?

To był błąd. Odnośnie do Aline jedyną rzeczą absolutnie pewną było to, że nie znosiła, kiedy podnoszono na nią głos.

– Na co przyda się światu w takim stanie? Kurczowo trzymając się przeszłości, malując jaskrawe kolory smutkiem i tęsknotą?

Odwróciła się do mnie.

– Oszustwo to domena wroga, Falcio. Twoją musi być prawda, bez względu na to, jak paskudna by nie była.

Przysunęła się bliżej, mogłem policzyć piegi na jej policzkach, pięć po jednej stronie, dziewięć po drugiej. Z jakiegoś powodu wydało mi się to znaczące.

– Tak lepiej – powiedziała. – Ale jest coś więcej. Nie możesz go pokonać, póki nie nauczysz się dostrzegać rzeczy, których nie ma.

– Jak niby mam się tego nauczyć?

Aline zakryła twarz dłońmi. Jej włosy zmieniły kolor na biały jak u Świętej Birgid, jej ręce pociemniały i zlały się w jedno, tworząc żelazną maskę bez oczu i ust.

– Stój – powiedziałem, wyciągając rękę, by spróbować ściągnąć maskę.

– Już cię nie słyszy – powiedział Paelis. – Nie może mówić. Prawda jest schowana pod warstwą oszustwa, a wiara utopiona w strachu.

Król podniósł delikatnie Aline za ramiona i poprowadził ją do tyłu, z dala ode mnie.

– Krok po kroku, Falcio, wszystko nam odbierają. – Mgła koloru kości słoniowej zaczęła otaczać obie postaci, po chwili połykając je w całości. – Wkrótce pozostanie nam tylko ostatni krok do zrobienia.

Byłem pewny, że to, co zobaczyłem i usłyszałem, było złudzeniem, wytworem mojego umysłu mieszającego wspomnienia, gdy moje ciało walczyło z ranami. A jednak wiedziałem, że musi w tym być cząstka prawdy, coś naprawdę ważnego.

– Co zrobią? – zapytałem. – Jaki jest ostatni krok?

Król zniknął już całkowicie, we mgle ledwie jeszcze dostrzegałem Aline. Para dłoni w grubych rękawicach otoczyła jej zamaskowaną twarz. Dłonie skrzyły się w okrutnym szarpnięciu, a dźwięk łamanego karku przesłonił mi cały świat.

Nie rozpoznałem głosu, który usłyszałem potem, ale słowa zostały wypowiedziane z całkowitą pewnością.

– Ostatni krok jest taki sam jak pierwszy – powiedział. – Zabiję Miłosierdzie.

ROZDZIAŁ 8

MARTYRIUM

Obudziłem się w ciemności. Nie było to dla mnie ani zaskakujące, ani szczególnie niepokojące, dopóki nie uświadomiłem sobie, że powietrze jest ciężkie i duszne jak w samym środku niezwykle gorącego lata.

„Dlaczego w takim razie jest mi tak zimno?”

Sięgnąłem w dół, by lepiej przykryć się kocem, ale moje przedramię uderzyło o twardą powierzchnię, zaledwie kilka cali nade mną. Przebiegłem po niej palcami, była szorstka i płaska. Poczułem nagły ból, kiedy coś wbiło mi się w opuszkę palca.

„Drzazga?”

Próbowałem się przekręcić, ale ramię zablokowało mi się na deskach nade mną. Poczułem pierwsze oznaki paniki, kiedy sięgnąłem na boki i znalazłem tam podobne drewniane powierzchnie.

„Trumna... Jestem w trumnie”.

Historie, opowiadane, by przstraszyć dzieci i starców, mówiły o wojownikach rannych w bitwie i przez swoich towarzyszy uznanych za zmarłych, którzy budzili się zakopani żywcem sześć stóp pod ziemią. Zacząłem nagle przypominać sobie wszystkie te opowieści, mimowolnie przyspieszając oddech. Zużywam zbyt dużo powietrza. Już czułem się tak, jakbym się dusił, uwięziony pod ziemią. Czy pomyśleli, że straciłem zbyt dużo krwi? Czy bicie mojego serca było zbyt słabe lub zbyt wolne? Czy Kest i Brasti naprawdę byli na tyle głupi, by pomyśleć, że...?

„Brasti”.

Ryknąłem, a dźwięk mojego głosu odbił się echem od powierzchni otaczającego mnie drewna.

– Tym razem cię zabiję, ty bezduszny sukinsynu!

Odpowiedział mi odległy pomruk, odgłosy kroków zbliżających się w moją stronę i Brasti wołający:

– Już, już idę.

Oślepiający blask świecy sprawił, że mocno zacisnąłem powieki, gdy ściany mojego więzienia uniosły się. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że wcale nie byłem zamknięty w trumnie – Brasti jedynie zdjął wieko i nakrył mnie pozostałą częścią.

– Wystarczyło popchnąć i byłoby po wszystkim – burknął Brasti karcącym tonem. – I nie krzycz – rozejrzał się po pomieszczeniu, którego większość ginęła w ciemnościach – obudzisz Kesta, a on nie ma ostatnio poczucia humoru.

Drzwi otworzyły się i wszedł rzeczony Kest.

– Mówiłem ci, żebyś dał sobie spokój z tym dowcipem, Brasti. Ostrzegałem cię, co by się stało, gdybyś...

Powinienem powiedzieć wam o Keście coś, co sprawiło, że w tym momencie zacząłem bać się o Brastiego.

– O nie! Rozgniewałem Świętego Kesta Co Patrzy Spod Byka! – zakpił Brasti. – Już po mnie!

Brasti zawsze miał takie pomysły, kiedy chciał sobie poradzić z traumatycznymi wydarzeniami: zamieniał je w żart. Prawie zginąłem, dlaczegóż by więc nie zamknąć mnie w trumnie, żeby mi przypomnieć, że żyję? Kest stracił swoją świętość wraz z dłonią, zatem najlepiej zacząć się z tego wyśmiewać, żeby mu pokazać, że to nie koniec świata?

Kest nie wyglądał jednak, jakby znajdował w tym coś szczególnie zabawnego.

– Świetnie – powiedział Brasti, uśmiechając się i skacząc na łóżko obok mnie. – W takim razie daj mi mój łuk, wyciągnij ten swój wielki kozik i przekonamy się raz na zawsze, kto zasługuje na to, by być świętym od czegokolwiek!

Nie gubiąc kroku, Kest podniósł łuk Brastiego, podszedł na odległość czterech stóp od łóżka i rzucił go wysoko w powietrze.

Brasti uśmiechnął się, jego prawa ręka już sięgała do kołczanu po strzałę, lewa chwyciła łuk w powietrzu – ale zanim zdążył go złapać, lewa ręka Kesta wystrzeliła do przodu i zamknęła palce Brastiego w miazdzącym uścisku. Łuk z trzaskiem upadł na podłogę.

– Dlaczego sądzisz, że potrzebuję miecza, żeby dać ci nauczkę? – zapytał Kest.

Brasti skrzywił się z bólu, kolana ugięły się pod nim.

– Przestań, głupcze, złamiesz mi rękę! – krzyknął.

– Przepróż Falcia.

– Próbowałem tylko pomóc! – powiedział Brasti, patrząc na mnie błagalnie.

– Pomóc? Naprawdę? – zapytałem. – Mocno naciągane tłumaczenie, nawet jak na ciebie.

– Falcio, sam przyznaj. Prawie przegrałeś pojedynek z nadętym amatorem, prawie wszyscy cię nienawidzą, a dodatkowo udało ci się po raz setny otrzeć o śmierć. Naprawdę chciałbyś obudzić się i zobaczyć Kesta, który wyciera ci czoło miękką szmatką, szepcząc słodkie, pocieszające słowa?

– Czyli lepiej, że obudziłem się, myśląc, że zostałem pochowany żywcem?

Brasti, najwyraźniej od urodzenia pozbawiony instynktu samozachowawczego, zaniósł się niekontrolowanym chichotem i dopiero po chwili odzyskał panowanie nad sobą.

– Przyznaj sam, że nigdy nie czułeś się bardziej żywy!

Westchnąłem, nie czując nic podobnego.

– Puść go, Kest – powiedziałem.

– Naprawdę? – zapytał Kest, lewą ręką nadal mocno ściskając palce Brastiego.

Z wysiłkiem usiadłem na łóżku.

– Jeśli teraz złamiesz mi rękę, nie będę miał pełnej satysfakcji z późniejszego wyrywania mu palców.

– Ach – powiedział Kest i puścił go. – Słuszna uwaga.

– Zaraz, zaraz, Falcio... – zaczął Brasti.

Uśmiechnąłem się.

– Nie znasz dnia ani godziny. Może zrobię to jutro, może za dziesięć lat... – urwałem, po czym po dłuższej chwili dokończyłem: – ale raczej jutro.

Zeskoczył z łóżka i zaczął rozmasowywać rękę.

– Pewnego dnia na świecie objawi się Bóg Humoru i przeklnie was dwóch jako bezbożników.

Podniosłem się z łóżka, czując, jak każda rana i siniak na moim ciele dają o sobie znać. Klatkę piersiową i brzuch miałem pokryte bandażami.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Sześć dni – odparł Kest.

– Do diabła, aż tyle...

– Doktor Histus zaproponował, że wyrysuje ci wszystkie najważniejsze narządy w twoim ciele i dokładną odległość, o jaką minął je sztylet Undriela.

– Miło z jego strony – odpowiedziałem.

Histus. To wyjaśnia, czemu bandaże założone są tak nieudolnie.

– Dlaczego Ethalia nie opatrywała moich ran?

Nagle przypomniałem sobie okoliczności, które doprowadziły mnie do tego stanu.

– Święci... czy Birgid...?

– Nadal żyje, o ile wiemy – odpowiedział Kest.

– Ethalia nie odstępowała jej nawet na krok – przerwał na chwilę, po czym przyznał niechętnie – Falcio, Święta Birgid nie odzyskała przytomności przez cały ten czas. Jej rany nie chcą się goić.

Zamknąłem na chwilę oczy, próbując skupić się i oczyścić myśli.

Zamiast tego przypomniało mi się moje pierwsze spotkanie z Birgid. Jak niepokojąco piękna i młodzieńcza mi się zdawała, lśniąca od mocy, która nappełniała mnie zarówno zachwytem, jak i trwogą. Potem przypomniałem sobie, jak wyglądała, gdy widziałem ją kilka dni temu: włosy zmierzwione i brudne, uwięzione za żelazną maską, ramiona i ręce pokryte drobnymi nacięciami... precyzyjnymi. Zaplanowanymi. Wykonanymi w przypływie ostrożnego i skrupulatnego okrucieństwa.

– Falcio? – głos Kesta brzmiał, jakby dobiegał z dużej odległości, postanowiłem go więc zignorować.

Zatoczyłem się, chwyciłem dłonią wezłowie łóżka, a moje myśli znów zaczęły krążyć. Nie myślałem już o Birgid, a o sobie, przywiązany do rozłupanego drzewa na polanie przez te osiem dni i nocy, kiedy Niesplamieni torturowali moje ciało, umysł i duszę. „Przestań”, powiedziałem sobie. „Oddychaj. Skup się. Myśl o Birgid”.

Rozważyłem możliwość, że niektórym dashini udało się przetrwać, że porwali Birgid i przeprowadzili na niej Lament, ale jej obrażenia zdawały się być inne, bardziej... bezceremonialne.

– Falcio, powinieneś odpocząć – powiedział Kest. Jego dłoń ścisnęła moje ramię i zdałem sobie sprawę, że mnie podtrzymuje.

– Jest wiele rzeczy, które Falcio powinien zrobić – powiedział Brasti. – To, co zamierza, nie jest jedną z nich.

Z jakiegoś powodu te słowa sprowadziły mnie na ziemię, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że Brasti wpatruje się we mnie intensywnie. Otworzyłem usta, ale przerwał mi, kładąc rękę na moim ramieniu.

– Pozwól mi. – Uniósł palec w powietrze i zadarł podbródek w górę i lekko w prawo, jakby wpatrywał się w odległą linię horyzontu. – Mimo swych ciężkich ran ja, Falcio val Mond, Pierwszy Kantor Wielkich Płaszczy i ulubieniec króla, muszę stanąć w obronie naszych najświętszych ideałów i demonstrując swą nieugiętość – nie wspominając o wybujałym ego – zbadać ten haniebnny czyn!

– Na pewno nie mówię w ten sposób.

Kest spojrział na mnie i uniósł lekko brwi.

– Och, do diabła z wami – powiedziałem i rozejrzałem się po pokoju, chcąc znaleźć ubranie. Doszedłem bowiem do wniosku, że prawdopodobnie nikomu nie pomogę, błakając się nago po okolicy, ubrany jedynie w bandaż. Obok łóżka, w którym się obudziłem, stała stara drewniana skrzynia służąca jako stolik. Domyśliłem się, że znajdę w niej swoją odzież. Ubrałem się powoli, uważając, by nie upaść i nie najeść się wstydu przed Kestem i Brastim. Ze względu na sposób, w jaki mnie obudzono, czułem się usprawiedliwiony, każąc im czekać.

Skończyłem się ubierać i wsunąłem rapiery do pochew. Powoli, sztywno przeszedłem się po obskurnym pokoju, opierając się od czasu do czasu o puste łóżka, wokół których unosił się zapach stęchlizny. Pod każdym z nich leżała zwykła drewniana trumna.

– W porządku, chodźmy – powiedziałem. Wtedy właśnie przyszło mi do głowy kolejne pytanie. – Gdzie ja do cholery jestem?

– Witaj w martyrium Świętej Wery Co Kroczy Po Falach w całej jego wątpliwej chwale – oznajmił Kest, prowadząc nas przez podwójne drzwi w stronę świecącego jasno słońca.

Przywitał mnie smutny widok zrujnowanych piętrowych budynków o rozpadających się, brudnobiałych ścianach z piaskowca, poprzecinanych winoroślami i wysokimi samosiejkami, które opierały się niczym zmęczeni strażnicy o resztki dawno zawalonych dachów.

– Nie powala aurą boskości, co? – zapytał Brasti.

Mało interesowałem się bóstwami, a jeszcze mniej ich ziemskimi przedstawicielami, przynajmniej w Tristii. Nigdy nie spędzałem wiele czasu w świętych miejscach, nie miałem więc dobrego punktu odniesienia.

– Gdzie jest sanktuarium? – spytałem, zakładając, że właśnie tam znajdę Birgid i Ethalię.

Kest wskazał na zarośniętą ścieżkę za mną i duży, sześciopiętrowy

budynek z gładką kopułą oddalony o kilkanaście jardów. Był lekko pochylony, jak gdyby ziemia pod nim była już zmęczona ciągłym podtrzymywaniem jego ciężaru. Otaczały go pozbawione kończyn i bezgłowe resztki czegoś, co kiedyś musiało być posągami tristiańskich bóstw.

– Bogowie widzieli lepsze czasy – powiedziałem.

Brasti kopnął marmurową dłoń trzymającą młotek, który prawdopodobnie należał do Krafsta, czyli Mestiri, jak czasami nazywany jest tu na południu.

– Inspirujące, prawda? – zapytał, balansując na pozostałości rzeźbionej głowy, która przetoczyła się po ziemi i zakończyła swą podróż przy kikucie martwego drzewa. Jeśli nawet Bóg Rzemiosła był zaniepokojony bluźnierstwem Brastiego, nie dał tego po sobie poznać.

– Po co przywozić tu Birgid? Z pewnością miałyby lepszą opiekę w Pałacu Książęcym – zwróciłem się do Kesta.

– Kapłani księżnej Ossii tak zarządzili – odpowiedział. – Utrzymują, że Święty może być uleczony jedynie pod opieką bogów, a nie pośród fałszywej wygody i próżnego bogactwa świeckiego pałacu.

„Nie, żeby kapłani kiedykolwiek sprzeciwiali się życiu w takiej samej wygodzie i bogactwie...”

– I Valiana na to przystała?

– Potrzebuje wsparcia księżnej Ossii, a ona potrzebuje kapłanów.

– Nikt nie dbał o nasze zdanie – dodał Brasti. – Nie chcieli nawet pozwolić Ethalii podróżować z nią bez...

Kest rzucił mu ostre spojrzenie i Brasti zamilkł.

– No co? – spytałem niecierpliwie.

Kest zawahał się, po czym kontynuował:

– Jeden z kapłanów utrzymywał, że Ethalia jest... nieczysta. W dodatku złapał ją dość mocno za nadgarstek. – Uporczywie ignorował spojrzenie Brastiego.

– Ktoś zdecydował się posłać strzałę o włos od jego ręki i poprzec to dość... wymyślnymi groźbami. Wywołało to coś w rodzaju incydentu dyplomatycznego. Ani kapłani, ani księżna Ossia nie byli zadowoleni.

Spojrzałem na Brastiego, który nie wyglądał na ani odrobinę zawstydzonego.

– Byłeś nieprzytomny, a wszyscy inni byli bezużyteczni. Zadałem sobie pytanie: „Co zrobiłby Falcio w tej sytuacji?” i pomyślałem: „Wyciągnąłby broń i okraślił to jakąś dramatyczną wypowiedzią, nieprawdaż?”.

Ciężko mi było znaleźć na to trafną ripostę, więc po prostu powiedziałem:

– Chodź tutaj.

– Co? Czemu? – Spojrzał na mnie przymrużonymi oczami.

– No podejdz.

Zbliżył się powoli, ostrożnie, jakby oczekiwał ciosu. Kiedy był już wystarczająco blisko, złapałem go w ramiona i przyciągnąłem do siebie w uścisku. Widzicie, pojęcie przyjaźni Brastiego jest całkowicie nieskrępowane logiką lub zdrowym rozsądkiem. Nie zastanawia się nad konsekwencjami swoich działań. Robi to, co myśli, że chcesz, żeby zrobił dla ciebie w danej sytuacji.

– Czasami naprawdę cię uwielbiam – powiedziałem.

Zaczął klepać mnie niezręcznie po plecach.

– No dobrze, już w porządku. Nie rozgłaszaj tego oficjalnie, co?

Zdałem sobie sprawę, że śmieję się w głos po raz pierwszy od początku tego całego zamieszania. Puściłem go i zwróciłem się do Kesta.

– W ciągu sześciu dni, kiedy byłem nieprzytomny, Święta Miłosierdzia zapadła w śpiączkę, zostaliśmy wysłani do na wpół opuszczonego martyrium, a Brasti postrzelił kapłana.

– Ledwo musnąłem skórę na jego dłoni – wyjaśnił Brasti. – Zupełnie nie przeszkadza mu to w modlitwie. A kto wie, może nawet pomaga.

– Jest jeszcze coś – powiedział Kest, prowadząc mnie ścieżką wokół

sanktuarium.

Przez rzadko rosnące drzewa można było zobaczyć główną bramę martyrium i tłum ludzi okupujący łąkę przed sanktuarium. Niektórzy tłoczyli się przy prowizorycznych namiotach, inni klęczeli ze złożonymi rękami, a wielu po prostu stało i starało się dojrzeć coś przez bramę. Żaden z nich nie wyglądał na bardzo szczęśliwego.

ROZDZIAŁ 9

DOWÓD

– Kim, do diabła, są ci wszyscy ludzie? – spytałem, wpatrując się w tłuszcę przed martyrium.

– Pielgrzymi, jakkolwiek ciężko w to uwierzyć – odpowiedział Brasti. – W sumie jest ich koło setki.

– Wieści o Birgid szybko się rozeszły – dodał Kest. – Ludzie zjeżdżają się tu z całego księstwa, niektórzy by modlić się o błogosławieństwo, inni by protestować.

– Przeciwno czemu?

Brasti prychnął.

– Czemukolwiek, przeciw czemu każe im protestować ich kapłan. – Wskazał na mężczyznę w brudnożółtych szatach stojącego pośrodku szczególnie dużej grupy.

– Ten na przykład twierdzi, że atak na Birgid to spisek zawiązany przez Wielkie Płaszczce, by zniszczyć Świętych.

„Oczywiście, bo jeśli nie wiesz, kogo winić, wiń Wielkie Płaszczce”.

– Naprawdę uważasz, że nie mają ku temu żadnych podstaw? – zawołał ktoś za nami. Jillard, księżę Rijou, olśniewający w swoim purpurowo-srebrnym płaszczu, z czarnymi włosami świeżo natartymi oliwką i wyglądający zupełnie nie na miejscu, przedarł się przez roślinność zarastającą drogę i podszedł do nas.

– W końcu, wedle moich obliczeń, zabiliście już nie jednego, ale dwóch Świętych od Mieczy.

Nigdy nie wiem, co mam powiedzieć człowiekowi, który wielokrotnie próbował mnie zabić i który nadal nie ma skrupulów, by wtrącać się w moje

sprawy.

– Dobrze wyglądasz, Wasza Książęca Mość – powiedziałem w końcu.

– A ty wyglądasz tak jak zawsze, Falcio – odparł Jillard. – Pobity, zakrwawiony i zdezorientowany.

„Cholera – dlaczego zawsze brzmi mądrzej ode mnie?”

– Jakkolwiek jestem wdzięczny za troskę o moje dobre samopoczucie, jestem w tej chwili dość zajęty.

– Pomyślałem, że może jednak zechcesz pomówić o tym. – Książę wyjął z płaszcza zawiniątko. Pozwolił, by tkanina opadła na ziemię i moim oczom ukazał się szorstki, pogięty kawałek czarnoszarego metalu: maski, którą miała na sobie Birgid.

– Niesamowite, co zdarza się niektórym gubić w zamieszaniu – powiedział z namysłem.

Popatrzyłem z przyganą na Kesta, który odpowiedział mi spojrzeniem bez wyrazu, co oznaczało, że nie czuje w związku z tym żadnego zakłopotania.

– Byłem wtedy trochę zajęty, próbując uchronić cię przed wykrwawieniem się na podłodze sali sądu – powiedział Kest.

Spodziewałem się, że Jillard skorzysta z okazji, by dodatkowo skomentować naszą nieudolność, w zamian zareagował śmiertelnie poważnym spojrzeniem.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co trzymam w dłoni, Pierwszy Kantorze?

„Dlaczego ludzie używający mojego tytułu brzmią, jakby kwestionowali mój intelekt?”

– Normalnie powiedziałbym, że to skradziony dowód, Wasza Miłość.

Jillard zignorował mój komentarz i wręczył mi maskę, w milczeniu czekając, aż zakończę oględziny. Jej powierzchnia była szorstka, kształt nadany przez mocne uderzenia młota, bez cienia artyzmu czy porządnego rzemiosła. A jednak mechanizm z boku był misterny i starannie wykonany.

„Komuś zależało bardziej na tym, by się dobrze zamykała, niż żeby

dobrze wyglądała”.

Obróciłem maskę w rękę. Lewa strona została częściowo rozerwana – początkowo myślałem, że to właśnie tam spadło ostrze Kesta, po czym uświadomiłem sobie, że klamry, które roztrzaskał, znajdowały się po drugiej stronie. Podałem mu oglądany kawałek żelaza i spytałem:

– Jak to się mogło stać?

Kest nachylił się, by lepiej przyjrzeć się postrzępionemu pęknięciu.

– To nie był pojedynczy cios – powiedział. – Spójrz na te dziesiątki małych wgnieceń. Podejrzewam, że raz po raz uderzała głową o kamienną powierzchnię, próbując ją zdjąć.

Ten obraz sprawił, że wywróciły mi się wnętrzności, skupiłem się więc na samej masce. Przy bliższym zbadaniu okazało się, że nie pozbawiono jej całkiem rysów twarzy: linie wyryte na jej powierzchni tworzyły przerażone oczy, chociaż nie było w nich otworów: każdy, kto nosił maskę, był całkiem ślepy. Podobnie uformowano kształt ust, szeroko rozwartych w szalonym, niekończącym się krzyku. Zostały w nich wybite trzy szczeliny o niewielkiej średnicy, a kiedy odwróciłem maskę zobaczyłem, że od każdej odchodzi mały lejek. Noszący maskę miał taki lejek w ustach; nie mógł mówić ani zapobiec połykaniu czegokolwiek wlanego do szczeliny.

Zerknąłem na Jillarda.

– To mi wygląda na wytwór wyobraźni prawdziwego sadysty. Może Wasza Miłość podpowie mi, do czego służył?

– Nazywają to maską wstydu – odpowiedział książę. W żaden sposób nie okazał, że pojął moją zniewagę.

– Narzędzie tortur?

Tym razem Jillard zawahał się, zanim odpowiedział.

– I tak, i nie. Zwykle związana jest z tym jakaś forma tortur, ale głównym przeznaczeniem maski jest zapewnienie anonimowości.

– Żeby ludzie nie wiedzieli, kim jest noszący? – zapytał Brasti.

– Nie – odpowiedziałem, wciąż patrząc na księcia. – Żeby nie mogli

niczego zobaczyć ani usłyszeć, żeby nie wiedzieli, kto ich tortuował, prawda? Ale dlaczego...?

– Zadajesz niewłaściwe pytanie – powiedział Jillard. Jego głos był pełen aroganckiej irytacji, a jednak było w nim jeszcze coś, dość dobrze wyczuwalne. Obchodziło go to. Martwił się. Podobnie jak ja, nie lubił, kiedy nie wiedział, co się dzieje.

– To – powiedział, wskazując na lejek przylutowany wewnątrz maski – nie jest element żadnej ze znanych mi masek wstydu.

– Może służy do pojenia ofiary trucizną? – zasugerował Brasti. – Upewnienia się, że nie będzie mówić?

– Przebicie serca takiej osoby byłoby pewniejsze i wymagałoby mniejszego wysiłku – zauważył Kest. – Po co przysparzać sobie dodatkowych problemów?

Obróciłem maskę w dłoniach, patrząc na prymitywne, rytualne rzeźbienia, a następnie na staranną konstrukcję klamer po bokach. Brak otworów na oczy oznaczał, że prześladowca Birgid uważał, że może istnieć jakaś szansa na ucieczkę. Bez wątplenia Świętą z jej mocami trudno było utrzymać w niewoli. „Dlaczego więc jej nie zabił, skoro i tak czekał ją taki los?” Pomyślałem o nacięciach na skórze. Czy stanowiły część tortur? Nie były ani głębokie, ani nie sprawiały wielkiego bólu. Nie mogłem przestać wpatrywać się w ten okropny żelazny lejek wewnątrz maski. „Co musiała wypić? I dlaczego?”

Jillard chrząknął nieuprzejmie, uświadamiając mi, że przez jakiś czas stałem w milczeniu.

– Rada Książęca poprosiła mnie, abym przekazał wam jej oburzenie z powodu tej straszliwej zbrodni – powiedział Jillard.

– Z pewnością nie chcielibyśmy, żeby książęta byli oburzeni – zaszydził Brasti.

– Zgadzam się, nie powinniście tego chcieć – odparł Jillard. – W związku z czym chciałem was niniejszym poinformować, że zgodnie

z warunkami porozumienia Rady z Wielkimi Płaszczami oczekuje się od was egzekucji praw Tristii poprzez znalezienie winnych i niezwłoczne doprowadzenie ich przed sąd.

– Birgid jest jedną z najpotężniejszych Świątych w Tristii – powiedział Kest. – Nie wiemy, kto byłby zdolny do działania przeciw niej. Czy Rada naprawdę oczekuje, że znajdziemy sprawców, nie mówiąc już o ich aresztowaniu?

Księżę uśmiechnął się.

– Właściwie to nie. Uważamy jednak, iż istnieje całkiem spora szansa, że ktoś, kto to zrobił, położy też kres temu, co zostało z Wielkich Płaszczy.

Westchnąłem, choć wydawało mi się, że powietrze samo zdecydowało ze mnie ulecieć. Byłem zmęczony i tygodnie dzieliły mnie od pełnej rekonwalescencji. „To mi niepotrzebne”, pomyślałem. „Moim zadaniem jest osadzić córkę króla na tronie, znaleźć resztę Wielkich Płaszczy i przywrócić choćby namiastkę prawa temu cholernemu krajowi. Bogowie i Święci są daleko poza moją jurysdykcją”.

Powinienem był oddać maskę Jillardowi i powiedzieć mu oraz Radzie Księżęcej, by znaleźli sobie jakiegoś innego głupca, który rozwiąże dla nich ten problem, ale wtedy przypomniałem sobie swój sen o Aline i Paelisie. „Krok po kroku, Falcio, wszystko nam odbierają”. Czy utrata dużej ilości krwi w tak krótkim czasie wywołała u mnie urojenia, czy może mój rozgorączkowany umysł podświadomie skojarzył ze sobą odpowiednie fakty?

„Co oznacza, że ktoś może zrobić coś takiego Świątemu?”

– Po prostu świetnie – rzekł Brasti, rozpraszając moje myśli.

– Co takiego?

Odwrociłem się, żeby zobaczyć, jak zakłada łuk przez ramię.

– Gdybyś mógł teraz zobaczyć swoją twarz, nawet byś nie pytał.

Ruszył ścieżką między budynkami, prowadzącą do świątyni, po czym rzucił przez ramię:

– Chodźmy sprawdzić, jak miłosiernie poczuje się Święta Birgid, gdy spróbujemy ją obudzić.

SZEŚCIORO DRZWI

– Dlaczego jest aż sześć par drzwi? – spytałem, okrążając budynek. Nie miałem w zwyczaju wchodzić gdziekolwiek bez uprzedniego sprawdzenia wszystkich wejść i wyjść.

– To nie jedno sanktuarium, ale kilka – odparł Kest. – Wierni przechodzą przez drzwi poświęcone bóstwu, którego pomocy szukają.

Brasti zatrzymał się i oparł o kamienne pośladki zniszczonego posągu Purgeiza, boga wojny. Mogły też należeć do Monety. Nigdy nie przeprowadziłem obszernych badań dotyczących tyłków poszczególnych bóstw.

– Co za różnica, skoro wszystkie drzwi prowadzą do jednej bazyliki? – zapytał.

Wybrałem drzwi za posągiem Miłości lub Phenii, jak się ją czasem nazywa na południu. Nie oczekiwałem, że okaże się szczególnie pomocna w naszej sprawie, ale w obecnej sytuacji wydawała się najbezpieczniejszą opcją.

Przeszedłem przez wewnętrzny łuk drzwi i odkryłem, że niewielka świątynia jest w zaskakująco dobrym stanie, zważywszy na fatalny stan na zewnątrz. Kopulasty dach, wznoszący się jakieś trzydzieści stóp nad nami, był w zasadzie nietknięty, a okrągłe okno rzucało światło do nawy, oświetlając kolorowe ściany sześciokątnego budynku.

– Po co komu te dzwony? – zapytał Brasti, wskazując na wysokie na sześć cali mosiężne rurki przymocowane do każdej ze ścian.

– Kapłan dzwoni nimi w ramach przygotowań do modlitwy. Każdemu bogu odpowiada inny układ dźwięków – odpowiedział Kest. Podeszedł do

jednej ze ścian i wskazał na nagą, owalną przestrzeń pod dzwonkiem. – Tu powinien znajdować się duży wizerunek przedstawiający właściwego boga.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Wszystkie przedstawienia bóstw zostały usunięte, chociaż nie potrafiłem stwierdzić, czy w wyniku kradzieży, czy aktu wandalizmu. Skupiłem wzrok na środku obszernej sali i otworze w podłodze otoczonym drewnianą poręczą, który krętymi kamiennymi schodami prowadził do *passari deo*: ciemnego korytarza wiodącego do znajdującej się dwadzieścia stóp niżej głównej kaplicy.

„Dlaczego wyznawcy budują wielkie pałace swoim bogom, by następnie modlić się do nich głęboko pod ziemią?”

Brasti kopnął złamany drewniany świecznik, który potoczył się po podłodze i wpadł do otworu. Usłyszeliśmy, jak zsuwa się po schodach.

– Można by pomyśleć, że kapłani powinni lepiej dbać o porządek w swoim domu.

– Wątpię, by ktokolwiek tu ostatnio mieszkał – powiedział Kest. Przesunął palcami po zakurzonej ścianie. – Przybyłem do podobnego miejsca podczas Gorączki Świętego, ale wrażenie było... inne.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Nie jestem pewien, czy potrafię wyrazić to słowami. To miejsce wydaje się być w jakiś sposób zakłócone.

– Słowo, którego szukasz, to „zbezczeszczone” – powiedział ktoś z cienia u dołu schodów.

– Kim jesteś? – zawołałem, kładąc rękę na rękojęści rapiera.

Cała nasza trójka czekała w napięciu, podczas gdy przygarbiony i bosy starzec wspinał się po kamiennych schodach.

– Dobrze by było, gdybyście zdecydowali się nie zabijać nieuzbrojonego wyznawcy tutejszej wiary – powiedział. – A jeśli już absolutnie musicie, poczekajcie przynajmniej, aż to opróżnię – podniósł wyżej niesione wiadro.

– Jeśli zdecydujecie się mnie zabić, bądźcie tak uprzejmi i zanieście świeże wiadro wody pani na dole, aby mogła dalej doglądać naszego gościa.

– Wydajesz się trochę za stary na noszenie szarych szat, *quaesti* – odpowiedział Kest uprzejmie.

Mnich odstawił wiadro i przeciągnął dłonią po szarej szacie, jakby dostrzegł ją dopiero teraz.

– Niestety, żaden z bogów nie wezwał mnie jeszcze do swojej posługi. Wciąż mam nadzieję usłyszeć wezwanie od Monety, zawsze do twarzy było mi w zielonym. „Obladiasie”, powie, „przywdziej jedwabne szaty w siedmiu odcieniach zieleni i zacznij życie pełne bogactwa i dobrobytu w moim imieniu”.

Starzec wzruszył ramionami.

– Czarny też będzie w porządku, chociaż Śmierć wydaje się surowym panem. Naprawdę, byłbym szczęśliwy, gdyby wybrał mnie któryś z bogów, może poza Kraftem. – Obladias puścił oko w naszą stronę. – Z moją cerą pomarańczowe szaty wyglądałyby okropnie. Co innego niebieski, to dopiero...

– Wspomniałeś, że bazylika została zbezczeszczona? – przerwał mu Kest.

– Właściwie to tylko sanktuarium można zbezczścić – odpowiedział mnich, patrząc w kierunku czarnej dziury *passari*. – Ktoś lata temu rozbił kamienie modlitewne na dole. Reszta tego miejsca to po prostu stary budynek.

– Nie wydajesz się przejęty zniszczeniami – powiedziałem.

Obladias uśmiechnął się ze znużeniem.

– Człowiek się przyzwyczaja, synu. Znałem kiedyś człowieka: dobrego, pobożnego. Pewnego dnia jego rodzina zachorowała. – Pokręcił głową. –

Najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałeś. Dzieci... cóż, nie będę was zasmucał szczegółami. Ów człowiek nie przestawał się modlić do bogów, by powstrzymali chorobę. W końcu modlił się już tylko do samej Śmierci, by ta ulżyła cierpieniu jego rodziny.

Przez chwilę przyglądałem się starcowi, zastanawiając się, czy

przypadkiem to nie jego własna historia.

– I bogowie odpowiedzieli? – zapytałem.

Mnich wzruszył ramionami i odparł:

– Tylko w taki sposób, w jaki zawsze to robią: mówiąc nam, byśmy sami znaleźli rozwiązanie.

Odwrócił się i rozejrzał po zakurzonej kaplicy.

– Przypuszczam, że nietrudno sobie wyobrazić, dlaczego ludzie wpadają w gniew na bogów. Och, to mi przypomina, że – spojrzał na niebo, zagładające przez okno w kopule – jestem już okropnie spóźniony.

Podszedł do czerwonej ściany i delikatnie pociągnął za linę przyczepioną do małego dzwonka. Odgłos, jaki się po chwili rozległ, był podobny do uderzenia o siebie dwóch mieczy.

– Trudno uwierzyć, że bogowie wciąż jeszcze zwracają uwagę na wszystkie te drobne rytuały.

Byłem prawie pewien, że tego nie robią, ale uznałem tę uwagę za nieuprzejmą.

– Wybacz, *venerati* Obladias, przyszliśmy tu, żeby...

– Nie jestem już kaznodzieją, synu. Wystarczy Obladias. Zakładam, że zamierzacie zejść do sanktuarium i zobaczyć Świętą Birgid. Och, i oczywiście twoją przyjaciółkę.

Jego ostatnie słowa mnie zdumiały.

– Wiesz kim jestem? – zapytałem.

– Oczywiście – odpowiedział. – W promieniu dwóch mil nie ma gospody, w której by o tobie nie śpiewano. Nigdy nie są w stanie dokładnie spamiętać imienia. „Falsio val Mond” czy „Falcio dal Vond”? Słyszałem obie wersje.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zwrócił się do Kesta.

– A ty przez jakiś czas byłeś Świętym od Mieczy, prawda?

Kest skinął głową.

Obladias pogroził mu palcem.

– Wiesz, że bogowie nie mają dobrego zdania o apostatach, synu. Większość ludzi zrobiłaby wszystko, by być potężniejszym. Dlaczego odrzuciłeś taki dar?

Kest uniósł kikut prawej dłoni.

– Miałem wypadek – odpowiedział.

Mnich przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, a potem wybuchnął śmiechem.

– No cóż, można na to popatrzeć i tak. Nikt mi nie mówił, że masz poczucie humoru.

– A co słyszałeś o mnie? – spytał Brasti.

– O tobie? – Obladiaz wychwycił boleśnie oczywistą tęsknotę w głosie Brastiego. – No tak, naturalnie, coś tam słyszałem.

Mnich spojrzał na niego z wahaniem, a potem dostrzegł łuk na plecach rozmówcy i powiedział:

– Łucznik, prawda? Bez wątplenia bardzo dobry. Tak, świetny z ciebie strzelec... jak cię zwa?

Brasti popatrzył na mnie i rzucił:

– Nie cierpię tego kraju.

– Chodźcie – powiedziałem. – Musimy porozmawiać z Birgid.

Stary mnich wciąż stał przed wejściem do *passari*.

– Nie jestem pewien, czy mogę na to pozwolić, synu. Nie zrozumcie mnie źle, jestem waszym wielkim zwolennikiem, ale to jest święte miejsce, a wasza trójka, no cóż, nie nazwałbym was ludźmi Wiary.

– Zamierzasz powstrzymać nas przed wejściem do środka? – zapytałem.

Obladiaz westchnął i odsunął się na bok.

– Nie wiem, jak mógłbym tego dokonać – odparł.

Nasza trójka minęła go i ruszyła schodami. Przeszliśmy trzecią część drogi, kiedy nad nami usłyszałem tupot kilku par butów podkutych żelazem.

– Cholera – powiedział Brasti – to brzmi jak spora grupka.

Środek schodów to ostatnie miejsce, w którym chcesz się znajdować tuż przed tym, kiedy ktoś cię zaatakuję. Walka pod ziemią nie jest dobrym pomysłem, ale schody nie dają żadnego pola manewru.

– Szybko – powiedziałem, biegnąc z powrotem po stopniach, ale było już za późno; w każdym z sześciu wejść stało dwóch mężczyzn w szarych szatach. Żaden z nich nie starał się szczególnie ukrywać noszonego pod spodem pancerza. Wszyscy byli uzbrojeni, połowa z nich miała piki, reszta pistolety.

– Falcio... – rzucił ostrzegawczym tonem Kest.

– Wiem – odpowiedziałem. Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nas widział wcześniej sześć pistoletów w jednym miejscu. Zwróciłem się do starego mnicha. – Wezwalesz ich odgłosem dzwonka. Cała ta gadanina miała nas tylko opóźnić.

– Powiedziałem, że cię podziwiam, trattari – odparł starzec. – Nigdy nie mówiłem, że cię lubię.

Jak na zawołanie do budynku wszedł trzynasty mężczyzna. Był mniej więcej w moim wieku i podobnego wzrostu, z krótkimi blond włosami i przystryżoną brodą. Miał na sobie długi skórzany płaszcz, który mógł zostać pomyłony z wielkim płaszczem, gdyby nie był szary jak burzowe chmury, czekające tylko, by spuścić gromy i błyskawice na niczego niepodważający świat. Jedynym przełamaniem szarości było sześć metalowych dysków wszytych w półokrąg na przedzie płaszcza, każdy w kolorze jednego z sześciu bogów Tristii.

– Nazywam się Quentis Maren – powiedział, stając na środku nawy. – Pierwszy Śledczy *cogneri*.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Nie chciałem mówić tego na głos, ale mimowolnie spomiędzy ust wyrwało mi się:

– Sukinsynu.

– Ktoś mi powie, czym jest *cogneri*, zanim po raz pierwszy w życiu zabiję jednego z nich? – spytał Brasti, mierząc z łuku w mężczyznę.

– To stare określenie Zakonu Świątynnych Śledczych – powiedziałem. –
Ten człowiek jest Inkwizytorem.

INKWIZYTORZY

W teorii Tristią obowiązują dwie grupy praw: obywatelskie i boskie. Te pierwsze są ustalane przez królów i książęta, te drugie... no cóż, ludzie już dawno temu stwierdzili, że znają opinie bogów na najważniejsze tematy. Życiem większości zarządzają prawa królewskie, egzekwowane przez Wielkie Płaszczce lub lokalnych urzędników, ale kapłani stosują się do zasad i nakazów *Canon Dei*. Kto zatem egzekwuje prawa bogów, spytacie? Inkwizytorzy.

– Wygląda na to, że działasz poza swoją jurysdykcją, Quentisie Marenie – powiedziałem.

Trzech przeciwko trzynastu oznaczało wybitnie nierówną walkę, ale zazwyczaj w takich sytuacjach udawało mi się odnajdywać sposoby na poprawienie naszych szans. Potrzebowałem tylko trochę czasu. No, i może jeszcze niewielkiej armaty.

Inkwizytor zmrużył oczy, jakby nie był pewien, czy próbuję być zabawny.

– Doprawdy, Pierwszy Kantorze? Święta została zaatakowana, niemal zabita. Świętynie są bezczeszczone. Wierni obawiają się o swoje życie. Powiedziałbym, że to zdecydowanie nasza jurysdykcja.

– Ma rację – szepnął Brasti.

– Zamknij się – syknąłem.

Między Inkwizytorami a Wielkimi Płaszczami nigdy nie było wielkiej miłości. Żadna z grup nie uznawała autorytetu drugiej, prawa boskie i ludzkie są w dużej mierze nie do pogodzenia. Ale mimo licznych historii o gorliwej nieustępliwości i otwartym podejściu do tortur przy

przesłuchiwaniu więźniów, *cogneri* niemalże zniknęli z Tristii. Przez wszystkie lata pracy jako sędzia natknąłem się na nich tylko trzy razy, a ci, których widziałem, byli podstarzałymi brutalami korzystającymi przy brudnej robocie z pomocy ciężkich kijów i zardzewiałych kusz.

Quentis Maren wyglądał na młodego i roztropnego mężczyznę. Nosił cienką, stalową buławę o krótkim trzonku przyczepioną do pętli po lewej stronie płaszcza. U drugiego boku miał kaburę długą na mniej więcej dwanaście cali z wystającym z niej pistoletem.

Naprawdę dobry miecz kosztuje mniej więcej tyle, ile można zarobić, pracując przez cały rok jako parobek. Podłej jakości pistolet z zamkiem lontowym – taki, który rzadko trafia w cel, a przeładowanie go zajmuje wieki – kosztuje pięciokrotnie więcej. Quentis i jego ludzie mieli przy sobie pistolety z zamkami kołowymi, które do strzału nie wymagały odpalenia ładunku lontem przymocowanym do zacisku na broni. Innymi słowy, takie, które można było przygotować do strzału, zanim weszło się do budynku, by zaskoczyć grupę paskudnych Wielkich Płaszczy.

Ile mogła kosztować taka broń? Nie wiem, nigdy nie miałem takich pieniędzy.

„Kto jest waszym sponsorem, *cogneri*?”

– Falcio... – mruknął Kest pod nosem.

Nienawidzę, kiedy wymawia moje imię w ten sposób. Prawie zawsze następuje po tym stwierdzenie, jak bardzo źle przedstawiają się nasze szanse.

– Były Święty od Mieczy zaraz ci powie, że tej walki nie jesteś w stanie wygrać – powiedział Quentis Maren, patrząc na Kesta. – Doda, że twój łucznik, jakkolwiek szybki by nie był, da radę zdjąć tylko dwóch z moich ludzi, zapewne strzelców, biorąc pod uwagę jego dobrze znaną pogardę dla mieczy i włóczy. Wtedy moi pikinierzy, którym rozkazałem najpierw zająć się łucznikiem, zabiją go. Kest będzie próbował cię chronić, robiąc wszystko, co w jego mocy, by roztrącić piki, i mając nadzieję, że płaszcz

ochroni go przed kulami pistoletów. Jednak przy takiej przewadze liczebnej oraz braku pola do manewru zabije tylko czterech moich ludzi, zanim sam umrze.

– Trzech – odparł Kest.

– Doprawdy? – zdziwił się Maren – A myślałem, że...

Kest odpowiedział mu uniesieniem w górę kikutu prawej dłoni.

– Ach tak, masz oczywiście rację. W takim razie zostajemy przy trzech.

Żaden ze strażników nie wydawał się przesadnie poruszony tą perspektywą.

– A co ze mną? – zapytałem, równocześnie zirytowany i zaintrygowany tym, jak wiele ten człowiek o nas wiedział.

– Ty oczywiście spróbujesz zabić mnie. Nie znosisz autorytetów. Nienawidzisz religii. Dojdiesz do wniosku, że skoro wasz los i tak jest przesądzony, równie dobrze możesz zabić wielkiego złego Inkwizytora i zginać, ciesząc się tą niewielką satysfakcją.

– W takim razie wygląda na to, że ta historia dla ciebie też nie skończy się dobrze – powiedziałem.

Quentis Maren wzruszył ramionami.

– Mój płaszcz nie jest tak świetnie zaprojektowany jak twój, przyznaję. Ale myślę, że kolczuga, którą noszę pod spodem, zrekompensuje tę przewagę.

– Nie, jeśli wpakuję ci strzałę prosto w czoło – powiedział Brasti. – Wtedy będziesz martwy i do tego jeszcze będzie ci głupio.

– To prawda – powiedział Inkwizytor. – Jesteś o wiele za szybki, bym mógł jej uniknąć. Oczywiście, moi żołnierze są przygotowani na taką ewentualność. Zabijesz mnie, ale twoi przyjaciele będą martwi, nim padnę na ziemię.

Gorączkowo przerabiałem w głowie różne wersje wydarzeń – sfrustrowany zarówno przez mętlak i wyczerpanie wywołane obrażeniami – jak doskonale zaplanowanie zasadzki przez Quentisa. „Mógłbym dźgnąć go

w szyję i przyciągnąć do siebie, użyć jako tarczy, ściągając na siebie ogień strzelców. Brasti zabiłby dwóch pikinierów i moglibyśmy skoczyć w stronę wyjścia, gdyby tylko Kest mógł... Do cholery, nie starczy czasu”.

Taką walkę można wygrać tylko sposobem. Większość stara się myśleć o każdym elemencie potyczki, wszystkich jej uczestnikach oraz ich uzbrojeniu, rozmieszczeniu i tempie. I zwykle wszystko to na nic; trzeba od razu zobaczyć całą szachownicę i przewidzieć ruchy wszystkich figur naraz, by znaleźć ścieżkę prowadzącą do zwycięstwa.

„Gdzie ona jest, do cholery? Dlaczego nie mogę się skupić?”

– Wiem, że nie nawykliście do tego – powiedział Quentis – ale sugeruję, rozważenie kapitulacji.

Nie da się ukryć, że propozycja była rozsądna. „Tyle tylko, że ostatnim razem, kiedy się poddałem, torturowano mnie niemal do śmierci”. Nawet gdybym miał sto lat, by odzyskać siły po Lamencie, nigdy już nie będę w stanie przetrwać takich tortur. Ba, nawet gdybym miał tysiąc lat, nigdy więcej nie pozwolę, by do tego doszło.

Nic nie powiedziałem Kestowi i Brastiemu, nawet na nich nie spojrzałem. Wiedziałem, że mnie obserwują i rozumieją, co się teraz stanie. „Zawsze pozostaje nam liczyć na łut szczęścia”, pomyślałem, „i czerwoną, krwawą wściekłość”.

– Stać! – krzyknął ktoś od strony *passari deo*.

To, że nie rozpoznałem jej głosu od razu, było pierwszą oznaką, że coś jest nie tak. Odwróciłem się i zobaczyłem Ethalię wchodzącą po schodach za nami, choć początkowo mógłbym przysiąc, iż widzę ją pierwszy raz w życiu.

Wspominałem już, że wszystko o Ethalii da się wyczytać z jej oczu: jej ciepło, spokój, pogodę ducha. W tej chwili nic z tego nie kryło się w jej spojrzeniu, zastąpione przez ciemne otoczki znamionujące wyczerpanie. Policzki miała zapadnięte, czoło poznaczone zmarszczkami.

– Musisz stąd odejść, Falcio – powiedziała głosem, który nie był ani zły,

ani smutny, jedynie beznamiętny.

– Przyszedłem do... – Chwila wymagała podniosłego zdania, ale za nic w świecie nie przychodziło mi takie do głowy. Zamiast tego, powiedziałem: – Muszę się dowiedzieć, co stało się z Birgid.

– Odkąd straciła przytomność w pałacu, jeszcze się nie obudziła. – Ethalia podniosła rękę. – Próbuję utrzymać ją przy życiu każdą maścią i każdą znaną mi modlitwą, ale moje ograniczone zdolności zależą od ilości współczucia, jakie mam w moim sercu.

Spojrzała na mnie i dodała:

– Falcio, czuję twoją wściekłość aż w sanktuarium. Podobnie jak Birgid. Zabijasz ją.

„Zabijasz ją”.

– Posłuchaj, złotko – powiedział Brasti – nie wiem, czy zauważyłaś, ale ci źli panowie właśnie mierzą do nas z pistoletów.

Ethalia podeszła do szczytu schodów i popatrzyła na mężczyzn stojących przed nią. Quentis Maren skinął jej głową i powiedział:

– Wybacz nam, pani, ale naszym obowiązkiem jest...

– Jeśli przyszłście zabić Birgid, musicie najpierw pokonać mnie.

Maren cofnął się o krok.

– Przybyliśmy tu, by ją chronić.

Ethalia skinęła głową, biorąc jego słowa za dobrą monetę.

– Zatem odejdźcie, wszyscy. Jej życie wisi na włosku. Pozwólcie mi spróbować uratować ją resztkami sił, które mi jeszcze zostały – odparła.

Quentis spojrzał na Obladiasa odzianego w proste, szare szaty, stojącego z boku z twarzą bez wyrazu. Po chwili starzec skinął głową.

„Jeśli to ma być prosty, niewybrany przez bogów mnich, to ja jestem księciem Rijou”, pomyślałem, ale nie mogłem w tej chwili tracić czasu, by się nad tym zastanawiać.

– Niech tak będzie – powiedział Inkwizytor. – Bezpieczeństwo Świętej Miłosierdzia jest najważniejsze.

Przez moment się zawahałem. Czy mieliśmy szansę, by wygrać tę walkę? Być może. W głowie zaczęło mi się rozjaśniać i dopiero teraz dostrzegłem plamę oliwy, która wylała się z latarni rozbitej przez Brastiego przy wejściu do katedry. Jeden z ludzi Quentisa stał w samym jej środku, a brzeg jego długiej szaty praktycznie dotykał plamy. Miałem odłamek ognistej skały w kieszeni wewnątrz mankietu płaszcza. Gdyby udało mi się go niepostrzeżenie wydostać i rzucić z wystarczającą siłą w plamę oliwy, mógłbym wywołać zamieszanie, dzięki któremu choć odrobinę wzrosłyby nasze szanse.

– Falcio – powiedziała zza moich pleców Ethalia. – Proszę cię.

Skrzyżowałem spojrzenie z Quentisem, chcąc, by wiedział, że nie poszłoby im z nami tak łatwo.

– Odraczamy – powiedziałem.

Odpowiedział niemal niezauważalnym skinieniem. Był to rodzaj niepisanej umowy, która miała swoje terminy oraz klauzule i gwarantowała, że pojedynek się odbędzie. Będzie w nim zwycięzca i zwyciężony. Będzie krew. Tylko nie dzisiaj. Bez względu na to, czego chcieli od nas Inkwizytorzy, nie miało to dla nich takiego znaczenia jak życie Świętej Birgid.

Quentis i jego ludzie wyszli, a za nimi ruszyli Brasti i Kest, zostawiając mnie z Ethalią u szczytu schodów prowadzących w dół do sanktuarium. Poczulem chwilową chęć, by zignorować umowę z Inkwizytorem, zejść na dół i sprawdzić, czy uda mi się obudzić Świętą oraz sprawić, by dała mi chociaż najdrobniejszy skrawek informacji, który pomoże mi zrozumieć, co się z nią stało. Ale jedno spojrzenie na Ethalię powiedziało mi, że jeśli spróbuję zakłócić kurację Birgid, Quentis będzie moim najmniejszym problemem.

„Naprawdę muszę zmienić pracę. Najlepiej na taką, która nie wymaga użycia miecza”. Część mnie zastanawiała się, czy to dobry moment o poproszenie Ethalii o rękę, co powinno najdobitniej uzmysłwić wam, jak

kiepsko radzę sobie z sercowymi sprawami. Wyciągnąłem rękę, by dotknąć jej policzka, jednak się odsunęła.

– Przykro mi, Falcio. Nie mogę ci na to pozwolić... mam szansę ją wyleczyć, tylko jeśli zostanę...

Nie dane było mi usłyszeć więcej, bo wrócił Brasti, wpuszczając do bazyliki odgłos odległych krzyków.

– Falcio, jesteś potrzebny. Natychmiast.

– Inkwizytorzy?

Pokręcił głową.

– Pielgrzymi. Jeden ze strażników przy bramie powiedział, że widział, jak ktoś próbuje przedrzeć się przez tłum. Któryś z kapłanów krzyknął, żeby złapali przepychającego się człowieka, a ci na dokładkę gorliwie pobili go do nieprzytomności i przywiązali do słupa. Strażnik powiedział, że ów mężczyzna miał na sobie Wielki Płaszcz.

Ruszyłem za Brastim, ale zatrzymałem się na chwilę, by pożegnać się z Ethalią – ona jednak już schodziła do sanktuarium.

ROZDZIAŁ 12

MOTŁOCH

Ponad dwieście osób stało w okolicy wejścia do martyrium, chociaż pomimo ich liczby łąka nie wyglądała na tak ludną, jak się spodziewałem. Tłoczono się przeważnie w małych grupach, blisko dobytku, namiotów i wozów. Droga prowadząca do martyrium była pusta, nikt nie próbował organizować żadnej blokady. Nikt nie rzucał kamieniami ani nie wykrzykiwał haseł; nikt nie zaczepiał też strażników, których przyprowadził Quentis. Pielgrzymi skupiali się na swoich sprawach i słuchali poleceń tego, który poczuł duchowy zew i przywiódł ich tu za sobą. Wszyscy, z wyjątkiem grupy po drugiej stronie pola – ci zdawali się pracowicie przygotowywać stos ciałopalny.

– Widzę go – powiedział Brasti, wskazując za bramę wejściową. – Na skraju lasu. Między nami zebrał się tłum, nie mogę więc dojrzeć twarzy, ale ma ręce przywiązane nad głową do słupa.

– No dobrze – powiedziałem, zapinając sześć dolnych guzików płaszcza, górnych sześć pozostawiając odpięte. Chciałem być jak najlepiej chroniony, a jednocześnie móc sięgać po noże do rzucania.

– Pozwól iść jednemu z nas – powiedział Kest. – Jesteś wyczerpany i ranny. Jeśli motłoch zaatakuje...

– Jeśli zaatakuje, to po nas, niezależnie od tego, kto pójdzie.

– W takim razie idziemy wszyscy – zaproponował Brasti.

– Jeśli pójdziemy tam w trójkę i zaczną się kłopoty, to gwarantuję, że będziemy mieć cały tłum przeciwko sobie. Sam mam większe szanse.

Kilku ubranych na szaro strażników Quentisa zaśmiało się w głos. Najwyraźniej nie wyglądałem tak imponująco, jak myślałem. Byłem przy

tym dziwnie pokrzepiony faktem, że nie wszyscy Inkwizytorzy byli tak spokojni i opanowani jak Quentis, że śmiali się i wyzłośliwiali jak wszyscy żołnierze, których dotąd spotkałem.

– Domyślam się, że nie zechcesz wziąć kilku ludzi i mi pomóc? – spytałem strażnika stojącego najbliżej.

– Otrzymaliśmy rozkaz, by chronić martyrium – odpowiedział. – Nie wiem, jaki zatarg macie z tą grupą pielgrzymów, ale jestem pewien, że uda się wam uwolnić więźnia własnymi siłami, wykorzystując jakąś zdumiewającą sztuczkę trattari.

Jego ludzie zaśmiali się jeszcze głośniej. Z tłumem nie da się dyskutować z tego samego powodu, z którego nie robi się tego ze stadem mrówek: są zbyt głupie, by zrozumieć, co do nich mówisz, ostatecznie więc i tak się na ciebie rzuca.

Co nie oznacza, że nie powinno się do nich mówić. Słowa są ważne. Zazwyczaj to właśnie one zmieniają ludzi w motłoch.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego właśnie ty chcesz do nich iść – powiedział Brasti. – Jeśli to musi być jeden z nas, niech to będzie Kest.

– Ażeby zapanować nad tłumem, trzeba konkretnych cech – odparłem. – A Kest nie ma ich prawie wcale. Trzydzieści sekund po tym, jak tam dotrze, wyzwie ich na pojedynek.

„Wszystkich naraz”, dodałem w myślach.

– No dobrze, w takim razie ja pójdę – stwierdził Brasti.

– Tobie poszłoby jeszcze gorzej. Nie przeszedłbyś dziesięciu kroków bez obrażenia ich jako grupy, ich kapłana i boga, któregokolwiek by czcili. Będziemy mieć szczęście, jeśli po wszystkim nie będą chcieli zrównać z ziemią całego martyrium, żeby tylko dostać cię w swoje ręce.

– Chyba masz rację – odpowiedział z uśmiechem.

Odwrócił się i oparł o bramę. Byłem pewny, że jest wystarczająco stabilna, by za chwilę nie oprzeć się całym swoim ciężarem o niego.

– Zdecydowałeś się już na pieśń? Może *Wspomnienie przodków*?

– Za długie.

– *Dziecko, które mogłoby być twoim?* – zaproponował, ale ja już kręciłem głową.

– Myślisz, że ci ludzie będą w stanie spojrzeć na Wielkiego Płaszczka i wyobrazić go sobie jako jedno z własnych dzieci?

Kest spojrział na tłum zza bram.

– Spróbuj *Twój wróg jest moim wrogiem*, a gdy już uwolnisz więźnia, kieruj się w stronę drogi i spróbuj zatoczyć koło...

– Nie – przerwałem mu, niemal krzywiąc się z niesmakiem. – Nienawidzę tego śpiewać. Poza tym kimkolwiek jest ich więzień, nie będzie mógł pomóc mi w walce.

Nim Kest odezwał się ponownie, gestem nakazałem strażnikowi, by otworzył bramę.

Przeszedłem przez wąski otwór, który dla mnie zrobił, chwilę później usłyszałem za plecami odgłos zapadającej zasuw.

– Spróbuj nie dać się rozerwać na strzepy. – Brasti był naprawdę zatroskany. – Jakiej pieśni zamierzasz użyć?

Sprawdziłem rapiery w pochwach, upewniając się, że mogę szybko dobyć obu.

– *Beatti feci forse Deato* – odpowiedziałem.

– Ty naprawdę zamierzasz wyśpiewywać Boskie Wersety przed motłochem? Święci, może po prostu położysz się na ziemi i pozwolisz im się stratować?

– Zabrudziłbym sobie płaszcz. – Odwróciłem się od bramy i ruszyłem na pole.

– Zawsze się tak zachowujesz, wiesz? – zawołał Brasti.

– Co takiego? – zapytałem.

– Kiedy jesteś zmęczony. Kiedy się boisz. Rzucasz się do walki, w której nie masz realnej szansy na zwycięstwo.

Szukałem mądrej odpowiedzi, jednak prawda była taka, że Brasti

dokonał zaskakująco wnikliwej obserwacji.

– Masz rację – odparłem.

– Dlaczego więc to robisz?

Wszedłem w tłum.

– Ponieważ to jedyne, co potrafię, i co zawsze działa.

Chwilę zajęło mi przebrnięcie przez tłum mężczyzn i kobiet, głównie rolników i robotników. Dostrzegali mnie i rozpoznawali, ale niewielu próbowało się wtrącać. Od czasu do czasu jakiś kretyn, z mózgiem jak orzeszek, ale ramionami jak stodoła, próbował utrudnić mi przejście, a kilkoro dzieci obrzuciło mnie zgniłymi owocami. Ignorowałem to, z wyjątkiem jednego pomidora, który udało mi się złapać, a wyglądał niczego sobie – zjadłem go po drodze. W końcu byłem bez śniadania.

Po drugiej stronie pola ujrzałem wreszcie więźnia: Allister Ivany, wysoki, krzepki mężczyzna, którego nazywaliśmy Cieniem Króla, wisiał przywiązany za ręce do białego w ziemię wysokiego słupa. Wyglądał na poturbowanego, ale bez poważniejszych ran. Z miejsca, w którym stałem, nie potrafiłem określić, ile z jego siniaków było skutkiem pobicia, a ile wynikiem długiego czasu spędzonego w drodze, by odpowiedzieć na moje wezwanie do powrotu Wielkich Płaszczy do zamku Aramor.

Ci, którzy go pojмали, to grupa około dwudziestu mężczyzn i kobiet, z właściwymi robotnikom rolnym mocno opalonymi twarzami i rękami. Kilku z nich posiadało jednak prawdziwą broń – włócznie i stare, ciężkie miecze, prawdopodobnie odziedziczone po dziadkach, którzy walczyli w wojnach przeciwko Awaresowi. Domyśliłem się, że ich przywódcą był kapłan w znoszonych pomarańczowych szatach, co oznaczało, że jest akolitą Rzemiosła lub Mestiri, jak nazywano go daleko na południu.

Kapłan zauważył mnie i już po chwili byłem otoczony przez gromadę wieśniaków.

– Czyż nie piękny mamy dzień, czcigodni obywatele? – spytałem.

Kiedy masz zamiar zmierzyć się z tłumem, musisz pamiętać o dwóch

rzeczach. Po pierwsze bądź pewny siebie: z jakiegoś powodu im bardziej ograniczonym intelektem ktoś dysponuje, tym lepiej wyczuwa strach u innych, a do tego lubuje się w jego wywoływaniu. Po drugie miej plan i trzymaj się go. Król Paelis szkolił wszystkich Wielkich Płaszczy w sposobach radzenia sobie z motłochem. W końcu nasza praca zazwyczaj polegała na samotnych wyprawach do zabitej dechami wsi lub ubogiego miasteczka, ogłaszaniu się przedstawicielami prawa królewskiego, uprawnionymi do sądzenia wszelkich spraw i wydawania wyroków – a po kilku godzinach mówienia ludziom rzeczy, których w większości nie mieli ochoty usłyszeć. Zdarzało się nierzadko, że swoje rozczarowanie wyrażali za pomocą wideł i kijów.

Król zawsze był zafascynowany działaniem umysłu, a zwłaszcza sposobu, w jaki duże grupy ludzi szybko zaczęły wykształcać wspólną świadomość i zaczynały działać jak jedna osoba. Taka osoba często, jak wynikało z mojego doświadczenia, była kompletnym dupkiem.

Paelis opracował różne strategie radzenia sobie z tłumem, a swoje pomysły testował, nakazując mi stosowanie ich podczas misji. Miał też zwyczaj nie dostrzegać możliwości niepowodzenia danego działania.

„Znasz motto Wielkich Płaszczy, Falcio”, mawiał. „Sądź uczciwie, jedź szybko, walcz zaciekle. Jeśli kiedykolwiek jakieś miasteczko zwróci się przeciwko tobie, radzę zmienić środkową część na «jedź bardzo szybko»”.

Czasami król bywał kompletnym dupkiem.

– Patrzcie państwo. – Wyjątkowo krzepki młody kmieć, z dłońmi wielkości mniej więcej mojej głowy, podszedł bliżej. W rękę trzymał okutą żelazem laskę Allistera. – Kolejny brązowy ptaszek, nabijemy go na rożen obok pierwszego i będzie na kolację!

Udawałem, że puszczam jego słowa mimo uszu, ale miałem się na baczności. Właśnie zdecydowałem, że niedługo dostanie jedną z głównych ról w moim scenariuszu, ale chciałem, żeby się najpierw rozkręcił.

– Cześć, Allister – powiedziałem. – Masz ochotę dołączyć do Kesta,

Brastiego i mnie w martyrium?

Uniósł głowę i spojrzął na mnie, zdmuchując z twarzy długie czarne włosy.

– Falcio? – uśmiechnął się przez rozbite i krwawiące usta. – To zależy. Mają tam coś przyzwoitego do jedzenia?

Osilek, który odezwał się do mnie wcześniej, wyciągnął grubą łapę, chcąc wytrącić mnie z równowagi. Zrobiłem krok w lewo i do przodu, by uniknąć pchnięcia, udając jednocześnie, że go nie zauważyłem.

– Brasti kazał ci przekazać, że jeśli miałbyś przy sobie porządny miecz zamiast tego idiotycznego kijaszka, nie zostałbyś złapany.

Allister wyglądał na bardziej zirytowanego komentarem niż siniakami na twarzy.

– Przekaż pieprzonemu Brastiemu, że to laska, a nie kij, i że będę szczęśliwy, mogąc pokazać mu jej skuteczność w pojedynku na arenie, kiedy tylko uporamy się z obecnym problemem.

Barczysty odzyskał rezon i stanął między mną a Allisterem, tym razem dołączyło do niego kilku kolegów.

– Nie powinieneś był opuszczać martyrium, trattari. Teraz czeka cię...

Uciszyłem go podniesionym palcem.

– Chwileczkę. – Spojrzałem na kapłana w przybrudzonych żółtych szatach. – Przepraszam, *venerati*, to twoja... trzódka?

– Bogowie przemawiają przeze mnie do tych dobrych ludzi – odpowiedział.

– Doskonale. – Wskazałem na wóz, którego wcześniej używał jako ambony. – Czy mógłbyś tam wejść? Chciałbym, żeby wszyscy mogli cię usłyszeć.

Splunął – zauważyłem, że duchowni robią to o wiele częściej niż zwykli ludzie – i oświadczył:

– Trattari, jeśli wydaje ci się, że powstrzymam Brella i innych od wymierzenia ci sprawiedliwej kary, na którą zasługujesz, to się mylisz.

Westchnąłem. Mówiono mi, że większość duchownych to w rzeczywistości niezwykle mili ludzie, którzy nie wyściubiają nosa poza swoją rozpadającą się świątynkę, ograniczając się do pocieszania podróżnych i życia ze skromnych darowizn. Nie żebym kiedykolwiek spotkał takiego kapłana.

– Nie przysłoby mi do głowy prosić cię o przeciwstawienie się boskiej woli – odpowiedziałem. – Nawet jeśli miałyby to oznaczać obicie mnie przez twoich towarzyszy.

– Och, na Świętą Martę Co Zatrzęsła Lwem – mruknął Allister. – Powiedz mi, że nie zamierzasz wyśpiewywać Boskich Wersetów...

Tłum zaczął gęstnieć wokół mnie, podążając za niewytłumaczalnym przymusem, który zmienia zdrowych na umyśle ludzi w stado wilków.

Kapłan uśmiechnął się, oczekując, że zapytam go, skąd się tu wziął i co robi. Nie mógł się doczekać, by mi wyjaśnić, dlaczego bogowie żądają od niego pojmania Wielkiego Płaszczka.

Oto, czego nie należy robić w starciu z motłochem: zadawać pytań. Nie podchodzisz i nie pytasz z pełną powagą: „Wyjaśnijcie mi, przyjaciele, dlaczego właściwie zdecydowaliście się przywiązać tego miłego faceta do słupa?”, a już na pewno nie zaczynasz od żądania, by go uwolnili.

Tłum ma tylko jeden powód, by pobić człowieka i przywiązać go do słupa. Jest to ten sam powód, dla którego ludzie robią wszystkie pozostałe rzeczy – są bardzo niezadowoleni i znaleźli kogoś, na kim mogą się odegrać. Wdawać się z nimi w dyskusję nad słusznością ich gniewu lub wyboru rzekomego winowajcy to jak wierzyć, że kłótnia z niedźwiedziem obudzonym zbyt wcześnie ze snu zimowego jest dobrym sposobem na spędzenie wolnego czasu.

Angażowanie motłochu – a zwłaszcza jego przywódcy – w odpowiadanie na pytania zaczynające się od „dlaczego?” sprawia jedynie, że chwilę później sam lądujesz przywiązany do słupa.

Kiedy Brell – osiłek, który wcześniej próbował mnie odepchnąć –

podszedł, by złapać mnie za ramię, moja dłoń powędrowała za klapy płaszcza. Gdy stawiał kolejny krok, poczuł, że czubek mojego noża dotyka jego gardła.

– Jeszcze nie – powiedziałem i pozwoliłem mu się cofnąć.

Nie prowokowałem go do walki, ale i nie zamierzałem od niej stronić – chciałem, by wiedzieli, że prawdopodobnie jestem szybszy niż każdy z nich. „Święty Forzo Co Zadaje Cios, pozwól mi być szybszym od nich”.

– Nie zastraszysz nas, trattari – oświadczył duchowny w żółtej szacie, wchodząc na wóz. Być może nie podobało mu się, że pomysł wyszedł ode mnie, ale wszyscy lubią być nieco wyżej od innych. – Ci dobrzy ludzie nie boją się ciebie.

– Mówiłem ci – powiedział Brell, posyłając porozumiewawcze spojrzenie swoim towarzyszom, by w odpowiedniej chwili hurmem się na mnie rzucili. – Powinieneś być dalej chować się w martyrium.

– Zabawne, że o tym wspominasz, drogi Brellu. – Popatrzyłem w stronę bram, które wydały mi się teraz bardzo odległe. – W ciągu ostatnich kilku miesięcy spędziłem więcej czasu w zamkach i pałacach, prawie w każdym rodzaju budynku, jaki kiedykolwiek został zbudowany, niż przez wszystkie lata w służbie króla Paelisa. – Odwróciłem się plecami do otaczających mnie ludzi. – Przeznaczeniem naszych płaszczy nie jest wisieć w szafie, ale tak właśnie ostatnio się działo. Jak myślisz, co to znaczy?

– Że jesteś tchórzem – powiedział Brell i zastygł z ustami półotwartymi w bezmyślnym wyrazie.

– Masz rację, boję się. – Kiwnąłem głową. – Nie jestem nawet pewien czego, wiesz? Czasami myślę, że boję się wszystkiego.

Schowałem nóż, wyciągnąłem oba rapiery z pochew i dodałem:

– Dlatego je noszę.

Brell i kilku stojących najbliżej odruchowo cofnęło się o krok.

– Zaatakowałbyś nieuzbrojonego mężczyznę? – ryknął duchowny na potrzeby tłumu, najwyraźniej ignorując kij w dłoni Brella.

– Ja? Oczywiście, że nie.

Chmury przesunęły się nieco nad naszymi głowami, pozwalając wyrzeć zza nich porannemu słońcu. Podniosłem rapiery za ostrza, po jednym w każdej dłoni, by odbić w nich światło i skierować je prosto w oczy Brella, który zaczął gwałtownie mrugać.

– Czy wiesz, o czcigodny *venerati* – powiedziałem do stojącego na wozie duchownego – na jakiej podstawie opierają się prawa dotyczące sądu pojedynkowego?

Allister popatrzył na mnie ze zdziwieniem... najwidoczniej naprawdę nie wierzył, że spróbuję Boskich Wersetów.

– Wszystkie prawa pochodzą od bogów! – oświadczył duchowny, rozkładając ręce i zaciskając pięści, jakby chciał sprowokować mnie, bym zaprzeczył.

„Gdybyś tylko wiedział, jak daleki jesteś od prawdy”.

– Zgadza się, *venerati*.

Wyglądał na zaskoczonego tym, że przyznałem mu rację. Podobnie zresztą jak wszyscy inni.

Obróciłem się, patrząc po twarzach dookoła i dodałem:

– Istnieje szesnaście odrębnych praw, które bezpośrednio wspominają o sądzie pojedynkowym. Każde z nich określa różne sytuacje i przewiduje różne zasady, a czasem nawet zaleca konkretną broń. Ale czy wiecie, że każde z tych praw zaczyna się od tego samego zwrotu? *Beatti feci forze Deato*.

„Bogowie czynią sprawiedliwych silnymi” – przetłumaczył kapłan z entuzjazmem, a ja uśmiechnąłem się do niego z aprobatą.

– Dokładnie tak. Urocze zdanie, które zwykle rozumiane jest następująco: jedyny sposób, by pojedynek sądowy był sprawiedliwy, to uznanie, że bogowie wybierają jego zwycięzcę. Obdarzają sprawiedliwą siłą tego, kto ma rację w sporze.

Rzuciłem jeden z rapiarów Brellowi, który widząc, że trzymam swój za

ostrze, złapał go w ten sam sposób. To był błąd. Jeśli nie pochwycisz go odpowiednio, rozetniesz sobie rękę.

– Ja mam rac... Au! Do diabła! – zaklął Brell, upuszczając broń i podnosząc do ust krwawiącą dłoń.

– Ostrożnie – ostrzegłem go. – Jeszcze ktoś pomyśli, że bogowie jednak ci nie sprzyjają.

Brell rozejrzył się po twarzach towarzyszy, wszyscy patrzyli na niego wyczekująco. Wykazał się hartem ducha – ukląkł, chwycił rękojeść rapiera i podniósł go z uporem.

– Nie boję się ciebie! – krzyknął.

Posłałem mu zachęcający uśmiech.

– Nie powinienes. Bogowie udzielą ci swojej siły, prawda? Z pewnością wkrótce padnę bez życia u twych stóp, moja krew zaleje ziemię i poświędzi twoją rację. – Spojrzałem na duchownego. – Bo jeśli nasi bogowie nie kochają i nie wspierają tych, którzy zasadzają się na człowieka jak tchórzliwa zgraja psów, to kto by ich w takim razie potrzebował? –

Podrzuciłem rapier w górę i chwyciłem go za rękojeść, gdy spadał. – Gdybyś jednak miał przegrać, Brell...

Kapłan, podobnie jak większość ludzi jego profesji, potrafił dostosować argumenty do zmieniającej się sytuacji. Ryknął do tłumu:

– Czy odważny człowiek ma paść, a jego towarzysze mają ustąpić pola? Czy też, podobni do dawnych herosów, zajmą jego miejsce? Bo czyż nie jest to próba, na którą wystawiają nas bogowie? Byśmy zjednoczeni nie dążyli do ochrony własnej skóry, ale byli skłonni poświęcić się w walce z bluźniercami!

Tłum zawsze lubi patrzeć, jak ludzie krzyczą na siebie nawzajem. W tym przypadku z niecierpliwością oczekiwano ode mnie, że w naszej pobożnej debacie wykrzyczę teraz jakieś nedorzeczne kontrargumenty. Nie zrobiłem tego.

– Oczywiście że tak jest, głuptasie. Wszyscy o tym wiedzą – zacząłem

mierzyć końcem rapiera w kolejne postacie w tłumie, jedną po drugiej, aż byłem pewien, że wskazałem każdego. – Ustawcie się w kolejce. – Spojrzeli na mnie zdezorientowani.

– Trzeba do tego podejść metodycznie. Za około sześćdziesiąt sekund Brell padnie na ziemię z paskudną raną w piersi. Kilkoro z was będzie musiało usunąć go na bok, żeby następny mógł zająć jego miejsce. I kolejna osoba po nim. I tak dalej, i tak dalej. – Stałem w pozycji obronnej. – Jeśli bogowie ukochali sobie waszą sprawę, to z pewnością jeden z was mnie pokona. W końcu.

– Nie myślisz chyba, że pokonasz nas wszystkich! – zawołał kapłan z entuzjazmem. – Zmęczysz się i będziesz gryzł ziemię, trattari!

Byłem święcie przekonany, że tak właśnie będzie, i to prawdopodobnie wcześniej niż później. Nawet teraz wykorzystywałem większość moich sił, by udawać, że jestem w świetnej formie.

– Masz bez wątpienia rację, *venerati* – odpowiedziałem. – Poza tym, jeśli jakimś cudem moje ramię pozostanie silne wystarczająco długo, aby pokonać tych dwudziestu dzielnych wojowników, wtedy oczywiście nadejdzie twoja kolej. Na pewno bogowie dadzą swojemu wybranemu przedstawicielowi na ziemi siłę do powalenia takiego bluźniercy jak ja.

W odpowiedzi przywódca motłochu rozejrzał się po polu, zapewne szukając nowego argumentu. Spojrzenia całej grupy skierowane były na niego.

Brell, którego brawurę, przyznaję to otwarcie, naprawdę zaczynałem podziwiać, zaryczał potężnie i ruszył w moją stronę z rapierem wycelowanym prosto w moją szyję.

Istniało sześć sprytnych sposobów, aby odbić ten cios, i trzy, aby go uniknąć, ale żaden z nich nie był wystarczająco imponujący dla tej publiczności, zamiast tego kucnąłem więc nisko, wyrzucając lewą nogę do tyłu i przenosząc cały ciężar na prawą, jednocześnie wyciągając ostrze do przodu, w długim i – miałem nadzieję – całkiem eleganckim zakroku.

Potrzebowałem wszystkich pozostałych mi sił, by nie dać się powalić Brellowi, który nabił się na moje ostrze, gdy jego miecz przesunął się nieszkodliwie nad moją głową.

Staliśmy tak przez długą chwilę, on i ja, mierząc się wzrokiem. To nie złość ani satysfakcja trzymały mnie w bezruchu; zaskoczenie i strach Brella, gdy zdał sobie sprawę z tego, co się właśnie wydarzyło, sprawiły, że chciałem zaoferować mu choć odrobinę pocieszenia w chwili, w której zorientował się, że wymyka mu się wszystko, co jeszcze mógł zrobić ze swoim życiem. Próbowałem wzrokiem przekazać mu jak najwięcej współczucia, jakie dla niego miałem. Chciałem wierzyć w to, że Brell był w głębi serca przyzwoitym człowiekiem, który popełnił błąd i pozwolił się wciągnąć w szaleństwo tłumu. I to właśnie ta drobinka wiary w jego człowieczeństwo sprawiła, że sztych wymierzyłem tak, by ominąć główne narządy.

Osunął się na kolana, a ja – kładąc mu rękę na ramieniu – przytrzymałem go w tej samej pozycji, by narobić jak najmniej szkód przy wyciągnięciu ostrza.

– Będzie potrzebował uzdrowiciela, jeśli któryś z was posiada takie umiejętności.

Dwie osoby z tłumu odciągnęły go na bok, a trzecia zaczęła opatrywać ranę. Nie oszukiwałem się – mój cios nie był aż tak dokładny, by zagwarantować, że przeżyje, ale dałem mu na to taką szansę, na jaką pozwalały okoliczności. Przyklęknąłem i wytarłem ostrze w trawę.

– No dobrze – powiedziałem, upewniając się, że dokładnie wyczyściłem rapier. – Nie ma co odpoczywać. *Beatti feci forze Deato*. Jeśli bogowie was kochają, następny z was na pewno mnie pokona.

Wstałem i stanąłem twarzą w twarz z tłumem:

– To kto następny?

CIEŃ KRÓLA

– To było niesamowicie głupie zagranie – powiedział Allister, wspierając się ciężko na moim ramieniu, gdy szliśmy w stronę martyrium, by dołączyć do Kesta i Brastiego.

Ludzie dookoła starali się nas ignorować. Musiałem pokonać jeszcze dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał talent, ale brakowało mu wykszolenia. Drugi miałby szansę mnie pokonać, gdyby nie używał zbyt ciężkiego i źle wyważonego miecza. Mimo mojego osłabienia żaden z nich nie stanowił większego wyzwania. Sytuacja przedstawiałaby się zupełnie inaczej, gdyby wpadli na pomysł rzucenia się na mnie całą grupą. Jednak kiedy już udało mi się przemycić do ich głów zasadnicze pytanie – skoro bogowie tak ich kochali, dlaczego nie dali moim trzem poprzednim przeciwnikom siły, by mnie pokonać – stopniowo ulatywała ich ochota do walki. Duchowy przywódca również wolał zrejterować, i to jeszcze zanim padł trzeci z mężczyzn, których przeciwko mnie podburzał.

– Jesteś cholernym szczęściarzem, wiesz? – powiedział Allister.

Nie widziałem go od ponad pięciu lat i właśnie uratowałem z opresji, trochę denerwujące więc było to, że tak szybko przeszedł do kwestionowania taktyki, jaką wykorzystałem. Nie zauważył mojej irytacji i mówił dalej:

– Pewnego dnia, Falcio, staniesz twarzą w twarz z tłumem, który nie będzie zahipnotyzowany twoimi teatralnymi sztuczkami. Co byś zrobił, gdyby ten klecha lepiej znał katechizm i zbił twoje argumenty *Deato publis magni*?

– „Bogowie objawiają się przez wspólną pracę wielu”? To zbyt

skomplikowane dla przeciętnego kapłana – przerwałem na chwilę. – Oczywiście, jeśli chcesz wrócić i kazać im związać cię jeszcze raz i wyjaśnić temu idiocie w pomarańczowych szatach, co mógłby zrobić, żeby wszyscy wespół rzucili się na mnie...

Allister uśmiechnął się.

– Zostawmy to na następny raz.

Zbliżaliśmy się do bramy, kiedy zatrzymał mnie w pół kroku i powiedział:

– Nie tędy. Wejdzmy od tyłu.

Ciężar jego ciała na moim ramieniu sprawiał, że zastanawiałem się, czy mam wystarczająco dużo sił, by samemu obejść budynek, nie mówiąc już o podtrzymywaniu Allistera całą tę drogę. Nie chciałem spędzać w otoczeniu pielgrzymów więcej czasu, niż to absolutnie konieczne. Wyraz twarzy Allistera uświadomił mi, że rozważył już te kwestie i wciąż obstawał przy swoim.

– W porządku – powiedziałem. – Dam tylko znać Kestowi i Brastiemu, by tam na nas czekali.

– Nie – zająknął się, nie mogąc dłużej ukrywać bólu. – Masz być tylko ty. Muszę pokazać ci coś, co sprawi, że twój dzień będzie jeszcze gorszy.

Aby dotrzeć na drugą stronę martyrium, musieliśmy postawić wiele powolnych, ciężkich kroków. W wysokich na około dziesięć stóp grubych kamiennych murach była żelazna brama. Drzewa i pnącza obrosły ją przez lata tak, że wspięcie się na ścianę nie było całkowicie niemożliwe, chociaż miałem ogromną nadzieję, że nie będziemy musieli próbować.

Puściłem Allistera i pozwoliłem mu oprzeć się o ścianę. Odetchnął głęboko, po czym przyłożył do ust dwa palce i gwizdnął przejmująco.

– Kogo u diabła wzywasz? – zapytałem.

– Moją klacz. Przepędziłem ją, kiedy tłum ściągnął mnie z niej.

– Dlaczego? Przecież mogła pomóc ci w ucieczce.

– Nie mogłem ryzykować, że ją złapią.
– Jestem pewien, że jest ci wdzięczna za troskę, ale...
– Nie wolno im było zobaczyć, co na niej wiozłem – odparł, po czym wskazał za moje plecy.

Odwróciłem się i ujrzałem klacz – białą w brązowe plamy – która wyrwała kopytami murawę, galopując w naszą stronę. Zatrzymała się w odległości kilku kroków, przyglądając mi się podejrzliwie.

– Jestem zaskoczony, że wróciła – powiedziałem.

Allister odepchnął się od ściany i podszedł do klaczy niepewnym krokiem, uspokajająco głaszcząc jej chrapy i wspierając się o nią czołem.

– To dobre zwierzę, niemalże nieustraszone. – Chwycił wodze i poprowadził ją w moją stronę. Wtedy właśnie zobaczyłem, że na grzbiecie za siodłem niesie coś ciężkiego, owiniętego w czarną tkaninę. Moje nozdrza uderzył charakterystyczny zapach.

– Jak długo jeździsz z trupem przywiązany do konia? – zapytałem, upewniając się, czy nikt nas nie obserwuje. Na szczęście drzewa zapewniały solidną osłonę.

– Dłużej niż bym chciał – odpowiedział. – Jechałem właśnie szukać was w Baern, kiedy usłyszałem, że jesteście tutaj. Pomożesz mi to odwiązać? Ręce mam wciąż zdrtętwiałe; trzymali mnie związanego przez kilka godzin.

Rozsupłałem sznury, zostawiając ciało zwisające bezwładnie na końskim grzbiecie. Kiedy ściągnąłem materiał przykrywający głowę, ujrzałem bladą twarz starca. Nie było w nim nic szczególnie imponującego.

– Kto to jest?

Allister popatrzył na twarz zmarłego z głębokim smutkiem.

– Tej nocy w zamku Aramor, kiedy książęta przygotowywali się do decydującego natarcia, król wezwał mnie do biblioteki zamkowej.

Moje zmęczenie ulotniło się natychmiast i skupiłem całą swoją uwagę na Allisterze. Każda królewska misja, o której wiedziałem, mogła być kolejną wskazówką dotyczącą wielkiego planu Paelisa.

– Jakie zadanie ci wyznaczył?

Nie odpowiedział, a przynajmniej nie bezpośrednio, zamiast tego spytał:

– Czy kiedykolwiek mówiłem ci, że byłem bliski zostania kapłanem?

Parsknąłem śmiechem. Wśród słów, których użyłbym, by opisać Allistera, nie znalazłoby się słowo „pobożny”.

– Tak było – mówił dalej, niezrażony. – Studiowałem *Canon deo*, *Canon Santi* i wszystkie pozostałe święte księgi. Sądziłem, że jest mi przeznaczone zostać *venerati ignobli*, znaleźć sobie ładny wiejski przybytek i głosić prawdy o życiu.

Przerwał i zaśmiał się, widząc mój wyraz twarzy, po czym dodał:

– Nigdy nie widziałem wiele sensu w byciu *venerati magni*. Szlachta sama może sobie czytać święte księgi, jeśli chce. – Uśmiechnął się i przez chwilę patrzył w dal. – Raz nawet wydawało mi się, że słyszałem głos bogów. Pomyślałem wtedy, że być może oczekują, bym został deatorem, ale...

– Allister, obaj jesteśmy ranni i stoimy przed martyrium, całkiem blisko tego samego tłumu, który nie tak dawno temu planował spalić cię na stosie. Nawet nie wspomnę o fakcie, że wozisz martwe ciało na koniu. Byłbyś tak miły i przeszedł do rzeczy?

Spiorunował mnie wzrokiem, po czym kontynuował:

– Król dowiedział się o mojej przeszłości. Tej nocy spytał, czy nadal chcę być kapłanem. Co ciekawe, nie pamiętam, bym kiedykolwiek mu o tym wspominał. Doszedłem do wniosku, że ma zamiar poddać zamek i po prostu stara się ułatwić mi zajęcie się tym, co zawsze chciałem robić. – Spojrzał w tył na drogę, którą przyszliśmy. – Problem w tym, że wtedy byłem już Wielkim Płaszczem od pięciu lat: widziałem każdą cholerną krzywdę, jaką człowiek potrafi wyrządzić drugiemu, znałem wszystkie wymówki, jakimi ludzie się usprawiedliwiają, i przynajmniej połowa z nich związana była z jakimś bogiem lub świętym. Nie było już we mnie ani krzty wiary.

– Co na to król?

Allister otarł trochę brudu z twarzy rękawem płaszcza i odpowiedział:

– Jak to król. Zrobił to, co zawsze czynił w takiej sytuacji: zignorował moje słowa i całkowicie zmienił temat. Powiedział mi, że poznał pewnego człowieka żyjącego w jaskini nad drogą do Domaris. Moją misją, możesz wierzyć lub nie, było pojechać tam i go chronić.

Spojrzałem na ciało na koniu.

– Tak, to on – odpowiedział na moje nieme pytanie. – Na początku uznałem, że taka misja to jakaś kpina – przyznał, patrząc na czubki swoich butów. – Starzec mieszkał w jaskini sam, nigdy nie mówił zbyt wiele. Czasem prosił mnie, bym znalazł dla niego jakąś książkę lub wysłał w poszukiwaniu odpowiedzi na niejasne pytania, które nigdy nie miały sensu. I tak zresztą nie miałem nic ważniejszego do roboty.

– Więc zajmowałeś się tym przez pięć lat?

Uśmiechnął się smutno i odpowiedział:

– Znalazłem tam spokój. Nie musiałem z nikim walczyć, nikogo zabijać czy sądzić. Wiele się nauczyłem z jego książek i słuchając, jak mamrocze pod nosem – spojrzał na postać złożoną na czarnej tkaninie. – Czułem, jakbym dopiero zaczynał rozumieć tego szalonego, starego głupca.

Allister westchnął głęboko i wydawało mi się, że widzę w jego oczach nieoczekiwaną delikatność.

– Kilka tygodni temu wróciłem z długiej podróży; poprosił mnie, abym znalazł dla niego kopię starej mapy. Udało mi się, ale zanim wróciłem do jaskini, on już nie żył.

Miałem właśnie zapytać, jak zginął jego podopieczny, ale Allister już ściągał zwłoki z konia, nieomal samemu się przy tym przewracając. Przytrzymałem go, po czym położyliśmy ciało na ziemi i Allister zaczął rozwijać czarne płótno, odsłaniając tors i twarz zmarłego.

Ramiona i klatkę piersiową mężczyzny pokrywały niewielkie, płytkie nacięcia. Dokładnie takie jak te, które miała na sobie Birgid.

– W jaskini znalazłem jeszcze coś – powiedział Allister, sięgając do

jednej z sakw. Wyciągnął z niej przedmiot owinięty tym samym czarnym materiałem. Rozwinął go, ukazując żelazną maskę. – Kiedy go znalazłem, miał to na twarzy.

– Sukinsyny – zakląłem.

– On nie był lepszy. – Allister wykrzywił usta w smutnym, zmęczonym uśmiechu. Przykrył ciało na powrót dziwnie czułym jak na niego gestem.

– Długo zastanawiałem się, dlaczego król posłał mnie, abym strzegł tego niewychowanego, chrapiącego i pierdzącego pustelnika, w jaki sposób takie zadanie miało odnowić moją wiarę. A jednak przez te lata, kiedy się nim opiekowałem, tak się właśnie stało. – Popatrzył mi prosto w oczy i rzekł: – Jestem niemal pewien, że ten człowiek był Anlasem Co Pamięta Świat. Król chciał, bym chronił Świętego Pamięci. Zawiodłem go, Falcio – dodał po chwili łamiącym się głosem.

– Pełniłeś swój obowiązek przez pięć lat – powiedziałem najdelikatniej, jak potrafiłem. – Król Paelis nie mógł oczekiwać więcej.

Allister odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Wściekłość i ból malujące się na jego twarzy mogły równać się z tymi wyrytymi w żelaznej masce, którą trzymałem w rękach.

– Naprawdę, Falcio? Sądzisz, że tak dobrze wiesz, co myślał? Zaręczam, w tej chwili ponownie złożę przysięgę i będę cię wspierać jako Pierwszego Kantora, póki bogowie nie zdecydują inaczej, jeśli powiesz mi, na czym polegał królewski plan.

Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Od dawna podejrzewałem też, że Allister uważał mnie za aroganckiego moralizatora spędzającego życie na próbach udowodnienia swojej wyższości wszystkim dookoła. Moje podejrzania potwierdzała częstotliwość, z jaką Allister głośno i zdecydowanie wypowiadał te lub podobne słowa prosto w moją twarz.

Ja też za nim nie przepadałem. Zbyt przypominał mi chłopców pomiatających mną, kiedy byłem młody – drwiących z tego, że mój ojciec

porzucił mnie i moją matkę oraz wymyślających nieskończoną ilość wrednych powodów, dla których miały to zrobić. Tak, zdecydowanie się nie lubiliśmy.

Ale byliśmy Wielkimi Płaszczami i w ostateczności to było najważniejsze.

– Nie wiem, jaki był plan króla – przyznałem. – Ale już mnie to nie obchodzi. – Podniosłem żelazną maskę, którą dał mi Allister. Rzeźbienia na niej były tak samo surowe, niemal prymitywne, jak te z maski, którą nosiła Święta Birgid. Wydawało mi się jednak, że oczy i usta pokazują inną odmianę przerażenia i szaleństwa. Nie różniły się niczym, jeśli chodzi o boczny mechanizm utrzymujący maskę na miejscu, miały też taki sam żelazny lejek w środku.

– Jedyne plan, który mnie w tej chwili obchodzi, tkwi w głowie tego, kto nakłada te maski na twarze świętych.

PIERWSZE OSZUSTWO

Złożyliśmy ciało świętego Anlasa w martyrium. Niektórzy z pielgrzymów zrobili kilka niepewnych kroków w naszym kierunku, być może przeczuwając w duchu, co znajduje się na koniu, a może byli po prostu ciekawi, dlaczego tak śmiało zmierzaliśmy z powrotem w ich stronę. Kest i Brasti stali po drugiej stronie bramy z bronią w ręku i wzrokiem wbitym groźnie w tłum, gotowi zająć się każdym, kto zechce nas zaczepić. Tym jednak nie martwiłem się wcale. Gdy tylko zbliżyliśmy się do wejścia, zauważyłem Quentisa Marena i jego Inkwizytorów. Nie mógł nie dostrzec, co niesie koń. Natychmiast otworzył bramy i kilku z jego ludzi rzuciło się, by nam pomóc, potwierdzając moje wcześniejsze podejrzenia.

– Ilu z nich? – spytałem, kiedy zamknęły się za nami bramy martyrium. Inkwizytor wyglądał, jakby właśnie rozważał, czy udać, że nie wie, o czym mówię.

– Ilu z kogo? – zapytał Brasti. – I czyje to ciało?

Odczekałem, aż zejdziemy z oczu pielgrzymom, po czym ściągnąłem świętego z konia i delikatnie położyłem ciało na ziemi. Skinąłem na Quentisa, żeby go zbadał, a ten ukląkł i ostrożnie rozłożył materiał, podobnie jak ja kilka minut wcześniej.

– Święty Anlas, jeśli się nie mylę – powiedział po chwili Inkwizytor. Zawahał się. – Nigdy osobiście go nie spotkałem.

Obladias, wciąż próbujący udawać niewykształconego prostego mnicha, co niezbyt dobrze mu wychodziło, potwierdził:

– To on. Znałem go dość dobrze.

– Naprawdę? – zapytał Allister. – Nigdy o tobie nie wspominał.

Mnich zareagował krótkim chichotem. Może wiedział, że święty nie mówił zbyt wiele; a może po prostu nie dbał o to, czy mu uwierzymy. Nie przejmowałem się tym specjalnie.

– Ilu, *cogneri* Quentisie Marenie? – zażądałem, cedząc nazwę jego zakonu niczym obelgę. „Cudowne uczucie. Nic dziwnego, że ludzie tak często robią to w rozmowie z nami”.

Inkwizytor milczał przez długi czas.

– Równie dobrze możesz mu odpowiedzieć – powiedział książę Jillard, podchodząc do nas. – Falcio prawdopodobnie i tak odkrył już wiele z tego, co ukrywałeś. Nie jest najbystrzejszy, ale zazwyczaj w końcu dochodzi do prawidłowych wniosków.

– Czy któryś z was dla niego pracuje? – Brasti zwrócił się do odzianych w szare szaty Inkwizytorów stojących wokół nas, a kiedy żaden z nich nie odpowiedział, spojrzał na mnie i zapytał: – Czyli nie ma żadnego powodu, dla którego nie mógłbym teraz zastrzelić księcia?

Nie przestawałem koncentrować całej uwagi na Quentisie.

– Ilu?

Inkwizytor w końcu odpowiedział:

– Dwunastu.

Dwunastu... Próbowałem zrozumieć, jak wiele trzeba było, żeby...

– Jakich dwunastu? – zapytał Brasti. – Czy ktoś mógłby mi wreszcie powiedzieć, o co chodzi, żebym mógł zdecydować, czy mnie to zajmuje?

Obladias prychnął i rzucił do księcia Jillarda:

– Trudno sobie wyobrazić, jak Rada Książęca chciała przywrócić porządek w kraju, korzystając z pomocy takich geniuszy.

Brasti wzruszył ramionami.

– Zostawiam szczegóły tamtym dwóm – powiedział. – Mój intelekt jest na to zbyt wyszkalowany.

– Miał na myśli „wysublimowany” – zauważył Kest.

– To co znaczy to pierwsze?

– Zamknijcie się obaj – powiedziałem i zwróciłem się do Quentisa: – Dwunastu martwych świętych i nie przyszło wam do głowy, by powiadomić o tym Obrońcę Królestwa?

– Albo Radę Księżęcą – dodał Jillard.

– Nie podlegam jej – odparł Quentis – ani Radzie, Wasza Łaskawość. Zakon Inkwizytorów...

Nie dałem mu skończyć.

– Kiedy słyszałem o nim ostatnim razem, Zakon miał się sprowadzać do garstki gniewnych staruszków siedzących w swoich loszkach, wpatrujących się w zardzewiałe narzędzia tortur i próbujących sobie przypomnieć, którym z nich myje się zęby – przerwałem, żeby pokazać na stojących wkoło ludzi Quentisa. – A tutaj widzę wyszkolonych zabijaków, w świeżo uszytych płaszczach, nowych pancerzach i noszących broń, która musiała kosztować wasze parafie połowę ich rezerw finansowych. Zatem powiedz mi, panie Inkwizytorze, kiedy odkryłeś, że ktoś morduje świętych?

To było, jak mi się zdawało, imponujące przesłuchanie. Nie wiem, dlaczego, ale Inkwizytorzy naprawdę mnie denerwują. Fakt, że słysząc moje słowa, Quentis aż się zjeżył, sprawił mi dodatkową przyjemność.

– Pierwsze ciało znaleźliśmy rok temu – powiedział w końcu. – Drugie sześć miesięcy później. Kolejne po miesiącu, a potem...

Moje chwilowe poczucie zadowolenia z siebie zniknęło, gdy zaczęło do mnie docierać znaczenie jego słów. Rok temu ktoś znalazł sposób na zabicie świętego. Bez wątpienia wtedy jeszcze Quentis i jego Inkwizytorzy sądzili, że to jest coś, z czym dadzą sobie radę – wypadek, który można było zachować w tajemnicy. Teraz jednak pojawiło się więcej martwych ciał i wkrótce wszyscy, zarówno szlachta, jak i chłopci, dowiedzą się, że ci, do których oni modlili się o bezpieczeństwo, sami nie są bezpieczni. Spojrzałem na bramy i pielgrzymów po drugiej stronie. „Do diabła. Oni już wiedzą, że coś jest nie tak”.

– Częstotliwość zabójstw wzrasta – powiedział Jillard. – Ale dlaczego?

Wyczerpanie wróciło, a moje rany zaczęły boleć, jakby zostały zadane przed chwilą. Zerknąłem na Quentisa, a potem na Obladiasa, zastanawiając się, czy znają odpowiedź na jego pytanie. Ja znałem, ponieważ, jak słusznie zauważył Jillard, może i nie jestem szczególnie bystry, ale wyciągam prawidłowe wnioski. Uklękłem i podniosłem ciało świętego Anlasa. Trzymając go w ramionach, ruszyłem w stronę bazyliki.

– Odpowiedź jest prosta, Wasza Książęca Mość – powiedziałem. – Temu, kto za tym stoi, zabijanie świętych idzie coraz lepiej.

Znalazłem Ethalię czekającą na mnie przed świątynią. Widzieliśmy się zaledwie godzinę wcześniej, a mimo to wyglądała, jakby minął tydzień. Włosy miała rozczochrane, ręce zwisały jej bezwładnie po bokach, a policzki znaczyły ślady łez.

– Birgid? – spytałem cicho.

– Obudziła się – odpowiedziała, co mnie zaskoczyło, a potem dodała cicho: – Ale... to już nie potrwa długo.

Poczułem się jak głupiec, stojąc z gnijącymi zwłokami jednego świętego na rękach, podczas gdy kobieta, którą kochałem, rozpadała się na tysiąc kawałków, oplakując kolejną ofiarę. Kest podszedł i zabrał ode mnie ciało, a ja w końcu mogłem przytulić Ethalię. Pozwoliła mi się obejmować przez chwilę, po czym cofnęła się o krok.

– Birgid chce cię widzieć – powiedziała.

– Nie pójdziesz sam – powiedział Quentis, podchodząc do nas. Tuż za nim szedł Obladias.

– Chciała rozmawiać z Falciem, nie z tobą – powiedziała Ethalia.

Stary mnich nie okazał najmniejszego szacunku ani wobec życzeń Birgid, ani wobec żałoby Ethalii.

– Święci, droga młódko, są własnością kościoła – odparł. – A teraz bądź tak dobra i zejź nam z drogi...

Jego słowa zostały przerwane przez skrzywienie drewnianego łączyska

napinanego przez Brastiego łuku. Strzała zaczepiona o cięciwę nie drgnęła ani przez chwilę.

– Naprawdę nie obchodzi mnie, ile masz pistoletów, Quentis – powiedział Brasti z rozmysłem. – Żaden nie będzie wystarczająco szybki, by powstrzymać mnie przed wyprawieniem staruszka w takie życie pozagrobowe, na jakie zasługuje. Może i nie jestem czołobitny...

– Miał na myśli „nie w ciemnię bity” – wtrącił Kest.

– A który z terminów oznacza, że sprytu mam na tyle, by dojść do wniosku, że ten stary drań nie jest zwykłym mnichem i pewnie chcieliby utrzymać go przy życiu?

Spojrzenie Quentisa potwierdziło podejrzenia Brastiego, ale Inkwizytor nie spuszczał wzroku ze mnie.

– Falcio, wiesz, że to poważna sprawa. Nie możesz oczekiwać, że...

– Pójdiesz ze mną – zdecydowałem, po czym zwróciłem się do Ethalii.

– Czy Birgid powiedziała, że mam być sam?

– Nie, ale...

Wziąłem ją za rękę.

– Przykro mi, ale Quentis ma rację. Gdyby sytuacja wyglądała odwrotnie, również nie pozwoliłbym, by sam rozmawiał z jedynym świadkiem... – Skrzywiłem się, wypowiadając ostatnie słowo. „Mówisz o osobie, która jest dla niej największym autorytetem na świecie”. – Musi usłyszeć, co Birgid ma do powiedzenia.

Ethalia niechętnie się zgodziła, wyjmując swoją dłoń spod moich.

– Dołączę do was – oznajmił Obladias.

„No tak, nie mogło być inaczej”. Przeniosłem spojrzenie od niego do Quentisa, wskazałem na pistolet zwisający u jego boku i zapytałem:

– Jak szybko potrafisz go wyciągnąć?

Zmrużył oczy.

– Dość szybko. Czemu pytasz?

Otworzyłem drzwi do świątyni, te, przy których stał posąg Śmierci.

– Jeśli Birgid rozpozna któregoś z was jako tego, który ją skrzywdził, przekonasz się, że nie jesteś wystarczająco szybki – odpowiedziałem.

OSTATNI ODDECH

Zejście w ciemności po kamiennych schodach *passari deo* przypomniało mi, że głównym powodem mojej niechęci do religii było modlenie się pod ziemią. Jakież bóstwo mogło uznać za dobry pomysł, by jego wyznawcy najpierw grzebali się żywcem i dopiero wtedy prosili o zdrowie i długie życie?

– Sanktuarium jest niedaleko – powiedziała Ethalia, prowadząc mnie wzdłuż wiodącego w ciemność szeregu świec, który zaczynał się u dołu schodów.

– Oni idą pierwsi – powiedziałem i odsunąłem się na bok, by przepuścić Quentisa i Obladiasa. Jeśli Birgid rozpozna jednego z nich, nie chciałem mieć ich za plecami. Sięgnąłem pod płaszcz i poluzowałem pierwszy z sześciu noży do rzucania w skórzaną kaburze. Mimo wszystkich groźnych ostrzeżeń rzucanych Quentisowi, miałem pewność, że cholernie ciężko będzie mi dobyć rapierów w ciasnej przestrzeni sanktuarium.

– Czy to pomaga? – spytała Ethalia tonem pozbawionym wyrazu. Nie odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć. Odkąd weszliśmy do korytarza, wzrok miała utkwiony przed siebie.

– Co takiego?

– Gniew. Głód przemocy. Czy to sprawia, że jesteś szybszy lub silniejszy?

– Ja... nie, niespecjalnie.

Nadal nie patrzyła na mnie.

– Czy to czyni cię bardziej przebiegłym w bitwie, czy chroni cię przed bólem? A może to sam ból sprawia, że...? – kontynuowała.

– Co? Nie, dlaczego tak mówisz? – Chciałem wziąć ją pod ramię, jednak cofnąłem dłoń, kiedy wzdrygnęła się, czując mój dotyk. – Ethalio, co się stało?

W końcu zatrzymała się i odwróciła do mnie.

– Przez pół życia uczyłam się wewnętrznego spokoju i współczucia, by móc opanować uzdrawiające techniki mojego zakonu. Ćwiczyłam tyle lat... a teraz, kiedy najbardziej potrzebuję moich umiejętności, kiedy ona najbardziej mnie potrzebuje, okazuje się, że brak mi sił, bo moja dusza zbrukana jest przez przemoc.

Szukałem słów pocieszenia i otuchy, jakiegoś jasnego, logicznego argumentu, który sprawiłby, że Ethalia przestałaby się obwiniać. Nic jednak nie przyszło mi do głowy, ponieważ uświadomiłem sobie, że nie obwinia siebie.

– Mówisz o mnie – powiedziałem. – Myślisz, że bycie ze mną, z moją... przemocą... osłabiło twoje umiejętności?

Ethalia wytarła dłonią oczy. Wyglądała, jakby nie spała o wiele za długo. Odsunęła się na bok i gestem kazała mi wejść do sanktuarium.

– Idź do Birgid. Chce z tobą porozmawiać. To jedyne, co możemy jej teraz podarować.

Sanktuarium było dużą komorą wydrążoną w ziemi i skale, wyglądającą raczej jak opuszczona nora jakiegoś wielkiego gryzonia, który dawno temu przeniósł się na bardziej obiecujące terytorium, a nie miejsce obcowania z bogami. Zacząłem szurać obcasem, ale szybko się powstrzymałem. Nie musiałem sprawdzać, czy jest tu ślisko; w takim miejscu jak to nie doszłoby do walki. Sprawdziłem jednak odruchowo, bo nie ma nic bardziej zawstydzającego niż upadek na tyłek, kiedy próbuje się pospiesznie dobyć broni. Dało się wyczuć, że ziemia jest gładza niż ściany, bez wątplenia wytarta kolanami pielgrzymów, którzy całymi tysiącami przybywali tu przez lata na modły. Jedyne ozdoby stanowiły jedwabne draperie w sześciu kolorach bogów Tristii, zwisające luźno ze ścian i poruszające się leniwie

w delikatnym podmuchu wywołanym przez nasze przejście; czułem się, jakbym wchodził do namiotu. W komorze tu i ówdzie paliły się świece, ale zapewniały niewiele światła, a moje oczy nie przyzwyczyły się jeszcze do ciemności.

– Modlimy się w ciemnościach, byśmy mogli przywołać światło – powiedział ktoś z drugiego końca sali. Z trudem rozpoznałem głos Birgid.

Białe światło na moment wypełniło pomieszczenie, by równie szybko zniknąć, czyniąc mnie jeszcze bardziej ślepy. Już miałem wyciągać nóż, gdy zdałem sobie sprawę, co spowodowało ów błysk.

– Można by pomyśleć, że jeśli bogowie chcieli, aby święci byli światłem w ciemnościach, mogli uczynić ich bardziej niezawodnymi.

– Gdyby to bogowie stworzyli świętych – odpowiedziała Birgid – jestem pewna, że zrobiliby to lepiej.

Dostrzegłem w mroku pomieszczenia rozmazany zarys ręki uniesionej nad posłaniem.

– Podejdz, bohaterze. Zostało mi mało czasu, a ty stoisz tam jak drzewo czekające na leśnika.

Podniosłem jedną z małych świec z podłogi i podszedłem do miejsca, w którym leżała Birgid.

– Wiesz, jeśli dalej będziesz mówić jak babcia, ludzie pomyślą, że nią jesteś...

Słowa uwięzły mi w gardle, gdy dotarłem do łóżka i zobaczyłem Świętą Miłosierdzia. Wiedziałem, że umiera. Doskonale wiedziałem, jak wygląda umierający, jednak nie spodziewałem się takiego widoku.

Kiedy po raz pierwszy spotkałem Birgid Co Wypłakuje Rzeki, zaledwie kilka miesięcy temu, wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia lat: blond włosy opadały jej na ramiona jak białe złoto, a jaśniejąca w promieniach porannego słońca skóra miała barwę jasnego miodu. Nawet tydzień temu, kiedy pojawiła się w Baern, z twarzą i ciałem pokrytymi brudem i ranami, pozostała w niej szczypta tego eterycznego piękna. Kobieta leżąca na

posłaniu nie była Birgid, którą znałem.

– Jestem stara – powiedziała, mrużąc oczy, co zmieniło sto zmarszczek wokół nich w tysiąc. – Pogódźcie się z tym. – Zakaszłała w skrawek białej tkaniny trzymany między zgiętymi, sztywnymi palcami i krytycznym spojrzeniem oceniła plwocinę na chusteczce.

– Czy możemy pominąć tę część, w której godzinami próbuję wytłumaczyć ci, w jaki sposób młodość, którą zachowałam, zostając Świętą, teraz ulatuje z mojego ciała? – Znowu zakaszłała. – Zresztą nie tylko ona.

Spojrzałem na Ethalię, ale ona stała przed wejściem, poza zasięgiem wzroku. Czy to stało się od razu, czy też Ethalia musiała dzień po dniu walczyć, by ocalić tę tak bliską jej kobietę, jednocześnie widząc, jak niknie w oczach?

– No cóż – powiedziałem, odwracając się do Birgid – nastawiłem się na szczegółową dyskusję o tym, jak okropnie wyglądasz, ale jeśli nalegasz, możemy przejść od razu do tego, jak brzydko pachniesz.

Usłyszałem, że ktoś za mną głośno wciągnął powietrze, ale Święta tylko się roześmiała, dzięki czemu dostrzegłem w niej odbicie tej kobiety, którą pierwszy raz spotkałem na drodze. Wyglądało na to, że swoim żartem oburzyłem Quentisa lub Obladiasa, ale Birgid nie wzięła go do siebie.

– Ach, teraz już pamiętam, dlaczego cię polubiłam, Falcio val Mondzie. Zawsze czupurny w obliczu tych, których status wymaga oddania im czci.

Rozejrzałem się i znalazłem małą, ale solidną dębową skrzynkę, która jak zakładałem, zawierała religijne teksty przechowywane w sanktuarium. Przyciągnąłem ją do posłania i usiadłem na niej.

– Dostajemy tę cechę wraz z naszym pierwszym płaszczem – odparłem.

Wyciągnęła rękę i przesunęła koniuszkami palców po mankiecie mojego rękawa.

– Niewolnik własnych ideałów – mruknęła. – W tym leży nasza jedyna nadzieja.

– Bogowie obdarzają wszelką nadzieją swych wiernych, za co winniśmy

im cześć i chwałę – powiedział za mną Obladias. – Pani, powinnaś to wiedzieć...

Komnatę ponownie rozjaśnił rozbłysk światła, kiedy Birgid na krótką chwilę otoczyła jasną poświata.

– Domyślam się, *venerati*, że jest jakiś powód, dla którego Falcio zabrał cię ze sobą. Znam go dobrze i wątpię, by było to cytowanie mi wersetów z *Canon Dei* – powiedziała chłodno.

– Tu się zgodzę – mruknąłem, po czym przeszedłem do tego, czego musiałem się od niej dowiedzieć. – Birgid, możesz mi powiedzieć, kto ci to zrobił?

– Czy wiesz, że pierwsi Tristianie przybyli tu jako niewolnicy? – odparła, ignorując moje pytanie. – Dlatego właśnie prawie wszystkie miejsca kultu są pod ziemią, nasi przodkowie zostali sprowadzeni tutaj w łańcuchach do pracy w kopalniach. Spędzali noce na kolanach, przekazując sobie każdą niewielką bryłę rudy, którą udało im się ukryć i przemycić. Po kolei wygładzając ją w dłoniach, zdierali sobie skórę, modląc się do każdego boga, który by zechciał ich wysłuchać i zniszczyć tych, którzy ich uciskali. – Spojrzała na stojących przy wejściu do sanktuarium Obladiasa i Quentisa. – Ale tego drobiazgu nie da się dowiedzieć z *Canon Dei*, nieprawdaż, *venerati*?

– Nie ma w nim też żadnej wzmianki o świętych – odpowiedział stary mnich. – Czy będziemy teraz debatować nad istotnością i tego drobiazgu?

Bezwiednie zacisnąłem szczęki i poczułem głęboką chęć, by z całą stanowczością swoją opinię na ten temat wyrazić na nosie Obladiasa. „Skup się”, skarciłem się. „Masz zadanie do wykonania, a Quentis ma naładowany pistolet przy boku”.

– Birgid, czy kiedykolwiek widziałaś jednego z tych dwóch mężczyzn? – zapytałem łagodnie.

Patrzyła na mnie przez chwilę, jakby nie zrozumiała pytania, po czym lekko się roześmiała.

– Stojąc w świętym miejscu, pytasz mnie, czy to jeden z nich mnie schwytał, zakuł w żelazną maskę, wlewał straszliwe płyny do gardła i kaleczył moje ciało? Chcesz wiedzieć, czy morderca świętych stoi w odległości kilku stóp od ciebie, żebyś mógł wyzwąć go na śmiertelny pojedynek i zaoszczędzić wszystkim mnóstwo czasu?

– Kiedy mówisz o tym w ten sposób, nie brzmi to jak zbyt mądry plan.

Birgid podniosła rękę i gestem wskazała mi, żebym się nachylił. Gdy to zrobiłem, szepnęła mi cicho do ucha:

– Nie wiem.

Kiedy chwilę później lekko odepchnęła mnie od siebie, w jej oczach widziałem łyzy bezradności.

– Ta maska... uwięziła nie tylko moje ciało – powiedziała. – Odebrała mi też moc świętej.

Bardzo chciałem ją zapytać o szczegóły – naprawdę nie miałem pojęcia, co to znaczy być świętym – ale czułem, że czas ucieka. „Zajmij się tym, na czym się znasz”, przypomniałem sobie. „Zajmij się przestępstwem”. Zmieniłem więc temat:

– Jak się uwolniłaś? Jak udało ci się dostać do Baern?

Milczała krótką chwilę, po czym zaczęła mówić:

– Przykuli mnie łańcuchami do ściany. Gdy wszystkie inne metody zawiodły, zaczęłam walić w nią głową tak długo, aż udało mi się uszkodzić maskę. Jeden ze strażników próbował mnie zatrzymać, ale dzięki naruszonemu zamknięciu maski i jego słabej woli odkryłam, że mogę napełnić go boskim Zachwytem. Skłoniłam go, by mnie uwolnił, a potem... ruszyłam przed siebie. Byłam otepiała, moje myśli spowijała mgła tak gęsta, że mijające dni i pokonane mile nic dla mnie nie znaczyły. Zresztą, szłam tak długo, że nawet gdybym potrafiła je zliczyć, i tak szybko straciłabym rachubę. Kierowała mną wewnętrzna potrzeba, nawet gdy nic nie widziałam, nie słyszałam ani nie myślałam.

– Potrzeba? – przerwałem, ale zignorowała moje pytanie.

– Nie potrafię wskazać osoby, która wyrządziła mi te krzywdy, Falcio. – Spojrzała na Quentisa i Obladiasa. – To mógł być jeden z nich, to mogłeś być nawet ty. Ta cholerna maska... – Na moment zamknęła oczy, wyraźnie opadła z sił.

– Birgid? – Nienawidziłem się za to, ale musiałem dowiedzieć się więcej.

– To człowiek, którego od razu wyczuwa się w otoczeniu. – Zaczęła powoli mówić, jakby szukała słów, by właściwie opisać naturę wroga. –

O ogromnym, a zarazem strasznym umyśle, który nie zawaha się przed niczym, by podporządkować sobie cały świat. – Otworzyła oczy. – Falcio, jego plany nie uwzględniają istnienia Miłosierdzia. Zniszczy je, jeśli go nie powstrzymasz.

Quentis Maren odezwał się po raz pierwszy:

– Dlaczego zabija też pozostałych, o Święta? Może gardzić Miłosierdziem, ale dlaczego chce zgładzić pozostałych?

– Podejrzewam, że lista rzeczy, którymi gardzi jest o wiele dłuższa. – Przesunęła się na posłaniu. – Czy wiesz, dlaczego powstał Święci, Inkwizytorze? Mieliśmy kiedyś cel i nie było nim błąkanie się po świecie, rozdawanie błogosławieństw na weselach i żniwach czy bycie czczonym.

Quentis podszedł nieco bliżej. Wsunąłem dyskretnie dłoń pod płaszcz, ale Birgid powstrzymała mnie, dotykając mojego ramienia. Inkwizytor przemówił ostrożnie i z szacunkiem:

– Wiem tyle, ile mnie nauczono, Pani, ale mam poczucie, że się z tym nie zgadzasz.

– Zatem zaufaj temu wrażeniu, Inkwizytorze, jako że to rzadka zaleta wśród tych, którzy wybierają twój idiotyczny zawód. Powiedz, ilu tak zwanych heretyków torturowali dzisiaj podobni tobie? Ilu starców czy małych dzieci poszło pod nóż za błędne zacytowanie jednego z kanonów?

– To były inne czasy, Pani, kiedy jeszcze mój zakon opacznie rozumiał swoje boskie powołanie – odparł Quentis.

Birgid parsknęła cicho.

– Inkwizytorze, jedyną rzeczą, jaką należy rozumieć, to fakt, że bogowie każdego z nas uważają za głupca.

Trzeba przyznać, że Quentis dobrze przyjął jej szyderczą uwagę i tylko się uklonił.

– Wszyscy mamy role do odegrania, Pani.

– Jaka jest zatem faktyczna rola świętych? – spytałem, nie chcąc tracić czasu na teologiczną dyskusję.

Birgid otworzyła usta i przez chwilę, przez ułamek sekundy myślałem, że mi odpowie. Zamiast tego zacisnęła wargi.

– Nie. Jest to coś, co każdy Święty odkrywa sam. Nie dzielimy się tym z niepowołanymi, a ja nie mam zamiaru być pierwszą, która złamie to prawo.

Zaniosła się kaszlem tak silnym, że pomyślałem, że właśnie wydaje ostatnie tchnienie. Kiedy jednak udało jej się powstrzymać spazmy, powiedziała:

– Ethalio! Jeśli nie jesteś zbyt zajęta spaniem z mężczyznami za pieniądze, możesz przynieść mi herbatę?

– To nie ja przespałam się z Caveilem Co Tnie Wodę – powiedziała Ethalia ze złośliwym uśmiechem, pochylając się nade mną, by podać Birgid kubek. W powietrzu uniósł się zapach cytryny i korzenia imbiru. – Niech no pomyślę, kto zaszedł z nim w ciążę i urodził Shurana, który prawie zniszczył nasz kraj? Zastanawiam się, o, mądra i czcigodna Święta, czy może nie powinniśmy wstrzymać się z wzajemną oceną naszych zawodów?

Śmiech Birgid był zmęczony, urywany i piękny. Byłby cudownie zaraźliwy, gdyby tak wyraźnie nie zwiastował jej rychłego końca. Oddała Ethalii kubek i dotknęła jej dłoni.

– Jesteś najlepsza z nich wszystkich – powiedziała. – Zawsze miałam miejsce w ramionach i w sercu dla tej małej buntowniczkii.

Coś mokrego dotknęło mojej twarzy i zdałem sobie sprawę, że Ethalia

płacze; pochyliła się nade mną, by odpowiedzieć Birgid uściskiem dłoni, a łzy kapały na mnie z jej policzków. Życie, które niegdyś było mierzone w stuleciach, zostało skrócone do tygodni, dni, wreszcie do minut.

Wciąż miałem dziesiątki pytań, ale najwyraźniej Birgid nie miała już ochoty odpowiadać na żadne z nich. Powiedziała mi wszystko, co chciała powiedzieć, a teraz przyszedł czas, by mogły z Ethalią same spędzić ostatnie chwile.

Ale Birgid zaskoczyła mnie, puszczając dłoń Ethalii i chwytając moją słabnącymi palcami.

– Czy zrobisz coś dla mnie, bohaterze?

– Oczywiście – odpowiedziałem.

Trzymając nas oboje za ręce, powiedziała:

– Wynieś mnie z tego ciemnego, pustego miejsca na zewnątrz, żebym mogła zaczerpnąć swój ostatni oddech w świetle dnia i z nim w płucach udać się w dalszą podróż.

Najostrożniej i najdelikatniej jak tylko mogłem, wsunąłem dłonie pod jej wątłe ciało i podniosłem z łóżka. Była tak lekka, że zastanawiałem się, czy już nie jest duchem, a ja tylko wyobrażam sobie, że ją trzymam.

Wyszedłem powoli z mrocznej komnaty. Święta Miłosierdzia zdawała się tak krucha w moich ramionach, że obawiałem się, że każdy nagły ruch może połamać jej kości. Obladiaz i Quentis odsunęli się ze spuszczonego wzrokiem, może z szacunku, a może dlatego, że byli ludźmi religijnymi i zbyt trudno było im patrzeć na jednego ze świętych w takim stanie. Ethalia nie odwróciła wzroku, ujęła dłoń Birgid i patrzyła jej prosto w oczy.

Kiedy dotarliśmy do szczytu schodów, rozejrzałem się po kolorowych ścianach sanktuarium. Zaskoczyła mnie myśl, że nie wiem, którymi drzwiami mam wyjść, za którym z bogów podążyć. W końcu poszedłem do bladofioletowej ściany i drzwi strzeżonych od zewnątrz przez posąg bogini miłości.

– Nadal są rzeczy, które warto ocalić – powiedziała Birgid, kiedy

wychodziliśmy na ciepłe słońce.

Lekka bryza uniosła cienkie pasma białych włosów z jej twarzy – to najbliższe boskiego cudu, czego mogliśmy w takiej chwili oczekiwać. Birgid wyglądała na zadowoloną, uśmiechając się szeroko niczym gracz, który właśnie odsłonił karty i zgarnął całą wygraną. Jej dar rozbłysnął na krótką chwilę i otoczył nas delikatnym blaskiem, ledwo widocznym w popołudniowym słońcu. Ethalia stała blisko i uśmiechała się do Birgid, próbując wypełnić miłością jej ostatnie chwile na tym świecie.

I wtedy właśnie poczułem desperackie pragnienie, by to wszystko już się skończyło. Ethalia była załamana, powinienem być przy niej, wesprzeć ją, kiedy pogrzeży się w żałobie, i pomagać, gdy będzie starała się wrócić do zdrowia.

Zamiast tego musiałem znaleźć i zabić tego, kto stał za tym wszystkim.

Przypomniałem sobie opis przedstawiony przez Birgid: „To człowiek o ogromnym, a zarazem strasznym umyśle, który nie zawaha się przed niczym, by podporządkować sobie cały świat”.

Miałem serdecznie dość tych, którzy wciąż próbowali zbrukać i zniszczyć to, co mój król z takim trudem starał się zbudować, w służbie czego tak wielu Wielkich Płaszczy oddało życie.

Birgid przesunęła się w moich ramionach i spojrzałem w dół. Położyła mi dłoń na karku, przyciągając mnie do siebie.

– Czy... czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Nie odpowiedziała, ale poczułem, że bierze oddech tak głęboki, że zacząłem się martwić, czy jej żebra to wytrzymają. Trzymała go długo, a potem pocałowała mnie w policzek i szepnęła:

– Wybacz mi, Falcio. Oszczędziłabym ci tego, gdybym mogła.

Poczułem w trzewiach palący wstyd. Kiedy tak stałem, pozwalając, by przepełniało mnie wzburzenie, ona gotowała się na śmierć. Uśmiechnąłem się krzywo i już chciałem powiedzieć coś, co pomoże Świętej Miłosierdzia zaśmiać się po raz ostatni, ale kiedy spojrzałem na nią, zorientowałem się, że

jest już za późno. Czekałem, myśląc, że jej światło rozbłyśnie po raz ostatni lub że niebo rozstąpi się nad nami i zapłacze nad jej odejściem rześistym deszczem i piorunami. Czekałem nawet wtedy, gdy podszedł do nas Quentis, a stary mnich Obladius zaczął mamrotać pod nosem bezużyteczną modlitwę, której w tej chwili żądali od niego bogowie. Ktoś wymówił moje imię, ale zignorowałem to. Jeszcze przed chwilą miałem nadzieję na szybki koniec, a teraz nie mogłem pozwolić jej odejść.

Dopiero gdy poczułem, że ktoś próbuje mi ją odebrać, uklęknałem i złożyłem jej ciało na miękkiej trawie. Wpatrywałem się w twarz Birgid, chcąc, by wyglądała spokojnie lub pogodnie, czy jakkolwiek mówi się o zmarłych w takiej chwili, relacjonując ją później innym, nawet jeśli to kłamstwo. Widziałem w życiu wielu martwych ludzi. Wyglądają po prostu martwo.

– Falcio?

Usłyszałem Ethalię. Dotarło do mnie, że woła mnie nie po raz pierwszy.

– Dlaczego to powiedziała? – spytałem. – Dlaczego poprosiła mnie, bym jej wybaczył?

Kiedy Ethalia nie odpowiedziała, próbowałem się odwrócić, i dopiero wtedy poczułem, jak ciężkie i ospałe są moje ruchy. Nie mogłem wstać. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zostałem uderzony w tył głowy, czy Quentis nie postrzelił mnie w plecy – czasami mija kilka sekund, nim dotrze do ciebie, że jesteś ranny. Nie mogłem sobie jednak przypomnieć ani strzału, ani uderzenia. Po prostu nie mogłem się podnieść.

Trawa pod moimi stopami na chwilę pojaśniała, jakby słońce wyszło zza chmur. „To nie to. Na niebie nie było żadnych chmur”. Odpowiedź nadeszła, zanim jeszcze udało mi się wykrzesać z siebie wystarczająco dużo siły woli, by zmusić moje ciało do odpowiedzi, zażądać od rąk, by wsparły moje nogi, od nóg, by się wyprostowały. Stojąc prosto, zanim jeszcze się odwróciłem, zrozumiałem, dlaczego w ostatnich słowach Birgid prosiła mnie o przebaczenie. Wiedziałem, co skłoniło ją, by z uporem bić głową w ściany

więzienia, póki nie udało jej się uciec, i wiedziałem, że w rzeczywistości to nie mnie szukała wtedy w pałacu Baern.

Wiedziałem o tym, zanim jeszcze się odwróciłem i odkryłem, że źródłem światła jest nowa Święta Miłosierdzia.

„Jego plany nie uwzględniają istnienia Miłosierdzia. Zniszczy je, jeśli go nie powstrzymasz”.

ŚWIĘTA MIŁOSIERDZIA

Wyciągnąłem do niej rękę. To coś, co się robi, gdy ukochana kobieta jest przerażona i cierpi. Gdy właśnie staje się kolejnym celem człowieka, bezkarnie mordującego tych, którym inni oddają cześć.

„Rusz się”, pomyślałem. „Ethalia cię potrzebuje”.

Stała w odległości sześciu stóp ode mnie, oświetlona delikatnym blaskiem świętości, która jeszcze niedawno należała do Birgid Co Wypłakuje Rzeki. Stała z założonymi rękami i wpatrywała się w ziemię, jakby ta była bardzo daleko, jakby obudziła się i znalazła na skraju wysokiego na setki stóp urwiska, patrząc na rodzinną wioskę i próbując bezskutecznie dojrzeć swój dom. Bezskutecznie, ponieważ wszystko nagle stało się zbyt małe.

Zwykle nie zdarza mi się być tak poetyckim, cała ta historia z urwiskiem i wioską może więc zostać uznana za pierwszy dowód na to, że coś było bardzo nie w porządku.

„No dalej”, rozkazałem mojemu umysłowi i ciału, „podchodzimy do Ethalii”.

„Pracujemy nad tym”, odparły zgodnie.

Blask, którym emanowała, przygasł i mogłem postawić pierwszy powolny krok w jej stronę. Słyszałem wiatr szeleszczący liśćmi na drzewach, owady w trawie i ludzki zgiełk z oddali, zatem wiedziałem, że to nie czas stanąć w miejscu, tylko ja. „Jeszcze tylko kilka kroków”, powiedziałem sobie, „i będziesz mógł ją przytulić, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że rozwiążecie ten problem razem. Obiecasz, że ją ochronisz. A jeśli po tym wszystkim nie spojrzysz na ciebie jak na idiotę, poprosisz ją

o rękę”.

Usłyszałem krzyki Kesta i Brastiego biegnących w moją stronę; nie zdawali sobie sprawy, że ich głosy tłumił szum krwi w moich uszach.

Zrobiłem kolejny krok. „Wystarczająco blisko”, pomyślałem i wyciągnąłem rękę, chcąc dotknąć jej chociaż koniuszkami palców i przyciągnąć do siebie. „To rozwiąże wszystkie problemy. Porozmawiamy, zażartuję, ona uda, że ją to bawi. Poradzimy sobie. Razem”.

Opuszkami palców lekko musnąłem skórę na jej ramieniu i uśmiech, o którym myślałem już kilka sekund wcześniej, w końcu zawitał na mojej twarzy. Wtedy ona odwróciła się i zobaczyła moją wyciągniętą rękę.

Wszystko o Ethalii da się wyczytać z jej oczu.

Strach. Zmieszanie. Odraza.

– Zostaw mnie! – krzyknęła.

– Ethalio, to ja... twój...

– Nie dotykaj mnie tymi rękami – powiedziała przepełnionym smutkiem, ale nieustępliwym głosem. – Pełnymi przemocy, zdolnymi wyłącznie do trzymania miecza i przelewania krwi...

Kiedy uciekła ode mnie przez drzwi do bazyliki, przyszło mi do głowy stare powiedzenie:

Deato mendea valus febletta.

„Bogowie każdego obdarzają słabością”.

– Mamy problem! – zawołał Kest, biegnąc w moją stronę. Brasti biegł tuż za nim.

„«Mamy problem». Naprawdę? Duży czy mały problem? Czy ma to coś wspólnego z rosnącą liczbą martwych świętych wokół nas, czy to może coś bardziej banalnego, jak ukochana kobieta uciekająca ode mnie z obrzydzeniem?”

– Daj mi chwilę – odparłem.

Kest złapał mnie za ramię i potrząsnął. Rzadko robi to bez ważnego powodu.

– Falcio, chwila to wszystko, co nam zostało. Pielgrzymi szturmują bramę, słyszysz?

– Książę Jillard już dał nogę – powiedział Brasti. – Wystarczyło, że raz spojrział na tłum i czmychnął, gdzie pieprz rośnie, a z nim jego zbrojni.

Krzyki stały się głośniejsze, a Kest ponownie mną potrząsnął i powiedział:

– Falcio, brama nie wytrzyma długo. Allister znalazł tylne wyjście z martyrium, ale jeśli pielgrzymi odkryją je, zanim uciekniemy, będziemy w pułapce.

Z całą pewnością brzmiało to poważnie. Pielgrzymi. Brama. W pułapce. Bardzo poważne słowa, powiedziane poważnym tonem przez bardzo poważną osobę. Dlaczego w takim razie nie mogłem ich zrozumieć? Musiałem zacząć jasno myśleć. Poczułem głęboką potrzebę, by dźgnąć kogoś rapierem. „Chociaż ostatnio nawet i to nie działało...”

– Co, na lewy cycek Świętej Lainy, jest z nim nie tak? – zapytał Brasti.

– Wygląda na to, że wciąż jest pod wpływem Zachwytu – odpowiedział Quentis Maren. – To duchowy wpływ, jaki mają na nas święci; każdy z nich manifestuje go w inny sposób, stosowny dla ich natury.

Święty Zachwyt wydawał się rozsądnym wyjaśnieniem. Maren mógł to równie dobrze właśnie wymyślić. „Stój. Skup się. Co się dzieje?”

– Niezależnie od przyczyny musimy wyprowadzić stąd Ethalię, zanim wtargnie tłum – powiedział Kest.

Krzyki na zewnątrz nabierały mocy.

– Możecie uciekać, kiedy wam się żywnie podoba – powiedział Obladias. – Ale Święta Miłosierdzia zostaje z nami. Tylko my możemy szkolić ją i chronić, gdy będzie dojrzywać do swojej świętości. To kwestia znacznie wykraczająca poza wasze zrozumienie, a tym bardziej poza waszą jurysdykcję.

– To logiczne – powiedziałem. – Rozsądne, praktyczne myślenie, *venerati*. – Sam nie miałem zamiaru stosować takowego. Zwróciłem się do

Kesta: – Przeprowadź Ethalię z sanktuarium. Myślę... że będzie dla niej lepiej, jeśli ty z nią porozmawiasz.

– Zakładając, że uda mi się nakłonić Świętą Miłosierdzia, by mnie posłuchała, co dalej? – zapytał Kest.

– Zabierz ją do Allistera i koni. Ja i Brasti spotkamy się tam z wami za chwilę i ruszymy do Aramoru.

– Falcio, zdajesz sobie sprawę, że nieco rozmija się to z tym, co sugeruje Obladias?

– Tak, jestem świadomy różnicy. Przekazał nam swoje bardzo jasne, rozsądne zdanie w tej sprawie, a my zrobimy coś dokładnie odwrotnego.

– Nie pozwolę na to, trattari – powiedział Obladias.

– Ruszaj – powiedziałem do Kesta. – Brasti i ja dołączymy do was, kiedy tu skończymy.

– Co skończycie?

W tej oto chwili dla Obladiasa miarka się przebrała.

– Inkwizytorze Marenie, na rozkaz Świątyni i na boską chwałę, wyciągnij broń i zastrzel tego człowieka.

Nie chciałem walki. Rozsądek podpowiadał mi, że ten zatarg może nas później drogo kosztować. Jednak głos rozsądku był w tym momencie bardzo, ale to bardzo cichy.

– Falcio... – zaczął ostrzegawczym tonem Quentis. Jeszcze nie sięgnął po pistolet, co powiedziało mi wiele o sytuacji.

– Quentisie, jeśli myślisz, że pozwolę ci zabrać kobietę, którą kocham, i zamknąć ją gdzieś, byście mogli zmienić ją w oswojoną Świętą, to jesteś nawet bardziej szalony niż twój towarzysz. A sądząc po szyderyczym wyrazie jego twarzy, powiedziałbym, że jest on na tyle szalony, żeby zaraz powiedzieć coś, czego szybko pożałuje.

„No dalej, dupku. Daj mi tylko powód”.

Mnich – chociaż teraz miałem już pewność, że nie był tylko mnichem – warknął:

– Posłuchaj mnie, trattari. Nie obchodzi mnie, jaki związek miałeś wcześniej z tą kobietą, ale teraz jest Świętą, co czyni ją własnością świątyni. Własność świątyni. W porządku, to mi wystarczy.

W powietrzu rozbrzmiał cichy szept stali przesuwającej się po skórze, gdy mój rapier wysunął się z pochwy. Koniec ostrza zatrzymał się o cal od szyi Quentisa Marena, jeszcze zanim jego dłoń dosięgła broni.

– Ostrzegałem cię, że jestem szybki, kiedy naprawdę się na tym skupię – powiedziałem.

– Igrasz z losem – odparował. – Skąd pewność, że nie mam wkoło ludzi gotowych do strzału?

– Och, jestem niemal pewny, że kilku z nich miało czekać w gotowości, by zastrzelić mnie, gdy tylko wyjdziemy z bazyliki. Ale z tego, co słyszę, dwustu szalonych zelotów właśnie wyważyła frontową bramę i myślę, że ci strzelcy pobiegli pomóc swoim towarzyszom. – Wpatrywałem się w niego uważnie, aby zobaczyć, jak zareaguje na to, co powiedziałem potem. – Ci pielgrzymi nie podjęli decyzji o szturmie na martyrium ot tak. Ktoś im powiedział, że jest tu ciało Świętego Anlasy. Ktoś wywołał w nich ten szal. Jak myślisz, kto przekazał im tę informację? Bo mi się wydaje, że wśród twoich ludzi jest szpieg.

Trzeba mu przyznać, że nawet nie mrugnął.

– Jeśli któryś z moich Inkwizytorów zdradził, znajdę go. A tymczasem... – zaczął.

– Tymczasem – przerwał mu Brasti z łukiem gotowym do strzału – powinniście zacząć przygotowywać prawdziwie inspirujące przemówienie do pielgrzymów; ta brama długo nie wytrzyma, a Kest i ja przed przyjściem tu zrobiliśmy wam małego psikusa.

– A mianowicie? – spytał Inkwizytor.

– Wypuściliśmy wszystkie wasze konie. Sądząc po tym, jak szybko uciekały, domyślałam się, że nie przepadają za tłumem lekko szalonych, wrzeszczących ludzi.

– Wiesz, że mógłbym cię teraz pocałować, prawda? – powiedziałem do niego.

– Nie pora na sentymenty. – Brasti wciąż celował w Quentisa, gdy zaczęliśmy się wycofywać, zmierzając w kierunku ścieżki prowadzącej do tylnego wyjścia. Ścigały nas klątwy Obladiasa; tristiańska religia może poszczycić się paskudnymi przekleństwami, które skazują człowieka na najrozmaitsze piekielne udreki. No cóż, przeklinano mnie już wiele razy i nic przesadnie złego jeszcze się nie wydarzyło, prawda?

– Powiedz mi, jak to się skończy, Falcio? – zapytał Quentis, obserwując nasz odwrót. – Święci umierają, ludzie są przerażeni i wkrótce już wszyscy będą wiedzieć, że ich życie jest jeszcze mniej warte, niż sądzili. Jakakolwiek siła za tym stoi, jest bardziej zabójcza, niż wszyscy sądziliśmy, bardziej niż wszelkie stworzenia na tym świecie, odkąd bogowie sami po nim chodzili. Cóż takiego możesz zdziałać ze swoją garstką Wielkich Płaszczy?

– To proste – odpowiedziałem. – Znajdziemy sukinsyna, który zabił Birgid, a potem go zaaresztuję.

STRZASKANE KAMIENIE

W obliczu niebezpieczeństwa, siedząc na bojowym wierzchowcu z uniesionym mieczem, gdy na głowę pada deszcz, niezwykle trudno jest utrzymać wysokie mniemanie o sobie. Przede wszystkim jazda z wyciągniętym rapierem sprawia, że wygląda się później zabawnie z obolałym ramieniem i zardzewiałym ostrzem. Nadto jeśli zmusza się konia do jazdy z dużą prędkością podczas ulewy, zazwyczaj kończy się to śmiercią zwierzęcia. Szóstego dnia po opuszczeniu martyrium ta perspektywa wydawała się całkiem bliska.

– Przestań przeskakiwać wszystko, co jest na drodze, cholerny bydlaku – powiedziałem do swojego konia po raz setny, ale ten jak zwykle mnie zignorował.

Nigdy nie miałem zbyt dobrych relacji z końmi. Nie, że ich nie lubię, bo przecież kto nie lubi koni? To one nie odwzajemniają mojego uczucia.

Mój obecny wierzchowiec, kasztanowy tivańczyk, był hodowany jako rasa idealna do podróży przez surowe, górskie tereny, i żeby nie wyjść z wprawy skakał dziko przez każdą kałużę, wybój czy dziurę na naszej drodze. Z każdą pokonaną milą byłem coraz bliżej szaleństwa przez jego chwiejny, niepewny chód. Nie pomagał fakt, że większość czasu spędzałem, obserwując Ethalię, jadącą kilkanaście jardów przed nami, ulegającą stopniowo Świętej Gorączce. „O wiele szybciej niż Kest”, pomyślałem.

Starłem się być blisko niej, próbowałem uspokoić ją swoją miłością, ale to tylko pogarszało sprawę.

– Może powinniście porozmawiać – zasugerował Brasti.

– Próbowałem – odparłem. – Wszystko, co od niej słyszę to „Jakoś to

zniosę”.

– Nie, nie, miałem na myśli konia. Bądź miły dla biedaka, może nadasz mu imię?

Widok gałęzi, czy raczej gałązki, grubej na dwa cale, leżącej na ścieżce sprawił, że tivańczyk wyskoczył na kilka stóp w powietrze, niemal wyrzucając mnie z siodła.

– Przestań, bydlaku! – krzyknąłem.

– „Bydlak” to okropne imię, niezależnie od zwierzęcia – zakpił Brasti.

– Ostatniego wierzchowca nazwał „Bestią” – rzucił przez ramię jadący nieco przed nami Kest.

– Bo miała kły – odparowałem. – Imię pasowało doskonale.

Kilka sekund później wiewiórka przemknęła przez drogę przed nami, a mój cholerny koń skoczył ku niej ochoczo, jakby zastanawiał się, czy nie pobawić się z nią w berka.

Musiałem stanowczo ściągnąć lejce, żeby znów ruszyć w dobrym kierunku.

– Zostajemy przy bydlaku, to już postanowione – poinformowałem go.

– Świątynia przed nami – zawołał Allister.

– Nie posiadamy się z radości – powiedział Brasti, stając w strzemionach, by spojrzeć na drogę przed nami. – Może do siedmiu razy sztuka.

Nie mogło być inaczej. Zatrzymywaliśmy się przy każdej przydrożnej świątyni na drodze wiodącej z Baern w nadziei na znalezienie czynnego sanktuarium. Nie byliśmy do końca pewni, czego szukamy, za to byliśmy przekonani, że jeszcze tego nie znaleźliśmy.

– Jakoś to zniosę – mówiła Ethalia za każdym razem, gdy nie udawało nam się znaleźć miejsca, którego duchowe moce mogłyby złagodzić jej cierpienie.

Również za każdym razem czekałem, aż odjedzie dość daleko, nim zwracałem się do Kesta z pytaniem: „Ile czasu minie, zanim zupełnie się temu podda?”.

Nie, żeby kiedykolwiek udzielił mi użytecznej odpowiedzi. W jego przypadku minęło więcej czasu, nim zaczął odczuwać skutki Gorączki Świętego podczas krótkiego bycia Świętym od Mieczy. Równie dobrze jednak powodem mogło być to, że Kest jest tak cholernie zdyscyplinowany, że zapomina o agonalnym bólu, nawet gdy kula z pistoletu tkwi mu w ramieniu. „Albo kiedy ostrze jego najlepszego przyjaciela odcina mu dłoń”, przypomniałem sobie.

– Ten też się nie nada! – odkrzyknął Allister.

On i Ethalia już zsiadli z koni i sami ruszyli w stronę zabudowań. Kest, Brasti i ja poszliśmy za nimi.

– Większość zniszczeń jest stara – powiedział Allister, obserwując zrujnowane ściany i rozpadające się sufity. Ukląkł, by przyjrzeć się fragmentowi rozbitej drewnianej ambony. – Niektóre z uszkodzeń są nowsze, mają może sześć lub siedem tygodni.

To mnie martwiło: zniszczenia były zbyt świeże, by można było uznać je za przypadkowe, ale i zbyt stare, byśmy mogli śledzić tych, którzy je wyrządzili.

– Wygląda na to, że ambonę rozrąbano toporem – zauważył Kest.

– Może, ale na drzwiach widzę ślady broni obuchowej – odparł Allister i odsunął z drogi połamaną drewnianą poręcz, by móc spojrzeć w dół schodów prowadzących pod ziemię. – Sam brud i gruz. Kamienie wyglądają, jakby ktoś metodycznie roztrzaskał je młotem.

Kest zwrócił się do mnie:

– Te kamienie wyznaczają granice sanktuarium. Nowi święci przebywają tu, póki Gorączka nie przeminie.

– Jak to działa? Jaki... proces pozwala się jej pozbyć?

Kest wzruszył ramionami i odparł:

– Nie potrafię ci odpowiedzieć. Nie byłem Świętym od Mieczy wystarczająco długo, by poznać, jak to wszystko działa.

– Pewnie dlatego nigdy ci to nie wychodziło – zasugerował Brasti. –

Może powinni rozdawać małe broszury dla nowych świętych, no wiecie, coś w rodzaju przewodnika pomagającego przetrwać kilka pierwszych miesięcy.

Zignorowałem go. Znowu zaczęło mżyć.

– Chodźmy stąd – powiedziałem. – Może następne sanktuarium będzie nietknięte.

– Wiesz, gdyby jeden z tych kapłanów wpadł na pomysł, żeby erygować sanktuarium w tawernie, byłoby to najlepiej utrzymane i najczęściej odwiedzane miejsce kultu religijnego w tym kraju – zauważył Brasti, podnosząc kołnierz płaszcza.

Kiedy wróciłem na zewnątrz, ujrzałem Ethalię stojącą przy swoim wierzchowcu. Włosy miała splątane od deszczu i wiatru, jej blada skóra zdawała się jeszcze jaśniejsza na tle szarych chmur nad jej głową.

Ruszyłem w jej stronę.

– Czy...? – zacząłem.

– Jakoś to zniósę – odpowiedziała, nie wysłuchawszy pytania do końca. Wsunęła stopę w strzemień i lekko wskoczyła na siodło, po czym ruszyła spokojnym stępem.

Odprowadziłem ją wzrokiem. Takie sytuacje powoli stawały się naszą rutyną, jakby nawet moja troska była dla niej bolesna.

Poczułem dłoń na ramieniu.

– Ona naprawdę tak nie myśli – powiedział Kest. Kiedy nie odpowiedziałem, dodał: – Zostaje nam sanktuarium Świętego Forzy Co Zadaje Cios, na granicy niedaleko Aramoru. Tam znalazłem ukojenie. To nie więcej niż trzy dni drogi stąd.

– A jeśli też zostało zbezczeszczone? – spytałem, wsiadając na konia. Te akty zniszczenia nie były przypadkowe. Nie chodziło tylko o długotrwały i stały spadek pobożności w Tristii. Ktoś miał plan, a ja czułem, że wciąż pozostaję daleko z tyłu.

Brnęliśmy tak dzień za dniem, oglądając monotony krajobraz, mijając

duże i małe wioski. Mieszkający w pobliżu drogi ludzie twierdzili, że nie mają pojęcia, co się dzieje, i niezbyt ich to obchodzi, choć szybko obwinili nas za to, że nie udało nam się ochronić świątyń. Kiedy o tym wspomniałem, Allister uraczył mnie dłuższą tyradą.

– Ten kraj nie przestał pogrążyć się w ruinie w dniu, w którym ponownie wprowadziliście się do zamku Aramor – powiedział, rzucając mi swoje typowe groźne spojrzenie. – Fakt, rycerze przestali walić w drzwi i domagać się podatków dwa czy trzy razy o każdej porze roku, ale zastąpili ich bandyci i rozbójnicy, którzy ochoczo zabrali się za szerzenie chaosu. Mieszkańcy królestwa są biedni, boją się, a ty wysyłasz ludzi, by krzyczeli „Nadchodzą Wielkie Płaszczce! Nadchodzą Wielkie Płaszczce!” w każdej gospodzie, co naprawdę nie poprawia sytuacji.

– To nie była cała wiadomość – odparłem.

– Doprawdy? – spytał Allister. – A zatem bardatti po prostu zapomnieli wspomnieć, do którego z sądów zostaliśmy przydzieleni lub kto uzupełni nam rezerwy złotych monet, którymi opłacaliśmy przysięgłych? Zabrakło mi zapasów wiele lat temu, ani jednej twardej lukrecji, bursztynowego światła, czy czarnej mgły. – Przesunął dłonią po przodzie płaszczka. – Trzy z kościanych płytek połamały się jakiś czas temu. Czy ktoś z was wie, jak je wymienić? Ja nie byłem nawet w stanie ustalić, jakie zwierzę ma tak cienkie i mocne kości.

– Wiesz, Allister, twoje biadolenie odbiera mi całą przyjemność z podróży – – powiedział Brasti, sięgając do kieszeni płaszczka i wyciągając jabłko. Ugryzł kęs i uśmiechnął się. – Może gdybyśmy znaleźli ci jakąś porządną broń, nie musiałbyś żyć w ciągłym strachu.

Nie zsiadając z konia, Allister od niechcienia sięgnął do tyłu i wyjął zza pleców okutą żelazem laskę. Pozwolił jej wsunąć się w dłoń, zakręcił i wykonał błyskawiczny ruch nadgarstkiem. W jednej chwili laska była w pełni wyciągnięta do przodu, a jabłko Brastiego poleciało do rowu.

– Daj znać, kiedy będziesz chciał powalczyć, Goodbow. Kest mówi, że

walczysz mieczem jeszcze gorzej, niż kiedy ostatnim razem zwałem cię z nóg.

Potem padło wiele niepotrzebnych słów. Brasti, Kest i ja spędziliśmy razem tyle czasu w ciągu ostatnich kilku lat, że zapomniałem, jak skłonni do rywalizacji potrafią być członkowie Wielkich Płaszczy, kiedy się spotkają. Ta zażarta dyskusja nad bronią i taktyką przynajmniej poprawiła nastrój Allistera. Zwykle przyłączałem się do tych rozmów z radością – zwłaszcza że rapier jest najwspanialszą bronią, jaką kiedykolwiek wymyślono – ale moje myśli były zajęte wizjami ciężkich żelaznych masek, zbezczeszczonych świątyń i płytkich nacięć na skórze Birgid. Jak nasza garstka Wielkich Płaszczy miała ochronić dziesiątki świątych i setki świątyń, skoro nawet nie wiedzieliśmy, z jakim przeciwnikiem mamy do czynienia?

Nic dziwnego, że ci pieprzeni kapłani zwrócili się o pomoc do Inkwizytorów.

– Powinniśmy się zatrzymać na noc – powiedział Kest, wyrywając mnie z zamyślenia. – Słońce świeci coraz słabiej, a szanse, że któryś z koni się potknie i przewróci, wzrosną po zmroku.

– Jeździłem wcześniej tą drogą, kiedy miałem przydzielony Siódmy Okręg Królewski – powiedział Allister. – Jakieś pięć mil przed nami jest karczma, dość duża, z miejscem na nocleg.

– Może zamiast tego rozbijmy obóz – powiedział Kest, starając się wzrokiem unikać Brastiego. – Mniejsza szansa na kłopoty.

Brasti jęknął w odpowiedzi.

– Oczywiście, wolałbyś spać na mrozie. Idealne warunki dla takich jak ty i Falcio. Jesteście szczęśliwi, gdy tylko macie powód do narzekania. – Uniósł się w strzemionach i spojrzał na drogę przed sobą. – Ale ja słyszę już zew muzyki, miękkiego łóżka, kobiet i co najważniejsze, piwa.

– Słyszysz piwo? – spytał z niedowierzaniem Kest.

Brasti zignorował go i wskazał przed siebie.

– Tam są moi bogowie, Falcio. Moje sanktuarium. Odbieranie mi szansy na modlitwę przy ołtarzu mojego wyznania to nic innego jak prześladowanie religijne.

Już miałem mu odpowiedzieć, żeby się zamknął, bo ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowaliśmy, był konflikt z wioskowymi osiłkami, ale Ethalia uśmiechnęła się słabo i powiedziała:

– Chyba nawet ja nie zniósłabym widoku Brastiego w jego wersji Gorączki Świętego.

Ten uśmiech, przebłysk ulgi w jej oczach, choć chwilowe, wystarczyły mi w zupełności.

Brasti wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ethalio, jesteś moją nową ulubioną Świętą. – Przynaglił konia i pokłusował przed siebie.

– W porządku – powiedziałem. – Chodźmy odwiedzić bogów Brastiego i posłuchać, co mają nam do powiedzenia.

KARCZMA

Karczma Pod Kościstą Dziewicą okazała się mieć wszystko, co Allister obiecywał, a czego Brasti potrzebował. Było tam mnóstwo jedzenia oraz pokoje w cenie wystarczająco niskiej i na tyle małe, że każdy z nas mógł sobie pozwolić na swój własny, co było rzadkim luksusem w podróży. Leżąc w łóżku, nie zwracałem uwagi na hałas dobiegający ze wspólnej izby na parterze. Wciąż ubrany, cieszyłem się względną ciszą i spokojem, póki trwały.

Po chwili okazało się, że trwały dość krótko.

Po pospiesznych uderzeniach w drzwi ukazała się w nich głowa Brastiego.

– Tu jesteś! Na jaja Świętego Zagheva, czy ty się przed czymś ukrywasz?

– Raczej szukam. Ciszy i spokoju. Z marnym powodzeniem, jak się okazuje – odparłem.

Brasti wciągnął za sobą do pokoju Kesta i obaj stłoczyli się w wąskiej przestrzeni między drzwiami a moim łóżkiem.

– Według mnie to po prostu żałosne – powiedział Brasti.

– Dlaczego stoicie tu zamiast pilnować Ethalii? – zapytałem, podnosząc się z pośłania.

Kest ostrzegawczo położył dłoń na ramieniu Brastiego.

– Mówiłem ci, że to zły pomysł.

Brasti za nic miał ostrzeżenia.

– Nic się nie martw, Allister ma ją na oku. Tak naprawdę to właśnie dlatego tu jesteśmy. Z poczucia przyjaźni i lojalności.

– A myślałem, że jeszcze przed chwilą byliście wiedzeni chęcią upicia się i przespania z miejscową nauczycielką.

Brasti założył ręce na piersi i odparował:

– Mogę zrobić więcej niż jedną rzecz naraz. Jestem interdyscyplinarny.

– To nie znaczy... – zaczął Kest.

Westchnąłem.

– W porządku. Mówcie, o co chodzi – rzuciłem.

– Po prostu pomyślałem sobie, że powinieneś wiedzieć, o Pierwszy Kantorze, że kiedy my tu sobie rozmawiamy, na dole nasz drogi kolega Allister czaruje twoją kobietę.

Zesztywniałem.

– Zabrał ją do wspólnej izby? Postradał rozum? Co jeśli...

– Nic jej nie grozi – przerwał mi Kest. – Właściwie to był jej pomysł.

Powiedziała, że muzyka pomaga złagodzić gorączkę.

– Czy tobie pomagała, kiedy cierpiełeś na te same objawy?

– Nie, ale nie jesteśmy z Ethalią tacy sami.

„Dzięki bogom chociaż za to”.

– Chodzi o to – wtrącił Brasti, szturchając mnie palcem – że to nie Allister powinien tam z nią siedzieć, tylko ty.

– Ona nie życzy sobie mojego towarzystwa – odparłem, zbyt szybko, by zachować choćby namiastkę godności. Chcąc odzyskać jej odrobinę, dodałem: – Jej świętość sprawia, że moja obecność jest dla niej bolesna.

Brasti oparł się o ścianę, obcasem zaparłszy się o brzeg łóżka.

– Tak się składa, że mam pomysł na ukojenie waszych duchowych problemów. Może zamiast cierpieć w milczeniu w swoim pokoiku, zejdziesz na dół i dla odmiany zachowasz się jak pieprzony mężczyzna?

– W porządku – powiedział Kest, chwytając Brastiego za rękę – wystarczy na...

– Nie – powiedział Brasti, odtrącając go. – Nie wystarczy. Falcio, wiesz, jaki jest twój prawdziwy problem?

– Nie wiem – odpowiedziałem. Skoro i tak już zdecydowałem, że ta rozmowa zakończy się wybiciem Brastiemu zębów, każdy dodatkowy argument, który mógł utwierdzić mnie w tym postanowieniu, bardzo mi odpowiadał. – Śmiało, powiedz mi, co jest ze mną nie tak.

– Wierzysz w to całe gówno na temat bogów i świętych, magii i klątw. To zaskoczyło nawet Kesta.

– Nie wierzysz w świętych i magię? Po tym wszystkim, co widzieliśmy? – zapytał.

Brasti machnął ręką.

– Oczywiście, część jest prawdziwa. Utrudniają nam życie niczym wielki wrzód na tyłku, muszą więc istnieć. Ale to nie znaczy, że wszystko, co jest z tym związane, trzeba uznawać za najwyższą wolę pieprzonego wszechświata, padać na kolana i błagać o przebaczenie.

Zdjął nogę z łóżka, co jak się domyśliłem, było spowodowane tym, że zamierzał powiedzieć coś, czego nie będę chciał słyszeć, i potrzebował wszystkich kończyn, by poradzić sobie z moją reakcją.

– Falcio, świętość Ethalii nie jest tym, co was dzieli. Możesz udawać, że wcześniej byliście idealną parą, ale z jakiegoś powodu nie poprosiłeś jej o rękę, kiedy miałaś okazję.

– Ty głupi sukinsynu, próbowałem dojść do siebie po...

– Nie stosuj Lamentu jako wymówki. Problem zaczął się o wiele wcześniej.

– Doprawdy? – zacząłem obliczać dystans pomiędzy moją pięścią a jego twarzą i sekwencję ruchów potrzebnych do pokonania tej odległości.

– Mam wrażenie, że to idealny moment na zakończenie tej rozmowy – powiedział Kest.

Brasti zignorował radę.

– Chodzi o Aline.

– Myślisz, że ponieważ próbuję pomóc córce króla, nie mogę...

– Nie mówię o niej, tylko o twojej żonie, idioto. Wiesz, tej, o której

pamięć ma na ciebie tak mocny wpływ, że zanim pojawiła się Ethalia, całymi latami nie byłeś w stanie związać się z nikim innym? O kobiecie, i nie mogę uwierzyć, że mówię to głośno, której imię przywołujesz za każdym razem, gdy walczysz o życie?

Oparłem się o wezglowie, nagle czując się bardzo zmęczony, za bardzo, by dać sobie małą przyjemność przyprawienia Brastiego o rozbitą wargę.

– Nie rozumiesz – odparłem.

– Oczywiście, że nie. Wyjaśnij mi to. – Odczekał sekundę i kontynuował. – Nie potrafisz, bo to wszystko bzdura. – Usiadł na rogu łóżka, najwyraźniej pewny, że nie zamierzam pobić go do nieprzytomności. – Pomyśl tylko. Postaw się w roli młodej, pięknej kobiety. Inteligentnej, opiekuńczej, zmysłowej...

– Do rzeczy – przerwał mu Kest.

– No tak. Wracając... znajdujesz mężczyznę. Sądziś, że jest ci on przeznaczony. Cóż, pomimo oczywistych niedoskonałości, najwyraźniej niektóre kobiety uważają cię za przystojnego. Ty jednak wolisz każdy dzień swojego życia spędzać na wspomnianiu zmarłej żony: Aline, kobieta idealna. Aline, szlachetnie ofiarna. Aline, najczystsza...

Musiał zauważyć moją zaciśniętą pięść, ponieważ przerwał na moment. Po chwili jednak ciągnął dalej:

– Wszystko składa się w idealną całość. Ethalia trafia na ciebie, mężczyznę, którego ledwo zna. Mimo to przysięga, że cię kocha, a ty twierdzisz, że to uczucie odwzajemniasz. Następnie Birgid, jej opiekunka i kobieta, którą ubóstwiała i kochała, umiera, obdarzając ją swoją świętością. Jak myślisz, jak się teraz czuje?

– Wolna – powiedział Kest, nim zdążyłem otworzyć usta.

– Dokładnie. Wygląda na to, że ten wasz związek jest przeklęty, że to niechybny znak, że nie możecie być razem. Wyobrażam sobie, jaką ulgę musicie czuć. W końcu macie wymówkę, dzięki której nie będziecie musieli się lepiej poznawać czy radzić sobie z wadami drugiej osoby. Nie będziecie

musieli odkrywać, że związek to ciężka praca.

Chciałem zaprzeczyć, powiedzieć, żeby się zamknął, albo najlepiej po prostu go zignorować, schować głowę pod poduszką, póki nie przestanie gadać, ale z jakiegoś powodu nie mogłem. Spojrzałem na Kesta, który zawsze pomagał mi w ustaleniu tego, co prawdziwe na tym świecie.

– To... wykracza poza moje kompetencje – przyznał.

„Świetnie”.

– Posłuchaj – powiedział Brasti, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Zejdź do izby na dół. Tylko wejdź do środka jak człowiek, a nie jak cień nieboszczyka. Podejdź do Ethalii, weź ją za rękę i poprowadź na parkiet.

Zorientowałem się, że śmieję się w głos.

– Taniec? Chcesz, żebym z nią zatańczył? – zapytałem.

– Dlaczego nie? Jeśli oboje jesteście tak cholernie przekłęci, to jestem pewien, że chwilę później powali was grom z jasnego nieba. Ale może zamiast tego przekonacie się, że nie ciąży nad wami żadna tajemnicza klątwa. Może po prostu będziecie tańczyć. Może okaże się, że jesteście zwyczajnym mężczyzną, a ona zwyczajną kobietą i że dobrze wam, kiedy od czasu do czasu jest po prostu zwyczajnie.

Patrzyłem na niego przez dłuższą chwilę. Byłem już świadkiem przerażających rzeczy, które sprawiały, że kwestionowałem własną poczytalność, ale żadna z nich nie była tak niepokojąca jak mówiący z sensem Brasti Goodbow.

„Taniec”, pomyślałem. „No cóż, tego jeszcze nie próbowałem”.

TANIEC

Izba była pełna ludzi – mężczyzn i kobiet w każdym wieku, a nawet kilkoro bawiących się w berka dzieci, choć już dawno powinny być w łózkach. Muzyka była głośna, szybka i wpadająca w ucho. Trzej muzycy siedzieli na stołkach na małej scenie w drugim końcu sali, drewniane ściany wzmacniały dźwięk ich gitar i fletów. Pod sceną był wysłużony parkiet taneczny szeroki na około dziesięć stóp i zakończony półkolem. Całość z trudem mieściła dziesiątki radośnie wirujących i podskakujących tancerzy.

Chwilę zajęło mi przejście przez tłum, aż wreszcie dostrzegłem Allistera i Ethalię siedzących przy stoliku niedaleko drzwi. Przebrała się z podróżnego stroju w prostą, białą-niebieską sukienkę. Ostatnim razem miała ją na sobie tej nocy, kiedy dotarliśmy do pałacu książęcego w Baern i spacerowaliśmy po ogrodowym labiryncie księżnej. Swoje długie ciemne włosy splotła w pojedynczy luźny warkocz, który opadał jej na lewym ramieniu, podobnie jak innym kobietom w gospodzie.

Pomimo swoich prób wtopienia się w tłum dla mnie świeciła jak słońce, i chociaż inni mężczyźni dookoła nie podzielali mojego zachwyty jej osobą, Allister z pewnością do nich nie należał. Pochylił się i powiedział coś w jej stronę, w zamian za co zaszczyciła go lekkim uśmiechem pełnym uznania.

Ten widok sprawił, że poczułem ukłucie zazdrości. Próbowałem się z tego otrząsnąć, ale bez powodzenia.

„Brastiemu by się to spodobało”.

Już miałem ruszyć w ich stronę, gdy jeden z muzyków zwrócił moją uwagę. Był wysokim, chudym mężczyzną o czarnych włosach sięgających mu prawie do ramion. W jednym uchu nosił duże srebrne kółko, co jak

podejrzewałem, znaczyło coś dla trubadurów, ale mi nic nie mówiło. Skinął głową w stronę drugiego końca izby, a gdy podążyłem za jego wzrokiem, zobaczyłem stojącą gitarę blondynkę, która stała z boku sceny.

Nie miałem zbyt dużego doświadczenia w kontaktach z bardatti poza Nehrą, która zapewniła mnie, że rozpowszechnią wieści o naszym powrocie i poszukują pozostałych Wielkich Płaszczy. Ta kobieta mogła mieć dla mnie jakieś informacje.

– Nazywam się Falcio val Mond, Pierwszy Kantor Wielkich Płaszczy – powiedziałem, gdy już podszedłem na tyle blisko, by móc przedstawić się, nie ryzykując bycia podsłuchanym.

– Ktoś próbował poderwać mnie na ten tekst już wczoraj – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od instrumentu.

– Ale ja...

– Poza tym jeśli próbujesz zdobyć kobietę, używając imienia innego mężczyzny, mógłbyś chociaż wymówić je poprawnie. Wszyscy wiedzą, że Pierwszy Kantor Wielkich Płaszczy nazywa się Falsio dal Vond.

– Na wszystkich świętych, zaraz...

Odwróciła się i zobaczyłem, że szczerzy zęby w uśmiechu.

– Dałeś się nabrać.

– Na to wygląda. „Dlatego właśnie wolę spędzać czas z ludźmi, którzy chcą mnie zabić”.

– Przepraszam – powiedziała. – Nehra kazała nam obiecać, że wykorzystam ten tekst, jeśli cię spotkamy. – Wyciągnęła rękę. – Jestem Rhyleis.

Podąłem jej rękę i ze zdziwieniem poczułem, że zrogowacenia na jej dłoni dokładnie odpowiadają moim. To miało sens, chociaż nasze instrumenty bardzo się od siebie różniły.

Rhyleis miała twarz aktorki o ostrych rysach i wyraźnej mimice, jakby bogowie chcieli się upewnić, że nawet ci z tanich tylnych miejsc będą mogli dostrzec grymasy na jej obliczu. Mogłem ją sobie wyobrazić zarówno w roli

mitycznej księżniczki, jak i głodującej staruszki. Czy była piękna? Pewnie dla większości tak, ale nie dla mnie.

„To dlaczego tak bardzo skupiasz się na jej wyglądzie, idioto?”

Rhyleis musiała zauważyć, że ją obserwuję, i mrugnęła do mnie, co sprawiło, że poczułem się niezręcznie. Staralem się to zamaskować.

– Skąd Nehra wiedziała, że tu będę? – zapytałem.

Przechyliła głowę i odpowiedziała:

– Byłeś w Baern i musiałeś w końcu ruszyć na północ, co oznaczało, że prawdopodobnie będziesz podążał tą drogą – przerwała, wskazując na drzwi prowadzące do pokojów na piętrze. Odwróciłem się i zobaczyłem tam Brastiego z kciukiem uniesionym do góry. Zapewne założył, że zdecydowałem się zapomnieć o Ethalii i szukać pocieszenia w ramionach innej. – Nie wyobrażam sobie, że on nie przekonałby cię do zatrzymania się w tym miejscu. To najbardziej wzięta karczma w okolicy.

Nie byłem pewien, czy jej tok myślenia całkowicie mnie przekonuje, ale nie drażyłem tematu. Nehra w irytująco zawoalowany sposób wypowiadała się o mocach bardatti. Domyślałem się, że wędrowni trubadurzy zapewne nie chcą, by zwykli ludzie niepokoiili się nadprzyrodzonymi umiejętnościami, jakie mogą posiadać ludzie występujący w ich wioskach.

– Zakładam, że masz dla mnie informacje.

Rhyleis wyciągnęła rękę i pogłaskała mnie po policzku, a następnie patrząc mi głęboko w oczy, spytała:

– Myślisz, że jestem dobra tylko w przekazywaniu informacji?

– Ja tylko...

Ponownie uśmiechnęła się i cofnęła dłoń.

– Spokojnie, Pierwszy Kantorze, pogrywam sobie z tobą.

Przestawałem właśnie lubić poczucie humoru bardatti, kiedy Rhyleis nagle spoważniała.

– Przekazaliśmy wiadomość tym z Wielkich Płaszczy, których udało nam się odnaleźć. Jednak nie ma nas wielu, ale was jest jeszcze mniej.

– Ilu dokładnie? – spytałem.

– Wedle najnowszych wieści udało nam się dotrzeć do jedenastu trattari. Zawsze irytuje mnie, kiedy Nehra i inni trubadurzy nazywają nas „trattari”, ale w tej chwili miałem większe zmartwienia.

– Jedenastu? Tylko tyle?

– Minęło zaledwie kilka miesięcy – odpowiedziała. – A to duży kraj. No dobrze, może nie taki duży, ale biorąc pod uwagę, ile się w nim teraz dzieje, mamy jeszcze sporo miejsc do odwiedzenia.

– Kogo udało wam się spotkać?

– Antrima Thomasa i Allistera Ivany, chociaż z tego, co słyszałam, to o nich już wiesz. Kilka tygodni temu jakieś sto mil na północ stąd spotkałam Talię, Włócznie Króla. Powiedziała, że niedługo wróci.

„Jedenastu. Jedenastu ze stu czterdziestu czterech, wliczając Kesta, Brastiego i mnie. Co się stało z resztą?”

– Jest coś jeszcze – powiedziała Rhyleis, wrywając mnie z zamyślenia.

– Co takiego?

– To zamieszanie ze świętymi. Jest gorzej, niż wam się wydaje. W piosenkach da się usłyszeć strofy o jakimś kulcie.

– Co masz na myśli?

W odpowiedzi położyła mi rękę na ramieniu i wskazała na innych muzyków.

– Posłuchaj.

Grali porywający refren *Wszystkich wiosennych róż* – pieśni, której słowa znają wszyscy mieszkańcy południowej Tristii: opowiadającej historię niemądrego młodzieńca próbującego wybrać jedną z siedmiu dziewczyn, z którymi się spotyka, nie zdając sobie sprawy, że żadna z nich go nie chce.

– Nie rozumiem – powiedziałem po chwili. – Słowa brzmią tak samo jak zawsze.

– Wsłuchaj się w dźwięk kontrmelodii – odparła.

Tak zrobiłem, chociaż moja znajomość muzyki ograniczała się do

wiedzy o tym, w który koniec fletu należy dmuchać.

– Nie jestem... – zacząłem.

– Przepraszam, założyłam, że będziesz wiedział, o czym mówię, skoro trattari stosowali tę samą sztuczkę w niektórych swoich pieśniach – powiedziała Rhyleis.

– Założmy, że nie urodziłem się dwieście lat temu, kiedy wszystkie Wielkie Płaszczki pisały symfonie do każdego swojego werdyktu, dobrze?

– W porządku. Kontrmelodia jest szyfrem stosowanym w odniesieniu do podstawowej melodii, aby określić, które słowa... wiesz co, po prostu powiem ci treść wiadomości.

„Dzięki bogom”.

– Dawno temu istniał kult, którego członkowie nazwali się Bożymi Iglami. Plotka głosi, że praktykowali serię tajemnych rytuałów, które miały zamienić ich w świętych. To wszystko, co o nich wiemy.

– Nigdy wcześniej o nich nie słyszałem. To chyba dobra wiadomość?

Pokręciła głową i odpowiedziała:

– Nie rozumiesz, Pierwszy Kantorze. Śledzenie tego typu wydarzeń to istota działania bardatti. – Otuliła się ramionami, jakby nagle zrobiło jej się zimno. – Nie jestem pewna, czy podoba mi się to, że grupa, która tak długo się przed nami ukrywała, nagle zaczyna działać otwarcie.

Mnie też się to nie podobało ani trochę. Boże Igły. Po co reaktywować coś tak starego i dawno zapomnianego? I dlaczego właśnie teraz?

– Muszę wracać na scenę, zanim Emeryn zupełnie dobije harmonię tego utworu – powiedziała Rhyleis. Trąciła paznokciami struny, delikatnie wyregulowała naciąg, po czym ruszyła w stronę sceny. Po chwili jednak zatrzymała się i rzuciła przez ramię: – Powinieneś bardziej zainteresować się swoją kobietą. Twój przyjaciel właśnie smali do niej cholewki.

– Święty Zaghevie... czy wszyscy w tym kraju nie mają nic lepszego do roboty niż zajmowanie się moimi sprawami sercowymi?

Rhyleis uśmiechnęła się, choć w jej oczach błysnęło coś jeszcze. Może

współczucie?

– Szlachetny bohater, pełen męstwa i bólu? Piękna kobieta, uosobienie mądrości i współczucia? Dwoje kochanków rozdartych przez jej świętość? –

Podbiegła do mnie i pocałowała mnie w policzek. – Falcio, toż to materiał na tragiczną piosenkę, która zawróci w głowie każdej dziewczynie.

Zostawiła mnie przytłoczonego informacjami, które mi przekazała, i zdezorientowanego jej zachowaniem. Cały czas miałem w głowie, że Bal Armidor, który wpłynął na to, że stałem się tym, kim jestem, również był bardatti.

Zapewne z tego właśnie powodu zdrowi na umyśle trzymają się z dala od muzyków.

W pierwszej chwili chciałem wrócić do pokoju, jednak widząc Brastiego złośliwie uśmiechającego się z drugiego końca sali, zmieniłem zdanie. Potem przyszło mi do głowy, że całkiem możliwe, iż całe spotkanie z Rhyleis to jego pomysł, chociaż nie wydawała mi się kimś, kto lubił być trybikiem w cudzych machinacjach. W końcu postanowiłem nie zaprzętać sobie tym głowy i podszedłem do stołu, przy którym siedzieli Ethalia i Allister. Zignorowałem jego pytający wzrok i wyciągnąłem do niej rękę.

– Wyjeżdżamy? – zapytała. – Czy jesteśmy w niebezpieczeństwie?

– Chciałem prosić cię do tańca – odpowiedziałem.

Siedziała w bezruchu dłuższą chwilę, wpatrując się we mnie. Wiedziałem, że wyglądam jak idiota, stojąc tak z wyciągniętą ręką niczym żebrak, który błaga o drobne, ale czasami potrafię być uparty.

„Niech powie, żebym odszedł. Niech powie, że po prostu nie chce ze mną być, i nie miesza do tego jakichś spraw duchowych”.

W końcu wyciągnęła rękę i położyła ją na mojej. Jej dotyk był lekki, niepewny, jakby obawiała się, że moja skóra od niego zapłonie. Moje serce niemal pękło wtedy na pół.

„Niech to piekło pochłonie”, zdecydowałem. „Nie będę więcej

przepraszał”.

Poprowadziłem ją na zatłoczony parkiet. Muzycy grali z przytupem, ale gdy tylko weszliśmy między tańczące pary, zaczęli grać wolniej. Przejście było tak płynne, że byłem skłonny uwierzyć, że to po prostu naturalny element zaplanowanego wcześniej układu. Uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył, jak Rhyleis puszcza do mnie oko. Po chwili na parkiecie pozostało już tylko kilka par.

Trzymałem Ethalię ani blisko, ani daleko od siebie, jednak łokieć mojej prawej ręki tworzył doskonałą ramę, co było technicznie poprawne, ale może nieco zbyt formalne jak na takie miejsce. Zostawiłem płaszcz w pokoju, mogłem więc poczuć ciepło jej dłoni spoczywającej na mojej, lniany rękaw koszuli mocno przylegał mi do skóry. Wszystko dookoła widziałem w ostrzejszych kolorach, słyszałem przyspieszoną pracę mojego ożywionego nagle ciała, i chociaż raz działa się tak nie po to, by przypomnieć mi o niewygojonych ranach i siniakach. „Żyjesz”, zdawały się mówić. „Jesteś bezpieczny, zdrowy, szczęśliwy”.

Zastanawiałem się, czy to efekt oddziaływania świętości Ethalii, ale kiedy na nią spojrzałem, dostrzegłem zmieszanie i zaciekawienie podobne do tego, które jak podejrzewałem, wypisane było na mojej twarzy.

„Albo po prostu znowu zgubiłeś rytm”.

Bez względu na powód, początkowo nie rozmawialiśmy i poddaliśmy się melodii, nasze stopy odbywały powolną, wirującą podróż po parkiecie w jej rytm. Niewielu gości dołączyło do nas, ten taniec nie był powszechnie znany w tych okolicach.

„Co tylko dowodzi, że Rhyleis sobie ze mną pogrywa”.

– Zaskoczyłeś mnie – powiedziała Ethalia, gdy utwór się skończył.

Zanim którekolwiek z nas zdążyło powiedzieć coś więcej, muzycy przeszli do kolejnej spokojnej piosenki, nazywanej embrazia z uwagi na jej formę, która wymaga od tancerzy, by trzymali się blisko siebie. Kolejny błysk w oczach Rhyleis potwierdził moje przekonanie o tym, jak dużym

utrapieniem potrafili być bardatti.

– Zaskoczyłem? – spytałem, próbując jednocześnie skupić się na krokach.

– Tym, jak dobrze tańczysz.

Prawie wybuchnąłem śmiechem. Nadal pamiętałem dziesiątki, nie, setki razy, jak deptałem po stopach Aline, która uczyła mnie tańczyć. „Jeszcze raz”, powtarzała, zdeterminowana, by zrobić ze mnie choćby znośnego tancerza. Przysięgam, że podczas tych lekcji pocilem się bardziej niż przez wszystkie lata nauki szermierki.

– Widzę po tobie, kiedy ją wspominasz – powiedziała Ethalia, wyrывая mnie z zamyślenia.

Zaskoczony, spojrzałem jej w oczy, chcąc dostrzec, jak się z tym czuje. Nie zobaczyłem w nich nagany ani urazy. Przez chwilę zastanawiałem się, co odpowiedzieć, ostatecznie zdecydowałem się nie owijać w bawełnę.

– Brasti sądzi, że nasz problem polega na tym, że nie mogę zapomnieć o Aline.

Spodziewałem się, że Ethalia zaprzeczy, albo, co często zdarzało jej się w reakcji na jego słowa, uśmiechnie się i powie ironicznie: „Kolejna rada Brastiego Goodbowa do kolekcji”. Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy, tylko zawiesiła spojrzenie w oddali, zdając się niewidzącym wzrokiem przenikać mnie, innych gości i mury samej gospody. Muzycy chyba w końcu zorientowali się, że reszta towarzystwa nie była zadowolona z braku skocznych piosenek i żwawo zaczęli grać *Wszystkiego w nadmiarze*, za co zebrali pochlebne okrzyki tancerzy. Ethalia powiedziała coś, czego nie dosłyszałem przez hałas.

– Co powiedziałaś? – spytałem, wciąż trzymając ją w tanecznym objęciu.

– Nieważne. Powinniśmy...

– Proszę, powiedz.

Popatrzyła mi prosto w oczy.

- Nie będę Aline. Nawet dla ciebie, Falcio.
- Nigdy cię o to nie prosiłem. Nigdy bym nie...
- Początkowo myślałam, że to dlatego, że przejęłam część jej wspomnień o tobie.

Chciałem spytać, co ma na myśli, ale przypomniałem sobie moje pierwsze spotkanie z nią w Rijou podczas Ganath Kalila, nieszczęsnego Tygodnia Krwi organizowanego przez Jillarda, kiedy dokładnie powtórzyła ostatnie słowa Aline.

- Ale ona jest zawsze w tobie. Czuję, jak naciska na mnie, domagając się, żebym walczyła o ciebie, chroniła cię, kochała cię tak, jak ona kochała.
- Ethalia odwróciła wzrok. – Nie mogę tego znieść. Myślałam, że to naturalne, że to minie, ale tak się nie stało. Czasami ona...

Pokręciłem głową, przerywając jej. Znowu zaczynaliśmy przerzucać się wymówkami.

- Ona nie jest duchem. Nie nawiedza cię. Nie jesteś obłożona klątwą.
- Sama już nie wiem. W pewnym sensie jesteśmy połączeni dzięki niej, ale żadna kobieta nigdy nie będzie walczyć o ciebie tak jak ona. Żadna nie będzie dla ciebie tym, kim ona była. Jednak kiedy czuję w sobie gorączkę świętej, mam wrażenie, że Aline stoi tuż przy mnie, kpi ze mnie, mówiąc mi, abym wstała i walczyła. Nigdy jej nie spotkałam, Falcio, więc dlaczego tak wyraźnie czuję jej obecność?

Istniały setki słów, które powinienem był wtedy powiedzieć – rzeczy, które na pewno powiedziałby Brasti; bogowie, każdy rozsądny mężczyzna na moim miejscu wiedziałby, co powiedzieć. Ale ja czułem, jak mnie skręca w środku, byłem zgorzkniały i zdenerwowany, sam już nie wiedziałem, czy na Ethalię, na siebie, na Aline, czy może na cały ten przeklęty świat.

Ethalia nagle się odsunęła.

- Co się stało? – zapytałem, rozglądając się po pokoju i szukając zagrożenia, w myślach przeklinając się, że przyszedłem tu bez płaszcza i rapierów.

– To nic – powiedziała, znów wyciągając rękę, ale w jej oczach widać było napięcie, jakby miała sięgnąć w ogień.

Odsunąłem się zaledwie o włos, jednak już ta niewielka różnica w odległości sprawiła, że ból widoczny w jej spojrzeniu zmniejszył się. Kłamstwo, które udało mi się sobie wmówić, że może to tylko problem między dwojgiem kochających się ludzi, który uda się wspólnie rozwiązać, właśnie roztrzaskało się jak tafla lustra. Sama moja obecność była dla niej źródłem intensywnego bólu, a sądząc po jej obliczu, wiedziała, o czym myślałem.

– To nie tak... to dzieje się tylko wtedy, gdy pojawia się w tobie gniew.

Muzyka była teraz tak hałaśliwa, że nie mogłem myśleć. Tancerze wypełniający parkiet przepychali się i przeciskali wokół nas, co chwila nas trącając. „Uspokój się”, upomniałem się w myślach, ale nawet to sprawiło, że w głowie pojawiły mi się nowe obrazy: Święta Birgid z poobijaną i posiniaczoną twarzą, skórą bladą od utraty krwi; żelazna maska, ukształtowana tak, że noszący ją był ślepy, niezdolny do wołania o pomoc, by można go bić i torturować bez obawy o konsekwencje.

„Uspokoić się? Kurwa, co ma mnie niby uspokoić?”

Rozejrzałem się po zebranych w tawernie. Może ktoś z nich brał w tym udział? Może po dziś dzień śmieją się na wspomnienie tamtych zdarzeń? Birgid przywiązana do drzewa, nakłuwana igłami...

Nie! To nie Birgid poddano Lamentowi, tylko mnie...

Zmusiłem się do uspokojenia oddechu, jednocześnie nie starając się stłumić płonącego we mnie gniewu, tylko ukierunkować go, tak jak to robiłem, przygotowując się do pojedynku.

– Falcio? – Głos Ethalii był bardzo odległy, ale nawet przez mgłę przesłaniającą mi wzrok mogłem stwierdzić, jak dużo bólu sprawia jej moja obecność w pobliżu.

– Przykro mi – powiedziałem, odwracając się.

Złapała mnie za ramię, jej palce były zimne i bez życia, niczym

opinające mnie żelazne kajdany.

– Powinnaś odpocząć – powiedziałem, strącając z siebie jej dłoń. –
Z samego rana ruszamy do sanktuarium Świętego Forzy.

SANKTUARIUM

Następnego dnia mineliśmy granicę Baern i Luth, późnym popołudniem docierając do sanktuarium Świętego Forzy. Byłem przekonany, że i tym razem ujrzymy tylko ruiny, ale tak się nie stało. Nie, żeby to w czymś pomogło.

– Nie rozumiem – powiedziałem po raz trzeci.

Sanktuarium znajdowało się na powierzchni. Była to mała kamienna rotunda utworzona z ustawionych w okrąg kolumn. Dach, a raczej to, co z niego zostało, stanowił osłonę przed słońcem, chociaż większa jego część zawaliła się i zalegała na ziemi. Ethalia siedziała ze skrzyżowanymi nogami pośrodku pomieszczenia, oczy miała zamknięte, a kapiący z czoła pot żłobił ślady na jej twarzy.

– Sanktuarium zostało zniszczone – powiedział Kest. – Nie jestem już świętym, ale nawet ja potrafię wyczuć, że coś tu jest nie tak.

Brasti podszedł i obejrzał kolumny.

– Na mój gust wygląda w porządku. Czy chodzi o brak dachu lub inne drobne uszkodzenia?

– Nie. Kiedy tu przybyłem, budynek wyglądał tak samo.

– Co w takim razie się zmieniło? – spytałem.

Allister obszedł budynek i wreszcie powiedział:

– Pani, czy mogę podejść?

Skinęła, nie otwierając oczu. Allister przeszedł między kolumnami i obszedł salę po wewnętrznej stronie kręgu.

– Spójrzcie na to – powiedział. Podeszliśmy do niego.

– Co znalazłeś? – spytałem.

Kopnął na bok kawałki potrzaskanego kamienia i gipsu z podstawy jednej z kolumn.

– Ktoś ułożył je tutaj, żeby zakryć znaki.

Uklęknąłem i zobaczyłem czerwonobrazową smugę: krew.

– Tu jest tego więcej – powiedział Kest z drugiej strony.

– No, to sprzątamy – powiedział Brasti, pocierając jeden ze znaków, aż zaczął znikać.

– Czy czujesz różnicę? – spytałem Ethalię.

Otworzyła oczy i odparła:

– Nie. To...

Podniosła się i podeszła do miejsca, w którym klęczałem. Wyciągnęła rękę i chciała dotknąć plamy krwi, ale gdy tylko jej palce się z nią zetknęły, dłoń odskoczyła niczym po ugryzieniu węża.

– To krew świętego – powiedziała. – Jestem tego pewna.

– Może po prostu pozbadźmy się tych wszystkich plam? – zapytał Brasti, wciąż zajęty ścieraniem krwi z jednej z kolumn. – To powinno rozwiązać problem.

Nie mając lepszego pomysłu, spędziliśmy następną godzinę, idąc za radą Brastiego, ale nie osiągnęliśmy zamierzonego rezultatu. Przynajmniej odebraliśmy jedną ważną lekcję: najwyraźniej krew świętego mogła zostać użyta do zbezczeszczenia sanktuarium na zawsze.

– Jedźmy stąd – powiedział Kest, patrząc na Ethalię. – To nie zadziała. Najlepiej będzie spróbować w kaplicy na zamku Aramor. Plotka głosi, że kiedyś było tam sanktuarium.

– Plotka? Jak ma to pomóc Ethalii? – Szczerze nienawidziłem tego wszystkiego. Gdzie był wróg, z którym mogłem walczyć? Gdzie spiskowcy, na których moglibyśmy zapolować? Nie potrafiłem odnaleźć się w takiej nieukierunkowanej agresji.

– W porządku – zgodziłem się wreszcie. – Jedźmy. Możemy dotrzeć do Aramoru przed końcem tygodnia, jeśli nie zmitrzymy zbyt wiele czasu po

drodze.

Kiedy przygotowywałem konia, podszedł do mnie Allister.

– Falcio, przepraszam za swój brak... powściągliwości wobec Ethalii.

– Powściągliwości? – zapytałem.

– Ostatnio w środku nocy obudził mnie pewien dość natrętny gość – odparł.

Chwilę zajęło mi domyślenie się, o kim mówił, prawie się uśmiechnąłem, wyobrażając sobie tę scenę.

– Brasti postanowił z tobą porozmawiać, prawda?

Allister skrzywił się.

– Wyjaśnił mi pewne rzeczy. Nie miałem pojęcia, że ty i ona...

Machnąłem ręką, przerywając mu, nie dlatego, że mu uwierzyłem – na pewno wiedział, każdy by się zorientował. Ale Allister i ja nigdy nie byliśmy przyjaciółmi i domyśliłem się, że doszedł do wniosku, że skoro ona nie może znieść mojej obecności, to nawet jeśli coś było między nami, musiało się skończyć – dlaczego więc nie miał spróbować? Część mnie żałowała, że nie było mnie przy nocnych odwiedzinach Brastiego. Inna część uznała to za hipokryzję. Ethalia nie była moją własnością. Zresztą nie była niczyją własnością, a idąc za naszym męskim kodeksem postępowania rościliśmy sobie prawo do podejmowania decyzji za nią.

– Ethalia jest wolną kobietą – powiedziałem w końcu. – Ma prawo do ułatwiania sobie swojej obecnej sytuacji na wszelkie dostępne jej sposoby.

Wydawało się, że taka odpowiedź zaniepokoiła go bardziej, niż gdybym powtórzył groźby Brastiego.

– Falcio, wybac, że pytam, czy wszystko z tobą w porządku? Brzmisz, jakby...

– Nic mu nie jest – powiedział Brasti, podchodząc i kładąc rękę na ramieniu Allistera.

Widziałem, z jaką siłą to zrobił; było to jasne przesłanie, by zignorować wszystko, co przed chwilą powiedziałem, i pamiętać, że on i Kest są zawsze

w pobliżu.

Westchnąłem. Pewnie ktoś lepszy ode mnie przerwałby mu w tym momencie.

– Falcio po prostu zadręcza się i uważa nad sobą jak zawsze – ciągnął Brasti. – To coś pomiędzy jego hobby i życiowym powołaniem. Wkrótce pojawi się ktoś, kto spróbuje nas zabić, i nasz drogi Falcio będzie znowu sobą.

Przerwał mu stukot żelaznych końskich podków na kamienistej drodze. Razem z Kestem wyciągnęliśmy rapiery, Allister dobył laski, a Brasti odtoczył łuk, który nazywał Obelgą. Napiął go szybko, nakładając na cięciwę krótką klonową strzałę, i wymierzył w drogę za nami.

– Widzisz? – powiedział. – Zaraz wszyscy będziemy mieli o wiele lepsze humory.

Samotny jeździec galopował w naszą stronę. Zmrużyłem oczy, starając się dostrzec więcej szczegółów, ale odległość była nadal zbyt duża, a jeździec wzbijał za dużo kurzu. W takich chwilach zawsze zazdrościłem Brastiemu.

– To kobieta – powiedział z przesadnym optymizmem w głosie. – Być może widziała mnie w gospodzie zeszłej nocy i jest teraz tak zakochana, że zostawiła męża i rodzinę tylko po to, by nas dogonić i wyznać mi miłość.

– Nie – odparła Ethalia. – Bardzo się czegoś boi. Czuję to nawet z takiej odległości.

– Porusza się naprawdę szybko – zauważył Kest. – Zaraz... co ona ma na sobie?

Oczy Brastiego zwęziły się.

– Falcio, ona nosi taki sam płaszcz jak nasze.

Była coraz bliżej i ja też mogłem już dostrzec sztywną brązową skórę, z której wykonane było jej odzienie. Zauważyłem, że Brasti nie opuścił łuku.

– Dlaczego wciąż...

– Bo widzę jej twarz. – Mocniej naciągnął cięciwę. – I jestem pewien, że

widzę ją pierwszy raz w życiu.

*

Nikt z nas nie znał kobiety, która mocno ściągnęła cugle i niemal padła na ziemię, próbując pospiesznie przed nami uklęknąć, ale wszyscy rozpoznaliśmy jej płaszcz. Był wykonany z ciemnobrązowej skóry, podobnie jak wszystkie te przygotowane przez Krawcową dla pierwszych Wielkich Płaszcz, ale miał dodatkowo subtelny zielony odcień, a na prawej piersi wyszyte długie drzewce zakończone ostrzem w kształcie diamentu. Po raz pierwszy zobaczyłem ten płaszcz w dniu, w którym jego właścicielka otrzymała go od samego króla Paelisa. Mówiła wówczas silnym, czystym głosem mimo łez w oczach, kończąc przysięgę słowami: „Nazywam się Talia Venire, jestem Włócznie Króla”.

– Gdzie jest Talia? – zapytał Brasti, trzymając grot strzały wymierzony prosto w pierś kobiety. Z tej odległości grot wystrzelony z Obelgi przeszyłby jej serce na wylot, bez względu na grubość kościanych płytek płaszcza.

– Błagam! – krzyknęła głosem stłumionym długimi kosmykami czarnych włosów zasłaniających jej twarz. – Proszę! Nazywam się Evi, nie jestem Wielkim Płaszczem...

– To wiemy – przerwałem jej surowym tonem. – Powiedz nam lepiej, dlaczego w takim razie masz jeden z nich na sobie.

Żaden z nas nie widział Talii od lat, a wcześniej prawie z nią nie rozmawiałem. Ale chociaż wymieniliśmy ze sobą jedynie kilka przelotnych zdań, doskonale pamiętałem jej oczy: jasne, przenikliwe, omiatające wszystkich w pomieszczeniu, gdy tylko do niego weszła. Za przeszywającym spojrzeniem podązał złośliwy uśmiezek, jakby zdążyła już rozgryźć każdą z obserwowanych osób.

– Ja... – Twarz Evi ściągnęła się, a oczy wypełniły łzami. – Ukradłam go – szepnęła. – Przepraszam, było zimno, ojciec wyrzucił mnie z domu, a ja...

– Kłamiesz – powiedział Brasti ściszym głosem. – Talia nigdy nie spuściłaby go z oczu, a wątpię, żebyś była wystarczająco silna lub sprytna, by jej go odebrać.

– Zastraszanie jej nam nie pomoże – powiedziała Ethalia. Uklękła i wyciągnęła rękę.

Ale kobieta skuliła się jeszcze bardziej i zakryła głowę, wciąż powtarzając:

– Przepraszam... bardzo przepraszam...

– Za co właściwie przepraszasz? – spytałem. – Jesteś nadmiernie skruszona, jeśli twoja jedyna przewina to kradzież płaszcza w potrzebie.

Wymamrotała krótką serię niezrozumiałych słów, aż Allister, tracąc cierpliwość, chwycił ją z tyłu za płaszcz i podniósł na nogi, nieco zbyt szorstko w mojej ocenie.

– Ostrożnie – powiedziałem. – Potrzebujemy odpowiedzi.

Kobieta – choć kiedy dostrzegłem jej twarz pod włosami, doszedłem do wniosku, że to jeszcze dziewczyna – wyrwała się Allisterowi i złapała mnie za ramię.

– Powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć, przysięgam, ale musimy ruszać – ponagliła nas zdenerwowana. – Wysłano za mną pościg.

– Ukradłś im konia – powiedział Kest. Wystarczyło spojrzeć na wielkiego, zadbanego wałacha, by rozpoznać, że nie jest to zwierzę, na które mogła sobie pozwolić młoda, najwyraźniej niemająca kobieta.

– T... tak. – Evi mocniej ścisnęła moje ramię. – Ale przysięgam, że tylko po to, by od nich uciec! Zauważyli, jak biorę płaszcz, i nie wyglądali, jakby obchodziło ich, dlaczego to zrobiłam. Zaczęli mnie popychać w głąb zaułka, by nikt nie mógł nas zobaczyć... widziałam, że chcieli mnie dopaść. –

Spojrzała za siebie na drogę i powiedziała z naciskiem: – Panowie, panienko, pozwólcie mi odejść, oni wkrótce tu będą. Oni zamierzali...

– Kim byli ci mężczyźni? – zapytał Kest. – Ilu ich było?

Wyrzucała z siebie słowa w pośpiechu, jednocześnie kurczowo ciągnąc

mnie za ramię, jakby wierzyła, że uda jej się siłą zmusić mnie do pójścia za nią.

– Chyba czterech. Nie, pięciu! – odparła. – W sklepie był jeszcze jeden, kupował prowiant. Jeden z mężczyzn zażartował, a inni się zaśmiali i wtedy zobaczyłam, że jeden z koni nie jest dobrze uwiązany, skorzystałam więc z okazji. Pchnęłam mocno tego, który stał przede mną, ten wpadł na drugiego, a ja pobiegłam ile sił w nogach, wskoczyłam na konia i ruszyłam tak szybko, jak tylko się dało...

Oczy Kesta zwięzły się jak zawsze, kiedy obmyślał strategiczne posunięcie.

– Coś mi tu nie pasuje. Nie mogło ci się udać wyrwać im tak łatwo, chyba że wszyscy byli grubi i powolni albo... – urwał i spojrzał na mnie – mieli na sobie zbroje.

– Byli rycerzami – przyznała Evi. – W odróżnieniu od zwykłych rycerzy nie mieli jednak na sobie nic, po czym można by poznać, któremu księciu lub lordowi służą, nosili jedynie zimną, surową stal zbroi.

Spojrzała na mnie z twarzą przepelnioną smutkiem i żalem.

– Błagam cię, panie, pomóż mi. Nie chcę ginąć z ich rąk za kradzież płaszcza.

– Falcio, słyszę jeźdźców – powiedział Brasti, strzałą wciąż mierząc w Evi, mimo że ta właśnie prosiła mnie o ocalenie. – Nie jadą tak szybko jak ona, ale za chwilę tu będą.

Dziewczyna raz jeszcze spróbowała pociągnąć mnie w swoją stronę.

– Proszę, musimy iść. Jeśli tu zostaniemy, zabiją nas wszystkich. – Wskazała drogę przed nami. – Znam tę okolicę, jakieś pięćdziesiąt jardów przed nami jest zakręt. Będziemy mogli ukryć się i...

– Spokojnie – powiedziała Ethalia, ponownie wyciągając rękę do dziewczyny, ale ta mocno przyłgnęła do mnie.

Allister, Kest i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Uciekniemy im, jeżeli ruszymy w tej chwili – powiedział Allister. –

Możemy wziąć dziewczynę i zostawić ją w bezpiecznych rękach w najbliższej wiosce.

Brasti najeżył się.

– Nie mam zamiaru uciekać tym zakutym łbom, zwłaszcza jeżeli...

Zastanowiłem się przez moment.

– Nie, gonią kobietę w płaszczu, która ukradła im konia. Wątpię, by zostawili ją w spokoju – powiedziałem, odsuwając Evi delikatnie. – Poza tym domyślam się, że Talia będzie chciała odzyskać płaszcz.

Kest i Allister ruszyli z końmi w stronę zakrętu, ale Brasti nie miał zamiaru odpuszczać.

– Mów! – warknął na dziewczynę, wciąż mierząc z łuku w jej serce. – Twoja historia ma dziurę większą niż ta, której zaraz się nabawisz, jeśli nie powiesz prawdy. Gdzie jest kobieta, która nosiła ten płaszcz?

Evi zanosła się głośnym płaczem.

– Nie żyje – jęknęła cicho. – Była martwa, kiedy zdejmowałam z niej płaszcz. Właśnie dlatego ci ludzie mnie ścigają. Widziałam, jak ją zabijali.

Tętent koni zbliżał się coraz bardziej.

KOBIETA W PŁASZCZU

Ostry zakręt na drodze, o którym mówiła Evi, rzeczywiście stanowił lepszą pozycję obronną: trakt zwężał się, a grunt robił nierówny. Las po obu stronach skutecznie uniemożliwi rycerzom szarżę, gdyby doszło do walki. Koniom o wiele trudniej będzie poruszać się w gęstych zaroślach i między powalonymi drzewami, a zbroje płytowe rycerzy w tych warunkach tym bardziej ograniczą ich ruchy.

– To świetne miejsce na zasadzkę – powiedział Kest z aprobatą.

Allister luźno przywiązał konia do gałęzi jednego z drzew i zapytał:

– Może powinniśmy zrezygnować z tego idiotycznego egzekwowania praw i rozpocząć karierę jako bandyci?

– W końcu człowiek z kijaszkiem podrzucił jakiś dobry pomysł – odparł Brasti.

Szermierze, którzy spędzili większość życia na walce we wszelkich odmianach konfliktu, od pojedynków po wielkie bitwy, lubią pokazywać sobie nawzajem, jak spokojni i opanowani potrafią być na chwilę przed kolejną krwawą jatką. Nawet Ethalia, brzydząca się przemocą, jeszcze zanim stała się Świętą, wiedziała, czemu służą te nasze wymiany zdań: rozładowaniu napięcia i strachu, które po rozpoczęciu walki mogłyby się skutecznie przyczynić do naszej śmierci. Oczywiście, nikt z nas nie zadał sobie trudu, by przekazać to spanikowanej dziewczynie w skradzionym płaszczu, która krzyknęła:

– Dlaczego tak się zachowujecie? – Znów zaczęła ciągnąć mnie za płaszcz. – Musimy się ukryć w lesie! Ci rycerze zrobią z nas miazgę!

– Nie zrobią, bo Brasti pośle im w gardła długie na dwie stopy bukowe

strzały – powiedziałem uspokajająco, wskazując za siebie na miejsce, gdzie stał nasz łucznik.

Evi podbiegła do Brastiego i zajęła pozycję za nim, a Brasti uśmiechnął się do mnie, jakbym właśnie dostarczył mu ostatecznego potwierdzenia przewagi łuku nad mieczem.

– Co mam zrobić? – spytała Ethalia.

– A uda ci się zrobić tę sztuczkę: wszyscy, których nie lubimy, padają na ziemię? – zasugerował Brasti.

Zamknęła na chwilę oczy, po czym zachwiała się i oparła o jedno z drzew stojących wzdłuż drogi.

– Nie, przepraszam. Jestem słabsza niż w martyrium.

– W takim razie po prostu trzymaj się z dala od moich strzał.

Odgłos kopyt na ubitej ziemi stał się głośny i wyraźny. Nadjeżdżali rycerze.

Kest dołączył do mnie na środku drogi.

– Czy planujesz rozmawiać z nimi przed walką? A jeśli tak, czy mógłbyś mi powiedzieć, jak długo ci to...

– Kest, zamknij się, proszę. – Święci! Jakby się zmówili, żeby mnie rozproszyć. – Przede wszystkim sprawdźmy, czego chcą. Nadal może być szansa na uniknięcie rozlewu krwi.

Zmiana tempa stukotu kopyt podpowiedziała mi, że ścigający zwolnili. Wjechali w zakręt i pojawili się przed nami.

Dziwny był to kwartet. Zazwyczaj rycerze są w służbie jednego lorda, markiza lub księcia, ich zbroje i broń są więc wykonane przez tych samych rzemieślników. Czterej mężczyźni przed nami mieli na sobie mieszaninę elementów płytowych i kolczych, a każdy hełm miał inny kształt. Całość wyglądała na mocno sfatygowaną.

Zatrzymali się i czekałem bez słowa na zwyczajowy poważny ton powitania lub słabo zawołowaną groźbę, ku memu zdziwieniu mężczyźni siedzieli w milczeniu na koniach, wpatrując się w nas przez szpary

w przyłbicach.

– Możemy w czymś pomóc? – spytałem w końcu.

Odpowiedziała mi dłuższa cisza, aż w końcu rycerz stojący w tyle zapytał:

– Czego moglibyśmy chcieć od trattari? – Nosił przyłbicę z wyciągniętą do przodu zasłoną. Słyszałem, że taki typ nazywa się psi pysk (co, jak na mój gust, nie brzmi bardzo rycersko).

– Och, sam nie wiem – odpowiedział Brasti. – Wskazania kierunku? Polecenia dobrej gospody? Porady co do ubioru?

– Heretycy! – warknął rycerz w odpowiedzi i dobył miecza.

– Spokojnie, sir Udenie – powiedział rycerz z przodu.

Jego hełm miał stalowe rogi podobne do rogów byka. Wziąłem go za przywódcę, chociaż ani on, ani jego trzech towarzysze nie mieli na zbroi tabardów, które pokazywałyby ich stopień i przynależność do księcia. Najwyraźniej bezpańscy rycerze nie wykazywali chęci, by chwalić się rangą i przywilejami, co cechowało ich bardziej udomowionych kolegów.

– To trattari, sir Belastrianie. Bogowie domagają się ich krwi. Żądają...
– zaczął Psi Pysk, ale Bycze Rogi uniósł rękawicę, by go uciszyć.

– Powiedziałem spokój, sir Udenie. Na to będzie jeszcze czas.

„No proszę, może i nie mają gwiazdek na tabardach, ale hierarchia wciąż obowiązuje”.

– Jeśli czekasz, żebyśmy oddali wam dziewczynę, to długo tu zabawisz, rycerzu – powiedziałem.

– Te drogi i wszyscy, którzy nimi podróżują, należą do Świątyni Duestre’a – powiedział sir Belastrian. – A my, jego rycerze, wymierzamy sprawiedliwość w jego imieniu.

– Przypomnijcie, który to Duestre? – poprosiłem.

– Bóg Rzemiosła – odpowiedział Allister stojący z laską pojedynkową w ręku na poboczu drogi. – A przynajmniej tak nazywają go w Hervorze. Nie wiedziałem, że nazwa rozprzestrzeniła się też do Luth.

– Takie przyziemne różnice nie mają dla nas znaczenia – powiedział uroczyście sir Belastrian.

Psi Pysk miał bardziej pragmatyczny pogląd na świat.

– Przestań strzępić język na tych trattari, Belastrianie. Męczy mnie to czekanie.

W tym momencie miałem zamiar wygłosić swoją kwestię: przyjemne, długie przemówienie o moim zdziwieniu tym, jak ci, którzy niegdyś tak wysoko cenili sobie honor i lojalność wobec swoich panów, mogli tak szybko i łatwo zostać pobożnymi męczennikami religijnej doktryny, której pewnie nawet nie rozumieli. Na koniec miałem przygotowaną zabawną dykteryjkę o jaskółkach, które chcąc lecieć w dwóch kierunkach jednocześnie, kończyły rozsmarowane na drzewie, i nie mogłem wprost doczekać się reakcji moich słuchaczy, ale Kest przerwał mi, zanim miałem szansę zacząć. Podejrzewam, że było to zamierzone.

– To będzie wyzwanie – powiedział.

Odwrociłem się, żeby na niego spojrzeć.

– Chodzi o twoją rękę? – szepnąłem.

Od czasu utraty prawej dłoni Kest cierpiał na bóle fantomowe, które paraliżowały go równie skutecznie jak cios przeciwnika. To naprawdę nie byłby odpowiedni czas na ich nawrót.

– Nie – odpowiedział. – Nie jestem przyzwyczajony do walki z tak małą liczbą przeciwników. Będę musiał działać wbrew własnym odruchom, by nie zabić ich więcej, niż przypada mi w udziale.

– Mojego na pewno nie dam ci zabić – powiedział Brasti, mierząc z łuku w stronę dowódcy rycerzy. – Allister, jesteś nowy w naszej rodzinie, nie będziesz miał za złe, jeśli Kest zabije twojego przeciwnika, prawda? Jest dość nieporadny od czasu utraty swojej świętości i staramy się wzmacniać jego pewność siebie.

Allister stał nieruchomo z rękami zaciśniętymi na swojej lasce.

– Święty Ebronie Co Kradnie Oddech! Zapomniałem już, jak potraficie

trajkotać zamiast walczyć.

– Mówiłem o tym wcześniej Falcio – powiedział Kest. – Brastiemu nigdy nie brakuje...

– Mówiłem też o tobie.

– Ach! No tak.

– Ośmielicie się zbrukać tę drogę krwią? – Głos sir Belastriana był pełen świętego oburzenia.

Z jakiegoś powodu wydało mi się to zabawne. Nigdy nie słyszałem o rycerzu, którego nie uradowałby pretekst do zabicia Wielkiego Płaszczka. Może w końcu zmęczyło ich, że dostawali od nas ciągi jak kraj długi i szeroki; może przy okazji praktykowania pobożności w końcu rozwinęli w sobie instynkt samozachowawczy.

Uderzyło mnie jednak coś fałszywego w tym zdaniu, i to nie tylko dlatego, że większość moich spotkań z prawdziwie religijnymi ludźmi zazwyczaj wiązała się z krwią i przemocą. Nie widziałem wyraźnie twarzy mężczyzn przez ich niedopasowane hełmy, ale mogłem stwierdzić, że rwali się do bitki, i chociaż ich do niej jeszcze prowokowaliśmy, wciąż siedzieli na koniach. Czy naprawdę czekają, aż zaatakujemy pierwsi?

„Nie”, zdałem sobie sprawę, „to nie na to czekają”.

– W las! – krzyknąłem.

– Że co? – spytał Brasti.

– To pułapka, zwlekają celowo, żeby...

Ale było już za późno. Rozległ się odgłos przecinania grubych lin, a następnie huk niczym po uderzeniu pioruna, kiedy zderzyły się ze sobą ciężkie kłody na drodze za nami. Z ich masywnych pni wystawały długie żelazne kolce, które z pewnością przebiłyby każdego, kto próbowałby szybko pokonać przeszkodę. Droga na północ została całkowicie zablokowana.

Jeden z rycerzy wyjął zza tylnego łęku siodła naciągniętą kuszę i uniósł ją, trzymając palec na żelaznej dźwigni, która służyła za spust.

– Brasti! – krzyknąłem.

– Nawet nie próbuj – powiedział Brasti, celując w mężczyznę z kuszą. – W najlepszym razie uda ci się strzelić raz, a kiedy będziesz próbował przeładować, będę miał czas, aby zastrzelić ciebie, twoich kolegów rycerzy i twoich dziadków od strony matki.

– No cóż – powiedział sir Belastrian, patrząc gdzieś za mnie – nie możemy na to pozwolić, prawda?

I nagle uświadomiłem sobie, że ci ludzie nie ścigali dziewczyny w skradzionym płaszczu – oni z nią współpracowali.

– Brasti, uważaj! – krzyknąłem, ale było już za późno.

Rzuciła się na niego, blokując mu prawą rękę i posyłając drewnianą brzechwę w ziemię.

Ruszyłem w stronę kusznika, próbując przyciągnąć jego uwagę, ale byłem zbyt wolny. Strzelił, a ja odwróciłem się w samą porę, by zobaczyć, jak bełt wbija się w nogę Brastiego.

Potknął się, próbując utrzymać równowagę i jednocześnie wyciągnąć z kołczanu kolejną strzałę. Tuż za nim kobieta w skradzionym płaszczu uśmiechnęła się, wyjmując z rękawa długi sztylet o ostrzu tak cienkim, że nawet z tej odległości ledwo mogłem je dostrzec.

– Brasti, dziewczyna! – krzyknąłem.

Odwrócił się niezgrabnie, w ochronnym geście wyrzucając przed siebie lewą dłoń, w której wciąż trzymał łuk. Wtem Evi zadała wściekły cios. Spodziewałem się, że zostanie on zablokowany przez płytki kostne, jednak broń musiała być niezwykle ostra, bo przebiła rękę na wylot. Brasti krzyknął, upuszczając łuk.

– Jestem Bożą Igłą! – krzyknęła Evi w ekstatycznym zapale, podnosząc ostrze do kolejnego ataku.

Zanim zdążyła uderzyć ponownie, Ethalia złapała ją za rękę i przytrzymała. Brasti zaatakował, starając się wbić jej strzałę w ramię, ale nie udało mu się przebić płaszcza.

Ruszyłem im na pomoc, gdy poczułem, jak coś ciężkiego trafia mnie w bok: jeden z rycerzy – ten z psim pyskiem – zaatakował; na moje szczęście płytki płaszcz skutecznie złagodziły cios jego miecza. Bolało jak cholera, ale oparłem się pokusie, by się odsunąć, doskoczyłem do niego, zajmując przestrzeń, której potrzebował do zadania kolejnego ciosu. Próbował odepchnąć mnie drugą ręką, jednak zrobiłem unik i w odpowiedzi mocno uderzyłem głowicą rapiera w wizurę jego przyłbicy. Stał wokół szczeliny wgięła się do wewnątrz – nie na tyle, by odebrać mu możliwość widzenia, ale wystarczająco, by porządnie go przestraszyć. Potknął się i poleciał do tyłu, a ja pomogłem mu w upadku na ziemię potężnym kopnięciem w pachwinę.

Zwykle nie ma nic zabawniejszego niż oglądanie obalonego rycerza próbującego się podnieść na nogi, ale byłem zbyt zaniepokojony Ethalią i Brastim, by napawać się widokiem. Odszukałem przyjaciół wzrokiem, oboje kurczowo starali się trzymać z dala od śmiertelnie wyglądającego Evi. Brasti, ciężko wsparty o Ethalię, wciąż stał na nogach, ale okropnie się chwia.

– Czyniąc to, zapewniam sobie świętość! – krzyczała kobieta. W jej głosie teraz całkiem wyraźnie słychać było szaleństwo. Podniosła ostrze do kolejnego ciosu, ale zanim jej ręka zdążyła opaść, Brasti wbił strzałę w jedyną nieosłoniętą część jej ciała: głowę. Obrzydliwy odgłos żelaznego grotu przebijającego kość dotarł do mnie mimo bitewnego zgiełku.

Brasti pobladł, nie tylko z powodu odniesionych ran. W mniej makabrycznych okolicznościach zażartowałbym pewnie z łuczników nieprzyzwyczajonych do brudzenia sobie rąk, ale sam czułem w tej chwili mdłości...

– Falcio, skup się! – krzyknął Kest, a jego miecz o włos musnął moją głowę, gdy przyjmował przeznaczony dla mnie cios. Głos miał tak pełen bólu, iż pomyślałem, że z pewnością został trafiony, ale nie widziałem żadnych ran. Utrata dłoni musiała znowu przyprawiać go o agonalne,

niezrozumiałe dla mnie cierpienie.

– Musimy przedostać się do lasu! – krzyknął Allister.

– Nie – sprzeciwił się Kest, odpychając atakującego mnie rycerza. – Jest ich tylko czterech.

Dobyłem drugiego rapiera, gdy rycerze zaczęli zbliżać się do nas w szyku. Wciąż jednak nie przypuścili frontalnego ataku, jedynie podchodzili w naszą stronę i spychali nas do tyłu. Las był naszym jedynym wyjściem.

„Robimy dokładnie to, czego od nas chcą”, zdałem sobie z tego sprawę, gdy było już za późno.

– Nie wchodźcie między drzewa! – krzyknąłem.

Mój głos zagłuszył dochodzący z gęstwiny wrzask z kilkunastu gardeł. Napastnicy nie nosili hełmów ani zbroi. Większość miała włócznie lub miecze, ale naliczyłem też trzech z łukami. Ci ostatni zajęli pozycję za potężnymi kłodami, najwyraźniej zamierzając zasypać nas strzałami zza chroniącej ich barykady.

Dlatego rycerze opóźniali atak, z tego powodu dziewczyna doprowadziła nas właśnie w to miejsce. Wykorzystała historyjkę o martwym Wielkim Płaszczu i rycerzach, by rozpalić nasz gniew i wciągnąć nas w pułapkę. Inkwizytor ostrzegł mnie, że nie jesteśmy wystarczająco silni, by zaopiekować się Ethalią, i oto znalazła się w sytuacji, przed którą miałem ją uchronić. „Nienawidzę, kiedy inni mają rację”.

UŚMIECH

Czterech rycerzy, trzech łuczników oraz dziewięciu mężczyzn wymachujących włóczniami i mieczami otoczyło naszą piątkę. Nie mieliśmy dokąd uciekać, nie mieliśmy pola manewru i żadnego planu. W przeszłości bywaliśmy już w podobnych opałach – do diabła, zdarzało nam się bywać w o wiele gorszych – ale mieliśmy więcej możliwości, miejsca do walki, sposobów na zdezorientowanie przeciwników. Teraz będziemy musieli liczyć na łut szczęścia, i to szybko. Niestety, szczęście nie było częstym towarzyszem naszych podróży.

– Będziesz musiał odeprzeć rycerzy – zwróciłem się do Kesta.

– Całą czwórkę? – zapytał.

To mnie zmartwiło; Kest nieczęsto zaniżał własne możliwości.

Spojrzałem na Brastiego, który właśnie próbował wyjąć bełt z nogi, używając do tego jedynej sprawnej ręki i nie tracąc przy tym przytomności tylko dzięki pomocy Ethalii.

– Jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu – odparłem.

– Mogę dać ci dwie minuty – powiedział Kest. – Potem jeden z nich zajdzie mnie od słabszej strony i...

– Po prostu to zrób.

Musiał zatrzymać ich na tyle długo, żebym razem z Allisterem ominął kłody i załatwił łuczników, co dałoby nam całkiem sporą szansę na przeżycie dłużej niż przez następne dwie minuty.

– Allister, ty zajmij się...

– Nie ucz mnie, jak mam walczyć, Falcio – odpowiedział, po czym używając swojej laski jak tyczki, zręcznie przeskoczył kłody.

Z kocią zwinnością wylądował po drugiej stronie, chwycił pewniej broń, po czym zatoczył nią szeroki łuk, trafiając żelaznym końcem w twarz jednego z łuczników. Mężczyzna runął na ziemię, a Allister ruszył w stronę jego towarzysza, który cofając się, próbował odejść na odległość pozwalającą na strzał, tak by przy tym nie wpaść na trzeciego.

– Interesujące – powiedział Kest, jednym uderzeniem pałasza odbijając ciosy dwóch przeciwników naraz. – To wolniejsze niż miecz, ale ma swoje...

– Skup się – przerwałem mu, wskazując na dwóch nieopancerzonych mężczyzn, którzy ruszyli na nas z dwuręcznymi mieczami. „Do czego to doszło, żeby to ja musiał mówić innym, żeby się zamknęli i walczyli?”

Brasti wrzasnął, gdy w końcu udało mu się wyciągnąć bełt z nogi. Przez sekundę myślałem, że zemdleje, gdy nagle otworzył szerzej oczy i krzyknął:

– Falcio, uważaj!

Za późno dostrzegłem ukrytego w lesie łucznika, który we mnie celował. Widząc, że wypuszcza strzałę, zakląłem, upuściłem rapier i uniosłem w górę osłonięte płaszczem ręce, żeby chronić głowę. Poczulem, jak strzała z impetem uderza mnie w bok, przeszywając żebra bolesnym impulsem, jednak płytki w płaszczu wytrzymały uderzenie. Nie każdy łuk dysponował siłą długiego łuku Brastiego, za co dziękowałem wszystkim bogom, którzy jeszcze nie sprzysięgli się przeciwko mnie. Stęknąłem z bólu, wyciągnąłem z płaszcza nóż do rzucania, po czym posłałem go w stronę łucznika. Ostrze zagłębiło się w jego ramieniu.

– Niezły rzut, biorąc pod uwagę, że przed chwilą dostałeś z łuku – powiedział Kest.

– Celowałem w brzuch – mruknąłem, zerkając na Kesta, dzięki czemu kątem oka zauważyłem, że kolejny napastnik wynurzył się z lasu tuż obok mnie. Zamachnął się płasko toporem, mając bez wątpienia zamiar oddzielić moją głowę od szyi. Opadłem na kolana, ostrze topora ze świstem przecięło powietrze nade mną, a mnie udało się złapać leżący na ziemi rapier.

Poderwałem się, mając nadzieję, że wyeliminuję przeciwnika, zanim znów zaatakuje, ale on wykorzystał siłę zamachu, by spróbować skrócić o głowę Kesta. Był to niezręczny manewr, przed którym Kest z łatwością się uchylił, a następnie użył siły własnego obrotu, by zadać cios kilka cali nad ziemią, na wysokości kostek. Rozległ się nieprzyjemny chrzęst, gdy ostrze roztrzaskało kości przeciwnika. Mężczyzna wrzasnął, padając na ziemię o cztery cale krótszy niż przed swoim atakiem. Siła i precyzja posługującego się tylko jedną ręką Kesta były jednocześnie uspokajające i niepokojące.

– Wiesz, walczy mi się o wiele lepiej, gdy przeciwnik ma przewagę liczebną – powiedział Kest, wstając i przygotowując się do walki z kolejnym mężczyzną, roslm osiłkiem dzierżącym ciężką włócznię.

Choć brzmiało to absurdalnie, miał rację.

Ktoś mógłby pomyśleć, że duża grupa ludzi po prostu rzuca się na przeciwników i przytłacza ich liczebnością – ale czy kiedykolwiek próbowaliście trafić w cel, gdy dziesięć innych osób biega dookoła, bezustannie was potracając i wchodząc w paradę waszym ciosom? W zamkniętej przestrzeni, takiej jak sala martyrium, lub przy odpowiednim ustawieniu, podobnym do tego, jakie przyjęli ludzie Quentisa, walka mogła się rozgrywać zupełnie inaczej. Ale ci tutaj byli kompletnie pogubieni, zapewne to grupa bandytów zwerbowanych do służby przez sir Belastriana i jego towarzyszy przekupstwem lub groźbą. To pozwalało przypuszczać, że żaden z czwórki rycerzy nie był wysoki rangą, a zatem przyzwyczajeni byli raczej do słuchania rozkazów niż ich wydawania.

Na początku starcia na każdego z nas przypadało czterech przeciwników, ale jak już wspominałem, sama przewaga liczebna nie wystarczy, by wygrać; teraz przeciwko sobie mieliśmy już tylko dwóch rycerzy i może pięciu bandytów bez pancerzy. Kest, Brasti i ja mamy wprawę w walce w niesprzyjających warunkach. Zapewne z tego właśnie powodu, mimo chaosu, krwi i złości na to, że zostaliśmy oszukani i wpadliśmy w zasadzkę, uśmiechałem się po raz pierwszy od tygodni.

– Widzisz, Allister? – powiedział niewyraźnie Brasti, który trzymając w zębach strzałę klęczał na ziemi i prawą ręką starał się dosięgnąć łuku. – Falcio znowu jest sobą.

Ale Allister miał teraz inny problem: łucznicy za kłodami byli martwi, za to dwóch napastników z ciężkimi pałkami zawzięcie go atakowało. Na domiar złego widziałem, jak jego lewe ramię zwisa bezwładnie przy boku.

– Brasti, zastrzel jednego z tych drani! – zawołałem.

– Zostaw to mnie – powiedział Kest i rzucił pałaszem, głowicą do przodu.

Jest to w gruncie rzeczy jedna z najgłupszych rzeczy, jakie można zrobić. Miecze z założenia nie należą do broni miotanej, a szanse trafienia w cel są znikome. Tym bardziej zirytował mnie fakt, że chwilę później głowica miecza uderzyła jednego z napastników Allistera prosto w skroń.

– No co? – powiedział Kest, patrząc na moją zmieszaną minę. – Nie jesteś jedynym, któremu wolno rzucać ostrzami.

– Nie! – krzyknął nagle Allister.

Odwróciwszy się, zobaczyliśmy, jak pada na kłody. Drugiemu z bandytów udało się sprawić, że Allister stracił grunt pod nogami, i choć płaszcz chronił mu plecy, został uwięziony między kolcami, a napastnik właśnie podnosił broń do zamaszystego ciosu. Sięgnąłem po nóż, a Kest ruszył biegiem w tamtą stronę, jednak wiedziałem już, że żaden z nas nie zdąży na czas.

– Jest mój! – krzyknął Brasti.

Odwróciłem się w samą porę, by zobaczyć, jak siedzący na ziemi Brasti naciąga stopami łuk, palcami trzymając strzałę. Rozległ się ostry brzęk zwalnianej cięciwy, a strzała ze świstem przecięła powietrze, by chwilę potem zakończyć swą podróż miękким cmoknięciem, gdy jej grot zagłębił się w szyi bandyty.

Kest i ja patrzyliśmy z podziwem, jak osuwał się na kolana i padał na drogę.

Allister wydostał się spomiędzy kolców i wstał. Z zaskoczeniem malującym się na twarzy spojrzął na Brastiego, wciąż siedzącego na ziemi, i odkrył, co musiało się stać.

– Święty Merhanie Co Dosiada Strzały...

– Szykuje mu się godny następca – powiedział Brasti, uśmiechając się mimo oczywistego bólu, jaki musiał odczuwać, gdy zaczął się podnosić.

Ale Allister wcale nie wychwalał wyczynu Brastiego, choć ten był w istocie niezwykły. Podszedłem bliżej i ujrzałem to, co wprawiło go w takie osłupienie: kobieta w skradzionym płaszczu podniosła się z ziemi – wciąż jeszcze ze strzałą Brastiego tkwiącą głęboko w skroni – i szła w naszym kierunku.

Uśmiechała się.

WŁÓCZNIA KRÓLA

– Jestem Bożą Igłą – powiedziała kobieta, a pierzasta brzechwa kołysała się w górę i w dół, gdy szła powoli w naszym kierunku.

– Masz na myśli jakiegoś konkretnego boga? – spytałem, podnosząc rapiery z ziemi. – Bo gdyby tu był, pewnie powiedziałby, że nie zostało ci zbyt wiele życia.

Roześmiała się w odpowiedzi. W normalnych okolicznościach doceniłbym to u przeciwnika, ale nie w sytuacji, kiedy krew leciała mu ze śmiertelnej rany na skroni. Kobieta musiała chyba dojść do wniosku, że nie jesteśmy jeszcze wystarczająco zaskoczeni, bo zwróciła się do Ethalii słowami:

– Witaj, siostrze.

Ta wzdrygnęła się, ale nie mogłem rozeznaczyć, czy to była reakcja na powitanie szalonej kobiety, czy na jakąś niewidzialną moc, którą w niej wyczuła. Ethalia zgięła się wpół, jakby miała zwymiotować.

– Ty... nie jesteś moją siostrą.

Boża Igła rozłożyła szeroko ręce niczym kapłan błogosławiący wiernych.

– Czy wyczuwasz mój dar, siostrze? Czujesz, jak dotyka cię i wnika w ciebie? – ciągnęła kobieta zwracając się do Bożą Igłą, ignorując uwagę Ethalii.

Ethalia wyprostowała się, unosząc przed sobą dłoń. Wszyscy poczuliśmy dotknięcie jej Zachwytu – słabsze niż wcześniej, ale wciąż wystarczające, byśmy razem z Kestem, Brastim i Allisterem poczuli miękkość w kolanach. Efekt ten zdawał się jednak nie robić na kobiecie ze strzałą w głowie

wrażenia.

– Przykro mi siostrze, ale na mnie to nie działa. – Zrobiła krok w jej stronę. – A jak spodoba ci się moja moc?

Cokolwiek robiła, zwiększyła napięcie, a Ethalia zaczęła się trząść jak wyrwane z korzeniami drzewo. W głowie nie mieściło mi się, co mogło wywołać w niej tak gwałtowną reakcję. „Zaraz – właściwie dlaczego nikt inny tego nie czuje?”

– Ethalio, przestań korzystać z Zachwytu. – Miała szeroko otwarte usta, nie byłam nawet pewien czy mnie zrozumiała – Kochanie, proszę, przestań natychmiast.

Nie wiem, czy w końcu usłuchała, czy też po prostu nie mogła już walczyć, ale upadła na ziemię i jej wpływ na nas natychmiast zniknął.

– Sprytnie – powiedziała Boża Igła – udało ci się wpaść na...

Nie dokończyła zdania, ponieważ rzuciłem się na nią, starając się wykorzystać każdą cząstkę siły i pędu, by wbić ostry koniec rapiera głęboko w jej pierś, przebić płytkę kostną w skradzionym płaszczu i chronione przez nią płuco. Drugie ostrze wbiłem jej w brzuch – ale ku mojemu przerażeniu i odrazie kobieta w odpowiedzi zaczęła chichotać, chwyciła oba rapierzy i ignorując fakt, że cięły jej dłonie do kości, kurczowo je ścisnęła, uniemożliwiając mi odzyskanie broni.

„Śmieję się do woli”, pomyślałem, „jeszcze z tobą nie skończyłem”. Dawno temu zapłaciłem o wiele za dużo za modyfikację moich rapierów, by ostrza osadzone były na zwiniętej sprężynie, którą można było zwolnić, naciskając przycisk na rękojeści. Pomysł był świetny, gorzej z wykonaniem; zamiast wystrzeliwać w powietrze, ostrza jedynie lekko odskakiwały i opadały niegroźnie na ziemię. Teraz nie dbałem o efekt: nacisnąłem przycisk zwalniający sprężyny, po czym pięścią, w której wciąż trzymałem ciężką stalową rękojeść, mocno uderzyłem Bożą Iglę w twarz, łamiąc jej szczękę.

To również jej nie powstrzymało.

– Jesteśmy inni od was, trattari – powiedziała. Szczęka zwisała jej luźno, przez co słowa były niemal niezrozumiałe. – Nie boimy się ani bólu, ani śmierci.

– To się świetnie składa – powiedziałem, wbijając lewą pięść w jej ramię. Coś w środku trzasnęło, tą ręką nie będzie mnie już w stanie złapać. –

Będziemy mieli o czym rozmawiać, kiedy cię już zwiążemy i zabierzemy do Aramoru. Opowiesz nam o tym, jak potężni i umiłowani są twoi bogowie. Powiesz nam też, dla kogo pracujesz.

Po raz pierwszy zobaczyłem w jej oczach coś podobnego do niepokoju. Niemal warcząc, odparła:

– Ten, kto wykuwa nasze przeznaczenie, jest daleko poza zasięgiem ludzi. Nigdy nie poznasz jego imienia.

Zadała cios drugą ręką. Nawet wytrącona z równowagi i na wpół martwa miała imponującą siłę. Zachwiałem się i cofnąłem o kilka kroków, Kest pomógł mi utrzymać równowagę.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Racja, nie pokonam was wszystkich, zatem zostawię wam jedynie boskie przesłanie, trattari. – Chwyliła strzałę tkwiącą w jej czaszce. Rozległ się nieprzyjemny odgłos, gdy wepchnęła ją głębiej, przekreśliła i wreszcie wyciągnęła. Śmiech, który dobył się jej z gardła, sprawił, że wnętrzności zwinęły mi się w supeł. – Dopadniemy każdego z Wielkich Płaszczy, który będzie próbował prawa ludzkie postawić nad boskimi. I zabijemy waszą heretycką królową, której samo istnienie jest abominacją.

Brasti dokuśtykał do mnie, oparł się o moje ramię i rzucił:

– Wiesz, wydaje mi się, że nazywanie innych „abominacją” to z twojej strony hipokryzja, nie uważasz?

Zignorowała go i wróciła wzrokiem do mnie.

– Ty, Falcio val Mondzie, będziesz cierpieł najbardziej, bo z własnych bluźnierczych ideałów uczyniłeś sobie boga. Mam nadzieję, że przeżyjesz na tyle długo, by być świadkiem tej chwalebnej chwili, kiedy jedno z nas wbije

Iglę głęboko w usta fałszywej królowej.

Spojrzała na strzałę w rękę i przez chwilę myślałem, że będzie chciała nią w nas rzucić. Rozchyliła jednak poły płaszcza, rozrywając go o moje ostrza, a następnie wbiła sobie grot głęboko w brzuch.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się szeroko.

– Cudowne uczucie – powiedziała, choć jej głos był ledwie szeptem, po czym wyrwała strzałę tylko po to, by wbić ją sobie prosto w pierś.

– Przestań! – krzyknęła Ethalia, wyraźnie obrzydzona tym widokiem.

Jednak kobieta nie usłuchała. Dźgała się raz za razem, jęcząc przy tym na w pół z bólu, na w pół oszalała z ekstazy, aż w końcu padła na ziemię. Kest, Brasti, Allister i ja stanęliśmy nad nią. Potoczyła po nas kolejno wzrokiem.

– Każde z nas musi zabić tylko jednego świętego, by dostąpić wiecznych przyjemności – powiedziała, po czym otworzyła usta i wystawiła zabarwiony na niebiesko język. – Wielkie Płaszcze zabijamy bez nagrody.

Z niesmaku nie byłem w stanie wydobyć z siebie głosu, ale Ethalia nagle wstała i powiedziała:

– Kłamiesz.

Oczy kobiety rozszerzyły się, podobnie jak moje.

– Co masz na myśli? – spytałem.

Ethalia zignorowała mnie i uklękła, by się nad nią pochylić.

– Byłam tuż obok, kiedy ugodziłaś Brastiego. Mogłaś mierzyć w gardło lub serce, ale wybrałaś ramię.

– Ethalia ma rację – dodał Kest. – Mogłaś kazać swoim łucznikom wystrzelać nas z lasu albo dać im więcej łuków, ale nie zrobiłaś tego. Kimkolwiek jest wasz dowódca, rozkazał w miarę możliwości brać Wielkie Płaszcze żywcem.

Usta kobiety spłynęły krwią, gdy przez złamaną szczękę odpowiedziała:

– Sam się oszukujesz, odstępco...

– Nie – przerwał jej Kest. – Nie sądzę. – Spojrzał na mnie. – Falcio,

przemyśl to.

– To raczej pobożne życzenie, Kest – odpowiedział Allister, kręcąc głową.

– Nie – powiedziałem, pozwalając, by różne plany i warianty krążyły mi swobodnie w głowie. – On ma rację. Jesteśmy żywi, więc mogą z nas wyciągnąć wszystko, co wiemy, użyć nas jako zakładników, czy do jakichś przeklętych rytuałów, które podyktują im ich bogowie.

– Niezbyt przyjemna perspektywa – powiedział Allister.

Urywany śmiech kobiety na powrót zwrócił na nią naszą uwagę.

– To już nie ma znaczenia, trattari. Wykonałam swoje zadanie, a moja nagroda czeka. – Jej powieki zatrzepotały i zaczęły się zamykać.

Kest schwycił to, co zostało z jej szczęki.

– Nie sądzę, żebyście się nas tu spodziewali. Zorientowałaś się dopiero, gdy przejeżdżaliśmy przez wioskę i w pośpiechu zebrałaś ludzi, żeby za nami ruszyli – powiedział.

– Co z tego? – spytał Allister ze zdziwieniem.

– To, że nie wiedziała, że napotka tu więcej Wielkich Płaszcy, których mogłaby zabić lub schwytać – powiedziałem, kiedy w końcu zrozumiałem, do czego zmierza Kest. – I że nie zabiliby tego, którego już pojмали, jeśli nie byłoby to konieczne. Talia wciąż może być żywa.

Wkładając w to całą siłę, jaką dawała trucizna płynąca w jej żyłach, leżąca na ziemi kobieta krzyknęła z gniewu i rozpacz, aż w końcu wyzionęła ducha.

– Nie rozumiem – powiedział Brasti, podtrzymując zabandażowane ramię, gdy podążaliśmy za śladami w głąb lasu. – Dlaczego szukamy tutaj, a nie w wiosce? To tam nas zauważyła, stamtąd też przyjechali rycerze.

– Nie trzymaliby Talii w miejscu, w którym ktoś mógłby zauważyć, że jest uwięziona – odparłem, wsuwając ostrze rapiera z powrotem do rękojeści i naciskając na wewnętrzną sprężynę, aż usłyszałem, jak mechanizm zaskakuje. – Muszą mieć obóz w lesie; założę się, że pozostali czekają tam

na sygnał do ataku.

– Co stanowi doskonały powód, by mieć usta zamknięte na kłódki – powiedział Allister ściszym głosem. – Nie wiemy, ilu może tam na nas czekać.

Skarceni, ruszyliśmy za nim wijącą się leśną ścieżką. Allister był jeszcze lepszym tropicielem niż Brasti, ten jednak odczuwał potrzebę wskazania nam każdej złamanej gałązki i zgiętego kawałka listowia, aby się upewnić, czy wiemy, że on mógł znaleźć obóz bandytów równie szybko.

Allister nalegał, żebyśmy poruszali się powoli i cicho, by zbyt szybko nie wywołać alarmu, na wypadek gdyby pilnujący obozu mieli nad nami przewagę liczebną. Wiedziałem jednak, czego możemy się spodziewać po dotarciu na miejsce. Pułapki w miejscu zasadzki były w stanie unieszkodliwić jednego, może dwa Wielkie Płaszczce. Przy czterech istniało zbyt duże prawdopodobieństwo, że ucieknie co najmniej jeden z nas, wysłali więc do walki każdego, kto był pod ręką. A to oznaczało, że na straży została jedynie garstka.

Kątem oka zauważyłem potykającą się Ethalię i wyciągnąłem rękę, by ją złapać.

– Wszystko w porządku? – szepnąłem. – Czy to gorączka?

Pokręciła głową i odpowiedziała:

– Nie... okropność ostatnich wydarzeń. Wiem, że nie miałeś wyboru, Falcio, ale natura mojej świętości sprawia, że ciężko to znoszę.

Nie mogłem nic na to poradzić, próbowałem tylko asekurować ją podczas drogi przez las.

Znalezienie obozowiska zajęło nam niecałą godzinę. Szczerze mówiąc, nie było zbyt imponujące, a policzywszy namioty, utwierdziłem się w przekonaniu, że w zasadzce brali udział prawie wszyscy bandyci.

– Nie zbliżać się! – krzyknął ktoś stojący za pnem grubego drzewa. Głos miał głęboki i nisk. To miało sens, jeśli chce się zostawić tylko jednego człowieka do pilnowania więźnia, zostawia się najroślejszego. Lekkie

drzenie jego głosu upewniło mnie, że jest tu sam.

– Nie mamy wobec ciebie złych zamiarów – powiedziałem. – Przyszliśmy jedynie po tą, którą tu przetrzymujecie.

Dobrze zbudowany, młody rycerz wyszedł zza drzewa. Jego sylwetka w zbroi była prawie w całości przysłonięta przez kobietę w poszarpanych szmatach, którą siłą trzymał przed sobą. Jedną dłonią zaciskał jej mocno usta, drugą przystawiał nóż do gardła.

– Prędeż ją zabiję, niż wam wydam, trattari.

– Talia... – szepnął Brasti.

To rzeczywiście była ona. Wszędzie rozpoznałbym te włosy, nawet nie widząc jej twarzy. Tak głębokiego brązu nie widziałem u nikogo innego – nie była to mieszanka kasztanu, orzechu i mahoniu oraz wszystkich innych kolorów drzew i ziemi, typowa dla większość szatynów.

Gestem nakazałem pozostałym, żeby zostali z tyłu, i z wyciągniętymi rękami ruszyłem w kierunku pary przed nami. Oba rapiery spoczywały w pochwach.

– Wystarczy krwi na dzisiaj, młodzieńcze. Zbyt wielu wysłano już do krainy Śmierci. Wierz mi, ona nie wynagrodzi ci tego uczynku – powiedziałem.

Młody rycerz przycisnął mocniej ostrze do gardła Talii.

– Miłosierny Purgeizie, pobłogosław moje ostrze! – wykrzyczał.

Talia ledwo trzymała się na nogach. Miała niewidzące, rozmyte spojrzenie, ale dostrzegałem w nim ogniki gniewu i chęci działania. Nasze oczy spotkały się i skinąłem jej lekko głową, mając nadzieję, że zrozumie, że potrzebuję, by stała w bezruchu.

– Bóg Wojny jest jeszcze bardziej zachłanny niż Śmierć – powiedziałem.

– Nie boję się ciebie, trattari!

Dlaczego wszyscy zawsze czują potrzebę przekazania nam, że się nas nie boją? Zrobiłem ostatni krok i powiedziałem ze smutkiem w głosie:

– Oczywiście, że nie. W tej chwili dla ciebie ma znaczenie jedynie to, by

przysłużyć się po raz ostatni swoim bogom, by móc zaznać wiecznego szczęścia po śmierci, zgadza się?

– Ten, kto umiera w służbie boga, zostanie zwrócony światu jako święty – powiedział mężczyzna, w podniosły sposób cytując słowa kogoś innego.

Czy w ten sposób ta szalona kobieta przekonała ich wszystkich do słuchania jej rozkazów? Pokazała im swoją siłę, a następnie obiecała świętość w zamian za zabicie Wielkich Płaszczy? Do diabła, potrzebowała jedynie znaleźć grupę silnych, głupich i desperacko poszukujących jakiegoś celu ludzi – innymi słowy, rycerzy.

Ethalia wystąpiła naprzód i łagodnie powiedziała:

– Okłamano cię.

– Skąd możesz to wiedzieć, kobieto?

– Jest świętą – wyjaśnił Brasti. – A to, rozumiesz, chyba czyni z niej eksperta w tych sprawach.

Rycerz zacisnął mocno szczękę.

– W takim razie, kiedy już pokonam twoich towarzyszy, na końcu zabiję ciebie. Czas fałszywych świętych przeminął – zwrócił się do Ethalii.

– Już z pierwszym punktem planu możesz mieć mały problem, kolego – powiedziałem, kładąc rękę na rękojeści rapiera.

Potoczył szybko wzrokiem po całej grupie i zagroził:

– Jeśli ktoś spróbuje wymierzyć do mnie z łuku, poderżnę jej gardło!

Dłuższą chwilę patrzyłem mu w oczy. Każdy może rzucić groźbę, ale nie każdy jest gotów ją zrealizować. Problem polegał na tym, że wyraźnie widziałem mieszaninę strachu i religijnego zapału bijącą z jego spojrzenia. Wiedziałem, że się nie zawaha. Był przekonany, że zabijając Talię, zyska sobie boską przychylność.

„Nie wiem, czy to prawda, panie rycerzu, ale nikt z nas się tego dziś nie dowie”.

– Czy wiesz kim jest *vinceret*, rycerzu? – Nie zadałem sobie trudu czekania na odpowiedź. – To szermierz, który specjalizuje się w czymś, co

nazywamy „szybkim dobytciem”. Jego strategia polega na tym, żeby tuż po sygnale do rozpoczęcia pojedynku dobyć broni i zadać cios tak szybko, że skończy się on sekundę po jego rozpoczęciu.

– Jesteś za daleko, trattari – odparł. – Stoisz przynajmniej dziewięć stóp ode mnie, a rapier u twojego boku nie jest wystarczająco długi, by mnie dosięgnąć, nawet gdybyś był w stanie dobyć go wystarczająco szybko.

– Cóż, rozumiem, że możesz tak uważać. Ale w rzeczywistości mój rapier ma trzy stopy i dwa cale długości. A w pełnym wypadzie... Kest, pamiętasz, ile to było?

– Ostatnim razem, gdy miałem okazję ci się przyjrzeć, sześć stóp.

– Sześć stóp – powtórzyłem. – Jeśli dodasz te dwie liczby, wynik powie ci, że mogę wbić w twoje gardło ostrze rapiera na dwa cale.

Mężczyzna trzymający Talię przełknął ślinę.

– Nie będziesz w stanie... – zaczął.

– Wiem, wiem – przerwałem mu. – Bo nawet gdybym znał szkołę *vincereti*, a nawiasem mówiąc, znam, to jakie są szanse, że będę w stanie sięgnąć po rapier, dobyć go, ustawić się odpowiednio i zrobić wypad z dokładnością potrzebną do przebicia ci gardła, kiedy jedyne, co ty musisz zrobić, to przeciągnąć nożykiem po gardle Talii?

– Nie zdążysz. To niemożliwe – odpowiedział, jakby raczej starał się uspokoić, niż mi groził.

– To nie jest niemożliwe, a jedynie bardzo trudne. Ale wiesz co? Potrafię być cholernie szybki, kiedy naprawdę się postaram. Do tego dochodzi jeszcze twój drugi problem, czyli odruchy. Widzisz, o wiele trudniej jest stać w miejscu i podrzynać komuś gardło kosztem własnego życia. Kiedy zobaczysz, że ruszam w twoim kierunku, twoje ciało spróbuje przejąć kontrolę. Mięśnie zeszywnieją, gdy będziesz próbował odskoczyć. Talia skończy z paskudną raną, ale zapewne nie śmiertelną, a ty umrzesz na darmo.

Rycerz zaczął mamrotać coś pod nosem, zapewne modlić się do swojego

boga.

– Masz rację, synu – powiedziałem. – Bogowie cię poprowadzą. Co prawda, pewnie właśnie poczułeś ciepło i zapach własnego moczu, a każdy mięsień w twoim ciele zaczyna zastygać, spowalniając cię, zgadza się? Czujesz ten smak w ustach? Niezbyt przyjemny, prawda? Modląc się do bogów o pomoc, zadaj sobie jedno proste pytanie.

– J... jakie?

– Czy ci bogowie naprawdę cię kochają? – odparłem.

Widziałem strach w drzeniu jego ust, nie był on jednak tak silny jak jego wiara.

– Purgeizie, przyjmij mnie w swoje... – zaczął.

Ostatnie słowo zostało odcięte przez dwa cale stali, które przeszły mu gardło.

Pozostałem nieruchomo z rapierem wyciągniętym w prawdopodobnie najszybszym wypadzie, jaki kiedykolwiek wykonałem. Oczy Talii były szeroko otwarte i skupione na ostrzu opierającym się o jej prawy policzek.

Rycerz zakrztusił się, a krew z jego gardła spłynęła na włosy zakładniczki. Lewa ręka, w której trzymał nóż, drgnęła, gdy próbował zmusić ciało do spełnienia ostatniego aktu ślepej wiary. Jego mięśnie zawiodły, a Talia wyciągnęła dłoń i odsunęła ostrze od gardła ostrożnym, niemal czułym ruchem. Wyszwoodziła się z uścisku i odwróciła się, by popatrzeć, jak rycerz pada na ziemię.

Brasti podszedł do nas i z widoczną niezręcznością zdjął płaszcz i położył go na ramionach Talii, choć ona zdała się tego nie zauważać.

– Falcio cię oszukał – powiedziała do klęczącego rycerza, który rękami próbował powstrzymać krew płynącą mu z przebitego gardła. – Zmusił cię do myślenia o mięśniach, żebyś był bardziej spięty, i mówił o bogach, żebyś zaczął się modlić. – Uklęknęła przed nim. – Obydwie rzeczy cię spowolniły. Miałeś szansę podarować swoim bóstwom ofiarę godną ich daru. Mogłeś zabić Wielkiego Płaszczka.

Oczy rycerza rozszerzyły się z przerażenia, gdy dotarło do niego znaczenie słów Talii. Ale ona nie miała jeszcze zamiaru kończyć.

– Twój drogi Purgeiz będzie bardzo niezadowolony, gdy przed nim staniesz – kontynuowała. – Przekaż mu więc ode mnie wiadomość. Powiedz mu, że Talia Venire go dopadnie. Upewnij się, iż Bóg Wojny wie, że jest następny.

Ciało rycerza osunęło się na ziemię. Czuję się dziwnie nieprzyjemnie, słuchając Talii, ale ponieważ nie miałem pojęcia, co robili z nią, kiedy była ich więźniem, powstrzymałem się od komentarza.

Ethalia tego nie zrobiła.

– To było niepotrzebnie okrutne – powiedziała.

Talia nie wyglądała na zranioną ani urażoną jej słowami.

– To nie było okrucieństwo – odparła.

Odwróciła się i weszła do jednego z namiotów. Kiedy wróciła, w ręku trzymała długą włócznię zakończoną ostrzem w kształcie diamentu. Swój przydomek zdobyła właśnie dzięki swojej śmiertelnej skuteczności w posługiwaniu się tą bronią.

– Chodźcie ze mną – powiedziała i przywołała nas gestem dłoni. –

Pokażę wam, jak wygląda prawdziwe okrucieństwo – dodała, gdy szliśmy za nią do lasu.

– Chwileczkę – zawołałem za nią. – Gdzie nas...

– Kiedy mnie złapali, nie podróżowałam sama.

KRWAWÉ ĆMY

Pierwsze ciało wisiało na drzewie. Było nagie, brudne i pokryte śladami krwi spływającej z ran na klatce piersiowej i szyi mężczyzny. Jego ramiona zostały przywiązane do dwóch gałęzi, które pod nietypowym kątem odchodziły od pnia drzewa. Widziałem już mnóstwo martwych ludzi, zabitych niemal na każdy możliwy sposób. Nigdy jednak nie widziałem, żeby zwłoki były tak blade. Stos liści pod ciałem był przesiąknięty krwią.

– To Harden – powiedział Kest, gdy tylko znaleźliśmy się wystarczająco blisko, by rozpoznać rysy zmarłego. Szept Króla.

– Znałem go – rzekł Allister. – Obaj służyliśmy pod Quillatą.

– Był moim bratem – powiedziała Talia. – Mówił ci o tym?

– Nie – odpowiedział Allister. – Nigdy nie wspominał o rodzinie.

Pokiwała z roztargnieniem głową.

– Byliśmy jedynym rodzeństwem wśród Wielkich Płaszcy. Harden zawsze się martwił, że może istnieć niewypowiedziana zasada przeciwna takim relacjom. Zawsze był nieco naiwny. – Otuliła się płaszczem Brastiego, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest jej zimno. – Przypuszczam, że właśnie dlatego uwierzył słowom tej kobiety i wpadliśmy w pułapkę.

– Czym się zajmował? – spytałem. – Jakie dostał zadanie?

Zamiast odpowiedzieć, Talia wskazała przed siebie. Wszyscy byliśmy tak skupieni na pierwszym trupie, że nawet nie zauważyliśmy drugiego.

Tego człowieka przywiązano do słupa, a jego ramiona zostały szeroko rozciągnięte za pomocą lin przeciągniętych wokół gałęzi drzew. W przeciwieństwie do Hardena, był ubrany w coś w rodzaju ciężkiej, poplamionej na ciemnoczerwono szaty. Słońce przebijało liście rosnących

powyżej drzew i padało na szaroczną powierzchnię żelaznej maski na twarzy zmarłego.

– Harden powiedział, że miał na imię Gan – powiedziała Talia. – Początkowo mu nie wierzyłam.

– Dlaczego? – zapytał Brasti. – Gan to dość powszechne...

– Gan Co Śmieje się Grając w Kości – dokończyła.

Wszystkie spojrzenia utkwily w martwym mężczyźnie. Wzrost nieco poniżej średniej, szczupły, ale z brzuchem zarysowanym pod ciemnoczerwonymi szmatami.

– Wygląda na to, że szczęście odwróciło się od Świętego Hazardu – powiedział Allister.

Żart nie wydał mi się zabawny.

– Powinniśmy go ściągnąć na ziemię – powiedziałem i sięgnąłem do płaszcza po nóż.

– Stój – powiedziała Talia, chwytając mnie za ramię. – Ruszają się niezwykle szybko, kiedy się je obudzi. – Wskazała, żeby reszta z nas cofnęła się o kilka kroków, po czym uklękła i podniosła mały patyk.

– Co masz na myśli? Jakie „one”? – zapytał Kest, po czym zmrużył oczy. – Te szaty są bardzo dziwne, wyglądają jakby...

– To nie strój – powiedziała i rzuciła patykiem.

Nie rozległ się żaden dźwięk, ale w chwili, gdy rzucony kij uderzył w ciało, okrywająca je ciemnoczerwona tkanina eksplodowała w setki drobnych skrawków, ukazując pod spodem blade, martwe ciało. Potem stało się coś jeszcze dziwniejszego: zamiast upaść na ziemię, czerwone strzępy drgnęły i uniosły się w powietrzu, tworząc wirującą szkarłatną chmurę.

– Święta Shiullo Co Kąpie Się ze Zwierzyną – zaklął Brasti. – Czy to... motyle?

– Krwawe ćmy – odpowiedziała Talia. – Tak nazywała je ta, która wzięła mój płaszcz.

Rój powoli wzlatywał do góry. Poszedłem za Talią, gdy ta ruszyła

zbadać zwłoki Świętego Gana. Bez pokrywającego ciało roju mogłem dostrzec dziesiątki drobnych płytkich nacięć na jego ramionach, piersi, nogach.

– Ćmy to zrobiły? – spytał Kest.

– Nie – odparła Talia – ta kobieta... odprawiła na nim jakiś rytuał. Najpierw wlała płyn przez otwór w masce, nie wiem, co to było, a potem nożem zaczęła wykonywać nacięcia, które widać na całym ciele. Działała metodycznie, była bardzo cierpliwa. Miała przy sobie pudełko, proste, wykonane z materiału podobnego do drewna sandałowego. W środku trzymała te ćmy. Początkowo były białe jak śnieg, ale gdy tylko umieszczała je na krwawiących ranach, zaczynały nabiegać czerwieni. Całe, razem ze skrzydłami.

– Dlaczego? – spytałem. – Jaki miała w tym cel?

Zamiast odpowiedzieć, wróciła do swojej opowieści, jakby przeczuwała, że jeśli nie opowie wszystkiego od razu, nie będzie więcej w stanie o tym mówić.

– Ćmy obsiadły go, nieruchome. Pomyślałam, że może umierały opite krwią, ale żyły przez cały czas. Po jakimś czasie ta szalona suka sięgała i ostrożnie zdejmowała jedną po drugiej – mówiąc to, Talia zadrżała. – Po czym je zjadała.

Ethalia, która milczała od dłuższego czasu, powiedziała cicho:

– Dokładnie to samo zrobili Birgid.

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że jej słowa zabrzmiały jak ślubowanie. Popatrzyła mi prosto w oczy, jakby chciała, żebym zobaczył, że bladoniebieski ocean, który kiedyś krył się w jej spojrzeniu, zmienił się w hartowaną stal. Ethalia była zdeterminowana zrobić wszystko, co w jej mocy, by wypełnić rolę Świętej Miłosierdzia. Wszystko inne nie miało znaczenia.

Moje myśli odpędził szcęk wyłamywanych klamer na masce zasłaniającej twarz Świętego Gana, czym się postanowił zająć Kest.

– Wygląda... pospolicie – powiedział Brasti. – Jak wiejski pijaczyna przegrywający w karczmie ostatnie pieniądze.

– Chyba masz rację – powiedziałem, ale skłamałem. Nie miałem pojęcia, jak wygląda człowiek przywiązany do drzewa, ponieważ nie widziałem jego twarzy.

– Falcio? Co się stało? – spytała Ethalia.

– Wszystko w porządku – odparłem.

– Nie wyglądasz dobrze, cały drżysz...

Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć mojej twarzy. Kiedy to zrobiła, jej palce zdały mi się gorące niczym płonące węgle. Odskoczyła, odrywając dłoń i z trudem łapiąc oddech.

– Tyle grozy...

– To nic takiego – powiedziałem. Co oczywiście nie było prawdą, ale w tym momencie tylko tyle mogłem z siebie wydusić.

– Falcio, jesteś błydy jak trup – powiedział Kest – powinieneś...

Jego słowa były dla mnie coraz bardziej odległe. Poczułem, jak coś przyciąga mnie do ciała przywiązanego do drzewa. Kiedy spojrzałem na mężczyznę, nie zobaczyłem pijaka opisywanego przez Brastiego. Trup miał moją twarz, pustymi oczami patrzącą na zimny, pusty świat. To moje zmaltretowane ciało wisiało na drzewie.

„Przestań”, pomyślałem. „To nie ty”. Jednocześnie czułem, że liny ściskają mnie tak mocno, że zdrętwiały mi ręce i nogi. Nie było nic poza ciemnością. Nie było ziemi, dróg, ludzi, tylko drzewo. Tylko igły, ból i niekończąca się udręka.

„Przybyli, by znów wykonać na mnie Lament”.

– Co do diabła się z nim dzieje? – krzyknął Allister.

Cienkie pełne liści gałęzie chłostały mnie po twarzy.

„Dziwne. Nie pamiętam, żeby drzewo miało jakiegokolwiek liście”.

Słowa Heryna, Niesplamionego, który nadzorował Lament, nie przestawały rozbrzmiewać w moich uszach: „Zaczynamy?”.

„Oddychaj”, nakazałem sobie, nie pragnąc niczego bardziej niż tego, by moje serce zwolniło. „Heryn nie żyje, zabity przez Darrianę. Lament się skończył”.

„Skończył się? Doprawdy?”

– Co się dzieje? – spytała Talia.

– To Lament, tortura, której poddano go wiele miesięcy temu – powiedziała Ethalia.

– Ale przecież ma to już za sobą – powiedział Brasti.

– Nie. Głęboko to ukrywa, ale wspomnienie Lamentu wciąż go nie opuszcza.

Z oddali poczułem, jak coś do mnie dociera – siła, która próbuje złagodzić strach. Przez chwilę miałem wrażenie, że z jej pomocą uda mi się to pokonać, kiedy Ethalia padła na kolana i wszystko wróciło.

– Nie jestem wystarczająco silna – jęknęła. – Nie mogę mu pomóc.

„To nie Lament”, powiedziałem sobie. „Jesteś w lesie setki mil od miejsca, w którym cię trzymali. Lament się skończył. Skończył się. Skończył”.

Ktoś uderzył mnie mocno w twarz i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że to nie był pierwszy cios. Otworzyłem oczy i zobaczyłem Kesta. Twarz miał obojętną, ale w jego oczach widziałem troskę, smutek i poczucie winy.

– Nic mi nie jest – powiedziałem, odpychając go.

– Nie wydaje mi się! – krzyknął Allister. Zwrócił się do pozostałych. – Na Świętego Zagheva Co Śpiewa o Łzy, co mu jest?

– Zostaw go – powiedział Kest. Nawet ja mogłem usłyszeć ostrzeżenie w jego głosie.

– No cóż, Pierwszy Kantor może tu stać aż do zimy – powiedziała Talia, zdejmując płaszcz Brastiego i oddając mu go. – Ale ja mam zadanie do wykonania i nie chcę czekać, aż Falcio odzyska jaja.

Chociaż nie zdradziła szczegółów, wiedziałem dokładnie, co miała na myśli. Wiedziałem też, że sposób, w jaki do mnie mówiła, był celowy; tak

samo odzywał się do mnie Allister, badając granice. Wyciągnąłem rękę, żeby pomóc Ethalii, ale ona pokręciła głową, nie była w tej chwili wystarczająco silna, by znieść mój dotyk.

– Falcio? – spytał Kest, wymieniliśmy spojrzenia.

Co powinienem teraz zrobić? Pozwolić Talii odejść, by szukała zemsty na każdym, kogo tylko udałoby się jej znaleźć? Nie wiedziałem nawet, czy mam prawo jej tego zabronić.

„Oczywiście, że nie masz prawa, głupcze”, przekląłem się w myślach. „Masz cholerny obowiązek, by jej zabronić”.

Spojrzałem na nią i Allistera. W ich spojrzeniach nie było podziwu. Nie mogłem ich za to winić. Wielkie Płaszczce zostały rozwiązane lata temu, a od śmierci króla każde z nas było zdane na siebie. Dlaczego miałoby słuchać moich rozkazów?

„Ponieważ z jakiegoś powodu król powołał Kantorów, i bez względu na to, jak głupi i powolny jesteś teraz, z jakiegoś powodu to właśnie ciebie uczynił Pierwszym z nich”.

– Brasti, wróć na drogę i odzyskaj płaszcz Talii. Kest, pomóż Ethalii, a potem idźcie z nim – poprosiłem.

Kest zdawał się wyczuwać, co się dzieje.

– Falcio, nie jestem pewien, czy to...

– Po prostu to zrób – powiedziałem. – To rozkaz.

Bez dalszych komentarzy Kest delikatnie pomógł Ethalii wstać i wrócić na drogę.

– Bez niej się nie ruszam – powiedział Brasti.

Talia uśmiechnęła się słabo i rzuciła:

– Mój drogi Brasti Goodbow. Czyżbyś w końcu zdecydował, że jednak jesteś we mnie zakochany?

Przez chwilę patrzył na nią niezręcznie, po czym odwrócił się i ruszył w stronę drogi.

Talia pokręciła głową.

– Kto by pomyślał... – Spojrzała na mnie i ciepło z jej głosu wyparowało w jednej chwili. – W końcu możesz wydusić z siebie to pytanie, które tak niezręcznie było ci zadać w obecności Brastiego. Nie zgwałcili mnie ani nie torturowali, jeśli o to ci chodzi. Ich przywódczyni spaliła moje ubranie. Ciągłe powtarzała, że jestem nieczysta, co biorąc pod uwagę, ile czasu minęło, odkąd brałam kąpiel...

– Muszę wiedzieć, czy nadal jesteś Wielkim Płaszczem – przerwałem jej.

Jeszcze zanim skończyłem zdanie, włócznia Talii opadła w dół, wskazując moje serce.

– Nie wiem, czy jesteś głupi, czy po prostu zmęczony życiem.

– I jedno, i drugie. – Nie zadałem sobie trudu, by odepchnąć grot na bok.

– Ale jestem też Pierwszym Kantorem Wielkich Płaszczy, zabieraj więc tę broń i odpowiedz na cholerne pytanie.

Rozkaz uderzył ją niczym cios. Po raz pierwszy, odkąd ją znaleźliśmy, zobaczyłem w jej oczach łzy.

– Nazywam się Talia Venire – powiedziała. – Jestem Włócznią Króla i tak, ty pieprzony sukinsynu, jestem Wielkim Płaszczem.

– A ty? – zwróciłem się do Allistera.

Prychnął.

– Przepraszam, Falcio, ale nie masz już prawa zwracać się do mnie w ten sposób. Z tego, co widzę, udało ci się spieprzyć wszystko... – zaczął.

– Odpowiedz na moje pytanie, albo zdejmij ten przeklęty płaszcz, żebym mógł przekazać go komuś, kto będzie w stanie to zrobić.

Dłoń Allistera zacisnęła się mocniej na rękojeści laski, a jej okuty żelazem koniec nieznacznie przesunął się w moją stronę.

Cholera, szybki jest.

– Naprawdę myślisz, że uda ci się dobyć rapiera na tyle szybko, żeby zrobić ze mną to samo co z tym idiotą? Kim, na wszystkie piekła, wydaje ci się, że jesteś, żeby mówić reszcie z nas...

– Jestem Falcio val Mond – odparowałem – zwany Królewskim Sercem, a na wypadek, gdybyś zapomniał, również pieprzonym Pierwszym Kantorem Wielkich Płaszczy. Więc albo odpowiedz na moje pytanie, albo wykonaj swój zamiar, a dowiesz się, jak prędko potrafię być.

Zacisnął szczęki tak mocno, że nawet z tej odległości słyszałem zgrzytające zęby.

„Najpierw zada cios od dołu”, pomyślałem. „Zamarkuje atak od góry, a potem...”

Cokolwiek planował, zrezygnował z tego i oparł swoją łaskę o ziemię.

– Nazywam się Allister Ivany. Zwą mnie Królewskim Cieniem i tak, wciąż jestem Wielkim Płaszczem.

Wypuściłem z płuc oddech, który wstrzymywałem przez dłuższą chwilę. Tym, co go zastąpiło, było raczej poczucie winy niż ulga. Jak dużo czasu Wielkie Płaszczce spędziły na wygnaniu, lżone przez jedną połowę państwa i ścigane przez drugą? Czy traktowanie Talii i Allistera w ten sposób naprawdę było najlepszym sposobem na przypomnienie im, kim są? Talia była więziona, bita i zmuszona patrzeć, jak jej brat jest torturowany i mordowany. Przywracałem czy łamałem jej ducha?

– No dobrze – powiedziała Talia. – Odpowiedzieliśmy na twoje przekłete pytanie. Co teraz? Czekasz, żebyśmy jeszcze przed tobą ukłękli?

No tak, o złamanym duchu Talii możemy zapomnieć.

– Wielkie Płaszczce nie klękają – odparłem. – Kest, Brasti i ja znajdziemy sanktuarium dla Ethalii, a potem udam się do Aramoru, żeby uczynić Aline królową, zanim cały ten kraj ogarnie szaleństwo.

Allister pokręcił głową.

– Naprawdę sądzisz, że czternastoletnia dziewczyna... – Urwał gwałtownie. – W porządku. Powiedz nam, co mamy robić.

– Jeśli ktoś poluje na Wielkie Płaszczce, musimy rozpuścić o tym wieści. Znajdźcie bardatti. Jeśli musicie, zacznijcie od tych z karczmy, a następnie jedźcie na północ. Powiedzcie im, co się dzieje, i znajdźcie sposób, by

bezpiecznie zebrać resztę Wielkich Płaszczy i sprowadzić ich z powrotem do Aramoru.

– Jak mamy to zrobić? – spytała Talia. – Nie jestem nawet pewna, czy to w ogóle możliwe.

– Może nie – przyznałem. – Ale jesteście Wielkimi Płaszczami. Dokonywanie rzeczy niemożliwych to część naszych obowiązków.

*

Czekając aż Kest i Brasti wrócą z Ethalią, zmusiłem się, by spojrzeć na martwego świętego. Zastanawiałem się, ile czasu minie, aż rysy jego twarzy przestaną wyglądać jak moje, a wyimaginowane liny przestaną wrzynąć się w skórę.

Wróciłem spojrzeniem do Hardena – on również miał moją twarz. „Możliwe, że byłeś bity, truty i torturowany zbyt wiele razy, żeby żywić nadzieję na pozostanie przy zdrowych zmysłach”.

Z jakiegoś powodu martwiło mnie, że rozebrano go do naga. Nie miałem pewności, dlaczego, pewnie dla Hardena to akurat był najmniejszy problem. Coś jednak nie dawało mi spokoju.

– No proszę, wciąż żyjesz. To już coś – powiedział Brasti, podchodząc do mnie z Kestem i Ethalią. – Chociaż sądząc po twarzach Talii i Allistera, na twoim miejscu spałbym dzisiaj z rapierem przy boku.

„Dlaczego nie?”, pomyślałem, próbując nie patrzeć na Ethalię. „I tak nikt już nie chce tego miejsca”.

To było małostkowe. Świat miał obecnie gorsze zmartwienia niż moje życie miłosne. Czuję, jakby ktoś dokręcał śruby ściskające mi głowę, jakby Heryn wciąż wbijał we mnie swoje małe igły.

Heryn nie żyje. Przestań wciąż o nim myśleć. Zapomnij o Lamencie. Skup się na kolejnym problemie.

Wizja Aline stanęła mi przed oczami, a jej słowa rozbrzmiały wyraźnie

w moich uszach: „Nie pokonasz go, póki nie dostrzeżesz, czego tu brakuje”.

W takim razie czego brakuje?

– Falcio? – powiedział Kest.

– O co chodzi? – zapytałem wyrwany z rozmyślań.

– Znowu odpłynąłeś.

– Coś jest nie tak. Mam wrażenie, że pomiąłem ważny szczegół – odpowiedziałem.

Wróciłem spojrzeniem do nagich zwłok Hardena, zastanawiając się raz jeszcze, jaką perwersyjną satysfakcję jego zabójcy mieli z rozebrania go i kradzieży jego...

– Na wszystkie kręgi piekieł! – krzyknąłem. – Gdzie jest płaszcz Hardena?

– Czemu pytasz? Jakie to ma teraz znaczenie? – zapytał Brasti.

Kest już przeszukiwał namioty, przewracając je i rozrzucając ich zawartość.

– Nie ma tu nic poza szmatami i kawałkami jedzenia – powiedział.

– Może go spalili? – zasugerował Brasti.

– Sprawdźmy ognisko – rzuciłem przez ramię, biegnąc na środek obozu.

Brasti, Ethalia i ja uklękliśmy przed pozostałościami paleniska i zaczęliśmy palcami przeczesać popioły, szukając jakiegokolwiek śladu płaszcza.

– Falcio, tu nic nie ma – powiedział Brasti, pokazując puste, czarne dłonie. – Jeśli go spalili, nic nie znajdziemy.

– Guziki są ze złota, jeśli Harden nie zdążył z nich skorzystać – powiedział Kest, dołączając do nas.

Brasti zastygł w bezruchu.

– Nawet gdyby je miał, zabójcy wzięliby złoto, prawda?

– Klamry, nity, nasze płaszcze mają metalowe elementy. Znajdźcie cokolwiek! – krzyknąłem.

– Przecież mówię, że nic tu nie ma. Święty Felsanie Co Waży Świat, co

z tobą nie tak?

– Gdzie pojechała Aline po opuszczeniu Baern? – spytałem Kesta. „Proszę, powiedz, że do Aramoru. Powiedz, że wróciła do...”

– Pałac Książęcy w Luth – odparł Kest. – Nalegała, by wypełnić plan odwiedzenia każdego z księstw i pokazania wszystkim, że gdy obejmie tron, będzie jej drogi los każdego poddanego.

Nim zdążył dokończyć zdanie, byłem już na nogach i biegłem z powrotem do drogi.

– Falcio, co...

– Wzięli płaszcz Hardena – krzyknąłem za siebie.

– Myślisz, że chcą zastawić kolejne pułapki? – spytał biegnący za mną Brasti. – Czy nie tym właśnie mieli się zająć Talia i Allister?

– Kobieta, która nas zaatakowała, zanim umarła, powiedziała coś ważnego: „Mam nadzieję, że przeżyjesz na tyle długo, by być świadkiem tej chwalebnej chwili, kiedy jedno z nas wbije Igłę głęboko w usta fałszywej Królowej” – powiedziałem, biegnąc ile sił i próbując nie potknąć się o nierówny grunt.

Wbiegłem na drogę, dziękując wszystkim pozostałym przy życiu świętym, kiedy zobaczyłem, że nasze konie stoją w tym samym miejscu, w którym je zostawiliśmy.

– Za mną – zawołałem. – Musimy jak najszybciej dotrzeć do Luth!

Kiedy Igła wypowiadała te słowa – wtedy tego nie rozumiałem – to nie była czcza pogroźka. Nie mówiła z szalonym przekonaniem religijnego zeloty, ale z pewnością kogoś, czyj plan już został puszczony w ruch.

– Nie rozumiem – powiedziała Ethalia, wskazując na konia w chwili, gdy spinałem wierzchowca do galopu – Co to ma wspólnego z płaszczem Hardena?

– Powiedziałem Valianie, że chcę, by Wielkie Płaszczki pilnowały Aline, ale ona nigdy nie widziała na oczy żadnego poza nami. Dlatego zabrali płaszcz Hardena. Planują zabić Aline.

SALA TRONOWA

Kolejne pięć dni i nieprzespanych nocy spędziliśmy na forsownej jeździe, starając się nie spaść z wierzchowców, zatrzymywaliśmy się tylko po to, by pozwolić im odpocząć, rozprawiając w tym czasie o naszych dalszych działaniach i obwiniając siebie nawzajem i każdego, kto tylko przyszedł nam do głowy. Ostatecznie z naszych rozważań absolutnie nic nie wynikało.

W końcu naszym oczom ukazał się pałac książęcy w Luth, wznoszący się nad masywnym kamiennym łukiem prowadzącym do stolicy: miało to przypominać odwiedzającym, że cały handel odbywa się pod czujnym okiem księcia. Widok ten był zapewne bardziej imponujący, gdy na tronie zasiadał prawdziwy książę, ale po śmierci Roseta Luth było rządzone przez nieśmiałego i bardzo tymczasowego Obrońcę Księstwa.

– W lewo czy w prawo? – zapytał Kest.

Główna droga prowadziła pod łukiem do samego pałacu, konie i wozy kupców musiały jednak pokonywać jedną z dwóch brukowanych dróg, które łagodnie nachylone, obiegały go po obu stronach i kończyły się na wąskim dziedzińcu.

– W prawo – powiedziałem, nie wierząc, żeby nasz wybór miał znaczenie. Okazało się, że miałem rację.

– Na Świętą Iphilię Co Rozkrawa Własne Serce, co tam się dzieje? – zapytał Brasti, patrząc na tłumy zgromadzone na dziedzińcu przed nami.

– Modlą się – odpowiedziała Ethalia. – Podobnie jak pielgrzymi w martyrium.

– Niech się modlą – powiedziałem, starając się piętami skłonić Bydlaka do szybszego kroku. Przede mną kilku pielgrzymów nagle podniosło się

z kolan i zatarasowało dalszą drogę.

– Nie sądzę, by chcieli nas przepuścić – zauważył Kest.

Pochyliłem się nad szyją swojego wierzchowca i powiedziałem:

– W porządku, Bydlaku, przeleciałeś właśnie przez pół kraju. Czas pokazać, co naprawdę potrafisz.

Skakanie przez przeszkody jest trudne nawet w sprzyjających okolicznościach. Gorzej, gdy przeszkodę stanowią ludzie, bo koń może się wystraszyć i zatrzymać w ostatniej chwili. Co w takim razie powiecie na skok ponad tuzinem religijnych fanatyków podczas jazdy pod górę?

– No dalej. – Nie ustępowałem i Bydlak ruszył w kierunku tłumu. Przez sekundę bałem się, że się zawaha, ale potem poczułem, jak mięśnie jego potężnych tylnych nóg wyrzucają nas w powietrze. „Ptaki muszą czuć się tak przez cały czas”, przemknęło mi przez myśl, kiedy lecieliśmy nad głowami zszokowanych pielgrzymów.

Bydlak wylądował perfekcyjnie po drugiej stronie i natychmiast ruszył galopem, ani na chwilę nie zwalniając. Obejrzałem się i zobaczyłem kilku pielgrzymów, którzy ruszyli za nami, co było ich błędem, bo powstała luka, którą ruszyła reszta naszej grupy.

– Jesteś cholernie dobrym koniem – powiedziałem. Bydlak nie odpowiedział, zapewne dlatego, że nie był przy tym szczególnie bystrym przedstawicielem swego gatunku.

Droga kończyła się na dziedzińcu, gdzie czekali gwardziści uzbrojeni we włócznie i kusze.

– Zsiadaj z konia! – krzyknął dowódca warty.

Spiąłem wierzchowca, ale nie miałem zamiaru słuchać strażnika.

– Nazywam się Falcio val Mond, Pierwszy Kantor Wielkich Płaszczy.

– Rozpoznaję trattari z daleka – odparł. – A teraz zejź z konia, zanim cię zastrzelimy.

– Posłuchaj mnie uważnie, kapitanie – powiedziałem. – Życie spadkobierczyni tronu Tristii jest w niebezpieczeństwie, a zamach ma mieć

miejsce w tym pałacu i to na twojej służbie. Pozwól mi przejść.

Zmrużył oczy, popatrzył na mnie uważnie i wreszcie dał znak swoim ludziom, by się cofnęli.

– W porządku, ale chcę, byś to zgłosił, żebym mógł... – zaczął.

– Jak już będzie po wszystkim – odpowiedziałem, ale nim zdążyłem popędzić wierzchowca, usłyszałem przecinający powietrze bełt, wystrzelony z kuszy jednego ze strażników stojących obok kapitana. Pocisk minął moje udo, przebijając siodło i koński bok. Zaskoczone zwierzę stanęło dęba i jedyne, co mogłem zrobić, by uchronić się od upadku, to ciasno opleść jego szyję ramionami.

– No już, już – powiedziałem tak spokojnie, jak tylko mogłem, podczas gdy przerażony koń starał się zrzucić mnie ze swojego grzbietu. – Daj spokój, Bydlak, rana nie jest taka poważna – dodałem.

Ten, całkiem zresztą rozsądnie, ani myślał mnie słuchać, ale mimo to udało mi się zsunąć z niego, zanim pognał w głąb dziedzińca.

– Cholerny głupcze! – krzyknął kapitan, waląc niefortunnego strzelca pięścią w bok. – Obrońca Księstwa skróciłby mnie o głowę za zranienie Wielkiego Płaszcz, nie mówiąc już o tym, co zrobiłby Obrońca Królestwa!

– Falcio... – zaczął mówić Kest.

– Jedźcie – przerwałem mu, patrząc na niebo. Dochodziło południe. –

We trójkę przedostańcie się do sali tronowej. Jeśli Obrońca Księstwa sprawuje sąd, Valiana i Aline też tam będą. Dogonię was. Kest, jeśli go znajdziesz...

– Uda się nam, Falcio – uspokoił mnie Brasti.

Odprowadziłem wzrokiem całą trójkę jadącą przez dziedziniec w stronę głównego wejścia, po czym odwróciłem się do dowódcy warty.

– Zabójca czyha na życie spadkobierczyni tronu. Jest ubrany tak jak my – powiedziałem.

– Wielki Płaszcz? Ale...

– Szczegóły są teraz nieistotne – przerwałem mu.

W rzeczywistości były bardzo istotne. Powinniśmy być mądrzejsi, lepsi. „Niech cię diabli, Harden, za to, że dałeś się złapać”, pomyślałem irracjonalnie. Wskazałem na pozostałych strażników.

– Weź tych ludzi i zwołaj wszystkich, których uda ci się znaleźć. Potrzebujemy jak najwięcej kuszników na górnej galerii sali tronowej.

Kiedy skinął głową, dodałem:

– Kapitanie? Tylko tym razem znajdź kogoś, kto potrafi celować.

Młody strażnik, który strzelił do mnie wcześniej, nie przestawał kłaniać mi się w pas. Kiedy na niego spojrzałem, zaczął się nieskładnie tłumaczyć:

– Pan wybaczy, ja... myślałem, że chciał pan zaatakować kapitana...

Chwyciłem go za kaftan i potrząsnąłem.

– Lepiej idź i zaopiekuj się moim cholernym koniem. – Puściłem strażnika i rzuciłem się biegiem w stronę głównego wejścia. Natychmiast poczułem, jak kostkę przeszywa mi błyskawica bólu. Musiałem źle wylądować, kiedy zeskakiwałem z grzbietu Bydlaka.

– Mogę z tobą wysłać więcej ludzi! – krzyknął za mną kapitan bramy.

– Tylko kusznicy na galerii! – rzuciłem za siebie, w myślach błagając kostkę, by utrzymała mój ciężar jeszcze przez chwilę.

„Nie wiem, kim jesteś”, przeklinałem mojego bezimiennego przeciwnika, „ale wiem, po co tu przybyłeś. Nawet nie próbuj jej tknąć, rozumiesz? Łapy precz od królewskiej córki”.

*

Na wewnętrznym dziedzińcu pałacu ludzie tłoczyli się wokół marmurowych filarów i parli niczym stado bydła w kierunku bocznych drzwi, czasem zatrzymując się, by porozmawiać, uśmiechnąć się lub na kogoś warknąć. Luth było jednym z czterech księstw, które obecnie nie miały prawowitego władcy. Polegano na wątłym przywództwie pośpiesznie mianowanych Obrońców Księstw, których podstawowymi kwalifikacjami zdawały się

nieśmiałość i wyraźny brak ambicji.

Przeciskałem się przez tłum, ignorując pozdrowienia, zwłaszcza że żadne nie należało do przyjaznych. W końcu dostrzegłem konie Kesta, Brastiego i Ethalii pod opieką dwóch wyraźnie skonfundowanych giermków. Otoczone masą napierających ludzi, konie były niespokojnie, młodzieńcy z trudem utrzymywali je pod kontrolą. Nie zatrzymałem się i przeszedłem tuż obok, kierując się do szerokiego korytarza prowadzącego do sali tronowej.

– Święta Laino Co Daje Dupy Bogom, jak do diabła mam się przez to przebić? – wymamrotałem pod nosem.

Sala tronowa Luth jest jednym z największych pomieszczeń, jakie kiedykolwiek przyjdzie wam zobaczyć. Ma ponad sto stóp szerokości i prawie trzysta długości, stanowi odpowiednią oprawę dla samozwańców, którzy w przeszłości zasiadali tu na tronie. Brasti zwykł żartować, że służący, który miał przenieść zupę z jednego końca sali na drugi, potrzebował szybkiego konia, żeby nie zdążyła całkiem wystygnąć.

Po krótkich oględzinach sali doszedłem do wniosku, że w tej chwili od tronu dzieli mnie zgromadzenie liczące około trzystu osób. Sześciu gwardzistów stojących przy wejściu wyglądało na zupełnie oszołomionych, co skrzątnie wykorzystałem, by precyzyjnie się obok nich i zniknąć w tłumie, zanim jeszcze zdążyli pomyśleć, żeby mnie powstrzymać.

Z tego miejsca nie mogłem nawet zobaczyć, czy Aline była obecna na sali, nigdzie nie widziałem też Kesta, Brastiego ani Ethalii. Na szczęście o nich nie musiałem się martwić: Kest ruszy prosto w kierunku tronu, poruszając się z właściwą sobie niesamowitą sprawnością, podczas gdy Brasti na pewno szuka miejsca, z którego mógłby ustrzelić zabójcę, gdy tylko go zauważy. Ethalia spróbuje znaleźć Valianę, by dać jej znać, co się dzieje, nie alarmując jednocześnie napastnika.

Spojrzałem na górne galerie. Nie dostrzegłem nigdzie kuszników i nie po raz pierwszy przeklinałem nasze złe przygotowanie do ochrony przyszłej

królowej. Diukowie zatrzymali w swoich księstwach tych nielicznych rycerzy i żołnierzy, którym jeszcze mogli zaufać, w zamku Aramor nie pozostało nam więc nic innego, jak tylko rozpocząć rekrutację i szkolenie strażników z miejscowych. Okazali się niczego sobie, ale było ich za mało i nie było szans, by po tak krótkim przygotowaniu potrafili stawić czoła prawdziwemu zagrożeniu. A kto wie, z czym będziemy musieli się zmierzyć w niedalekiej przyszłości?

– Pierwszy Kantorze.

Dobiegł mnie głos zza pleców. Nie musiałem się nawet oglądać, by rozpoznać jego właściciela, zatem nadal przesuwałem się w kierunku tronowego podwyższenia. Tommer, ubrany w swoją autorską wersję wielkiego płaszcza z czarnej skóry, podążał tuż za mną.

– Wszystko w porządku, Pierwszy Kantorze? Widziałem, jak wchodzisz do pałacu, ale...

– Nie teraz, Tommer – uciałem w połowie słowa.

Mógł być młody, ale na pewno nie był głupi. Wychwycił napięcie w moim głosie i szybko spytał:

– Czy pani Aline jest w niebezpieczeństwie?

– Niebawem przestanie być – odparłem.

– Widzę Brastiego – powiedział Tommer, podnosząc rękę.

– Stój – powiedziałem. – Nie zwracaj na niego uwagi.

Byliśmy w połowie drogi do tronu, jednak tłum w tym miejscu się zagęszczał – już nie widziałem nawet zdobionego srebrem dębowego tronu Luth na końcu sali. Minąłem grupę kupców i zamarłem, widząc mężczyznę w Wielkim Płaszczu kilka stóp ode mnie. Zacząłem wyciągać nóż, gdy poczułem, jak ręka Tommera chwytą mnie za ramię.

– To Senneth, Nić Króla – powiedział. – Kapitan Antrim przedstawił mi go w zeszłym tygodniu. Służyli razem pod dowództwem Winnów.

„Do diabła”. Zapaścił brodę, dopiero teraz go rozpoznałem. Zmusiłem się, by poluzować uchwyt na rękojeści noża. Byłem tak spięty, że nawet nie

byłbym w stanie teraz w cokolwiek trafić.

Tommer wskazał na jednego ze strażników stojących przy kolumnadzie otaczającej salę.

– Czy nie powinniśmy ostrzec strażników? Mogą...

– Nie, jeśli damy im znać, zabójca zorientuje się, że o nim wiemy. Poza tym może mieć wśród nich współników – powiedziałem.

– Więc nie ma nikogo, komu moglibyśmy zaufać?

Przepchnąłem się obok kolejnej grupy ludzi. „Ufam Kestowi i Brastiemu”, pomyślałem. „Ufam Valianie, Aline i Ethalii. Resztę świata może trafić...”

– Ej, ty! – krzyknął jeden z mężczyzn i chwycił mnie za ramię, gdy próbowałem precyzyjnie się bliżej, by móc zobaczyć podwyższenie. – Poczekaj na swoją kolej, trattari!

Odwróciłem się, by odpowiednio odpowiedzieć na zaczepkę, ale Tommer stanął między nami i rzucił:

– Zajmę się tym, Pierwszy Kantorze.

Skinąłem mu głową, wdzięczny za interwencję, i nie pamiętając o tym, że jeszcze przed chwilą sam mnie zirytował. W końcu zobaczyłem tron. Był pusty, ale przed podwyższeniem stała szczupła postać w żółto-srebrnym płaszczu księstwa Luth. Mężczyzna wyglądał młodo, miał ze dwadzieścia pięć lat, na ramiona opadały mu miedziane włosy. Może i był przystojny, ale w tej chwili dostrzegałem jedynie jego zgarbione plecy i zdenerwowanie, gdy kulił się pod gradem skarg, którym zasypywało go dwóch kupców. Zauważyłem, że ich ubrania wyglądają na znacznie droższe niż jego. Młody Obrońca Księstwa – zostaliśmy sobie przedstawieni, ale nie pamiętałem w tej chwili jego imienia – spoglądał na Valianę, która stała kilka stóp dalej. Słuchała uważnie, najwyraźniej nie niepokoiła jej litania skarg płynąca ze strony kupców. Młodzieniec miał pewnie nadzieję, że Obrońca Królestwa w pewnym momencie wkroczy i uratuje go z opresji.

Wtedy właśnie dostrzegłem Aline siedzącą na krześle z boku. Mogła być

spadkobierczynią króla Paelisa, jednak jej status był nadal nieco niepewny, póki Radzie Książęcej nie chciało się ruszyć szanownych tyłków i wynieść jej na tron. Szybki ruch po prawej stronie przyciągnął mój wzrok – zobaczyłem, jak Kest staje za jedną z kolumn, udając, że podpira wyraźnie nieprzytomnego mężczyznę, jakby chciał pomóc pijanemu przejść przez ulicę. Podeszedłem do niego.

– To on? – zapytałem.

Mężczyzna miał gładką skórę, krótkie, świeżo przycięte wąsy oraz brodę; szło to w parze z jego wykwintnym strojem i sugerowało szlacheckie pochodzenie.

– Nie jestem pewien – odparł Kest. – Miał ukryty nóż w rękawie koszuli.

– Jak to, do diabła, zauważyłeś?

Wzruszył ramionami. Kest nie zwykł zawracać sobie głowy przechwałkami. Był, co prawda, dokładnie tak samo egotyczny jak reszta z nas, ale uważał buńczuczność i fanfaronadę za zwykłą stratę energii.

– W porządku, ukryjmy go gdzieś i...

Wracając spojrzeniem w stronę tronu, zobaczyłem, jak Aline uśmiecha się do mnie i zaciska ręce na oparciach krzesła, jakby zamierzała z niego zeskoczyć i przybiec się przywitać. Za nią, w cieniu długich czerwonych zasłon z aksamitu, udrapowanych na łukowej ścianie otaczającej podwyższenie, dwóch mężczyzn w wielkich płaszczach przesuwano się bardzo powoli w jej stronę.

DWA WIELKIE PŁASZCZE

Raczej poczułem, niż usłyszałem krzyk dobywający się z mojego gardła. Uszy wypełniał mi szum wściekle pompowanej krwi w rozpaczliwej próbie zapewnienia moim mięśniom siły, której tak bardzo potrzebowały. Przeszył mnie ból w kostce, kiedy wybiłem się z niej z całą siłą, jaka jeszcze pozostała mi w nogach, rozpoczynając najdłuższy bieg w życiu. Byłem trzydzieści stóp od Aline; stała o wiele bliżej tych, którzy mieli zamiar pozbawić ją życia. Nie widziała żadnego z mężczyzn. Nie przestawała się do mnie uśmiechać.

Cichy szelest metalu trącego o skórę i wibracja ostrza przecinającego powietrze powiedziały mi, że dobyłem prawego rapiera. Przeciąłem rękaw stojącego obok mężczyzny, kiedy przesuwalem klingę przed siebie.

Odziane w płaszcze postacie za Aline poruszały się niezwykle powoli; czułem się, jakby cały świat się zatrzymał – ale ja wcale nie poruszałem się szybciej. Próbowałem wykrzesać z siebie resztki sił, modląc się, żeby Brasti – gdziekolwiek teraz był – dostrzegł zabójców, żebym mógł za chwilę usłyszeć śpiew strzały w locie. Musiał celować w twarz, w przeciwnym razie pocisk odbije się od płaszcza. „Zrób to”, myślałem. „Pokaż wszystkim, co potrafisz, Brasti, jak umiesz celować, choćby i ze zranionym ramieniem. Obiecuję o choczko zgadzać się z tobą za każdym razem, gdy będziesz nam mówił o setkach powodów, dla których łuk jest lepszy od rapiera”.

Ale strzała nie nadleciała. Obaj mężczyźni wciąż byli skryci w cieniu i prawdopodobnie Brasti ich nie zauważył. Próbowałem go zawołać, ale nie byłem pewien, czy ktokolwiek jest w stanie usłyszeć mnie przez zamieszanie, które rozpętało się, gdy ludzie zobaczyli, że biegnę i wrzeszczę

jak szalenie w stronę podwyższenia, gdzie Aline wciąż uśmiechała się do mnie niewinnie.

Jak mogła się nie zorientować? Jak mogła nie wyczuć, że ktoś zamierza przebić jej serce? „Nie rozumiesz, głupia, naiwna dziewczyno? Chcą cię zabić!”

Przebiegając w pośpiechu, przewróciłem na ziemię starszą kobietę. Laska, którą się podpierała, niemal obaliła na ziemię i mnie, jednak udało mi się odzyskać równowagę. Ignorując zranioną kostkę, przeskoczyłem nad kosturem, który z głośnym łoskotem uderzył o podłogę pod moimi nogami.

Wyraz twarzy Aline się nie zmienił, mój niezręczny bieg w jej stronę zdawał się bawić ją jeszcze bardziej. „Ona wie”, zdałem sobie nagle sprawę. Ludzie zebrani przy podwyższeniu wskazywali na nią, nie mogła tego nie zauważyć. „Wie, że ktoś ją zaraz zaatakuje i myśli, że ją uratuję”.

Mężczyźni w płaszczach zawahali się, dostrzegłszy siebie nawzajem. „Nie działają razem”, dotarło do mnie. „Tylko jeden z nich jest zdrajcą... ale który?” Obaj spojrzeli na mnie, gdy krzyknąłem: „Odsuń się!”. Stałem na pierwszym z trzech stopni podwyższenia na tyle niepewnie, że straciłem cenny czas na próbę utrzymania równowagi.

Jeden z dwóch mężczyzn skinął mi głową, jakbyśmy byli starymi znajomymi, po czym szybko się cofnął. Jego dłonie zaczęły przesuwac się w stronę kieszeni. Drugi, widząc to, wyciągnął szablę zza poły płaszcza. Delikatnie zakrzywione ostrze o długości zbliżonej do szpady błysnęło odbitym światłem.

– Brasti, teraz! – krzyknąłem.

– Stoisz na cholernej linii strzału! – odkrzyknął.

Padłem na kolana, boleśnie przywitał mnie twardy marmur podłogi.

– Strzelaj! – zawołałem.

Pocisk przeleciał zaledwie o cal nad moją głową, uderzając w płaszcz mężczyzny trzymającego szablę. Cudownym zrządzeniem losu przebił kostne płytki i zranił go w ramię, co poznałem po okrzyku bólu, za którym

podążył stek przekleństw, gdy trafiony zatoczył się do tyłu.

– Następna strzała przebije ci gardło! – zawołał Brasti. Brzmiał bez troski, zupełnie jakby to wszystko było tylko grą, ale słyszałem też głęboko skrywane napięcie.

– Falcio, co się dzieje? – spytała Valiana, odruchowo szukając przy pasie miecza, którego już nie nosiła.

Głowa państwa najwyraźniej nie powinna sama się bronić. Młody Obrońca Księstwa Luth bohatercko zasłaniał ją własnym ciałem.

Podnosząc się, zobaczyłem zbliżających się strażników.

– Zabójca – powiedziałem głosem niewiele głośniejszym od szeptu. – Wielki Płaszcz.

Oczy Aline wciąż były skupione na moich. Kiedy ruszyłem w jej stronę, drugi mężczyzna, który wcześniej skinął mi głową i zrobił krok w tył, nagle uśmiechnął się i wyjął z rękawa płaszcz długi, zakrzywiony nóż.

– Bogowie mnie prowadzą! – krzyknął i podniósł rękę do ciosu.

„Święci, postrzeliliśmy niewłaściwego człowieka...”

– Brasti!

– Pieprzeni strażnicy stoją mi na drodze!

Rzuciłem się do przodu, by przyjąć ten cios na siebie, ale wiedziałem, że jestem za daleko. Uśmiech zabójcy poszerzył się, gdy napotkał moje spojrzenie; on też widział, że nie zdążę. Nawet w tej chwili Aline patrzyła na mnie spokojnie, czekając, aż do niej dobiegnę, aż ją uratuję.

„Nie uda mi się, skarbie!”

Sztylet zabójcy zaczął opadać w dół, gdy wtem ktoś chwycił go niezgrabnie za ostrze, zatrzymując tuż nad głową Aline. Mężczyzna, którego wcześniej postrzelił Brasti, stał obok napastnika i krzywił się z bólu. Strzała wciąż tkwiła głęboko w jego ramieniu, jednak kurczowo trzymał nóż, powstrzymując cios zabójcy.

– Nie utrzymam go dłużej... – jęknął. – Niech go ktoś w końcu zastrzeli!

Kolejna strzała przeszła powietrze i trafiła skrytobójcę w prawą pierś.

Ten jednak znowu nie upadł, zupełnie jakby był całkowicie niezdolny do odczuwania bólu. Uśmiechnął się tylko i mocniej naparł na rękę nieznanego Wielkiego Płaszcz.

– Jestem Bożą Igłą! – wrzasnął głosem pełnym wściekłego szaleństwa. – On domaga się jej śmierci! Powiedział...

Jego wyraz twarzy nagle się zmienił i zabójca spojrzał w dół na ostrze szabli przebijające mu klatkę piersiową na wysokości mostka.

– Nazywam się Mateo Tiller – powiedział Wielki Płaszcz. Twarz wykrzywił mu ból, a po czole spływał pot. Gwałtownie przekręcił ostrze, a nóż zabójcy zsunął mu się z palców, pozbawiony kontroli właściciela. – Jestem Jężykiem Króla. Mam ci przekazać, żebyś zdychał.

Przez chwilę wszyscy trwali w bezruchu, tylko krew toczyła się z piersi napastnika na ostrze szabli Matea, by następnie opaść strużką na twarz Aline. Nawet wtedy siedziała spokojnie, wpatrując się we mnie i kompletnie ignorując krew niedoszłego zabójcy płamiącą jej policzki. Podbiegłem do niej i ściągnąłem z krzesła, mocno tuląc do piersi pod osłoną skózanego płaszcza. Słyszałem, jak Kest i Brasti podniesionymi głosami każą wszystkim się cofnąć i wywołują z tłumu zaufanych ludzi, żeby utworzyli wokół nas ochronny korowód.

Niedoszły zabójca, umierając, wciąż wypluwał z siebie bluźnierstwa na otaczający go świat, przytrzymywany teraz przez kilku strażników.

– Wszystko w porządku, Falcio – szepnęła mi Aline do ucha. – Nie musisz ścisnąć mnie tak mocno.

– Mam zamiar zignorować ten rozkaz – odpowiedziałem, wsłuchując się w bicie jej serca i mając nadzieję, że moje w końcu zwolni i dopasuje się do tego rytmu.

– Nic a nic się nie bałam – powiedziała stanowczym tonem.

– No cóż, za to ja bałem się cholernie – odparłem.

– Muszę...

Zaczęła się więc w moim uścisku, próbując wyrwać choć jedną rękę, więc puściłem ją, a ona otarła sobie twarz.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w ciszy.

– Nie gap się tak na mnie – powiedziała w końcu. – Wiem, że głupio wyglądam z krwią na twarzy.

– Wyglądasz jak klaun przygotowujący się do pokazu.

– Za to ty pachniesz jak koński zadek.

– To perfumy – odparłem. – Spryskałem się nimi specjalnie z myślą o tobie. Nie podobają ci się?

– Tobie podobają się na pewno. Cały czas je na tobie czuję.

Ludzie za nami krzyczeli, Valiana zadawała pytania, a Brasti starał się na nie odpowiedzieć. Czuliśmy się z Aline, jakbyśmy wrócili w znajome miejsce, w końcu nieraz byliśmy już o włos od śmierci. Wyciągnąłem rękę i znów ją przytuliłem.

– Musimy przestać spotykać się w takich okolicznościach – powiedziałem.

Zaczęła coś mówić, ale przerwała w pół słowa.

– O co chodzi?

– O nic – odparła Aline, odsuwając się ode mnie. – Valiana cię potrzebuje.

Odwróciłem się i zobaczyłem kobietę, którą traktowałem jak córkę, stojącą przede mną i czekającą na rozmowę. Pomimo otaczającego nas chaosu, wyraz determinacji na jej twarzy sprawił, że ją też miałem ochotę przytulić. Niestety, ktoś inny stanął mi na drodze.

– Pierwszy Kantorze – powiedział młody mężczyzna, lekko się ukloniwszy, co sprawiło, że na twarz opadł mu kosmyk jasnorudych włosów. – Nazywam się Pastien, Obrońca Księstwa Luth. Długo czekałem na naszą rozmowę.

Już miałem mu powiedzieć, że będzie musiał poczekać jeszcze trochę, ale Valiana lekko pokręciła głową. Rozejrzałem się i zdałem sobie sprawę,

że dworzanie, szlachta i kupcy bacznie się nam przyglądają. „Nie chce, żebym osłabił jego pozycję w oczach dworu”, uświadomiłem sobie.

– Mój panie, obrońco Księstwa – zacząłem, a potem się zawahałem. „Co niby do diabła mam mu powiedzieć? Prawie nic o nim nie wiem”. – Spotkanie z tobą to zaszczyt wyświadczony wszystkim Wielkim Płaszczom. – Nigdy nie słyszałem na twój temat ani jednego złego słowa. „Tyle. Na więcej mnie nie stać”.

Ale najwyraźniej to wystarczyło. Pastien wyglądał, jakby właśnie uciekł przed egzekucją, a Valiana mrugnęła do mnie ukradkiem, co znaczyło, że udało mi się nie rozbić królestwa.

– obrońco Księstwa – wtrąciła się. – Racz wybaczyć, ale musimy zabrać stąd Aline. Skrytobójcy mogą mieć plan awaryjny, a ta sala jest zbyt zatłoczona, abyśmy mogli zapewnić ochronę dziedzicze tronu.

– Oczywiście – powiedział Pastien. – Głupotą z mojej strony było was zatrzymywać.

Nie był jedyny. Tak bardzo chciałem wiedzieć, że z Aline wszystko w porządku, poczuć, że nic jej nie jest, że nie przyszło mi nawet do głowy, iż gdzieś w tłumie wciąż mogą się chować kolejni zabójcy.

– Pójdę z nią – powiedziałem.

– Nigdzie nie idziesz – odpowiedziała Valiana tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Potrzebujemy cię tutaj. Zabójca umiera, a ja nie mam pojęcia, co się, do cholery, dzieje.

– W takim razie Aline zostanie...

– Zaopiekuję się nią.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie na Ethalię i całe poczucie wszechobecnego niebezpieczeństwa uleciało ze mnie, nawet jeśli tylko na krótką chwilę. Jedyne, czego teraz chciałem, to być z nią, chociaż przez chwilę poczuć, że świat jest całkowicie bezpieczny i normalny, co czułem tylko wtedy, gdy byliśmy razem. Ale wszystko o Ethalii można wyczytać z jej oczu, a one nie patrzyły już na mnie tak jak kiedyś.

„Rozklejasz się na starość”.

– Dziękuję – odparłem i rozejrzałem się dookoła. Dostrzegłszy Kesta, powiedziałem: – Idź z nimi. Zabij każdego, kto spróbuje ich dotknąć. Kimkolwiek by nie był.

Kest ścisnął moje ramię i odpowiedział na tyle cicho, żebym tylko ja mógł go usłyszeć.

– To mi wychodzi najlepiej. A ty musisz skupić się na tym, co najlepiej wychodzi tobie.

Gdy wróciłem spojrzeniem do podwyższenia i niedoszłego zabójcy, wszelka miłość i ból odpłynęły z mojego serca, pozostawiając w nim jedynie płonąca wściekłość, którą tak skwapliwie dokarmiałem. Tak bardzo chciałem położyć dłonie na gardle zdrajcy w skradzionym płaszczu, że zacisnąłem je, aż pobieleły mi kłykcie.

– Oddychaj, Pierwszy Kantorze – powiedział Mateo, trzymając się za krwawiące ramię i bezceremonialnie opierając się o tron Luth. – Przez ciebie zaczynam się denerwować.

– Potrzebujemy uzdrowiciela! – krzyknąłem, a potem zobaczyłem, że ktoś już idzie w naszą stronę, szykując srebrną torbę.

– Zajmij się nim – powiedziałem, wskazując Mateo, jednak on pokręcił głową.

– Nie bądź głupi – mruknął. – Pomóżcie zabójcy, potrzebujemy go żywego, żeby móc go przesłuchać.

Niechętnie skinąłem na uzdrowicielkę i kiedy zaczęła opatrywać więźnia, powiedziałem z namysłem:

– Chyba cię pamiętam. Dołączyłeś do Wielkich Płaszczy niedługo przed...

– Ano minął ledwie rok, zanim wszystko wzięło w łeb – odparł Mateo. – Nie taką pracę mi obiecano. Ba, śmiem twierdzić, że należy mi się zaległa pensja.

– Jak nam wszystkim – odparowałem i wyciągnąłem rękę, żeby uścisnąć

mu dłoń. – Odwaliłeś dziś kawał diabelnie dobrej roboty.

Wyprostował się i odpowiedział uściskiem.

– Diabeł maczał w tym palce, tu się zgodzę.

Był nieco wyższy ode mnie, miał grube włosy sięgające ramion i brodę, przez którą przypominał Brastiego, chociaż włosy miał raczej brązowe niż rude.

– Dlaczego akurat Język Króla? – spytałem. Niezbyt interesowała mnie odpowiedź, ale wciąż się trząsałem i potrzebowałem chociaż trochę zwolnić bicie serca, zanim wyskoczy mi z piersi.

Uśmiechnął się, jednak nie wyszło mu to za dobrze.

– Pewnie nie pamiętasz, ale kiedyś byłem giermkim. Zawsze wiedziałem, że chcę dołączyć do Wielkich Płaszczy, nie odstępowałem więc króla Paelisa na krok, nieustannie zasypując go pytaniami o zasady prawa, z nadzieją, że kiedyś pozwoli mi do was dołączyć. Kiedy już miał tego po dziurki w nosie, zawsze groził, że utnie mi język i powiesi sobie dla ozdoby na szyi. Powiedziałem, że w takim razie będzie to Język Króla, a wtedy będzie musiał zrobić ze mnie Wielkiego Płaszca.

– To piękna historia – powiedziałem – ale zupełnie zmyślona.

– To prawda, ale biorąc pod uwagę ból, który teraz odczuwam, całkiem możliwe, że zapomniałem, jak było naprawdę.

Głośny krzyk sprawił, że obaj się odwróciliśmy.

Uzdrowicielka przyciskała czerwoną szmatkę do piersi zabójcy.

– Nie zdołam go uratować – powiedziała. – Miecz przebił płuco. Święci wiedzą, dlaczego jego serce wciąż bije.

Zerknąłem na Mateo.

– Trzeba było trafić go w brzuch. To by nam dało więcej czasu – stwierdziłem.

– Tam też celowałem, ale pieprzony Brasti Goodbow przestrzelił mi ramię. Cholerny farciarz trafił dokładnie w miejsce, z którego w zeszłym roku zerwano mi kościane płytki. Przepraszam, że nie trafiłem idealnie, ale

chędoż się, Pierwszy Kantorze.

– Wybacz – odpowiedziałem, i to szczerze. Gdybym tylko go wcześniej rozpoznał, całe zajście wyglądałoby inaczej. – Jak w ogóle udało mu się dostać tak blisko Aline? – pomyślałem na głos.

– Za każdym razem, kiedy wraca do nas kolejny Wielki Płaszcz, wraz z Valianą nalegają, by osobiście go powitać – odpowiedział Mateo. –

Wróciłem dopiero wczoraj i Obrończyni Królestwa poprosiła mnie, bym został blisko niej. Ten tutaj – powiedział, trącając stopę zabójcy – przybył kilka dni przede mną. Powiedział, że ma na imię Harden.

– Harden Venire, ale to nie on. Harden nie żyje – odparłem.

Uzdrowicielka zawołała mnie do siebie i powiedziała:

– Ustabilizowałam jego stan na tyle, na ile mogłam. Nie jestem pewna, co trzyma go jeszcze przy życiu, jednak to nie potrwa długo. Zostały mu minuty, nie więcej.

Chciałem podejść bliżej i prawie zemdlałem, kiedy przeniosłem ciężar ciała na zwichniętą kostkę. Teraz, gdy bezpośrednio nic nam już nie groziło, moje ciało najwyraźniej miało ze mną do pogadania.

– Panie, przyniosłem to dla ciebie – odwróciłem się i zobaczyłem strażnika trzymającego w ręku laskę. – Jeśli oddasz mi rapiery, obiecuję nie spuścić ich z oka.

– Poradzę sobie – powiedziałem, biorąc od niego laskę, ale ledwo zrobiłem krok, a przeklęty kawał drewna zdołał zaplątać się w pochwę jednego z moich rapiersów i prawie powalił mnie z powrotem na ziemię.

– Diabli, zabierz to ode mnie – powiedziałem, pośpiesznie odpinając rapiers.

– Za pozwoleniem, lekarz powiedział, że laska powinna znajdować się po przeciwnej stronie od zranionej nogi.

– Niech będzie. – Wręczyłem mu drugie ostrze i ostrożnie podszedłem do zabójcy.

Przez to całe zamieszanie Valiana dotarła do niego pierwsza.

– Wyjaw nam imię tego, który cię przysłał – rozkazała. Ledwie maskowana wściekłość w jej głosie wystarczyła, bym wstrzymał oddech.

Zabójca próbował mówić, ale do moich uszu docierał tylko nieskładny bełkot, gdy jego ciało usiłowało utrzymać się przy życiu.

– Kto cię przysłał? – powtórzyła Valiana, klęcząc tuż przy nim.

– Jestem Bożą Iglą. To oni mną rozporządzają.

– Spotkałem już jedną z tych Igieł – powiedziałem. – Jej też nie udało się zrobić na mnie wrażenia. Kto cię przysłał? Dlaczego teraz? Ilu was jest?

– Wszyscy – wychrypiął, a krew trysnęła mu z ust. – Całemu światu rozkazano uśmiercić dziewczynę, a ciebie ma pochłonąć najczarniejsza rozpacz.

W gardle zabulgotała mu krew i obawiałem się, że nic więcej nam nie powie, ale otworzył usta i zdałem sobie sprawę, że śmieje nam się w twarz.

– Podaj mi imię – powiedziała Valiana – a ulżemy twojemu cierpieniu.

– Ty... – skupił na niej wzrok. – Jesteś tą suką, która śmie nazywać się Obrońcą Królestwa, prawda? Przyszliście do mnie, tak jak przewidział to Bóg.

– Nazwij więc tego Boga – odparła. – A może jest tak przepełniony strachem, że ukrywa swoje imię nawet przed tym, którego wysłał, by zabił dziecko?

– Jest tylko jeden Bóg – odpowiedział jej. – Pozwól, że przekażę ci jego prawdziwe imię. – Otworzył szeroko usta i kiedy myślałem, że spróbuje coś jeszcze powiedzieć, wysunął język i mocno zacisnął na nim zęby. Krew trysnęła z rany, ale umierającemu zdawało się nie robić to żadnej różnicy.

Valiana zwróciła się do mnie:

– Dlaczego miałyby...?

Głowa zabójcy wystrzeliła w górę i gdy Valiana odwróciła się, by na niego spojrzeć, jego usta dotknęły jej warg. Odsunęła się natychmiast z wyrazem obrzydzenia na twarzy, krew z języka mężczyzny kapiała jej z ust. Opadłem na kolana i uderzyłem go pięścią w twarz, choć

podejrzewam, że siła mojego ciosu sprawiła więcej bólu mi niż jemu.

Roześmiał się obrzydliwym, zniekształconym dźwiękiem dobytym gdzieś z głębi gardła.

Uderzyłem go drugi raz, potem trzeci, w kółko powtarzając coraz głośniejsze te same pytania.

– Mów, do cholery! Kto cię przysłał? Kim jest twój Bóg?

Jedyne, co udało mi się uzyskać, to więcej krwawej plwociny i śmiechu. Kiedy moje ciosy po raz kolejny nie przyniosły efektu, nachyliłem się nad nim i wyszeptalem:

– Nie obchodzi mnie, czy uważasz, że przysłali cię bogowie, skurwysynu. Na zabójców dzieci czeka osobny krąg w piekle, a ja upewnię się, że trafisz do jego najgłębszego zakątka.

Zabójca wypuścił z płuc ostatni, długi oddech – tylko na tyle było stać jego rozdarte płuca i zwalniające serce. Powietrze opuszczające jego ciało zabrzmiało jak westchnienie satysfakcji, szept człowieka odpowiadającego na pocałunek kochanka.

Bulgotanie ustało, choć krew wciąż sączyła się z jego ust. Poczułem na ramieniu dłoń Valiany, która wytarła z twarzy obrzydliwie czerwoną smugę. Pomimo grozy, której właśnie doświadczyliśmy, jej głos był spokojny i wyraźny.

– Chodźmy, Pierwszy Kantorze. Jego zbrodnicze zadanie się zakończyło. Nasze dopiero się zaczyna.

Wstałem i rzuciłem ostatnie spojrzenie na zabójcę. Wyglądał zupełnie zwyczajnie – był młody, może w wieku Matea, z dobrze przystrzyżonym zarostem na gładkiej, lekko opalanej skórze. Wyglądał jakby nigdy nie parał się ciężką pracą, może poza szkoleniem na mordercę.

– Falcio – powtórzyła Valiana, ciągnąc mnie za sobą. – Musimy iść.

Stałem dalej w miejscu, sparaliżowany widokiem postaci leżącej u moich stóp. Zabójca, z wciąż ciekącą z ust krwią i bez najmniejszej oznaki życia w spojrzeniu, miał najbardziej spokojny i zadowolony wyraz twarzy,

jaki kiedykolwiek widziałem.

SYPIALNIA

Minęła godzina, zanim uwolniłem się od strażników, szlachty i reszty przeklętych bękartów chcących dowiedzieć się, co się właśnie wydarzyło i czy na pewno są bezpieczni.

– Diukowie będą chcieli, żebyś zdał im raport – poinformowała mnie Valiana, gdy szliśmy korytarzem na piętrze w stronę pokoi Aline.

– Do diabła z nimi – odpowiedziałem. Moja kostka przypominała o sobie przy każdym kroku. Całe życie ćwiczeń z mieczami, a nie radzisz sobie ze zwykłym chodzeniem o lasce.

– Zajmę się raportem – Głos Valiany był pozbawiony emocji, za to pełen zmęczenia i rezygnacji.

Powoli zatrzymałem się w pół kroku.

– Nie, przepraszam. Powinienem to zrobić. Jestem tylko trochę...

– Wykończony? – dokończyła, posyłając mi znużony uśmiech, zbyt zmęczony jak na dwudziestoletnią młodą kobietę. – To powoli staje się tu powszechną dolegliwością. Trzeba było widzieć biednego Pastina, kiedy nie musi udawać przed członkami dworu.

Było niewiele rzeczy, które teraz obchodziły mnie mniej niż dobro młodego Obrońcy Księstwa Luth, ale nie byłem całkiem głupi; Valiana wyraźnie chciała, żebym o niego spytał.

– Jaki on jest?

W jej głosie zabrzmiała ciepła nuta, kiedy odpowiedziała:

– Pastien... cóż, wydaje mi się, że jest bardzo przyzwoity. Robi, co może, by utrzymać księstwo w całości, dopóki nie zostanie wybrana nowa linia książęca, ale jest młody i to wszystko go przerasta.

Z trudem powstrzymałem się od śmiechu.

– Jesteś młodsza od niego – zauważyłem.

– To prawda, ale ja chyba... – zawahała się, szukając właściwych słów.

– Życie z Patrianą na swój sposób nauczyło mnie wielu rzeczy, które pomagają mi teraz robić to, co robię. Pastien nie ma tego doświadczenia, w dodatku nigdy wcześniej nie spotkałam bardziej zajadłej szlachty niż ci, którzy go otaczają.

– Myślisz, że uda mu się utrzymać księstwo w jednym kawałku?

– Nie w obecnej sytuacji. Naciskają na niego, żeby przyznał margrabiom i wicehrabiom większą autonomię w zarządzaniu ich włościami.

Wskazała na jedno z okien wychodzących na dziedziniec.

– Każdego dnia przybywa tu coraz więcej pielgrzymów, a Pastien nie ma wystarczająco dużo żołnierzy, by chronić pałac. Posłałam do Aramoru po setkę żołnierzy, żeby wzmocnili jego gwardzistów.

– Aż tylu? Zdasz sobie sprawę, jak niewielu ich mamy?

– Tak, Falcio. – Całe zmęczenie powróciło do głosu Valiany. – Ale jeśli nie uda nam się uspokoić mniejszych księstw takich jak Luth, nigdy nie odzyskamy kontroli nad resztą kraju. – Położyła mi rękę na ramieniu. – Musimy zapewnić Aline silną pozycję na tronie. Bez tego... – Pozwoliła, by niewypowiedziane słowa zawisły między nami.

Żałowałem, że nie mogę powiedzieć nic, co mogłoby ją pocieszyć, ale moje myśli wypełniali szaleni religijni fanatycy, którzy nie mają w sobie dość przyzwoitości, by umrzeć, kiedy przebija im się serca mieczem. Każde z głową pełną swoich zmartwień, ruszyliśmy dalej i wkrótce stanęliśmy przed drzwiami do sypialni Aline. Kest stał na straży, obok siebie miał Tommera w czarnym skórzanym płaszczu. W rękach trzymał szpady z ostrzami skierowanymi ku dołowi.

– Co on tu robi? – spytałem Kesta.

Beznamiętne wzruszenie ramion, jakie dostałem w odpowiedzi, miało wyraźnie przekazać mi, że pytany nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia

i że powinienem dać temu spokój.

– Powinienem być przy niej i ją chronić, Pierwszy Kantorze – powiedział Tommer, a jego głos wciąż jeszcze brzmiał nieco zbyt piskliwie jak na tak szczere deklaracje.

– Nie jesteś... – Na końcu języka miałem „Nie jesteś Wielkim Płaszczem”, ale przypomniałem sobie, jak chłopak stawiał czoło dworzaninowi, który próbował mnie zatrzymać w sali tronowej, jak stanął między Aline i rycerzami w czarnych tabardach, kiedy przyszli ją zabić rok temu, jak walczył o sprawiedliwość w Rijou.

– Miej oko na Kesta, żeby nie zasnął na służbie – rzuciłem w końcu.

Chłopiec odpowiedział poważnym skinieniem głowy.

– Jak się czuje Aline? – zwróciłem się do Kesta.

– Ethalia się nią zajmuje – odparł, co zupełnie nie odpowiedziało na moje pytanie. Kest nie jest zbyt przydatny, jeśli chodzi o dyskusje o uczuciach, więc zmienił temat na bardziej praktyczny.

– Wielu możnych, w tym dwóch członków Rady Księżęcej, domagało się widzenia z dziedziczką tronu. Odprawiłem ich z kwitkiem, ale podejrzewam, że mogą wrócić. Jeśli tak się stanie, czy mam ich...?

– Jeśli ktoś, komu nie zaufałyś w sprawie życia i śmierci, spróbuje przejść przez te drzwi, naucz go pierwszej zasady miecza.

– Skoro już o tym mówimy... – przerwał i spojrzał na Valianę.

– Nie powiedziałam mu – odparła.

– Czego znowu? – spytałem, a kiedy żadne się nie odezwało, dokończyłem stanowczo: – Może i poruszam się o lasce, ale przysięgam, że kolejna osoba, która odpowie mi niejasnym półsłówkiem, wyląduje ze mną na placu pojedynkowym.

Valiana odetchnęła głęboko.

– W środku jest Krawcowa.

Przerwała mi, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

– Potrzebowaliśmy jej. Biorąc pod uwagę wszystko, co się ostatnio

wydarzyło, musieliśmy mieć tu kogoś znającego arkana tajemnej historii tego kraju. Postanowiłam sprowadzić ją do Luth.

Nie jestem pewien, jakie emocje malowały się na mojej twarzy, jednak na mój widok Tommer i Kest wzdrygnęli się. Valiana ani myślała ustępować.

– Mów, co chcesz powiedzieć, Pierwszy Kantorze.

Nie byłem nawet pewien, od czego zacząć.

– Postanowiłaś sprowadzić Krawcową? Nie zapomniałaś przypadkiem, że ciąży na niej wyrok?

– Już nie. Została ułaskawiona przez Radę Książęcą.

– Dlaczego, na Świętego Zagheva Co Śpiewa o Łzy, ci cholerni głupcy mieliby to zrobić? Czy podoba im się, gdy ktoś próbuje ich zabić? Ponieważ w tej chwili miałbym dziką ochotę na spełnienie takiej fanaberii!

Gdzieś w połowie tej tyrady mój głos zmienił się w krzyk, który odbił się echem po całym korytarzu. Drzwi do pokoju Aline otworzyły się i Ethalia wyszła, wyglądając na silniejszą niż podczas naszej podróży. Miałem nadzieję, że oznaczało to, iż Gorączka Świętej minęła.

– Lady Ethalio – zaczęła Valiana. – Gdybyś mogła przekonać Falcia, żeby się uspokoił, byłabym...

– Obrończyni Królestwa – przerwała jej Ethalia, głosem cichym, ale pełnym tłumionych emocji. – Zapewniam cię, że jeśli miałabym wskazać jedną osobę na świecie, która mogłaby wzbudzić we mnie żądzę przemocy, to byłaby nią właśnie kobieta siedząca teraz przy łóżku Aline.

Spojrzała na mnie i dodała:

– Jednak musimy zaakceptować ten fakt, a ty, Falcio, powinieneś się uspokoić, zanim pozwolę ci wejść do środka.

„Zanim pozwolę ci wejść do środka?”

– Panuję nad sobą – powiedziałem, starając się nad sobą zapanować.

Ethalia wyciągnęła ręce i chwyciła mnie za nadgarstki. Skrzywiła się, jakby dotykała gorącego naczynia.

– Spójrz na swoje dłonie, Falcio, wciąż się trzęsą. I nie udawaj, że to tylko nerwy. Boisz się, jesteś sfrustrowany, a do tego tak dużo w tobie gniewu, że przestałeś na niego zwracać uwagę.

– Nic mi nie jest – powiedziałem i spróbowałem cofnąć rękę, by sięgnąć do drzwi, jednak Ethalia trzymała mnie mocno, chociaż widziałem, jak ogromny ból jej to sprawia.

– Twoje spojrzenie przerazi Aline o wiele bardziej niż stu zabójców – powiedziała cicho. – Czy tego właśnie chcesz dla niej?

Popatrzyłem na Kesta w poszukiwaniu wsparcia, ale on tylko wzruszył ramionami i powiedział:

– Zawsze wyglądasz, jakbyś chciał mnie zabić, więc trudno mi zauważyć różnicę.

„Wielkie dzięki”.

– W porządku – powiedziałem. – Będę grzeczny i spróbuję nie zabić Krawcowej, może być?

Ethalia przytrzymała moje nadgarstki jeszcze przez kilka chwil, sprawiając, że poczułem się jak niegrzeczne dziecko.

– Dobrze – powiedziała w końcu, puszczając mnie i schodząc mi z drogi. – Staraj się pamiętać o życiu, jakie miała Aline. I o tym, którego jeszcze nie ma.

Kiedy otworzyłem drzwi, zobaczyłem Aline siedzącą na łóżku i Krawcową na krześle tuż obok niej. Co dziwne, ta druga wyjątkowo nie zajmowała się szyciem, tylko trzymała Aline za rękę, co mnie zaskoczyło, a gdzieś w głębi także uraziło.

– Drogie Panie – powiedziałem na powitanie.

Krawcowa uśmiechnęła się do mnie.

– Toż to wielki Falcio dal Vond! Przybył, by uratować nas przed wszystkimi paskudnymi ludźmi na świecie? – zwróciła się do mnie.

– Jak widać, przed wszystkimi mi się nie udało – odparłem, a potem

przypomniałem sobie uwagę Ethalii i próbowałem zaśmiać się, jakby dwójka starych przyjaciół właśnie wymieniła się żartami. Krawcowa, najwidoczniej świadoma zdenerwowania malującego się na twarzy Aline, również spróbowała zachichotać. „Wygląda na to, że oboje jesteśmy fatalnymi aktorami. Chociaż to nas łączy”.

– No dobrze, złotko – powiedziała Krawcowa, wstając z krzesła – jestem pewna, że chcecie nadrobić stracony czas, zatem ja się już pożegnaj. –

Pochyliła się i pocałowała Aline w czoło, po czym mijając mnie przy drzwiach, rzuciła: – My się wkrótce zobaczymy, prawda, Falcio?

Całą siłą woli zmusiłem swoje usta do rozciągnięcia się w uśmiechu.

– Możesz na to liczyć.

Słyszając to, Krawcowa parsknęła typowym dla siebie śmiechem, poklepała mnie po ramieniu i wyszła. Po chwili do pokoju weszły Valiana oraz Ethalia i przysiadły na skraju łóżka. Aline uśmiechnęła się do nich; przez chwilę poczułem, jak ciężar wokół mojego serca robi się nieco lżejszy. „Pozwól mi ochronić tę trójkę”, zwróciłem się do jakiegokolwiek siły wyższej, która mogła mnie teraz słyszeć. „Jeśli musisz, zniszcz resztę kraju, ale pozwól mi zawsze mieć je blisko siebie”. Jednak oczami wyobraźni wciąż widziałem twarz umierającego zabójcy wierzącego, że ma prawo zabić dziewczynę, którą przysiągłem chronić przed wszelką krzywdą. Zadowolenie mieszało się na jego obliczu z religijnym uniesieniem.

– Falcio? – Aline wciąż na mnie patrzyła, jednak wyraz jej twarzy się zmienił. W oczach miała strach, którego wcześniej nie widziałem; chwilę zajęło mi uświadomienie sobie, że to ja jestem jego przyczyną. Ethalia również to zauważyła i szepnęła coś Aline na ucho, sprawiając, że ta zaczęła chichotać.

Poszedłem do łóżka.

– Cóż, Wasza Wysokość, wygląda na to, że nie zjednałaś sobie jeszcze wszystkich swoich poddanych.

– Czy wiadomo, kim był ten człowiek? – zapytała.

– Jeszcze nie, ale znajdziemy tych, którzy go wysłali – odparła Valiana.

– To moja wina – powiedziała Aline, wpatrując się we własne dłonie. – Przybył jak inni i stawiał się na dworze. Powiedział, że ma na imię Harden i jest Szeptem Króla. Sprawdziłam to i rzeczywiście był w rejestrze. Wiem, jak się cieszysz, kiedy wracają i...

– To nie twoja wina – przerwałem jej. – Nie zrobiłaś nic złego. Powinienem był...

– Przestań! – krzyknęła głosem tak donośnym i wysokim, że byłem pewien, że Kest zaraz wpadnie przez drzwi. Wyciągnąłem do niej rękę, ale ona ją odepchnęła. – Przestań za wszystko się obwiniać! Ludzie chcą mojej śmierci i nie za każdym razem dzieje się tak z twojej winy.

– W porządku – odpowiedziałem. Oczywiście nie miała racji. Nie rozumiała jeszcze, jak to wszystko działało, że przy odpowiedniej strategii, większej uwadze i ilości czasu mogłem...

– Ale teraz wszystko musi się zmienić. Ja muszę to zmienić. – Spojrzała na Valianę i Ethalię. – Wybaczcie mi, obrońcy Królestwa, lady Ethalio – powiedziała, używając swojego „oficjalnego” tonu – ale chciałabym przez chwilę porozmawiać z Pierwszym Kantorem na osobności.

Obie podniosły się jednocześnie i obrzuciły mnie ostrzegawczym spojrzeniem przed opuszczeniem pokoju. Aline zaczęła, aż ciche kliknięcie zamka da sygnał, że jesteśmy sami.

– To ja rozkazałam, żeby sprowadzić tu Krawcową – powiedziała.

– Ale Valiana powiedziała mi, że...

– Kłamała – ucięła krótko, po czym uśmiechnęła się zmieszana. – Ciągle myśli, że musi chronić mnie przed wszystkim i wszystkimi.

Milczałem przez moment. Aline właśnie doświadczyła czegoś, co sprawiłoby, że każdy poczułby się bezradny. Nie mogłem jej teraz do reszty odebrać poczucia kontroli. Niemniej, kiedy w końcu się odezwałem, powiedziałem:

– Nie mogę pozwolić, żeby Krawcowa była na wolności.

– Potrzebujemy jej, Falcio. Zna wszystkie Wielkie Płaszczce. Gdyby wtedy była ze mną, mogłaby... – zaczęła.

Wstałem z łóżka i odwróciłem się. Naprawdę nie chciałem, żeby widziała w tej chwili moją twarz.

– Próbowwała zniszczyć ten kraj! Ubrała morderców w nasze płaszczce i wysyłała ich, by zabijali tych, którzy mogli przeszkodzić w realizacji jej planów.

– Moich planów – zauważyła Aline. – Wiedziałam, co robiła, i godziłam się na to.

– Nie wiedziałaś. Byłaś tylko...

– Popatrz na mnie! Nie jestem już małą dziewczynką z warkoczykami. Miałam trzynaście lat, kiedy Krawcowa przedstawiła mi swój plan, teraz jestem o rok starsza. Jak myślisz, o ile mądrzejsza jestem teraz? – Wstała z łóżka i podeszła do mnie. – Wiem, że to, co zrobiliśmy, było złe, Falcio.

– Dlaczego więc się na to zgodziłaś? – Próbowiałem ukryć rozczarowanie w moim głosie.

– Bo się bałam. Zawsze się boję. Budzę się każdego ranka, każdego ranka, Falcio, i przyrzekam ci, że potrzebuję całej swojej siły woli, by wstać z łóżka. – Spojrzała na mnie. – Czasem jedynym powodem, dla którego to robię, jest to, że nie chcę cię zawieść.

– Aline... Krawcowa jest zbyt niebezpieczna.

– Potrzeba nam teraz niebezpiecznych ludzi. Potrzebujemy kogoś, kto zna wszystkie brudne tajemnice tego świata – odparła.

– Nie wierzysz, że jestem w stanie cię ochronić – powiedziałem. To nie było pytanie.

Długie sekundy minęły, zanim odpowiedziała:

– Nie, Falcio, nie jesteś. Jesteś najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam...

Roześmiałem się, choć wiedziałem, że nie było to miłe. „Nie widziała, jak niemal narobiłem w spodnie ze strachu, widząc ciało Hardena wiszące na

drzewie. Odważny? W jednej chwili uciekłbym z krzykiem z pokoju, gdybym tylko podejrzewał, że właśnie tu mogą mnie szukać dashini”.

Jeśli dostrzegła we mnie strach, nie dała tego po sobie poznać.

– Krawcowa zna politykę Tristii. Wie, jak prowadzi się wojny. Ma w głowie setki strategii, które mogą nam pomóc – kontynuowała Aline.

Pomyślałem o jej „sztuczkach i strategiach”: całkiem niedawno stosowała je, by zniszczyć rody szlacheckie.

– Nie mogę uwierzyć, że Jillard jeszcze nie kazał jej zabić. „Nasz świat musi schodzić na psy, skoro nie można liczyć nawet na zachłannych morderców”.

– Księżę Jillard regularnie się jej radzi. Może i za nią nie przepada, ale szanuje jej intelekt. Jest żądny jej wiedzy o świecie – odpowiedziała.

Gryzłem się w język, czekając, aż minie mi poczucie, że zostałem zdradzony. Nie mogłem uwierzyć, że szukała pomocy wśród książąt bez uprzedniej konsultacji ze mną. „Aczkolwiek ma rację. Nie możesz pomagać jej rządzić krajem. Nie takie było przeznaczenie Wielkich Płaszczy”.

– Wygląda na to, że masz wszystko pod kontrolą – odparłem.

Znów uśmiechnęła się niezręcznie, jak tylko ona potrafiła.

– Na to wygląda. – Przytuliła mnie na tyle mocno, żeby stłumić mój ból.

– Kocham cię, Falcio. Jesteś szybki i sprytny, ale polityk byłby z ciebie marny.

Zaśmiałem się, tym razem niespodziewanie bez goryczy.

– Bogowie, czasami bardzo mi go przypominasz – przyznałem.

– Kogo? – zapytała.

– Króla. Twojego ojca. – Wyczułem jej napięcie i zdałem sobie sprawę, jak wielkim głupcem jestem. – Przykro mi, Aline, ja nie...

– Wszystko w porządku – powiedziała, ale mimo to przestała mnie obejmować. – Po prostu żałuję, że go nie znałam.

Podeszła do nocnego stolika i podniosła cienką, oprawioną w skórę książkę.

– Znalazłam kilka jego pamiętników, czytam je w nocy i staram się wyobrazić sobie jego twarz, jakby to on mi je czytał. Ale w głębi duszy wiem, że to nieprawda.

Znałem Paelisa najlepiej ze wszystkich i tęskniłem za nim każdego dnia. Gdybym był lepszym gawędziarzem, mógłbym pomóc jej poczuć z nim więź poprzez moje własne wspomnienia, ale z jakiegoś powodu nigdy nie byłem w stanie tego zrobić. Być może nie czułem się wystarczająco elokwentny, albo byłem zbyt zaborczy względem tych wspomnień, by się nimi dzielić.

– Wiedziałaś, że został pochowany w Pulnam? – zapytała Aline. – W pobliżu wsi Phan, gdzie ukrywaliśmy się przed siłami Trin?

– Nie wiedziałem – odparłem. To dziwne, że wyjechałem z Aramoru, zanim Paelis został pochowany, i przez te wszystkie lata nigdy nie pomyślałem o odnalezieniu jego grobu.

– To niesamowite – ciągnęła Aline. – Siedzieliśmy na tym niewielkim wzgórzu i patrzyliśmy na gwiazdy nie dalej niż trzydzieści stóp od miejsca, w którym został pochowany. Myślę, że to dlatego Krawcowa spędziła tyle czasu w Phan po jego śmierci.

To miało sens. Znalazła miejsce, gdzie książę i jego rycerze raczej się nie zapuszczali, gdzie mogła snuć swoje plany i odwiedzać zmarłego syna bez obaw, że ktokolwiek znajdzie grób i wykopie ciało w jakimś nikczemnym celu. Wróciłem myślami do tamtych chwil, próbując sobie wyobrazić, gdzie dokładnie złożono go w ziemi. Czy powinienem był to wyczuć, kiedy tam byliśmy? Tyle razy wyobrażałem sobie, jak król mówi do mnie, chwali mnie i wyśmiewa, i nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że był tak blisko.

– Falcio?

– Tak? – odpowiedziałem, wyrwany z zamyślenia.

– Chciałam cię o coś prosić. – przerwała, jakby próbując dobrać właściwe słowa. – Gdybym... jeśli umrę...

– Nie umrzesz.

– Ależ tak – powiedziała mocnym głosem. – Podobnie jak ty, któregoś dnia. Ale jeśli umrę przed tobą, czy zabierzesz mnie z powrotem do Phan i pochowasz mnie na wzgórzu tuż przy moim ojcu?

– Aline, nie będę... – Ta prośba nie była pozbawiona rozsądku. Dlaczego nie miałyby spocząć obok ojca, kiedy nadejdzie jej czas? Życie trzymało ich z dala od siebie; a tak będą mogli być razem chociaż po śmierci. A jednak nie chciałem mówić tego na głos.

– Chciałabym, żebyś mi to obiecał – powiedziała.

– W porządku – odparłem – ale mówię to tylko dlatego, że pewnego dnia zostaniesz królową, a ja planuję być bardzo nieposłusznym poddanym.

Nie zaśmiała się, ale moja odpowiedź zdała się ją usatysfakcjonować.

– Dobrze. – Zasłoniła dłonią usta i ziewnęła. – Jestem bardzo zmęczona, Falcio. Pójdę spać, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Oczywiście, możemy porozmawiać rano – odpowiedziałem i przytuliłem ją po raz ostatni.

Patrzyłem, jak wraca do łóżka i siada na kołdrze. Położyła się, jej włosy dotknęły poduszki i zamknęła oczy, wyglądała jak kruchy, delikatny kryształ, który roztrzaskałby się, gdyby go za mocno chwycić.

Będę musiał wywrzeć większą presję na książęta, by przyspieszyli jej koronację. Im wcześniej zostanie królową, tym szybciej mieszkańcy Tristii uznają, że sprawa została zamknięta, a ci, którzy próbują siać chaos, zdadzą sobie sprawę, że czas na ich gierki się skończył. W kraju panował głęboko zakorzeniony lęk przed przelewaniem królewskiej krwi; nawet wśród szaleńców.

Aline pozostawała w takim bezruchu, że chciałem wyciągnąć rękę i upewnić się, że jej serce wciąż bije. Kest tymczasem musiał wślizgnąć się do pokoju, bo poczułem na ramieniu jego dłoń.

– Ona żyje, Falcio – uspokoił mnie. – Uwierz w to i przestań sobie wyobrażać jej śmierć.

Miał rację; nie warto było martwić się na zapas. Powinienem się cieszyć,

że Aline jest bezpieczna. Ale jak mogłem to zrobić, patrząc na młodą dziewczynę o bladej skórze, która nawet teraz wyglądała, jakby już była martwa?

SOJUSZNIK

Opuściłem pokój Aline i ruszyłem w poszukiwaniu dwóch rzeczy, których w tej chwili potrzebowałem najbardziej: jedzenia i samotności. Ale bogowie uparli się, by krzyżować dziś wszystkie moje plany, nie zdążyłem nawet dojść do wielkich schodów prowadzących do głównego pałacu, kiedy padłem ofiarą kolejnego ataku na moje zdrowie psychiczne, a może i życie.

– Mój Panie Pierwszy Kantorze! – zawołał ktoś za mną.

Odwróciłem się, przy okazji urażając się boleśnie w skręconą kostkę, by zobaczyć, kto tym razem chce zburzyć mój spokój.

– Niech to wszystkie piekła pochłoną – zakląłem.

Młody, przystojny, irytujący Pastien, Obrońca Księstwa Luth, wyglądał, jakbym właśnie uderzył go w twarz grubym tomiszczem.

– Wybacz mi, mój Panie... – zaczął.

– Żadne „Panie” – przerwałem mu gwałtownie. – W zupełności wystarczy „Pierwszy Kantor”, „Falcio” lub „pieprzony trattari”.

Spojrzał na mnie z przerażeniem.

– Nigdy bym się nie ośmielił nazwać cię... – zjeżył się.

W końcu ta niewielka część jego umysłu, która przy odrobinie szczęścia przerodzi się kiedyś w poczucie humoru, kazała mu się uśmiechnąć.

– No tak. Przepraszam... Falcio – powiedział niepewnie, zawieszając głos, póki nie skinąłem mu z aprobatą. – Ludzie w tym miejscu są dość drażliwi na punkcie swoich tytułów. Wczoraj popełniłem błąd, nazywając ziemie margrabiego Talthiera „włościami” zamiast „marchią”. Wyglądał, jakby od razu chciał wzywać skrybę, by ten spisał między nami deklarację wojny.

– Szlachta nie musi zarabiać na życie – odpowiedziałem. – Potrzebują sposobu na zabicie czasu, a bycie urażonym jest ich ulubionym hobby. Po prostu słuchaj ich skarg z troską i cierpliwością, a kiedy skończą, kiwnij głową z uwagą, z namaszczeniem odczytaj największy, najstarszy protokół sądowy, jaki możesz znaleźć, a po kilku minutach spójrz im prosto w oczy i z pełną powagą powiedz im, że mają się chędożyć.

Jego śmiech był tym razem nieco bardziej zrelaksowany i autentyczny.

– Pierwszy Kantorze, myślę, że będę potrzebował znacznie więcej ćwiczeń z szermierki, zanim spróbuję twojej metody.

Wbrew sobie poczułem nagły przyływ sympatii do tego poważnego, ale miłego chłopaka. Jego rola była nie do pozazdroszczenia; nigdy nie uda mu się zadowolić wszystkich, w dodatku mało prawdopodobne było, by jego funkcja została odpowiednio nagrodzona. W miarę możliwości chciałem mu pomóc.

– Ufaj decyzjom Valiany – zasugerowałem. – Potrafi widzieć całe pole gry i wie, które pionki ruszyć, a które zostawić w spokoju.

– Jest niesamowita – odpowiedział, a jego oczy przybrały ten niewidzący wyraz, jaki miewali wieśniacy, gdy po raz pierwszy patrzyli na majestatyczny zamek na horyzoncie. – Nigdy nie spotkałem nikogo o takiej inteligencji... – przerwał na chwilę. – Właściwie to właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

– O Valianie?

Pokiwał głową.

– Zdaję sobie sprawę, że nie jesteś jej prawdziwym ojcem, ale skoro nazywa się Valiana val Mond, to... – W zdenerwowaniu wygładzał fałdy na płaszczu. – Czy zezwolisz mi na rozpoczęcie zalotów wobec Valiany?

Gapiałem się na niego w milczeniu: był uprzywilejowany, arogancki, bez wątpienia urodzony w zamożnej rodzinie, której pieniądze, jakkolwiek omyłkowo, zapewniły mu obecne stanowisko. Do tego właśnie okazało się, że być może będę musiał go zabić.

– Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem: ktoś zabija świętych, na wpół szaleni fanatycy gromadzą się przed pałacem, a następczyni tronu Tristii kilka godzin temu padła ofiarą zamachu. A ty chcesz mojej zgody na zalecanie się do Valiany?

Pastien wyglądał na tak urażonego, że równie dobrze mógłbym uderzyć go w twarz mosiężną końcówką laski.

– Przepraszam... masz rację. Głupotą z mojej strony było sądzić, że...

Ta niewielka część mnie, która nie była kompletnym dupkiem, zdołała uzyskać chwilową kontrolę nad moimi ustami.

– To nie tak... – zacząłem, po czym pomyślałem: „To ludziom nie wolno już zakochiwać się w sobie tylko dlatego, że spieprzyłeś własne życie?” – Posłuchaj, Valiana jest Obrończynią Królestwa. Ona...

– Oczywiście – przerwał mi Pastien – jej obowiązki są zbyt ważne dla poddanych...

– Proszę, nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej.

– Przepraszam.

– Chciałem powiedzieć, że Valiana jest prawdopodobnie najmądrzejszą i najbardziej stanowczą osobą, jaką znam. Nie mogę dać ci pozwolenia na zalecanie się do niej. Po prostu spróbuj... – „O nie, nie będę udzielać mu rad”, skarciłem się w duchu. – Nie potrzebujesz mojego pozwolenia, tylko jej.

Pastien wyszczerzył się w głupkowskim uśmiechu, po czym z jego ust wylał się potok słów, którymi zaczął wyrażać swoją wdzięczność i najwyższe oddanie na wszelkie sposoby, jakie kiedykolwiek wymyślono. Ból kostki był tak dojmujący i rozpraszający, że równie dobrze mógł właśnie wygłosić mi swój plan zabicia nas wszystkich podczas snu. Gdy skończył, uklonił mi się dworsko i odszedł w swoją stronę.

Dlaczego życie jest o wiele łatwiejsze, kiedy ludzie próbują ci je odebrać, niż kiedy jesteś zmuszony samodzielnie je uporządkować?

– I tak oto gnębiony problemami naród po raz kolejny został ocalony

przed zakusami naszych wrogów. – Usłyszałem za sobą kpiący głos, a Jillard, księżę Rijou, odepchnął się od ściany, o którą się opierał kilka stóp ode mnie. Jego wyniosły ton dopełniały starannie wypielegnowane, błyszczące od pomady czarne włosy i lśniące czerwono-złote szaty.

– Biorąc pod uwagę, że Wasza Księżęca Mość jest jednym z najbardziej niktzemnych wrogów tego kraju, przypuszczam, że wie, o czym mówi.

Jillard niemal niezauważalnie skinął mi głową na znak uznania dla mojej złośliwości.

– Ach, ale to już przeszłość, Falcio. Dzisiaj jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi – odpowiedział.

Zszedłem po schodach, uważając, by nie potknąć się o mój nieporęczny kij. „W końcu może mi się jeszcze przydać, żeby połamać go na głowie Jillarda”.

– Co mogę dla ciebie zrobić, księżę? – zapytałem.

Wyglądał na zaskoczonego, udając, że głęboko zraniłem go swoimi słowami.

– Ty? Dla mnie? Myśl, że ty mógłbyś zrobić coś dla mnie nawet nie przyszła mi do głowy. To ja jestem tu, by wyświadczyć przysługę tobie.

Zatrzymałem się, bo kostka bolała mnie coraz bardziej, ale i dla odpowiedniego efektu.

– Jak widzisz, Wasza Księżęca Mość, jestem zmęczony, pobity i ranny. Nie jestem pewien, czy zdołam przeżyć jeszcze przysługi, które zwykłeś wyświadczać – odparłem.

Jillard pokiwał głową z zadowoleniem, najwyraźniej czując, że czas na uprzejmości minął.

– Jestem cennym przyjacielem, Falcio, a ty szczególnie potrzebujesz teraz przyjaciół takich jak ja. – Podniósł rękę i zaczął odliczać na palcach. –

Musisz utrzymać Aline przy życiu. Obronić Valianę przed Radą Księżęcą. Bez wątplenia nawet w tej chwili martwisz się losem swojej Siostry Miłosierdzia. Chociaż teraz, gdy Ethalia została Świętą, domyślam się, że

twoje towarzystwo jest dla niej nieco mniej... miłe.

Przez chwilę rozkoszowałem się wizją laski rozbijającej jego głowę, po czym odpowiedziałem mu z uśmiechem:

– Wasza Książęca Mość stąpa po niepewnym gruncie.

Jillard opuścił ręce, nic nie robiąc sobie z mojego ostrzeżenia.

– Właśnie zdałem sobie sprawę z czegoś niezwykle zdumiewającego. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że osoby, które tak bardzo chcesz chronić, to zawsze kobiety? – zapytał.

– Być może dlatego, że ludzie tacy jak ty chcą zrobić wszystko, by je zniszczyć, książę – odpowiedziałem.

– Nie, nie sądzę, Falcio. Takie proste tłumaczenie pozwala ci udawać prawego człowieka. – Przechylił głowę i spojrzał na mnie. – Czy to możliwe, że śmierć żony sprawiła, że masz tak strasznie ograniczone poczucie obowiązku? Zastanawiam się, czy kiedy widzisz mężczyznę bitego na ulicy, myślisz sobie: „Oho! Ofiara złoczyńców! Muszę go uratować z gracją i sprytem!”, czy też wzdychasz i mówisz pod nosem: „No cóż, przypuszczam, że powinienem coś zrobić. Ten nieszczęśnik może przecież mieć żonę, a nie chciałabym, żeby zmartwiła się jego śmiercią”.

– Nie, wasza łaskawość – odparłem zmęczonym głosem – kiedy widzę, że ktoś jest bity i prześladowany, niezależnie czy to mężczyzna, kobieta czy dziecko, zawsze myślę o tym samym: oto Tristia, kraj, który wydał mnie na świat, gdzie korupcja i przemoc zawsze znajdują swoje miejsce.

– Ostrożnie, Falcio. Można by pomyśleć, że nienawidzisz własnej ojczyzny.

– Bo tak jest – odparowałem, zanim zdążyłem się ugryźć w język.

I nagle, chyba po raz pierwszy w życiu, zdałem sobie sprawę, że to prawda: nienawidziłem Tristii. Nienawidziłem jej tak bardzo, jak nienawidziłem Jillarda, Trin, Patriany i wszystkich innych, którzy chcieli ją zniszczyć. Albo dlatego, że to właśnie ten nędzny kraj wydał ich na świat.

Niebezpiecznie i nierozsądnie było mówić coś takiego Jillardowi; mógł

z łatwością wykorzystać to przeciwko mnie. Zamiast tego spojrział na mnie z miną niemal współczującą.

– A zatem dlaczego walczysz tak ciężko, żeby go uratować? – zapytał delikatnie.

Zawahałem się, po trochu dlatego, że wiedziałem, że wszystko, co mu powiem, może pewnego dnia stać się kolejnym nożem, który wbije mi w plecy. Ale wróciłem myślami do Aline siedzącej na łóżku, z wszystkich sił próbującej nie tracić odwagi, choć była pewna, że któregoś dnia umrze z rąk wroga, którego nawet nie dostrzeże.

– Dla niej – odpowiedziałem.

– Dobrze – powiedział z namaszczeniem Jillard, jakbym właśnie zakończył nasz spór. Przypuszczam, że tak też w pewnym sensie było.

– Spadkobierczyni tronu niemal straciła dziś życie z rąk szaleńca, Falcio. Była źle chroniona i to twoja wina. Przestańmy więc zachowywać się tak, jakbyśmy byli równi, a zamiast tego dołącz do mnie, abym mógł cię nauczyć, jak lepiej jej służyć.

Odwrócił się i ruszył korytarzem w tempie jasno wskazującym, iż oczekuje, że za nim podążę.

– Zdajesz sobie sprawę, że większość zamachów na życie Aline było zorganizowanych przez ciebie, prawda? – zawołałem za nim, starając się pospiesznie zejść po schodach, mimo protestów kostki.

– Jak powiedziałem, to już przeszłość – odrzekł Jillard. – Czasy się zmieniły, Falcio. Postaraj się nadążyć.

Książę Rijou poprowadził mnie przez pałac, mijając strażników i schodząc po schodach do piwnicy, która według mojej oceny nie powinna istnieć.

– Jesteśmy teraz po lewej stronie łuku – powiedział mi, kiedy zobaczył, że się rozglądam i próbuję odgadnąć nasze położenie. – To miejsce o doprawdy fascynującej architekturze.

Zaprowadził mnie do długiego, słabo oświetlonego lochu z kamienną

podłogą. Ściany były z cegły, a jedną z nich zastawiono szafkami wypełnionymi małymi słoikami, pudełkami i książkami. Ścianę po drugiej stronie zakrywały szerokie na trzy stopy drewniane szuflady. Jeszcze zanim zapach uderzył w moje nozdrza, wiedziałem, co się w nich znajdowało.

– Zabrałeś mnie do domu śmierci? – zapytałem.

Ci, którzy zginęli w pałacu, byli tu przynoszeni, zanim przydzielono im odpowiednie miejsce pochówku, w zależności od ich pochodzenia i statusu.

Jillard wyglądał na rozbawionego.

– Masz niepewną minę, Falcio. Wszystko w porządku?

– Kostka coraz bardziej mi doskwiera, Wasza Książęca Mość. Ale jeżeli kazałeś mi iść tu za sobą taki kawał drogi tylko po to, żeby teatralnym tonem przekazać mi skomponowaną specjalnie na tę okazję groźbę, to obiecuję ci, że jeszcze dziś w tej ścianie będzie o jedną pustą trumnę mniej.

Nie był nawet na tyle uprzejmy, żeby wyglądać na zdenerwowanego.

– Nie bądź głupi – odparł. – Po cóż miałbym ci grozić, skoro to tylko sprawia, że jesteś bardziej pyszałkowaty i zadowolony z siebie?

Podszedł do jednej z półek i wyjął mosiężną latarnię, która okazała się mieć własny mechanizm zapłonowy. Piwnica rozjaśniła się i mogłem teraz zobaczyć w drugim końcu pomieszczenia stoły oraz ciało złożone na najbliższym z nich.

– To zabójca – powiedziałem, wpatrując się w mężczyznę, który próbował zamordować córkę mojego króla. Jego ciało było jeszcze ubrane, ale na szczęście ktoś zdjął z niego płaszcz Hardena. Przeszkadzało mi, że trup leżał tu w takim spokoju. Obok stołu leżała taca wypełniona ostrymi metalowymi instrumentami. Podniosłem jeden z noży kciukiem i palcem wskazującym, zachwycając się wyważeniem ostrza. Poczułem potężny impuls, by pociąć nim ciało zabójcy na kawałki, by usunąć wszystko, co pozostało w nim ludzkie. Chciałem sprawić, żeby cierpiał po śmierci, skoro nie mogłem zrobić tego, kiedy jeszcze żył.

– Okropne, nieprawdaż? – powiedział Jillard. – Opierać się słusznemu

popędowi, by okrutnie traktować swych wrogów. – W jego głosie brzmiało autentyczne współczucie.

– Co chciałeś mi pokazać, książę?

– Chcę, żebyś obejrzał jego twarz, dłonie, a na końcu stopy.

– Co takiego?

Książę wskazał na ciało, a potem podszedł i oparł się o jedną z szafek.

– Po prostu powiedz mi, co widzisz – poprosił.

Wystarczająco długo wpatrywałem się w twarz tego mężczyzny jeszcze w sali tronowej. Jego usta, które oszpecił, odgryzając sobie język, były teraz obscenicznie wyraźne przez obrzęk na twarzy.

– Kiedyś był przystojniejszy – rzuciłem nonszalancko.

– Zaiste – odparł Jillard. – Muszę przyznać, że w sali tronowej odwaliłeś amatorszczyznę. Podczas przesłuchania zawsze upewnij się, że masz kontrolę nad szczęką delikwenta, żeby nie mógł odgryźć sobie języka. Każdy dobry szpieg zrobi to w pierwszej kolejności, żeby nie ujawnić niczego podczas tortur.

– Krwawił dość mocno. Nie wydaje mi się, by martwił się torturami.

– Jednak nie każdy wie, jak zachować się w takiej sytuacji. To powinna być twoja pierwsza wskazówka – zauważył.

Większość zabójców i szpiegów jest przeszkolonych w radzeniu sobie z bólem, zatem ten człowiek nie mógł być zawodowcem. Jego młody wiek też niewiele mi mówił. Gdy jeszcze żył, jego twarz była gładka i czysta, ani opalona, ani zbyt blada. Włosy miał dość krótkie i dobrze utrzymane.

– Teraz dłonie – powiedział Jillard.

Podniosłem najpierw lewą, a potem prawą. Na żadnej nie zauważyłem odcisków charakterystycznych dla żołnierza lub szermierza. Skórę miał gładką.

– Jeszcze stopy, Falcio – polecił.

Mimo że irytował mnie ton Jillarda, spełniłem jego polecenie, ponieważ w głowie zaczynał mi się rodzić załazek teorii. I rzeczywiście, gdy zdjąłem

zmarłemu buty, odkryłem, że podeszwy stóp ma również gładkie. Większość ludzi nie może sobie pozwolić na obuwie dopasowane na tyle dobrze, by uniknąć różnego rodzaju dolegliwości, od grzybicy po zniekształcone palce. Ten człowiek był dobrze urodzony.

Szpiedzy i zabójcy, wbrew temu, co można dowiedzieć się z romantycznych pieśni i opowiadań, zwykle są ubodzy. Udawanie szlachcica jest trudniejsze, niż można by to sobie wyobrazić, ponieważ większość szlacheckich rodzin zna się nawzajem. Zatem kiedy któryś z nich chce podsłuchać tajemnice lub poderżnąć komuś nocą gardło, zwykle przebiera się za służącego lub żołnierza. „Poza tym bogaci nie muszą ryzykować życia za pieniądze”.

– Wiesz, kim był? – spytałem.

Jillard dołączył do mnie przy stole i odpowiedział:

– Nie, ale podejrzewam, że pochodzi z pomniejszej rodziny szlacheckiej, prawdopodobnie jest trzecim lub czwartym synem. – Spojrzał na mnie. – To nie było twoje pierwsze spotkanie z tymi tak zwanymi Bożymi Igłami, prawda?

– Twoi szpiedzy są dobrze poinformowani, wasza łaskawość, ponieważ powiadomiłem Valianę o tym incydencie zaledwie dwie godziny temu. Czy Obrończyni Królestwa wie, że masz...?

Machnął ręką z roztargnieniem, jakby ta kwestia była nieistotna.

– Co możesz mi powiedzieć o tej, która cię zaatakowała? – zapytał.

Spróbowałem przypomnieć sobie kobietę, która zastawiła na nas zasadzkę na drodze. Czy ona również pochodziła ze szlacheckiej rodziny? Na początku grała rolę chłopki, ale jej głos i dykcja zmieniły się, kiedy ujawniła się jako Boża Igła, stały się bardziej wytworne. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, ale teraz wydało mi się to zbyt dużym zbiegiem okoliczności.

Jillard zauważył moją minę; najwyraźniej potwierdziłem jego podejrzenia.

– Czytałem o chłopskiej sekcie sprzed setek lat – zaczął. – Jej członkowie wierzyli, że mogą zdobyć moc, pijąc krew świętych. Oczywiście wymarli, zatem można założyć, że ich sposób nie był zbyt skuteczny.

– Ktoś odtworzył tę sektę, tylko teraz rekrutują członków ze szlacheckich rodów? – zapytałem.

– Nie wydaje mi się, że to jedyna rzecz, która się zmieniła. – Wskazał na ciało mężczyzny, który śmiał się nawet wtedy, gdy ostrze wbijało mu się głęboko w serce. – Wygląda na to, że picie krwi świętego naprawdę zapewnia im nadnaturalne zdolności.

– Nie mogę przestać się zastanawiać, wasza łaskawość, skąd w tobie ta nagła troska o dobre samopoczucie Aline? – powiedziałem, starając się nadażyć za Jillardem, gdy szliśmy z powrotem po schodach. – Czy dlatego, że gdy tylko zaczniemy rozważać, kto byłby w stanie opracować taki plan, twoje imię z pewnością znajdzie się wysoko na liście?

Księżę obrzucił mnie kpiącym uśmiechem.

– Wielki spisek? Religijni fanatycy przebrani za Wielkie Płaszczki? Takie rzeczy zawsze były bardziej w smak Patrianie. Wolę stosować mniej spektakularne metody, by osiągnąć cel. I jeszcze miałbym spędzać czas na słuchaniu religijnych bzdur, fantazji o działaniu w imieniu bogów? – Zadrzał dramatycznie. – Chyba wolałbym upaść na własny nóż.

I chociaż nie było dla mnie rzeczy zbyt niegodziwej, by przypisać ją księciu Rijou, musiałem przyznać, że dla niego okoliczności również były ostatnio mocno niesprzyjające. Jego pozycja w kraju była nadal niepewna; ludzie nie zapomnieli o tym, jak przyczynił się do ostatnich problemów w Tristii.

– Tego typu działania pasowałyby do twojej córki – powiedziałem. Przy tych okazjach, w których okoliczności zmuszały mnie do spędzenia więcej niż kilku sekund w obecności Jillarda, lubiłem poprawiać sobie humor przypominaniem mu, że Trin była owocem jego lędźwi.

– W istocie upodobała sobie teatralne machinacje – przyznał Jillard. –

Ale też nigdy nie lubiła się powtarzać.

– To może kapłani? – spytałem, bardziej siebie niż jego. Nigdy wcześniej o tym nie myślałem, ale duchowni w Tristii reprezentowali zdecydowanie staroświeckie poglądy: może nie przypadł im do gustu pomysł kobiety zasiadającej na tronie?

Księżę roześmiał się głośno.

– Ci głupcy? – zapytał rozbawiony. – Z ich spisków nie powstałoby nawet przyzwoite kazanie, nie mówiąc o zorganizowaniu takiego przedsięwzięcia. Nie, Falcio, obawiam się, że mamy nowego wroga.

Nie jestem pewien, co było bardziej przerażające, wydźwięk jego słów, czy fakt, że określił nas jako „my”.

Musiał czytać w moich myślach, bo dodał:

– Najlepiej będzie, jeśli to zaakceptujesz, Falcio.

Położył rękę na moim ramieniu i musiałem się powstrzymać przed jej strąceniem, desperacko potrzebowałem wysłuchać, co ma do powiedzenia.

– Ty i ja przeciwko siłom ciemności: dwóch śmiałych bohaterów gotowych poświęcić wszystko, by umieścić tę kochaną dziewczynkę na tronie.

Wiedziałem, że się powtarzam, ale nie mogłem nic na to poradzić.

– Mówisz o tej samej „kochanej dziewczynce”, którą próbowałeś zabić, zdajesz sobie z tego sprawę?

Księżę Rijou wyglądał na wyjątkowo rozczarowanego.

– Ty chyba naprawdę jesteś w głębi serca zgorzkniałym, mściwym człowiekiem, co?

– A ty, wasza łaskawość, jesteś złośliwym wężem, który doszedł do władzy dzięki zdolności oszukiwania i manipulowania ludźmi.

– Masz chyba na myśli Shiballe’a, mojego służącego.

Tu akurat miał rację.

Poza jego arogancją i zepsuciem księżę Rijou był w każdym możliwym aspekcie nikczemną istotą ludzką; próbował mnie zabić nie jeden raz.

Przypuszczam jednak, że nie był w tym wcale lepszy ani gorszy niż pozostali książęta w Tristii, co wcale nie stanowiło uspokajającej myśli. Bardzo potrzebowałem sojusznika, a ten przynajmniej był diablo inteligentny. Zdjąłem jego rękę z mojego ramienia.

– Pewnego dnia znajdę powód, żeby cię zabić. Wiesz o tym, prawda? – upewniłem się.

– Oczywiście – odpowiedział Jillard uprzejmie. – Chociaż nim do tego dojdzie, wpierw ujrę, jak gnijesz w jednym z moich lochów, bełkocząc w niekończącej się agonii o Królewskich Prawach. Wyobrażam sobie, że po kilku dekadach nawet to przestanie mi sprawiać radość, i wówczas z przyjemnością dam ci zaszczyt zabicia mnie. Podsumowując, to uczciwy układ.

Przestał krążyć po pomieszczeniu, odwrócił się i wyciągnął do mnie rękę.

– Stoi?

– Stoi – powiedziałem i uściśnałem mu dłoń, zapewne w nagłym przypiływie samobójczych zapędów. Gdy szliśmy dalej przez wielką salę, zauważyłem, że ktoś na powrót zawiesił stare gobeliny. Ten, który wpadł mi w oko, przedstawiał krąg bohatersko przedstawionych szlachciców zgromadzonych wokół raczej skromnego króla. Podobne obrazy można było zobaczyć w każdym pałacu w kraju.

– Skoro już to sobie wyjaśniliśmy – powiedział Jillard – przejdźmy do konkretów.

Zaprowadził mnie do zamkowej infirmerii, ogromnego pomieszczenia z wieloma alkowami, gdzie ranni mogli zdrowieć we względnym spokoju.

– Nie zamierzasz chyba leczyć moich ran, wasza łaskawość? Jakkolwiek uznaję twoje znaczące doświadczenie w zadawaniu wszelkiego rodzaju obrażeń, mam pewne wątpliwości co do twojej zdolności ich leczenia.

Spojrzał na mnie, jakbym właśnie mu się oświadczył.

– Leczyć twoje rany? Nie bądź głupcem, Falcio. Jestem tu, by dać ci coś

znacznie bardziej wartościowego i koniecznego, biorąc pod uwagę obecne okoliczności.

– Co takiego, Wasza Książęca Mość? – odpowiedziałem grzecznie.

– Lekcję polityki.

Poprowadził mnie przez szpital do małego pokoju na końcu, gdzie na łóżku leżała starsza kobieta, lewą nogę miała wstawioną w łubki i uniesioną do góry. Młodszy mężczyzna, krzepki, ale ubrany w eleganckie szaty, na tyle młody, by być jej synem lub siostrzeńcem, siedział przy łóżku. Kiedy mnie zobaczył, zmrużył oczy, a jego pięści zacisnęły się bezwiednie.

– Wasza łaskawość! – krzyknęła radośnie stara kobieta i zaczęła prostować pościel wokół siebie, jakby to mogło poprawić wygląd pomieszczenia.

– Lady Ingetho, nie musisz się nami kłopotać.

– Dwie wizyty w ciągu jednego dnia, wasza łaskawość! Jesteś dla nas zbyt dobry!

Jillard uśmiechnął się i wyciągnął rękę, by przytrzymać jej dłoń.

– Pani, cała przyjemność po mojej stronie – przerwał teatralnie. – Muszę jednak przyznać, że widzimy się dziś ponownie nie z mojej inicjatywy.

Lady Ingetha spojrzała na mnie, potem na Jillarda, a księżę wyciągnął drugą rękę i położył mi ją na ramieniu.

– Falcio nalegał, żebyśmy tu przyszli, przez całe popołudnie umierał ze zmartwienia. „Jak ona się czuje, Jillard?“, pytał w kółko. „Muszę ją zobaczyć!“, nalegał.

Oczy starej kobiety rozszerzyły się ze zdziwienia, a ona sama wyciągnęła do mnie drugą rękę. Nawet jej syn wyglądał, jakby miał nieco mniej mordercze zamiary, chociaż i tak byłem przekonany, że z całego towarzystwa to ja wyglądałem na najbardziej zbitego z tropu. Nie słyszałem wcześniej imienia Lady Ingethy ani też nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek ją spotkał.

– Przykro mi, pani, ale ja...

– Widzisz, nie miał wyboru – wtrącił się Jillard. – Stawką było życie następczyni tronu. „Gdybym tylko wyskoczył szybciej, Jillard,” powtarzał cały czas, „mógłbym oszczędzić tej biednej kobiecie bólu i przykrości”.

Dopiero wtedy ją skojarzyłem.

– Wpadłem na panią – powiedziałem z głupia frant.

Lady Ingetha ścisnęła moją dłoń.

– To nie była twoja wina, mój drogi. Musiałeś chronić dziedziczkę – rzuciła karcące spojrzenie synowi. – Za nic w świecie nie mogę cię za to winić.

Wyglądało na to, że mężczyzna wreszcie podjął decyzję; podniósł się i wyciągnął do mnie rękę.

– W złości wygadywałem złe rzeczy, Pierwszy Kantorze, o tobie i o Wielkich Płaszczach. Myliłem się.

Odpowiedziałem uściskiem dłoni, a on skinął głową, jakbyśmy właśnie zawarli umowę handlową. „To dlatego Jillard przyprowadził mnie tutaj – nie po to, by odwiedzić ranną kobietę, ale by załagodzić oburzenie jej syna”. Jak blisko byłem od przysporzenia Koronie kolejnego wroga, z którym musiałyby potem radzić sobie Valiana?

Zerknąłem na Jillarda. Miał obojętny wyraz twarzy, ale nawet jego zdolności nie pozwoliły mu ukryć zadowolenia w spojrzeniu. To miała być moja lekcja: potrzebowałem politycznego sprzymierzeńca. Potrzebowałem właśnie jego.

– Och, niech Miłość wam wszystkim błogosławi – powiedziała Lady Ingetha, jej oczy zaszklily się ze wzruszenia. – Kto widział, żeby tak wielcy i potężni ludzie troszczyli się o dobro starszej kobiety!

Jillard uśmiechnął się i dotknął jej policzka.

– A czymże innym mieliby zajmować się ci wielcy i potężni ludzie, moja Pani?

Pieszczotliwie odtrąciła jego dłoń.

– Jesteś strasznym bawidamkiem, wasza łaskawość, zawsze nim byłeś:

prawdziwy diabeł w ludzkiej skórze.

„Chociaż jedna prawdziwa rzecz powiedziana dziś wieczorem”,
pomyślałem, kiedy wraz z Jillardem oddalaliśmy się od kobiety i jej syna.

PUDEŁKO

Przez kilka następnych godzin wędrowałem po pałacu Luth, napędzany potrzebą przetrwania w głowie szaleństwa ostatnich wydarzeń, nie wspominając o wręcz perwersyjnym pragnieniu opanowania chodzenia o tej cholernej lasce. Kiedy spędza się większość życia na nauce posługiwania się mieczem, dziwnie jest czuć się pokonanym przez drewniany kij.

Jednak jedyne, co udało mi się osiągnąć, to jednoczesny ból kostki i głowy. Pogodziłem się z porażką i z zapuchniętymi oczami wyruszyłem w poszukiwaniu łóżka.

Sale pałacowe były już prawie puste, ale w końcu znalazłem młodą kobietę w dublecie pazia, która zdawała się wiedzieć, co robi, a co ważniejsze, znalazła mi kąć na spoczynek.

– Obrońca Księstwa przeznaczył dla pana osobne komnaty – poinformowała mnie i przystąpiła do recytowania instrukcji tak skomplikowanych, że powinny co najmniej prowadzić do zakopanego skarbu.

– Dziękuję – powiedziałem, po tym, jak powtórzyła je po raz trzeci.

– Lady Ethalia jest niezwykle osobą – powiedziała tęsknie. – Porusza się z taką gracją, czyż nie?

– Eee... chyba tak – mruknąłem, nieco zaskoczony.

Paziowie zwykle nie wdawali się w pogawędki z gośćmi. Ale ci książęcy pochodzili z rodzin szlacheckich, dla niej więc Wielki Płaszcz był prawdopodobnie kimś niewiele lepszym od zwykłego handlarza.

Zostawiłem dziewczynę i ruszyłem po schodach w dół i przez kolejne korytarze, kierując się drogą, która zgodnie z zapewnieniami miała

doprowadzić mnie do moich pokoi. Dopiero kiedy skręciłem za róg w wąskie przejście wyłożone misternie rzeźbionymi drewnianymi drzwiami, zrozumiałem, dlaczego wspomniała o Ethalii.

„Ten cholerny Obrońca Księstwa umieścił nas w tym samym pokoju. Nie wie, że już nie jesteśmy parą”.

Przez ostatnie szalone wydarzenia nie mieliśmy nawet chwili, by omówić coś tak trywialnego jak miejsce do spania. Dwóch strażników stało przed drzwiami prowadzącymi do bez wątpienia cudownie wygodnej prywatnej komnaty z komfortowym łóżkiem, w którym nie spędzę dzisiejszej nocy.

Odwrociłem się, chcąc ruszyć w przeciwną stronę. Nawet w przepelnionym pałacu Luth, gdzieś musiał być wolny pokój – a gdyby nie udało mi się znaleźć łóżka, zawsze mógłbym odszukać Kesta lub Brastiego i spać z nimi.

„Wiesz, jaki masz problem, Falcio?”, już słyszałem szumne rady Brastiego, perorującego z palcem dumnie wzniesionym ku górze. „Pozwalasz, by twoje życie było skomplikowane”.

Wiedziałem też, że Brasti poradziłby mi pójść korytarzem prosto do pokoju, mrugnąć okiem strażnikom i zapukać do drzwi.

„A kiedy Ethalia je otworzy” – ciągnął mój subtelny doradca – „zapomnij o całym tym zamieszaniu ze świętymi, gorączką i resztą tego diabelstwa. Pocałuj jej pełne usta i policz do sześćdziesięciu. A kiedy skończysz, weź ją za rękę i poprowadź do łóżka”.

Chociaż byłoby to sprzeczne z wszelkimi prawami natury, zastanawiałem się, czy Brasti może choć raz miałby w tym przypadku rację. Dlaczego zaakceptowałem założenie, że magia, intrygi oraz – Bogowie, pomóżcie! – religia powinny dyktować warunki naszego istnienia? Kiedy zacząłem pozwalać, by jedna mroczna godzina rujnowała cały dzień? Nawet w najgorszym okresie po śmierci Paelisa, kiedy razem z Kestem i Brastim codziennie walczyliśmy, by pozostać przy życiu, dzieliliśmy ten sam

światopogląd: śmialiśmy się w obliczu śmierci i z pogardliwym lekceważeniem traktowaliśmy nawet najgorsze tragedie w życiu.

„Walczyłeś z pikinierami z bełtem wbitym w udo, a godzinę później, gdy rany były jeszcze świeże, stoczyłeś trzy pojedynki z rzędu. Do diabła, pokonywałeś rycerzy, zabójców dashini, a nawet samego Shurana w gorszym stanie. Przestań być takim mięczakiem”.

Podniosłem laskę i dobrze się jej przyjrzałem. Miałem ją przy sobie zaledwie przez kilka godzin i już czułem się jak starzec. Oparłem ją o ścianę i zostawiłem za sobą.

Prawdziwy szermierz nie ma nic przeciwko odrobinie bólu – pomaga lepiej skupiać myśli.

Podszedłem do strażników, nie pozwalając sobie na utykanie.

– Dobry wieczór, panowie. Ładną mamy noc, nieprawdaż?

Jeden ze strażników wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale rzucił okiem na drugiego i zadowolił się wybąkaniem:

– Zaiste cudowną, Pierwszy Kantorze.

Bardzo mi schlebił, używając mojego tytułu. Książęcy gwardziści zwykle nazywają nas „cholernymi trattari” lub „tchórzami w podartych płaszczach”.

Podniosłem rękę, by zapukać do drzwi, gdy zauważyłem coś na podłodze – drewniane, kwadratowe pudełko wysokie może na osiem cali.

– Co to takiego?

– Och, do diabła – powiedział strażnik. – Prawie bym zapomniał. To dla ciebie, Pierwszy Kantorze.

– Ktoś zostawił to w tym miejscu dla mnie?

– Tak sądzę, panie. – Strażnik schylił się i podniósł wytartą dębową skrzynkę. – Nie było na nim żadnego liściku, więc założyliśmy...

– Kto je tu przyniósł? – spytałem.

– Leżało tu już, kiedy przyszliśmy, Pierwszy Kantorze – powiedział drugi strażnik.

Sprawdziłem kartkę; nie znajdując na niej nic poza moim nazwiskiem, przyjrzałem się samemu pudełku. To oczywiście mogła być pułapka, ale zwykle znacznie łatwiej jest wysłać kogoś, kto wbije ci nóż w kark. Niemniej ostrożnie przesunąłem dłonią po każdej krawędzi, szukając mechanizmu, który mógłby uruchomić pułapkę po otwarciu. Nie znajdując nic takiego, podałem skrzynkę niższemu ze strażników.

– Jak masz na imię, żołnierzu?

– Sedge, proszę pana. Lord Meretier wysłał naszą kompanię, by przyłączyła się do strażników pałacowych po tym, jak księżę...

Przerwałem mu.

– Opowieści o życiu będziesz wygłaszał w gospodzie, Sedge. Po prostu przytrzymaj pudełko tak, żeby było skierowane przodem do przeciwległej ściany.

Zrobił to bez wahania, a ja zająłem pozycję obok niego i ostrożnie uniosłem wieko. Kiedy nie pojawił się magiczny ogień, a powietrza nie przeszyły wybuchające strzałki, zajrzałem do środka.

Drugi strażnik zobaczył zawartość jako pierwszy.

– Święci... – zaklął.

W pudełku była żelazna maska.

Podobnie jak ta, którą nosiła Birgid, wyglądała jak twarz pełna szaleństwa i strachu. Nie było otworów na oczy, tylko takie same trzy cienkie pionowe szczeliny w miejscu ust, niczym w rycerskiej przyłbicy. Ten sam dziwny żelazny lejek był przylutowany do wnętrza i zaprojektowany tak, by móc go wcisnąć do ust noszącemu maskę, uniemożliwiając mu mówienie.

Żeby tylko nie zaczęli krzyczeć.

– Gdzie jest człowiek, który ci to dał? – spytałem, spodziewając się, że mój głos będzie zimny z wściekłości, ale okazało się, że brzmiałem raczej jak dziecko wchodzące do ciemnego pokoju pełnego wyimaginowanych stworów.

– Już mówiliśmy, panie – odpowiedział ten wysoki. – Już tu leżało, kiedy przyszliśmy.

– Jak masz na imię? – spytałem ostrym głosem.

Zadrżał.

– Nazywam się Beltran, panie. Jestem jednym z... – zaczął.

– Kto dał ci rozkaz pilnowania tych drzwi? – zapytałem.

– Sam Obrońca Księstwa, panie. Powiedział, że pani Ethalia potrzebuje całkowitej ciszy i samotności z powodu jakiejś przypadłości.

– Coś jest pod spodem – odezwał się nagle Sedge. – W pudełku jest coś jeszcze.

Zajrzałem do środka. Spod tylnej połowy maski z topornymi kłamrami wystawał kawałek papieru. Wyciągnąłem go ostrożnie. Widniejące na nim zdanie napisano prostymi, kreślonymi niemal radośnie literami: „Zmusicie ją, żeby to założyła”.

– Kto to tu włożył? – spytałem, a ręce trzęsły mi się tak mocno, że prawie upuściłem maskę.

– Mówiliśmy ci, panie, że...

Złapałem Sedge'a za szyję lewą ręką. Nawet przez skórzany kołnierz czułem, jak zaciska mu się gardło.

– Okłamujesz mnie? Czy ktoś cię przekupił, żebyś to tutaj przyniósł?

Beltran wyciągnął miecz, nie wiedząc, co ma zrobić.

– Panie, tak jak mówiliśmy, pudełko...

Strażnik, którego trzymałem, złapał mnie za ramię.

– Panie, proszę, przysięgam, że...

– Falcio?

Krew tętniła mi w uszach tak głośno, że nie słyszałem otwierających się drzwi. Ethalia stała tuż przy mnie, ubrana w jasnoniebieską koszulę nocną, podarowaną jej przez Aline.

Puściłem strażnika i ukryłem maskę przed jej wzrokiem za plecami.

– Falcio, coś się stało? – spytała Ethalia.

Chciałem się odezwać, ale zapomniałem języka w gębie, aż spojrzała na mnie z troską i litością w oczach. Wyciągnęła do mnie rękę.

– Wejź do środka. Porozmawiamy.

– Wybaczcie – powiedziałem jej, strażnikowi, i całemu światu. – Musiałem skrócić w zły korytarz w drodze do swoich komnat.

– Nie ma czego wybaczać, panie – powiedział Sedge.

Spojrzałem na drugiego strażnika, Beltrana. Pokiwał głową.

– Doskonale cię rozumiemy, Pierwszy Kantorze. Powinniśmy byli odszukać posłańca, kiedy tylko znaleźliśmy pudełko. To my przepraszamy.

Zaczął się kłaniać.

Już miałem się odwrócić i ruszyć korytarzem, ale jego ostatni gest i słowa sprawiły, że zamarłem.

– Przepraszacie? – spytałem.

Oczy Ethalii spoczęły na mnie.

– Falcio? Czuję twoją złość, cały od niej płoniesz. Czy coś jest nie w porządku?

Wolną ręką pchnąłem ją do pokoju i zanim którykolwiek ze strażników zdążył zareagować, zamachnąłem się żelazną maską, trafiając Sedge'a w ucho, aż ten zatoczył się na swojego towarzysza.

Ethalia oburzona zapytała:

– Falcio, co z tobą?

– Zamknij drzwi – krzyknąłem. – Na Świętą Birgid, natychmiast!

Mój wybór świętej wystarczył, by natychmiast spełniła polecenie; ciężkie drzwi zamknęły się, po czym w pustym korytarzu rozniósł się stuk opadającej zasuw. Sedge trzymał się za twarz jedną ręką, w drugiej miał wyciągnięty miecz. Beltran stanął obok niego z bronią w pogotowiu.

– Panie, proszę, uspokój się. Sedge pójdzie po kapitana, a my w tym czasie spokojnie porozmawiamy.

– Jestem Wielkim Płaszczem od piętnastu lat – powiedziałem. – Dziesięć z nich spędziłem, odwiedzając pałace podobne do tego. Miałem do czynienia

z gwardzistami i żołnierzami z każdej części kraju. Powiem jedno: przez te wszystkie lata ani razu nie spotkałem strażnika, który kiedykolwiek przeproszał Wielkiego Płaszczka, a zwłaszcza takiego, który właśnie oskarżył go o przyjęcie łapówki. A już na pewno nigdy nie spotkałem żadnego, który choćby pomyślał o kłanianiu mi się.

Przez długi czas patrzyli na mnie w milczeniu jak niewinne dzieci, które właśnie ukarano bez powodu. Potem ten niższy, Sedge, z twarzą czerwoną i opuchniętą po moim ciosie, który mu wymierzyłem, nie wytrzymał. Zaczęło się od krótkiego grymasu, ale chwilę później jego twarz wykrzywił już szeroki uśmiech.

– Kto by pomyślał, że uprzejmość może być źródłem tylu problemów? – Jego ton i mowa były teraz lepsze, nie należały już do prostego żołdaka, ale kogoś wyżej urodzonego.

Beltran, również uznając, że czas kończyć grę, powiedział:

– Na pewno nie tak poważnych jak atakowanie dwóch przeciwników naraz, gdy samemu ledwo się stoi, a przy pasie nie ma nawet jednego miecza. Możesz krzyczeć o pomoc, jeśli chcesz – dodał uprzejmie. – Godzinę temu opróżniliśmy z ludzi całe skrzydło.

Sedge mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Powiedzieliśmy im, że to rozkaz Pierwszego Kantora. – Przez chwilę znów brzmiał jak gwardzista. – „Chce pogodzić się ze swoją lubą”.

Bardzo zirytował mnie fakt, że tak łatwo im poszło. Po raz pierwszy przyjrzałem się moim przeciwnikom uważniej. Sedge był trochę niższy niż ja, ale szerszy w ramionach. Jeśli udałoby mu się mnie dobrze chwycić, miałbym trudności z uwolnieniem się. Beltran był o kilka cali wyższy, z ramionami o długim zasięgu, który mógł być pomocny nawet przy krótkim pałaszu. Przenosił jednak ciężar ciała nieco bardziej na prawą nogę, co oznaczało, że prawdopodobnie miał problem z lewą. To skróci jego wypad.

Zrobiłem krok w tył i ból promieniujący z kostki boleśnie przeszył mi nogę, przypominając, że w obecnej chwili z nas trzech to ja mam najwięcej

słabych punktów.

– Wygląda na to, Sedge, że wielki pan nie docenił twojego drewnianego prezentu – powiedział Beltran.

– To byłeś ty? – odparłem, patrząc na niższego strażnika. Moje wspomnienia z chwil zaraz po próbie zamachu na życie Aline były mgliste, ale to istotnie on mógł być tym, który podał mi laskę i tak ochoczo odebrał rapiery.

Sedge zachichotał.

– Kto by pomyślał, że trattari tak łatwo da się rozbroić?

Udał, że raz jeszcze podaje mi wymaginowany kij.

– Proszę, lepiej nie przeciążać tej kostki, mój panie. Och, pozwól mi wziąć od ciebie te ciężkie miecze i odłożyć je gdzieś w bezpiecznym miejscu, mój panie.

– Kto was tu przysłał? – spytałem, cofając się o krok i ignorując kostkę, w której czułem coraz większy ból. To by było na tyle, jeśli chodzi o ból skupiający myśli.

– Sami bogowie – odparł Sedge.

– Jacyś konkretni? Wiecie, na wypadek gdybym chciał złożyć zażalenie.

Beltran bez ostrzeżenia natarł na mnie i musiałem odskoczyć na bok. Mimo to sztych pałasza i tak dosięgnął mojej prawej piersi i tylko kostna płytką płaszczka uchroniła mnie przed raną, która zakończyłaby walkę.

Nigdy nie lubiłem pałaszy, nie mają ani zasięgu, ani finezji potrzebnych do pojedynków. Ale gwardziści pełnili służbę głównie w pałacowych pomieszczeniach, holach, korytarzach i komnatach, w których krótki pałasz idealnie się sprawdzał.

Sedge spróbował silnego cięcia z lewej, wkładając w nie cały ciężar ciała. Podniosłem rękę, by przyjąć cios na biceps i przedramię; gruba skóra wytrzymała, ale uderzenie było mocno odczuwalne. Ten człowiek był nadnaturalnie silny.

– Trzeba było zrobić to, po co tu przyszedłeś, trattari – rzucił. –

Zaplanowaliśmy sporo rozrywek dla ciebie i twojej dziwki.

„Mam serdecznie dość ludzi, którzy nazywają Ethalię dziwką”. Nadal trzymałem maskę, którą teraz rzuciłem z całych sił w twarz Sedge’a w nadziei, że niedawne wspomnienie bolesnego z nią spotkania sprawi, że odruchowo się uchyli. To dałoby mi czas na sięgnięcie do płaszcza i wyciągnięcie jednego z dwóch noży do rzucania, które mi pozostały. „Cholera, nie uzupełniałem arsenału od tygodni”.

Rzuciłem nożem w twarz Beltrana. Wbił się głęboko w jego prawy policzek, łamiąc mu zęby. Ostrze zwisało przez chwilę z jego twarzy, po czym wypadło na podłogę. Grymas bólu na twarzy strażnika zniknął zdecydowanie za szybko.

– Próbowaliśmy krwi Świętych, trattari. Nie odczuwamy ani bólu, ani strachu. – Jego słowa były niewyraźne, krew płynęła mu z rany, jednak on nie wydawał się nią zbyt przejęty.

– Jesteśmy Bożymi Igłami – dodał Sedge. Obaj zrobili krok do przodu, najwidoczniej planując zaatakować z dwóch stron.

Sedge skoczył naprzód z pałaszem wyciągniętym przed siebie – nie był to manewr godny szermierza, a raczej chłopca, który właśnie dostał swój pierwszy ćwiczebny miecz.

Skręciłem ciało i pozwoliłem klindze przelecieć obok, po czym uderzyłem go spodnią częścią dłoni. Trafiłem prosto w podbródek, ale przysięgam, że moją rękę bolało to bardziej niż jego szczękę.

Wydobyłem z płaszcza drugi nóż ze świadomością, że jeśli mam mieć jakiegokolwiek szanse w walce, to nie ma mowy o rzucaniu nim. Przez kolejnych kilka chwil moi przeciwnicy zasypywali mnie gradem ciosów, zmuszając do ciągłego cofania się. Ponad połowa docierała do celu, pomimo moich wyczerpanych prób parowania ich nożem.

– Wyglądasz na zmęczonego, trattari – powiedział Beltran. – Może chciałbyś chwilę odpocząć?

Zaszedł mnie z boku, spychając bliżej ściany. Cofając się, zahaczyłem

o coś stopą i kiedy starałem się odzyskać równowagę, nóż wyleciał mi z ręki. Sięgnąłem za siebie, by oprzeć się o ścianę, ale moje palce natrafiły na przedmiot, przez który nieomal się przewróciłem. To była ta cholerna laska.

Sedge uśmiechnął się.

– Popatrz, stary przyk będzie nam wygrażał kijem.

Trzymałem laskę w dłoni, po raz pierwszy oceniając jej ciężar i wyważenie.

– Jest coś, co powinniście wiedzieć – powiedziałem.

– Co takiego, obdarty płaszczu?

Wyciągnąłem laskę przed siebie, pozwalając, by jej ciężar kierował moim chwytem.

– Ten kij ma trzydzieści dwa cale długości. Waży nieco poniżej trzech funtów. Jest dość ciężki jak na przedmiot tego typu, domyślałem się więc, że wykonano go dla kogoś wysokiego. – Obróciłem rękojeść w dłoni. –

Ozdobna gałka na końcu zakrzywionego uchwyty jest wykonana z mosiądzu i waży dobre sześć uncji. – Odwróciłem laskę. – Od dołu ma mosiężne okucie, widzicie? To znacznie poprawia wyważenie.

– Pewnie jej twórcy nie chcieli, żeby jakiś stary ramol ciągle się o nią przewracał – powiedział Beltran, ale jego oczy zwięzły się, zdradzając cię niepewności.

„Dobrze”, pomyślałem.

– Najlepsze jest w niej to, że wedle mojej oceny przy pełnym wypadzie te metalowe zakończenia mają siłę uderzenia porównywalną z ciosem wymierzonym głowicą waszych mieczy. Mówię to na wszelki wypadek, gdybyście chcieli dzielić się nimi po głowach i zaoszczędzić nam wszystkim kłopotu.

– Po co nam to wszystko mówisz, trattari? – powiedział Sedge, uśmiechając się, mimo że pot zaczynał już rosić mu czoło. – Czyżbyś liczył na to, że uda ci się nas zagadać do czasu, aż ktoś przyjdzie ci z pomocą?

Możesz krzyknąć do woli, nikt tu w porę nie dotrze.

– Och, nie mam zamiaru wzywać pomocy – powiedziałem, cofając się o kolejny krok. Kostka nadal bolała jak diabli za każdym razem, gdy na niej stawałem, ale nie przeszkadzało mi to już tak bardzo. – Mówię o tym, ponieważ pomyślałem, że powinniście wiedzieć, iż jestem w stanie opisać wagę tej laski, jej wyważenie i siłę uderzenia, bo niezależnie od tego, czy posługuję się mieczem, kijem, czy rozpadającą się miotłą, jeśli dochodzi do walki, to wiem, jak z nich skorzystać.

Wyciągnąłem przed siebie swoją improwizowaną broń i zamachałem w powietrzu.

Sedge, wyraźnie zmęczony moimi przechwałkami, spróbował ją złapać. Szybko zakręciłem laską i jego dłoń trafiła w pustkę, po czym z całych sił uderzyłem go okutym żelazem zakończeniem w nadgarstek.

– Chciałem, żebyście to wiedzieli. Może dzięki temu, kiedy będzie już po wszystkim, nie będziecie czuli się aż tak źle z faktem, że człowiek uzbrojony jedynie w laskę pobił was do nieprzytomności.

LASKA

Obok krwiopuszczów do moich najmniej ulubionych przeciwników w pojedynku należą ludatorzy. Ich taktyka polega na znalezieniu sposobu na powalenie przeciwnika przez zniwelowanie przewagi zasięgu lub umiejętności i zakończeniu walki na ziemi. Styl ten nie należy do najbezpieczniejszych, ponieważ wymaga bardzo bliskiego podejścia do przeciwnika, ale zdziwilibyście się, jak wiele pojedynków tak właśnie się kończy. Niewielu szermierzy przewiduje taką sytuację, kiedy więc tak się dzieje, zazwyczaj jest już za późno, by udało im się wyjść z opresji.

Sedge i Beltran, choć w mojej ocenie żaden z nich nie był szermierzem, zdecydowanie zaliczali się do ludatorów. Sedge, niższy i szerszy w barach, cały czas dążył do zwarcia. Miecz był dla niego najwyraźniej jedynie pobocznym narzędziem, kiedy podejmował kolejne próby rzucenia się na mnie i obalenia na ziemię. Była to metoda walki rozzłoszczonego amatora, ale w tej sytuacji najlepsza.

– Wszystkie te cholerne historie – powiedział Sedge – wszystkie sytuacje, kiedy patrzyłem, jak Wielkie Płaszcze wjeżdżają do posiadłości mojego ojca i patrzą na nas z góry, jakbyśmy się niczym nie różnili od zwykłych kmiotów. A teraz stoisz przed nami, słaby jak...

Urwał nagle i rzucił się w stronę mojej wolnej ręki. Zwykle po prostu pozwoliłbym mu dokończyć manewr i przebił gardło ostrzem trzymanym w drugiej dłoni, ale koniec laski nie był wystarczająco ostry, dodatkowo gruba skóra kaftana gwardzisty całkowicie chroniła w tej chwili jego kark. Zamiast tego odwróciłem kij, zahaczyłem zagięciem o ramię Sedge'a i wytrąciłem go z równowagi. Zacisnąłem w pięść dłoń, którą próbował

złapać, i uderzyłem go w skroń, pomagając mu w upadku. Jego głowa spotkała się ze ścianą z siłą wystarczającą, by dać mi nadzieję, że udało mi się pozbawić go przytomności.

– No, no, nawet to poczułem – powiedział, kręcąc tylko głową i gotując się do kolejnego natarcia.

„Oczywiście”, pomyślałem, ponieważ życie nie jest dostatecznym wyzwaniem, bez szalonych zelotów, którzy nie czują bólu i których nie da się znokautować”.

– Straż! – krzyknąłem na całe gardło. – Straż!

Beltran uśmiechnął się i rzucił:

– A myślałem, że miałeś zamiar walczyć honorowo.

– Jasne – odparłem. – Ja i ten pieprzony kij przeciwko dwóm zbrojnym. Straaaż!

Beltran w odpowiedzi wykonał poziome pchnięcie, na co odpowiedziałem wyciągnięciem przed siebie laski na całą jej długość. Mosięzna końcówka dźgnęła go w gardło i zatrzymała cios, a jego miecz zastygł na kilka cali od mojej twarzy. Ze wszystkich sił starałem się nie uchylić – sztych tak blisko oczu nie należy do najbardziej uspokajających widoków.

– Cholerny kij – warknął.

Próbował zmniejszyć odległość między nami gradem ciosów wymierzonych w mój tułów, starając się sprowokować mnie do ich parowania. Gdyby mu się to udało, laska pękłaby na pół i byłoby po walce. Zamiast tego opuściłem laskę, ostrze Beltrana przecięło powietrze, a ja zrewanżowałem się ciosem metalowym zakończeniem prosto w nos.

– Zejdź mi z drogi – krzyknął zza niego Sedge.

Korytarz był zbyt wąski, by obaj mogli atakować jednocześnie, zwłaszcza gdy Beltran wymachiwał mieczem jak cepem.

– Zaraz – odparł Beltran. – Najpierw odetnę mu to i owo.

– Nie spiesz się – powiedziałem. – Mamy dla siebie całą noc.

Na nieszczęście dla mnie plan Beltrana był całkiem rozsądny. Lewą kostką spowalniała mnie i nie mogłem w nieskończoność unikać jego ciosów. Gdybym zaczął je parować, laska szybko poszłaby w drzazgi, nie pozostało mi więc nic innego, jak tylko odbijać ostrze Beltrana okutym końcem. Nawet jeśli udałoby mi się utrzymać ją mimo siły jego ataków, to metal zaczynał się wyginać, co oznaczało, że wkrótce podda się pod ciosami mojego adwersarza.

– Straż! – krzyknąłem ponownie, zastanawiając się, dlaczego kiedy tylko próbuję cichaczem dostać się do pałacu, muszę przepychać się przez dziesiątki gwardzistów, ale ten jeden raz, kiedy ich naprawdę potrzebuję, nie ma żadnego.

Laska, mimo że wcześniej wyliczałem jej niezliczone zalety, była marną bronią. Wiedziałem, że nie uda mi się zakończyć walki dźganiem ich, skoro byli w stanie znieść ból, który im tym sprawiałem. Kwestią czasu było tylko, kiedy jednemu z nich uda się powalić mnie na ziemię. To będzie mój koniec.

Gdyby był ze mną Kest, bez wątpienia wygłosiłby tyradę na temat taktyki walki na kije, jej zastosowania w moim obecnym położeniu i jej szczegółowej historii i pochodzeniu. Bez wątpienia ta ostatnia opowiadałaby o mądrych, starych pasterzach, pozbawionych prawa do noszenia broni, ale zmuszonych chronić swoje stada przed wilkami i złodziejami, albo o społeczności niewolników sprzed wieków, niegdyś bitnych wojowników, którzy chcieli być pewni, że kolejne pokolenia będą w stanie podjąć walkę w dniu, w którym będzie można odzyskać wolność.

„Nic z tego nie pomoże ci w spuszczeniu lania tym dwóm sukinsynom. Czas na coś nowego”.

Kiedy Beltran szykował się do kolejnego ciosu, opuściłem laskę nisko i odsłoniłem głowę, na co fałszywy gwardzista zaśmiał się gardłowo i zamachnął do ciosu w kark. Schyliłem się, pozwalając, by jego ostrze nieszkodliwie przeleciało mi nad głową, po czym zadałem cios mosiężnym okuciem rękojeści w kolano mojego przeciwnika. Trzask gruchotanej kości

był muzyką dla moich uszu. Złamałem mu rzepekę.

Niestety, Beltran nie wydawał się przejęty tym faktem.

Raz w życiu miałem złamane kolano, i kiedy przenosiłem na nie ciężar ciała jeszcze kilka miesięcy później, ból był niemal nie do zniesienia. Beltran nie przestawał się uśmiechać i nie zwolnił nawet na chwilę, choć kości przy każdym kroku chrzęściły w jego potrzaskanej nodze.

„Niech jeszcze raz ktoś mnie zapyta, dlaczego tak bardzo nienawidzę magii”.

– Mógłbyś przynajmniej spróbować wyglądać na rannego – powiedziałem, gdy rozdrażnienie na chwilę wzięło górę nad ogarniającą mnie paniką.

Beltran uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Jesteśmy zaledwie nowicjuszami na drodze Bożej Igły, trattari. Dotychczas piliśmy krew jedynie dwóch świętych, poczekaj, aż spróbujemy trzeciej.

Rzucił się na mnie, co było głupim posunięciem; nawet jeśli złamane kolano nie sprawiało mu bólu, to wytrącało go z równowagi. Upadł w bok i uderzył ciężko o ziemię.

Sedge ruszył do przodu, by zająć jego miejsce.

– Kiedy już cię zabijemy, trattari, będziemy mogli zakosztować twojej kobiety. Ciekawe, czy będzie smakowała tak samo. – Oblizał wargi.

Cofnąłem się kawałek; byłem już blisko końca korytarza, niedaleko galerii nad holem pałacu. Musiałem grać na czas.

– Tak samo jak kto? – spytałem.

– Birgid – odpowiedział.

Beltran podniósł się na nogi.

– Płakała tak bardzo, że widziałem jej łzy wypływające spod maski. Kto by pomyślał, że miano Birgid Co Wypłakuje Rzeki okaże się tak dosłowne?

Sedge uśmiechnął się.

– Jej łzy smakowały niemal równie słodko, co jej krew. Wyobrażasz to

sobie, trattari?

– Tak – odparłem.

I nagle wszystko się zmieniło. Nie w ten sam sposób, jak działo się to w czasach mojego dawnego szaleństwa, kiedy zupełnie traciłem kontrolę i zapominałem, kim jestem i co robię. Zamiast tego świat wkoło mnie stał się wyraźniejszy, nabrał ostrości; teraz nie liczył się ból w kostce ani gniew w sercu. Nie chodziło nawet o to, co ci dranie zrobili lub dlaczego ani jak mogli stać się tak okrutni. Nie chodziło już o wygraną czy nawet o przeżycie. W moich oczach wszystko nabrało czysto fizycznej praktyczności. Skoro nie potrafiłem ich zranić, musiałem ich złamać. Moi przeciwnicy nie byli już dla mnie ludźmi, tylko obiektami poruszającymi się w przestrzeni, głazami toczącymi się bezwładnie w moim kierunku. Albo znajdę sposób, żeby je zniszczyć, albo zostaną zgnieciony pod ich ciężarem.

Galeria nad pałacowym holem z jednej strony kończyła się klatką schodową, a z drugiej tworzyła szeroki most między dwoma skrzydłami pałacu – zapewne pozostałość po pragnieniu starożytnego architekta, aby stworzyć wysokie sklepienie pośrodku wielkiego holu. Ów architekt ponieważ musiał sobie uświadomić, że pałacowi goście mogą uznać za niewygodne pokonywanie trasy z sypialni po schodach, wzdłuż zimnego korytarza, a następnie kolejnymi schodami do góry tylko po to, by skorzystać z wychodka.

Sedge, tak jak poprzednio, ruszył na mnie z rozłożonymi rękami, chcąc wykorzystać swoją masę, by mnie powalić. Nie było miejsca ani czasu na uniki, moje ruchy musiały więc być płynne i doskonale wymierzone w czasie. „Nie pokonasz ludatora, uciekając przed nim”. W chwili, w której Sedge wpadł na mnie, zacisnąłem obie ręce na jego ramionach i odepchnąłem się tak mocno, jak tylko byłem w stanie. Moje stopy oderwały się od ziemi i w trakcie, kiedy jego rozpęd przesuwał nas do przodu o dobre dziesięć stóp, poleciałem do góry. Opadłem kolanami na jego ramiona i naparłem z całych sił, posyłając go na ziemię; resztę drogi

pokonał, szorując twarzą po podłodze. Poczułem, że próbuje się odepchnąć i wstać, niczym dziki koń chcący zrzucić niechcianego jeźdźca. Potem sięgnął za siebie, starając się chwycić mnie za nogi. Kiedy wygiął się tak samo po raz drugi, wykorzystałem to, by skoczyć do przodu. Wylądowałem dość pewnie na obu nogach, czując przypływ dumy, mimo że usłyszałem, jak coś pęka mi w kostce. Postanowiłem to zignorować.

Roztrzaskane kolano Beltrana sprawiało, że poruszał się jak pijany, ale nie przeszkodziło mu to w skróceniu dystansu i wykonaniu szerokiego zamachu mieczem prosto w moją głowę. Odchyliłem się, pozwalając, by ostrze przeleciało obok, a gdy wracałem do pionu, wbiłem koniec laski prosto w jego lewe oko. W powietrzu rozległ się przyprawiający o mdłości dźwięk gałki ocznej miażdżonej w oczodole, ale nie miałem czasu sprawdzić, czy to wystarczyło, by go powstrzymać, bo miałem inne zmartwienie: Sedge znów ruszył w moją stronę. „Bogowie, on jest nie do zatrzymania!” Zahaczyłem laską o jego nadgarstek i podniosłem wysoko nad głowę, żeby nie był w stanie mnie dosięgnąć, kiedy przelatywał obok. Gdy odwracał się do kolejnej szarży, mocno szarpnąłem laskę, wytrącając go z równowagi, po czym poprawiłem pięścią w grzbiet nosa.

Trzaskowi miażdżonej chrząstki i pękającej kości towarzyszyła fontanna krwi, która połała się obfitym strumieniem po mojej ręce, niczym wywołana kuglarską sztuczką. Nim jeszcze pierwsza kropla uderzyła o podłogę, oparłem się plecami o balustradę galerii i kopnąłem go prawą nogą. Obcas mojego buta złamał Sedge'owi szczękę i wybił mu wszystkie przednie zęby. Zobaczyłem, jak jego spojrzenie przez chwilę traci ostrość, zachęcony tym małym sukcesem wymierzyłem mu w głowę cios z półobrotu laską.

„Może i nie potrafię sprawić ci bólu, bękarcie, ale nie powstrzyma mnie to przed biciem cię, póki mózg nie zacznie chlupotać ci w czaszce”.

– Stać! Co tu się dzieje?

Kij zatrzymał się w połowie ciosu, gdy stojący za mną właściciel głosu złapał moją broń w mocnym uścisku. Gdy się obejrzałem, ujrzałem

mężczyznę mojego wzrostu w mundurze gwardzisty, w wolnej ręce trzymającego buzdygan. Mocno pociągnął za laskę, odciągając mnie od przeciwnika.

– Trzymaj go! – zawołał Sedge, podnosząc się na nogi. – To zabójca przebrany za Wielkiego Płaszczka, właśnie chciał zabić Obrońcę Księstwa!

Poczułem, że mężczyzna przenosi ciężar ciała, zanim jeszcze podniósł do góry broń.

– Głupcze, naprawdę myślisz, że zabójca byłby uzbrojony jedynie w cholerną laskę? – krzyknąłem do niego.

Przeniósł spojrzenie na moją broń.

– Niech nikt się nie rusza, dopóki nie ustalę, kto... – zaczął.

Cokolwiek zamierzał powiedzieć, zostało przerwane przez ostrze Beltrana, którym ten właśnie przeszył go na wylot; stalowy sztych wystający mężczyźnie z brzucha zbliżał się niebezpiecznie w moją stronę, jakby Beltran chciał rozwiązać dwa problemy za jednym zamachem. Stojący między nami strażnik patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Ja... przepraszam – wyjąkał. Potem z odwagą i siłą woli większą, niż bym się spodziewał po niespełna dwudziestoletnim młodzieńcu, chwycił ostrze, które właśnie kończyło jego życie, i podnosząc drugą rękę podał mi swój buzdygan.

Beltran zorientował się w sytuacji i próbował wyciągnąć ostrze, ale młody gwardzista trzymał je mocno, nie bacząc na to, że miecz głęboko rozcina mu dłoń, powiększając jedynie rozlewającą się wokół niego kałużę krwi.

Wziąłem buzdygan do wolnej ręki i podniosłem wysoko. Beltran puścił miecz, chcąc uciec przed ciosem, ale młody strażnik osunął się na niego, a ja spuściłem mu na głowę swoją nowo zdobytą broń z całą siłą i furją, jakie mi jeszcze zostały. Lewa strona czaszki Beltrana zapadła się, on sam się zachwiał, a mięśnie jego szczęk napięły się, jakby chciał się jeszcze uśmiechnąć, po czym padł na podłogę.

Koszt tego zwycięstwa był zbyt wysoki: Sedge pozbiierał się po gradzie ciosów, jaki na niego spuściłem, i nie bacząc na fakt, że ludzka przyzwoitość wymagała, by zatrzymał się choć na chwilę na widok śmierci towarzysza, wpadł na mnie, chwycił w pasie i mocno przycisnął do poręczy galerii.

Próbowałem zadać mu cios maczugą, jednak był na to przygotowany; chwycił mój nadgarstek i uderzył nim o balustradę. Krzyknąłem pod wpływem nagłego bólu i poczułem, jak broń wyslizguje mi się z rąk. Chwilę później usłyszałem, jak uderza o marmurową podłogę pod nami.

– Długa droga w dół – powiedział Sedge, po czym chrząknął z wysiłku i zaczął mnie podnosić.

Stał pochylony z głową przyciśniętą do mnie, nie mogłem go więc uderzyć łokciem. Z całych sił zadawałem mu cios za ciosem w plecy, jednak nie robiło to na nim większego wrażenia. Uderzenie w kark pewnie działałoby więcej, ale nie byłem w stanie go dosięgnąć.

Poczułem, jak moje stopy zaczynają odrywać się od dywanu.

– Żegnaj, trattari – powiedział. – Nie martw się o swoją dziwkę. Własnoręcznie założę jej maskę.

Raz za razem biłem go pięścią i kijem, wciąż bezskutecznie. Poczułem, jak górna część balustrady wbija mi się w plecy, gdy Sedge zaczął mnie przez nią przechylać. W głupim odruchu spojrzałem w dół i zobaczyłem twardą marmurową podłogę trzydzieści stóp niżej. Próbowałem zablokować stopę między prętami balustrady, ale było na to za późno; środek ciężkości miałem już po drugiej stronie. Za kilka sekund będzie po wszystkim. Została mi tylko jedna opcja.

„Przekonajmy się, czy słusznie wychwalałem twoje solidne wykonanie”, powiedziałem w myślach do laski, „w przeciwnym razie umrę w bardzo głupi sposób”.

Obróciłem laskę zakrzywionym końcem do przodu. Przez chwilę rozważałem zahaczenie go o drewnianą poręcz balustrady, ale nie byłem pewny, czy ta wytrzyma. Zamiast tego wybrałem inny punkt zaczepienia –

szyję mojego przeciwnika. Kiedy zacząłem spadać, przełożyłem uchwyt laski za głowę Sedge'a, a mój ciężar zaklinował go w uścisku, z którego nie był w stanie się wydostać. Na skutek tego manewru zawisłem w powietrzu, trzymając się laski, podczas gdy Sedge wpatrywał się we mnie z góry, wyraźnie dezorientowany swoim obecnym położeniem. Próbował się podciągnąć, żeby zdjąć uchwyt z szyi, ale okazało się to ponad jego siły. Utknęliśmy w dziwnym impasie, który jednak nie mógł przecież trwać w nieskończoność.

Spodziewałem się, że po prostu poczeka, aż się zsunę, w końcu mój chwyt nie mógł być zbyt pewny. Spróbujcie sami zawisnąć przez chwilę na drewnianym kiju, a przekonacie się, o czym mówię. Jednak Sedge'owi najwyraźniej nie uśmiechało się czekanie.

– Razem staniemy przed obliczem Boga – powiedział i zaczął przechylać się nad krawędzią, chcąc posłać nas obu na śmierć.

– Pozdrów go ode mnie – warknąłem i z całych sił pociągnąłem laskę w dół, jakbym chciał wybić się wyżej w powietrze. Nie zrobiłem tego; zacisnąłem palce kurczowo na lasce, pozwalając, by mój ciężar opadł z całą siłą na kark Sedge'a.

Dostrzegłem jeszcze zdziwienie w jego spojrzeniu na chwilę przed tym, gdy rozległ się głośny trzask czaszki oddzielanej od kręgosłupa. Westchnął cicho, po czym jego nogi ugięły się, a ciało opadło bezwładnie, w jednej chwili przemienione z niedoszłego zabójcy w kotwicę trzymającą mnie przy życiu. Wisiałem tak przez chwilę na drewnianym kiju i złamanej szyi mężczyzny, którego oczy wciąż mrugały, niedowierzając temu, co się właśnie wydarzyło.

Resztkami sił, podsycanych przez zacieklą determinację, by nie ześlizgnąć się i nie spaść po tym wszystkim, co właśnie przeszedłem, wspiałem się ostrożnie po lasce, chwyciłem za kaftan Sedge'a i stękając z wysiłku, podciągnąłem się przez balustradę.

Padłem na kolana i wychrypiałem:

– Wygrałem.

Podniosłem oczy i ujrzałem Ethalię stojącą na korytarzu, jej wzrok przepełniała mieszanka przerażenia i wstrętu. Patrzyła prosto na mnie.

POZOSTALI

Przez krótki czas słyszałem jedynie odgłos moich płuc pompujących ciężko powietrze niczym miechy, przerywany warknięciami, które jak sobie wmawiałem, były tylko wyrazem bólu i wyczerpania potrzebujących ujścia. „Uspokój się”, zgańłem się w duchu, „odpychasz ją”.

Ethalia próbowała podejść bliżej, by obejrzeć moje obrażenia, jednak nie była w stanie; tkwiąca we mnie przemoc odpychała ją niczym podmuchy porywistego wiatru. Widziałem, jak ogarnia ją obrzydzenie: jej usta powtarzały moje imię, ale nie słyszałem jej przez świst własnego oddechu.

Odległe krzyki zaczęły odbijać się echem w korytarzach, po chwili dołączył do nich stukot ciężkich obcasów na posadzce. Spojrzeliśmy po sobie z Ethalią, czując ulgę z tego samego powodu: ktoś inny przyjdzie mi pomóc. Nie musiała mnie dotykać. Ethalia raz jeszcze wypowiedziała moje imię, a cały smutek miała wypisany mokrym śladem na policzkach.

– Idź już – powiedziałem i natychmiast pożałowałem szorstkości w moim głosie. Delikatniej dodałem: – Dam sobie radę.

Wahała się, wciąż nie chcąc mnie porzucić, ale była Świętą Miłosierdzia, a ja właśnie zabiłem dwóch ludzi bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Czy zawahałem się choćby na chwilę, kiedy brałem buzdygan umierającego strażnika i rozbijałem nim głowę Beltrana? Czy w moim sercu była choć odrobina litości dla Sedge’a, gdy drgania przechodzące przez drewno laski do mojej dłoni upewniły mnie o łamiącym się karku? „Mało, kurwa, prawdopodobne”.

Wzrok miałem zamglony, zapewne dlatego widziałem, jak sylwetka Ethalii rozdzieliła się przez moment na dwie osoby. W moim delirycznym

stanie drugą postacią zdała się być moja żona, Aline, ubrana w skórzany płaszcz i stojąca przed Ethalią z mieczami w obu dłoniach, jakby chciała obiecać mi, że ochroni ją za mnie. Parsknąłem cichym śmiechem. Nie sądzę, by Aline kiedykolwiek trzymała miecz w ręku. Zawsze jednak dbała o innych, nawet w tak młodym wieku udawało jej się zapewnić bliskim bezpieczeństwo i zdrowie. Raz pozwoliłem jej stanąć w mojej obronie i straciliśmy przez to wszystko, co mieliśmy.

Przez następne kilka sekund ta myśl napawała mnie dziwnym spokojem. Byłem teraz człowiekiem miecza – może nie najlepszym szermierzem, ale wystarczająco dobrym, by sprostać większości wyzwań. Walczyłem, krwawiłem i bez wahania robiłem to, co było trzeba, w obronie tych, których kochałem. Tak jak Aline robiła to dla mnie.

A jeśli się okaże, że ceną za bezpieczeństwo Ethalii jest utrata jej miłości? „Cóż, przekłęci bogowie i święci, wybraliście odpowiedniego człowieka do tego zadania”.

Rozmazana wizja zaczęła ciemnieć. „Jest bezpieczna”, pomyślałem. „Możesz już zemdleć”. Kiedy już pozwoliłem moim powiekom, by zaczęły opadać, dostrzegłem nagły ruch grubej, umięśnionej ręki podnoszącej się z podłogi i chwytającej Ethalię za kostkę. Krzyknęła jak dotknięta rozżarzonym pogrzebaczem i zatoczyła się.

Krew wciąż sączyła się z odsłaniającej mózg rany na głowie Beltrana, gdy podnosił się, jednocześnie ciągnąc kobietę w swoją stronę.

– Nie... tak... szybko... święta gąsko – powiedział, cedząc każde słowo przez roztrzaskaną szczękę z obrzydliwym zadowoleniem.

Boża Igła trzymał jedną rękę na kostce Ethalii, a drugą na jej łydce, stopniowo ściągając ją na ziemię. Jego kolano chrupotało i trzeszczało; kończyny wyginały mu się nienaturalnie, gdy przyciągał do siebie kobietę. Niewielki kawałek czaszki zwisał luźno na płacie skóry. „Powinien być już martwy”.

„Dlaczego wciąż żyjesz, po trzykroć przeklęty potworze?”

Przywołałem ostatnie rezerwy sił i chciałem rzucić się w jego stronę, ale udało mi się jedynie ciężko podnieść z podłogi, podpierając się rękami. Nie pozostało mi nic innego jak podczołgać się i spróbować złapać go za nogę. Wychodziło mi to marnie. Nie zachwycał mnie fakt, że nie tylko nie był martwy, ale i poruszał się szybciej ode mnie.

„Powinieneś go dźgnąć nożem w serce po tym, jak zabiłeś Sedge’a” – wyobraziłem sobie mówiącego z przyganą Kesta. „Człowiek, który nie czuje bólu, może walczyć długo po tym, jak inni polegną”. Na swoją obronę mogłem tylko dodać, że kiedy zwykle roztrzaskiwałem przeciwnikom czaszki, to po chwili umierali. W przypadku Beltrana po prostu trwało to nieco dłużej.

Tupot butów i okrzyki stawały się coraz głośniejsze, ale nie działało się to wystarczająco szybko. „Nadal są za daleko”, pomyślałem, bezradnie gramoląc się za nogą szaleńca. „Nie zdążą na czas”.

Ethalia bezskutecznie próbowała odepchnąć Beltrana. Cokolwiek utrzymywało go przy życiu, sprawiało, że nie przejmował się kolejnymi ranami czy pojmaniem.

Wciągnąłem gwałtownie powietrze, starając się dostarczyć chociaż trochę paliwa zmęczonym mięśniom, i ruszyłem za napastnikiem. Macałem podłogę dookoła w poszukiwaniu broni, jednak żadna nie leżała w moim zasięgu. „W porządku”, pomyślałem, chwytając go za kołnierz kaftana i odciągając do tyłu, „oderwę ci głowę z szyi gołymi rękami, jeśli będzie trzeba”.

Beltran zadał cios łokciem, który trafił mnie prosto między oczy, przez chwilę widziałem tylko czarne plamy.

„Nie waż się mdleć, do cholery!”

Wplątałem palce w jego włosy i pociągnąłem, zmuszając go do odchylenia głowy, ale wyrwał mi się i odepchnął mnie na balustradę obok ciała Sedge’a. Strząsnąłem z siebie kępkę włosów i fragment skóry Beltrana. Szaleniec wciąż trzymał Ethalię, a teraz odwrócił ją na plecy i zacisnął jej

ręce na gardle. Chwyciłem laskę, która wciąż wisiała na szyi Sedge'a i trzykrotnie uderzyłem Beltrana w plecy, trafiając w ramię, nerkę i w tył głowy, aż wreszcie jego ciało zadrżało w agonalnym spazmie. Był o krok od śmierci, ale nadal nie puszczał Ethalii.

Jej oczy rozszerzyły się, gdy brak oddechu zmusił ją do otwarcia ust w desperackiej próbie zaczerpnięcia powietrza. Wbiła palce w dłonie, które zaciskały się na jej szyi, próbując je odciągnąć, ale Beltran tylko śmiał się, wyciskając z niej życie. Raz za razem uderzałem w niego laską, jednak moje ciosy słabły z każdą sekundą. Zarówno mój przeciwnik, jak i ja traciliśmy resztki sił, ale ja traaciłem je szybciej.

Odwrócił się do mnie i uśmiechnął obrzydliwie, po czym wystawił język i z całych sił zacisnął na nim zęby, odgryzając go w fontannie krwi.

– Pocałunek na pożegnanie – wybełkotał słowa tak samo zmalretowane jak jego język i przyciągnął do siebie Ethalię w obscenicznym uścisku.

Przestałem okładać go laską, w zamian w akcie desperacji uderzyłem nią ze wszystkich sił w balustradę. Kij pękł, a w dłoniach został mi skrócony, najeżony drzazgami długi na około dwie stopy ułomek. Wbiłem go w bok Beltrana, czując, jak łamie mu żebra i wchodzi coraz głębiej. Dreszcz przeszedł całe jego ciało, a dłonie zaciśnięte wokół szyi Ethalii już nie trzymały jej tak kurczowo. Odciągnęła palce i odczołgała się, spazmatycznie łapiąc powietrze.

Trzymając obie dłonie na kiju, użyłem go jako dźwigni i obróciłem Beltrana w swoją stronę. Byłem pewien, że przebiłem przynajmniej jeden ważny organ, ale wciąż chciałem się upewnić, że tym razem jest naprawdę martwy. Ciągle jeszcze mrugał oczami, powieki trzepotały mu jak skrzydła motyla próbującego uciec przed silnym wiatrem.

– Kim... jesteś? – spytał bezgłośnie, a wzrok miał niewinny i rozkojarzony, jakby zapomniał, kim jestem, kim był on i co zrobił.

– Nazywam się Falcio val Mond – odparłem. – Jestem Pierwszym Kantorem Wielkich Płaszczy. Kiedy już dotrzesz do bram piekła, powiedz

swojemu bogu, kto cię przysłał.

Przez chwilę Beltran wyglądał, jakby chciał na mnie splunąć, wtedy usłyszałem grzmot, a powietrze między nami wypełnił szary dym. Beltran upadł do przodu, a jego ciężar pociągnął mnie na podłogę. W tym, co pozostało z jego twarzy, ziała wielka dziura.

Leżałem tak pod przygniatającym mnie ciałem martwego mężczyzny, którego zapach dusił mnie coraz bardziej. W uszach mi dzwoniło, gardło wypełnione było dławiącym dymem. Wokół mnie zaczęły poruszać się jakieś sylwetki.

Nic z tego nie miało dla mnie sensu.

– Wszystko w porządku? – zapytał głos dobiegający mnie z bardzo daleka, ale nie odpowiedziałem. Mój wzrok wciąż był skupiony na Beltranie. Kilka par rąk podniosło jego ciało i złożyło kilka jardów dalej. Niosący go mężczyźni mieli na sobie ciężkie, szare płaszcze.

– Falcio, słyszysz mnie?

Rozpoznałem głos, ale nie byłem w stanie przypomnieć sobie właściciela, dopóki nie odwróciłem głowy i nie zobaczyłem stojącego nade mną Quentisa Marena. Długi pistolet Inkwizytora wciąż tkwił w jego dłoni, a cienkie smugi dymu unosiły się z obu luf. „Gdyby tylko chciał, mógłby zastrzelić i mnie”, pomyślałem z roztargnieniem. „Może potem powiedziec, że stałem na linii strzału i nikt by tego nie zakwestionował”.

Ukląkł i wyciągnął dłoń w rękawiczce, by chwycić mnie za ramię i podciągnąć na kolana.

– Od tej chwili o bezpieczeństwo Świętej Ethalii zadba Świątynia – powiedział.

Spojrzałem mu w oczy, chcąc upewnić się, że mówi na poważnie.

Był wściekły.

– Ostrzegałem cię, Pierwszy Kantorze. Wiedziałeś, że ci szaleńcy będą jej szukać. Wiedziałeś, że polują na świętych i nie pozwoliłeś nam jej chronić. Wielkie Płaszcze są za słabe i zbyt nieliczne, żeby stawić im czoła,

Falcio. Święta Miłosierdzia niemal straciła życie przez twoją arogancję.
Chyba już wolałem, żeby mnie wtedy zastrzelił.

JĘZYK

Nigdy nie jest dobrym znakiem, gdy po walce ludzie wokół ciebie zaczynają debatować, czy w ogóle powinni cię ruszać.

– Mogłabym użyć twojego ciała jako podręcznika medycznego – poinformowała mnie niewysoka medyczka w okularach, która chwilę wcześniej przedstawiła się jako Pasquine. Jej drwiny i brak współczucia nieco mnie uspokoiły. Zwykle lekarze są mili tylko dla umierających pacjentów.

Długie, szare płaszcze wirowały wokół nas na galerii drugiego piętra pałacu, podczas gdy Quentis wysyłał kolejnych ludzi do zabezpieczania korytarzy, samemu skupiając się na przekonywaniu Ethalii, by przyjęła ochronę Świątyni. Ona jednak, czy to z powodu lojalności wobec mnie, czy nieufności wobec Quentisa, odmówiła.

Zastanawiałem się, czy będę musiał za chwilę stawić czoła tuzinowi Inkwizytorów, nie mając w dłoni nawet połamanej laski, ale przybyli pałacowi strażnicy, mogłem więc się położyć wygodnie i cieszyć niezwykłym i satysfakcjonującym doświadczeniem oglądania dwóch grup, które zazwyczaj miały mnie za przeciwnika, a które teraz kłóciły się zażarcie ze sobą w kwestii jurysdykcji.

Quentis zostawił spory z gwardzistami swoim podwładnym, tymczasem sam zasypywał Ethalię pytaniami o nadprzyrodzonej naturze zachowania Bożych Igieł. Miałem nieco satysfakcji, widząc jego rosnącą irytację, kiedy wyjaśniała mu dokładnie, jak udało mi się odkryć ich prawdziwą tożsamość.

– Ale czy nie możesz ich wyczuć? – zapytał Quentis. – Nie ma sposobu na wykrycie ich obecności?

– Nie miałam pojęcia, kim są, do chwili, kiedy ten większy – odparła Ethalia i wskazała na ciało Beltrana leżące na podłodze – chwycił mnie za kostkę i poczułam przytłaczające zło i... profanację, to chyba jedyne słowo, jakie przychodzi mi do głowy.

„Cóż”, pomyślałem, odrobinę zamroczony z bólu i wyczerpania, „przynajmniej jest ktoś, kogo uważa za bardziej odpychającego niż mnie”.

– Wybacz mi, *Sancti*, ale czułbym się pewniej, gdybyś pozwoliła nam...
– zaczął Quentis, być może w nadziei, że ten archaiczny tytuł ją udobrucha.

– Nic mi nie będzie – przerwała mu, kończąc dyskusję.

Spojrzała na mnie, poważnie zaniepokojona moim stanem zdrowia, a ja, chcąc ją uspokoić, odpowiedziałem jej najbliższym uśmiechowi grymasem, na jaki było mnie w tej chwili stać. Ethalia spróbowała odpowiedzieć tym samym, zanim odwróciła się i ruszyła korytarzem do swoich pokoi. Miałem wrażenie, że z naszej dwójki to ja okazałem się lepszym aktorem.

Quentis zwrócił spojrzenie ku uzdrowicielce.

– W jakim jest stanie? – zapytał Pasquine.

– Nie twoja sprawa, *cogneri* – odpowiedziała uprzejmie.

Lubiłem ją coraz bardziej.

– Wyliżę się? – spytałem, po czym dodałem: – Obiecuję nie obrażać twoich zawodowych zdolności, jeśli odpowiedź brzmi „nie”.

Rozchyliła mój płaszcz i niezbyt była zadowolona z tego, co tam zobaczyła.

– Jeden siniak na drugim i świeże rany na tych ledwie zagojonych.

Rozdarła przód mojej jedynej porządnej koszuli. „Chyba jednak nie zasługuje już na to określenie”, pomyślałem, patrząc na ziemię, brud i krew, jakie ją pokrywały.

Skacząc prosto z jednej śmiertelnie groźnej sytuacji w drugą, nigdy nie myśli się o takich błahostkach jak czyste ubrania. Gdy jednak opadnie kurz po walce, naprawdę zaczyna się żałować, że trzeba wachać własny smród połączony z tym należącym do osoby, którą się właśnie zabiło. Na szczęście

gdy tylko zmęczenie zaczyna brać górę, przestajesz się tym przejmować.

Stukot podkutych butów na schodach powiedział mi, że Brasti wraz z Kestem przybyli mi na ratunek.

– Nieco się spóźniliście – powiedziałem, choć wątpię, żeby mnie usłyszeli. Coraz trudniej było mi pozostać przytomnym.

Prawa ręka Brastiego spoczywała na temblaku, ale podchodząc i tak próbował – dość niezgrabnie, jak zauważyłem – nałożyć strzałę na cięciwę. Twarz Kesta była wykrzywiona tym samym grymasem tajemniczego bólu, który nachodził go za każdym razem, gdy dobywał miecza, od kiedy stracił dłoń wraz ze swoją świętością. Dziwny smutek mnie ogarnął, gdy patrzyłem, jak obaj starają się wyglądać na ludzi, którymi kiedyś byli. „Patrzcie na nas”, pomyślałem, czując, jak powoli odpływam i tracę przytomność, „trzech złamanych mężczyzn próbujących udawać, że mogą nadal żyć przeszłością...”

– Odsuńcie się – powiedział wesoło Brasti do Inkwizytorów, którzy ruszyli, żeby zagrozić im drogę. – Nie chcielibyśmy zabrudzić podłogi większą ilością krwi niż to konieczne – urwał, przenosząc wzrok na mnie. – Chociaż wygląda na to, że Falcio odwalił kawał dobrej roboty w tej kwestii.

„...gasząc jeden pożar za drugim, próbując na próżno przywołać świat, którego nikt już nie chce...”

Quentis Maren dał znać swoim ludziom, żeby pozwolili im przejść. Kest zatrzymał się przy mnie i omiótł wzrokiem, chcąc upewnić się, że jeszcze oddycham, po czym poszedł zbadać ciała dwóch Bożych Igieł leżące na podłodze.

„...nieustannie walcząc o zrozumienie rzeczy będących daleko poza naszym zasięgiem”.

Patrzyłem na Kesta z rozbawieniem, gdy raz po raz sprawdzał rany na ciałach moich przeciwników, obliczając, ile ruchów zajęło mi ich pokonanie, bez wątplenia przygotowując się do zganienia mnie i recytacji listy najprzeróżniejszych manewrów, którymi mogłem szybciej zakończyć walkę,

gdybym tylko był bardziej skuteczny w używaniu laski, która trafiła w moje ręce kilka godzin wcześniej.

Stojący nad nimi Brasti stwierdził:

– Nie można odmówić im poświęcenia, poodgryzali sobie języki, żeby nie ryzykować przesłuchania.

Medyczka roztarła na mojej klatce piersiowej i szyi tłustą, białą maść, która przeszła moje ciało zimnym dreszczem, choć moja skóra zdawała się płonąć.

– Auć – zareagowałem niemrawo.

Uśmiechnęła się do mnie, nie przestając wcierać maść w moje posiniaczone ciało.

– „Auć”? Udało ci się przeżyć tę krwawą jatkę, a lekarstwo sprawia, że biadolisz jak dziecko przy pierwszym bólu zęba?

– I tak nie zrozumiesz – powiedziałem, zbyt zmęczony, by rozwodzić się nad szczegółami. Sięgnąłem do kieszeni po ostatni kawałek twardego cukierka, który Kest dał mi wiele miesięcy temu. Oszczędzałem go na specjalną okazję.

– Zaczekaj – powiedziała doktor Pasquine, chwytając mnie za nadgarstek.

– Bez obaw, to tylko twarde cukierki – powiedziałem. – Zażywamy je, żeby...

– Wiem, co to jest. – Obwąchała go i puściła moją rękę. – „Twardy cukierek” brzmi jak coś, co dałabym dziecku, a nie zabójczy narkotyk.

– Wiele razy ocalił nam życie – zauważył Kest, wciąż oglądając ciała, najwyraźniej nieświadomy wyjątkowo krytycznych spojrzeń rzucanych mu przez stojących za nim Inkwizytorów Quentisa.

Pasquine podniosła wzrok znad pieczołowicie oczyszczonej rany na moim ramieniu.

– Nie wątpię, że toksyna jest skuteczna – powiedziała. – Po prostu ostrzegam, że pewnego dnia możesz wziąć o jeden za dużo i ze zdziwieniem

obserwować, jak serce wyskakuje ci z piersi. Zawsze są konsekwencje zażywania takich środków.

Spojrzałem na mały kawałek trzymany w dłoni. Ile razy zdarzało mi się na takim polegać, żeby pewniej trzymać miecz, nie zasnąć albo po prostu nie poddać się i nie spędzić reszty życia w ukryciu.

– Jakie konsekwencje? – spytałem ją.

– Co masz na myśli? Mówiłam ci, może cię zabić, jeśli...

– Zgadza się, ale użyłaś liczby mnogiej. Jakie są pozostałe?

Zanim odpowiedziała, raz jeszcze owinęła mnie bandażem.

– Nie znam dokładnej receptury opracowanej przez aptekarzy króla Paelisa, ale wiem, że tego rodzaju specyfiki sieją spustoszenie w płynach życiowych ciała, a to z kolei może mieć paskudny wpływ na umysł zażywającego.

– Och, nie martw się o Falcia. On wie wszystko na temat szaleństwa, jeszcze jakiś czas temu był z niego prawdziwy berserk – wtrącił Brasti, po czym raz jeszcze spojrzął na zmaltretowane ciało Beltrana. – Wygląda na to, że dalej zdarza mu się wpaść w szał. Na cycki Świętej Lainy, Falcio, jak długo biłeś go po tym, jak wyzionął ducha?

– Właśnie w tym sęk – odparłem. – On uparcie nie chciał umrzeć.

Wciąż wpatrywałem się w twardego cukierka trzymanego w palcach.

A co, jeśli właśnie o to chodzi? Co, jeśli Boże Igły tak naprawdę nie nabierają nadprzyrodzonych zdolności po wypiciu krwi świętych? Może dostają po prostu coś w rodzaju twardego cukierka, tylko znacznie silniejszego?

– Kest, czy zwykły człowiek, to znaczy nie święty, czy ktoś im podobny, miałby szansę przeżyć te wszystkie rany i nadal walczyć?

– Tak, to możliwe – odpowiedział po chwili namysłu.

– Ale bardzo nieprawdopodobne – powiedział Quentis, nagle żywo zainteresowany naszą rozmową. – Spójrzcie na rany tego człowieka. Kto byłby w stanie...?

Kest przerwał mu.

– Wiele z tych ran jest śmiertelnych, ale żadna z nich nie musi prowadzić do natychmiastowej śmierci. To tylko kwestia zignorowania bólu i szoku.

– Po prostu zignoruj ból i nie wpadaj w szok – powtórzyła Pasquine, gdy owijała wokół mojego torsu niekończący się zwój bandaża. – Rzeczywiście brzmi jak bułka z masłem.

– Ale to możliwe, prawda? – dopytywałem.

– Teoretycznie – odpowiedziała. – Jednak podejrzewam, że środek zdolny do wywołania takiego efektu zniszczyłby narządy wewnętrzne i bez wątpienia także umysł.

Owinęła wokół mnie ostatni zwój bandażu, po czym zabezpieczyła je przezroczystą, lepką substancją.

– A skoro już mowa o próbujących się zabić szaleńcach, jeśli uda ci się powstrzymać od wysiłku przez najbliższych kilka dni, istnieje szansa, że przeżyjesz. Odpoczywaj.

– Nie może – powiedział Brasti, wyciągając rękę, by pomóc mi wstać. –

Falcio ma bardzo ważne spotkanie z Wielkimi Płaszczami. Niezwykle ważna sprawa dotycząca prawa, sprawiedliwości oraz...

– Brasti dowiedział się, że mają tu karczmę otwartą przez całą noc – przerwał mu Kest.

– To nie jest jakaś tam karczma – poprawił go Brasti, a jego oczy załśniły ze zniecierpliwienia. – Wygląda na to, że jest pełna służek, samotnych jak palec i niemających nic do roboty, gdy ich panie bawią się w pałacu. – Wyprostował mi rękawy płaszcz. – Oczywiście rozumiem doskonale, Falcio, że wolałbyś poszukać jeszcze kogoś, kogo będziesz mógł osądzić i zabić, ale Ethalia jest bezpieczna, Aline ma wokół siebie połowę pałacowej straży, a Valiana jest zajęta spotkaniem z książętami, którzy nawiasem mówiąc, są chronieni przez drugą połowę strażników. Jako sędziowie musimy teraz skupić się na ratowaniu niewielkiej, ale potencjalnie bardzo otwartej części kraju, od losu gorszego niż śmierć.

– A mianowicie? – spytałem.

– Niezaznania przyjemności pocałunku Wielkiego Płaszczka. – Oceniał mój stan wzrokiem. – Najpierw jednak zażyj tego twardego cukierka. Nikt nie będzie chciał tańczyć ze zwłokami.

Uzdrowicielka podniosła rękę.

– Poddaję się – odwróciła się i zaczęła odchodzić. – Rób, co ci się żywnie podoba, trattari. Idź i walcz w pojedynkach lub sypiaj ze szlachciankami, byle tylko przywrócić sobie poczucie własnej wartości. Tylko obiecaj mi nie całować dziewcząt o słabych sercach i osób w podeszłym wieku.

Co prawda, nie miałem zamiaru całować się z kimkolwiek, młodym czy starym, ale zdziwił mnie sam komentarz.

– Dlaczego nie? – zapytałem.

Pasquine zatrzymała się i wskazała na kawałek twardego cukierka w mojej dłoni.

– Tego rodzaju toksyny gromadzą się w języku. Jeśli wsadzisz go w usta jakiejś dziewczyny, która nigdy nie miała z czymś takim styczności, biedaczka zejdzie na atak serca.

– A jeśli będzie okazem zdrowia? – spytał Brasti, przekrzywiając głowę z zaciekawieniem.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

– Prawdopodobnie pomyśli, że to twój pocałunek przyprawia ją o takie obłądne doznania.

– Och, to byłoby po prostu okropne – powiedział Brasti, po czym zwrócił się w moją stronę. – Czy mogę dostać resztę twoich cukierków, Falcio?

Kest skomentował to, ale nie usłyszałem jak, bo wiedziony przecuciem skupiłem całą uwagę na Beltanie. Jego usta wciąż były otwarte, ukazując kikut odgryzionego języka, otoczony zaschniętą krwią i plwociną. Wszyscy zakładaliśmy, że niedoszły zabójca Aline chciał się upewnić, że nie

będziemy mogli wydobyć z niego żadnych informacji, ale Beltran przecież wiedział, że umiera.

– Falcio? – zapytał Kest, i nagle zdałem sobie sprawę, że podtrzymuje mnie przed upadkiem.

Co takiego Pasquine powiedziała o konsekwencjach stosowania podobnych środków?

„Mają niszczący wpływ na umysł”.

Podniosłem rękę do ust i przełknąłem mały kawałek twardego cukru. Znajomy metaliczny posmak uderzył mnie w pierwszej chwili, a zaraz po tym poczułem, że moje serce bije szybciej i krew zaczyna mi wrzeć w żyłach. W ciągu kilku sekund poczułem się silny i skoncentrowany. Choć z pewnością nie dorównałbym Sedge'owi i Beltranowi. Cokolwiek krążyło w ich żyłach, było znacznie silniejsze niż twarde cukierki, co oznaczało, że skutki uboczne były również bardziej widoczne. Oni też o tym wiedzieli. Dlatego odgryźli sobie języki.

Ktoś znowu mnie zawołał, ale ja byłem już na schodach, karcąc moje nogi, że nie potrafią poruszać się szybciej, starając się jednocześnie przypomnieć sobie, gdzie znajdują się sale obrad na pierwszym piętrze pałacu. Brasti i Kest ruszyli tuż za mną.

– Powiedzcie medycze, żeby biegła za nami! – krzyknąłem przez ramię, nie zwalniając tempa.

– Dlaczego? – spytał Brasti. – Kto...?

– Ci mężczyźni nie czuli bólu. Nie obchodziło ich przesłuchanie. Chcieli tylko przed śmiercią wyrządzić jak najwięcej szkód.

W głowie miałem wyłącznie wspomnienie zabójcy z sali tronowej: usta miał pełne krwi, ręką trzymał Valianę za kark, przyciskając swoje usta do jej warg. „Toksyna zbiera się w języku”, powiedziała Pasquine.

UWOLNIENIE

Sala narad, skromnych rozmiarów pomieszczenie wydzielone z wielkiej sali tronowej, stanowiła dyskretne i wygodne miejsce do ważnych negocjacji. Wystrój był elegancki, ale nie ostentacyjny, co dawało poczucie spokoju i bezpieczeństwa. A przynajmniej tak by było, gdybyśmy wraz z Kestem i Brastim nie otworzyli właśnie drzwi kopnięciem.

– Falcio, jesteś pewien swojej teorii? – szepnął Brasti.

– Co to ma do diabła znaczyć? – ryknął Hadiermo, ksiązę Domaris zwany Żelaznym, mężczyzna o znacznej masie, który nie rozstawał się z dwójką przybocznych noszących za nim jego masywny dwuręczny miecz na wypadek, gdyby nagle musiał pokazać wszystkim, jak groźnym jest człowiekiem.

O ile mi wiadomo, jego największym wyczynem było stawianie oporu Trin przez całe dwa tygodnie, po których złożył broń. Wygląda na to, że i żelazo bywa czasami dość giętkie.

Obok niego stanął Erris, ksiązę Pulnam. Był prawie tak stary jak jego księstwo i niezwykle religijny, jak przystało na osobę, która uznała, że czas przypodobać się bogom, skoro wkrótce ich spotka; Erris z kolei zasłużył się tym, że czekał dwa tygodnie dłużej od Hadiermo, zanim zdradził Aline.

– Zdrada! Rozbój! Bandyci! – zawołał, zanosząc się kaszlem między każdym z okrzyków.

Za wielkim owalnym stołem siedzieli także ksiązę Jillard wyglądający na lekko rozbawionego naszym wejściem, Pastien, który miał minę, jakby wiedział, że powinien coś powiedzieć, ale nie był pewien, co dokładnie, i Valiana.

– Falcio? – spytała ostrożnie.

Oprócz członków rady w tyle sali siedziało kilkunastu gwardzistów i dworzan. Z mieszkanką irytacji i ciekawości dostrzegłem wśród nich dwóch Inkwizytorów i kapłana.

Wydawało się, że wszystko jest w porządku. „Valiana wygląda dobrze”, pomyślałem. Jednak nie miałem zamiaru ryzykować.

– Muszę cię stąd zabrać – powiedziałem, wyciągając do niej rękę.

– Jak śmiesz zakłócać nasze obrady? – zapytał Hadiermo.

– Wybacz mi, Wasza Łaskawość – odparłem, nie starając się nawet brzmieć przekonująco.

Valiana patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę i zaczynałem już podejrzewać, że zaraz rozkaże mi odejść, a przynajmniej poprosi mnie o wyjaśnienie, dlaczego właśnie przerwałem spotkanie Rady Książęcej. Kiedy jednak nie stała się żadna z tych rzeczy, przyjrzałem się jej baczniej i dostrzegłem oznaki napięcia: zmarszczki w kącikach jej oczu, jakby próbowała zignorować ból głowy, bladość policzków, delikatnie zroszone potem czoło.

– Och... – powiedziała, jakby w jednej chwili wpadła na to, czego zrozumienie zajęło mi tyle czasu. Podniosła się powoli, opierając się o stół. Teraz dostrzegłem, że cała dygocze. – To dlatego czułam się tak...

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem, trzymając dłoń wciąż wyciągniętą w jej stronę. – Lekarz zaraz tu będzie.

– To przez krew z jego języka, prawda? – Valiana zadrżała.

Początkowo wziąłem to za odrazę na wspomnienie tej chwili, ale po chwili zrobiła to raz jeszcze.

– Dość tego. – Książę Erris z trudem podniósł się na nogi. – Nie dość, że muszę marnować czas z młodką, która bawi się w bycie Obrońcą Królestwa, to jeszcze...

– Początkowo nie czułam nawet, że coś jest nie w porządku – zwróciła się do mnie Valiana, jakbyśmy byli jedynymi osobami w pomieszczeniu.

Dotknęła dłonią twarzy i delikatnie przesunęła paznokciami po policzku. –

Wtedy zaczęłam słyszeć szepty. – Jej oczy wypełniły się łzami, co powiedziało mi wszystko o wewnętrznej walce, jaką musiała stoczyć, o jej przerażeniu i frustracji, które w końcu zmieniły się w rezygnację. –

Próbowałam z tym walczyć, Falcio. Z całych sił. – Znów przeciągnęła palcami po policzku, tym razem zginając palce i przyciskając je mocno do skóry, żłobiąc paznokciami krwawe ślady.

– Nie! – krzyknąłem, doskakując do niej, całkowicie ignorując miecze gwardzistów i pistolety Inkwizytorów, wszystkie wycelowane prosto w moją pierś. Widziałem, że Valiana jest na granicy załamania.

– Trzymaj się, skarbie. Walcz z tym.

Nienawidziła, jak mówiłem do niej „skarbie”, ale chciałem dać jej coś znajomego; obietnicę, że wspólnie wszystko naprawimy.

W odpowiedzi obdarzyła mnie słabym uśmiechem, ostatnim przejawem heroicznego wysiłku, zanim zupełnie się poddała.

– Cieszę się, że tu jesteś – oznajmiła, a potem Valiana val Mond, Obrończyni Królestwa Tristii i najodważniejsza osoba, jaką kiedykolwiek znałem, całkowicie dała się pochłonąć szaleństwu.

SZALEŃSTWO

Czasem późną nocą, kiedy nie mogę spać, mam nieodparte wrażenie, że moi wrogowie zaraz po mnie przyjdą, a dłonie bezwolnie zaczynają szukać rapierów. W takich chwilach zastanawiam się, jak musiałem wyglądać podczas Lamentu. Jakie szaleństwo i rozpacz rysowały mi się na twarzy podczas tortur Niesplamionych, kiedy krok po kroku prowadzono mnie ku dziewiątej śmierci? Czy rozpoznałbym wtedy siebie samego?

Stałem tam, patrząc, jak Valiana wije się i krzyczy niekontrolowanie, próbując rozdrapać sobie ciało do kości w tej eleganckiej komnacie, otoczona pięknie ubranymi książętami, ich dworzanami i gwardzistami, i wtedy właśnie pomyślałem, że wiem, jak musiałem wyglądać pod koniec Lamentu. Jakakolwiek trucizna była na języku Igły, ciągnęła właśnie wrzeszczącą Valianę w stronę jej osobistej wersji dziewiątej śmierci.

– Do cholery, niech mi ktoś pomoże! – krzyknąłem, starając się przytrzymać Valianę za nadgarstki. Odciągnąłem jej rękę od twarzy. Pod paznokciami wciąż jeszcze miała fragmenty zdartego ciała, ale wyrwała mi się z wiedzioną szaleństwem siłą i znów próbowała rozdrapać sobie twarz.

– Nie próbuj trzymać jej za dłonie – ostrzegł Kest, oplatając jej rękę swoim ramieniem i odciągając ją przy wykorzystaniu ciężaru całego ciała jako dźwigni do jej unieruchomienia.

Poszedłem za jego przykładem i przez chwilę wydawało się, że panujemy nad sytuacją – po chwili jednak Valiana zaczęła krzyczeć głosem tak rozdzierającym, że byłem pewien, iż zaraz popękają mi bębni.

Oczy miała szeroko otwarte, a spojrzenie błędne. Wiedziałem, że nie ma pojęcia, gdzie ani kim jest. Wciąż się szamotała, niemal wytrącając mnie

z równowagi, a kiedy jej się to nie udało, zaczęła kopać, trafiając mnie najpierw w goleń, a potem w kolano. Potknąłem się, boleśnie świadomy moich obrażeń nawet po zażyciu twardego cukierka, i próbowałem własną nogą powstrzymać kolejne kopnięcia. Brasti próbował złapać ją za kostki, za co został nagrodzony ciosem obcasem prosto w twarz.

– Na litość boską, nie stójcie tak! – krzyknąłem, ale nikt się nie poruszył, ani książęta, ani ich ochroniarze, ani nawet gwardziści.

– Przyjrzyjcie się dobrze – powiedział książę Erris, a jego świszczący, starczy głos zdradzał, że nie posiada się z radości. – Tak się właśnie dzieje, kiedy dopuszcza się kobietę do władzy. Jej umysł nie był w stanie unieść tego ciężaru. Popatrzcie też na tych słabych trattari, ledwo są w stanie ją utrzymać!

„Odezwij się jeszcze raz, a przysięgam, że zginiesz”, pomyślałem, nie przestając walczyć z wyrywającą się Valianą.

– Co jej dolega? – zapytał Pastien. Wstał ze swojego krzesła, ale nie przyszedł nam z pomocą.

– Została otruta – odpowiedział mu Brasti, próbując ponownie przytrzymać jej kostki. – A teraz proszę, żebyś dowiedział się, dlaczego do cholery nie ma tu jeszcze lekarza!

W tym momencie dotarł do mnie odgłos lekkich kroków z korytarza, po czym do sali wbiegła Aline z depczącym jej po piętach Tommerem.

– Nie wchodź! – krzyknąłem, ale było za późno.

Aline wpatrywała się z przerażeniem w to, co pozostało z kobiety, która tyle razy ratowała jej życie. Na twarzy dziewczyny widziałem więcej strachu niż wtedy, kiedy niebezpieczeństwo groziło jej samej.

– Och, nie... – szepnęła, po czym odwróciła się i wybiegła.

„To nie jej wina”, powiedziałem sobie stanowczo, starając się zignorować głębokie rozczarowanie, które dotkliwie kłuło mnie w serce. „Oczywiście, że uciekła, widziała już zbyt wiele ukochanych jej osób bliskich śmierci”.

– Tommerze, idź za nią – powiedział książę Jillard, wstając z miejsca.
– Co dolega mojej siostrze? – spytał młodzieniec.
– Jak widać, postradała zmysły – odezwał się książę Hadiermo, podchodząc do stołu, by spojrzeć na Valianę. – W związku z czym wzywam radę do głosowania o usunięciu jej ze stanowiska Obrońcy Królestwa.
– Nie radzę, głupcze – ostrzegłem go, ledwie utrzymując ramię Valiany.
– Być może to nie jest najlepszy moment, Hadiermo – zasugerował lakonicznie Jillard.

Zacząłem się zastanawiać, co tak naprawdę planuje. A książę Rijou zawsze miał plan.

Żelazny Książę Domaris wyciągnął grubą, mięsistą dłoń i chciał zacisnąć ją na szczęce Valiany, ale po chwili cofnął ją całą zakrwawioną z wygryzionym kawałkiem i wyraźnymi śladami zębów.

– Zabierzcie stąd tę wariatkę! – Hadiermo wskazał na swoich przybocznych. – Noc w celi ją uspokoi.

– Szaleństwo całkowicie odebrało jej kontrolę, ty tłusty dupku – powiedział Brasti.

Chwilę później wierzgająca Valiana uderzyła go w bok głowy i upadł na podłogę. Kolejne kopnięcie trafiło Hadierma w biodro. Kobieta na ustach miała pianę i toczyła błędnym wzrokiem dookoła.

– Mój miecz! – Książę Hadiermo zawołał do przybocznych, na co ci dźwignęli masywny oręż i ruszyli w jego stronę. – Oszczędzę nam wszystkich kłopotu...

Urwał, gdy zauważył sztych krótkiego, cienkiego miecza na swoim policzku. W pokoju wszyscy zamilkli, słysząc tylko oszalały krzyk Valiany, a oczy zebranych skierowały się na drobną dłoń trzymającą klingę. Nie drgnęła mu ani o włos.

– Kto dotknie mojej siostry, spotka się ze mną w kręgu pojedynkowym – powiedział zdecydowanym głosem Tommer z Rijou, dwie stopy niższy i sto funtów lżejszy od Żelaznego Księcia.

Od dawna było dla mnie zagadką, w jaki sposób księżę Tristii potrafią utrzymać ciągłość swoich rodów, skoro tak rzadko wykazują zainteresowanie czymkolwiek poza władzą i jej atrybutami. Pod tym względem książę Jillard był inny: żywił silne uczucia wobec swojego syna.

– Cofnij się, Hadiermo – powiedział teraz. Nie podniósł głosu, ale groźba była wyraźnie słyszalna.

Żelazny Książę nie zawracał sobie głowy ukrywaniem pogardy.

– Co się stało z tym krajem? Pozwalasz swojemu chłopakowi grozić lepszym od siebie?

– Nie widzę tu nikogo takiego – odpowiedział Jillard. – Grozi tobie. Odsuń się od Obrończyni Królestwa i bądź bardzo, bardzo ostrożny, żeby przypadkiem nie dotknąć mojego syna, kiedy będziesz to robił.

Kiedy tak stałem, próbując rozpaczliwie przytrzymać Valianę, która zdawała się nie tracić ani krzty ze swojej siły, poczułem, że dzieje się coś bez precedensu. Zorientowałem się, że zaczynam czuć odrobinę szacunku dla Jillarda.

– Niech was wszystkich piekło pochłonie – wycedził wreszcie Hadiermo.

Skinął na swoją świętę i odwrócił się, by wyjść z sali, omal nie zderzając się z medyczką, która wpadła do pomieszczenia, w rękach kurczowo ściskając skrzynkę z medykamentami. Odsunął na bok drobną kobietę, nie przejmując się tym, że prawie przewrócił ją na podłogę, po czym odwrócił się i krzyknął:

– Trzeba było wezwać weterynarza, lepiej by sobie poradził z tym wściekłym stworzeniem!

Pasquine z niewzruszonym spokojem postawiła skrzynkę na stole i otworzyła ją.

– Przytrzymajcie ją w bezruchu, jeśli wam się uda. – Wyjęła małe, błyszczące narzędzie, po czym otworzyła jedną z fiolek i ostrożnie przelała do niego jej zawartość.

– Co to u diabła jest? – spytał Brasti. – I dlaczego zeszło ci tak długo?

Medyczka ostrożnie uniosła coś, co wyglądało jak bardzo wąski nóż długości trzech cali. Zawartość fiolki była widoczna w rowku biegnącym wzdłuż przedmiotu.

– Musiałam pójść po ostrze iniekcyjne – odpowiedziała. – To jedyny sposób, żeby wprowadzić jej płyn do żył.

– Chcesz ją tym dźgnąć? – spytałem, wracając myślami do Niesplamionych i ich długich, cienkich igieł. „To nie jest czas na wspomnienia”, powiedziałem sobie. „Skup się”.

– Musimy ją uspokoić, a to jest najszybszy sposób – odpowiedziała. – Teraz trzymajcie ją nieruchomo, bo inaczej rozpruję jej całą żyłę.

Zrobiliśmy co w naszej mocy, podczas gdy reszta pokoju patrzyła. „Lubicie obserwować, jak inni cierpią, czyż nie, Wasze Łaskawości?”, pomyślałem gorzko.

Medyczka ścisnęła mocniej ostrze niczym żołnierz gotujący się do konfrontacji twarzą w twarz z przeciwnikiem i jednym, precyzyjnym pchnięciem wbiła je w ramię Valiany.

– Kiedy zacznie działać? – zapytał Kest, z coraz większym wysiłkiem trzymający Valianę.

Pasquine nie odpowiedziała. Patrzyła na swoją pacjentkę z rosnącym niepokojem.

– Coś jest nie tak. Dawka, jaką jej zaaplikowałam, uspiłaby małego konia. Powinna już być nieprzytomna.

– Daj jej więcej – powiedział Kest, z rosnącym napięciem słyszalnym w głosie.

Pasquine pokręciła głową.

– Nie mogę. Zbyt duża ilość może ją zabić.

– Umrze, jeśli się nie uspokoi – odparł Kest, po czym przeniósł wzrok na mnie. – Falcio, ona nie słabnie.

Na początku nie zrozumiałem.

– Co z tego? Trzymaj ją mocniej. Jeśli jesteś zmęczony...

– Nie w tym rzecz, spójrz na nią. Valiana jest połowę drobniejsza od nas, a ledwie starcza mi sił, by utrzymać ją w miejscu. Jej mięśnie i stawy nie są w stanie wytrzymać takiego wysiłku, zaraz powyrywa sobie ramiona z panewek.

– Możesz coś zrobić? – Spojrzałem na medyczkę błagalnym wzrokiem.

Bez słowa uzupełniła płynem rowek w maleńkim ostrzu i wbiła je w to samo miejsce co poprzednio. Tym razem poczułem zmianę w zachowaniu Valiany, ale nie miało to wpływu na szał, który ją ogarnął.

– Środek uspokajający na nią nie działa – powiedziała Pasquine. – Wygląda na to, że to coś więcej niż trucizna, coś...

– Duchowego – wtrąciła Ethalia od strony drzwi. Jej twarz przepęniał ból, jakby stała zbyt blisko ognia. Wspierając się na ramieniu stojącej przy niej Aline, patrzyła na Valianę. – Miałaś rację, sprowadzając mnie tu, moja Pani – powiedziała. – Mamy do czynienia z wrogiem, któremu wspólnie musimy stawić czoła.

Ethalia stanęła za Valianą, po czym wyciągnęła ręce i położyła jej na policzkach – tylko po to, by odskoczyć do tyłu ze szlochem.

Tommer rzucił się, żeby pomóc jej się pozbierać.

– Nic ci nie jest, Pani?

– Dajcie mi chwilę – powiedziała Ethalia, z trudem łapiąc powietrze, tak jakby przed chwilą ktoś uderzył ją w brzuch.

Patrzyłem bezradnie, jak staje na równe nogi, robi krok do przodu i ponownie kładzie dłonie na twarzy Valiany.

Z początku Valiana szarpnęła się jeszcze mocniej i przestraszyłem się, że Kest może mieć rację i rzeczywiście zaraz powyrywa sobie ramiona ze stawów. Po kilku chwilach jednak poczułem, że nacisk na mój chwyt zmniejsza się, a skurcze słabną.

– To działa – powiedział Brasti, który ramiona kurczowo oplótł wokół

nóg Valiany. – Cokolwiek robisz, nie przestawaj.

– Nie wiem, co robię – powiedziała Ethalia, oddychając nierówno. – Mogę tylko... próbować...

Nagle Valianą znów wstrząsnęły konwulsje, nie tak mocne jak poprzednio, ale na tyle silne, że omal nie wyrwała mi się z uścisku. Z brody Ethalii kapwały krople potu.

– To jakby próbować złapać wodę. Ciągłe mi się wymyka. Tracę ją!

– Falcio – powiedział Brasti, którego twarz posiniaczyły kopnięcia Valiany. – Spójrz na Ethalię. Nie wytrzyma dłużej.

– Ktoś musi mnie zastąpić – dodał Kest. – Jedną ręką nie jestem w stanie utrzymać Valiany, zaraz mi się wyrwie.

– Ty. – Jillard wskazał na jednego ze swoich strażników – Rób, co ci każe.

Strażnik zawahał się jedynie na moment; w Rijou posłuszeństwo wobec księcia jest podstawą długiego życia. Kest odsunął się, pozwalając mu chwycić rękę Valiany.

– Ostrożnie – ostrzegł. – Jest silniejsza, niż się wydaje.

Na twarzy strażnika pojawił się pełen irytacji grymas.

– Chyba wiem, jak sobie poradzić z...

Upadł z hukiem, a z nosa połała mu się krew po zamaszystym sierpowym wymierzonym na oślepie przez Valianę.

– Święty Forzo, co do cholery...

– Niech cię diabli, trzymaj mocniej! – krzyknąłem.

Gwardzista doskoczył ponownie i tym razem udało mu się ją utrzymać. Próbowwała go ugryźć, kłapiąc zębami jak dziki pies. Jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli ją zakneblować, albo ryzykować, że rozerwie kogoś na strzępy. Zmusiłem się, żeby na nią spojrzeć, nienawidząc siebie za chęć zakrycia jej wykrzywionej szaleństwem twarzy.

„Bogowie, pomóżcie mi”, pomyślałem, gdy okropne, małe ziarno, które rosło w moim umyśle, rozkwitło w najczarniejszy kwiat.

Odwrociłem się do Kesta, krztusząc się z obrzydzenia, jeszcze zanim zdążyłem otworzyć usta. Sama myśl o tym, co zamierzałem powiedzieć, wypełniała moje gardło żółcią.

– Kest, przynieś...

– Nie wytrzymam dłużej! – krzyknęła Ethalia. – Córeczko, przepraszam, nie potrafię ci pomóc!

– Co mam zrobić? – spytał Kest.

Valiana otworzyła usta raz jeszcze, tym razem dobył się z nich tylko chrapliwy syk. Jej gardło przestało znosić wysiłek, jakiemu je poddawała. Ethalia zalała się łzami, poddając walkę o uratowanie Valiany. Reszta zebranych patrzyła na mnie.

„Zmusisz ją, żeby to założyła” – wiadomość w pudełku.

– Przynieś żelazną maskę – powiedziałem.

Gdy trzymałem w rękach ten obrzydliwy przedmiot, zimne żelazo mroziło krew w moich żyłach, a szorstkie krawędzie wbijały mi się w dłonie, co wyraźnie kontrastowało z precyzyjnie wykonanymi mosiężnymi mechanizmami na bokach, znamionującymi finezję, precyzję i konkretny zamiar. Maską była narzędziem stworzonym do zadawania cierpienia i odbierania nadziei.

„Bogowie, niech was piekło pochłonie. Nie zmuszajcie mnie do tego”.

– Odsuńcie ją od stołu – powiedziałem głosem zimnym i twardym niczym metalowa maska.

Brasti i gwardziści Jillarda wyciągnęli ją na środek sali, chociaż mocno się opierała, a stawy w jej ramionach protestowały tak usilnie, że obawiałem się ich rychłego zerwania.

„Pomyśl o innym sposobie, do cholery! Musi istnieć jakiś inny...”

– Przytrzymaj jej głowę – powiedziałem do Pastiena, ale on wciąż stał w miejscu.

– Do diabła, Kest nie zrobi tego, mając tylko jedną dłoń! Stań za nią i rób, co mówię!

Wciąż nawet nie drgnął. Jego usta zamarły z przerażenia na myśl o tym, o co go prosiłem. Słowa Pastiena sprzed wielu godzin – „Panie, czy pozwolisz mi zalecać się do Valiany?” – pusto dzwoniły mi w uszach.

– Z drogi, chłopcze – powiedział Jillard, odsuwając go na bok. Zaciśnął zęby i wyciągnął przed siebie ręce, po czym unieruchomił głowę Valiany.

Już miałem się zwrócić do Kesta, ale oczywiście nie musiałem mówić ani słowa; znał kolejny krok. Chwycił tył maski i stanął obok Jillarda.

Usta Valiany były szeroko otwarte, jednak nie dobywał się z nich żaden dźwięk, gardło poddało się już kilka chwil wcześniej. Uniosłem maskę nad jej twarzą, zasłaniając oczy i usta. Nie będzie mogła widzieć, kiedy już ją założę, nie powie ani słowa...

„Musi istnieć jakieś lekarstwo”, krzychałem w myślach. „Uzdrowicielka może się mylić! Może...”

– Teraz – powiedziałem.

Jednocześnie zamknęliśmy maskę na twarzy Valiany. W pokoju rozległ się obrzydliwy zgrzyt, kiedy dwie części dopasowały się do siebie. Po chwili doszedł mnie jeszcze jeden przytłumiony odgłos: Valiana próbowała gryźć metalowy lejek, który nie pozwalał jej zamknąć ust.

„Odebrałem jej mowę”.

Zatrzasnąłem klamry, jedna po drugiej.

Jak przewidywał Kest, zaskoczyły wraz z dźwiękiem zasuwającego się rygla, zamykając w środku Valianę. Nagle przestała się rzucać i bezwładnie padła mi w ramiona, a żelazna maska uderzyła mnie w usta.

Poczułem, że krwawię.

Nie dbałem o to.

Kest przyłożył dwa palce do jej szyi.

– Serce bije prawie normalnie. – Zmrużył oczy. – Ale w jaki sposób maska przeciwdziała truciznie? Musi mieć w sobie element mistyczny.

– Zrobiłeś to – powiedział Pastien, podchodząc do nas. – Atak minął. Jest spokojna.

– Zrobiłem – powtórzyłem za nim, ale znaczyło to dla mnie coś zupełnie innego. Właśnie zamknąłem w żelaznym więzieniu osobę tak mi bliską, że mogłaby być moją córką, osobę, która przybrała moje nazwisko.

Teraz byłem katem.

Jej oprawcą.

Ktoś położył mi dłoń na ramieniu i od razu wiedziałem, że to Ethalia.

– Falcio, nie miałeś innego wyjścia – powiedziała łagodnie.

Zanim jeszcze została Świętą, Ethalia zawsze dokładnie wiedziała, co czuję, wiedziała też, jakie słowa przyniosą mi pocieszenie. Najwyraźniej straciła tę zdolność.

Potoczyłem spojrzeniem po Pastienie, księciu Errisie, jego dworzanach i gwardzistach zebranych w sali.

– Wynoście się – rozkazałem im.

– Drogi chłopcze, nie masz prawa odnosić się w ten sposób – burknął książę Pulnam, najwyraźniej wciąż zdeterminowany, by udowodnić, że nie boi się nikogo, prócz bogów.

Jillard wszedł mu w słowo.

– Errisie, najlepiej będzie, jeśli posłuchamy Pierwszego Kantora. – Objął go ramieniem i wyprowadził starego księcia z sali. Zatrzymał się w pół drogi i zerknął najpierw na znieruchomiałą Valianę w moich ramionach, a potem na mnie. W jego oczach zobaczyłem krótki błysk czegoś pokrewnego współczuciu: był to wzrok człowieka, który wiedział, jak to jest bać się o własne dziecko. Po chwili książę Rijou lekko potrząsnął głową, co wraz ze słowami, które następnie wypowiedział, dało mi do zrozumienia, że nasz krótki sojusz dobiegł końca.

– Poza tym drogi książę Pulnam, są sprawy wielkiej wagi, które musimy niezwłocznie omówić – dodał.

Z Valianą uwięzioną w żelaznej masce polityka Tristii wykonywała kolejny zwrot.

ZASŁONY

– Twój problem, kochany mężu, polega na tym, że wyciągasz rapier, zanim jeszcze dowiesz się, z kim masz walczyć.

Delikatny głos przywrócił mi przytomność. Podniosłem głowę z ramienia Valiany i zobaczyłem, że uwiesiłem się na niej niczym marynarz, który wierzy, że siłą własnych mięśni uda mu się powstrzymać maszt przed wyrwaniem przez burzę. Ktoś umieścił nas na małej, fioletowo-srebrnej sofie ustawionej przy tylnej ścianie sali narad. Czułem się ociężały, jakby czas się dla mnie zatrzymał – byłem jak liść unoszony przez wiatr, niemogący wznieść się ani upaść, podczas gdy świat obracał się dalej w swoim tempie.

Brasti szedł środkiem pokoju, gestykulując zapalczywie, spierając się z Kestem o nasz następny ruch. Tommer stał zaś spokojnie z mieczem w dłoni przy zamkniętych drzwiach do komnaty, gotów rzucić wyzwanie każdemu, kto spróbowałby wejść. Aline obserwowała go, siedząc przy stole. Ethalia oparła się o ścianę w ciemnym kącie pokoju, odwrócona od nas. Wyglądała na drobniejszą przez ogromny wysiłek, którego się podjęła – i zawiodła – by ocalić Valianę.

„Sam zapewne nie wyglądam znacznie lepiej”, pomyślałem. Ręce miałem jak odlane z ołowiu, nogi zdrętwiały od zbyt długiego siedzenia. „Jak długo trwałem w bezruchu?” Musiałem otrząsnąć się z letargu i pomóc innym podjąć decyzję o kolejnym kroku – to wymagałoby jednak zostawienia Valiany. Nie byłem w stanie tego zrobić, jeszcze nie teraz.

– Nigdy nie wychodziło ci to najlepiej, prawda? – Znajomy głos, nieco surowy i odrobinę dokuczliwy, przyciągnął mój wzrok ku wysokim,

zasłoniętym oknom wychodzącym na pałacowy dziedziniec. Ujrzałem tam swoją żonę stojącą przy długich kotarach. Za strój służyły jej ich aksamitne, purpurowe fałdy, a włosy miała modnie związane ich srebrnymi sznurami.

– Gdybyś tylko pisał mi wiersze, kiedy jeszcze żyłam – powiedziała Aline, spoglądając na swoje szaty. – Ale mówiąc szczerze, mężu, czy pamiętasz choć jeden raz, kiedy byłam ubrana w coś tak komicznie niewygodnego. – Dotknęła swoich blond loków. – A jaka rozsądna kobieta ułożyłaby włosy w tak niepraktyczny sposób?

– Falcio zawsze był poetą, niemądra kobieto – odpowiedział jej król Paelis.

Odwrociłem głowę i ujrzałem go opartego o stół rady, odzianego w pancerz jaśniejący od światła odbijającego się od wypolerowanej powierzchni dębowego blatu. – Jego ostrze pisało eposy odwagi na pergaminie tego niespokojnego ludu.

Aline zmrużyła oczy.

– Naprawdę, Falcio? Jakże to czołobitne opisywanie tego wychudzonego wraku człowieka ma wam pomóc zdemaskować wroga? Jak zdołasz rozerwać żelazne kajdany wiążące przyszłość, jeśli będziesz robił z przeszłości taką kolorową bajkę?

Uderzył mnie dziwny i dość niesprawiedliwy fakt, że moje halucynacje potrafią wysławiać się o wiele celniej niż ja.

– Marzenie nie musi być prawdziwe, żeby warto było o nie walczyć, prawda? – „Nieźle”, pomyślałem, „do standardów bardatti jeszcze trochę mi brakuje, ale wciąż niczego sobie odpowiedź”.

Aline wyrzuciła rękę do góry w bezsilnym geście, poruszając zasłony.

– Niech tak będzie. Hołubcie swoje złudzenia. – Podeszła do mnie, a gruby materiał zasłon podążył za nią. – Jednak nie możesz spuszczać z oczu swoich przeciwników. Kiedy ty walczysz z cieniami, oni kształtują świat według swego przewrotnego planu.

– Imię, kobieto! – ryknął król Paelis, ubierając w słowa pierwsze

pytanie, które i mnie cisnęło się na usta, choć brzmiał przy tym jak rozdygotany młodzieniec. – Zdradź nam imię naszego wroga! Czy to Quentis? Jillard? Któryś z pozostałych książąt?

– Być może nie potrzebuje maski – odparła Aline. Usiadła obok mnie na oparciu sofy, spód kotary pasował do fioletu i srebra obicia. Spojrzała na Valianę. – Nakłada maski innym, a tym samym ukrywa swoją twarz. W tym tkwi jego geniusz, Falcio. W tej grze nie jesteś w stanie go pokonać.

– Ach, tu ma rację, Pierwszy Kantorze – powiedział król Paelis. Oparł się o stół, a dłonie skrzyżował na piersi. Zabarwione odbiciem drewna elementy jego zbroi wtopiły się w blat stołu i powoli zatonał w nim, jakby twarda powierzchnia była taflą płytkiej wody. – By zranić przeciwnika, musisz najpierw przebić warstwę jego oszustw.

Wiedziałem, że to urojenia, wizje będące skutkiem mojego wyczerpania i ran – a jednak i tak krzyknąłem do nich błagalnie, jeszcze mocniej przyciskając do siebie Valianę.

– Powiedzcie mi jak! Jak mam znaleźć przeciwnika, jeśli nie potrafię nawet ochronić tych, którzy są mi najbliżsi?

– Głuptasie – odpowiedziała Aline. Wstała i położyła dwa palce na ustach, a następnie delikatnie przycisnęła je do ust wyrzeźbionych w masce Valiany. – On właśnie dlatego ich atakuje.

Wiatr poruszył zasłonami, oślepiając mnie srebrnym światłem, a kiedy odzyskałem wzrok, Aline zniknęła.

– Atakują? Kto? Gdzie?

Z trudem podniosłem głowę i zobaczyłem, że Brasti patrzy na mnie z uśmiechem. Mokra strużka w kącie ust dała mi do zrozumienia, że śliniłem się przez sen. Chciałem zetrzeć ją ukradkiem, wtem zorientowałem się, że ręką mocno ściskam dłoń Valiany. „Jest przytomna”, olśniło mnie, i dopiero wtedy zauważyłem, jak drugą ręką wodzi po szorstkiej powierzchni maski. Jej palce drżały, gdy ostrożnie i metodycznie szukała sposobu na ucieczkę z zamknięcia.

– Wygląda na to, że znów jest sobą – powiedział łagodnie Kest.

Ulga, jaką odczułem, została przyćmiona przerażającą metodą jej uzdrowienia. Maską przywróciła jej zmysły, ale trzymała ją w niewoli, odciętą od nas i reszty świata.

Ethalia uklękła i ostrożnie ujęła wolną rękę Valiany we własne dłonie. Nie było rozbłysku światła ani migoczącego ognia – mogłem jedynie zgadywać, jak objawia się błogosławieństwo Świętej – ale po chwili napięcie w ramionach Valiany złagodniało. Na czole Ethalii pojawiły się zmarszczki bólu i znużenia.

– Nie możesz jej pomagać, jeśli sama jesteś wyczerpana – powiedziałem.

– Jaki inny mam pożytek z mojej żalostnej mocy? – odpowiedziała z gniewem i frustracją, jakich nigdy wcześniej nie słyszałem w jej głosie.

„To ją wyniszcza”, pomyślałem. Chciałem wyciągnąć rękę i ją pocieszyć, jednak pewnie tylko pogorszyłbym jej stan. Nigdy nie chciała zostać Świętą Miłosierdzia, ale skoro już się to stało, wypełniała powierzoną jej rolę z pełnym oddaniem. Zastanawiałem się, czy był to niemożliwy do powstrzymania duchowy imperatyw, czy też niesłuszne poczucie winy za śmierć Birgid.

Podniosła się. Dostrzegła moje spojrzenie i lekko potrząsnęła głową, wyraźnie dając mi do zrozumienia, że bym swoją troskę skupił na kimś innym.

– Porozmawiaj z nią, Falcio. Twój głos jej pomoże.

Maska nie miała otworów na uszy i oczy; szarą powierzchnię przerywały jedynie trzy cienkie szczeliny, każda długa na około cal; całość tworzyła coś na kształt smutnego uśmiechu.

– Ściśnij moją dłoń – powiedziałem. Trzymałem usta blisko otworów, mając nadzieję, że mój głos do niej dotrze. Niemal natychmiast poczułem rozpaczliwie mocny uścisk jej dłoni. Zignorowałem ból i trzymałem dalej.

– Czy nie moglibyśmy wyciąć więcej dziur w masce? – spytał Tommer.
Kest pokręcił głową.

– Nie bez ryzyka zranienia jej, a jeśli zniszczymy samą maskę, może przestać hamować napady szaleństwa. Nie wiemy, jak działa.

Ethalia wyciągnęła rękę w stronę maski i jej palce zaczęły drgać.

– Kest ma rację. W tej masce jest coś więcej niż żelazo.

„Do diabła, jak ja nienawidzę magii”.

– W porządku, zatem poszukajmy kowala, który zrobił to cholerstwo i powieśmy go za paznokcie u nóg, dopóki nie powie nam, kto mu to zlecił!
– powiedział Brasti.

– Prawdopodobnie w Tristii jest ponad tysiąc kowali – zauważył Kest. – Poszukiwania mogłyby zająć nam lata, a nie możemy wykluczyć, że maski nie zostały wykonane wspólnie, tylko przed wiekami.

Aline wstała z krzesła i przysiadła się po drugiej stronie Valiany.

– Jak długo może ją nosić?

Kest, Brasti i ja spojrzeliśmy po sobie, powróciły paskudne wspomnienia z pierwszych dni w służbie Wielkich Płaszczy, kiedy król wysłał nas do miast i wsi, które od dziesięcioleci nie doświadczyły prawdziwej sprawiedliwości. W najgłębszych celach więzień książęcych znaleźliśmy mężczyzn i kobiety zamknięte w urządzeniach nie tak bardzo różniących się od maski, którą mieliśmy przed oczami. Strażnicy codziennie karmili tych więźniów wodą i rzadką zupą, utrzymując ich przy życiu przez wiele lat. Za każdym razem, gdy byliśmy świadkami skutków takiego procederu, zobowiązaliśmy się nawzajem do obietnicy zadania sobie czystej śmierci, jeśli alternatywą byłoby takie życie.

Jak długo może ją nosić? Zbyt długo.

Zdało mi się nagle, że ręka Valiany jest niezwykle gorąca, kiedy mnie samego przechodził zimny dreszcz na myśl o tym, ile dni, może godzin, upłynie, aż w końcu dziewczyna zacznie prosić, żebym złożył jej tę samą obietnicę. Czy przeżyłaby w ten sposób chociaż tydzień, by po nim błagać mnie o zakończenie jej cierpienia?

Ciszę spowijającą pokój przerwał odległy odgłos, po którym nastąpiło

ciężkie uderzenie tuż za zasłoniętymi oknami. Puściłem dłoń Valiany i podniosłem się. Kest wyciągnął swój oręż, krzywiąc się z bólu. Brasti, wciąż cierpiąc od rany zadanej przez Bożą Iglę podczas potyczki na drodze, uniósł łuk i niezdarnie naciągnął strzałę.

Oczywiście byłem zbyt rozkojarzony i głupi, by szukać rapierów, podszedłem do stołu i chwyciłem najbliższy przedmiot, który mógł posłużyć mi za broń. Okazała się nim mała, mosiężna statuetka Roseta, zmarłego księcia Luth. Jedno ramię miał wyciągnięte przed siebie, jakby był w trakcie wygłaszania ważnej mowy.

„Miejmy nadzieję, że jesteś bardziej elokwentny po śmierci niż za życia, Wasza Łaskawość”. Jedno z okien otworzyło się z trzaskiem, ciężkie zasłony stłumiły głos kogoś, kto zawołał:

– Jeśli jest z wami Brasti, powiedzcie mu, żeby nie strzelał.

– Mateo? – spytał Brasti, luzując nieco cięciwę.

Purpurowy i srebrny aksamit rozchylił się, ukazując Mateo Tillera, wciąż ubranego w jego zniszczony i zakurzony w podróży płaszcz. Pochwę zakrzywionej szabli miał przywiązaną do pleców. Zeskoczył z parapetu na podłogę.

– Proszę, proszę – powiedział, wstając i odgarniając spocone włosy z czoła. – Toż to Ostrze, Strzała i... – Zawahał się, spoglądając na mnie. –

Czy mam cię teraz nazywać Brzydką Małą Figurką Króla, Falcio? Aczkolwiek przyznam szczerze, że dawne miano brzmiało lepiej.

Postawiłem statuetkę z powrotem na stole.

– Odpowiem pytaniem na pytanie: co ty, u diabła, robisz, wspinając się w biały dzień po ścianie Pałacu Książęcego w Luth?

– I jak ci się to udało z rannym ramieniem? – dodał Kest.

– Nie było bezboleśnie, a wszystko to dzięki najbardziej irytującemu łucznikowi świata. – Mateo powoli zdjął płaszcz, stękając przy tym raz po raz. – A odpowiadając na twoje pytanie, Pierwszy Kantorze, nie wspinałem się, a schodziłem w dół.

– Wyglądasz okropnie – powiedział Brasti.

– Doprawdy? A widzieliście się ostatnio w lustrze? – uśmiechnął się w odpowiedzi. – Rozkładające się trupy wyglądają lepiej... – Zamarł, gdy jego wzrok spoczął na Valianie. – Święty Unasie Co Rozpala Łzy – zaklął, po czym zwrócił się do mnie. – Gdzie ten sukinsyn, który jej to zrobił, i dlaczego jeszcze go nie zabiłeś?

– Straciła zmysły pod wpływem trucizny. To był jedyny... – Kest próbował interweniować.

– Ten sukinsyn to ja – przerwałem mu. – Sam nałożyłem jej maskę.

Nie jestem pewien, co Mateo zobaczył na mojej twarzy, ale po kilku sekundach westchnął ciężko.

– Przepraszam. Założyłem, że...

Ethalia podeszła do stołu i wzięła dzbanek z wodą.

– Rana na ramieniu krwawi ci przez opatrunek. – Wyciągnęła przed siebie krzesło i gestem kazała mu usiąść.

– Mogę się tylko cieszyć, że strzała słynnego Brastiego Goodbowa ominęła moje serce o dobre pół mili.

– To nie były typowe strzały – odparł z naciskiem Brasti. – Użyłem pierwszej, jaka wpadła mi w rękę. Testowałem zasięg.

– W porządku, po prostu chybiłeś – powiedział Mateo. – Zdarza się, zwłaszcza w podeszłym wieku.

Ethalia zaczęła mu zdejmować koszulę, odsłaniając szczupłą, umięśnioną sylwetkę i zakrwawione bandaże pokrywające jedno ramię.

– Szwy w większości wytrzymały – stwierdziła po krótkich oględzinach.

– Ale twoje akrobacje rozciągnęły je i rana otworzyła się na nowo.

– Powinniśmy rozważyć możliwość, że Mateo celowo otworzył sobie rany – szepnął Brasti do Kesta i do mnie.

– Dlaczego miałyby to robić? – spytał Kest.

Ten w odpowiedzi wskazał na Wielkiego Płaszczka, który uśmiechał się do Ethalii.

– Żeby mógł pochwalić się swoją klątą.

– Piękna i władcza – mówił w tym czasie Mateo. – Z pewnością jesteś moją ulubioną Świętą, Pani.

– Wątpię – odpowiedziała. – Zwłaszcza że jestem Świętą Miłosierdzia, a nie Naiwności.

Mimo uszczypliwości uśmiechnęła się, po czym zajęła jego ranę. Poczułem absurdalne ukłucie zazdrości, że dotykanie go zdawało się nie wywołać u niej bólu, tak jak to było, gdy dotykała mnie.

„Może jest po prostu mniej krwiożerczy od ciebie”.

– Oczyszczałam ranę i poprawiłam szwy – poinformowała nas po kilku minutach. – Potrzebuje świeżego bandaża, żeby nie wdało się zakażenie.

– Niestety, zabrakło mi świeżych już dawno temu – powiedział.

Zarówno Kest, jak i ja byliśmy w podobnej sytuacji, w końcu Brasti rozpiął płaszcz i sięgnął w jego zanadrze.

– Dobra, użyj moich, ale chcę żebyś wiedział, Mateo, że oszczędzałem je dla kogoś o wiele ważniejszego.

Kiedy Ethalia zaczęła bandażować ranę, Aline powiedziała coś do szczelin w masce Valiany, a potem podeszła, by powitać Mateo.

– Nie miałam jeszcze okazji podziękować ci za wczorajszą pomoc w uratowaniu mi życia.

Delikatnie odepchnął dłonie Ethalii i wstał, starając się prezentować na tyle godnie, na ile był w stanie bez koszuli i ubroczony własną krwią. Jednak spojrzenie na Aline z tak bliskiej odległości sprawiło, że się zająknął.

– Ja... Właśnie uświadomiłem sobie, jak bardzo podobna jesteś do króla.

Odpowiedziała mu pełnym zachwytu uśmiechem.

– Chcieliśmy tym razem mieć monarchę wyglądającego chociaż odrobinę mniej głupawo – wtrąciłem. – W tak krótkim czasie udało nam się znaleźć tylko ją.

Początkowo Mateo był przerażony moim komentarzem, ale dostrzegł szczerzącą się w uśmiechu Aline i rzucił w naszą stronę spojrzenie

wypełnione nadzieją i żalem, jakie Aline wywoływała u każdego z Wielkich Płaszcy: była to radość z zobaczenia w niej naszego Króla, tonowana przez gorzkie wspomnienie człowieka, którego straciliśmy.

Mateo próbował się uklonić, przy tym skrzywił się, a z jego ust dobył się jęk bólu.

– Panie, to nie jest konieczne! – powiedziała Aline. – Nie musisz...

– Wielki Płaszcz nie kłania się nikomu. – Od strony drzwi doszedł nas głos pomieszany z tłumioną przyganą. – Nawet królom i królowym.

– Poznaj Tommera, syna księcia Rijou – powiedział Brasti.

Na wspomnienie Jillarda oczy Mateo zwięzły się podejrzliwie, jednak zobaczył wyraz surowego podziwu na twarzy Tommera i odpowiedział mu uśmiechem.

– Oczywiście, masz rację. Wielki Płaszcz nie kłęka nawet przed monarchą. – Z ogromnym wysiłkiem Mateo skłonił się w pasie przed Aline. – Ale dżentelmen zawsze winien wyrazić swój podziw dla piękna.

Brasti trącił Kesta.

– Dobry tekst. Przypomnij mi, żebym go użył wieczorem w karczmie.

Aline odpowiedziała dygnięciem, dzięki czemu niemal udało jej się ukryć rumieniec; ochłonęła całkiem, kiedy wróciła, by usiąść u boku Valiany.

Wargi Tommera poruszały się w milczeniu i nagle uświadomiłem sobie, że on także ma zamiar zapamiętać słowa Mateo. Zobaczył, że na niego patrzymy, i zaczerwienił się, zawstydzony.

Mateo uratował go, wyciągając w jego stronę rękę.

– Miło mi cię poznać, Tommerze z Rijou. Jestem Mateo Tiller – przedstawił się.

Tommer uściśnął wyciągniętą dłoń z wyraźnym entuzjazmem, a ponury strażnik ustąpił miejsca nastolatkowi, który nie był już w stanie się powstrzymać.

– Widziałem twoje imię w Rejestrze Wielkich Płaszcy, jesteś Językiem

Króla!

Mateo uśmiechnął się ponuro.

– Zapewniam cię, akurat w tej kwestii nie miałem zbyt wiele do powiedzenia. – Spojrzał na młodzieńca i dostrzegłem, że się przez chwilę zawahał. – Zastanawiam się, czy możesz mi wyświadczyć niewielką przysługę, Tommerze.

Spytany wyprostował się momentalnie.

– Byłbym zaszczycony, panie.

– Jest pewna ważna wiadomość, którą mogę dostarczyć jedynie przez zaufaną osobę...

– Nie rób tego – przerwałem mu. – Tommer jest synem Jillarda, ale w przeszłości ryzykował życiem dla Aline i uważa Valianę za swoją siostrę. Nie stosuj sztuczek, żeby pozbyć się go z pokoju.

Mateo wrócił wzrokiem do swojego rozmówcy, po czym westchnął.

– Wybacz mi, Tommerze, to było niegodne. – Wstał i założył zakrwawioną koszulę. – Zakradłem się, bo wałęsając się po pałacu, jakiś czas temu zauważyłem, że trzech członków Rady Księżęcej ukrywa się w małej bibliotece na ostatnim piętrze.

– Dlaczego tam? – spytał Kest. – Na pewno w pałacu są bezpieczniejsze miejsca do spotkań.

– Tak właśnie pomyślałem – odparł Mateo. – Nie mając nic lepszego do roboty, zdecydowałem, że muszę to sprawdzić. Znalazłem schody prowadzące na dach i zszedłem na okap nad oknem biblioteki. Podśluchiwałem ich przez ostatnie dwie godziny.

Zwrócił się do mnie.

– Falcio, byli w bibliotece, bo tam trzymane są księgi prawa. Spisali dekret o zastąpieniu Wielkich Płaszczy.

– Chcą nas zastąpić? – zdziwił się Brasti. – Niby czym?

– Kim – sprostował Kest z wzrokiem utkwionym w Mateo.

W chwili, gdy Brasti zadawał pytanie, znałem już odpowiedź.

Mordowano świętych, bezczeszczono świątynie, pielgrzymi gromadzili się przed pałacowymi wrotami i nie udało nam się nic z tym zrobić.

– *Cogneri* – odpowiedziałem. – Książęta zastąpią nas Zakonem Inkwizytorów.

WIADOMOŚĆ

Dalsza dyskusja zamieniła się w rwetes, wzięto na języki zdradliwe ksiązeta, a jeszcze dosadniej wyrażano się o Inkwizytorach, o których wiedzieliśmy, że obojętne im jest egzekwowanie praw, prócz tych pozwalających im polować na heretyków i karać ich. Oberwało się nawet samym bogom za stworzenie kraju przypominającego rynsztok. W wyniku niepisanego porozumienia jedna z grup została wykluczona z grona oskarżonych: my sami.

Nikt z nas nie chciał przyznać się do prostej prawdy: w ciągu ostatnich sześciu miesięcy nie udało się nam przywrócić w Tristii stanu, który choćby przypominał praworządność. Rozwój państwa był w całości zasługą ostrożnej administracji Valiany i jej nadzwyczajnej umiejętności poruszania się w polityce arystokratycznych rodów.

„A co osiągnął Pierwszy Kantor Wielkich Płaszczy? Biegał po okolicy, ścigając swój cień, zawsze dwa kroki z tyłu, podczas gdy nasi przeciwnicy niszczyli sanktuaria i zabijali świętych”.

– Mam pomysł, który moim zdaniem rozwiąże wszystkie nasze problemy – powiedział Brasti. Zarzucił kołczan na ramię i podniósł swój łuk.

– A gdybym tak posłał strzałę prosto w serce Quentisa Marena?

– A masz jakieś dowody świadczące przeciwko niemu? – spytał Mateo.

– Oczywiście! – Brasti wyciągnął rękę i zaczął wyliczać na palcach. – Po pierwsze, jest przeklętym Inkwizytorem i już samo to powinno wystarczyć. Po drugie, stara się przejąć kontrolę nad Ethalią, rzekomo dla jej bezpieczeństwa, ale myślę, że ma swoje ukryte powody. Po trzecie, on i jego ludzie są zbyt dobrze uzbrojeni jak na religijnych fanatyków. Po czwarte,

jest mądrzejszy od Falcia, może więc stać za takim spiskiem, a po piąte... – Zawiesił głos, najwyraźniej wyczerpawszy listę powodów.

– Zdajesz sobie sprawę, że Quentis do tej pory zachowywał się zawsze honorowo? – zwrócił mu uwagę Kest.

Brasti aż podskoczył z ekscytacji, wyciągając ostatni palec.

– No tak! Wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

Tommer spojrzał na niego.

– A więc to, że wszystko wskazuje na jego niewinność, jest dowodem winy?

– Oczywiście, że tak – odpowiedział. Kiedy nikt się nie odezwał, rozejrzał się po nas, jakby otaczali go idioci. – Czy naprawdę jestem jedyną osobą, która pamięta Shurana? Silny? Inteligentny? Zdolny? – Brasti spojrzał na mnie i Kesta. – I tak praworządny, że byliście gotowi stawać do pojedynku o prawo do poślubienia go.

Aline, która od jakiegoś czasu siedziała cicho, wstała z kanapy.

– Strategia, którą proponujesz, Brasti Goodbow, polega zatem na zabijaniu każdego, kto ma władzę i nie jest otwarcie skorumpowany?

– Dokładnie tak. Każdy człowiek mający władzę w tym kraju, który wykazuje choć odrobinę uczciwości, prawie na pewno jest brutalnym wariatem. – Skłonił się teatralnie. – Tak kończy się jedyna lekcja o polityce Tristii, jakiej będziesz potrzebować, kiedy już zostaniesz królową.

Aline spojrzała na mnie.

– Mógłbyś raz jeszcze przypomnieć mi, dlaczego mój ojciec akurat jego mianował Wielkim Płaszczem? – zapytała.

– Każda wioska potrzebuje swojego głupka – odpowiedziałem.

– Tak, drwijcie ze mnie, ignorujcie mnie – odparował Brasti. – Ale kiedy okaże się, że Inkwizytor miał potajemne łóżkowe schadzki z Trin i opracowali ten cały spisek podczas szczególnie namiętnej sesji miłosnej, nie spodziewajcie się, że przybędę wam na ratunek.

Dźwięk Valiany walącej pięścią w oparcie sofy sprawił, że wszyscy się

odwróciliśmy.

– Wszystko w porządku – powiedziałem, podchodząc do niej i próbując złapać ją za rękę. Wpierw w mojej głowie pojawiły się obawy, że jej szaleństwo powróciło, ale zauważyłem, że gorączkowo gestykułuje połączonym kciukiem i dwoma palcami jednej dłoni.

– Chyba chce coś napisać – powiedział po chwili Kest i rozejrzał się po pokoju.

Mateo ostatecznie znalazł potrzebne akcesoria w bogato zdobionym srebrnym pudełku, które jak podejrzewałem, było przeznaczone wyłącznie do podpisywania niezwykle ważnych traktatów.

Zamoczyłem pióro w kałamarzu, a następnie umieściłem je w dłoni Valiany i poprowadziłem ją w stronę kartki papieru leżącej na oparciu sofy. Natychmiast zaczęła pisać, ale jej pismo wyglądało jak plątanina chaotycznych linii.

– Tego się nie da przeczytać – powiedział Brasti. – Pisanie bez możliwości widzenia nie jest najłatwiejsze.

Aline wzięła kartkę i przyjrzała się jej.

– Chyba uda mi się to rozszyfrować. O tu, widzicie? Tu jest napisane: „Obrończyni Królestwa unieważnia dekret”.

Reszta z nas próbowała dostrzec zdanie.

– Jak na mój gust próbowała narysować pijanego węża zjedanego przez pchły – powiedział Brasti. – Nawet jeśli masz rację, to cóż to znaczy?

– To interpretacja prawna – odpowiedział Kest. – Dość niebezpieczna.

W Tristii obowiązuje cały gąszcz przepisów, starożytnych i nowych, świeckich i świątynnych, nakładających się jurysdykcji i niezgodnych ze sobą paragrafów. Poza królem Paelisem nikt nie spędził tyle czasu na ich studiowaniu co Kest.

– Musicie zrozumieć – ciągnął – że obrońca Królestwa nie jest jedynie wyższą formą obrońcy Księstwa. Rada nie może tak po prostu przegłosować jego odwołania. To stanowisko nie ma żadnych prawnych ograniczeń

odnośnie do władzy, jaką może sprawować. To książęta wybrali Valianę, ale kiedy to się już stało, ich zadanie na powrót ogranicza się do roli doradców. Mogą sobie ustanawiać dowolne dekry, ale teoretycznie Valiana może je wszystkie odrzucić.

Nikt z nas nie zwracał sobie w tej chwili głowy oczywistym faktem: tak duża władza sprawiała, że obrońca Królestwa był nieusuwalny ze swojego stanowiska, jeśli sam nie zdecydował się ustąpić. „Do diabła z tym”, pomyślałem. „Może i jest dyktatorem, ale przynajmniej jest naszym dyktatorem”.

– Jeśli to wszystko prawda, dlaczego wciąż pozwala im zmieniać swoje życie w piekło? – zapytał Brasti.

– Ponieważ Valiana zna historię tych, którzy ignorowali wolę książąt, a działo się tak wiele razy – odparła Aline. – I wie, co zrobili mojemu ojcu.

Po raz kolejny Valiana zaczęła pisać. Wszyscy mówiliśmy tak głośno – wręcz krzyczeliśmy na siebie – że musiała to usłyszeć. Napisała coś krótkiego, a następnie podkreśliła całość dwiema zamasytymi liniami. Podszedłem do niej i podniosłem kartkę. „Nie boję się”.

„Oczywiście, że nie”, pomyślałem. „Dlatego ja muszę się bać za ciebie”. Kest zbliżył się ku mnie i odezwał cicho.

– Falcio, bez względu na to, na jakie przepisy się powołamy, jeśli Valiana nie pozbędzie się tej maski, książęta uznają, że nie jest w stanie należycie sprawować swoich obowiązków. Powiedzą, że Tristia nie ma już obrońcy Królestwa.

Wszystko, nad czym pracowaliśmy, wszystko, co Valiana osiągnęła przez te ostatnie miesiące, miało być zaprzepaszczone.

– Nie wiemy, kim jest nasz przeciwnik, ale możemy być pewni, że usunięcie obrończyni Królestwa jest kluczową częścią jego planu – powiedział Kest.

– Musimy ją uleczyć – powiedziałem.

Kest nie wydawał się przekonany.

– Nie wiemy nawet, jaka trucizna płynie w jej żyłach. Jak niby...?

Przerwałem mu, ponieważ byłem zmęczony wypominaniem sobie własnych porażek, a w dodatku wpadłem na pomysł – niezbyt dobry, przyznaję, ale jedynie na tyle było mnie w tej chwili stać. Wróg nadal kształtował nasz świat wedle swoich upodobań, nie potrafiłem bowiem zrozumieć metod jego działania. Byłem człowiekiem od prawa i mieczy, a on posługiwał się trucizną, torturami i spiskami. „Czy aby na pewno nie znam kogoś, kto jest ekspertem w tych sprawach?”

Zwróciłem się do Tommera.

– Potrzebuję przysługi.

Spojrzał na mnie z właściwym sobie bezkrytycznym podziwem.

– Na rozkaz, Pierwszy Kantorze.

Doskonale zdawałem sobie sprawę z własnej hipokryzji, kiedy odpowiedziałem:

– Jest pewna ważna wiadomość, którą mogę dostarczyć jedynie przez zaufaną osobę...

CIAŁA

Po raz drugi znalazłem się w pałacowym domu śmierci, obok bogato odzianego Jillarda, który właśnie opierał się o jeden ze stołów do oględzin zwłok. Postawił na piersi martwego Sedge'a kielich wina, po czym odezwał się:

– Przyznaję, że zaskoczyłeś mnie tak szybką propozycją spotkania, Falcio. Gdybyś był lepszym człowiekiem, powiedziałbym, że to zaszczyt.

– Gdybyś ty był lepszym człowiekiem, mogłoby tak być.

Przez chwilę patrzył na mnie pytająco.

– Przyznam, że nie mam pojęcia, co to miało znaczyć – odparł.

„Ja też nie. Ale kiedy jeszcze miałem to w głowie, brzmiało jak trafna riposta”.

Książę wskazał na rapiery u mego boku.

– Widzę, że odzyskałeś swoich starych przyjaciół. Mam nadzieję, że nie poprosiłeś mnie o spotkanie tylko po to, by mnie zamordować? Byłoby to strasznie nietaktowne dla królewskiego sędziego.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy docinek nie miał aby sprawdzić, czy wiedziałem już o dekrete książęcym przekazującym władzę Inkwizytorom. Nie chcąc dać mu satysfakcji, zachowałem neutralny wyraz twarzy i dołączyłem do niego przy stole.

– Wasza Łaskawość, miałem nadzieję, że pomożesz mi odpowiedzieć na pytanie, jak zmarli ci ludzie.

Jillard sięgnął po kielich.

– Jestem prawie pewien, że ten tutaj umarł, gdy zламаłeś mu kark. – Wskazał dłonią z kielichem na Beltrana. – A ten? Wygląda na to, że

potraktowałeś jego czaszkę niczym mistrz rzeźbiarski nieobrobiony kamień.

– To już wiedziałem, książę.

Zmrużył oczy, a kąciki jego ust powędrowały delikatnie w górę. Pobudziłem jego ciekawość.

– Jakie jest zatem twoje prawdziwe pytanie?

„Powiedz mi, jak została otruta Valiana. Powiedz mi, jak ją uratować, a następnie, gdzie mogę znaleźć człowieka, który to wszystko ukartował”.

Nie mogłem jednak wypytać go o wszystko, czego chciałem się dowiedzieć, a przynajmniej nie bezpośrednio. Gdyby wiedział, że domyślałem się, w jaki sposób Boże Igły zyskują swoje nadnaturalne siły, mogłoby to wpłynąć na sposób, w jaki zbada ciała. „Nie pomijam również możliwości, że to Jillard stoi za tym wszystkim”.

– Zastanawiałem się, czy może być coś jeszcze, co przyczyniło się do ich śmierci. Coś, co bardziej pasuje do... toksycznych interesów twojej rodziny.

Jillard wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę z uniesioną brwią.

– Przysięgam, Falcio, uważam swój mózg za dość dobrze rozwinięty, ale nie potrafię zrozumieć, o co ci chodzi.

Wskazałem na zwłoki na stołach.

– Gdybyś założył, że ci ludzie nie mają żadnych obrażeń, co mógłbyś mi powiedzieć o ich śmierci?

Oczy Jillarda zwęziły się, ale mimo to sięgnął po cienkie, metalowe narzędzie leżące na drewnianej tacy obok mnie. Podniósł jedną z dłoni Sedge'a i zaczął sondować paznokcie. Po chwili odłożył rękę i otworzył usta zmarłego, przyciskając instrument do języka.

– Ach tak... – powiedział.

– Mógłbyś rozwinąć?

Jillard docisnął narzędzie, siłą rozchylając szerzej szczękę, a drugą ręką przyciągnął zwisającą z sufitu latarnię, by oświetlić wnętrze ust zabójcy.

– Tam. Widzisz?

Język zmarłego był zabarwiony na odcienie czerni i czerwieni.

– Wygląda jak język martwego człowieka – stwierdziłem.

– Prawie – odparł. – Ale w rzeczywistości jest nieco zbyt czerwony. Biorąc pod uwagę przyczynę śmierci, powinien być już szary. Jak dobrze znasz się na truciznach, Falcio?

– Trochę lepiej, niż bym chciał, dzięki księżnej Patrianie. – Pochyliłem się nad stołem, by dobrze się przyjrzeć, jednak wciąż nie mogłem dostrzec charakterystycznych cech wskazywanych przez Jillarda. – Ale nie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, o czym mówisz.

– Istnieją trzy toksyny, które zostawiają taki czerwony osad na języku. Wszystkie są śmiertelne.

Jillard odłożył narzędzie i odszedł od stołu, po czym zaczął przeszukiwać duże drewniane szafki na ścianie za nami. Przetrzęsnał wszystkie, nie bacząc na czyniony przy tym bałagan. Po minucie wrócił z małą paczuszką owiniętą w zwykły biały materiał.

– Najgorzej zorganizowany dom śmierci, jaki kiedykolwiek widziałem – wymamrotał i zdjął szmatkę, aby odsłonić szorstki, prostokątny kształt, który mógł być wyrzeźbiony z mydła lub kredy.

– Halcyt – powiedział, machając mi bryłką przed nosem.

– Do diabła, śmierdzi gorzej niż sama śmierć. – Prawie zakrztusiłem się od zapachu.

Jillard sięgnął po kolejne narzędzie z drewnianej tacy, tym razem cienki metalowy drążek z płaską łyżeczką na końcu. Przez chwilę dłużył końcówką narzędzia po powierzchni halcytu, a następnie zeskrobał powstały biały proszek na język Sedge'a, tworząc białą plamę na czerwono-czarnym języku.

– Co teraz? – spytałem po chwili.

– Cierpliwości – odparł.

Biała plama zaczęła tlić się i syczeć, ale ku mojemu zdziwieniu z ust mężczyzny nie zaczął dobywać się dym.

– Zmienia kolor – zauważyłem.

Jillard uniósł dłoń.

– Jeszcze chwilę... No i proszę, jest.

Pochyliłem się i dostrzegłem, że biały proszek nabrał połyskującego, miedzianego koloru.

– Wygląda niemal jak metal.

– Halcyt w ten sposób reaguje z toksynami. *Adoracia fidelis*, gdybym miał zgadywać.

– Adoracia? – powtórzyłem. Tej nazwy nie było na dość długiej liście trucizn, którymi zdążyłem być już w życiu zatruty.

Jillard ostrożnie postukał małą łyżeczką o krawędź stołu i odłożył ją na tacę.

– Pochodzi z rośliny o tej samej nazwie. Rozcierasz ją na brązowy proszek, a następnie wdychasz. Mówi się, że uśmierza ból, nie pozwala zasnąć, wzmacnia mięśnie. – przerwał, uśmiechając się do mnie. – Dodatkowo, wywołuje dość poważne halucynacje religijne.

Pilnowałem się, by nie zareagować zbyt emocjonalnie na potwierdzenie moich podejrzeń. „Wspaniale”, pomyślałem, „przecież w Tristii brakowało tylko tłumów odurzonych fanatyków, którzy ignorują śmiertelne rany i wydaje im się, że przemawiają do nich bogowie”.

– Gdzie można znaleźć tę roślinę? – zapytałem.

– A jak myślisz? W okolicach sanktuariów, głównie w centralnej części księstwa Domaris. W dawnych czasach, zanim jeszcze została zakazana, co bardziej pozbawieni skrupułów kapłani uprawiali ją w zielnikach. – Jillard wykonał gest, jakby upuszczał na dłoń kilka ziaren proszku. – Wcierali odrobinę w ręce, a kiedy wierni ustawiali się w szeregu, by pocałować ich dłoń, dostawali akurat dokładnie taką dawkę, by poczuć odrobinę starego dobrego religijnego uniesienia. Zapewne pomagało to również w uwolnieniu wiernych z nadmiaru monet.

Słowa Jillarda zwiastowały jeszcze więcej problemów. Czyżby kapłani, wystraszeni i rozwścieczeni zabójstwami świętych i bezczeszczeniem ich

uświęconych miejsc, zaczęli stosować truciznę do... właściwie do czego? Tworzenia żądnych mordy fanatyków z własnych wiernych?

– Widzę, jak trybiki obracają się w twoim umyśle, Falcio – powiedział Jillard, opierając się o stół i krzyżując ręce na piersi. – Twoi niedawni przeciwnicy nie mogli jednak nabyć tych cech, wdychając adorację.

– Ale przecież powiedziałaś...

– Och, na litość świętych! Gdyby tak łatwo było stworzyć niemal niezwycięzonych wojowników, nie sądziłbyś, że miałbym już ich całą armię? Tak jak ci powiedziałem: ta substancja to trucizna. Niszcząca dla ludzkiego umysłu skutki są o wiele silniejsze niż fizyczne korzyści. – Wskazał na zwłoki Sedge'a. – Ilość adoracji niezbędna do tego, co zrobił ten człowiek, natychmiast rozwaliliby jego mózg.

„Pieprzyć to wszystko”. Moje wiarygodne wyjaśnienie zmieniło się w kolejny ślepy zaułek.

– W takim razie wracamy do teorii – „nie mogę uwierzyć, że to mówię” – wedle której za wszystko odpowiedzialna jest magia, wiążąca się z piciem krwi świętych.

– Nie bądź głupcem! – warknął Jillard.

Przyjrzałem mu się lepiej, zaskoczony nagłym wybuchem i zauważyłem, że marszczy czoło bardziej niż zwykle, mrużąc przy tym oczy.

– Nie mówisz mi wszystkiego – powiedziałem. – To nie pierwszy raz, kiedy masz styczność z tą rośliną.

Zawahał się przez chwilę, a kiedy już się odezwał, mówił ściszym głosem, jakby nagle zaczął się obawiać, że zostaniemy podsłuchani.

– Patriana miała dość specyficzne zainteresowania... Przypuszczam, że można by je nazwać chęcią ulepszenia ludzkiego ciała.

„Sprawiam, że rzeczy stają się użyteczne” – powiedziała mi w lochach Rijou. Wspomnienie jej uśmiechu, chłodnej determinacji i absolutnego przekonania, że to, co robi, jest słuszne, sprawiło, że wzdrygnąłem się mimowolnie; wygląda na to, że czas nie przytępił mojej reakcji.

– Ona była szalona – stwierdziłem.

– Myślę, że to zależy od punktu widzenia – odparł. – Nie możesz zaprzeczyć, że poświęcała się swoim badaniom metodycznie i z zacięciem.

Zabiła dwadzieścia wieszczych koni, próbując stworzyć jednego posłusznego rumaka. Zastanawiałem się, czy Bestia nie obraziła się na mnie za to, że własnoręcznie zabiłem Patrianę, zamiast poczekać, aż sama się z nią rozprawi.

– Odkryła tajemny traktat o pewnej metodzie tortur – ciągnął dalej Jillard. – Myślałem, że to bzdury, puste gadanie w otoczce nadprzyrodzoności, ale Patriana zawsze miała przenikliwy umysł naukowca, założyła więc, że może być jakiś pożytek z rozłożenia tego rytuału na podstawowe, chemiczne procesy. – Wziął puchar do ręki i zakręcił trunkiem, by móc zaciągnąć się jego zapachem przed wypiciem. Przełknął, po czym mówił dalej:

– Problem z substancjami takimi jak adoracia tkwi w tym, że nie można po prostu zażyć ich w znacznych ilościach. Patriana odkryła dość nietypowy sposób podawania substancji. – Uniósł puchar nad twarzą Sedge'a i pozwolił, żeby wino cienką strużką wlało mu się do wciąż rozchylnych ust. – Wmuszała komuś truciznę. – Odstawił puchar i podniósł bezwładne ramię Sedge'a. – Potem nacinała jego ciało, by ktoś inny mógł napić się krwi.

Wspomnienie płytkich ran na ciałach Birgid i Anlasy stało mi przed oczami.

– Przecież to... Jak to w ogóle mogło zadziałać?

Jillard pozwolił ramieniu Sedge'a upaść bezwładnie na stół.

– Ten aspekt biologii wykracza poza moje rozumienie. Z jakiegoś powodu wprowadzenie substancji do krwiobiegu jednej osoby, a następnie użycie jej krwi jako surowicy dla kolejnej pozwoliło na uzyskanie potrzebnych właściwości bez śmiertelnych skutków ubocznych.

– Ale skoro Patriana znalazła sposób na podanie narkotyku, to...?

– Zabieg nie działał – przerwał mi. – A przynajmniej nie w użyteczny sposób. Umysły ofiar poddawały się zbyt szybko, strach, który odczuwały był zbyt dojmujący. Wszyscy umierali w ciągu kilku minut. Krew działała tylko wtedy, gdy była świeża, należało zażywać ją w niewielkich dawkach przez określony czas.

Odwrócił wzrok, po czym przyznał:

– To był wyjątkowo obrzydliwy widok.

„Wygląda na to, że znaleźliśmy głębię zepsucia, która przeszkadza nawet inicjatorowi Tygodnia Krwi w Rijou”. Wspomnienie świętego Gana Co Śmieje się Grając w Kości, jego ciała pokrytego opitymi krwią, trzepoczącymi owadami, odebrało mi jakąkolwiek satysfakcję z reakcji Jillarda. „Dlaczego właśnie ćmy? Muszą służyć jako coś w rodzaju... naczyń do przechowywania krwi, utrzymując ją w odpowiednim stanie, by później można było podzielić ją na właściwe dawki”.

– Oczywiście to wszystko wciąż byłoby bezużyteczne, gdyby nie udało się odnaleźć umysłu na tyle silnego, by mógł oprzeć się szaleństwu adoracji wystarczająco długo, żeby substancja mogła dotrzeć do krwiobiegu – dodał Jillard.

Sięgnął do płaszcza i wyciągnął częściowo rozbitą żelazną maskę – tą, którą miała na sobie Birgid. Trzymał ją wnętrzem z wystającym metalowym lejkiem zwróconym w moją stronę.

– Pomysłowe, nie sądzisz? Wykorzystać jedyne istoty, których skupienie jest tak doskonałe, a umysły tak zdyscyplinowane przez... im tylko znaną religijną bzdurę. Ważne, że są w stanie wytrzymać szaleństwo, które powoduje ta trucizna.

– Większość świętych posługuje się jakąś formą Zachwytu, która chyba musi nieco utrudniać ich schwytywanie – powiedziałem.

Jillard odwrócił maskę i przyłożył ją do twarzy Sedge'a.

– Wygląda na to, że magiczne właściwości maski powstrzymują świętych przed korzystaniem z Zachwytu. Podejrzewam, że w pewnym

stopniu powstrzymują też skutki szaleństwa.

– Ale Birgid miała na sobie maskę, kiedy weszła do sali w Baern, a jej Zachwyt prawie powalił nas wszystkich...

– Prawie – zaznaczył Jillard, po czym wskazał potrząskaną stronę maski.

– Ten element był zniszczony, kiedy ją zdejmowałeś, prawda?

Nie zadałem sobie trudu, by odpowiedzieć, byłem zbyt zajęty porządkowaniem wszystkich elementów układanki w głowie. Ktoś łąpał świętych, zamykał ich w maskach, żeby nie mogli uciec, po czym karmił ich adoracją, aby jego poplecznicy mogli pić ich krew i zmieniać się w Boże Igły: walecznych, nieustraszonych, oddanych morderców niezdolnych do odczuwania bólu, w dodatku na tyle szalonych, by zrobić dokładnie to, co im kazano. Szepnąłem:

– Ale jak ktokolwiek mógł wpaść na...?

Jillard parsknął lekceważąco.

– Naprawdę jeszcze cię to dziwi, że ktoś może brać udział w tak obrzydliwym przedsięwzięciu? Za długo chodzisz po tym świecie, żeby być ślepym na to, jak daleko ludzie są w stanie się posunąć, by zdobyć władzę.

Wpatrywałem się w Sedge'a i Beltrana, przypomniałem sobie kobietę z zasadzki na drodze oraz zabójcę w sali tronowej. Wszyscy byli przekonani, że dostąpili wielkości. Myśleli, że sami stają się świętymi.

– Skurwysyny – powiedziałem na głos.

– Nie przeczę. – Jillard w odpowiedzi skinął głową.

Próbowałem otrząsnąć się z obrzydzenia; to nie miało znaczenia, nie teraz.

– Czy jest jakiś sposób leczenia zatrucia adoracją?

Przez twarz księcia przemknęło coś zaskakująco podobnego do współczucia.

– Nie ma żadnego, Falcio. Żadnego, z wyjątkiem tego, który już odkryłeś.

„Żelazna maska i spędzenie w niej reszty życia”.

Chciałem się oddalić, gdy książę złapał mnie za ramię. Odwróciłem się, zaskoczony. Chyba jeszcze nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się mnie dotknąć.

– Oni zniszczą Valianę, jeśli tylko będą mogli – powiedział. – Nie mówię tylko o mojej książęcej braci, ale i o reszcie arystokracji: margrabiach, wicehrabiach i lordach. Myśleli, że mogą nią manipulować i jej grozić, a ona za każdym razem wywodziła ich w pole. Ona... zaskoczyła nas wszystkich.

– Ostrożnie, Wasza Łaskawość. To brzmi prawie jakbyś ją podziwiał.

Wyglądał na dziwnie rozczarowanego moją uszczypliwością. Puścił moje ramię i na powrót oparł się o krawędź stołu.

– Bogowie dziwnie sobie z nami pogrywają, nieprawdaż? Przez lata myślałem, że jest moją córką i nigdy nie poświęciłem jej ani jednej myśli. Teraz wiem, że nią nie jest, i czuję...

– Żal? – zasugerowałem.

Potrząsnął głową, jakby chciał odrzucić tę myśl, po czym przeszedł obok mnie w stronę wyjścia z domu śmierci.

– Zapewne jest córką wiejskiego parobka, wypchniętą na ten świat przez jakąś bezzębną dziewczkę na sianie tuż przy chlewie. Ale Tommer... bez względu na to, co mu powiem, upiera się, że jest jego siostrą. Bez zastanowienia oddałby za nią życie.

Zatrzymał się, położył dłoń na klamce, ale nie odwrócił się, gdy wypowiadał kolejne zdanie:

– Falcio, jeśli mój syn umrze, słono mi za to zapłacisz.

PRZYSŁUGA

Po wyjściu z domu śmierci ruszyłem w górę po długich krętych schodach i tylnym korytarzem do wielkiej sali pałacu w Luth. Jasne, marmurowe posadzki stukały pod obcasami szlachty i pospólstwa przemierzających ją szybkim krokiem w swoich sprawach. Naliczyłem tuzin żołnierzy w żółto-złoty barwach strzegących wielkich podwójnych drzwi prowadzących na dziedziniec. Każdy, kto chciał wejść, był krótko przesłuchiwany, a jego dokumenty sprawdzano w celu potwierdzenia, że istotnie ma w pałacu interes do załatwienia.

Kilku strażników stało tuż za drzwiami, obserwując ze dwie setki pielgrzymów mamroczących modlitwy do swoich bogów. Zastanawiałem się, o co ich proszą.

Wracałem do sali narad i czekającej w niej Valiany, kiedy zostałem – bardzo uprzejmie, muszę przyznać – zaczepiony przez Pastiena, któremu całkiem nieźle wychodziło odgrywanie roli pełnego majestatu szlachcica w długim, czarno lamowanym złotym płaszczu. Towarzyszyło mu trzech gwardzistów i Quentis Maren. „Nie zasypiasz gruszek w popiele, co, Inkwizytorze?”

– Pierwszy Kantorze – powiedział Pastien, łapiąc mnie za ramię. – Tak się cieszę, że cię znalazłem.

Nie podzielałem jego radości.

– Panie – powiedziałem i przeszedłem obok, próbując precyzyjnie się przez jego orszak.

– Falcio, proszę cię.

Ludzie rzadko stosują wobec mnie formy grzecznościowe. Zatrzymałem

się i odwróciłem.

– Ja... – Pastien przez kilka sekund próbował znaleźć odpowiednie słowa, dokończył zdanie, gdy mu się to w końcu udało. – Jak się miewa Obrończyni Królestwa?

Słumiłem pragnienie, by wytłumaczyć mu, jak dojść do komnaty, gdzie mógłby sam ją o to zapytać. „Gdybyś to zrobił, mój Panie, zastałbyś ją uwięzioną w żelaznej masce, niewidomą i niemą”. Zamiast tego skupiłem się na obserwacji Quentisa Marena.

– Obrończyni Królestwa ma się dobrze, mój panie – odpowiedziałem. – Na pewno przekażę jej, że o nią pytałeś.

Pastien skinął głową, ramiona jakby opadły mu pod niewidzialnym ciężarem.

– W komnacie, kiedy to się stało, byłem... nieprzydatny. – Choć górował nade mną wzrostem, czułem się, jakby patrzył na mnie wzrokiem skarconego szczeniaka. – Chodzi o to, że Valiana jest zwykle tak silna, tak władcza...

Pozwolił, aby te słowa niezręcznie zawisły między nami, ale nie zareagowałem. „Jeśli szukasz rozgrzeszenia, módl się do świętych. O ile jeszcze jacyś zostali”.

Po kilku sekundach Pastien wyprostował się.

– Pierwszy Kantorze – zwrócił się do mnie – zdaję sobie sprawę, że chwila jest mało odpowiednia, ale chciałbym prosić o przysługę.

„O przysługę”. Zorientowałem się, że podświadomie obrzuciłem wzrokiem miecze gwardzistów i kaburę u boku Quentisa, gdzie miał swój pistolet. „To może być trudne, ale przysięgam, jeśli ponownie poprosi mnie o pozwolenie, by zalecać się do Valiany, zabiję go”.

– Jak mogę ci pomóc, Panie? – zapytałem.

– Jutro rano do Luth przyjeżdża delegacja kapłanów z całego księstwa. – Spojrzał przelotnie na Quentisa Marena. – Sądzę, że będą domagać się przedstawienia im planu ochrony naszych świątyń.

– A jak właściwie zamierzasz je chronić? – spytałem.

Pytanie było mu wyraźnie nie w smak.

– Obawiam się, że w Luth zostało niewiele żołnierzy. Większość naszych rycerzy stanowiła część tajnej armii Shurana, a pozostali... cóż, rycerze wolą służyć rodom książęcym, a nie... tymczasowym zarządcom, takim jak ja. Valiana posłała do Aramoru po żołnierzy, powinni tu dotrzeć za dwa dni.

– Wygląda na to, że twój problem został rozwiązany – odparłem. – A tymczasem racz wybaczyć...

– Szlachta chce, żebym ustąpił – wypalił Pastien, zerkając na mijających nas mężczyzn i kobiety, a oni z kolei odpowiadali spojrzeniami, które wyrażały od łagodnej dezaprobaty po obcesowe lekceważenie. – Uważają, że jestem słaby, nieskuteczny – ciągnął. – Prawdę mówiąc, sądzę, że tylko widok Valiany stojącej przy mnie i jej wsparcie powstrzymały ich przed próbą usunięcia mnie.

Ten końcowy popis uzalania się nad sobą przelał czarę goryczy. Co Valiana widziała w tym wystrojonym wymoczku?

– Obawiam się, że Obrończyni Królestwa jest obecnie niedysponowana, Panie – odparłem. – Będziesz musiał znaleźć wsparcie kogoś innego na jutrzejsze spotkanie.

Strażnicy wyglądali, jakby bardzo chcieli wpakować mnie do ciemnego lochu i przedyskutować moje nastawienie. Quentis Maren sprawiał wrażenie zwyczajnie znudzonego.

– Zasłużyłem na to – powiedział Pastien bez ogródek, co sprawiło, że nienawidziłem go tylko odrobinę mniej. Kiedy podjął wątek, mówił już mocniejszym głosem. – Widzisz, problem w tym, że w moim księstwie są rolnicy potrzebujący pomocy, aby przetrwać okres słabych plonów. Mamy drogi, które są w tak złym stanie, że nie da się po nich przejechać wozem. Z kolei te przejezdne są regularnie odwiedzane przez bandytów, którzy uważają każdego podróżnika za prawnie należną im zdobycz. – Młody

mężczyzna spojrział mi prosto w oczy. – Wiem, że nie jestem w tym zbyt dobry, ale jeśli stracę stanowisko, kto zatroszczy się o moich poddanych?

Wróciłem pamięcią do rozmowy na schodach z Valianą dwa dni temu, kiedy z uśmiechem na twarzy mówiła: „Wydaje mi się, że jest bardzo przyzwoity. Robi, co może, by utrzymać księstwo w całości”.

Westchnąłem.

– Jak mogę pomóc, Panie?

– Gdybyś mógł przekonać Aline... To znaczy, dziedziczkę tronu... Gdyby zechciała stanąć obok mnie, gdy jutro będę witał delegację, jeśli pokazałaby swoją wiarę we mnie, wtedy jestem przekonany, że kapłani będą skłonni układać się bezpośrednio ze mną. Większość z tutejszej szlachty to ludzie religijni i wierzą, że poparcie duchowieństwa może bardzo przyczynić się do zabezpieczenia mojej pozycji, przynajmniej na jakiś czas.

– Myślisz, że czternastoletnia dziewczyna zrobi wrażenie na grupie stetryczających kapłanów?

Moja bezpośredniość zaskoczyła go, ale szybko odzyskał rezon.

– Pierwszy Kantorze, ona ma niezwykle przenikliwy intelekt. Jej wiedza na temat polityki i gospodarki w kraju jest znakomita, a Valiana konsultowała z nią każdą swoją decyzję.

To była dla mnie nowość. Wiedziałem, że Valiana szkoli Aline, przygotowując ją do objęcia tronu, ale zawsze wyobrażałem sobie ten dzień jako bardzo odległy. „Pewnie dlatego zupełnie nie radzę sobie w polityce. Wciąż widzę świat takim, jaki był, a nie takim, jaki jest”.

– Poza tym Aline jest dzieckiem Paelisa, spadkobierczynią tronu w Tristii. Kapłani uszanują to ponad wszystko – ciągnął Pastien.

Byłem poruszony tym, że w swoich słowach wyrażał tyle wiary w Aline i tak dużo wątpliwości wobec siebie. Już miałem się zgodzić, kiedy zobaczyłem, jak oczy wszystkich jego strażników kierują się w stronę wejścia do pałacu na odgłos zamieszania dochodzący z dziedzińca. Ruszyłem biegiem w tamtą stronę, ale nie mogłem niczego dojrzeć przez

tłum wysoko urodzonych gapiów otoczonych osobistymi przybocznymi i strażą. Precisiuałem się obok nich, starając się zwracać uwagę na każdego, kto miał przy sobie broń. Ktoś mógłby przecież dojść do wniosku, że takie zamieszanie to idealny czas na pozbycie się Wielkiego Płaszczu, ale szczęśliwie nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Kiedy w końcu dotarłem do otwartych drzwi, ujrzałem morze brudnych, odzianych w niegdyś białe szaty pielgrzymów pędzących szaleńczo przed siebie i tratujących się wzajemnie, byle tylko uciec z zamkniętej przestrzeni dziedzińca. Bardziej zdesperowani rzucali się na włócznie gwardzistów strzegących wejścia do pałacu. Kłęby gęstej, szarej mgły unosiły się nad ziemią pośrodku dziedzińca, rozchodząc się tak szybko, jakby były mackami świadomie podążającymi za uciekającymi pielgrzymami.

„Nocna mgła”, pomyślałem z niechęcią. „Czy nigdy w życiu nie uwolnię się od tej pieprzonej magii?”

Nagle w środku wirującego szarego chaosu srebrzysty kształt równie szybko wzniósł się, co opadł, a jaskrawoczerwony bryzg odznaczył się przez chwilę na szarym płótnie tłumu, po czym krzyki przeszły we wrzask. Gdy słońce na moment przebiło mgłę, zobaczyłem mężczyznę, czarnowłosego i odzianego w kolczugę, wymachującego oburęcznym mieczem niczym kosą. Jego ostrze mignęło w powietrzu, po raz kolejny pozostawiając po sobie krwawy ślad.

– Bogowie, co tam się dzieje? – zapytał Pastien.

Kiedy odwróciłem się, by mu odpowiedzieć, strażnicy ciągnęli go w bezpieczne miejsce.

Harmider wzmógł się, a gdy znów spojrzałem na zewnątrz, dostrzegłem twarz napastnika: uśmiechał się do mnie w niezmaconej ekscytacji, a z oczu płynęły mu łzy radości, gdy jego ostrze opadało raz za razem, pozbawiając życia spanikowanych, uwięzionych na dziedzińcu i zagubionych w nocnej mgłę mężczyzn i kobiet. Żaden z pielgrzymów nie próbował walczyć; zadeptywali się nawzajem na śmierć, próbując uciec jak najdalej.

„Niczym lis pośród kur”, pomyślałem, a wnętrzności skręciły mi się w supeł. „Popatrzcie tylko, z jaką łatwością mu to przychodzi”.

Ostatni ze strażników wycofał się do pałacu, pozostali zaczęli zamykać ciężkie drzwi. Chwyciłem jednego z nich za kołnierz.

– Co wy wyrabiacie, do stu diabłów? Tam są ludzie!

Mężczyzna strząsnął moją rękę.

– Widziałeś, co się dzieje? Nie mamy zamiaru wychodzić tylko po to, by zostać zaszlachtowanym przez to zwierzę albo stratowanym przez tłum!

Krzyknąłem do Pastiena, żeby nakazał swoim żołnierzom powstrzymać rzeź na zewnątrz, ale jego ludzie już odciągnęli go na bezpieczną odległość. Gdyby tylko tu była Valiana, wyszłaby tam jako pierwsza.

Odwrociłem się w stronę drzwi, szczelina zmniejszała się coraz bardziej, była szeroka na pięć stóp, już tylko na cztery... trzy.

„Święta Marto Co Zatrzęsaś Lwem”, pomodliłem się w duchu, „jeśli nadal żyjesz, to byłby to idealny moment, byś użyczyła mi nieco siły”.

Wyskoczyłem za wrota.

LIS I KURY

Choć nienawidzę nocnej mgły z wielu powodów, to najważniejszym z nich jest sposób, w jaki przetwarza dźwięki. Krzyki pielgrzymów odbijały się echem, jakby dochodziły jednocześnie zewsząd i znikąd. Czasami mgła zmieniała je w wycie lub piski na granicy wytrzymałości moich uszu. To wszystko doprowadzało mnie do szału i przerażało. Gdyby ci cholerni pielgrzymi po prostu próbowali biec w kierunku napastnika, a nie uciekać od niego, już dawno by go stratowali. „Tristiańska odwaga w praktyce”, pomyślałem z goryczą. „To cud, że kraj nie jest najeżdżany w co drugi czwartek”.

Ta myśl była niegodna i niesprawiedliwa. Ci mężczyźni i kobiety byli zmęczeni, przemarznięci od spania pod gołym niebem i wygłodniali, a nocna mgła dodatkowo wzmacniała chaos, który nawet wyszkolonych żołnierzy dezorientował i rozbijał ich szyki.

Dobylem rapierów, uspokojony solidnością skórzanych rękojeści. „Nigdy więcej walki laską”.

– Jaki jest plan?

Usłyszałem głos za plecami i zaskoczony ujrzałem Quentisa Marena stojącego przy moim boku.

– O co chodzi? – dodał. – Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

– Ucieszę się, jak się dowiem, po czyjej jesteś stronie. – Zacząłem przepychać się przez tłum przed nami.

– Już ci mówiłem, Falcio – powiedział Inkwizytor, odsuwając na bok człowieka, który blokował nam drogę. – Służę bogom.

– Doprawdy? – Wskazałem na szarą mgłę przed nami i Bożą Igłę jakies

czterdzieści stóp dalej. Jego gruba kolczuga od czasu do czasu odbijała rozproszony promień słońca, słyszeliśmy śmiech za każdym razem, gdy ostrze przecinało ciało i kość. – Ten tam twierdzi, że też im służy.

Inkwizytor dobył z kabury swój dwulufowy pistolet, w drugiej ręce dzierzył buzdycan.

– Nie służy żadnemu z bogów, jakich znam – odparł.

Po chwili zostaliśmy pochłonięci przez tłum, gdy kolejna fala naparła na nas w poszukiwaniu nieistniejącego bezpiecznego schronienia.

Quentis uniósł pistolet w powietrze, po czym skrzywił się:

– Nie mam czystej linii strzału.

Zerknąłem na jego broń.

– Czy to jest w stanie przebić kolczugę? – zapytałem.

– Przy odrobinie szczęścia, z bliska. Z tej odległości? Wykluczone.

Więcej krzyków. Więcej krwi. Wciąż nie mogliśmy się przedostać.

– To celuj w głowę, do cholery!

– Nie mogę. Pistolet na taką odległość nie jest celny, a tym bardziej we mgle. Mogę trafić jakiegoś pielgrzyma.

– Chodźcie do mnie, chodźcie wszyscy! – krzyknął szalencie na środku dziedzińca. – Nie bójcie się, moje świnki! – Zadał cios mieczem w poziomym łuku, czystym cięciem pozbawiając głowy jednego z mężczyzn. – Macie w sobie tak mało krwi, a ja jestem bardzo spragniony!

Wszystko, co robił, wzmagało panikę tłumu. Oszaleli ze strachu pielgrzymi biegali bezmyślnie, wpadając jedni na drugich i co gorsza, na nas. Musiałem co rusz opuszczać głównie rapierów, żeby nie nadziać na nie wpadających na mnie ludzi.

– No dobrze, spróbujmy czegoś innego – powiedział Quentis. Uniósł pistolet w górę i nacisnął spust, a powietrze wokół nas zadrzało, gdy mgła zamieniła huk wystrzału w coś podobnego armatniej salwie.

Pielgrzymi przed nami rozpierzchli się na tyle, że w końcu mogliśmy ruszyć do ataku.

– Nieźle – przyznałem.

– To pozostawia mi jedną kulę dla naszego rozrabiaki.

– Nie możesz go przeładować?

– Oczywiście, mogę – odpowiedział. – Potrzebuję tylko dwóch minut i odrobinę skupienia. Najlepiej, żeby nikt w tym czasie mnie nie potrącał. Jak myślisz, jakie są na to szanse?

Brasti z przyjemnością usłyszy, że pistolety jednak mają słabą stronę. Spojrzałem przed siebie, teraz widziałem naszego przeciwnika wyraźniej. Dobrze było upewnić się, że jest zwykłym człowiekiem. „Po prostu bardzo, bardzo dużym i ubranym w najgrubszą kolczugę, jaką kiedykolwiek widziałem. Dodatkowo jest zapewne znacznie silniejszy ode mnie i w ogóle nie odczuwa bólu ani wyczerpania”.

– Nie spudłuj – rzuciłem przez ramię i ruszyłem w stronę Bożej Igły.

Mężczyzna zsuwał właśnie butem ciało umierającej kobiety z ostrza. Dostrzegłem, że zaczyna zwalniać, ale nie z powodu zmęczenia, tylko z uwagi na ciała tarasujące mu drogę. Ile osób już zabił, piętnaście, dwadzieścia? Uśmiechnął się szeroko, gdy nas zobaczył.

– Trattari i *cogneri* – powiedział. – Co za dziwna para ptaszków zatrzepotała w mojej małej klatce. – Zrobił krok w naszym kierunku.

– To chyba idealny moment na strzał, nie uważasz? – powiedziałem do swojego towarzysza.

Quentis wystąpił o krok przede mnie, uniósł pistolet i nacisnął spust. Nic się nie stało. Szybko przekręcił zębatkę z boku broni i ponownie spróbował wystrzelić. Cisza.

– Iskra nie chce strzelić – powiedział.

– Nocna mgła – wyjaśnił uprzejmie Boża Igła, stając w miejscu, jakby grzecznie dawał nam szansę na trafienie go. – Sprawia, że wszystko moknie.

Nagle zdałem sobie sprawę, że w powietrzu wokół nas wisi wilgoć, a kosmyki włosów przyklejają mi się do czoła.

– Jest jakakolwiek szansa, że uda się go wysuszyć? – spytałem Quentisa,

patrzając na jego broń.

Inkwizytor wsunął pistolet do kabury.

– Naprawdę nic nie wiesz o broni palnej, prawda? – Podniósł buzdygan i powoli, ostrożnie zaczął obchodzić naszego przeciwnika łukiem.

Ze swoją bronią nie miał szans w starciu z dwuręcznym mieczem, co oznaczało, że będę musiał rozpraszać uwagę Bożej Igły, jeśli manewr ma się powieść.

– Zacząłeś się już bać, ptaszku? – spytał stojący przede mną zwalisty mężczyzna, po czym zamachnął się mieczem z niewiarygodną szybkością, trafiając w tył głowy próbującego przemknąć obok pielgrzyma. – Jeśli nie, to czas najwyższy.

– Bardzo chciałbym – powiedziałem od niechcenia, kiedy podniosłem ostrza przed siebie, by zapewnić sobie jak największy zasięg. – Jest was jednak tak wielu. Boże Szpilki, nic nie pomyliłem? Mam problem ze spamiętaniem tych, których już zabiłem, więc pomyślałem, że powinienem nadawać wam nazwy kwiatów. Jak chciałbyś się nazywać? Czy „Żonkil” brzmi wystarczająco godnie?

Uśmiech mężczyzny się nie zmienił, choć zmrużył oczy z wściekłością. Schylił się i podniósł umierającego mężczyznę za gardło.

– Wypiłem krew Świętego Ebrona Co Kradnie Oddech – powiedział i niemal bez wysiłku złamał swojej ofierze kark. – Trzy dni temu kosztowałem Świętego Forzy Co Zadaje Cios – ciągnął dalej, przerzucając miecz w dłoniach i chwytając go za koniec klingi, by po chwili odwrócić się i zadać nim cios niczym młotem, miażdżąc czaszkę kolejnego nieszczęśnika. – A ostatniej nocy – oblizał końce palców u dłoni niczym wytrawny smakosz po wybornym posiłku – miałem okazję spróbować Świętej Marty Co Zatrzęsła Lwem.

„Czyli szanse na wysłuchanie mojej ostatniej modlitwy są co najmniej wątpliwe”.

Bez ostrzeżenia Boża Igła ponownie przerzucił miecz w powietrzu,

chwytając go za rękę, po czym zadał zamaszty cios za siebie z półobrotu. Głowa Quentisa Marena nie znajdowałaby się już między jego ramionami, gdyby błyskawicznie nie zanurkował. Żonkil najwyraźniej się tego spodziewał, bo robiący unik Inkwizytor napotkał na swojej drodze but przeciwnika, którym ten trafił go w klatkę piersiową i posłał na ziemię. Nocna mgła przez kilka chwil niosła echo charkotu walczącego o oddech Quentisa, który cofał się na czworakach, desperacko próbując uciec poza zasięg Żonkila. Ten, wyglądając na umiarkowanie zainteresowanego starciem, ruszył w jego stronę i uniósł nogę, chcąc zmiażdżyć nią Inkwizytora.

Nieproszona myśl przyszła mi do głowy.

„Dwie sekundy: wahaj się jeszcze przez chwilę i przywódca Inkwizytorów zginie, zostawiając po sobie jedno zmartwienie mniej. Na świecie będzie mniej o jedną osobę, która może zagrozić moim bliskim”.

Przebiegłem dwa kroki i wybiłem się tak wysoko, jak tylko zdołałem. „Z całą pewnością jeszcze tego pożałuję”, pomyślałem, obiema nogami uderzając Żonkila na wysokości żeber i przewracając go na bok. Runął na jedno z martwych ciał na ziemi, co zapewniło mu łagodniejsze lądowanie niż mnie – upadłem ramieniem na brukowany dziedziniec, a fala bólu momentalnie przeszła mi rękę.

Quentisowi udało się tymczasem stanąć na nogi i wyprowadził wściekły cios w głowę szaleńca, ale Żonkil zasłonił się przedramieniem. Gruby rękaw kolczugi zapobiegł złamaniu kości, co mogło go chociaż spowolnić.

„Gdyby Sedge i Beltran byli tak opancerzeni”, zdałem sobie sprawę z przerażeniem, „byłbym już martwy”.

Żonkil w odpowiedzi wyciągnął rękę i chwycił Quentisa za kostkę i posłał ponownie na ziemię.

„W ten sposób go nie pokonamy. Chce nas zmęczyć”.

Zerwałem się z ziemi i z całych sił pchnąłem prawym rapierem w coś, co wyglądało jak słabszy punkt w kolczudze Żonkila. Jakimś cudem udało mi

się przebić przez jedno z ogniw i ostrze przeszło mu bok. Odwrócił się i spojrział w dół, jakby właśnie ugryzł go owad. Bez śladu strachu podniósł rękę i zacisnął pięść. „Do diabła”, zrozumiałem, „on chce złamać moją broń gołą ręką”.

Wycofałem ostrze i natychmiast zadałem kolejny cios w oko – trudny cel nawet w dobry dzień. Miałem rację, Boża Igła był zbyt szybki; odskoczył w bok i zamachnął się mieczem po skosie. Odstawiłem prawą nogę, pochyliłem ramię w bok i poczułem podmuch powietrza, gdy ostrze przeszło tuż obok. Wykorzystałem lukę w jego obronie i dźgnąłem go w udo, ale po raz kolejny nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

Quentis chwycił buzdygan w obie ręce i uderzył nim w plecy Żonkila. Ogniw jego pancerza zabrzęczały, kilka metalowych kawałków opadło na ziemię – ale jego przeciwnik pozostawał niewzruszony. Odwinął się zamasyście, trafiając Quentisa w twarz z oszałamiającą siłą. Broń Inkwizytora upadła na ziemię, a on sam z trudem utrzymał się na nogach.

„Nie możemy dalej walczyć z tym szaleńcem, jak gdyby był normalnym człowiekiem. On nawet nie stara się unikać ciosów”.

Zaatakowałem szybko lewym rapierem po skosie, zostawiając na twarzy Żonkila krwawy ślad, co wystarczyło, żeby skupił na mnie swoją uwagę.

– Quentis, w ten sposób nie wygramy. Spraw, żeby odsłonił kark – powiedziałem.

Nie czekając na odpowiedź, wszedłem w zasięg miecza naszego przeciwnika, który tak jak się spodziewałem, uniósł wysoko broń do ciosu. „Jeśli ostrze opadnie celnie, bogowie będą mieli dwóch Falciów do prześladowania”. Quentis, niech błogosławione będzie jego serce czarnego Inkwizytora, skoczył z tyłu na wielkiego mężczyznę, chwycił za kołnierz kolczej koszuli i szarpnął w dół całym ciężarem ciała. Udało mu się tym sposobem odsłonić fragment gardła naszego wroga i choć Żonkil chwilę później wpakował mu łokieć pod zebro, Inkwizytor nie zamierzał go puszczać. W tej krótkiej chwili, którą mi dzięki temu zapewnił, rzuciłem się

do przodu i wrażliem oba rapiery prosto w gardło mężczyzny. Oba sztychy przebiły ciało i przecięły kość, by w końcu wyjść po drugiej stronie karku.

Boża Igła wyglądał na zdezorientowanego, otworzył usta, jakby miał coś jeszcze do powiedzenia, ale zamiast słów wypełniła je krew. Nawet wtedy, mimo wszystkich obrażeń, szalencie wzmacnił uścisk na swoim mieczu, który wciąż trzymał wzniesiony, i przygotował się, by spuścić mi go na głowę. Z impetem napałem na rękojeści rapierów, a te niczym para wielkich nożyczek rozerwały mu gardło.

Głowa Żonkila jeszcze przez kilka sekund była na swoim miejscu, przytrzymywana przez kawałki kości i skórę, podczas gdy krew tryskała z odciętych żył i znaczyła jego kolczugę szkarłatem. Wtem głowa opadła bezwładnie do przodu, jakby jej właściciel kłaniał mi się, poddając zaciętą rozgrywkę. Odsunąłem się, a Boża Igła w końcu runął na ziemię wśród szczątków swoich ofiar.

Przez chwilę panowała cisza. Resztki mgły wirowały wokół nas, gdy patrzyliśmy na siebie z Quentisem, a martwe ciało naszego przeciwnika rozciągnięte między nami leżało niczym most.

– Wreszcie miałem okazję zobaczyć jednego z nich na własne oczy – powiedział Quentis.

Jego słowa były przerywane kaszlnięciami, a szlachetne rysy twarzy nieco psuły nabiegłe krwią siniaki. Z krótkich blond włosów kapała mu krew.

Świat wydawał mi się dziwnie cichy i nieruchomy – to uczucie od dawna mi nie towarzyszyło. Rzeczy, które zwykle robię odruchowo po zakończonej walce, zmieniły się w serię świadomych czynności: wziąłem powolny, głęboki oddech, czekając na jakiegokolwiek oznaki obrażeń wewnętrznych – ból w żebrach lub nadmiar płynu w gardle. Kiedy żaden z objawów się nie pojawił, przełożyłem oba moje rapiery do prawej ręki i sięgnąłem do płaszcza po małą szmatkę. Nie czułem bólu w ramionach i rękach. Ostrożnie

wytarłem ostrza, co Quentis obserwował z niemałym zaskoczeniem. Ocalała reszta pielgrzymów zbliżała się do nas powoli, niepewnie. Oni pewnie także zastanawiali się, co do cholery wyprawiam.

Czyszcząc rapier, rozejrzałem się dookoła, badając otoczenie, ale także sprawdzając, czy wzrok mi się nie rozmazuje – to byłby pewny znak urazu głowy lub utraty krwi. Nagle dostrzegłem torbę leżącą niedaleko miejsca, gdzie stał Boża Igła. „Nocna mgła”, pomyślałem odruchowo.

Wsadziłem rapiery do pochew, czując na sobie wiele par oczu. Ludzie czekali, aż się odezwę, padnę na ziemię lub zrobię coś pożytecznego. Może po prostu myśleli, że zwariowałem.

– Falcio? – zapytał Quentis. – Wszystko w porządku?

Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy. Chociaż raz w mojej głowie panowała cisza. Nie miałem halucynacji ani kontuzji. Zastrzyk energii towarzyszący walce na śmierć i życie zaczynał przygasać, ale nie na tyle, żebym musiał poddać się czyhającemu na mnie wyczerpaniu. W tej chwili pozostawałem w idealnej równowadze między tymi dwoma stanami i zamierzałem z tego skorzystać.

„Mężczyzna pojawia się na środku zamkniętego dziedzińca pełnego pielgrzymów. Ma na sobie kolczugę i trzyma wielki miecz dwuręczny, ale nikt nie zwraca na niego uwagi”. Mógł przyjechać na jednym z wozów, które stały wzdłuż drogi przed wejściem na dziedziniec, ale musiałby potem przemierzyć zbyt długą drogę, by skutecznie ukryć taką broń.

Rozejrzałem się po raz kolejny, nie do końca pewien, czego szukam, aż do chwili, kiedy to znalazłem. Kilkanaście kroków ode mnie na stercie drewnianych desek leżał gruby, brązowy płaszcz. „A więc robotnik niosący materiały”. Zakrył zbroję płaszczem i ukrył miecz między deskami.

Gdy znalazł się na dziedzińcu, upuścił swój ładunek, zdjął plecak z nocną mgłą i uaktywnił ją. Zrzucił płaszcz i wyciągnął swój miecz z ukrycia, po czym zaczął mordować.

– To było idealnie przemyślane – powiedziałem na głos.

Plan uwzględniał zamknięte bramy dziedzińca, psychiczny i fizyczny stan pielgrzymów, reakcję strażników – chroniących pałac i możnowładców, nie zaś idących na pomoc ludziom zgromadzonym na zewnątrz. „Czysty chaos”, pomyślałem, „stworzony dokładnie tak, jak ktoś sobie to zamierzył”. Teraz widziałem wszystkie elementy jasno. Wszystkie oprócz jednego, który ciągle mi się wymykał: kto za tym stał.

– Falcio – powiedział Quentis, delikatnie ciągnąc mnie za ramię. – Powinniśmy wejść do środka.

– Jeszcze nie – odparłem. – Czekam.

– Na co?

Sianie chaosu i grozy ma to do siebie, że nie robi się tego dla zabawy – nie wtedy, kiedy ma się intelekt, który potrafi szczegółowo opracować i zrealizować taki plan. Zawsze jest jakiś powód. Zawsze jest jakaś wiadomość, którą chce się w ten sposób przekazać.

– Możesz już wyjść – krzyknąłem w stronę pustego dziedzińca. Pielgrzymi spojrzeli na mnie, morze zmieszanych i przerażonych twarzy.

Czekałem, aż któryś z nich się złamie – wybuchnie nagle szaleńczym śmiechem i powie mi, o co w tym wszystkim chodziło. Nic takiego nie nastąpiło, ale zamiast tego usłyszałem skrzypienie wozu jadącego w stronę bramy dziedzińca.

Mgła wciąż była gęsta, ale ruszyłem za dźwiękiem. Stanąwszy przy zewnętrznej bramie, zobaczyłem chłopca, może ośmioletniego, który ścigał lejce, co skłoniło ciągnącego wózek kuca do zatrzymania się. Pojazd miał prostą konstrukcję skrzyni na kołach. W jej wnętrzu cienka, czarna tkanina okrywała kształt, którym bez wątplenia było ludzkie ciało. Chłopiec zeskoczył z siedziska i ruszył na tył wozu.

– Odsuń się, synu – powiedziałem.

Spojrzał na mnie przez żelazną bronę, na twarzy nie miał nawet śladu strachu, niewinny jak poranna rosa.

„Tylko nie mówcie mi, że za tym wszystkim stoi ośmiolatek”.

– Ty jesteś Falcio? – spytał.

– To ja. A jak ciebie zwą?

Przez chwilę nie był pewien, co odpowiedzieć, po czym pokręcił głową.

– Powiedział mi tylko, żeby przekazać ci wiadomość. Nic więcej – odparł.

Quentis pojawił się u mego boku.

– Może wejdiesz do środka i tam przekazesz nam swoją wiadomość? –

Wyciągnął rękę, aby otworzyć bramę, ale była zamknięta, a żaden z nas nie miał klucza.

Zanim zdążyłem się odwrócić, by wezwać jednego ze strażników, chłopiec cofnął się i przyłożył rękę do szyi. Zobaczyłem błysk metalu. Na małym palcu ośmiolatka tkwił przedmiot, który wyglądał jak żelazny naparstek, tyle że ten miał na końcu długą na pół cala igłę. Za plecami usłyszałem westchnienie i uświadomiłem sobie, że wielu pielgrzymów poszło w nasze ślady. Nieco dalej dostrzegłem również kilku strażników.

– Powiedział, że to nie potrwa długo – powiedział chłopiec, wciąż trzymając małą igłę przy szyi.

– Nie rób tego – powiedziałem. – Po prostu... nie ruszaj się.

Mój rozmówca stał spokojnie.

– Powiedział, że poświęcisz trochę czasu, próbując przekonać mnie do poddania się. Czy to teraz robisz?

– Może wpierw zdradzisz nam swoje imię? – spytałem.

Pokręcił głową raz jeszcze.

– Powiedział, żeby ci przekazać, że mam matkę i ojca. Mam dwie starsze siostry i młodszego brata, urodzonego zeszłego lata. Poleciał jeszcze dodać, że wszyscy będą martwi, jeśli nie zrobię tego, co mi kazał.

Zastanawiałem się, czy jestem wystarczająco szybki, by wyciągnąć jeden z noży do rzucania i trafić nim chłopca w ramię, tak by mu przerwać, nie stwarzając przy tym zagrożenia dla jego życia. Zastanawiałem się, czy Quentis może już strzelić z pistoletu, skoro nocna mgła się przerzedziła.

Spojrzałem na Inkwizytora, ale pokręcił tylko głową, najwyraźniej sam rozważał ten sam pomysł.

Chłopiec spojrzał na mnie pytająco.

– Czy potrzebujesz więcej czasu? Czy mogę już przekazać ci wiadomość?

– Śmiało – odparł Quentis.

Chłopak czekał nieruchomo, dopóki sam nie odpowiedziałem:

– Przekaż nam swoją wiadomość.

Wolną ręką podniósł sukno, odsłaniając zwłoki kobiety. Ciało było nagie, naznaczone dziesiątkami, może setkami drobnych czerwonych linii – każdą znaczyło kilka kropel zaschniętej krwi. Kobieta wyglądała na wychudzoną, wręcz wyschniętą. Chłopiec odsunął resztę materiału, by pokazać nam żelazną maskę zakrywającą jej twarz.

– Powiedział, żeby ci przekazać, że to ciało było kiedyś Świętą Lainą Co Daje Dupy Bogom i że prawdopodobnie nie powinieneś więcej wzywać jej imienia. – Chłopiec odczekał chwilę, po czym dodał: – Powiedział, że w tym momencie możesz się uśmiechnąć.

– W takim razie nie zna mnie za dobrze – odparłem. – Co możesz mi powiedzieć o człowieku, który cię przysłał?

Oczy chłopca zmrużyły się na chwilę, po czym wziął głęboki oddech, wstrzymał go, a następnie wydał z siebie absurdalnie długie, teatralne westchnienie.

– Powiedział, żeby to zrobić, jeśli o niego zapytasz. Nigdy go nie spotkałeś. Nigdy nie spotkasz. Dlatego nie możesz go pokonać.

Przypomniałem sobie słowa mojej żony – a raczej halucynacji z jej udziałem. „On nie potrzebuje maski”. Ale czy chłopiec mówił prawdę, czy też był to podstęp, który miał powstrzymać mnie przed szukaniem osoby stojącej za tym wszystkim wśród rozlicznych wrogów, których już znałem? „Jeśli to kłamstwo”, pomyślałem, „to bardzo słabe”.

– Czego on chce? – spytałem, raczej nie spodziewając się odpowiedzi,

ale nie chciałem pozwolić, by szaleniec wykorzystujący do swoich działań dziecko był w stanie powstrzymać mnie od zadania najbardziej oczywistego w tej sytuacji pytania.

Chłopiec ożywił się i odpowiedział:

– On powiedział, że zapewne zaczniesz od przysięgi lub groźby, zanim przejdiesz do rzeczy – przerwał, mamrocząc pod nosem, jakby ćwiczył wyuczone słowa, po czym spojrzał na nas. – Mam ci przekazać, że nie zostało już wielu świętych i przestanie krzywdzić ludzi, gdy tylko dostanie tę, którą przed nim chronisz.

„Ethalia. Chce Ethalii”.

– Powiedz mu, że może...

Zatrzymałem się w pół słowa. „Dość. Przestań tańczyć, jak ci zagra”. W obecnej sytuacji mogłem liczyć tylko na jedno, na strzępki informacji, które mogłem wykorzystać.

– Jeśli się zgodzę, gdzie mam ją przyprowadzić?

– Powiedział, że nie musisz jej nigdzie zabierać. Ma ludzi, którzy przyjdą po nią. Bardzo wielu ludzi. Jeśli staniesz na ich drodze, jedyny skutek, jaki osiągniesz, to krzywda postronnych osób.

Chłopiec spojrzał na stojący za mną tłum pielgrzymów.

– Nie musicie umierać. Wasze plony nie muszą więdnąć. Bogowie są na was rozgniewani, ale przebaczą wam, gdy umrze ostatni fałszywy święty.

Zacisnąłem mocniej ręce na dzielących nas żelaznych kratkach. Oto prawdziwy powód, dla którego wysłał tego chłopca, przyczyna tej całej rzezi. Wiadomość nie była przeznaczona dla mnie, tylko dla pozostałych. Chce, żeby wydali mu Ethalię ze strachu.

Za moimi plecami rozległy się pomruki, ale je zignorowałem. Chłopiec wciąż na mnie patrzył, wciąż miał igłę na gardle.

– Myślisz, że naprawdę puści wolno moją rodzinę? – spytał chłopiec, po raz pierwszy wyrażając własne myśli.

Spojrzałem mu w oczy. Myliłem się, wierząc w jego niewinność.

Odebrano mu ją, zanim ruszył w tę podróż. Chciałem go okłamać, dając mu odrobinę nadziei w ostatnich chwilach życia.

– Nie zrobi tego – odpowiedział za mnie Quentis. – Z tego samego powodu, dla którego kazał ci przyłożyć igłę do gardła. Nie możesz ich uratować, chłopcze. Wejź do środka. Pozwól nam pomóc.

Chłopiec się nie poruszył.

– Zanim mnie tu przysłał, pokazał mi coś jeszcze.

– Co takiego? – spytałem jak najdelikatniej. Przegraliśmy tę walkę, zanim się jeszcze zaczęła.

W oczach chłopca pojawiły się łzy.

– Pokazał mi, że są gorsze rzeczy od śmierci, które może zrobić mojej rodzinie.

Mówiąc to, wbił sobie igłę głęboko w szyję. Po chwili oparł się o wóz i delikatnie osunął na ziemię.

MIŁOŚĆ BOGÓW

– Falcio? – Quentis już po raz któryś próbował zwrócić na siebie moją uwagę.

Wciąż trzymałem się bramy, mimo że jeden z gwardzistów przyszedł i otworzył ją jakiś czas temu. Chłopiec nadal leżał na ziemi obok swojego zdezelowanego wózka. Jego skóra była teraz idealnie blada, a usta błękitne jak czyste niebo. Kucyk, który ciągnął pojazd, patrzył na swojego pana, niewątpliwie zastanawiając się, kiedy ten wstanie, by go nakarmić.

– Falcio, nic tu już nie wskórasz – powiedział Quentis.

Drewniana paka wózka była czysta, podobnie jak koła. Jedyne widoczne zabrudzenia pochodziły z drogi do pałacu. „Polecił chłopcu wyczyścić go przed wyjazdem, żeby nie było śladów, które mogłyby nas do niego doprowadzić”.

– Tylu martwych – załkała jakaś kobieta, podchodząc bliżej wraz z kilkoma innymi pielgrzymami.

Rozejrzałem się po dziedzińcu. Gwardziści przyszli zebrać zmarłych, ale pielgrzymi kazali im czekać, aż skończą odmawiać ostatnie modlitwy zarówno nad swoimi bliskimi, jak i zupełnie obcymi ludźmi. Zaczęli gromadzić się wokół nas.

– Bogowie odwrócili się od nas – powiedział starzec, kuśtykając o krzywej lasce, która kształtem pasowała do jego pleców.

– Wszystko przez ciebie – dodała młoda kobieta. Była ładna, miała płaski nos i jasnorude włosy. Jednak w jej oczach był tylko chłód. –

Sprowadziłeś na nas te nieszczęścia, ty, twoja fałszywa królowa, fałszywy obrońca królestwa i fałszywa święta.

Inna starsza kobieta chwyciła mój nadgarstek chudymi, pomarszczonymi palcami i pociągnęła w stronę ciał na środku dziedzińca. Nie wiedząc, co innego mógłbym zrobić, dałem się prowadzić.

– Tam – powiedziała, wskazując na człowieka niemal rozplatanego na pół przez potężny miecz Bożej Igły. – To mój mąż. – Jej słowa rozplynęły się w przepełnionym smutkiem szlochu. – Dlaczego on nie żyje, a ci, których kochasz, mają się dobrze, trattari?

Powiedziałem wtedy coś, czego nie powinienem był mówić. Chyba domyślałem się, że to zły pomysł, bo wymamrotałem to tak cicho, że usłyszał mnie jedynie Quentis.

– Falcio... nie – ostrzegł mnie krótko.

Ktoś mądrzejszy pewnie by go posłuchał. Ja tego nie uczyniłem.

– Bo walczę o ludzi, których kocham – powtórzyłem głośniej.

„Tym razem na pewno słyszeli”, pomyślałem, kiedy wkoło nagle zaczęło robić się coraz ciasniej. Quentis próbował złapać mnie za ramię, ale szarpnąłem się i wyciągnąłem rapiery.

– Czym was uraziłem? – rzuciłem w tłum. – Obraziłem waszych bogów? Czy to wystarczy, by skłonić was do walki? Czy tego właśnie zabrakło, gdy jeden człowiek wszedł między was i zaczął wyrzynać jednego po drugim? Czy powinien splunąć na posąg Phenii, Bogini Miłości? A może Argentusa, Boga Pieniędzy?

Strażnicy ruszyli do przodu. Broń wciąż mieli schowaną, ale wątpiłem, żeby pozwolili mi mówić dalej. „Po co to robisz?”, spytałem sam siebie. „Co chcesz zyskać? Mają cię zaatakować?”

– No, dalej! – krzyknąłem. – Pokażcie mi swoją zemstę! Tristianie. –

Wyplułem kolejne słowo z pogardą. – „Ludzie boleści”, jak nazywali nas Avareańczycy, kiedy przywieźli nas tutaj skutych łańcuchami do pracy w kopalniach. Szkoda, że tak naprawdę nigdy nie zrzuciliście z siebie tych łańcuchów.

Gdzieś w tłumie zobaczyłem młodzieńca bijącego się w pierś jak przy

modlitwie do Purgeiza, Boga Wojny.

– Właśnie tak – powiedziałem. – Módlcie się, aby bogowie zstąpili z nieba i ukarali mnie. Użyjcie mocy sprawczej waszej wiary, by zmusić ich do zabicia mnie tu i teraz. – Rozłożyłem ręce szeroko i podniosłem wzrok w niebo. – Tu jestem, cholerne bękarty! Pokażcie, na co was stać!

– Wystarczy, Falcio – powiedział Quentis.

Dobyl buzdygana i zastanawiałem się, czy chce mnie chronić, czy ogłuszyć. „Robiąc to, wyświadczyłby mi przysługę”, pomyślałem.

Schowałem rapiery. Mój głos był już cichy, kiedy powiedziałem:

– Módlcie się dalej. Pokłońcie się przed swoimi bogami. Klękajcie przed nimi. – Ruszyłem w stronę wejścia do pałacu. – To wszystko, do czego się nadajecie.

Przepchnąłem się przez gwardzistów, którzy w końcu wyciągnęli broń i zabrali paczkę z nocną mgłą pozostawioną przez napastnika. Ostatnią rzeczą, jakiej było nam teraz trzeba, to pielgrzym, który zacząłby nad nią płakać, uwalniając całe to cholerstwo w powietrze.

– Wiesz, ludzie nie mają racji w jednej kwestii. Jesteś kompletnie beznadziejnym mówcą – powiedział Quentis, idąc za mną z powrotem do pałacu.

Poczułem, jak coś miękkiego i mokrego uderza mnie w tył płaszcza. Nie zadałem sobie trudu, by zobaczyć, co to było. Quentis za to się obejrzał.

– Nie są nam chyba szczególnie wdzięczni za uratowanie życia, co? – zapytał.

– Przyzwyczajasz się – odpowiedziałem z westchnieniem.

GOŚĆ

Nie zwracałem uwagi na to, co do mnie mówiono, gdy wchodziłem do pałacu i kroczyłem przez wielką salę. Sługa, a może urzędnik, poinformował mnie z wyższością, iż Obrońca Księstwa domaga się mojej obecności w sali tronowej. Powiedziałem mu, że zjawię się tam przy najbliższej okazji, choć byłem przekonany, że ta nigdy się nie nadarzy.

Quentis zaczął mówić o swoich obawach i potrzebie rozmowy na temat wiadomości, którą przed chwilą mu dostarczono. Rada kapłanów, ciało wydające mu rozkazy, przybywa jutro do miasta i oczekują od niego konkretnych działań. Sądzę, że powiedział coś na temat życia w dużym, złożonym, ciągle zmieniającym się świecie i że muszę uznać, iż ci, którzy przewodzą wiernym, nie mogą czekać, aż garstka Wielkich Płaszczy zakończy swoje przygody gdzieś w zapomnianym zakątku królestwa. Jak mnie poinformował, najwyższy czas, by zacząć myśleć o przyszłości.

Powiedziałem, że dam mu odpowiedź, gdy tylko wszystko to sobie przemyślę.

Zanim dotarłem do sali obrad, zewsząd zasypywano mnie pytaniami o walkę, która toczyła się na zewnątrz: były to rozsądne pytania. Ważne pytania. Nie odpowiedziałem na żadne z nich.

– Wyjeżdżamy stąd – oznajmiłem wszystkim po wejściu do sali.

– Dokąd? – spytał Brasti.

Zerknąłem na Valianę, która wciąż siedziała na kanapie, czekając na pomoc.

– Na razie musimy ją zaprowadzić do komnaty. Łatwiej będzie ją chronić, jeśli zostaniemy razem.

– A potem? – zapytał Kest.

Za dwa dni będą tu żołnierze, po których posłała Valiana. Wykorzystamy ich, aby bezpiecznie zabrać wszystkich z powrotem do Aramoru.

Ruszyłem w stronę Valiany, ale Aline zablokowała mi drogę.

– Jej życzeniem było, żeby te oddziały pomogły chronić Luth, chciała pokazać kapłanom i szlachcie, że Korona wspiera Pastiena. Co mu pozostanie, jeśli go tu zostawimy? – zapytała.

Delikatnie odsunąłem ją na bok i podszedłem do sofy. Pochyliłem się, wziąłem Valianę za rękę i pomogłem jej wstać.

– Pastien może iść do diabła, jeśli chce – odparłem. – Razem z całym tym księstwem.

– Mogę coś zasugerować? – spytał Brasti, gdy prowadziliśmy Valianę przez szeroki główny korytarz książęcego pałacu, mijając dziesiątki mężczyzn i kobiet gapiących się na Obrończynię Królestwa uwięzioną w żelaznej masce. Minęliśmy ich i ruszyliśmy w kierunku schodów do prywatnych pokoi, które Pastien dla niej przeznaczył.

– Brasti nadal uważa, że powinniśmy zabić Quentisa Marena – odpowiedział za niego idący obok Kest. Trzymał lewą rękę na rękojeści schowanego do pochwy miecza, choć nawet i to zdawało się ostatnio sprawiać mu ból.

Aline prowadziła nasz korowód. Jej status spadkobierczyni tronu wystarczał, by służba i gwardziści usuwali się na boki, chociaż nie obyło się bez gniewnych pomruków, a jeden szlachcic nawet uśmiechnął się zjadliwie na widok Valiany. Gdybym jej nie prowadził, zapewne gołymi rękami zmazywałbym z takich twarzy te pełne zadowolenia uśmieški.

Minęliśmy panoramę przedstawiającą wszystkich królów Tristii sprzed kilkuset lat, jadących razem we wspólnym pościgu za białym jeleniem. Widok był wysoce nieprawdopodobny – bez wątplenia symbol jakiejś chwalebnej przyszłości, którą próbowali wspólnie osiągnąć dla swojego

kraju. „Jakże się myliliście, szanowni władcy”, pomyślałem. „Ostatnio stałem się prawdziwym ekspertem w tej dziedzinie i jestem przekonany, że wszyscy goniliście za ułudą”.

– Quentis twierdzi, że pracuje dla Świątyni – ciągnął dalej Brasti. – A przecież tak naprawdę nie ma czegoś takiego w Tristii. Wiecie dlaczego? Bo religijni fanatycy nie są w stanie ze sobą współpracować i tyle. Na płonące jaja Świętego Zagheva, jak można się spodziewać, że ci ludzie zjednoczą się w wierze w jednego z bogów, kiedy ostatnie tysiąc lat spędzili na kłótniach, który z nich ma największego kutasa?

Dotarliśmy do wielkich schodów i Kest zdecydował się mu odpowiedzieć:

– Według *Canon dei* to Purgeize, Bóg Wojny.

Wszyscy zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy na niego. Jako jedyny z nas dokładnie przestudiował tristiańskie teksty religijne.

– Poważnie? – spytałem z niedowierzaniem. – Chcesz mi powiedzieć, że najstarsza święta księga opisuje boskie przyrodzenia?

– Nie – odpowiedział, widząc, jak wszyscy się na niego gapimy. – Chciałem tylko rozładować atmosferę.

– Widzisz? – zwrócił się do mnie Brasti. – Twoja teoria jest tak głupia, że aż Kest zaczął żartować.

– I słusznie – powiedziała Ethalia. – Jeśli zwykli ludzie widzą, że i my potrafimy być sfrustrowani lub źli, działamy w ten sposób przeciwko założeniom planu Aline.

„Problem w tym, że jesteśmy źli i sfrustrowani”, pomyślałem, gdy ostrożnie wprowadzaliśmy Valianę po schodach.

Zaproponowałem, żebyśmy poczekali do zmroku i wyprowadzili Valianę z pałacu, nie narażając jej na wścibskie spojrzenia, ale Aline zauważyła, że księżęta i ich poplecznicy i tak już wiedzą, co się z nią stało. Gdybyśmy starali się zachować jej stan w tajemnicy, próbom szantażu nie byłoby końca – lub co gorsza, nasi wrogowie upewniliby się, że rozchodzące się pogłoski

mają możliwie najbardziej potworną postać. Jedynym sposobem na zmniejszenia ich przewagi było przeprowadzenie jej przez pałac bez ukrywania się. Byłem dumny z Aline; doszła do rozsądnej, logicznej konkluzji.

Nienawidziłem tego.

Podobnie czuł Tommer, któremu jeszcze gorzej ode mnie szło ukrywanie gniewu na to, w jaki sposób ludzie gapili się na Valianę.

– No proszę. Nowy dzień przynosi wiele zmian, prawda? – zakpił wysoki, chudy mężczyzna w czerwonych i złotych jedwabiach, wyszczerzając swoje doskonałe zęby z galerii, na której stał, otoczony elegancko ubranymi towarzyszkami. Żadna nie wyglądała na wystarczająco dorosłą, by być jego żoną, ani na wystarczająco młodą, by być jego córką.

– Jestem zaskoczony twoim dobrym nastrojem, wicehrabio Thistrenie – zawołał Tommer, a jego młody głos odbijał się echem po szerokiej, marmurowej klatce schodowej. – Mój ojciec rozważa rewizję granic waszych ziem. To straszne, że kilka miast i posiadłości prawdopodobnie stanie się częścią terytorium wicehrabstwa Hemmier, prawda?

– Ależ Panie! – Piękny szlachcic niemal przewrócił się, starając się dotrzeć do nas na szczycie schodów. – Dano mi do zrozumienia, że moje włości mają zostać poszerzone, a nie okrojone!

Tommer, o połowę chyba niższy od mężczyzny, odepchnął go, robiąc nam miejsce.

– Jak sam to dobrze ująłeś, wicehrabio: nowy dzień przynosi wiele zmian. Niestety, wygląda na to, że nie wszystkie z nich ci się spodobają.

Zostawiliśmy oniemiałego szlachcica za sobą. Gdybym nie musiał podtrzymywać Valiany, bardzo mocno ścisnąłbym teraz Tommera.

– Wicehrabia Thistren jest zamożnym człowiekiem o licznych znajomościach – ostrzegła Aline. – Twój ojciec nie pochwali cię za robienie sobie wrogów.

Tommer starał się napotykać spojrzeniem wszystkich możliwych, których

mijaliśmy w korytarzu.

– Ktoś, kto drwi z mojej siostry, od razu staje się moim wrogiem, nawet jeśli jeszcze o tym nie wie – odparł.

Brasti wyciągnął szyję, by lepiej mu się przyjrzeć.

– Musimy koniecznie zrobić z dzieciaka Wielkiego Płaszcz – powiedział mi.

Nie mogłem sobie wyobrazić lepszego sposobu, by zwrócić przeciwko nam księcia Jillarda, jednak to był problem na kolejny dzień.

Ruszyliśmy wąskim korytarzem zakończonym łukowatymi drzwiami, gdzie Mateo opierał się niedbale o ścianę, czarną tkaniną polerując zakrzywioną klingę swojej szabli.

– Jak tam parada? – spytał.

– Obyło się bez trupów, a to już osiągnięcie – odparł Brasti.

– Jacyś intruzi? – spytałem.

Kiedy już zdecydowaliśmy się zabrać Valianę do jej komnaty, wysłałem Matea przodem, żeby sprawdził, czy są bezpieczne. Nie potrzebował moich bardzo dokładnych instrukcji, co ma zrobić, w razie gdyby ktoś w niej na nas czekał.

– Żadnych morderców, nadprzyrodzonych ani zwykłych. Żadnych szpiegów ani gwardzistów.

– Dobrze – powiedziałem, chwytając za klamkę.

Mateo stanął przede mną i powiedział:

– Ale w środku ktoś czeka.

– Więc pozbądź się go. Mówiłem ci, żeby...

– Kazałeś mi usunąć każdego, kto może nam sprawić kłopoty. Niestety ona nie dała się odstraszyć, w dodatku miała bardzo ciekawe sugestie na temat tego, co mogę zrobić ze swoimi groźbami.

– „Ona”?

Mateo pchnął drzwi i odsłonił wnętrze pomieszczenia. W komnacie, usadowiona wygodnie na krześle, które bez wątplenia z rozmysłem

umieściła w miejscu, na którym mój wzrok spoczął tuż po wejściu, siedziała Krawcowa.

– A niech mnie – zaklął Brasti. – Bogowie naprawdę nas nienawidzą.

Włosy, zazwyczaj w dzikim nieładzie, miała starannie związane. Ubrana była we własny płaszcz, świeżo oczyszczony i natłuszczony. Już dawno powinienem był kazać go spalić. Obok niej, na łóżku, leżały dwa opasłe woluminy oprawione w czerwoną i czarną skórę, które rozpoznałem jako dwa tomy *Regia Maniferecto De'egro*, najstarszych tekstów w Tristii o prawach poruszających kwestię mianowania nowego władcy.

– Drogie dzieci, bogowie nas opuścili, nasza cywilizacja jest na skraju upadku, a Obrończyni Królestwa została zamknięta w żelaznej masce. Przypuszczam, że nadszedł czas, żebyśmy pomówili o tym, kto tu rządzi – powiedziała.

Trzymałem nerwy na wodzy bardzo długo, prawie całą minutę. Pierwsze osiem sekund poświęciłem na wprowadzenie Valiany do pokoju i posadzenie jej w wysokim fotelu obok kominka, podczas gdy pozostali tłoczyli się za nami. Na straży przy drzwiach pozostali Mateo i Tommer. Kolejne dziesięć sekund wykorzystałem na sprawdzenie zamków i ustawienie na podłodze ostrych stalowych kolców, które ostrożnie wyciągnąłem z ciężkiego skórzanego worka noszonego w kieszeni płaszcza – to na wypadek, gdyby ktoś zdecydował się niespodziewanie wpaść do pokoju. Kilka kolejnych tyknień zegara spędziliśmy z Brastim na ustawieniu na parapecie stołu mającego chronić przed pociskami z zewnątrz. Na koniec przełożyłem mały nóż z wewnętrznej strony rękawa płaszcza do pochewki w mankiecie.

Ostatnie dwadzieścia siedem sekund brzmiało tak:

– Spójrzcie tylko, jak pieczołowicie pasterz strzeże swojej owczarni – powiedziała Krawcowa. – Szkoda tylko, że robi to, kiedy wilk dawno już wysrał resztki wszystkich zjedzonych owiec.

– Rozumiem, że jestem pasterzem – powiedziałem. – Ale nie mogę rozeznać, czy to czyni cię wilkiem, owcą, czy po prostu gównem w tej paraboli.

Roześmiała się głośno, po czym wstała i wyciągnęła dłoń w skórzanej rękawiczce, by musnąć kołnierz mojego płaszcza. Drugą poklepała mnie po policzku.

– Ach, Falcio val Mond, najsmutniejszy człowieku w kraju zrodzonym ze smutków. Gdybyż tylko to szlachetne cierpienie prowadziło do zrozumienia.

– Uwaga – wtrącił się Brasti. – Teraz nastąpi część, w której zaczyna mówić o długości każdego kawałka sznurka w królestwie.

Krawcowa zignorowała jego uwagę.

– W ostatnich miesiącach Valiana wykonała godną podziwu pracę, utrzymując ksiąząt pod kontrolą. – Jej dłonie musnęły leniwie ramiona mojego płaszcza, jakbym był niedołącznym starcem nie potrafiącym utrzymać go w czystości. – Ale czas jej rządów dobiegł końca, a ty, Falcio... powiedzmy to otwarcie, odkładając stare spory na bok. Jedno z nas musi przejąć dowodzenie, i nie możesz to być ty.

Mniej więcej wtedy minęło sześćdziesiąt sekund mojej cierpliwości, być może dlatego, że nasze „spory” dotyczyły faktu, że Krawcowa doprowadziła królestwo na skraj wojny domowej i całkowitego chaosu w ramach rewolucyjnego planu, który pewnego dnia miał zapewnić Aline objęcie tronu. „Nie wspomnę już o oddaniu mnie w ręce dashini”.

– Ach! – powiedziała, zaciskając cienkie wargi. – Dobrze pamiętam ten wyraz twarzy.

– Wybrałaś niewłaściwy moment na takie próby – powiedziałem, prawą rękę trzymając na rękojeści rapiera.

– Jestem Krawcową, Falcio. Moje wyczucie czasu jest zawsze idealne. Powinieneś to już wiedzieć.

– Falcio... – wtrącił Kest z ostrzegawczą nutą w głosie.

To, co wziąłem za przestrożę przed marnowaniem czasu na dyskusje z Krawcową, okazało się czymś zupełnie innym. Podążając za wzrokiem Kesta, dostrzegłem prawie niewidoczną stalową nić wokół mojej szyi, której końce trzymała w dłoniach moja rozmówczyni. Wystarczyło, że napięła ją niemal niezauważalnie, a poczułem bolesny ucisk na szyi. Najwyraźniej zaplanowała kilka sztuczek na własny użytek, kiedy projektowała nasze płaszcze.

– Czas najwyższy żebyś zaczął traktować mnie poważnie, Falcio – powiedziała.

GENERAL

Czasami najtrudniejszą rzeczą w walce jest nie zareagować. Odruchy, które zwykle ratują ci życie, mogą równie dobrze doprowadzić do twojej śmierci. W tym przypadku mój instynkt krzyczał, bym złapał stalową nić, ale gdybym spróbował, to zanim moje dłonie by ją chwyciły, byłbym już dawno martwy.

– Zmieniłem zdanie – powiedział Brasti.

Za plecami usłyszałem jęk napinanej cięciwy.

– Zabiję Quentisa Marena w drugiej kolejności.

– Jeszcze niedawno – powiedziała Krawcowa z pełnym spokojem – Kest byłby w stanie wyciągnąć swoje ostrze tak szybko, że skróciłby mnie o głowę, zanim zdążyłabym zacisnąć pętlę. A teraz, spójrzcie tylko: kiedy trzyma miecz, z trudem udaje mu się nie zemdlec z bólu.

Rzuciła krótkie skinienie w stronę Brastiego i zorientowałem się, że ustawiła mnie prosto na linii jego strzału.

– Kiedy miał dobry dzień, ten głupiec potrafił przestrzelić igielne ucho. Teraz jego ramię drży od dźgnięcia nożem przez oszalałą kobietę.

Przeniosła wzrok na mnie i mogłem przysiąc, że w głosie miała tylko współczucie i smutek, które przeczyły naszej obecnej sytuacji.

– A ty, Falcio? Pamiętam, że kiedyś byłeś zbyt sprytny, żeby skończyć ze stalową nicią wokół gardła.

Aline, której rozsądek podpowiadał, żeby nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, powiedziała:

– Przestań, babciu. To nie pora na kłótnie między nami.

– W tej kwestii się zgadzamy, moja droga. Świat wokół nas się rozpada.

Ktoś musi was poprowadzić. – przerwała na chwilę. – Ostatnio nie zdołałam cię ochronić. Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło.

– Może w takim razie powinnaś sobie przypomnieć, że człowiek, któremu grozisz, ją uratował – powiedział Kest równie spokojnie.

– I kocham go za to! – warknęła Krawcowa. – Ale królestwo obraca się przeciwko nam. – Jej wzrok padł na mnie. – Chcę, żebyś pojął, że nie jesteś tym samym człowiekiem, co kiedyś. Nie dasz rady pokonać tego wroga.

– I myślisz, że uda się to tobie?

Staralem się zadać to pytanie z naciskiem w nadziei, że uda mi się ukryć całkowity brak zainteresowania jej odpowiedzią. Zwykle nie jestem ciekaw filozoficznych dyskusji, gdy mam na gardle garotę. Skupiłem się na ograniczonych możliwościach wydostania się z tej wybitnie niekomfortowej sytuacji. Mogłem spróbować dźgnąć ją w udo, wtedy nie zacisnęłaby ostrej jak brzytwa nitki od razu, ale chwilę potem upadłaby do tyłu i istniało duże prawdopodobieństwo, że przy mocniejszym szarpnięciu razem z nią na podłodze wylądowałaby moja głowa. Mateo i Tommer byli za drzwiami, Aline nie miała żadnej broni, a Ethalia...

Ze stalowej nici zaczęło dobywać się ciepłe światło.

– Nikt z nas nie jest taki sam jak kiedyś – stwierdziła Ethalia. – Niektórzy z nas wciąż jednak starają się wybierać rozwiązania, które są właściwe, a nie te, które są łatwe.

– Powiedz tej dziwce, by się cofnęła, Falcio – ostrzegła Krawcowa.

Dłonie jej drgnęły i przysięgam, że poczułem, jak krew spływa mi po gardle.

– „Dziwka” – powtórzyła Ethalia. – Myślisz, że to słowo mi przeszkadza? Uważasz, że możesz mnie zawstydzić, wypominając lata spędzone w Zakonie Miłosiernego Światła?

– Jak udaje ci się mówić to z taką powagą? – prychnęła Krawcowa.

– Przynosiłyśmy łagodność i proste przyjemności ciała tym, których życie było pełne gniewu i przemocy – odpowiedziała Ethalia. – I w ten

sposób stopniowo prowadziłyśmy ich ku współczuciu. Co ty zrobiłaś w ostatnich latach, poza kroczeniem ścieżką wściekłości i rozlewu krwi? – Ethalia zrobiła kolejny krok w naszym kierunku, a światło połyskujące na pętli otaczającej moją szyję stało się jaśniejsze. – Ani ty, ani nikt inny nigdy nie sprawi, że będę żałować tego, co robiłam w przeszłości.

– A poczujesz żal, gdy głowa Falcia potoczy się w twoją stronę po podłodze? – spytała Krawcowa. – Bo tak się stanie, jeśli zrobisz jeszcze choć jeden krok do przodu.

Oczy Ethalii, pełne nieruchomego, nieustraszonego błękitu, spotkały moje spojrzenie.

– Ufasz mi? – zapytała.

– Zawsze – odparłem.

– Głupcy – warknęła Krawcowa, a wściekłość w jej głosie dudniła wzdłuż łączącej nas stalowej nici. – Marzyciele. – Splunęła. – Co z ciebie za Święta, skoro nie potrafiłaś nawet powstrzymać dwóch półgłówków przebranych za strażników. Naprawdę uważasz, że uda ci się powstrzymać mnie?

Głos Ethalii, ostry jeszcze przed chwilą, nagle złagodniał.

– Tak, bo twój smutek jest o wiele większy, siostró. – Wyciągnęła rękę. – Ponieważ wiem, co cię przeraża.

– Naprawdę w to wierzysz, dziewczynko? Musisz wiedzieć, że poznałam w życiu wielu Świętych i słowa większości z nich nie były warte funta kłaków.

– A ty nie jesteś Świętą, prawda? – Słowa Ethalii nie miały w sobie kpiny czy potępienia, tylko zrozumienie. – Jesteś Krawcową, która widzi, gdzie zaczynają się i kończą wszystkie nici, i która wie, którą można wyciągnąć, a którą musi pozostać w tkaninie. Powiedz nam, gdzie jest nasz wróg? Jaki jest jego plan?

– Nie wiem! – krzyknęła rozpaczliwie Krawcowa. – Nie mogę... Nie mogę go znaleźć.

Staliśmy tak przez dłuższy czas i oczekiwałem, że Krawcowa powie coś uszczypliwego, że święci i bogowie są bezużytecznym wynalazkiem ludzi bez wyobraźni. Doświadczaliśmy jednak najdłuższej chwili milczenia z jej udziałem, nie było zwyczajowych tyrad o tym, jaka to była przebiegła. W jej oczach zaczęła pojawiać się długo skrywana frustracja i strach.

Wciąż chowałem ostrze w prawym rękawie, a uwaga Krawcowej była rozproszona; to była moja szansa. Nie skorzystałem z niej, bo Ethalia poprosiła mnie, żebym jej zaufał, i wiedziałem, że ma rację.

– Nie tylko ty się boisz – powiedziałem.

W Krawcowej coś pękło. Stalowa nić opadła, kiedy puściła ją i usiadła ciężko na łóżku. Jej wzrok spoczął na Aline i po raz pierwszy w życiu ujrzałem rozpacz w jej oczach.

– Jak mam ją chronić, skoro nie potrafię już dojrzeć nici? – szepnęła.

Staliśmy w milczeniu, podzieleni tym, co musiało być zrobione, ale zjednoczeni w świadomości, że nie jesteśmy tymi, którzy potrafią tego dokonać. W zeszłym roku, może w minionym miesiącu, ba, zapewne jeszcze nawet ubiegłego tygodnia, Krawcowa umiała dostrzec możliwe posunięcia i warianty w działaniach swoich przeciwników. Teraz była tylko matką, która straciła syna, i babcią, która obawiała się utraty wnuczki.

„Żadne z nas nie jest takie jak kiedyś”, pomyślałem, „ale może nigdy tacy nie byliśmy”. Co, jeśli wszystkie zwycięstwa odnieśliśmy tylko dlatego, że nigdy nie stanęliśmy twarzą w twarz z przeciwnikiem, z którym musimy zmierzyć się teraz?

Zamknąłem oczy, próbując sobie wyobrazić, jak mogłaby wyglądać jego twarz. Ile miał lat, był szlachcicem czy nędzarzem? „Kim jesteś? I dlaczego jesteś w tym o tyle lepszy od nas?”

Poczułem się nagle bardzo zmęczony. Usiadłem na krześle Krawcowej i zdałem sobie sprawę, że wszyscy się we mnie wpatrują. Czekali, żebym powiedział coś ważnego, wygłosił doniosłym tonem, że jeżeli tylko

będziemy odważni, to na końcu wszystko się ułoży. „Świat słyszał już chyba wystarczająco dużo moich przemówień”.

Po raz pierwszy w życiu zastanawiałem się, czy czas Wielkich Płaszczy naprawdę minął. „A może powinienem posłuchać rady Brastiego i wyzwąć przywódcę Inkwizytorów na pojedynek? To jedyna rzecz, w której ostatnio byłem dobry”.

Ale prawda była taka, że niezależnie od tego, jak bardzo nienawidziłem idei przyświecającej Inkwizytorom, uważałem, że to nie Quentis Maren był naszym prawdziwym wrogiem. Był zbyt oczywistym celem, zbyt idealnie umieszczonym na naszej drodze: osobą, którą wszyscy pogardzaliśmy i podejrzewaliśmy. Gdy ostatni raz majaczyłem o Aline, ostrzegła mnie: „wróg zakłada maski innym, a tym samym ukrywa swoją twarz”. A potem król Paelis powiedział coś jeszcze: „by zranić przeciwnika, musisz najpierw przebić warstwę jego oszustw”.

Przypomniałem też sobie drwinę księcia Jillarda: „Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że osoby, które tak bardzo chcesz chronić, to zawsze kobiety?” Popatrzyłem po pokoju, na Aline, która nieomal zginęła od ostrza zabójcy, Ethalię, zaatakowaną wczoraj przez Boże Igły, i na końcu na Valianę, zatrutą krwią szaleńca...

„Jak mogłem nie dostrzec tego wcześniej!”

– On jest awertarzem! – wykrzyknąłem.

– Czym? – spytała Aline.

– Awertarz – pospieszył z wyjaśnieniem Kest, wypowiadając słowo z archaicznym tristiańskim akcentem – w pojedynku wykorzystuje finty i pozorowane ataki, by odwrócić uwagę swojego przeciwnika. Celuje w te części ciała, które jego oponent chroni instynktownie, takie jak oczy lub szyja, zmuszając go do ciągłego parowania, podczas gdy cel prawdziwego ataku...

– ...pozostaje odsłonięty – dokończyła za niego Aline.

– Wybornie – powiedział Brasti. – Kolejna pieprzona szermiercza

metafora, opisująca dokładnie sposób, w jaki jesteśmy atakowani. Jak ma nam to pomóc?

Aline wyglądała na zirytowaną jego kpiącym tonem.

– Mówi nam, że zagrożenia, z którymi musieliśmy sobie ostatnio radzić, nie są prawdziwym zagrożeniem.

– Nie są prawdziwym zagrożeniem? – odparował Brasti. – Chcesz mi powiedzieć, że próba zabicia następcy tronu, Świętej Miłosierdzia i obrończyni Królestwa, nie są dla niego wystarczająco prawdziwe?

Zaczął nerwowo chodzić po pokoju, mówiąc coraz bardziej podniesionym głosem:

– Święci są mordowani! Co chwila atakują nas szaleńcy nazywający się Bożymi Iglami, z którymi nie radzą sobie nawet pieprzeni Inkwizytorzy, a wokół pałacu gromadzą się tłumy zawodzących pielgrzymów. Nawet ja zaczynam wierzyć, że pierdoleni bogowie nas nienawidzą, a nawet w nich nie wierzę! – Zatrzymał się i rzucił ciężko na sofę obok swojego krzesła. – Przysięgam, jak tak dalej pójdzie, zrobię się wierzący. A zaręczam wam, nie chcecie tego.

Nagle po drugiej stronie drzwi rozległy się odgłosy szamotaniny. Kest w jednej chwili dobył miecza, zaskrzypiało też napinane łączyisko łuku Brastiego.

– Tommer został na zewnątrz – powiedziała Aline, ruszając w stronę drzwi.

Przytrzymałem ją prawą ręką i wyciągnąłem rapier lewą.

– Zaczekaj – powiedziałem, a gdy skinęła głową, odtrąciłem rozrzucone wcześniej kolce na boki i otworzyłem drzwi.

Na zewnątrz ujrzałem leżącego na podłodze Pastiena z dłonią przyciśniętą do policzka. Tommer stał nad nim z podniesioną pięścią. Mateo trzymał go za nadgarstek, podczas gdy jego ostrze było wymierzone w szyję dwóch gwardzistów Pastiena, którzy nie wyglądali na zbytnio zadowolonych z sytuacji, w jakiej ich postawiono.

– Pierwszy cios był za bezczynność, gdy moja siostra cierpiała – powiedział Tommer. – Drugi zarobisz, jeżeli jeszcze raz zażądasz widzenia się z nią.

– Co się tu dzieje, na Świętego Zagheva Co Śpiewa o Łzy?

– Myślisz, że Święty Zaghev jeszcze żyje? – spytał ukradkiem Brasti, ruszając za mną, by lepiej przyjrzeć się jednemu z gwardzistów. – To by było bardzo typowe dla tego zasranego kraju, żeby ostatnim żyjącym świętym był ten najgorszy ze wszystkich.

Mateo, wciąż ściskając nadgarstek Tommera, odpowiedział:

– Lord Pastien poprosił o audiencję u Obrończyni Królestwa.

– Zażądał – poprawił go Tommer.

– Jestem Obrońcą Księstwa Luth – upierał się Pastien. – Nie pozwolę, by atakowały mnie dzieci w moim własnym pałacu.

– Wstań – odpowiedział Tommer. – Będę mógł cię powalić raz jeszcze.

– Oj, polityk to z niego będzie marny – skomentował to beztrosko Brasti.

Schowałem rapier i rozkazałem:

– Zamknijcie się wszyscy i odłóżcie broń.

Chwyciłem Tommera za kołnierz płaszcza, przypominając sobie słowa Jillarda. „Jeśli mój syn umrze, słono mi za to zapłacisz”.

– A ty trzymaj swój temperament na wodzy, póki nie trafi się nam okazja do prawdziwej walki.

Chłopiec w odpowiedzi niechętnie opuścił pięść.

Pochyliłem się i podałem Pastienowi rękę.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytałem.

Ten najpierw wstał, poprawił kurtkę i płaszcz, po czym odpowiedział:

– Potrzebuję pomocy.

– Jesteśmy trochę zajęci zabijaniem się nawzajem – powiedział Brasti uprzejmie. – Spróbuj później.

– Później może być za późno – odpowiedział Pastien.

– Więc powiedz, w czym rzecz – poprosiłem.

Zawahał się przez chwilę, bez wątpienia szukając sposobu, w jaki mógłby odzyskać godność, ale w końcu zrezygnował i zaczął wyjaśniać:

– Kapłani, o których ci opowiadałem... Wczoraj Valiana zasugerowała, żebym wysłał im na spotkanie zwiadowców, na wypadek gdyby ktoś próbował zaatakować delegację.

Do diabła. Niech tylko nie mówi, że jest więcej zabitych z rąk Bożych Igieł... Starając się trzymać emocje na wodzy, spytałem:

– Zaatakowano delegację?

– Nie – odpowiedział Pastien, po czym poprawił się: – No cóż, w zasadzie to tak. Moi zwiadowcy twierdzą, że zauważyli tuzin ludzi przygotowujących się do ataku na karawanę, ale uciekli, zanim doszło do ataku.

– Garstka kapłanów wystraszyła bandytów? – spytał Kest podejrzliwie.

Pastien pokręcił głową.

– To nie kapłani ich przestraszyli. Towarzyszyło im stu pancernych rycerzy. Falcio, ci rycerze nie nosili książęcych tabardów, byli ubrani na biał.

– Rycerze Świątyni? – spytał Brasti z niedowierzaniem. – W królestwie nie było ani jednego od czasu...

– ...kiedy dekretem książęcym zostali zakazani sto siedemdziesiąt lat temu – dokończył Kest.

Wygląda na to, że ktoś tu ma dość bycia chłopcem do bicia.

AWERTARZ

– Setka rycerzy – powtórzył Brasti po raz trzeci, gdy nasza dziwna kompania siedziała, wpatrując się w siebie nawzajem w komnatach Valiany.

– Gdzie na lewy cycek Świętej Lainy kapłani zwerbowali aż tylu?

– W Hervorze, Orisonie i Luth, a nawet w samym Aramorze – odparł Kest, po czym zwrócił się do mnie. – Z niedobitków tych, którzy przysięgali lojalność książętom, a których całe rody zostały niedawno pogrzebane.

Przypomniałem sobie tych wszystkich mężczyzn, aroganckich, w wypolerowanych zbrojach, których poczucie własnej wartości było zbudowane na służbie u możnowładcy. Co im zostanie, gdy im się to zabierze? Będą tylko ubranymi w stal osiłkami desperacko szukającymi czegoś, co przywróci im honor. „Wychodzi na to, że nienawidzę rycerzy prawie tak samo jak magii”.

– Valiana myślała o przywróceniu wagi rycerstwa – powiedziała Aline, wrywając mnie z zamyślenia.

Spojrzałem na krzesło w kącie pokoju, na którym siedziała osamotniona Valiana, czekając, aż ktoś z nas krzyknie do małych szczelin w przedniej części maski i wyjaśni jej, co się dzieje.

– Dlaczego tego nie uczyniła? – zapytałem.

Aline otworzyła usta do odpowiedzi, ale przerwała. Po paru sekundach zaczęła raz jeszcze:

– Było tyle problemów, z którymi musiała sobie poradzić, zanim...

– To przez ciebie – przerwała jej Krawcowa, wybierając mnie na adresata swojego gniewnego spojrzenia.

– Przeze mnie? Nawet ze mną o tym nie rozmawiała...

Krawcowa prychnęła lekceważąco i spytała:

– Czy sądzisz, że chociaż przez chwilę wątpiła w twoją opinię na ten temat?

– No cóż – powiedział Brasti zdecydowanym tonem. – Gdyby brzmiała ona „długo, bardzo długo po moim trupie”, to wtedy chociaż raz Falcio miałyby rację.

„Prawo Brastiego”, pomyślałem, „nigdy więcej zbroi. Nigdy więcej rycerzy”. Tylko to nie działało w ten sposób; zawsze będą drudzy synowie, ludzie z pieniędzmi i mieczami, którzy niczego nie odziedziczyli, tacy jak oni zawsze będą szukali sposobu na wybicie się z tłumu. Jeśli okazji ku temu nie stworzą im książęta, to zwrócą się ku religii. „Święci. Inkwizytorzy. Boże Igły. Rycerze Świątyni. Dlaczego teraz? Dlaczego tak nagle?”

– Myślicie, że znowu mu odbija? – spytał Brasti.

– Daj mu spokój... – odparł Kest. – Układa sobie coś w głowie.

– No tak, układający sobie w głowie Falcio wygląda jak stary pijak, próbujący sobie przypomnieć, gdzie zostawił kieliszek.

„Święci są mordowani, więc wracają Inkwizytorzy. Boże Igły zaczynają siać strach, powoływani są Rycerze Świątyni. A w samym środku tego wszystkiego są zwykli ludzie, zastraszeni przez lata chaosu ciągnącego się od śmierci króla Paelisa i coraz rozpaczliwiej domagający się porządku. Nic dziwnego, że wielu z nich porzuciło swoje gospodarstwa i miściny, wybierając życie poświęcone modłom i pielgrzymowaniu. Brasti miał rację. Jeszcze trochę, a wszyscy się nawrócimy”.

„To było nawet prawie śmieszne. Tylko, że to nie żart”, zrozumiałem. „To ich cel”.

– Brasti ma rację – powiedziałem.

– Naprawdę? W czym konkretnie? – spytał zaskoczony, po czym zwrócił się do Kesta: – A na przyszłość racz pamiętać, że z ust Falcia padły słowa „Brasti ma rację”, i to przy świadkach.

– Powiedziałeś, że w Tristii nie ma prawdziwej Świątyni, ponieważ

kapłani zawsze byli podzieleni, czasem wręcz wrogo nastawieni do pozostałych wierzeń. Przez cały ten czas wierzyliśmy, że są atakowani, ich święci mordowani, a sanktuaria niszczone... co, jeśli nie chodzi o niszczenie wiary w królestwie? Jeśli tak naprawdę nikt niczego nie bezcześci?

– W takim razie, jakbyś to nazwał? – zapytał Kest, starając się nadażyć za moim tokiem rozumowania.

– Konsekracją – powiedziała Ethalia. O Ethalii wszystkiego można się dowiedzieć z jej spojrzenia, a to było w tej chwili zimne i twarde jak stal. – Świątynia się nie rozpada. Wręcz przeciwnie, jednoczy się po raz pierwszy w historii.

– Zabijając się nawzajem? – spytał Brasti. – Jak niby...?

– Tworzą nową religię – przerwała mu Ethalia. – Nieskażoną przez podziały wśród duchownych i wolną od ingerencji żyjących Świętych.

Krawcowa spojrzała na mnie, podekscytowana: w końcu udało jej się dostrzec zasadę. Zastanawiałem się, czy ubolewa nad tym, że ja pierwszy to rozgryzłem.

– To niemożliwe – powiedziała. – Zbyt skomplikowane... wszystkie te wątki, które należałoby zgrać we właściwym momencie...

Brasti podniósł ręce, uciszając harmider.

– Chwila, chwila. Powiedzmy, że masz rację i zabijani są ci, którzy mogliby stanąć na drodze nowej, zjednoczonej wiary. Ale dlaczego niszczyć świątynie? Gdzie mają nauczać ci nowi?

Aline pierwsza wpadła na odpowiedź. Usiadła przedtem obok Valiany i na bieżąco przekazywała jej wszystko, co zostało powiedziane, ale teraz wstała i powiedziała:

– Nie są konieczne. Nowa religia nie będzie potrzebować małych, zaniebanych domów modlitwy przy drogach i zniszczonych przez pogodę sanktuariów. – Rozłożyła szeroko ramiona. – Świątynie, z których będą korzystać, zostały już zbudowane.

Odwróciłem się do Pastiena i zapytałem:

– Ilu strażników masz w pałacu?

– Nie więcej niż pięćdziesięciu.

Zatem rewolucja miała się zacząć w Luth: osłabione księstwo pod przywództwem jeszcze słabszego Obrońcy Księstwa. „Setka rycerzy. To wszystko, czego było im trzeba”. Tu zaczną wprowadzać swój porządek, dając drobnej szlachcie nieco więcej władzy, tak przez nią pożądaną, w zamian za służbę bogom, o których nie dbają. Pomyślałem o tych wszystkich przerażonych, zdesperowanych pielgrzymach na zewnątrz. Chcieli tylko, żeby ktoś ich chronił, a teraz to dostaną.

– Oni nie tylko tworzą nową religię – powiedziałem. – Chcą teokracji. Świątynia ma zamiar przejąć Tristię.

WOJNA

Spędziliśmy całą noc na czynnościach, które zwykle wykonuje się w obliczu najazdu. Omawialiśmy strategię obrony, debatowaliśmy nad planami, przygotowywaliśmy się. Większość czasu zeszła nam jednak na uświadamianiu sobie, jak bardzo mamy przechłapanę.

– Odmawiasz, Wasza Łaskawość? – zapytał Pastien, siedząc na tronie w wielkiej sali. Uważał, że takie otoczenie doda mu powagi. Mylił się.

Hadiermo, Żelazny Księżę Domaris, wskazał na dwóch strażników trzymających jego ogromny miecz i powtórzył:

– Nie zmarnuję tych niewielu żołnierzy, których zabrałem ze sobą na idiotyczne przedsięwzięcie, które wrogo nastawi do nas wszystkie religie.

– Korona prosi cię, abyś ponownie rozważył tę kwestię – powiedziała Aline, siedząca na mniejszym krześle obok tronu Pastiena. Valiana w żelaznej masce zajęła miejsce przy niej.

– Jaka „Korona”? – zarechotał stary Erris, księżę Pulnam. – Widzę tylko dziecko na stołku obok wiejskiej dziewczuchy w żelaznej masce. – Odwrócił się, jakby chciał zwrócić się do nieistniejącej widowni. – Właściwie kto i dlaczego sprowadził tutaj tą obrzydliwą istotę? – Jego wzrok zatrzymał się na mnie.

„Ach, więc to ja jestem publicznością tego występu”.

Uśmiechnął się, po czym dodał:

– Powinno się ją zamknąć w ciemnicy, gdzie nikt nie będzie musiał na nią patrzeć.

Mimo jawnej prowokacji nie wyciągałem rapierów, nie groziłem mu śmiercią. Trzymałem ręce w kieszeniach płaszcza. To wszystko było tylko

przedstawieniem i dobrze o tym wiedziałem. „Sprawmy, żeby trattari zaczęli się wściekać i będziemy mieć usprawiedliwienie dla naszego tchórzostwa”. Zerknąłem na Quentisa Marena stojącego z dwoma Inkwizytorami u boku. Wszelkie gwałtowne ruchy zostawiałem dla niego.

– Niestety, Wasza Łaskawość, pałac Luth ma tylko kilka cel. Co prawda, jedna z nich jest obecnie pusta, ale musi taka pozostać – powiedziała spokojnie Aline.

– Doprawdy? Po co? – spytał zdezorientowany Erris.

– Żeby wsadzić do niej następną osobę, która będzie grozić Obrończyni Królestwa.

Oparty niedbale o kolumnę, Jillard wyróżniał się na tle innych książąt. Zastanawiałem się, dlaczego wcześniej nie zwróciłem uwagi na jego zamiłowania do niedbałego opierania się o różne elementy wystroju wnętrz.

– Może powinniśmy się uspokoić i przejść do rzeczy? Niektórzy z nas mają do załatwienia ważne interesy we własnych księstwach.

Ów ważny interes, o którym wspominał, pojawił się nagle, wręcz cudownym zrządzeniem losu, kiedy tylko rozeszła się wieść o tym, że kapłanom towarzyszy setka rycerzy. Wszyscy nagle zatęsknili za domem.

W nocy zakradliśmy się z Mateo do stajni i ujrzeliśmy książęcych stajennych zajętych oporządzaniem koni. Gdyby cała trójka zgodziła się zostać i walczyć, moglibyśmy odprawić duchownych z kwitkiem. Fakt ten nie uszedł uwadze Obrońcy Księstwa Luth.

– Wasze czyny źle świadczą o waszych sercach, panowie – powiedział podniesionym głosem z wysokości tronu. – Porzucacie swojego towarzysza...

– Co takiego? – przerwał mu Hadiermo. – Nie jesteś moim towarzyszem, nisko urodzony kundlu. Jak myślisz, dlaczego wicehrabiowie i margrabiowie tego żalostnego małego księstwa posadzili cię na tym krześle? Powiem ci: bo łatwo cię usunąć, gdy tylko pojawi się ktoś bardziej godny tytułu.

– A co się stanie, jeśli ktoś zechce zasiąść na twoim krześle, panie? –

spytał Tommer. Stał blisko swojego ojca, najwyraźniej wciąż gotowy, by na oślep rzucić się do pierwszego pojedynku, jaki uda mu się sprowokować.

Jillard nie wyglądał na zadowolonego. Podobnie zresztą jak ja.

Hadiermo nie wziął jego uwagi do siebie, odpowiadając mu autorską wersją serdecznego śmiechu.

– Zdaje ci się, że banda wędrownych kapłanów i garstka rycerzy bez ziemi byłaby w stanie najechać mój dom? Domaris nigdy nie upadło, chłopcze. I tak pozostanie.

Rzeczywiście tak było: Hadiermo nigdy nie padło ofiarą żadnej armii... a to dlatego, że nie można upaść, jeśli się siedzi. Żaden wróg nigdy nie musiał walczyć z Żelaznym Księciem, który unikał konfrontacji, pozwalając pustoszyć swoje ziemie i grabić zamieszkujących je ludzi, a sam w tym czasie zajmował się związaną z najazdem biurokracją. Korzyści z powyższego proceduru płynęły wyłącznie do jego szkatuły. Aczkolwiek nigdy nie krył swojej pogardy wobec nich.

– W takim razie co zamierzacie, panowie? – spytała Aline. – Odjedźcie i pozwolicie im zająć Luth, i co wtedy? Będziecie handlować z nowymi władcami księstwa? Czy...?

– Poczekamy. – Erris wszedł jej w słowo, wspierając się ciężko na swojej lasce.

Miałem przemożną ochotę obić go nią do nieprzytomności, zwłaszcza że mam już wprawę w korzystaniu z laski jako broni.

– Jeżeli jakiś kapłan zasiądzie na tronie Luth, zapewne nie zagrzeje na nim zbyt długo miejsca – dodał Erris.

– A jeśli tak będzie? – zapytał Pastien.

Tym razem Jillard odpowiedział:

– Moi książęcy kuzyni są przekonani, że nie ma zagrożenia dla naszych księstw. Pomimo ostatnich wydarzeń fakty mówią same za siebie: mamy wystarczająco dużo żołnierzy, by ochronić nasze ziemie. Drobną szlachta w naszych włościach chodzi dobrze ubrana, a chłopci są porządnie

odżywieni.

Próbowałem milczeć, ale nie mogłem dłużej trzymać języka za zębami.

– A ty, książę? Czy zgadzasz się z ich wnioskami?

Jillard spojrział wprost na mnie.

– Nie mam żadnego powodu, by uważać inaczej, Pierwszy Kantorze – odparł.

Zirytowała mnie ta gładka wymówka, ale nie dlatego, że spodziewałem się czegoś lepszego po księciu Rijou – nadal był przecież nikczemnikiem, którego w stosownym czasie planowałem zabić – ale dlatego, że miał rację. Pół nocy zastanawialiśmy się, jak Świątynia może przejąć kraj. Aline codziennie pobierała nauki u Valiany, ja uczyłem się od jej ojca, Kest przeczytał wszystko, co kiedykolwiek napisano o wojnie, a Krawcowa – cóż, ona wiedziała wszystko, co nie zostało napisane. Dostrzegliśmy wiele sposobów, jak przejąć część księstw – może nawet wszystkie. Ale żadne z nas nie potrafiło wymyślić, w jaki sposób mogliby utrzymać je pod kontrolą. Co innego podbić, a co innego sprawować potem skuteczną władzę.

Chrapliwy śmiech księcia Errisa wyrwał mnie z zamyślenia.

– On już nie jest Pierwszym Kantorem – powiedział starzec. Wskazał na Quentisa Marena. – Egzekwowanie praw jest teraz zadaniem Inkwizytorów. Oby poszło im lepiej niż ich poprzednikom. Sięgnął do szat i wyjął zwinięty dokument związany ostentacyjnie ozdobną wstążką. – Ten dekret odbiera wszelki autorytet Wielkim Płaszczom.

– Czy mogę go zobaczyć, Wasza Łaskawość? – spytała Aline.

Jeden z dworzan starego księcia przejął dekret i szybko wbiegł na podwyższenie, by przekazać go Aline. Otworzyła go, przeczytała na głos i podała Valianie. Trochę to trwało, ale gdy ta ostatnia chwyciła go w końcu pewnie w dłonie, rozdarła dokument na pół, powtórzyła gest raz jeszcze i pozwoliła skrawkom papieru opaść na podłogę.

– Co to za szaleństwo? – zakrzyknął zaskoczony Erris.

– Wygląda na to, że Obrończyni Królestwa zdecydowała się uchylić twój dekret – powiedziała Aline. Popatrzyła na Quentisa Marena i jego Inkwizytorów. – Wasze usługi nie będą potrzebne, *cogneri*.

Quentis spojrział na mnie, jakby szukał wyjaśnienia skutków tego, co właśnie zaszło.

Uprzejmie wzruszyłem ramionami w odpowiedzi.

Księżę Erris trząsał się z wściekłości.

– Nie ma już Obrońcy Królestwa. Patrzcie na nią! Siedzi tam, głucha, ślepa i ogłupiała przez żelazną maskę. Nie może...

Aline wstała z krzesła.

– Może, księżę Errisie, i właśnie to zrobiła.

Kiedy Hadiermo zaczął mówić o dzieciach przekraczających swoje uprawnienia, podeszła do przodu podwyższenia i stanęła sama, czternastoletnia dziewczyna, twarzą w twarz z trzema najpotężniejszymi mężczyznami w Tristii.

– Na tym skończymy, drodzy książęta. Podjęliście swoje decyzje, a my swoje. Wróćcie do swoich domów. Zabierzcie ze sobą swoje korony i cieszcie się nimi, póki możecie.

– Ostrożnie, dziewczynko – powiedział Hadiermo, a zwyczajowo gromki głos był cichy jak syk węża przed atakiem. – Żyjesz tylko dlatego, że na to pozwalamy.

– W takim razie zapewne nie pożyję za długo, Wasza Łaskawość – odpowiedziała niewzruszona. – Mój ojciec rządził tylko pięć lat, zanim odebraliście mu życie.

– Myślisz, że zasiądziesz na tronie, dziecko? – Erris zakaszał, rozbawiony, po czym wskazał na mnie. – Czy ten głupiec naprawdę cię przekonał, że kiedykolwiek obejmiesz władzę w królestwie?

– Przyznaję, szanse nie są największe – odpowiedziała Aline. – Ale zapominasz o jednym, księżę Errisie: próby zabicia mnie podejmowano, odkąd żyję. Wszystkie nieudane. – Popatrzyła po kolei na każdego z trzech

książąt. – Pomimo waszych wysiłków możecie wszyscy być zaskoczeni, kiedy któregoś dnia zasiądę na tronie w Aramorze. Radzę wam o tym pamiętać, gdy następnym razem nazwiecie mnie dzieckiem.

Zapadła chwila ciszy, kiedy każdy z nich ważył słowa, ale Hadiermo nie miał zamiaru dać się zastraszyć.

– Do diabła z tobą – powiedział. – Możesz nam grozić do woli, mała dziwko. Gdybyś była prawdziwym wojownikiem, rzuciłbym ci wyzwanie tu i teraz.

Nie tracąc rezonu, odpowiedziała:

– Gdybyś był prawdziwym wojownikiem, książę Hadiermo, przyjąłbym wyzwanie. Ale ponieważ żadne z nas nie wydaje się do tego odpowiednie, zejdź nam z oczu. – Odwróciła się do Pastiena. – Chyba że chcesz jeszcze korzystać z Rady Książęcej, mój Panie?

Odnalezienie języka w gębie zajęło Pastienowi trochę czasu.

– Nie, to wszystko Wasza Wysok... to znaczy, Pani.

Spodziewałem się, że książęta poburzą się jeszcze chwilę, może rzucają kilka gróźb lub obiecują słono nam za wszystko zapłacić, ale prawda była taka, że nie byli głupi; powiedzieli, co przyszli powiedzieć, i nie było już nic do dodania. Zostawią Luth na pastwę najeźdźców z nadzieją, że przepadniemy razem z całym księstwem. Wszystko to było zamierzonym przedstawieniem, skierowanym do jednego adresata: księcia Jillarda. Było najbardziej prawdopodobne, że nas wesprze, jeśli przetrwamy następnych kilka dni; musieliśmy mu pokazać, że nie mamy zamiaru się poddawać.

– Powodzenia – powiedział, przechodząc obok z dłonią mocno zaciśniętą na karku Tommera. Brzmiało to tak, jakby naprawdę tego właśnie nam życzył.

Kiedy książęta i ich świty wyszli z sali, podszedł do mnie Quentis i jego Inkwizytorzy.

– Usuniemy się z pałacu dziś wieczorem – powiedział. Wyglądał na mocno rozczarowanego przebiegiem wydarzeń. – Chcę, żebyś wiedział, że

nie miałem pojęcia o tych planach... Jestem człowiekiem prawa, Falcio. Rada Kapłanów nie konsultuje się ze mną w sprawie polityki. Robię, co mi każą i...

Jego szczerość mnie zirytowała.

– Nie obchodzi cię, że twoi święci są mordowani, aby zapewnić więcej władzy twym przełożonym? Nie dbasz o bezczeszczone świątynie?

– Mylisz się, Pierwszy Kantorze. Ci, dla których pracuję... może nie są doskonali, ale na pewno są pobożni. Nie wierzę, że zbrukaliby swoje dusze takimi czynami.

– No tak, jeszcze nikt nigdy nie popełnił przestępstwa w imię bogów – odparowałem.

Podniósł rękę.

– W tej kwestii nie dojdziemy do porozumienia. Z szacunku dla... cóż, po prostu z szacunku, wyprowadzę dziś moich ludzi z pałacu. Rozbijemy obóz niedaleko. Jednak za kilka godzin, kiedy przybędzie tu delegacja, Rada rozkaże mi zabezpieczyć pałac, a ja nie będę miał innego wyjścia, jak tylko wypełnić ich rozkaz. – Spojrzał na pistolet w kaburze u swojego boku. – Jesteś szybki, trattari, ale nie aż tak szybki.

To dziwne, jednak wbrew rozsądkowi polubiłem tego człowieka. Obaj byliśmy ludźmi prawa, sądów i pojedynków. Może nie zgadzaliśmy się we wszystkim, ale rozumieliśmy się. Nie byłem w stanie żywić wobec niego złych uczuć. Uśmiechnąłem się tylko i powiedziałem:

– Tego nie wiesz, *cogneri*. Czasem sam siebie zaskakuję.

OBROŃCA

– Bawiłem się wyśmienicie – powiedział Brasti, schodząc z galerii z łukiem w dłoni.

Kest, Mateo, Ethalia i Krawcowa szli tuż za nim. Zdecydowaliśmy, że nie chcemy pogarszać sytuacji i denerwować książąt widokiem większej liczby osób niż to konieczne. Poza tym pomoże nam to przygotować małą niespodziankę, na wypadek gdyby nasz plan nie wypalił.

– Czy jednak ktoś zechce mi powiedzieć, jaki był cel tego przedstawienia?

Chciałem odpowiedzieć, ale Aline weszła mi w słowo.

– To była próba – powiedziała. Jej oczy spotkały się z moimi. – Dla was wszystkich.

Jej ton mnie zaskoczył.

– Nie rozumiem. Myślałem, że chcemy pokazać Jillardowi... – zacząłem.

Aline odwróciła się do Pastiena.

– Wezwij, proszę, szambelana i dowódcę straży.

Młody Obrońca Księstwa skinął na paza, który ruszył biegiem w stronę drzwi.

– Co robisz, kochanie? – spytała Krawcowa. Nie była zadowolona.

Aline zeszła z podwyższenia, stanęła przed Kestem i zapytała:

– Jaka jest słabość awertarza?

Choć zaskoczyła go tym pytaniem, odpowiedział szybko.

– Poleganie na tym, że przeciwnik będzie próbował odeprzeć pozorowane ataki.

– Dziecko – wtrąciła się Krawcowa. – To nie pora na...

Aline przyjęła pozycję obronną i wyciągnęła do przodu prawą rękę, jakby trzymała w niej broń.

– A jeśli przeciwnik, zamiast parować, sam zaatakuje? – Aline przerwała Krawcovej.

– To nie takie proste. – Kest pokręcił głową. – Jeśli nie sparujesz ataku, awertarz po prostu przejdzie z pozorowanego ataku w rzeczywisty i zadacios. – Wyrzucił lewą rękę do przodu i dotknął jej ramienia, zanim zdążyła zareagować.

Wyciągnęła drugą rękę i przytrzymała wyciągniętą dłoń Kesta.

– A zatem jestem ranna – kontynuowała. – Za to ty nie możesz już zaatakować swojego prawdziwego celu, a mnie nic nie powstrzymuje przez kontratakamiem.

– Chyba, że jesteś martwa – powiedziałem. Nie podobało mi się, dokąd zmierza ta dyskusja.

Aline wróciła na podwyższenie i podeszła do miejsca, gdzie siedziała nieruchomo Valiana. Wzięła ją za rękę i pomogła wstać.

– Wszelkie próby trwałego przekształcenia tego kraju zależą od wyeliminowania Valiany. Ona spaja Tristię.

– Słodziutka – powiedział Brasti, siadając na podłodze pod jednym z filarów. – Wiem, że masz ją za wzór wszelkich cnót, ale...

– Brasti Goodbow, nie traktuj mnie jak dziecko – przerwała mu z rozdrażnieniem. – To sprawia, że wychodzisz na idiotę.

– Ona ma rację – powiedział powoli Kest. – Nie w tym, że Brasti jest idiotą... cóż, może w tym też, ale przede wszystkim, że to Valiana zbudowała relacje, które zapewniały napływ pieniędzy do Aramoru i powstrzymywały książąt przed odejściem z Rady. Wszystko to spoczywało na jej barkach.

Spojrzałem na ledwie dwudziestoletnią dziewczynę stojącą kilka stóp ode mnie, uwięzioną w masce. Jak ktoś tak młody był w stanie poradzić

sobie z zarządzaniem całym królestwem? „Bez twojej pomocy”, uświadomiłem sobie z goryczą. Na każdym kroku okazywałem się samolubnym głupcem próbującym udowodnić, że Wielkie Płaszcze coś znaczą, że ja coś znaczę i przez cały ten czas nasi wrogowie knuli spisek nie przeciwko mnie, ani nawet przeciw Aline, lecz przeciwko Valianie, a przez nią przeciwko całemu królestwu.

– W porządku, skoro nie może teraz pełnić swoich obowiązków, jak to robiła dotychczas, potrzebujemy nowego Obrońcy Królestwa – powiedział Brasti.

Kest pokręcił głową.

– Jak już mówiłem, to nie działa w ten sposób. Przepisy prawne zawarte w *Regia Maniferecto De'egro*, regulujące mianowanie Obrońcy Królestwa, są archaiczne. Nie opisują mechanizmów wymiany, sukcesji ani nic podobnego.

– Więc kto tu rządzi? – spytał Tommer.

– Ja – odezwała się Krawcowa. – Jako babka Aline, jestem jedyną, która może działać jako jej regent, jeśli Obrońca Królestwa nie może pełnić swoich obowiązków. W tym kraju to prawo starsze niż jakiegokolwiek słowo pisane.

– Chwileczkę – powiedział Brasti, wstając. – Pójdę tylko po łuk.

– Moja babcia ma rację – powiedziała Aline. – Będą musiały zostać podjęte trudne decyzje i nie możemy pozwolić sobie na rozdźwięk między nami. Ktoś musi przejąć dowodzenie, jeśli mamy się zjednoczyć.

Krawcowa podniosła się.

– Mądra dziewczyna. W porządku, oto, co... – zaczęła.

– Usiądź – przerwała jej Aline. Nie czekając na jej reakcję, przemówiła do nas czystym, spokojnym głosem. – Jestem spadkobierczynią tronu Tristii. Obrońca Królestwa istnieje tylko po to, by działać w moim imieniu. Jeśli umiera lub nie może wykonywać swoich obowiązków, to przez starożytne prawa, o których mówił Kest, władza należy do mnie. – Spojrzała na

Krawcową. – Nie do ciebie czy kogokolwiek innego. Do mnie.

– To... jeden ze sposobów, w jaki można to interpretować – powiedział Kest.

– Jedyny, który ma znaczenie – odparła.

Drzwi do sali tronowej otworzyły się, kiedy paż wrócił z szambelanem i kapitanem straży. Mieli strapione twarze. Ciężko jest być radosnym ze świadomością, że za kilka godzin twój dom będzie zaatakowany. Pastien wyjął z kieszeni dwa zwinięte dekrety i wręczył je każdemu ze stojących przed nim mężczyzn.

– Kapitanie Ciradoc, szambelanie Matrist, od tej chwili Księstwo Luth nie jest już suwerenne, a zatem podlega rozkazom Korony – uklonił się Aline. – Następca tronu wyda wam teraz rozkazy.

Szambelan wyglądał tak, jakby właśnie coś stanęło mu w gardle.

– Ale jak...?

– Panowie, nie mamy wiele czasu – powiedziała Aline. – Kapitanie Ciradoc, za kilka godzin zjawią się tu kapłani z asystą rycerzy i otwartym zamiarem zajęcia pałacu. Kiedy to się stanie... – przerwała i spojrzała na pozostałych, zanim dokończyła: – Nie będziesz im sprawiał problemów.

– Chwileczkę, co takiego? – zapytałem.

Aline machnęła ręką, uciszając mnie.

– Pani, chcesz, żebyśmy złożyli broń? – spytał Ciradoc.

– Nie tylko to. Powierzysz kapłanom dowództwo nad sobą i swoimi ludźmi.

– Nie rozumiem, to jakiś fortel?

– Nie ma żadnego fortelu – powiedziała Aline. – Wykonuj ich rozkazy. Mieszkańcy tego księstwa dość już wycierpieli. Kapłani przejmują pałac. Upewnij się, że proces będzie przebiegał tak sprawnie, jak to tylko możliwe.

– Pani, wicehrabiowie i margrabiowie nie zgodzą się na to – powiedział Matrist.

– Rozejrzyj się – odparła Aline. – W tej chwili w pałacu niewielu ich

zostało. Szambelanie, twoim zadaniem jest dopilnować, by każdy, kto musi opuścić pałac, zrobił to jak najszybciej. Mogą przebywać tu jeszcze tacy, wobec których Świątynia nie będzie zbyt przychylna. Najlepiej będzie, jeśli znikną, zanim kapłani zdecydują się skorzystać z usług swoich Inkwizytorów.

– Wybacz śmiałość, Pani – zaczął Ciradoc – ale przede wszystkim ty zaliczasz się do tych osób.

Aline skinęła mu głową w podziękę za troskę.

– Nie martw się o nas, kapitanie. Odejdziemy w odpowiednim czasie.

– Czy mogę pomóc? Niektórzy z moich ludzi mogliby...

– Nie, kapitanie – przerwała mu. – Kiedy przybędzie delegacja, wyjadę z godnością, której wymaga moja pozycja.

Kapitan spojrzał niepewnie na stojącą przed nim dziewczynę.

– Wybacz, że pytam, Pani, ale jak masz zamiar to uczynić?

Aline odpowiedziała mu uśmiechem.

– Przez główną bramę, ma się rozumieć.

Udawało mi się gryźć w język, póki kapitan z szambelanem nie opuścili sali, po czym krzyknąłem:

– Zwariowałaś?!

Aline dzielnie stawiała mi czoła.

– Od teraz, Pierwszy Kantorze, przejmuję obowiązki Obrońcy Królestwa Tristii. Potrzebuję twojego wsparcia. Mogę liczyć na Wielkie Płaszcze?

Zacisnąłem pięści z frustracji. Do wszystkich problemów, z którymi miałem ostatnio do czynienia, miałyby dojść jeszcze naiwne wyobrażenia nastolatki o tym, że jest w stanie kierować krajem. Brasti, Kest, nawet Mateo wykonywali moje rozkazy. Gdybym kazał im zignorować Aline i zabrać ją w bezpieczne miejsce, zamknąć gdzieś, dopóki niebezpieczeństwo minie, zrobiliby to. „W końcu naszym zadaniem jest ją chronić, nawet przed nią

samą”.

Już miałem się odezwać, kiedy Valiana złapała mnie za nadgarstek. Wzięła mnie za rękę i ścisnęła, a mnie udało się zrozumieć jej niemą prośbę, żebym zaufał Aline, czternastoletniej dziewczynce, której w tak krótkim życiu udało się już przetrwać tyle dramatycznych wydarzeń. Najrozsądniej byłoby potraktować ją jako właśnie taką – z tym że niedawno myślałem to samo o Valianie, a ta udowodniła, jak bardzo się myłę. „Może nie wystarczy chronić tych, na których ci zależy”, uderzyło mnie. „Może czasami trzeba im też zaufać”.

– Masz pełne wsparcie Wielkich Płaszcy, Pani – powiedziałem.

– Starczy tego dobrego – powiedziała Krawcowa, podchodząc do podwyższenia i wyciągając rękę do wnuczki. – Skarbie, wiem, że chcesz nam pokazać, jaka jesteś odważna, ale to...

– Cisza – przerwała jej Aline.

Powiedziała to tak władcym tonem, że chwilę zajęło mi zdanie sobie sprawy, że tych słów nie wypowiedziała jednak Valiana. Aline stała bez ruchu, a Krawcowa mierzyła ją wzrokiem, co do którego byłem przekonany, że potrafiłby zatrzymać wściekłego niedźwiedzia. Zdałem sobie sprawę, że Aline przygotowywała się do tej walki od chwili, gdy weszliśmy do sali tronowej.

– Prawo nie zostało stworzone dla twojej wygody, Krawcowo. Nie po to, byś mogła mścić się na świecie za wszystkie krzywdy, które ci wyrządzono. – Aline po kolei popatrzyła po reszcie zebranych. – Wszyscy myślicie, że jestem dziewczynką, która przez cały czas z trudem powstrzymuje się od płaczu. – Zeszła z podwyższenia i zbliżyła się do jednego z wysokich okien wychodzących na dziedziniec. – Tak było do wczoraj. Wtedy mogłam pozwolić sobie na bycie słabym dzieckiem, które nie potrafiło właściwie trzymać miecza i żyło tylko dzięki kaprysom innych. Ale dzisiaj, kiedy wiemy, że wróg stara się wykorzystać moją słabość przeciwko nam wszystkim? Nie mogę sobie dłużej pozwolić na bycie tą samą głupią

dziewczynką. Od dziś jestem Aline, córka Paelisa, spadkobierczynią tronu Tristii, i dopóki Valiana nie uwolni się z maski, jestem także Obrończynią Królestwa. Każdy, kto spróbuje się temu sprzeciwić, odpowie przede mną.

Jej ton, styl i surowa determinacja sprawiały, że czułem się, jakbym patrzył na Valianę. „Przygotowywała ją do takiej chwili, na wszelki wypadek”. Czasem zdanie sobie sprawy z pewnych rzeczy zajmowało mi nieco czasu.

Valiana znów ścisnęła moją dłoń, ale nie po to, żebym opowiedział jej co się dzieje, lecz czulej, i przyszło mi do głowy, że próbuje mnie uspokoić. Odpowiedziałem uściskiem, żałując, że nie mogę powiedzieć jej teraz prosto z serca: „Jesteś spełnieniem marzeń każdego ojca”.

Spojrzeliliśmy na siebie z Krawcową – dwie wściekłe, poturbowane przez życie osoby chcące chronić Aline, bo nie potrafiliśmy ochronić jej ojca. Żadne z nas nie wiedziało, co się wydarzy.

Ale przynajmniej wiedzieliśmy, kto tu rządzi.

Przez kolejnych kilka minut Aline wydawała nam rozkazy w nieprzerwanym potoku słów. To był teraz jej kraj, a przynajmniej przez tyle godzin lub dni, przez ile zdoła go utrzymać. Wezwała resztę pałacowej służby, powiadomiła o tym, co się niebawem wydarzy i jak powinni się zachować. Byłem zdumiony, jak wiele się nauczyła w tak krótkim czasie.

Kiedy wzięła Brastiego na bok i powiedziała mu o jego zadaniu, oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia, a na twarzy pojawił się uśmiech.

– Chociaż raz ktoś daje mi zadanie, które mi się podoba – powiedział Brasti.

Krótko przed świtem kazała Kestowi wyprowadzić Ethalię z pałacu; mieliśmy spotkać się z nimi później, kilka mil poza miastem. Mateo miał wyjść przejściem dla służby na tyłach pałacu z torbą nocnej mgły na ramieniu. Krawcowa i Pastien poszli spakować wszelkie dokumenty, które mogły okazać się potrzebne.

Zastanawiałem się właśnie, jakie ma być moje ostatnie zadanie w Luth, kiedy Aline oznajmiła:

- Będę cię potrzebowała przy spotkaniu z kapłanami.
- Dlaczego?
- Być może będę musiała ich trochę nastraszyć.

„To początek końca jej planu”, pomyślałem. „Ona wciąż wierzy, że jestem prawdziwym bohaterem, który przepędzi wszystkich jej wrogów groźnym spojrzeniem”.

Widząc moje wahanie, Aline dodała:

– Oczywiście, że mam wątpliwości, Falcio, ale potrzebuję, żebyś we mnie wierzył.

Wiara. Jedyne, czego nigdy nie miałem w sobie zbyt wiele. Mogłem jednak odpowiedzieć tylko w jeden sposób.

- Cokolwiek się stanie, będę przy tobie.

Uśmiechnęła się nieznacznie i wróciła do niekończących się przygotowań. Niewiele mogłem jej pomóc, czekałem więc, aż wszystkie rozkazy zostaną wydane. Po jakimś czasie Aline dołączyła do mnie, gdy siedziałem oparty o ścianę na drugim końcu podwyższenia.

- Co teraz? – spytałem.

– Czekamy na przybycie delegacji, po czym spróbujemy sobie z nimi poradzić. – Usiadła obok mnie i wyciągnęła nogi do przodu. – Wszystko w porządku, Falcio. To jak w Rijou podczas Tygodnia Krwi. Jedyne, co musimy zrobić, to wywalczyć sobie drogę.

Mówiła z pewnością siebie właściwą niedoświadczonym szermierzom, którzy jeszcze nie wiedzą, z kim mają się zmierzyć. „Czy to nadal moja Aline? Czy dalej jest dzieckiem skrzywdzonym przez nadmiar tragedii w jej życiu? Jeśli to wszystko to tylko maska, jak długo uda się ją utrzymać?” W Rijou zmierzylśmy się z Ganath Kalila i miastem pełnym zabójców i złodziei; ludzi, którzy życie Aline przehandlowaliby za nędznego miedziaka. Wydawało mi się, że działo się to wieki temu. Osiągnęliśmy tak

wiele, byliśmy tak blisko celu – a teraz siedzieliśmy tutaj, w środku pałacu książęcego, na przyjaznym gruncie.

– Mieliśmy być tu bezpieczni – powiedziałem.

Aline chwyciła mnie za rękę, po czym oparła mi głowę na ramieniu i zamknęła oczy.

– Nie ma bezpiecznych miejsc, Falcio – powiedziała ze smutkiem w głosie. – Jeszcze na to nie wpadłeś?

DELEGACJA

Godziny mijały niezauważenie. Usnęliśmy, oparci o siebie jak dwoje włóczęgów drzemących przy ścianie karczmy. W pewnym momencie usłyszałem krzyki na zewnątrz i drzwi się otworzyły – jakiś zbłąkany szlachcic, prawdopodobnie domagający się audiencji u Pastiena, przepychał się przez strażników. Cokolwiek spodziewał się zobaczyć, na pewno nie był to widok Aline i mnie śpiących na podłodze w nedorzecznej pozie. Przez chwilę jeszcze zastanawiałem się, czy wprawiliśmy go w zakłopotanie, po czym zasnąłem ponownie.

Obudziłem się jakiś czas potem, czując, że ktoś mną potrząsa.

– Delegacja dotarła na miejsce – powiedział kapitan Ciradoc ze skwaszoną miną. – Lady Aline, jesteś pewna, że nie chcesz, żebym...?

– Dostałeś rozkazy, kapitanie: tylko ty i ludzie przy bramie.

Przetarłem oczy i zobaczyłem Aline przeglądającą się w trzymanym przed sobą srebrnym talerzu niczym w lustrze.

– To nie jest odpowiedni strój na powitanie dygnitarzy – powiedziała, wygładzając sukienkę. – Jest jednak wystarczająco formalny, by nie spowodować uniesienia zbyt wielu brwi.

– Ha! – Zerwałem się na nogi, ignorując obolałe stawy. – Większość kapłanów, których spotkałem, miała szaty tak znoszone, że cieszyłem się, jeśli przez dziury w odzieniu nie wystawała im mniej wyjściowa część ciała. Nie powinni przejąć się faktem, że nosisz kołnierz z królika zamiast z gronostaja.

Okazało się, że nie mogłem bardziej minąć się z prawdą: trzech duchowni, którzy czekali na nas przed bramą pałacu, wyglądali jak królowie, bogato

barwione jedwabie i brokaty ich szat łopotały dumnie na wietrze niczym flagi na zdobytym bastionie wroga. Jeszcze lepiej prezentowali się na tle nieskazitelnie białych tabardów stojących za nimi rycerzy. Tłum pielgrzymów zebranych na dziedzińcu patrzył na nich z podziwem. Nawet Quentis i jego Inkwizytorzy nadali swym szarym skórzanym płaszczom odrobinę połysku. „Ciesz się pięknymi ubraniami, póki możesz”.

Aline uprzedziła mnie, bym zachował spokój i prezentował się godnie, dokładałem więc wszelkich starań, by temu wyzwaniu sprostać, choć śnieżnobiałe tabardy doprowadzały mnie do wściekłości. „Mam serdecznie dość rycerzy”, pomyślałem. „Są w centrum każdego pieprzonego problemu, jaki kiedykolwiek męczył ten kraj”.

– Otwórz bramę, kapitanie – rozkazała Aline Ciradocowi.

Mężczyzna spojrzał z ukosa na siły zgromadzone na zewnątrz i próbował raz jeszcze odwieść ją od powziętego planu, ale przerwała mu, jak tylko otworzył usta:

– Nie teraz, kapitanie. Nie bądźmy niegrzeczni wobec naszych gości.

Niechętnie wydał rozkaz, a strażnicy uruchomili kołowrót i podnieśli broń w środkowej bramie. Kapłani już mieli ruszyć do środka, gdy Aline wyszła im naprzeciw.

– Witajcie w pałacu książęcym w Luth, venerati – powiedziała z szacunkiem. – Nazywam się...

Zanim zdążyła dokończyć, sługa w lamowanym płaszczu stojący obok duchownych wręczył Aline zrolowany pergamin.

Kiedy rozwijała dokument, byłem pod ogromnym wrażeniem jego wspaniałości: wykonano go z grubego pergaminu o bogatej teksturze, zwykle zarezerwowanej dla królów, a nie duchownych. Z trudem mogłem rozszyfrować literactwo starotristiańskiego tekstu spisane smoliście czarnym tuszem obramowanym złotem. Woskową pieczęć u dołu opatrzone herbem, którego nigdy wcześniej nie widziałem: dziewięć małych kół ułożonych w trzy linie, nad którymi widniało pięć gwiazd.

„Dziewięć księstw pod pięcioma bóstwami? Nowa religia wygląda bardzo podobnie do starej”.

– Czy potrzebujesz pomocy w odczytaniu dokumentu? – spytał jeden z kapłanów.

Po chwili rozpoznałem w nim Obladiasa. Podczas naszego ostatniego spotkania w martyrium miał na sobie szare, połatane odzienie, ale od tamtego czasu najwyraźniej zdecydował, że jedwabne szaty w głębokim szkarłacie, emblematycznym dla Boga Purgeiza, lepiej na nim leżą. „To ty jesteś naszym wrogiem? Tym, który wprowadził to w ruch?” Poczuję silną potrzebę, by dobrać rapiera i wbić mu go prosto w serce. Ot, na wszelki wypadek. Zamiast tego powiedziałem:

– Dokument jest pięknie zdobiony, ale widzę, że brakuje podpisu.

Drugi z kapłanów, pulchny mężczyzna o północnych rysach, noszący szaty w bardziej mi znanym zielonym kolorze Boga Argentusa, zwanego Monetą, wystąpił naprzód z lekko pochyloną głową i spuszczonego wzrokiem.

– Jeśli spojrzysz na pierwszy wers, zobaczysz słowa „Voce omnius cericis en tatem”, które w archaicznej formie starotristiańskiego oznaczają...

– Nie przybyliśmy tu, by uczyć czytania dzieci i prostaków, Butherze – wtrącił się Obladias.

„A udawał takiego skromnego, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Nie, żebym w to wówczas uwierzył”.

– Wybacz, Obladiasie, chciałem tylko... – zaczął tłumaczyć się kapłan Monety.

– Zdanie brzmi: „Zjednoczonym głosem wszystkich duchownych” – powiedziała Aline bez zająknięcia.

Nie mogłem powstrzymać się od popatrzenia na nią z podziwem. Poza Kestem nie znałem wielu, którzy potrafili czytać choćby uproszczoną formę starotristiańskiego, nie wspominając już o archaicznej odmianie języka.

– A myślałeś, że czym zajmujemy się na lekcjach? – zapytała mnie

z uśmiechem.

Wróciła wzrokiem do dokumentu i pobieżnie przeczytała go do końca, po czym bezceremonialnie zwinęła z powrotem i przekazała kapitanowi Ciradocowi.

– Waszemu skrybie przydałaby się lekcja gramatyki. Ustęp o „zapewnieniu wiernym sprawiedliwych i pobożnych rządów” jest napisany w czasie przeszłym dokonanym, co sugeruje, że takie rządy już panują w królestwie – powiedziała, spoglądając na Obladiasa. – No, chyba że to celowe sformułowanie, venerati? Jeśli tak, dziękuję ci za tę pamiątkę i życzę przyjemnej drogi powrotnej.

Obladias nie był ani zaskoczony, ani rozbawiony, ale zanim zdążył odpowiedzieć, trzeci z nich, w pomarańczowych szatach Krafta, Boga Rzemiosła, roześmiał się i wystąpił naprzód.

– Witaj, Pani. Mam na imię Galbea. Proszę, wybaczyć nam kiepski dobór skryby. Wszystko ostatnio dzieje się tak szybko i wygląda na to, że przedłożyliśmy ozdobne pismo nad poprawność gramatyczną. – Błysnął w stronę Aline uśmiechem, który sprawił, że liczne zmarszczki na jego czole złączyły się w jedną.

– Jednak liternictwo robi wrażenie, nie uważasz? – Był w tym samym wieku co pozostali mężczyźni, ale w przeciwieństwie do nich na twarzy miał wypisane trudy wiejskiego życia.

– Zastanawiam się, venerati – powiedziała niewinnie Aline. – Czy przybyliście tu, by wypowiedzieć wojnę Koronie Tristii?

Zarówno Galbea, jak i Buther wyglądali na lekko zszokowanych taką otwartością, jednak Obladias wykazał się arogancją typową dla kogoś, kto poświęcił swoją duszę Bogu Wojny.

– Dziecko, spytam ponownie: czy masz trudności z odczytaniem dokumentu? To przesłanie pokoju. Jesteśmy tu po to, aby wesprzeć w godzinie próby zmagające się z problemami księstwo.

Aline nie odwzajemniła jego protekcjonalnego uśmiechu. Pierwsza faza

gry najwyraźniej właśnie się zakończyła.

– Zrozumiałam każde słowo dokumentu, venerati – odparła. – Tak jak w pełni odczytuję zamiar i sens twojego przybycia z eskortą. Jakim prawem trzech kapłani z bandą zakutych w stal opryszków próbują obalić władzę w jednym z moich księstw?

Obladias zachnął się na jej słowa.

– To chyba nie do końca twoje księstwo, panienko? Trudno mi sobie wyobrazić, że dawni królowie zamierzali uczynić z tego pałacu zabawkę dla dziewczynek.

– Obladiasie... – jęknął Buther. Patrzył na mnie, jakby czekał na moją reakcję.

Próbowałem się uspokoić i naśladować wyraz twarzy Aline; a ten nie zdradzał żadnej emocji. Wyczuwałem jej subtelne poczucie satysfakcji: sprawiła, że ubrany na czerwono duchowny odsłonił część kart, co mogła później wykorzystać.

„Cholera, dlaczego nawet czternastoletnia dziewczyna jest lepszym politykiem niż ja?” Nie miałem czasu, by dokładniej rozważyć tę kwestię, gdyż kapłan Monety zaczął się usprawiedliwiać:

– Rycerze są tu po to, by chronić wiernych, Pani. – Wskazał niemal ukradkiem tłumy zebrane na dziedzińcu pałacu. – Coraz więcej mówi się w kraju o mordach na kapłanach, a na własne oczy widzieliśmy zniszczenia poczynione w jednym z najstarszych sanktuariów w Tristii.

– Żaden z tych występków nie jest tak nikczemny jak zabójstwo świętego – przerwał mu Obladias i zacisnął pięść. Widziałem, że bardzo chciałby teraz ścisnąć w niej coś, czym mógłby zadać cios Aline. – Świętego, powtarzam! Ilu jeszcze bezceństw muszą dopuścić się trattari, by ktoś w końcu zrobił z nimi porządek?

– Ależ Obladiasie... – Tym razem próbował się wtrącić kapłan w pomarańczowych szatach.

– Ten człowiek – krzyczał jednak dalej Obladias, wytykając mnie

palcem, jakby chciał, żeby wystrzeliła z niego błyskawica – jest odpowiedzialny za śmierć dwóch świętych, a przynajmniej o tylu wiemy. Co więcej, mamy podstawy, by podejrzewać go również o śmierć Birgid Co Wypłakuje Rzeki i kto wie, ilu jeszcze!

„Wiedziałem, że wszystko to prędzej czy później zostanie zrzucone na moje barki”.

– A zatem w ten sposób zamierzasz to przedstawić – powiedziałem. – Chcesz winę za mordowanie świętych zrzucić na Wielkie Płaszcze? Na swoją obronę mogę tylko dodać, venerati, że to mój przyjaciel Kest zabił Caveila Co Przecina Wodę. Ja zaś przyznaję, że usunąłem z tego świata Shurana Co Był Świętym Wyjątkowo Krótko.

– Wiedziałem, że wspomnisz Kesta, tego apostatę – oburzył się Obladias. – Tego, który splunął na boski dar, podczas gdy ty – znowu wskazał na mnie i tym razem wyobraziłem sobie kulę ognia na końcu jego palca – ośmieliłeś się zamordować naczynie wybrane przez bogów, nowego Świętego od Mieczy.

– Wierz mi na słowo, nie byłby twoim ulubionym świętym – zauważyłem.

Aline ponownie przejęła kontrolę nad rozmową.

– Venerati, mówisz o człowieku, który chciał przejąć kontrolę nad całą Tristią z pomocą tysiąca rycerzy w czarnych tabardach. Na twoim miejscu bym uważała, bo ty masz do dyspozycji tylko setkę – uśmiechnęła się. – Chociaż przyznaję, że tabardy mają ładniejsze.

Wśród rycerzy rozległ się szmer niezadowolenia, najwyraźniej nie zyskała sobie ich przychylności. Za to ja miałem ochotę ją wycalować. „Już teraz wiesz, dlaczego nikt nigdy nie prosi cię o zajmowanie się dyplomacją, idioto”.

Aline postąpiła naprzód i przepchnęła się przez kapłanów, by spojrzeć na stojących przed nią rycerzy.

– Który z was dowodzi? – zapytała.

Obladias odezwał się z tyłu.

– To są fideri, dziewczyno. Rycerze Świątynni dowodzeni przez samych bogów.

– Doprawdy? – spytałem beztrosko, ale z ręką gotową do sięgnięcia po rapier, gdyby któryś z nich chciał skrzywdzić Aline. – Czy bogowie często z nimi rozmawiają? Jeśli nie, to na polu walki mogą się ciut pogubić.

Jeden z rycerzy wystąpił naprzód, jak na mój gust stając nieco zbyt blisko Aline, i górując nad nią, warknął:

– Jeśli zdecydujemy się na bitwę, na własnej skórze przekonacie się, jak dobrze sobie radzimy.

Widziałem, jak Aline drży, ale nie dała poznać, że się boi i odezwała się:

– Doskonale. Skoro przemawiasz w imieniu ich wszystkich, przekażę ci moje rozkazy, a ty sprawisz, by dotarły do pozostałych.

– Nie waż się mi rozkazywać, dziewczko. – Odwrócił się do swoich ludzi i gromko zakrzyknął: – Chyba że dziś wieczorem w twojej sypialni!

„No dobrze, czas na moją dyplomację”. W jednej chwili dobyłem rapiera i przystawiłem go mężczyźnie do gardła.

– Jeśli nie cofniesz się w tej chwili, ochrzczę czerwienią twój pieprzony śnieżnobiały tabard – zagroziłem.

Rycerze sięgnęli po broń, a ja usłyszałem Quentisa mówiącego „Falcio, nie rób tego”. Nie zadałem sobie trudu, by na niego spojrzeć; byłem prawie pewien, że właśnie mierzy do mnie z pistoletu.

– Panowie, proszę was – powiedział Galbea, mnich odziany w pomarańczową barwę. – Nikt z nas nie chce przecież przemocy. – Skinął na rycerzy. – Zróbcie, co mówi. Przybyliśmy tu w pokoju.

Nie odwracając się do mnie, Aline podniosła rękę, gestem pokazując, żebyśmy się wycofali. Gdybym nie posłuchał, podkopałbym jej autorytet przed duchownymi.

Schowałem broń.

Rycerze nie odpowiedzieli tym samym.

Obladius zdecydował, że to oznacza wygraną. Zwrócił się do Aline:

– To była przyjemna rozrywka, ale czeka nas jeszcze dużo pracy. Razem z trattari zostanieie zatrzymani w oczekiwaniu na proces.

Spojrzał na stojącego z boku kapitana Ciradoca i rozkazał:

– Każ swoim ludziom złożyć broń.

Zagadnięty wyglądał jakby w tej chwili miał w głowie kilka innych zastosowań dla swojego oręża, ale wyciągnął miecz i położył go na ziemi, przyklękając przed duchownym.

– Pałac jest twój, panie – oświadczył.

– Widzisz, venerati, nie ma między nami konfliktu. Przyjechałeś po księstwo i dostałeś je – powiedziała Aline, po czym teatralnym gestem skłoniła się i ruszyła w kierunku wyjścia z pałacu.

– Stój! – krzyknął Obladius.

Drogę zastąpiło jej dwóch rycerzy. Moje palce drżały i musiałem powstrzymać się z całych sił, by nie wyciągnąć ponownie ostrza. „Zaczekaj”, powiedziałem sobie. „Trzymaj się planu”.

Ręce Aline trzęsły się tak bardzo, że musiała trzymać je splecione za plecami. Spojrzała na rycerzy.

– Zastanawiam się, panowie, czy paracie się może łucznictwem?

– Co to za gierki? – spytał Obladius.

Aline niewzruszona kontynuowała:

– Chcielibyście zobaczyć mój łuk? – Odsunęła się o krok, a następnie wyciągnęła przed siebie lewą rękę zaciśniętą na niewidzialnym łączysku. – Ostatnio mało ćwiczyłam, ale chyba wciąż idzie mi całkiem nieźle.

Przywódca rycerzy prychnął lekceważąco.

– Co to ma być? Ktoś dał ci zmyślony łuk, żeby pasował do zmyślonej korony, dziewczynko?

Aline roześmiała się z jego żartu, po czym odparła:

– Czasami wyobraźnia może być potężną bronią, panie rycerzu.

– Wystarczy – powiedział Obladius. – Zabierzcie to obłąkane stworzenie

do środka.

Jeden z rycerzy chciał ją pochwycić, ale cofnęła się i wyciągnęła prawą rękę, jakby naciągała w powietrzu cięciwę.

– Uważaj. Ostrzegam po raz ostatni.

Rycerz zrobił krok do przodu, na co Aline otworzyła zaciśniętą prawą dłoń, a w opancerzonym udzie rycerza utkwiała nagle długa na dwie stopy strzała z żelaznego drzewa. Krzyknął i upadł na ziemię. Rycerz obok niego podniósł broń; Aline odwróciła się do niego i znów zwolniła niewidzialną cięciwę, na co powietrze ze świstem przecięła kolejna strzała, kończąc swój lot w ramieniu mężczyzny.

– Ciekawe – powiedziała. – Zmyślane strzały chyba tak nie wyglądają, prawda?

Wszyscy spojrzeli w stronę murów obronnych. Na samym szczycie siedział Brasti, kołysząc nogami i bawiąc się leżącymi obok strzałami. A było ich kilkadziesiąt.

– Nie zwracajcie na niego uwagi – powiedziała Aline. – To tylko mój instruktor łucznictwa. To on sprezentował mi ten łuk. Wiem, że broń nie wygląda zbyt imponująco, ale powiedział mi, że nigdy nie pudłuje.

Odwróciła się w stronę reszty rycerzy.

– Stoicie tak blisko siebie, że to chyba nawet nie będzie szczególne wyzwanie.

Kilku z nich cofnęło się, póki dowódca nie wykrzyczał rozkazu zwarcia szeregów. Tylko niektórzy z nich mieli tarcze, ale naliczyłem wystarczająco dużo kusz, by nawet przy takiej różnicy wysokości jeden z nich mógł szybko poradzić sobie z Brastim. Obladiaz też zdawał sobie z tego sprawę.

– Zrób tę swoją sztuczkę jeszcze raz, a zginiesz – ostrzegł ją.

– Jak sobie życzysz, venerati. Ale przygotowałam jeszcze wiele innych sztuczek. Potrafię na przykład wywołać mgłę.

Na umówiony wcześniej sygnał przebrany za pielgrzyma Mateo wyszedł z tłumu i upuścił wiadro wody na czarnoszarą substancję rozsypaną na

ziemi, gdzie stali Quentis i jego Inkwizytorzy.

Nocna mgła zasyczała, a po chwili gęsty, szary dym wypełnił powietrze.

– Do diabła – zaklął Quentis, chowając pistolet. – Buzdygany w dłoń! – rozkazał swoim ludziom. – Pistolety na nic nam się nie zdadzą w nocnej mgle.

Obladias zaniósł się kaszlem, ale po chwili udało mu się go opanować.

– Jest nas tu wystarczająco dużo, byśmy mogli poradzić sobie z tobą i twoim łucznikiem, dziewczyno. W ten sposób nam nie uciekniesz. – Jego słowa brzmiały głucho, zniekształcone przez opary mgły.

– Być może – zgodziła się Aline, po czym zmierzyła go uważnym spojrzeniem. – Chociaż podejrzewam, iż strzelam na tyle dobrze, że nawet jeśli umrę, stracisz bardzo wielu swoich rycerzy. – Skierowała wzrok na obserwujących nas pielgrzymów, po czym kontynuowała: – To dość dziwne, nie sądzisz? Gdyby bogowie naprawdę popierali waszą sprawę, z pewnością utrudniliby mi trafienie was moimi wymyślonymi strzałami.

Pomimo niepewności naszej sytuacji, prawie parsknąłem śmiechem. „Cytuje im Boskie Wersety”, pomyślałem z dumą. Jej argument miał sens: gdyby kapłani rzeczywiście byli wysłannikami bogów, z pewnością jedna dziewczyna i kilku Wielkich Płaszczy nie byłoby w stanie zabić kilkunastu rycerzy. Aline znów wyprostowała lewą rękę i udała, że sięga po kolejną strzałę. Jej następne słowa zostały wypowiedziane ze śmiertelnym spokojem.

– Kilka miesięcy temu zasadziliśmy w ogrodach zamku Aramor tysiąc czarnych dalii. Myślę, że na tym dziedzińcu białe lilie będą się prezentować jeszcze lepiej.

Przywódca rycerzy nie okazał żadnych oznak strachu, machając w stronę gęstej, szarej mgły pięścią w panczernej rękawicy.

– Przy starciu z wojskami Shurana miałeś tysiąc łuczników...

– Tysiąc? – przerwał Brasti oburzony. Powtórzył: – Tysiąc? Miałem ich nie więcej niż setkę!

Buther, z twarzą niemal tak zieloną jak jego szaty, podjął próbę interwencji.

– Myślę, że wszyscy powinniśmy się uspokoić, Pani. Musisz zrozumieć, że...

– Nie, venerati – powiedziała z taką mocą, że natychmiast zamknął usta. Nie mówiła głębokim tonem i niewystarczająco głośno, ale słyhać było, że jej słowa płyną prosto z serca. – Jesteście tu w zdradzieckim celu i wiem, że jeśli stawię wam opór, zginą niewinni. Oddaję wam pałac, ale wiedźcie, że robię to tylko dlatego, iż tak postanowiłam.

Zrobiła krok w kierunku rycerzy. Ich przywódca krzyknął krótko: „Kusze!”, na co grupa zbrojnych na prawym skrzydle podniosła broń i wycelowała w Aline.

– Wydaje ci się, że jesteś w stanie strzelać ze swojego zmyślnego łuku na tyle szybko, by zatrzymać nas wszystkich?

Odpowiedzią na jego słowa był krzyk, dziwny i odległy w nocnej mgle, ale którego źródłem, jak się domyślałem, było gardło jednego z kuszników. Pozostali odwrócili się, próbując dostrzec, kto atakuje ich towarzysza, po czym ktoś inny krzyknął z bólu i potknął się, wpadając na pozostałych. W gęstniejącej mgle rycerze nie byli w stanie dostrzec lawirującego między nimi napastnika.

– Poznaliście już Serce Króla i Strzałę Króla – powiedziała Aline do przywódcy rycerzy, przerywając na moment, by mrugnąć w moją stronę. – Mam nadzieję, że żaden z was nie nadużyje Królewskiej Cierpliwości.

„Darriana musiała wrócić do pałacu wczoraj wieczorem, a Aline kazała jej pozostać w ukryciu dokładnie do tej chwili”. Próbowałem odpowiedzieć uśmiechem na jej mrugnięcie, nim się odwróciła, ale byłem zbyt zaskoczony rozwojem wydarzeń. Bez względu na to, czego ci ludzie się spodziewali – i czego ja sam się spodziewałem – Aline wymykała się wszelkim oczekiwaniom. Valiana ćwiczyła z nią przez ostatnie miesiące, dając jej opiekę i pomagając znaleźć siłę, w której istnienie sam nie mogłem przez

długi czas uwierzyć.

– Imiona, które wymieniasz, twój ojciec nadał Wielkim Płaszczom – powiedział Obladias, zaciskając gniewnie usta. – Szafujesz pożyczonym od niego dorobkiem niczym bezczelne dziecko, któremu już od dawna należy się porządne lanie.

„Powiedz to, draniu. Wystarczy jedno słowo, a będziesz pierwszym, który się przekona, czy bogowie naprawdę istnieją, czy są tylko narzędziami wykorzystywanymi przez ciebie i tobie podobnych do napełniania własnej kiesy”.

Przez chwilę myślałem, że Obladias wyda rycerzom rozkaz do ataku, jeden z Inkwizytorów Quentisa straci cierpliwość, a nawet że Brasti po prostu wystrzeli przez pomyłkę. Ale nikt nie zdecydował się przełamać impasu. We wciąż gęstniejącej mgle twarz Obladiasa nabrała odcienia jego szat i po chwili warknął:

– Wynocha. Uciekajcie stąd, ale wiedźcie, że bogowie jeszcze z wami nie skończyli.

– Ciesz się pałacem – odpowiedziała Aline. – Tylko bacz, byś niczego nie uszkodził. Gdy tu wrócę, mam zamiar przeprowadzić dokładną inwentaryzację.

To powiedziawszy, przeszła obok rycerzy i przez tłum pielgrzymów krokiem młodej dziewczyny wybierającej się na popołudniową przechadzkę.

HYMN

Kiedy razem z Aline znaleźliśmy się na tyle daleko, że przestałem nerwowo oglądać się za siebie, powiedziałem:

– Nie rozkazałaś kapitanowi, aby się poddał, żeby ochronić go i jego pozostałych strażników. Zrobiłaś to, byśmy wyglądali na słabszych, niż jesteśmy w rzeczywistości.

– Zgadza się – przyznała. – Chodziło też o coś więcej. Patrząc na pałacowych strażników, kapłani widzą ludzi, których można przekonać do swoich racji pieniędzmi lub siłą.

– O Wielkich Płaszczach by tak nie pomyśleli – odparłem.

– W istocie.

Pokręciłem głową ze zdumieniem.

– Ci biedacy nie mieli bladego pojęcia, z kim przyjdzie im się spotkać – powiedziałem. „Wygląda na to, że ja też nie”.

Spodziewałem się, że Aline będzie zadowolona z mojego wniosku, ale zareagowała wprost przeciwnie. Zatrzymała się i kiedy spojrzała na mnie, jej wzrok był skupiony na bardzo odległym miejscu.

– Falcio, posłuchaj mnie uważnie. Ci mężczyźni, ci kapłani, byli doskonale przygotowani. Dokładnie wiedzieli, z kim i czym mają do czynienia.

– Myślałem...

Podniosła rękę i natychmiast zamilkłem.

– Za kilka godzin jeden z nich zasiądzie na tronie Luth. Za kilka dni kapłan będzie władać księstwem w Tristii po raz pierwszy od sześciuset lat. Książęta myślą się, twierdząc, że kapłani na tym poprzestaną. Świątynia

wykorzysta swój majątek, by poprawić sytuację prostych ludzi, przynajmniej na jakiś czas. Będą przekupywać szlachtę w królestwie i wówczas zmiany zaczną zachodzić szybciej, po czym w całym kraju...

– Książęta nigdy na to nie pozwolą – powiedziałem z mocą.

Pokręciła tylko głową.

– Książęta nie przetrwają nawet roku. Pomniejsi arystokraci mają dość ich ucisku; kapłani zaoferują wicehrabiom, margrabiom i reszcie szlachty większą władzę i przywileje w zamian za wierność Świątyni, a ci ochoczo przystaną na ich propozycję. Wszystko, co zrobiliśmy w pałacu, miało ich tylko opóźnić, pokazać im i ich rycerzom, że powinni obawiać się wykonywania kolejnych ruchów zbyt szybko. Tak postąpiłaby Valiana: zyskać na czasie, by znaleźć inny sposób na rozwiązanie problemu.

– Mamy wiele problemów, złotko. O który konkretnie ci chodzi?

Westchnęła ciężko i zdałem sobie sprawę, że naprawdę zirytowałem ją tym komentarzem. Nim zdążyłem ją przeprosić, powiedziała:

– To, co zaraz powiem, nie będzie prośbą a rozkazem. Potrzebujemy czegoś więcej niż tylko kilku odważnych szermierzy, więc ty, Kest i Brasti wyruszyście z Ethalią w poszukiwaniu czynnego sanktuarium, by mogła w pełni korzystać ze swojej mocy. Jest nam teraz bardzo potrzebna.

„Faktycznie, nic prostszego”, pomyślałem. „Zostawić cię bez opieki, kiedy węże zaczynają pełzać coraz bliżej. Ani mi się śni”.

– Nie jestem pewien, czy ktoś cię już oświecił w tej kwestii, ale Wielkie Płaszczki nie muszą być posłuszne rozkazom monarchy.

– Słuchaliście poleceń mojego ojca – powiedziała oskarżycielsko.

– Woleliśmy myśleć o nich raczej jako o dobitnie sformułowanych sugestiach. – Podniosłem ręce w obronnym geście. – Posłuchaj, Tristia to duży kraj, a my nie wiemy nawet, czy istnieje jeszcze jakieś sanktuarium, które nie zostało zbezczeszczone. Poza tym nie mam zielonego pojęcia, jak mielibyśmy go szukać.

Odpowiedział mi drwiący głos:

– Czy trattari kiedykolwiek wiedzieli, dokąd się udać bez bardattich? – Rhyleis, muzykantka, którą spotkałem w karczmie w Baern, szła w naszą stronę spokojnym krokiem. Zarozumiały uśmiech na twarzy idealnie współgrał z jej dumnym chodem.

– Rozmawiałam wcześniej z Rhyleis – powiedziała Aline. – I chcę, byś jej posłuchał.

– A melodię mam dla ciebie zaiste piękną, Pierwszy Kantorze. – Zatrzymała się przede mną i przeciągnęła palcem wzdłuż mojej szczęki. – Ach, biedny Falcio. Wyglądasz na nieszczęśliwie zakochanego. Czyżbyś nadal uganiał się za Świętą Miłosierdzia, modląc się do księżycy w nadziei, że łaskawie przyświeci twoim pragnieniom? Może powinieneś znaleźć sobie towarzyszkę, która przychylniej spojrzy na twoje awanse? – Mrugnęła znacząco przy ostatnim zdaniu.

Zaczynałem odczuwać lekkie rozdrażnienie swobodą, z jaką wszyscy rozmawiali o moim życiu uczuciowym.

– Pani, przyszłaś tu z radą czy z zaproszeniem na schadzkę? – zapytałem.

Wyraz twarzy Rhyleis zmienił się w jednej chwili i dostrzegłem na jej twarzy szczery i dojmujący smutek, jakbym swoimi słowami złamał jej serce po raz pierwszy w życiu. Widząc, że nie do końca mnie to przekonało, płynnie przerzuciła się na wyniosły i znacznie bardziej autentyczny ton.

– Wiesz, w dawnych czasach, kiedy bardatti przynosili nowiny, mężczyźni i kobiety możniejsi od ciebie padali na kolana, błagając, by je usłyszeć. – Wyciągnęła przed siebie smukłą dłoń, jakby chciała dokładnie ją obejrzeć. – W tamtych czasach obrzucono by mnie biżuterią ze złota i srebra.

– Mogę ci co najwyżej podziękować – odparłem.

Uśmiechnęła się, po raz pierwszy wyglądając normalnie; to była jedna z tych chwil, która nie była dla niej przedstawieniem.

– W takim razie to mi wystarczy. Posłuchaj zatem mojej pieśni.

Spojrzałem na Księstwo, pozostawione właśnie przez nas na pastwę Świątyni, gdzie Inkwizytorzy będą wkrótce egzekwować nowe prawa, które Obladias i posłuszni mu kapłani pewnie teraz spisują. Święci mrą na potęgę, nie jesteśmy w stanie znaleźć pozostałych Wielkich Płaszczy, a nasz przeciwnik, który zaplanował to wszystko tak starannie, wyprzedza nas na każdym kroku. Nawet z takiej odległości słyszałem pielgrzymów zjednoczonych we wspólnej pieśni, czymś w rodzaju radosnego zawodzenia.

– Proszę, tylko nie mów mi, że naprawdę chcesz teraz śpiewać – powiedziałem, wracając wzrokiem do Rhyleis. – Obawiam się, że to może być gwóźdź do trumny, i naprawdę poderżnę sobie gardło.

– Niemądry sędzia – zbesztła mnie. – Moja wiadomość już rozbrzmiewa, musisz się tylko lepiej wsłuchać.

– Rhyleis, wystarczy – wtrąciła się Aline, której najwyraźniej kończyła się cierpliwość do naszych sprzeczek. – Powiedz mu.

Muzykantka ukloniła się przesadnie nisko i odparła:

– Niestety, moja Pani, bardatti nie podlegają rozkazom królowych i królów.

Aline spojrzała na mnie i zapytała:

– Czy w tym kraju ktokolwiek mi podlega? Zaczynam się poważnie zastanawiać, jaką właściwie władzę ma w swoich rękach monarcha.

Rhyleis ukloniła się raz jeszcze, tym razem szczerzej.

– To, moja Pani, jest właśnie pytanie, które powinien sobie zadawać następca tronu. – Wskazała drogę prowadzącą do pałacu i śpiewających pielgrzymów. – Falcio, jak ci się podoba ta pieśń?

Nie lubię hymnów; zawsze brzmią nieco pretensjonalnie i nie można przy nich tańczyć. Ale w tym wychwyliłem coś dziwnego. Tristiańskie hymny śpiewane są w chórze, a każdy kolejny werset ma nieść błaganie do innego boga. W tym, który właśnie śpiewali pielgrzymi, było coś dziwnego; początkowo wyczuwałem to podświadomie, ale po chwili słuchania nie można było przegapić tej ukrytej melodii.

Rhyleis wpatrywała się we mnie uważnie.

– Widzę, że masz niezłe ucho – powiedziała z aprobatą, jakby to właśnie sprawiło, że nagle stałem się dla niej bardziej atrakcyjny. – Jesteś w stanie rozpoznać wiadomość?

Aline przerwała jej ponownie.

– Dobrze wiesz, że nie, więc przestań się popisywać i powiedz nam.

– Pierwsza para nut skrywa słowo bardatti oznaczające „znalezione” – odparła Rhyleis, ustępując. – Nehra wysłała nas w poszukiwaniu niezbezczeszczonych sanktuariów, a to oznacza, że jedno z nas takie znalazło. Posłuchajcie: opadający czwarty dźwięk, piąty wznoszący się, a potem szósty znowu w dół? To oznacza hrabstwo Verderen.

W pierwszej chwili nie uwierzyłem własnym uszom.

– Jesteś w stanie odczytać nazwę każdej marchii i hrabstwa w kraju z sekwencji nut?

– Dokładniej z odstępów między nutami. Tak – potwierdziła. – Moglibyśmy nawet wskazać w piosence konkretną posiadłość, ale trudno to zrobić bez użycia instrumentów.

Aline przechyliła głowę, jakby też chciała odczytać wiadomość ukrytą w linii melodycznej.

– Chcesz mi powiedzieć, że bardatti śpiewają wśród pielgrzymów?

Rhyleis wybuchła śmiechem.

– Oczywiście, że nie! Cóż byśmy dokonali, gdybyśmy musieli jeździć po kraju przebrani za pątników? Nie, moja Pani, to o wiele prostsze: któreś z nas tworzy melodię, a potem śpiewa ją tu i ówdzie, zwłaszcza w pobliżu pielgrzymów, a Ci, słuchając, podłapują melodię. Rozprzestrzenia się szybko, jeśli tylko odpowiednio się ją skomponuje. Mogłabym wam powiedzieć, w której karczmie najczęściej przesiaduje konkretny pijak, tylko po sposobie, w jaki wykrzykuje refren *O koniu i słomie*.

– Naprawdę potraficie to zrobić? – spytała Aline. – Wystarczy zmienić kilka nut w utworze, a inni podchwycą go i zaczną śpiewać, nawet nie zdając

sobie z tego sprawy?

– Jestem bardatti – odparła Rhyleis, jakby to wystarczyło za odpowiedź.

– Ale jeśli chcesz usłyszeć coś naprawdę imponującego, poproś Nehrę, by pokazała ci, jak nauczyć melodii skowronki.

Coraz bardziej niewygodna stawała się dla mnie świadomość, że takim bardatti i cogneri udało się zachować tak wiele z ich wiedzy, podczas gdy my, trattari, musieliśmy odtwarzać wszystko od podstaw. I wciąż nie podoba mi się to, jak nas nazywają, chociaż wiem, że „trattari” pierwotnie nie miało negatywnego wydźwięku, które mu się obecnie przypisuje.

– Skąd pewność, że informacje są prawdziwe? – spytałem. – Chcesz nas wysłać w sam środek Domaris na podstawie kilku nut w hymnie do bogów?

– Nasz nowy arcykapłan to imponująca postać, nie sądzisz? – odpowiedziała Rhyleis, ignorując moje pytanie. – Ma taki mocny głos. Osobiście uważam, że szczególnie fascynujący jest sposób, w jaki przeciąga samogłoski.

Chwilę zajęło mi domyślenie się, o co jej chodzi.

– Jest z Domaris?

– To, że pochodzi z Domaris, powie każdy, kto nie jest głuchy. Mówię ci, że pochodzi z *Verderen*. Akcent na samogłoski może i jest subtelny, ale za to zdradza go od razu.

Kiedy jeszcze udawał skromnego mnicha, Obladias opowiedział mi niemającą z niczym związku historię o człowieku z jego okolic, który stracił wiarę w bogów po śmierci rodziny. Jeśli naprawdę pochodził z *Verderen*, to może właśnie tam się to zaczęło – i właśnie tam zostawili jedyne niezbezczerzone sanktuarium. „To słaby dowód”, pomyślałem. Same spekulacje, plotki i przypuszczenia.

Aline dostrzegła wyraz mojej twarzy.

– Falcio, weźmiesz Kesta i Brastiego, i znajdziecie sposób, by dotrzeć do hrabstwa *Verderen* z Lady Ethalią. Będziecie musieli wymyślić, jak wprowadzić ją do tego sanktuarium, i pomóc uzyskać pełnię świętości. Jeśli

uda jej się powstrzymać szaleństwo, które trawi Valianę, możemy mieć jeszcze szansę.

– Ale... – zacząłem.

Aline rzuciła Rhyleis znaczące spojrzenie, a bardatti zrozumiała aluzję i oddaliła się nieco.

– Musicie to zrobić teraz, Falcio – mówiła dalej, spoglądając na tłumy zgromadzone przed pałacem Luth. – To nasza jedyna nadzieja: musi być jakiś powód, dla którego wróg tak bardzo się jej boi.

– Nie zostawię cię samej i bezbronnej – powiedziałem z naciskiem. – Ktoś musi chronić ciebie i Valianę, kiedy znowu...

– Zajmę się tym – powiedziała Darriana, wychodząc spomiędzy drzew stojących wzdłuż drogi.

Aline wyglądała na zirytowaną.

– Przecież prosiłam, żebyś nas nie szpiegowała, Darriano.

– Zignorowałam tę prośbę. – Spojrzała mi prosto w oczy. – Rozumiesz?

Wiadomość była prosta i klarowna: Darriana nie bała się lekceważyć królewskich rozkazów. Zrobiłaby wszystko, żeby Aline i Valiana były bezpieczne. Skinąłem głową, a Darri oddaliła się w swoją stronę.

Przez chwilę Aline patrzyła na mnie groźnie, po czym westchnęła.

– Jak widzisz, nie grozi mi, że zostanę bez ochrony. Mateo i Krawcowa też będą przy mnie.

– Nie zapominaj o Tommerze – powiedziałem. – Pewnie już zdążył zerwać się z ojcowskiej smyczy. Założę się, że w tej chwili galopuje w naszą stronę.

Miało to zabrzmieć sarkastycznie, ale Aline odpowiedziała mi uśmiechem.

– On mnie kocha, a przynajmniej tak mu się wydaje.

Mówiła jak dwudziestolatka o zauroczonym nią ośmiolatku, a nie jak czternastoletnia dziewczynka, ledwie od niego starsza.

– Co się stało z na wpół oszalałą dziewczyną, która rwała włosy z głowy,

nie wiedząc, czy doczeka kolejnego dnia? – pomyślałem na głos.

Aline wzięła mnie za rękę, po czym przyłożyła ją sobie do policzka.

– Walczy ostatkiem sił, próbując udawać, że jest w stanie utrzymać ten kraj w jednym kawałku. Co, jak oboje wiemy, nie ma prawa się udać.

Nie wiedziałem, co mam zrobić, co jej powiedzieć. Aline właśnie powiedziała na głos to, czego najbardziej się bałem.

– Przepraszam – powiedziała. – Chcę, żebyś znał prawdę. Muszę udawać przed innymi. Potrzebują kogoś, w kogo będą mogli wierzyć, ale ty...

Teraz to ja uspokajałem ją.

– I tak już udało ci się dużo zdziałać. Potrzeba nam tylko czasu, by książęta zrozumieli, że...

– Nigdy nie będę miała go wystarczająco dużo. Jest tylko jedna osoba, która może uratować ten kraj, ale w tej chwili powstrzymuje ją żelazna maska. Musisz znaleźć sposób, by uratować Valianę, zanim będzie za późno.

CHŁOSTA

Byłem ostatnim, którego wtajemniczono w plan. To miało sens, bo gdybym tylko wiedział o nim wcześniej, w życiu bym się nie zgodził. Przekłęty płaszcz Inkwizytora dokuczał tak, jakby zamiast podszewki miał stado diabłów zaciekle drapiących moją skórę.

– Myślisz, że one celowo są takie niewygodne? – zapytał Kest, szarpiąc za sztywny kołnierz i dostrzegając, że nieustannie drapię nadgarstek w miejscu, gdzie ocierał się o mankiet płaszcza.

– Co masz na myśli? – zapytałem.

– Być może ciągły dyskomfort ma uczynić cogneri odpornymi na przyziemne pokusy.

Brasti prychnął.

– Te sukinsyny, którym zabraliśmy płaszcze, wydawały się wyjątkowo słabo odporne.

Nie mieliśmy okazji stawić czoła Inkwizytorom – większość czasu zajmowały nam próby wymyślenia, jak przekraść się do Domaris, tak by uniknąć kontaktu z nimi. W pewnej chwili natknęliśmy się na czterech z nich. Pastwili się nad czcicielami Bogini Miłości zgromadzonymi przy niewielkiej świątyni. Inkwizytorzy wybrali dla nich szczególnie poniżającą karę.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego muszę paradować z tym bezużytecznym urządzeniem – ciągnął Brasti, kręcąc pistoletem wokół palca.

– Inkwizytorzy nie noszą łuków – odparłem. – I przestań bawić się tym cholerstwem. Nie żebym przejmował się, że strzelisz sobie w stopę, ale możesz przy okazji upuścić pistolet i go zniszczyć. Wkrótce możemy ich

potrzebować.

– A tak przy okazji, wspominałem już, jak bardzo nienawidzę twojego planu? Dlaczego nie możemy po prostu... – przerwał, wpatrując się w drogę przed nami. – Na jaja Świętego Zagheva.

Zatrzymaliśmy konie tuż przed płynącą w naszą stronę falą zmęczonych podróżnych. Niezliczone stopy szurające po zakurzonej drodze wzbijały w powietrze taką chmurę, że trudno ich było policzyć.

– Ilu? – spytałem, próbując wytrzeć kurz z oczu.

– Biedni głupcy, przynajmniej setka – stwierdził Brasti.

Kest podniósł się w strzemionach, przyjrzał się ludzkiej masie i odpowiedział:

– Blżej stu czterdziestu.

Żadna z tych liczb mnie nie uspokoiła. To był nasz szósty dzień spędzony na północnych drogach, drugi od przekroczenia granicy między księstwami Aramor i Domaris. Codziennie napotykalismy pielgrzymów, czasem kilku, czasem kilkunastu: grupki zmęczonych mężczyzn i kobiet o pustych żołądkach, wyciągających do nas drżące ręce w nadziei na najdrobniejsze nawet kawałki jedzenia. W pierwszych dniach oddawalismy im tyle, ile zdołaliśmy, ale z czasem konieczność poskromiła naszą hojność. Ci, których spotkaliśmy, nigdy nie próbowali narzekać, przekonywać nas czy grozić; widząc nasze szare stroje Inkwizytorów, pozdrawiali nas jedynie, gdy przejeżdżaliśmy obok.

– Boją się – powiedziała Ethalia, zmęczonym wzrokiem wpatrując się w chmurę pyłu i brudu. – Przepelnieni są strachem.

Teraz, gdy opuściliśmy pałac Luth, jej gorączka była gorsza niż kiedykolwiek. Blandość skóry podkreślała coraz szczuplejszą twarz. Całymi dniami wstrząsały nią dreszcze, nawet w południowym słońcu; w nocy patrzyłem, jak kropelki potu spływają jej z twarzy na posłanie. Nieustannie poszukiwałem słów lub gestów, którymi mógłbym ulżyć jej cierpieniu, ale najlepsze, co mogłem dla niej zrobić, to trzymać się z dala.

– Zbliżają się – powiedział Kest miękkim głosem, jakby chcąc złagodzić to, co musiało teraz nastąpić.

– Przykro mi – zwróciłem się do Ethalii. – Musisz założyć z powrotem kaptur i kajdany.

Skinęła głową i sięgnęła po szary, lniany worek przywiązany z przodu siodła. Nałożyła go na głowę, po czym umieściła dłoń w żelaznych kajdanach zwisających jej dotychczas luźno z jednego nadgarstka. Wyglądała teraz jak zwykły heretyk eskortowany na rozprawę przez trzech Inkwizytorów. Sięgnąłem po wodze jej wierzchowca, abym mógł poprowadzić ją obok tłumów, nienawidząc za to siebie i cały świat dookoła.

Ściągnęliśmy cugle naszym wierzchowcom, nie chcąc, by ktoś odniósł wrażenie, że chcemy jak najszybciej minąć pielgrzymów, ale tłum rozstał się przed nami usłużnie. Ludzie kłaniali się nam, gdy przechodziliśmy obok, jednocześnie wyciągając ręce na wypadek, gdybyśmy chcieli dać jałmużnę.

– Falcio – powiedział Brasti niskim i spokojnym głosem, co natychmiast przykuło moją uwagę. Wskazał na zakręt w oddali. Kilku mężczyzn stało tam wokół drzewa.

– Co się tam dzieje? – spytałem. Zawsze miał lepszy wzrok ode mnie.

Wtem powietrze przeszył trzask bicia, po którym rozległ się krzyk bólu. Pochyliłem się do przodu w siodle, starając się dostrzec coś w oddali, kiedy jęk za plecami sprawił, że się odwróciłem, by zobaczyć, jak Ethalia przechyła się ciężko na bok. Ledwo trzymała się w siodle.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Z tego, co widzę, znęcają się nad jakimś chłopcem przywiązanym do drzewa – odparł Brasti.

Wciąż jednak skupiałem się na Ethalii, która wyglądała coraz gorzej, im bliżej byliśmy zakrętu.

– Czy chodzi o ból chłopca? – zapytałem z naciskiem. – Czy...?

– To też – odpowiedziała, jej słowa były stłumione przez szary kaptur. – Ale bardziej chodzi o przyjemność, jaką bicie sprawia tym mężczyznom. Ta

pustka w ich sercach, brak im...

– Miłosierdzia – dokończyłem za nią, przypominając sobie moje pierwsze spotkanie ze Świętą Birgid. „Byłam przy tobie”, powiedziała wtedy. „Zawsze, gdy wiedziałeś już, że wygrasz, ale jeszcze nim zadałeś ostateczny cios”. Czy to było to, co odpychało Ethalię – nie konieczność przemocy a moja niezdolność do okazania miłosierdzia na zakończenie walki?

Ethalia skinęła głową, ale nie byłem pewny, czy potakuje moim słowom, czy myślom.

– Trzymaj – zwróciłem się do Kesta, podając mu wodze. – Zostań z Ethalią, my podjedziemy bliżej.

– Falcio, jeśli się wtrącisz... – zaproponował Kest.

– Jeśli się nie wtrączę, Ethalia zacznie krzyczeć, zanim do nich dojedziemy, a to wywoła jeszcze więcej pytań – odparłem.

Przez chwilę wytrzymał moje spojrzenie, po czym powiedział:

– Wiem, ale chciałbym, żebyś chociaż postarał się być nieco...

– Subtelny? – wtrąciłem.

Kiwnął głową i zmarszczył czoło, wyglądał jak zdenerwowana matka, która po raz pierwszy wysyła dziecko samodzielnie do miasta. Wydało mi się to dziwnie zabawne.

– Żaden problem, mogę być subtelny – powiedziałem, ponaglając konia do niespiesznego truchtu pomiędzy rozstępującymi się pielgrzymami. – Jestem przecież Świętym Subtelności.

Głowa wielkiego mężczyzny odskoczyła do tyłu, gdy moja pięść zderzyła się z jego ustami. Zatoczył się w stronę swoich towarzyszy, wypuszczając trzymany w ręku bat. Jeden z nich próbował go złapać, ale widząc wyraz mojej twarzy, natychmiast go puścił, patrząc bezradnie, jak ten pada na ziemię.

– To ma być ta twoja subtelność? – szepnął Brasti za moimi plecami.

Nie zadałem sobie trudu, by mu odpowiedzieć. Byłem na tyle subtelny, na ile pozwalała sytuacja. Trzech mężczyzn na zmianę chłostało chłopca, którego plecy spływały krwią tak obficie, jakby nosił szkarłatny płaszcz. Powiedziałem temu, który akurat pastwił się nad nieszczęśnikiem, żeby przestał, na co ten kazał mi się chędożyć. Miałem nawet zamiar dać mu drugą szansę, ale przypomniałem sobie, że byliśmy przebrani za Inkwizytorów. Nigdy nie słyszałem o Inkwizytorze, który dobrodusznie potraktowałby obrazę, wymierzyłem więc cios.

Ostry ból w prawej dłoni zwrócił moją uwagę. Kiedy podniosłem ją na wysokość oczu, zobaczyłem, że coś małego i żółtego wbiło mi się w kłykieć. To był jeden z zębów bicującego.

„No dobra, może nie musiałem go uderzyć aż z taką siłą”.

Mężczyzna próbował się podnieść, gdy nie doczekał się pomocy swoich towarzyszy. Kiedy już stanął na nogi, pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było przeczesanie palcami długich, zaniedbanych czarnych włosów. Uznałem to za dość dziwny gest, ale mój komentarz byłby w tej chwili nie na miejscu.

– Ty sukinsynu – powiedział.

Westchnąłem, po czym wyrznąłem go w twarz po raz drugi.

Trzeba mu przyznać, że tym razem utrzymał się na nogach, potrząsając głową jak byk przygotowujący się do szarży.

– Podziękuj mi – powiedziałem bez emocji, a władczy akcent jeszcze dodał chłodu moim słowom. Inkwizytorzy, z tego co zdążyłem się zorientować, pochodzili głównie z rodów szlacheckich.

– Mam ci dziękować? Ty głupi...

Podstawiłem palec tak blisko jego twarzy, że w każdej chwili mógł go złapać i złamać.

– Podziękuj mi – powtórzyłem.

– Za co? – zapytał, a buta w jego głosie zaczęła znikać, gdy zauważył, że pozostali członkowie jego bandy powoli się wycofują. Niektórzy z przechodzących obok pielgrzymów zwolnili, obserwując nas

z zaciekawieniem.

– Za uratowanie ci życia – odpowiedziałem. – Wydałem ci rozkaz, żebyś przestał chłostać chłopaka, a ty nie posłuchałeś. Teraz masz do wyboru odejść lub jeśli wolisz, stanąć przed sądem. Przekonamy się, jak czysta jest twoja dusza.

Popatrzył na mnie i Brastiego.

– Ale robiłem tylko to, co kazał mi ten drugi...

– Jaki drugi? – spytałem, siląc się na okazanie jak najmniejszego zainteresowania.

– Drugi Inkwizytor – odpowiedział mi jeden z towarzyszy przepytывanego i wskazał za mnie na mężczyznę w szarym płaszczu, podobnym do mojego, chociaż podejrzewam, że zdobył go w bardziej tradycyjny sposób. Wspomniany szedł właśnie w naszą stronę. Towarzyszyło mu kilku rycerzy w białych tabardach.

– Do diabła – zaklął Brasti, na tyle cicho, iż wątpiłem, że słyszał go ktokolwiek jeszcze.

„Ślepy głupcze”, przekląłem sam siebie. „Nie przyszło ci do głowy sprawdzić, czy w tłumie są tylko pielgrzymi i kapłani”.

Inkwizytor zatrzymał się mniej niż dwie stopy przede mną. Nie pozdrowił nas, nie zadawał pytań, tylko patrzył mi przenikliwie prosto w oczy.

„Sprawdza mnie”. Obawiałem się, że coś takiego może się wydarzyć. Niewiele wiedzieliśmy o Inkwizytorach – służyli i byli na rozkazach Świętyńi, wśród Wielkich Płaszczy nigdy zbytnio się nimi nie interesowano. Nie miałem bladego pojęcia o ich rytuałach i zasadach, przez kolejne kilka minut byłem więc zdany jedynie na domysły i blef.

Nie spuszczałem wzroku, ale dostrzegłem, że przyjął charakterystyczną postawę i zacisnął usta. Czekał, aż się odezwę, a może sprawdzał, czy to on ma przemówić jako pierwszy? Inkwizytor wyższej rangi powinien zapewne rozpocząć rozmowę. Nie widziałem u niego żadnych insygniów – inna

sprawa, że nie dostrzegłem oznak statusu u żadnego Inkwizytora z wyjątkiem Quentisa – ale sposób, w jaki ten człowiek mnie obserwował, dał mi do zrozumienia, że to, iż nie nosili żadnych oznak swojej rangi, wcale nie oznaczało, że wśród nich takowej nie było.

Zauważyłem, że usta mu drgnęły, a oczy się zwęziły. Był bardziej pewny siebie niż wtedy, gdy się do nas zbliżał. „Chciał odezwać się pierwszy – co oznaczało, że wyższa ranga kontroluje rozmowę”.

Zaczekałem, aż otworzy usta, po czym sam natychmiast się odezwałem.

– Milczeć.

Otworzył szerzej oczy ze zdziwienia, a rycerze w białych tabardach wyraźnie się spięli.

„Cholera. Źle odczytałem jego intencje”. Pozwoliłem, by moja ręka powędrowała w stronę miecza, ale Inkwizytor tego nie zauważył. Ukłonił mi się nisko.

„Dzięki ci, Święty co-się-tym-do-diabła-zajmuje”.

Zawiesiłem wzrok na tym rycerzu i nie spuszczałem go z niego, dopóki nie ukląkł. Pozostali członkowie grupy poszli w jego ślady.

– Dlaczego rozkazałeś temu człowiekowi ukarać chłopaka? – zapytałem.

Inkwizytor uniósł wzrok z ziemi i odpowiedział:

– Bo jest heretykiem.

– A jego przewina?

– Wzywał świętych.

Stojący za mną Brasti zdecydował się głośno wyrazić swoje zdziwienie:

– Od kiedy to...

Podniosłem rękę, żeby go uciszyć, ale było za późno.

Inkwizytor wstał z kolan.

– Przepraszam, cogneri – powiedział, choć nie sprawiał wrażenia, by było mu przykro. – Obawiam się, że muszę zapytać o twoje imię i stopień.

Postanowiłem zignorować jego pytanie i postarać się jak najlepiej wykorzystać pomyłkę Brastiego.

– Od kiedy to Inkwizytor przekazuje innym wymierzenie kary za herezję?

– Ja... mianowałem tych ludzi *servanti*, aby wymierzili karę. – Po chwili dodał: – Mam do tego prawo.

Ta pauza, ta maleńka, piękna chwila sprawiła, że zachciało mi się śpiewać z radości. Nie miałem pojęcia, jak to wszystko działało, ale wiedziałem, że mój rozmówca myślał, że został przyłapany na gorącym uczynku. Potoczyłem spojrzeniem po nieogolonych opryszkach przed sobą.

– Uznałeś, że boskie dzieło może zostać powierzone tym trzem. – Zadałem, żeby nie zabrzmiało to jak pytanie.

Inkwizytor lekko pobladł.

– My... – Obejrzał się na rycerzy u swego boku, którzy byli nagle bardzo zajęci liczeniem kamińców na drodze. – Uznałem, że nie mogę opóźnić naszej podróży. Mam swoje rozkazy...

Przerwałem mu machnięciem ręki.

– Nie jesteście mi już potrzebni.

– A co z chłopakiem?

„Cholera. Dobre pytanie”.

Spojrzałem na dzieciaka. Nie mógł mieć więcej niż dziewięć czy dziesięć lat, na szczęście w trakcie bicia stracił przytomność, zapewne z przerażenia i wyczerpania.

– Zmieniłeś boski wyrok w farsę – powiedziałem. – Skatowanie przez drabów, których wybrałeś na swoich *servanti*, nie zbliżyło go ani o krok do oczyszczenia z winy. Teraz sam będę musiał wymierzyć mu karę śmierci, opóźniając własną misję. A zapewniam, że jest znacznie ważniejsza niż rola psa pasterskiego pielgrzymów.

Przez chwilę Inkwizytor wyglądał tak, jakby miał odwrócić się na pięcie i dołączyć do reszty maszerujących. Po chwili jednak zatrzymał się i powiedział:

– Racz wybaczyć, ale moje rozkazy pochodziły z góry.

Z góry. Czyli nie wymieniają nazwisk przełożonych, chyba że to konieczne.

Inkwizytor ciągnął dalej:

– On zażąda miana tego, który... skorygował mój werdykt.

Odpowiedziałem mu spojrzeniem. Rycerze najwyraźniej uznali, że przydrożne kamyki nie są już tak zajmujące i patrzyli teraz prosto na mnie.

„Teraz zastanawia się, czy jestem wyższy rangą niż jego przełożony – niech to piekło pochłonie! Dlaczego wszystko, co związane z religią, musi być tak cholernie skomplikowane?”

Coraz więcej pielgrzymów zatrzymywało się i przyglądało naszej rozmowie. Wysoki, choć przygarbiony kapłan w brudnych szarych szatach i kapturze na głowie podszedł do nas, opierając się ciężko na swoim kosturze.

Nie spuszczałem wzroku z Inkwizytora, starając się ocenić, co zrobiłby, gdybym po prostu zbył jego pytanie. Fakt, że użył słowa „miano” dał mi do zrozumienia, że nie wystarczy, że wymyślę imię na poczekaniu.

„No cóż”, pomyślałem, „w razie wątpliwości najlepiej trzymać się sprawdzonych metod”, po czym zdzieliłem Inkwizytora w twarz na tyle mocno, że ledwo ustał na nogach.

„Cholera”, zakląłem, zmuszając się, by nie złapać się za obolałe kłykcie. Jeśli dalej chcę tak często korzystać z pięści, czas najwyższy zacząć nosić rękawice.

– Śmiesz pytać, jak się nazywam? – krzyknąłem na tyle głośno, by słyszeli mnie wszyscy naokoło. – Naprawdę? – Postąpiłem krok w jego stronę i podniosłem rękę jak do kolejnego ciosu, aż się wzdrygnął. – Dla ciebie mogę być nawet pierdolonym Falsiem dal Vondem, zarozumiały robaku!

Popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, a potem ktoś z tłumu wybuchnął śmiechem, szybko dołączyli do niego inni. Nawet stary, duchowny zachichotał pod nosem:

– Sam Falsio dal Vond! Gratuluję, Inkwizytorze – powiedział. – Złapałeś przywódcę Wielkich Płaszczy! – Stał w miejscu, wstrząsany spazmami śmiechu, po czym trzykrotnie stuknął kosturem w ziemię, a po chwili jeszcze dwa razy.

Zdziwiło mnie to, ale miałem w tej chwili poważniejsze problemy. Nawet kilku rycerzy dołączyło do ogólnej wesołości.

– Zgadza się. – Brasti postanowił dorzucić swoje trzy grosze. – A ja jestem Brasti Goodbow!

Inkwizytor spojrzał na nas, szczerze zdziwiony.

– Kto taki?

Brasti zaklął pod nosem:

– Z tym krajem jest coś zdecydowanie nie tak.

– Czy masz do mnie jeszcze jakieś pytania, cogneri? – spytałem Inkwizytora tonem lekkim i przyjemnym, dając mu jednocześnie jasno do zrozumienia, że ten ton bardzo szybko się zmieni, jeśli odważy się odezwać choć słowem.

Pokręcił głową i odwrócił się, pokazując swoim rycerzom, by szli za nim. Wkrótce zniknęli nam z oczu, jedynie starszy kapłan wciąż stał przed nami. Uklęknął i skłonił głowę na tyle nisko, że dotknął nią ziemi; uznałem to za prośbę o spowiedź.

– Możesz mówić, kapłanie – powiedziałem. Nie miałem pojęcia, czy była to prawidłowa formuła, ale byłem pewny, że jestem w stanie go znokautować, zanim zdąży zawołać o pomoc.

– „Falsio dal Vond”? – spytał tak cicho, że ledwie go usłyszałem. – Nie wiedziałem, że aż tak bardzo lubisz igrzać z ogniem, Pierwszy Kantorze.

Wtedy dopiero dostrzegłem szerokie ramiona i łatwość, z jaką trzymał swoją ciężką laskę. Spod kaptura błysnął mi jego szeroki uśmiech. Powinienem być już dawno rozpoznać Allistera Ivany’ego, chociażby po jego broni.

Tłum pielgrzymów powoli zniknął z pola widzenia, jednak ściszyłem

głos, pytając:

– Na Świętego Forzę Co Zadaje Cios, co ty tu robisz?

Cień Króla wciąż klęczał na drodze przed nami z pochyloną głową.

– Obawiam się, że Świętego Forzę w zeszłym tygodniu zabiły Boże Igły, Falcio. Będziesz musiał znaleźć sobie innego świętego do klątw. – Spojrzał na drogę. – Poszli już?

– Nadal są zbyt blisko – powiedział Brasti. – Ktoś może zobaczyć, jeśli teraz wstaniesz. Poza tym dobrze wyglądasz na kolanach, bardzo naturalnie.

– Brasti Goodbow, jak tylko wraz z Falcielem skończycie niszczyć ten kraj, złożę wam skórę tak cholernie mocno, że ludzie pomyślą, że mamy dwóch Świętych od Mieczy.

Brasti postukał czubkiem buta w kostur Allistera.

– Ale chyba najpierw powinieneś zadbać o zdobycie jakiejś normalnej broni, hm?

Dołączył do nas Kest, prowadząc wierzchowca Ethalii.

– Od jak dawna podajesz się za kapłana? – spytał.

– Będzie z tydzień – odparł Allister. – Zmierzałem do Aramoru i potrzebowałem sposobu, żeby wmieszać się w tłum. Mówię wam, bycie kapłanem to najłatwiejsza praca, jaką kiedykolwiek miałem. Wystarczy po drodze znaleźć kilku łatwowiernych głupców, od czasu do czasu wyrzucić z siebie jakąś bezsensowną pseudodoktrynę, a ludzie za tobą podążą –

Podniósł na mnie wzrok. – Podejrzanie przypomina to zachowanie naszego zmarłego króla wobec nas, nie uważasz?

– Wystarczy – powiedział Kest.

Ale Allister nie miał zamiaru kończyć.

– No dalej, Falcio, powiedz mi, że się mylę. Oświeć mnie wreszcie co do wielkiego planu króla.

Nerwy i tak miałem już mocno nadwyrężone, sytuacja mogła się szybko zaognić, gdyby nie reakcja Ethalii.

– Proszę – powiedziała głosem stłumionym przez kaptur. – To mi nie

pomaga.

– Wybacz mi, Pani – odezwał się Allister. – Obiecuję, iż na widok twojego uśmiechu stanę się łagodny jak baranek.

Sięgnęła związanymi dłońmi do brzegów kaptura i uniosła go na tyle, by odsłonić twarz i posłać mu słaby uśmiech.

– Skąd wiedziałeś, że to Ethalia? – zapytałem.

Allister spojrzał na mnie jak na głupka, w tym przypadku chyba dość słusznie.

– Chwileczkę – powiedział Brasti. – Gdzie jest Talia?

Allister wskazał nam drogę, którą przyszedliśmy.

– Przebrana za pielgrzyma. Nie widziałeś jej? Machała do ciebie, kiedy przechodziłaś.

– Kłamiesz – powiedział Brasti urażonym tonem. – Dostrzegłbym ją z odległości mili.

– Nie gniewaj się, Brasti. Po prostu się starzejesz. Mówią, że oczy zaczynają odmawiać posłuszeństwa jako pierwsze.

– Dosyć – powiedziałem, przerywając sprzeczkę. – Allister, mamy niewiele czasu i niepewną pozycję, może po prostu powiesz, czego się dowiedziałeś o Bożych Igłach?

Wyciągnął głowę, by jeszcze raz spojrzeć na drogę, gdzie rozwiewała się już chmura kurzu towarzysząca pielgrzymom. Podniósł się i przeciągnął.

– Jeśli we czwórkę udajecie się do Domaris, to zgaduję, że odkryliście to samo co ja: krążą plotki o czynnym sanktuarium w Verderen. Tam właśnie dokonują przemiany w Igły.

Poczułem ogromny przypływ ulgi, słysząc potwierdzenie teorii bardatti.

– Jak dobrze jest strzeżone? – zapytał Kest, uprzedzając mnie.

– Nie mogłem podejść wystarczająco blisko, by się przekonać: sanktuarium znajduje się w samym środku hrabstwa i obawiałem się, że zwykły wiejski kapłan nie będzie miał do niego wstępu. Ale po drodze spotkałem jeszcze sześć tych przeklętych Bożych Igieł, wszyscy zdawali się

jechać z Verderen.

Urwał, patrząc na nieprzytomnego chłopaka przywiązanego do drzewa.

– Co zamierzasz z nim zrobić?

– Wypuścić i zaprowadzić do najbliższej wioski – odpowiedziałem. – Zostawimy mu trochę grosza, dalej będzie musiał radzić sobie sam.

Przez chwilę myślałem, że Allister będzie chciał zaprotestować, ale zamiast tego powiedział:

– Coś mi nie pasuje w aferze ze świątyniami. Kapłani już nie mówią o bogach, a o „Bogu”, w liczbie pojedynczej.

– O jakimś konkretnym? – zapytał Kest.

Allister uśmiechnął się krzywo.

– Wygląda na to, że sami nie mają pojęcia. Wiem tylko, że jeśli któryś ze starych kapłanów zaczyna nauczać swoją trzódkę o Purgeizie, Duestre czy którymś z pozostałych, szybko znika w niewyjaśnionych okolicznościach. Kościół przechodzi chyba właśnie swoistą wojnę domową.

– To ma sens – powiedział Brasti. – Jeśli próbujesz przekształcić kraj w teokrację, łatwiej jest tego dokonać, jeśli wszyscy wyznają tego samego Boga. Szkoda tylko, że nie wybrali Miłości. Zawsze wydawała mi się najmniej irytująca z nich wszystkich.

Ethalia zsiadła z konia i zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, wyjaśniła:

– Pielgrzymi są już wystarczająco daleko. Nikt nas nie widzi, a rany chłopca wymagają opatrzenia.

Uwolniła ręce z więzów, którymi była dla niepoznaki skrupowana, i sięgnęła do sakwy po jeden z niebieskich słoików.

– Miej baczenie na okolicę – powiedziałem Brastiemu.

Allister również wstał.

– Czyli Obladias wykorzystuje własne pieniądze i wpływy, by przeciągnąć na swoją stronę jak największą liczbę kapłanów. Potem reaktywuje zakon Inkwizytorów i zbiera tych wszystkich bezpańskich

rycerzy, którzy krążą po kraju, szukając czegoś, w co mogliby uwierzyć. Tworzy te przekłete „Boże Igły”, aby móc zbeczczyć święte miejsca i zmusić pozostałych kapłanów do posłuszeństwa. – Zamachał rękoma w powietrzu. – I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, Tristia ma nową religię.

– Sprytnie pomyślane – powiedział Brasti, po czym przeniósł wzrok na mnie. – Jak to jest, że nigdy nie wymyślamy takich sprytnych planów?

– Byliśmy ostatnio nieco zajęci próbą powstrzymania ksiąząt przed zniszczeniem kraju.

– Na tym polega problem, Falcio – powiedział Allister, zaciskając ze złością szczękę. – Wygrywasz bitwę, ale nie zbliżasz się nawet na krok do zwycięstwa w wojnie.

– Większość czasu spędzam na próbach zorientowania się, kim jest przeciwnik – przyznałem.

Rozłożył szeroko ramiona.

– Jeszcze tego nie wiesz? To wszyscy dookoła. – Wygładził szaty i dodał: – Powinienem dołączyć do mojej trzódki, zanim ktoś mi ich podbierze. Masz dla mnie jakieś rozkazy, Pierwszy Kantorze?

Nie byłem pewny, czy nazywał mnie tak z obowiązku, czy dlatego, że był równie przerażony i niepewny jak my. Niezależnie od powodu, podszedłem bliżej i chwyciłem go mocno za ramię.

– Wracaj do Aramoru i dopilnuj, żeby nic się jej nie stało.

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

– No cóż, w takim razie szerokiej drogi, towarzysze. Do zobaczenia, o ile Śmierć nie zdecyduje się wziąć nas do tego czasu w swoje objęcia. Oczywiście jeśli ów nowy Bóg nie zabił i Śmierci.

Brasti uściskał go mocno.

– Staraj się nie potknąć o swój kij.

Allister ruszył dalej drogą, ale po kilku krokach zatrzymał się i odwrócił do nas.

– Falcio, chłopiec o wszystkim opowie. Nawet jeśli będzie przysięgał trzymać język za zębami, prędzej czy później zacznie gadać. Któregoś razu przyplacisz życiem te bohaterskie czyny, w których tak się lubujesz, i na co wtedy nam przyjdzie?

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że Allister nie powstrzymał mężczyzn przed wymierzeniem kary chłosty.

– Naprawdę nie miałeś zamiaru nic zrobić?

Odpowiedział, nie patrząc na mnie, a jego głos był ostry i pełen nienawiści do samego siebie.

– Żeby wykonać zadanie? Powstrzymać to wszystko? Oczywiście, że bym się nie wtrącił, podobnie jak Talia. To samo zrobiliby Quillata, Tobb czy większość pozostałych. Lepiej przygotuj się na najgorsze, Falcio, trwa wojna. Co gorsza, tamci wygrywają.

HRABSTWO

Księstwo Domaris dzieli się na trzy hrabstwa oraz cztery marchie graniczące z sąsiednimi księstwami. Hrabstwo Verderen jest większe od pozostałych i mieści w sobie z pół tuzina posiadłości, każda o powierzchni około pięćdziesięciu mil kwadratowych. Jedną z nich stanowiła rodzinne gniazdo Obladiasa, chociaż trzeba przyznać, że nasze poszukiwania nie były specjalnie trudne. Nowy arcykapłan nie musiał już ukrywać swoich machinacji, tak jak to czynił przez ostatnie miesiące. Zwykły wieśniak może i nie miał dokładnych informacji, ale nie dało się nie zauważyć tych wszystkich kapłanów, Inkwizytorów i rycerzy przemierzających okoliczne drogi. Każdy wiedział też, skąd przybywają.

– Błyszczą się w słońcu – powiedział nam stary chłop siedzący na wozie, kiedy się zatrzymał, by sprawdzić, czy chcemy wymienić kilka monet na jego zapasy.

– Błyszczą? – dopytywałem, płacąc znacznie wygórowaną cenę za kilka jabłek i kawałek sera, które jak podejrzewałam, nie należały nawet do niego.
– Od zbroi?

Woźnica schował monety do kieszeni i spojrzał na przywiązaną do wierzchowca Ethalię. Początkowo mówiliśmy każdemu, kto o nią pytał, że eskortujemy heretyka, który ma stanąć przed sądem, ale im bliżej byliśmy Verderen, tym częściej korzystaliśmy z historii o złapaniu Świętej zbyt osłabionej gorączką, by stawiać opór.

– A gdzie tam – odpowiedział w końcu, jakby dopiero przypomniał sobie, o co pytałem. – Buty im się świecą od jakowego pyłu. Nie widzieliście, jak żeście tam byli z innymi panami Inkwizytorami?

Nie odpowiedziałem; cokolwiek mógł wiedzieć ów starzec, nie było warte ryzyka zdemaskowania. Zamiast tego rzuciłem mu groźne spojrzenie, a Kest i Brasti zrobili krok do przodu. Kmieć tylko skłonił głowę i strzelił lejcami, ruszając w swoją stronę.

Nasze przebrania i rzucane groźby wystarczyły, byśmy dotarli do serca majątku, gdzie wszelkie wątpliwości dotyczące kierunku dalszej jazdy szybko się rozwiały, gdy tylko zapytany dostrzegł Ethalię.

– Znaleźliście jeszcze jednego, co? – odezwał się rycerz w białym tabardzie, pokazując ręką, byśmy jechali dalej ku czemuś, co mogło uchodzić za małą wioskę zbudowaną w środku gęstego lasu. Skierował nas do otwartego budynku, który wyraźnie odznaczał się od reszty dymem unoszącym się z kilku kominów i odgłosami młota niosącymi się echem w naszą stronę.

– Zabierzcie ją do kowala, tak jak pozostałych.

Skinałem głową i ruszyłem ku wskazanemu miejscu. Gdy koń Ethalii przechodził obok rycerza, ten zatrzymał go i położył dłoń na jej udzie.

– Która to? Pewnie jest całkiem niczego sobie bez tych wszystkich brudnych szmat. – Wyglądał tak, jakby coś właśnie przyszło mu do głowy. – Mam nadzieję, że to nie jedna z tych niebezpiecznych.

– Tylko dla tych, którzy jej dotykają – odpowiedział mu Kest.

Byłem mu wdzięczny za interwencję i – nie po raz pierwszy zresztą – za to, że rapiery miałem przytroczone do kulbaki, a nie w zasięgu ręki.

Rycerz puścił Ethalię i cofnął się, a gdy już szliśmy dalej, zacząłem się zastanawiać nad jego zachowaniem. „Czy Rycerze Świątyni uważali się za równych Inkwizytorom? W drodze na to nie wyglądało. Może z dala od wścibskich oczu ta hierarchia się nieco rozmywa?”

Pytanie straciło wagę, gdy zbliżyliśmy się do kuźni. Nie miała ścian, tylko dach podtrzymywany przez podpory zrobione z nieokorowanych pni. Pod dachem naliczyłem sześć osobnych palenisk, przy każdym pracował jeden, a czasem dwóch barczystych mężczyzn.

– Tutaj – zawołał ten stojący najbliżej nas, jednocześnie podnosząc coś z kowadła ciężkimi szczypcami i wsadzając to do beczki z wodą. Para zasyczała.

– Kogo tam macie? – spytał.

Spróbowałem groźnego spojrzenia, jednak to go nie zniechęciło; najwidoczniej Inkwizytorzy nie robili na nim szczególnego wrażenia.

– Czy to ważne? – odpowiedziałem w końcu.

Wzruszył ramionami.

– Nieszczególnie, ale będziesz potrzebował maski dopasowanej do jej atrybutu.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale kowal nie zwrócił na to uwagi. Odłożył szczypce, minął mnie i położył rękę na przerzuconej przez wierzchowca nieruchomej Ethalii.

– Ach tak – mruknął. – Miłość i Żal. Dwójka moich ulubionych bogów – parsknął śmiechem. – No cóż, teraz to już fałszywi bogowie.

Wrócił do dużego kosza wypełnionego żelaznymi maskami. Grzebał w nim przez chwilę, po czym wyciągnął jedną z nich.

– To powinno się nadać.

Musiałem stłumić falę wstępu i wściekłości, nie chcąc skrzywdzić Ethalii. Potrzebowaliśmy dowiedzieć się, jak to działa.

– Zaczekaj – powiedziałem, chwytając kowala za rękę, a kiedy spojrzał na mnie pytająco, dodałem: – Jesteś pewien, że wzięłeś właściwą?

Zmrużył oczy, bardziej z irytacji niż podejrzliwości.

– Coś mi się widzi, że robię to dłużej niż ty. – Odwrócił maskę, odsłaniając zniekształcone rysy i dziwne linie na jej powierzchni. – O tu, widzisz? Miłość i Żal. – Zobaczył moją minę, ale wziął ją za wyraz zwątpienia. – To nie jest aż tak ważne. Każda maska jest w stanie powstrzymać ich Zachwył. Kowal mówi, że dopasowanie atrybutu – tu przerwał i mrugnął do mnie z uśmiechem – sprawia jedynie, że boli ich trochę bardziej i głębiej, rozumiesz?

Moja klatka piersiowa paliła mnie, nie mogłem powstrzymać się od brania coraz głębszych oddechów, zupełnie jak przed walką. Mogłem tylko mieć nadzieję, że mój rozmówca tego nie zauważy. Na szczęście Brasti odwrócił jego uwagę.

– Myślałem, że to ty jesteś kowalem.

Stojący przede mną mężczyzna spojrział na swoich kolegów i wybuchnął śmiechem.

– Słyszeliście go, chłopcy? Zostałem nowym Kowalem!

Inni odpowiedzieli gromkim śmiechem. Po chwili odwrócił się do nas.

– Może i jestem kowalem, ale nie tym Kowalem. On ma pewnie ważniejsze rzeczy na głowie.

Próbowałem sobie to wszystko poukładać, gdy Kest, uznając, że nie myślę jasno, wziął od mężczyzny maskę i zbadał ją.

– Aż trudno w to uwierzyć – powiedział miłym głosem. – Jedyne, co trzeba zrobić, to nałożyć tę maskę na świętego, a stanie się tak bezbronny jak zwykły człowiek.

– Niby tak – odparł kowal. – Ale nie wystarczy do tego zwykłe żelazo. – Machnął ręką w stronę ścieżki. – Odpowiedni materiał znajdziesz tylko w naszej kopalni. Byliście już w środku?

Kest pokręcił głową.

– Przez większość czasu zajmowaliśmy się sprawą heretyków w Baern. – Wskazał nieruchomą postać Ethalii. – Jesteśmy tu tylko dlatego, że znaleźliśmy ją półżywą przed jedną ze starych świątyń.

– Na pewno jest osłabiona? – zapytał kowal. – Czasem potrafia niespodziewanie wyjść z gorączki.

– Nie ona – odparł Kest. – Jest w takim stanie od sześciu dni. Jeśli odzyskuje przytomność, to tylko po to, by jęczeć coś pod nosem albo błagać nas o pomoc.

Kowal uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Zabawne, że ci święci są w takim stanie jak małe dzieci. Krzyczą

i awanturują się, póki nie dostaną swojego sanktuarium. – Wrócił spojrzeniem do Ethalii. – No cóż, klechy od dwóch dni narzekają na brak świeżej dostawy, lepiej się więc pospieszmy i zabierzcie ją od razu do kopalni. – Wziął maskę z ręki Kesta i podszedł do Ethalii.

Ruszyłem w jego stronę, ale Kest złapał mnie za ramię. Spojrzał mi prosto w oczy i lekko potrząsnął głową. Rozmawialiśmy o tej chwili. Wiedziałem, że musiała nadejść od samego początku tej idiotycznej misji. Ethalia nie tylko zgodziła się na to, ale wręcz nalegała.

Miałem dwa tygodnie na przygotowanie się i nadal nie byłem gotowy.

Kowal chwycił tył głowy Ethalii jedną ręką i nałożył jej na twarz przednią część maski. Puścił ją na chwilę, po czym przyłożył tylną część i z wyraźną wprawą zatrzaskał klamry. Jęk, który zdążył dobiec się z ust Ethalii, zniszczył we mnie resztkę pozytywnych uczuć, jakie wobec siebie żywiłem.

Kowal podniósł głos i krzyknął do otworów w przedniej części maski.

– Chciałaś do sanktuarium, dziewczeczko? Poczekaj, aż zobaczysz, co tam dla ciebie przygotowaliśmy.

Zanim jeszcze zrobiłem pierwszy krok przez ciężką drewnianą bramę, która otworzyła nam drogę do schodzącej w dół sztolni, wyczułem, że z tym miejscem jest coś nie tak. Moje palce drgnęły, desperacko szukając kojącego dotyku rapierów. Te jednak musiały zostać w jukach, jeśli nie chcieliśmy wypaść z roli; wciąż nie miałem pojęcia, dlaczego Inkwizytorzy wolą walczyć buzdyanami. To zresztą i tak nie miało teraz znaczenia, obie ręce miałem zajęte niesieniem Ethalii. Patrząc na nią, nie byłem w stanie stwierdzić, czy tylko udaje nieprzytomną, czy gorączka świętej w końcu ją pokonała.

„Chyba, że to jeden z efektów działania tej przeklętej maski”.

– Przydałby nam się teraz plan – powiedział Brasti. – To będzie niezłe osiągnięcie, jeśli uda nam się wszystkim wyjść z tego cało.

Kest kończył właśnie przelewać nasz zapas wody do grubego bukłaka schowanego w plecaku.

– Myślałem, że zgodziliśmy się na Węża w Zupie.

– Wy dwaj się zgodziliście. – Brasti podniósł swój bagaż. – Wolałbym nie polegać na szczęściu i tym gównie, skoro na szali jest nasze życie.

– Moglibyśmy spróbować ze Stadem Jaskółek – zaproponował Kest.

– Zapomnij – odpowiedział Brasti. – Może gdybym miał przy sobie swój łuk. – Spojrzał lekceważąco na pistolet w kaburze przy pasie. – To cholerstwo zbyt długo się przeładowuje.

– Inkwizytorzy nie używają łuków – powiedział Kest, a potem wskazał na maczugę zawieszoną u boku. – Poza tym w razie czego będę zmuszony walczyć tym czymś.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Buzdygan aż tak bardzo różni się od miecza? To przecież długi kij, którym machasz w kierunku przeciwnika – przerwał i zwrócił się do mnie. – Falcio, czy możemy chociaż rozważyć Płaszcz i Łaskotki?

– Nie – odpowiedziałem krótko, ledwo zwracając na niego uwagę.

Ethalia była lekka jak piórko – kiedy tak schudła? Była ledwie cięższa od mojego plecaka. Czy w ogóle jadła, odkąd została Świętą?

„Skup się! Dowiedz się, co tam jest, znajdź sposób na udowodnienie, że za wszystkim stoi Obladiaz i powstrzymaj go”.

– Zostajemy przy Wężu w Zupie – powiedziałem cicho.

Brasti wymamrotał jakieś przekleństwo i przekroczył próg kopalni.

– No dobrze, ale po tym wszystkim nigdy już nie próbuj stękać i kwękać, jak to bardzo „nienawidzisz magii”.

– No cóż – powiedział cicho Brasti, a jego głos odbijał się cichym echem w sztolni, gdy szliśmy po szorstkim kamiennym podłożu. – Zawsze wiedziałem, że prędzej czy później wylądujemy przez ciebie w piekle.

– Zamknij się – odparowałem.

Ciało Ethalii drgnęło, gdy światło latarni idącego z przodu Kesta odbiło się od czegoś osadzonego w ścianie szybu.

– Ruda żelaza – powiedział.

– To kopalnia rudy – powiedział Brasti. – Spodziewałeś się kamieni szlachetnych?

Kest zatrzymał się na chwilę i wyciągnął rękę, palcami prawie dotykając drobnego kawałka rudy.

– Ta ruda jest... dziwna. Podobnie czułem się w sanktuarium Świętego Forzy, ale tu wrażenie jest silniejsze, bardziej dojmujące.

Odwrócił się i spojrzał na maskę zakrywającą twarz Ethalii.

– Myślę, że to właściwości tej rudy powstrzymują Zachwyty świętych.

Brasti przycisnął swoją rękę do ściany kopalni.

– Nic nie czuję. To pewnie jedna z tych rzeczy dostępna tylko dla świętych.

– Musimy iść dalej – powiedziałem.

Kest skinął głową i ruszył przodem. Sufit sztolni był znacznie wyższy, niż się spodziewałem, a chwilę później znaleźliśmy się w miejscu, które rozmiarami przypominało ogromne podziemne miasto. Wykute w skale korytarze oświetlone latarniami zwisającymi z rozmieszczonych regularnie haków były pełne mężczyzn i kobiet noszących narzędzia i zapasy, czasami ciągnących po ziemi ciało.

Próbowałem się skupić na planie, na tym, co może być przed nami, ale z każdym kolejnym krokiem po prostu coraz bardziej się bałem.

„Wyobraź sobie, co musi czuć Ethalia”.

Co chwila jej bezwładne ciało drżało, a ja z całych sił musiałem się powstrzymać, by nie położyć jej na ziemi i nie zdjąć maski, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Ale zaszliśmy już tak daleko, nie pozostało mi nic innego jak przeć przed siebie, licząc kroki w każdym korytarzu i zapamiętując każdy zakręt. Zmusiłem się, by zamknąć oczy i wyobrazić sobie przestrzeń z przodu i za mną, zwracać uwagę na zapach potu i dymu z ognisk, na pojawiające się i znikające podmuchy powietrza. Jeśli diabli wezmą nasz plan, nie będę mógł liczyć na zmysł wzroku.

A czy kiedykolwiek coś szło zgodnie z planem?

– Falcio? – Kest wyrwał mnie z zamyślenia.

Zatrzymałem się i popatrzyłem na miejsce, które wskazał mi wzrokiem. Przed nami w szeregu czekało jakieś dwadzieścia osób. Różnili się od pozostałych, których tu widzieliśmy: nie byli ubrani w odzież roboczą, a w białe szaty. Czyste, mimo pyłu i brudu dokoła, delikatne płótno zdawało się mienić w świetle pochodni. Kiedy nas zauważyli, kilku z nich podbiegło i stłoczyło się wokół nas.

– Dajcie nam ją obejrzeć – odezwał się jeden podekscytowanym głosem. Prostota jego szaty nie pasowała do eleganckiego uczesania oraz wypielęgnowanych paznokci i dłoni, które dostrzegłem, gdy wyciągał do nas rękę. Ten człowiek na pewno nie był ubogi.

– Pozwól mi, tatusiu – poprosił podobnie ubrany chłopiec uczepony jego boku. – Też chcę spróbować.

„Spróbować czego?”

Inni usiłowali się zbliżyć, ale mężczyzna odepchnął ich i stanął przede mną. Ciepło jego oddechu uderzyło mnie w twarz, gdy się nachylił.

– No dalej – powiedział, wyciągając małe ostrze, niewiele większe od brzytwy. – Pokażcie, kogo tam przynieśliście.

Ręce miałem zajęte, sprzedałem więc mężczyźnie swoje najgroźniejsze spojrzenie Inkwizytora – to samo, z którego tak często korzystałem w ciągu ostatnich dni, by napełnić zwątpieniem tych, którzy próbowali podejść zbyt blisko. Ten człowiek z pewnością wyglądał na przestraszonego, ale jego strach walczył z widocznym w jego oczach głodem.

– Proszę – powiedział. – Zrobiłem wszystko, czego chcieliście. Zabijałem heretyków, nawet matkę tego chłopaka. – Trzymał ostrze na odsłoniętej łydce Ethalii. – Zasłużyłem na to.

– Oto twoja nagroda – powiedziałem, a on podniósł na mnie wzrok, spodziewając się aprobaty, jednak zamiast tego zarobił cios czołem prosto w nos.

Zatoczył się do tyłu, jego syn próbował jeszcze bezskutecznie go

podtrzymać. Kest i Brasti od razu stanęli przede mną, zanim ktokolwiek inny dostał szansę na dobranie się do Ethalii.

– Co to za bluźnierstwo? – krzyknął ktoś z korytarza.

Tłum rozstał się po cichu, by zrobić miejsce kapłanowi. On także nosił białe szaty, ale w przeciwieństwie do innych, idealnie pasujące do jego szczupłego ciała. Na piersi miał misternie wyszyty symbol, którego nie rozpoznałem. Za nim szli dwaj rycerze w białych tabardach i z ciężkimi mieczami w dłoniach.

– Zabierzcie go – rozkazał kapłan, wskazując na człowieka, który mnie zaczepił.

Ten szybko pozbiierał się z ziemi i zaczął uciekać. Nie dotarł daleko, napotykał na swojej drodze opancerzoną pięść jednego z rycerzy. Korytarz wypełnił trzask łamanej szczęki. Chłopak wrzasnął i próbował powstrzymać rycerzy odciągających na bok jego ojca, ale pohamował go głos duchownego.

– Bogactwo twojej rodziny kupiło ci szansę na dostąpienie wielkości, mały lordzie. Czy zrezygnujesz z niej, tak jak właśnie uczynił to twój ojciec, czy też poczekaś na swoją kolej?

Chłopiec przeniósł spojrzenie z rodzica na Ethalię spoczywającą w moich ramionach.

– Poczekał – powiedział szybko. – Przepraszam, venerati, poczekał na swoją kolej.

Gdy obaj rycerze wlekli za sobą jego ojca, chłopiec z oczami utkwionymi w Ethalii obliznął wargi.

– Zamierzam zostać Świętym Sprawiedliwej Zemsty – powiedział mi z dumą. – Zrobiłem nawet listę osób, które zamierzam ukarać w pierwszej kolejności, chcesz zobaczyć?

Gardło zacisnęło mi się w reakcji na napływającą do niego żółć. „Czy obietnica władzy wystarczy, by zmienić ludzi w bestie?”, pomyślałem, starając się nie wzdrygnąć z obrzydzenia. „Czy naprawdę jesteśmy aż tak

tchórzliwi, że obietnica siły, która stłumi nasz strach, wystarczy, by robić sobie nawzajem tak okropne rzeczy?”

Nie dane mi jednak było dalsze rozmyślanie nad stanem ludzkości.

– Nie stój tak, cogneri – nakazał kapłan. – Wprowadźcie ją do środka.

Tłum znów rozstał się i po raz pierwszy zobaczyłem, co znajduje się na końcu korytarza: para masywnych białych kolumn obramowywała szerokie wrota, większe i wspanialsze niż w pałacu największego z książąt. Wyglądały na wykonane całkiem niedawno.

„Do stu piekieł, co oni tu zbudowali?”

– Fascynujące – powiedział Kest, gdy znaleźliśmy się jakieś piętnaście stóp od masywnych drzwi.

Kiedy dostrzegłem jego spojrzenie, zacząłem przeklinać się w duchu, że tak bardzo pogrążyłem się w rozpacz i złości, iż zapomniałem zupełnie o naszym planie.

– Chwileczkę, venerati – powiedziałem. – Muszę na chwilę dać odpocząć rękom.

Uklęknąłem i oparłem ciało Ethalii na udach, jednocześnie zsuwając z ramienia plecak i rzucając go pod ścianę jaskini.

– Chyba nie ma sensu targać ich wszędzie ze sobą – powiedział Brasti i rzucił swoją torbę w to samo miejsce. Wylądowała idealnie na moim plecaku.

Kest również położył swój bagaż na ziemi i sięgnął do środka po pękaty bukłak z wodą. Wziął mały łyk i wyciągnął go w moją stronę. Kiedy pokręciłem przecząco głową, włożył go z powrotem do torby, nie zadając sobie trudu, by ją zamknąć. Z kieszeni płaszcza wyjąłem szmatkę i wytarłem nią ręce, a następnie wrzuciłem ją do plecaka Kesta.

– Nie mamy wiele czasu – powiedział duchowny.

Westchnąłem i podniosłem się z ziemi, wziąłem na ręce Ethalię i ruszyłem za nim. Tuż przy drzwiach zatrzymał się i odwrócił.

– Czy któryś z was był wcześniej w środku? – zapytał kapłan.

– Nie – odparłem.

– Cóż, radzę wam mieć się na baczności. Niezależnie od prób, które przechodziliście jako Inkwizytorzy, wykonawcy kar wymierzanych heretykom, w środku zobaczycie coś innego. Poczujecie coś innego. Pamiętajcie tylko, że to rytuał, nawet jeśli nie będzie na taki wyglądać. – Spojrzał na Ethalię. – Wiecie, kim ona jest?

– Tak myślę – odpowiedziałem.

– Ci, których spotkacie w środku, będą to wiedzieć na pewno.

Kapłan sięgnął pod szatę. Spodziewałem się, że wyciągnie klucz, ale zamiast tego w jego dłoni ujrzałem mały żelazny dzwonek, który trzymał między kciukiem a palcem wskazującym. Potrząsnął nim, a ten wydał dźwięk na granicy słyszalności. Nie było mowy, by mógł przeniknąć przez masywne drzwi, ale te po chwili otworzyły się, ich spód zaszurał głośno o goły kamień. Kapłan gestem polecił nam wejść do środka. Korytarz, który był po drugiej stronie, długi może na dziesięć stóp, przechodził w ogromną okrągłą komorę. W środku zobaczyliśmy to, co Obladiaz chciał utrzymać przed nami w tajemnicy, a co Birgid znalazła przed nami.

„Świątynia! Zbudowali pieprzoną świątynię w samym środku kopalni”.

Dopiero po chwili dostrzegłem, co jeszcze czekało nas w środku, a moje uszy dobiegł jęk rozpacz. Zaraz zdałem sobie sprawę, że dobył się z moich ust. Kest odezwał się do mnie szeptem, chcąc mnie przestrzec lub wprowadzić poprawkę do naszych planów, ale nie zwróciłem uwagi na jego słowa. Ze wszystkich sił starałem się powstrzymać wymioty na widok sceny, jaka rozgrywała się przed naszymi oczami. Słowa Brastiego wypowiedziane przed wejściem do kopalni nagle zyskały proroczą moc: „zawsze wiedziałem, że prędzej czy później wylądujemy przez ciebie w piekle”.

Miał rację. Byliśmy w piekle. Wkrótce nasza mnie jeszcze czarniejsza myśl. „Przyprowadziłem Ethalię prosto przed oblicze diabła”.

SANKTUARIUM

Idealnie gładkie ściany wznosiły się wysoko nad nami, sprawiając, że ogromna sala wydawała się dziwnie wąska. Nie było w niej żadnych ołtarzy czy symboli religijnych, tylko wisząca na ścianach broń o różnych kształtach i rozmiarach. W posadzce wyznaczono kręgi z grubo ciosanych kamieni, w każdym mieściły się dwa filary wznoszące się aż do kamiennego sklepienia. Ciężkie, żelazne obręcze połączone z długim na sześć stóp łańcuchem zakończonym żelaznymi kajdanami zwisały z trzpieni wbitych u góry i u dołu każdego z filarów.

Większość kręgów była pusta, a łańcuchy zwieszały się puste, jednak wewnątrz jednego z kręgów, kilka cali nad podłogą, wisiał skuty człowiek. Jego naga klatka piersiowa była pokryta krwawymi śmami, odwłoki insektów nabrzmiały już od szkarłatnego płynu. Skóra mężczyzny, widoczna gdzieś pod chmarą owadów, była blada i wyschnięta. Rysy na noszonej przez niego masce przedstawiały młodego mężczyznę składającego usta do pocałunku.

Wokół tej samotnej ofiary kucało siedmioro mężczyzn i pięć kobiet, którzy nosili takie same białe szaty, co tłum czekający przed drzwiami. Gdy wchodziliśmy do sali, zobaczyliśmy, jak troje z nich odrywa ćmy drżącymi palcami, otwiera szeroko usta i pochłania żywe owady w całości. Za każdym suplikantem stała następna trójka, niecierpliwie czekając na swoją kolej.

Brasti, bogowie błogosławcie jego serce i duszę tak długo, jak tylko przyjdzie nam żyć, zwymiotował na podłogę.

W naszym kierunku ruszył kapłan, w jednej ręce niosąc długi, zakrzywiony nóż, a w drugiej bicz.

– Nie jest to aż tak nietypowa reakcja, jakby się mogło wydawać – powiedział uprzejmie.

– Przebacz nam, venerati – powiedziałem, a mój umysł odblokował się i zaczął analizować wszystkie sposoby, w jakie mógłbym rozczłonkować tego uśmiechniętego, przyjaznego duchownego, gdy tylko okazja na to pozwoli.

– Nie venerati – poprawił mnie w odpowiedzi, podkreślając swoje słowa uniesieniem noża. – Admorteo. Moim zadaniem nie jest nauczanie umysłu, ale uwolnienie ducha.

– Oczywiście. – Pochyliłem głowę, by nie mógł dostrzec gniewu, który na próżno usiłowałem ukryć. – Admorteo.

Kapłan podszedł bliżej, by zbadać Ethalię, i dopiero wtedy poczułem ogromne zmęczenie w rękach, cały się trząsałem. Zastanawiałem się, czy ów człowiek pomyślał sobie, że to ze strachu przed nim. Zmrużył oczy, gdy delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

– To przecież... no, no! Dobrze się spisaliście, Inkwizytorzy. – Spojrzał na mnie. – Czy zdajesz sobie sprawę, kogo nam tu przyprowadziliście?

– To Święta Miłosierdzia, admorteo.

Brasti, chcąc zamaskować obrzydzenie, powiedział:

– Czy to oznacza, że będziemy mogli spróbować jej jako pierwsi?

Kapłan uśmiechnął się do niego z pobłażaniem i wskazał na biało odzianych mężczyzn i kobiety, pożerających krwawe ćmy z ciała umierającego świętego.

– Tylko jeśli chcesz skończyć tak jak oni – przerwał i spojrzał na Brastiego. – Spodziewałem się, że Inkwizytorzy wiedzą takie rzeczy.

– Wybacz nam, admorteo – powiedziałem, starając się na gwałt zrozumieć, co miał na myśli. – Spędziliśmy dużo czasu w drodze. –

Popatrzyłem na Ethalię. – Jej... obecność bywała czasami bardzo dokuczliwa.

– Oczywiście – odpowiedział duchowny i wskazał na jedną z obręczy. –

Przypnijcie ją tutaj.

Poprowadził nas w stronę filarów, jednak w połowie drogi zatrzymałem się, by spojrzeć na grupę pochłaniającą ćmy pełne krwi świętego. Podszedł do nich inny oprawca i zaczął zapamiętale chłostać batem, krzycząc:

– Powoli, głupcy! Chcecie postradać zmysły, zanim osiągnięcie pełni sił? Co gorsza, zabić go, zanim zostanie osuszony do końca?

Kiedy skarcone postacie w bieli cofnęły się nieco, kapłan sięgnął pod szatę i wyjął małą buteleczkę, którą przysunął do maski skrywającej twarz świętego. Powoli wlał płyn do szczelin prowadzących do lejka w ustach ofiary, a następnie przez chwilę przytrzymał głowę świętego. Nienawidziłem pełnego zadowolenia uśmiechu, który rozlał się po jego obliczu.

„Założę się, że to *adoracia fidelis*”. Zatem Jillard miał rację: wmuszali truciznę w świętych, żeby zminimalizować szaleństwo, które powodowała.

Kapłan poprowadził nas do kręgu kamieni i ukląkł, aby odsunąć jeden z nich na bok.

– Upewnijcie się, że kajdany dobrze trzymają, zanim ustawię kamień modlitewny na miejscu – powiedział duchowny śmiertelnie poważnym tonem. – Kiedy na powrót ułożę kamienie w sanktuarium, jej gorączka minie; tylko maska ochroni nas wtedy przed jej Zachwytem. Więzień pod żadnym pozorem nie może dosięgnąć maski czy uderzać nią o podłogę lub jeden z filarów, tak właśnie uciekła nam jedna z jej poprzedniczek.

– Słyszałem – skłamałem, czując odrobinę radości, że Birgid udało się wydostać z tego miejsca, że umarła otoczona miłością, z dala od piekła. – Zaskoczyło mnie, że udało jej się pokonać was wszystkich.

Jeśli nawet znieważylem go tymi słowami, nie dał tego po sobie poznać.

– Nie byłbyś zaskoczony, gdyby samemu przyszło ci się zmierzyć z Zachwytem Birgid. – Spojrzał na Ethalię. – Dziwne, prawda? Można by pomyśleć, że Miłosierdzie powinno mieć najsłabszą ze świętych, a była chyba najpotężniejszą z nich wszystkich.

Gestem pokazał mi, bym wszedł w krąg, Kest postąpił za mną, po czym kapłan rozkazał Brastiemu:

– Możesz nałożyć jej kajdany.

– Teraz? – zapytał Brasti.

Duchowny zsunął na chwilę maskę uprzejmości i warknął z irytacją:

– Tak, głupcze, teraz.

Postawiłem Ethalię na ziemi, wciąż dając jej oparcie, by nie upadła.

– Wybacz mi, admorteo, on nie mówił do ciebie – powiedziałem, po czym skinąłem głową Brastiemu. – Tak, teraz.

Ten w odpowiedzi uderzył łokciem duchownego w skroń, posyłając go nieprzytomnego na podłogę i chwytając w locie jego nóż, po czym ukląkł i wsunął kamień modlitewny z powrotem na miejsce, zamykając okąg. Kest wyjął z zanadru płaszcz krótkie dłuto i z perfekcyjną dokładnością roztrzaskał klamry maski dwoma szybkimi uderzeniami. Żelazne połówki odpadły na ziemię, a Ethalia odgarnęła z twarzy przyklejone do niej mokre od potu włosy.

– Bogowie, Falcio... – odezwała się zachrypniętym głosem. – Te maski... są gorsze, niż myśleliśmy... Musimy ocalić Valianę.

Najpierw musimy ocalić samych siebie – wskazałem na kapłana po drugiej stronie sali, który zauważył, co się stało; krzyczał i gestykułował w stronę drzwi wejściowych, ale Brasti już tam biegł. Dopadł do nich i z hukiem spuścił ciężką sztabę w poprzek masywnych wrót. Sforsowanie tej przeszkody powinno zająć im dłuższą chwilę.

Spojrzałem na kapłana; wyciągał właśnie z wnęk w ścianie broń i rozdawał ją mężczyznom i kobietom tłoczącym się wokół niego. Wymachiwali nią z niecierpliwością, zmierzając w naszą stronę. W ich oczach płonęło szaleństwo, a usta mieli otwarte w ekstazie.

Zajrzałem w ich twarze pełne głodu, obłędu i czystej radości z tego, co zrobili Świętemu i co zaraz zrobią z nami.

Odpowiedziałem im szerokim uśmiechem.

W idealnym świecie Boże Igły byłyby niedoświadczone i słabe; na nasze nieszczęście ci mężczyźni i kobiety byli, o ile to w ogóle możliwe, szybsi i groźniejsi od tych, których spotkaliśmy wcześniej.

– Falcio, nie idzie nam najlepiej! – krzyknął Brasti, zamierzając się długim nożem na mężczyznę nacierającego na niego ze sztyletami w obu dłoniach.

Pomimo braku finezji Brastiego, jego cios dotarł do celu, otwierając głęboką jamę w twarzy przeciwnika. Mężczyzna uśmiechnął się tylko w odpowiedzi, sprawiając, że rana stała się jeszcze szersza.

– Nie wdawajcie się w pojedynki – przypomniałem pozostałym. – Ból nie robi na nich żadnego wrażenia i nie boją się śmierci. Starajcie się wyłączyć ich z walki.

Żeby podkreślić swoje słowa przykładem, z całych sił spuściłem buzdygan na głowę mężczyzny, który wydał mi się dziwnie znajomy. Był mniej więcej w moim wieku, miał pociągłe rysy twarzy, które prawdopodobnie uważano za urodziwe, póki radykalnie nie zmieniałem ich jednym ciosem. Wtedy zdałem sobie sprawę, że właśnie zabiłem wicehrabiego Tuslien.

– Długo... już... nie wytrzymam – wystękał Kest, walcząc trzymaną w lewej ręce maczugą. Był niezmiennie szybki i precyzyjny, ale każdy kolejny cios sprawiał mu coraz więcej bólu.

„Ten wysiłek go zabije, zanim jeszcze jednej z tych przeklętych Igieł uda się go choćby zranić”. Sama ta myśl mnie przeraziła. Próbowałem zbliżyć się do niego, ale doskoczyła do mnie jakaś kobieta. Wyglądała zupełnie jak margrabina Selezu, ale równie dobrze mógł to być wytwór mojego strudzonego umysłu. W prawej dłoni trzymała długie, cienkie ostrze, podobne do tego, jakie miała pierwsza napotkana przez nas Boża Igła. Zastanawiałem się, czy ktoś przeszkolił ich w walce przed poddaniem się rytuałowi, czy adoracja uczyniła ich tak silnymi i sprawnymi, że nie potrzebowali żadnego szkolenia. Trzeba to będzie sprawdzić...

Potrząsnąłem wściekle głową i zawołałem:

– Brasti, pomóż Kestowi!

– Próbuję tu nie umrzeć, Falcio – odkrzyknął, z całych sił kopiąc inną kobietę, która próbowała złapać go w morderczy uścisk. – Ethalio, nie pogardzilibyśmy pomocą twojego Zachwytu.

– Ja... nie mogę wam pomóc, jeszcze nie...

Uskoczyłem w bok, pozwalając, by cios mojej przeciwniczki przeszedł obok, po czym przyjąłem jej ostrze na ramię, modląc się, by rękaw płaszcza Inkwizytora był odpowiednio gruby, i uderzyłem buzdyganem tuż przy jelcu. Ostrze złamało się, znacznie zmniejszając zasięg broni.

Zerknąłem w stronę Ethalii. Oczy miała zamknięte, a twarz skupioną. Spojrzałem na uwięzionego świętego z nikłą nadzieją, że udało mu się uwolnić, ale ten zwisał tylko bezwładnie z łańcuchów.

Moja napastniczka upuściła bezużyteczną rękojeść i zacisnęła dłonie na mojej szyi. Poczułem, jakby ktoś ścisnął mi krtań w imadle. „Czy oni wszyscy muszą być tak piekielnie silni?”

Duszenie wymaga dźwigni, którą zablokowałem, wkładając ręce między jej ramiona, unieruchamiając jej przedramiona swoimi pachami i wbijając prawą piętę raz w jedno, raz w drugie kolano kobiety. Odsunąłem się i pozwoliłem jej paść do przodu, ale mimo strzaskanych kolan poczołgała się w moją stronę, nie przestając złowieszczo się uśmiechać.

– Jestem Bożą Igłą. Prowadzi mnie Jego wola.

– Jestem Falcio – odparowałem, roztrzaskując jej czaszkę buzdyganem.

– Prowadzi mnie okropny strach przed śmiercią!

Podniosłem wzrok i krzyknąłem do pozostałych:

– Stańcie w kręgu bliżej Ethalii!

– Z lewej! – krzyknął Kest.

Obróciłem się w samą porę, by zobaczyć, jak kapłan rusza w moją stronę. Spodziewałem się ataku bronią, ale zamiast tego chlusnął we mnie zawartością butelki. Wołałem nie wyobrazać sobie, co by się stało, gdybym

spróbował choć kropli czystej adoracji, rzuciłem się więc do tyłu i w bok, wpadając na jeden z filarów. Płyn rozlał się po ziemi pod moimi stopami.

Do wszystkich diabłów! „Tylko tego mi trzeba w życiu, jeszcze więcej szaleństwa”. Zanim duchowny spróbował ponownie uraczyć mnie adoracją, wytrąciłem mu butelkę z dłoni buzdyganem i poprawiłem kopnięciem w kolano. Nie na tyle mocno, by je złamać, ale wyraz bólu na jego twarzy powiedział mi, że więcej nie będzie próbował się do mnie zbliżyć.

„Chociaż ty jeden nie jesteś odporny na ból, admorteo”.

Wróciłem do kręgu kamieni wokół Ethalii. Kest chrząknięciem zwrócił moją uwagę. Odwróciłem się i zobaczyłem, że co prawda, powalił swojego przeciwnika, ale miał paskudną ranę na czole i krew zalewała mu oczy. Rozejrzawszy się, naliczyłem pięć Bożych Igieł martwych lub tak ciężko rannych, że mogli jedynie czołgać się po podłodze w naszym kierunku.

Przed nami wciąż było ich siedmioro.

– Kest? – powiedziałem.

Prawą ręką otarł krew z oczu i jednocześnie wbił buzdygan w głowę przeciwnika, miażdżąc mu oko.

– Tak, Falcio?

– Jak oceniasz nasze szanse?

Odwrócił broń i wbił trzonek w drugie oko Bożej Igły.

– Wolisz nie wiedzieć. Skoro jesteśmy w świętym miejscu, mam nadzieję, że możemy liczyć na cud.

– Na cycki Świętej Lainy! – krzyknął Brasti.

I usłyszałem brzęk sztyletu padającego na podłogę. Jego dłoń spływała krwią.

– I jak będę teraz naciągał cięciwę, draniu – powiedział, kopiąc mężczyznę, który właśnie stracił połowę szczęki i zdawał się zupełnie tym nie przejmować.

– Nie ma już Świętej Lainy, Brasti – przypomniałem mu.

Oczy Kesta zwężyły się, gdy oceniał nasze szanse.

– W takim razie przydałaby się pomoc innej świętej, inaczej będzie z nami źle.

– Ethalio – powiedziałem cicho, nie będąc nawet pewnym, czy mnie słyszy. – Potrzebujemy cię w tej chwili.

Przez ułamek sekundy słyszałem tylko jej ciężki oddech, kiedy Boże Igły ruszyły na nas, wyraźnie pewne zwycięstwa. Potem złowiłem uchem długi, powolny wydech i poczułem, jak nogi się pode mną uginają. Przez chwilę myślałem, że to jeden z przeciwników jakimś cudem zaszedł mnie od tyłu i powalił, ale zaraz poczułem, że źródło ciężaru jest we mnie: smutek wywołany własnym gniewem i potrzebą wyrządzenia przemocy. Łzy żalu napłynęły mi do oczu i zapadłem się w sobie, ledwo udało mi się zebrać siły, by spojrzeć na Kesta i Brastiego, którzy też klęczeli, dotknięci tym przejmującym wrażeniem – i wtedy usłyszałem naszych wrogów padających na ziemię. Nie spuszczała oczu ze stojącej za mną Ethalii, a ich wzrok, przed chwilą przepełniony szaleństwem i żądzą, nagle złagodniał i zaczęli samym spojrzeniem niemo błagać ją o przebaczenie. Wtedy i ja spojrzałem na kobietę, którą kochałem i straciłem, stojącą pośrodku kręgu i lśniąca niczym słońce. Moje serce przepełniało to samo uczucie, co wszystkich pozostałych zgromadzonych w tej komnacie: zachwyt.

UCIECZKA

Nie wiem dokładnie, jak długo klęczeliśmy nieporuszeni pod wpływem Zachwytu Ethalii, ale po jakimś czasie poczułem, że osłabł na tyle, bym mógł stanąć na nogi. Kest i Brasti poszli w moje ślady.

– Boże Igły wciąż są pod wpływem uroku – zauważył Brasti.

– Skupiam na nich całą wolę – odparła Ethalia z zamkniętymi oczami. –

To dość trudne. Skujcie ich jak najszybciej.

Kest spojrział na skamieniałe postaci.

– Wybacz, Ethalio, ale bezpieczniej byłoby ich pozabijać...

– Użyjcie łańcuchów – powiedziała z naciskiem.

To nie był rozkaz, ale odniosłem wrażenie, że nie mamy w tej kwestii żadnego wyboru, przeciągnęliśmy ich więc po kolei do słupów i zakuliśmy w kajdany. Jeśli poczuli wściekłość lub smutek, to uczuć tych nie dojrzeliliśmy na ich pełnych zachwytu twarzach. Zastanawiałem się, co się stanie, kiedy Ethalia opuści to miejsce. Jillard nie wspomniał o żadnym lekarstwie na zatrucie adoracją; czy zostawimy ich tu na powolną, bolesną śmierć?

Oddaliłem od siebie tę myśl i sięgnąłem po dłuto, które ukryłem w inkwizytorskim płaszczu. Ręce trzęsły mi się jeszcze po walce, a rozbicie klamer maski drugiego świętego wymagało kilku prób. Gdy maska w końcu opadła, moim oczom ukazał się mężczyzna o przeciętnej urodzie i pergaminowej skórze; wyglądało na to, że jest grubo po sześćdziesiątce.

– Dziękuję wam – wychrypiął głosem odrobinę głośniejszym od szeptu.

– Kim jesteś? – spytałem, starając się otworzyć kajdany pętające mu kostki.

– Erastian – odpowiedział cichym głosem, po czym uśmiechnął się, widząc zaskoczone spojrzenie Brastiego. – Erastian Co Zrywa Różę, Święty Romantycznej Miłości, choć patrząc na mój obecny stan, może być ciężko w to uwierzyć.

– Wierzę ci – powiedziała Ethalia, dołączając do nas.

W tej samej chwili w komnacie poniósł się echem odgłos ciężkich uderzeń o zabarykadowane drzwi.

– Nie mamy zbyt wiele czasu – powiedziałem do starego Świętego. – Ta ciecza, którą poił cię duchowny...

– Paskudna sprawa – odparł Erastian. – Przynosi szaleństwo na długo przed tym, zanim zaczyna dodawać mocy, ale wola świętych jest wystarczająco silna, by powstrzymać pierwszy efekt. Kiedy Igły piją naszą krew, mogą przez jakiś czas niwelować negatywne skutki działania toksyny. Podejrzewam, że w końcu i tak ich zabija.

– Ale nie czyni z nich świętych, prawda? – spytał Brasti. – Ponieważ to naprawdę zburzyłoby moje poglądy na temat religii.

Erastian pokręcił głową w odpowiedzi.

– Nie, adoracja czyni ich jeszcze większymi grzesznikami.

Kiedy rozglądałem się po sali, starając się zrozumieć ogrom grozy tego miejsca, Kest zapytał:

– Coś cię niepokoi?

– Ta świątynia... – Wskazałem na kolumny i łańcuchy. – Złożone rytuały. Maski. Łańcuchy. Wszystko to po to, by tworzyć zabójców?

Brasti pochylił się, by podnieść upuszczony wcześniej sztylet.

– Przeklętych zabójców, którym prawie udało się nas... – Jego słowa zagłuszyły kolejne uderzenia w drzwi. – Czy nie powinniśmy czegoś z tym zrobić?

Kest właśnie oglądał masywne wrota.

– Mogliby i tydzień próbować je wyważyć, a i tak nic by im z tego nie przyszło.

– Wspaniale – powiedział Brasti, patrząc na jedną z Bożych Igieł, które przed chwilą przykuliśmy do filarów. Kobieta patrzyła na niego z zainteresowaniem.

Ethalia uklękła obok Erastiana.

– *Sancti*, w tym wszystkim chodzi o coś więcej niż tylko o zabójców, prawda?

Westchnął.

– To jest dość... skomplikowana kwestia, by ją teraz wyjaśniać, ale to, czego jesteście tu świadkami, to akt Zbezczeszczenia.

– Zbezczeszczenia? – powtórzył Brasti. – A niby czemu to takie ważne? Święty Romantycznej Miłości najeżył się nieco.

– Zbezczeszczenie to coś więcej niż tylko nasikanie na ołtarz, ty cholerny głupcze! Mówię tu o całkowitym usunięciu świętości. Kiedy święty umiera, jego esencja przechodzi na osobę najbardziej dostrojoną do mocy, jaką posiadał.

– Ale jeśli umrze w tym miejscu, kiedy stanie się to w trakcie tych... rytuałów, ta esencja przepada? – zapytałem, a moje ciało przeszły dreszcze na samą myśl o tym.

– Nie przepada – wyjaśnił Erastian. – Wraca do źródła. Wiara, moc, czy jakkolwiek to nazwiecie, no cóż, można powiedzieć, że ukradliśmy ją bogom.

Brasti nie wyglądał na przekonanego.

– Nie widać, żebyś ukradł za dużo, staruszk.

Święty Romantycznej Miłości obruszył się po raz kolejny.

– Chłopcze, przez ostatni miesiąc moja pieprzona krew była na zmianę zatrutowana i wysysana. Wybacz, że nie jawię ci się jako okaz zdrowia.

– A więc to wojna – powiedział Kest w zamyśleniu. – Wojna między bogami a świętymi.

Przypomniałem sobie, co Birgid powiedziała mi kilka tygodni wcześniej.

– Ta kopalnia była jedną z pierwszych, prawda? To tutaj pierwsi

Tristianie zostali sprowadzeni do niewolniczej pracy przy wydobyciu rudy żelaza. To tutaj modlili się w nocy, przekazując sobie kamienie modlitewne i błagając, aby bogowie wybawili ich od okrutnego losu.

– Zawsze byliśmy narodem skłonny do błagania i płaszczenia się – powiedział Erastian. – Dopóki nie osiągnęliśmy wystarczającej mocy, by tworzyć armie i toczyć wojny. Chcieliśmy za wszelką cenę pokonać ograniczenia, którym podlegali nasi przodkowie. – Pokręcił głową. – Obawiam się, że jesteśmy próżnymi i zepsutymi ludźmi.

– Wliczając w to świętych? – wtrąciłem.

– Święci są najgorsi ze wszystkich. – Erastian spojrział na Ethalię i uśmiechnął się. – Było jednak kilka wyjątków. Birgid różniła się od innych, podobnie jak jeszcze paru innych. – Wyciągnął rękę i pogłaskał Ethalię po policzku.

– Ona bardzo cię kochała, dziecko, ale nie było innego sposobu. Starła się wytrzymać jak najdłużej. Byłem od niej oddalony setki mil, a i tak poczułem, kiedy odeszła. Nie sądzę, żeby mogła przekazać swoją moc komukolwiek innemu, ale zmuszenie cię do tego na pewno złamało jej serce.

Ethalia zerknęła na mnie.

– Przyjęłam na siebie to brzemię.

– Z mojego doświadczenia wiem, że ciężary stają się lżejsze dzięki miłości – powiedział, wpatrując się we mnie znacząco.

„Co chcesz przez to powiedzieć, staruszkule? Dajesz mi nadzieję? Mówisz, że z Ethalią mamy jeszcze szansę na szczęście? A może po prostu wspominasz swoje życie?”

– Kochałeś Birgid, prawda? – spytałem.

Erastian roześmiał się. W tym śmiechu dostrzegłem przebłysk tego, jaki zapewne był w młodości: przystojny, czarujący, pełen pasji.

– Birgid nie dało się nie kochać! Co to była za kobieta! Tyle wigoru, ognia i radości w jednej osobie. Była uosobieniem pewności siebie.

– To raczej nie są cnoty Świętej Miłosierdzia – zdziwiła się Ethalia.

– Dziewczyno, miłosierdzie to nie bierność czy bezczynność. To decyzja, która leczy rany zwyciężonego i zwycięzcy; jest o wiele potężniejsza, niż myśli większość ludzi. To o miłosierdzie wołamy w najciemniejszej godzinie; to miłosierdzie wzywamy, jeśli trzeba nam ochrony. – Patrzył na nią przez dłuższy czas, po czym dodał cichym głosem: – Smuci mnie, że jako Święta sama nie pojmujesz swojej mocy.

Coś ciężkiego po raz kolejny uderzyło mocno w drzwi. Może i Kest miał rację, że te drzwi wytrzymają wieczność, ale ja miałem już serdecznie dość tego miejsca.

– Czas na nas – powiedziałem, pomagając wstać Świętemu Romantycznej Miłości.

– Dziękuję ci, trattari. Bogowie mi świadkiem, że bardzo nie chciałbym szczeznąć w tak podłym miejscu, ale obawiam się, że wasze małe zwycięstwo jest zupełnie bezwartościowe. Na zewnątrz czekają na nas dziesiątki rycerzy i kapłanów, a z nimi ludzie o jeszcze czarniejszych duszach.

Spojrzałem na Ethalię.

– Czy możesz ponownie skorzystać z Zachwytu?

– Nie może – wtrącił Erastian, zanim zdążyła odpowiedzieć. – Jeszcze nie osiągnęła pełni mocy. Jej siła płynie z przebywania wewnątrz tej świątyni, ale kiedy tylko opuści komnatę, Zachwyt zniknie, dopóki nie będzie mieć czasu na...

– No już dobrze, rozumiemy – przerwał mu Brasti. – Zatem wracamy do naszego pierwotnego, okropnie idiotycznego planu.

Erastian nie wyglądał na przekonanego.

– Naprawdę myślicie, że uda się pokonać wszystkich tych ludzi w kopalni? Bo moim zdaniem szanse na to mamy raczej niewielkie.

Brasti w odpowiedzi wyszczerzył się serdecznie.

– Dziadku, jesteśmy pieprzonymi Wielkimi Płaszczami. Niewielkie szanse to nasz chleb codzienny.

Wskazałem na jego dłoń, z niezgrabnie zabandażowanej rany sączyła się

krew.

– Jesteś pewien, że dasz radę?

Po dość kwiecistej odpowiedzi, połączonej z serią nieprzyzwoitych gestów, wyjął pistolet z kabury i podniósł go do strzału.

Kest podszedł do drzwi i odsunął sztabę. Dudnienie z drugiej strony stawało się coraz głośniejsze, a drzwi trzęsły się we framudze.

– Tylko nie spudłuj – powiedział i otworzył drzwi.

Kiedy wrota się otworzyły, do komnaty wpadło trzech rycerzy, trzymających ciężką kłodę, która służyła im jako taran. Brasti wystrzelił i kula wbiła się w ścianę jaskini kilka stóp od miejsca, gdzie leżały nasze plecaki.

– Spudłowałeś – skwitował spokojnie Kest, uderzając głowicą miecza w hełm jednego z rycerzy.

– To przez ten cholerny pistolet! – wyjaśnił Brasti. – Pieprzona zabawka dla dzieci, które nie potrafią naciągnąć łuku.

– Po prostu załaduj kolejną kulę – powiedziałem, zajmując uwagę drugiego rycerza, by powstrzymać go przed zaatakowaniem Brastiego. Zamachnąłem się buzdyanem i chybiłem haniebnie, co dobitnie świadczyło o tym, jak bardzo byłem wyczerpany; inni prawdopodobnie nie mieli się o wiele lepiej.

Rycerz też to zauważył; uniósł miecz, zamierzając rozplątać mi czaszkę.

– A spodziewałem się prawdziwej walki, cogneri... czy może powinienem powiedzieć, trattari?

Ostrze opadło, a ja odskoczyłem do tyłu, niemal potykając się o ciało jednej z zabitych Bożych Igieł. Rzuciłem w rycerza buzdyanem i ku mojemu absurdalnemu zadowoleniu, trafiłem go prosto w pierś. Co prawda, cios nie był wystarczająco mocny, by go zranić, ale przynajmniej rycerz uznał to za zabawne.

– Obawiam się, że zostałeś bez broni, może powinienem ci pożyczyć moją?

– Nie przejmuj się tym – odparłem. – Nie zamierzam tu długo zabawić. Brasti?

– Już, już – odpowiedział.

Kazaliśmy mu w drodze ćwiczyć setki razy i choć wciąż twierdził, że nienawidzi broni palnej, strzelanie z niej szło mu już całkiem niezłe. Uniósł rękę i wycelował.

Z początku rycerz myślał, że kula jest przeznaczona dla niego, więc kiedy Brasti wystrzelił, a pocisk nieszkodliwie przeleciał obok, odwrócił się i uśmiechnął przez szczeliny hełmu.

– Ha! Spudło...

Pocisk wystrzelony przez Brastiego trafił w cel i zapalił bursztynowe światło, które położyłem na plecaku Kesta. Snop iskier sypnął się na proch strzelniczy, który po chwili eksplodował. Wybuch był niewielki, ale wystarczył, by wprowadzić zamieszanie wśród stojących nieopodal ludzi.

– To był ten twój wspaniały plan? – spytał Erastian. – Dywersja?

– Daj mi chwilę – odpowiedziałem.

Nie trwało to długo: niewielka eksplozja czarnego prochu przebiła ciężki bukłak z wodą, która następnie spłynęła do wnętrza mojego plecaka, gdzie zostawiłem spory zapas nocnej mgły, zabranej Bożym Igłom jeszcze w Luth.

Dziwna mieszanka chemii i magii w proszku wkrótce wypełniła korytarze dymem tak gęstym, że zdusił nawet światło latarni zwisających ze ścian. Wręczyłem Ethalii i Erastianowi kawałki materiału, które wcześniej przygotowaliśmy.

– Zakryjcie usta i nosy, trzymajcie się między Kestem a mną. Nie próbujcie dostrzegać niczego we mgle, po prostu zamknijcie oczy i trzymajcie się nas.

Brasti pokręcił głową i skomentował kpiącym tonem.

– Falcio val Mond korzystający z magii! Do czego zmierza ten świat?

– Świat zmienia się ostatnio bardzo szybko – powiedziałem, popychając go do przodu. Całą piątką weszliśmy w falujące opary nocnej mgły. –

Próbuję tylko za nim nadążyć.

KAPLICA

Kopalnia zmieniała się w bezkresny ocean szarości, w którym pływaliliśmy tak samo ślepi jak pozostałe ryby. Mieliśmy nad nimi przewagę: byliśmy przygotowani na tę chwilę.

„Dwadzieścia dwa kroki naprzód”, szepnąłem pod nosem, „potem skręć w lewo, a po trzech krokach lekko w prawo”.

Ludzie dookoła nas krzyczeli wniebogłosy – najwidoczniej wszyscy szlachetnie urodzeni i ich rodziny, oczekujący na rytuał przemiany w Boże Igły, mieli niewielkie doświadczenie, jeśli chodzi o uwięzienie w kopalni. Biegający bezładnie rycerze, obalający kogo popadnie ciężkimi pancerzami, zapewne nie poprawiali sytuacji. Czymś banalnie łatwym jest przechadzać się pod ziemią, kiedy co kilka kroków masz nad głową latarnie; sprawy mają się jednak znacznie gorzej, gdy nagle odkryjesz, że nie widzisz absolutnie nic.

Krzyki stały się upiorne, stłumione i zniekształcone przez nocną mgłę i mocno dezorientujące. Efekt był dziwnie kojący, co mnie martwiło. „Niech mnie za to pokarze jakiś świeżo upieczony święty, ale chyba zaczynam lubić magię”.

Nagle ktoś rozpaczliwie chwycił mnie za ramię rozczapierzoną dłonią. Zgadując miejsce, w którym może znajdować się twarz właściciela ręki, zadałem cios pięścią. Uderzenie nie było zbyt mocne, ale spełniło swoje zadanie. Ruszyłem dalej, czując dłoń Ethalii ściskającą mój płaszcz.

– Przed nami schody, za jakieś sześć kroków – powiedziałem. – Zatrzymam się, kiedy do nich dotrzemy. Potem będą trzy stopnie, każdy z nich nieco płytszy, niżby się można spodziewać, bądź ostrożna.

Nie byłem pewny, czy mnie usłyszała, ale udało nam się przejść schody bez szwanku i znaleźliśmy się w kolejnym korytarzu. Według moich obliczeń byliśmy teraz mniej niż trzy minuty od wyjścia. Wcześniej byłem dość pewny siebie, ale teraz nocna mgła zaczynała mocno oddziaływać na moje wycucie kierunku. W pewnej chwili wpadłem na ścianę, ale szybko odzyskałem równowagę i ruszyłem naprzód, licząc w myślach kroki, aż dotarliśmy do następnych schodów. Te były najdłuższe i prowadziły prosto do wyjścia. Wtem poczułem szarpnięcie, po czym ręka Ethalii puściła mój płaszcz. Zatrzymałem się i odwróciłem, sięgając w miejsce, w którym powinna stać. Nic. Nagle usłyszałem krzyk tak głośny, że wydawało mi się, że pochodzi z wnętrza mojej głowy. Już miałem zrywać się do biegu z powrotem, gdy tuż obok siebie usłyszałem kroki.

– Wszystko w porządku. – Z ciemności dobiegł mnie głos Kesta. – Zająłem się tym.

Brzmiał, jakby był daleko ode mnie, ale wtedy poczułem, że ktoś łapie mnie za rękę i od razu wiedziałem, że to Ethalia. Odwróciłem się i wznowiłem naszą mozolną wędrówkę, aż wreszcie dotarliśmy do schodów.

– Trzydzieści sześć stopni – oznajmiłem. – U góry robią się coraz wyższe.

Moje ostrzeżenie okazało się niepotrzebne; okazało się, że jesteśmy na tyle daleko od źródła nocnej mgły, że dym stał się tylko jasnoszarą mgiełką, przez którą wyraźnie widzieliśmy wyjście.

Przed kopalnią panował chaos. Ten dobry rodzaj chaosu, w którym to nasi wrogowie byli rozproszeni i zdezorientowani. Część rzuciła się w stronę sztolni, by ratować tych, którzy byli w środku, podczas gdy inni próbowali znaleźć wodę, myśląc, że wybuchł pożar. Co najlepsze, nikt nie wiedział, że nie jesteśmy Inkwizytorami, za których się podawaliśmy, ani że to my jesteśmy sprawcami całego zamieszania.

– Ruszcie się! – pogońłem grupę ludzi niosących dziwaczny dobór broni i wiader z wodą, z których nie będzie najmniejszego pożytku. – Kiedy

dotrzecie do wielkiej komory, kapłani powiedzą wam, co robić.

Pokiwali głowami i minęli nas, ruszając po schodach w mgłę. Kiedy zniknęli, pojawiła się Ethalia, a za nią Kest niosący Erastiana.

– Przecież mogę iść sam, głupcze – powiedział zrzędliwie starzec.

– Czy aby na pewno jesteś Świętym Romantycznej Miłości? – spytał zamykający pochód Brasti. – Marudzisz bardziej niż Święty Starych Pierników.

– Musimy zejść z otwartej przestrzeni – powiedział Kest, wskazując na ścieżkę prowadzącą do lasu. – Wtedy będziemy mogli okrążyć obóz i wrócić do koni.

Weszliśmy w las, zostawiając za sobą hałaśliwe zamieszanie, które wywołaliśmy. Zarośla spowalniały nasze kroki i po dziesięciu minutach marszu zarządziłem postój. Wskazałem na wąski szlak przecinający naszą drogę.

– Pójdźmy tędy. Do wierzchowców nie powinniśmy mieć więcej niż dwieście jardów.

Razem z Kestem i Brastim zdążyliśmy już przejść kilka kroków, kiedy zauważyliśmy, że ani Erastian, ani Ethalia się nie poruszyli. Patrzyli w dal z dziwnym wyrazem twarzy.

– O co chodzi? – spytałem.

Erastian spojrzał na Ethalię.

– Też to czujesz?

Nagle oboje ruszyli w głąb lasu, zupełnie ignorując moje pytanie.

– Zaczekajcie! – krzyknąłem, a kiedy nadal nie odpowiadali, podążyłem za nimi, gestem pokazując pozostałym, by szli za mną. „Świetnie”, pomyślałem. „Raz w życiu mój plan rzeczywiście zadziałał, a cholerni święci akurat musieli poczuć nieprzepartą potrzebę zrujnowania go”.

– Za tym zagajnikiem coś jest. – Brasti, idący tuż za mną, zwrócił moją uwagę.

I ja to dostrzegłem: jakieś dwadzieścia stóp od nas stał budynek – brudne

białe kamienne ściany były ledwo widoczne pomiędzy gęstwiną z liści. Wyciągnąłem inkwizytorski buzdygan i na wypadek kłopotów przepchnąłem się do przodu. Po kilku minutach przedzierania się przez gęste zarośla weszliśmy na niewielką polanę z rotundą, podobną do tej w centrum berneńskiego martyrium. Tak jak tamta miała sześcioro drzwi i sześć posągów, po jednym dla każdego z bogów Tristii, popękanych i zniszczonych przez czas i zaniedbanie. Tutaj jednak kończyły się podobieństwa.

– Na jaja Świętego Zagheva! – zaklął Brasti. – Co tu się u diabła stało?

Obok każdego zrujnowanego posągu stała wysoka szubienica zbudowana z niedawno ściętego drzewa i grubej, konopnej liny. Na każdej z nich wisiała wychudzona postać ubrana w szaty tak brudne, że dobrą chwilę zajęło mi, zanim zauważyłem, że strój każdego wisielca miał inny kolor – kolor swojego bóstwa. Ich twarze były zasłonięte żelaznymi maskami.

Podeszliśmy do tego makabrycznego grobu z największą ostrożnością.

– Kolejni zamordowani święci? – zastanawiał się głośno Kest. – A może kapłani? Może to jakaś rytualna kara za herezję?

– Zabijanie kapłanów? – zdziwił się Brasti.

Jedne z pękniętych drewnianych drzwi kaplicy otworzyły się z trzaskiem, a niski baryton odpowiedział na jego pytanie.

– Myślisz, że kapłani powinni być zwolnieni z odpowiedzialności za głoszenie herezji?

W drzwiach stanął mężczyzna o masywnym korpusie, wytarł grube dłonie o ciężki skórzany fartuch, po czym wepchnął kciuki za szeroki pas. Jego narzędzia – młotek, szczypce, kilka pilników i punktaków zwisały mu po bokach.

– Ach, tu jesteś, Falcio – dodał, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi.

– Znasz go? – spytał mnie Kest.

Pokręciłem głową, nie mogąc wydobyć z siebie nawet słowa. Nigdy nie

spotkałem tego człowieka, nigdy nie widziałem go na oczy, a jednak dokładnie wiedziałem, kim jest.

„Nigdy go nie spotkałeś”, powiedział chłopiec, ale miałem przecież wskazówki, i to sporo – proste, oczywiste poszlaki: starannie obmyślane metalowe klamry na maskach, złożony zamek w pistoletach Inkwizytorów; każdy element był rodzajem metafory tego, jak perfekcyjnie skonstruowane były jego plany.

Cały świat był maszyną zbudowaną według projektu tego człowieka.

– Co tu się dzieje? – spytał Brasti. – Kim jest ten dupek i na co mu banda zmarłych kapłanów?

– Jestem kowalem – odpowiedział mężczyzna.

– Kłamie – wtrąciłem, choć jego kłamstwo było niewielkie, ukryte w zaledwie jednej literze.

Ile razy zadawaliśmy sobie pytanie, kto może tak doskonale manipulować całym krajem? Książęta nie byli do tego zdolni; nawet Trin, która była przecież znacznie od nich wszystkich inteligentniejsza. Spotkałem tylko jedną osobę z błyskotliwością i sprytem pozwalającym na coś takiego. „Jestem Krawcową” – powtarzała nam tyle razy. „Ostatnią prawdziwą Krawcową w całej Tristii”. Oczywiście, miała rację.

– A więc kim on jest? – przerwał moje rozmyślenia Brasti.

– On... Kimkolwiek jest Krawcowa, on jest taki jak ona. Nie jest jakimś tam kowalem, lecz tym Kowalem.

– Sprytnie – powiedział mężczyzna, wychodząc na zewnątrz rotundy, by stawić nam czoła. – Szkoda, że umysł taki jak twój tak się marnuje, Falcio. Założę się, że nasza staruszka nigdy tego nie rozgryzła, co?

– Takie drobiazgi zostawia dla mnie – odparowałem, starając się powstrzymać drżenie głosu.

– Nie doceniasz się. To niezwykła rzecz, móc odczytać plany kogoś takiego jak Krawcowa czy ja. Wiedziałaś, że i na takich jak my istnieje określenie? *Inlaudati*: Nierozpoznani. Przyznaję, nie brzmi szczególnie

imponująco, ale chyba istotnie w naszej naturze jest pozostawanie w ukryciu.

– A jednak rozmawiamy twarzą w twarz – zauważyłem.

Kowal rozłożył szeroko ramiona.

– I to powinien być wasz powód do dumy. Znaleźliście mnie. – Jego oczy wyrażały szczerą radość: skryte pragnienie każdego mordercy, by ktoś podziwiał jego dzieło. Ale w spojrzeniu miał jeszcze coś: był ciekaw, czy uda mi się odgadnąć, na czym dokładnie polega jego zbrodnia.

Zrobiłem to chwilę wcześniej. Spojrzałem na ciała zwisające z sześciu szubienic, kołyszące się łagodnie na delikatnym wietrze.

– To nie są ani kapłani, ani święci.

– Nie... – szepnęła Ethalia.

Ona i Erastian już wiedzieli, co właśnie wydedukowałem. Po chwili miny Brastiego i Kesta pokazały mi, że i oni zrozumieli, na co właśnie patrzymy.

Zawsze byłem najmniej religijny z nas wszystkich, czułem więc, że muszę to powiedzieć na głos.

– Ten człowiek zabił bogów.

HERETYK

Kiedy trafiasz na zwłoki, ważne jest, by nie kierować się emocjami. Gniew nie pomoże ci zrozumieć ani śmierci, ani smutku, a jeśli jest coś, na co zasługują zmarli, to jest to opowiadanie ich prawdziwej historii. Będąc Wielkim Płaszczem, widziałem wielu zmarłych, to w zasadzie dla nas chleb codzienny. Widziałem ciała w każdym stanie rozkładu, od wciąż ciepłej ofiary, której oczy jeszcze patrzą na ciebie, domagając się odpowiedzi, po wysuszone szkielety skrzętnie oczyszczone przez padlinożerców. Gdy patrzyłem na martwych bogów Tristii, najbardziej zaskoczyło mnie to, jak bardzo zwyczajnie wyglądali.

– Jak można zabić boga? – spytał Brasti. W jego głosie była kruchość, niepewność niczym u dziecka, tak bardzo dla niego nietypowa. Nigdy wcześniej nie próbowałem zestawić ze sobą słów „Brasti” i „wiara” w jednym zdaniu. Nigdy nie myślałem, że w głębi duszy może być religijny.

– W taki sam sposób, w jaki zabija się kogokolwiek innego – odpowiedziałem, wciąż patrząc na wiszące nad nami wysuszone zwłoki. – Uderzasz, kiedy twoja ofiara jest osłabiona.

– Bardzo dobrze – powiedział Kowal, jakby jego ulubiony uczeń odpowiedział właśnie na trudne pytanie. – Chociaż przyznaję, że byłem rozczarowany, znajdując ich tak słabych. Nie było w nich prawie żadnej wiary, której potrzebowałem do pracy. – Wskazał na kopalnię. – Kulili się jak żebracy w tunelach, próbując zaczerpnąć jak najwięcej ciepła z na wpół zapomnianych modlitw wiernych.

Chociaż nie czułem się w tej kwestii ekspertem, to w jego słowach było dużo prawdy: wiara w Tristii słabła od stuleci. Mimo wielu wierzących na

pokaz, których zawsze widziało się na obchodach wszelakich świąt, nie sądziłem, że jest choć garstka ludzi, którzy tak naprawdę wierzą jeszcze w bogów. „A przynajmniej do chwili, kiedy mordowani święci nie wywołali religijnej paniki”.

– Nie zacząłeś od świętych – powiedziałem. Czuję się tak, jakbym powoli rozbierał zegar na części, podnosząc do góry każde małe zębate kółko i sprężynę, po raz pierwszy widząc, jak ze sobą współgrają. – Najpierw pozbyłeś się bogów.

Uśmiechnął się.

– Znowu mi imponujesz, Falcio: taka prosta myśl, a jednak umknęłaby większości ludzi zaślepionych tym, co w tym zrujnowanym kraju uważa się za wiarę.

Wyciągnął rękę i chwycił stopę trupa, który jak przypuszczałem, był kiedyś Duestrem, Bogiem Rzemiosła.

– Czczymy ich, modlimy się do nich, o czym więc świadczy to, że nikt nawet nie zauważył ich śmierci?

Ta uwaga trafiła nawet do niewzruszonego dotychczas Kesta.

– Ale podjąć ryzyko stawienia czoła żyjącemu bogu...

Zastanawiała mnie ta sama kwestia. Spojrzałem na żelazne maski zakrywające ich twarze. „Zapomnij o tym, że są bogami, i trzymaj się tego, co wiesz”.

– Upewniłeś się, że twoje ofiary nie będą w stanie walczyć – zauważyłem. Jeśli maski zostały zrobione z tutejszej rudy, a to właśnie ona przed wiekami przekształciła modlitwę w moc, wtedy stawało się jasne, że bogowie mogą być tak samo podatni na działanie masek jak święci.

– Znowu prawidłowo. Szkoda, że stoimy po dwóch stronach barykady, skoro mamy wspólny cel.

Nienawidziłem pewności siebie w głosie Kowala, tego, że mógł mówić takie rzeczy i jednocześnie nie zachowuje się jak pełen pychy arogant. Chciałem chwycić buzdygan i roztrzaskać jego czaszkę za wszystko, czego

się dopuścił – musiałem jednak się skupić. „Jest awertarzem, pamiętasz?” Te wypady i zwody nic go nie kosztują; próbuje wytrącić mnie z równowagi.

– Jaki to cel?

– Obaj chcemy zmienić ten kraj na lepszy.

Szczerłość w jego głosie rozjuszyła mnie na nowo.

– Ty skurwysynu – splunął Brasti i wyciągnął długi nóż spod płaszcza.

Powstrzymałem go gestem dłoni.

– Poczekaj – powiedziałem.

Kowal pokręcił głową.

– Widzisz? Tym się właśnie różnimy: wy tylko prężycie się jak koguty. Chcecie zmienić świat doniosłymi aktami śmiałości i sprytu. – Wskazał na Świętego Erastiana. – Przebyłeś całą tę drogę, ryzykowałeś życiem i przyznaję, wykazałeś się niewątpliwie błyskotliwym gambitem, tylko po co? Żeby uratować ulotne resztki miernoty: starego głupca przywiązanego do kończącego się snu o romantycznej miłości, o której świat już dawno zapomniał.

– Lepszy głupiec marzący o miłości niż rzeźnik, który dopuszcza się największych okrucieństw, by stworzyć swoją skrzywioną religię – powiedział Erastian.

– Religia. – Wielki mężczyzna powtórzył słowo, jakby wypluwał z ust owada. – Jestem rzemieślnikiem, a nie pobożnym kaznodzieją sprzedającym fałszywą nadzieję. Tworzę narzędzia. Wykuwam broń.

– W porządku – powiedział Brasti. – Jesteś kowalem, nie musisz się powtarzać. – Spojrzał na mnie. – Czy już mogę go zabić?

– Nie – odpowiedział Kowal zamiast mnie. – Nie sądzę, żebyś mógł. – Machnął dłonią i z drzwi za nim wyłoniła się postać.

Był nieco wyższy ode mnie, mogłem dostrzec szerokie ramiona i sylwetkę wojownika pod udrapowanymi białymi szatami, podobnymi do tych, w które odziana była szlachta w kopalni. Mężczyzna był zakapturzony, ale błysk uśmiechu, który dostrzegłem na zacienionej twarzy, zmroził mi

krew w żyłach.

„Wykuwam broń”.

Brasti nie był pod wrażeniem.

– Śmiało, powiedz swojej małej Bożej Igiełce, żeby pokazał, na co go stać. Zabijanie szaleńców, których przeciwko nam wysyłasz, idzie nam coraz lepiej.

Kowal zignorował go i spojrzał na mnie, wyraźnie rozczarowany.

– Falcio, czyżbyś naprawdę nie odkrył jeszcze ostatniego kawałka układanki? Musiałeś już się domyślić, że Igły to tylko półśrodek do ostatecznego celu. – Cofnął się za odzianą w biel postać. – Myślę, że to zrobi na tobie odpowiednie wrażenie.

– Nie mówiłeś przypadkiem, że nie mogą tworzyć nowych świętych? – powiedział Brasti do Erastiana.

– Nie mogą – odpowiedział, a jego oczy zwęziły się, gdy przyjrzał się postaci stojącej przed nami.

– Starzec ma rację – powiedział Kowal, sięgając do postaci stojącej przed nim i rozpinając klamrę jej białej peleryny. – Okazuje się, że tworzenie świętych jest niezwykle trudne, co nie przystaje do ich wartości, dlatego postanowiłem za cel obrać sobie coś znacznie bardziej ambitnego. Radujcie się, bo oto stworzyłem nasze zbawienie!

Kowal zdjął mężczyźnie kaptur i zrzucił szaty na ziemię. Ten nosił zbroję: rzeźbiony, stalowy, obramowany złotem napierśnik, który odsłaniał jego potężnie umięśnione ręce. Miał twarz zatwardziałego żołnierza, oczy ciemne, jakby patrzył na wroga ginącego na zalanej krwią ziemi. Kiedy podniósł rękę, trzymał w niej ciężki topór. Znałem tę broń lepiej niż własne rapiery, tak jak znałem rysy twarzy tego człowieka dokładniej niż swoje. Widziałem go zaledwie raz, piętnaście lat temu, a jednak jego oblicze było wyryte w każdym zakamarku, w każdej bliźnie na mojej duszy. To on pewnego pięknego wiosennego dnia przybył na małą farmę, na której gospodarzyłem razem z Aline; to on namówił swojego księcia, by mi ją

zabrał.

Miał na imię Fost i jego miejsce od dawna było w piekle.

– Pokłońcie się przed swoim nowym Bogiem – powiedział Kowal.

BÓG

Kest przemówił pierwszy. Jego głos był cichy, jak zwykle kiedy oszczędzał oddech w płucach, przygotowując się do ataku.

– Jak tego dokonałeś?

Bóg nie odpowiedział, ale zrobił to Kowal.

– W ten sam sposób, w jaki podchodzę do każdego zadania: przez znalezienie odpowiednich materiałów. Oczywiście, to było w tym przypadku najtrudniejsze.

Ethalia wciąż wpatrywała się w ciała zwisające z szubienic.

– Odkryłeś, że bogowie są zbyt słabi, by dać ci to, czego potrzebowałeś, zacząłeś więc zabijać świętych.

– Wiedziałem, że boska moc nie mogła po prostu zniknąć, musiała mieć swoje ujście – odpowiedział Kowal. – Wtedy dokonałem najważniejszego odkrycia: święci, tacy jak Erastian i ty, mam nadzieję, że wybaczysz mi te słowa, Pani, jesteście jedynie duchowymi złodziejami, okradającymi bogów z wiary jak pospolici kieszonkowcy. Ja tylko ukradłem ją złodziejom.

– Dlaczego właśnie on? – spytałem. Starłem się nie trząść z wściekłości, gdy patrzyłem na Fosta. – Dlaczego ze wszystkich twarzy na świecie wybrałeś jego?

Moja dłoń zaczęła na ślepo szukać maczugi zatkniętej za pasem, ale ręce drżały mi tak bardzo, że wiedziałem, iż jeśli tylko spróbuję podnieść broń, natychmiast wypadnie na ziemię.

Kowal spojrzał na swojego Boga, a potem raz jeszcze na mnie. Ze zdziwieniem dostrzegłem w jego oczach współczucie.

– Powiedz mi, co widzisz, Falcio.

Nie chciałem dać mu satysfakcji z odpowiedzi, ale słowa i tak wydostały się z moich ust.

– Widzę człowieka, który rozplątał toporem czaszkę mojej żony, człowieka po tysiącokroć zasługującego na śmierć z mojej ręki, a nie na cześć czy boskość.

Brasti nagle odwrócił się do mnie.

– Co takiego? Oślepiłeś? – Wskazał na Boga. – Przecież od samego początku mówiłem wam, kto za tym wszystkim stoi: pieprzona Trin.

– Przestańcie – powiedział Kest. – Nie stoją przed nami ani Fost, ani Trin. Ja widzę kogoś innego.

Mrugał wściekle oczami, a krople potu kapały mu z czoła.

– A kogo widzisz? – spytałem miękko głosem.

– Widzę Caveila Co Tnie Wodę. Widzę każdy szczegół jego twarzy, jego spojrzenie, jego uśmiech, postawę, jaką przyjął, kiedy stawiałem mu czoła.

– Wzrok śmiertelników nie jest stworzony do oglądania bogów – powiedział Kowal. – Dlatego każdy widzi to, na co pozwala jego umysł.

– A co ty widzisz? – głośno wypowiedziałem swoje myśli.

– Ile moich braci i siostr zamęczyłeś, by stworzyć tę twoją śliczną zabawkę? – spytał wzburzoną głosem Erastian.

Na Kowalu gniew świętego zdawał się nie robić wrażenia.

– Nie więcej niż było konieczne – odpowiedział. I niemal od niechcenia dodał: – Może stu.

Starzec wyglądał na ogłuszonego tym, co właśnie usłyszał.

– Stu... ale nigdy nie było nas więcej niż dwie setki. Zabiłeś...?

– Tak, zabiłem połowę świętych – przyznał Kowal. – Pierwszym był Anlas, Święty Pamięci. Zawsze był najmądrzejszy z was wszystkich. Pewnie nie zdajecie sobie sprawy, jak niewiele jest źródeł pisanych na temat świętych. Nie wspomina się ich nawet w najstarszych księgach, ale z jego wrzasków dowiedziałem się prawdy: moc, którą władacie, została skradziona bogom. Co więcej, wydając ostatnie tchnienie, Anlas

opowiedział mi o starym kulcie zelotów, którzy wierzyli, że mogą zdobyć tę moc dla siebie, pijąc krew świętych, rzecz jasna tylko bogatych było na to stać. – Pokręcił głową z udawanym obrzydzeniem. – Czy to nie dziwne, że możni są zawsze takimi potworami?

Im dłużej mówił, tym większy wpływ zdawało się to mieć na Ethalię.

– Mówisz o morderstwie, jakby to było jedynie...

– Nic innego jak tylko przetapianie starych podków w celu zrobienia nowych – dokończył za nią Kowal. – I to właśnie było prawdziwym wyzwaniem: odpowiednio wykorzystać moc Wiary pozostałej po zgładzonym świętym.

Próbował sprawić, by zabrzmiało to jak błahostka, ale i to było zwodniczym podstępem. „Perfekcyjnie wykonane morderstwa świętych, przyciąganie wyznawców, by stworzyć Boże Igły, przekonanie kapłanów do przywrócenia Inkwizycji bez ujawniania własnej tożsamości...”

– Pielgrzymi – powiedziałem, choć wydawało mi się, że za cicho, by mnie usłyszał. – Zrobiłeś wszystko, by w całym kraju zapanował strach, by przekonać ludzi, że bogowie się od nich odwrócili, byś mógł...

Kowal nagle stracił panowanie nad sobą.

– Bo tak właśnie się stało! Bogowie odwrócili się od nas! – krzyknął.

Spojrzałem mu w oczy, szukając jakiejś oznaki słabości. Może i wyglądał na ociężałego, ale umysł miał niezwykle przenikliwy. „Pokaż mi, jak mam cię pokonać”.

– Twoje cierpienie jest ogromne – powiedziała Ethalia łagodnym głosem. – Widzę to w tobie.

Widziałem, że szukała w nim resztek człowieczeństwa, dzięki którym mogłaby mu pomóc, ale to był błąd.

Kowal wziął powolny, głęboki oddech, a kiedy popatrzył na nią, jego spojrzenie nie wyrażało żadnych emocji.

– Nic nie wiesz o bólu, Pani. Nie martw się, niebawem zaradzę tej ignorancji.

– Jestem mocno przekonany, że się mylisz – powiedziałem, ale jeszcze nim skończyłem zdanie, wiedziałem, że wpadłem w jego sidła.

– Ach, Falcio, jak zwykle nie zawodzisz w swojej konsekwentnej niemożności zaskoczenia mnie. Potrzebujesz przeciwnika: okrutnego złoczyńcy, którego możesz nienawidzić, walczyć z nim i w końcu go pokonać, ale obawiam się, że nie przydam ci się w tej roli.

Otarł czoło dłonią niczym robotnik po długiej pracy.

– Ludzie się z was śmieją. Gdziekolwiek się nie udacie, każdy gardzi waszymi Prawami. Kiedy rolnik dziękuje ci, że ryzykowałeś życiem w pojedynku, aby odzyskać jego ziemię, myślisz, że obchodzi go, które Prawo zostało złamane lub przywrócone? Ma się rozumieć, że nie; on po prostu chce swojej ziemi. Ludzie nie mają ochoty przestrzegać waszych Praw.

Cofnął się, stając za człowiekiem z twarzą Fosta i położył ręce na jego ramionach.

– Oni chcą być posłuszni swojemu Bogu.

– W takim razie może nie powinieneś był mordować tych, których już mieliśmy – zauważył Brasti.

– Ci prawie zapomniani głupcy? Ich czas już dawno minął. Nasi ludzie chcą nowego Boga: jednego silnego ojca, który ich poprowadzi. – Odwrócił się, pełnym podziwu wzrokiem obrzucając swoje dzieło. – Spójrzcie na owoc mojej pracy i przyznajcie, że nie widzieliście piękniejszego widoku.

– Jedyne, co widzę, to jeden dupek stojący obok drugiego, a obu należy się solidne lanie – powiedział Erastian, robiąc krok do przodu, by stanąć między nami a Bogiem.

Bóg otworzył usta i przemówił po raz pierwszy.

– *Bluźnierca.*

To słowo nie rozbrzmiało żadnym znanym dźwiękiem, było jak cień oplatający serce, wzbudzające krzyk z głębi trzewi tak głośny, że groził popękaniem bębenków. To słowo miało zapach śmierci i zgnilizny,

wnikający w nozdrza; wagę klęski, która opadała na ramiona. Uświadomiłem sobie, że nie tylko ja jestem pod jego wpływem. Gdy odwróciłem głowę, zobaczyłem, że Kest i Brasti zareagowali na boskie słowo tak samo jak ja.

– Tanie sztuczki – oznajmił Erastian, zataczając się, ale w jakiś sposób nie ulegając mocy naszego przeciwnika. – Czy to właśnie chcesz pokazać mieszkańcom tego kraju?

– Jak na świętego wykazujesz się niezwykłym brakiem wiary – odpowiedział Kowal.

Starzec w odpowiedzi rozstawił szeroko nogi i stanął twarzą w twarz z Bogiem, choć odezwał się do jego twórcy.

– Wiara, o której mówisz z taką łatwością, pochodzi od mężczyzn i kobiet, którzy boją się nocnych ciemności, jarzma swoich ciemnych. To z tej wiary zrodzili się bogowie.

Do Boga zaś rzekł:

– Nie stworzyliście nas. To my stworzyliśmy was.

Kowal machnął lekceważąco ręką.

– Czy matka dziecka, które zostaje królem, ignoruje jego rządy? Dlaczego ma znaczenie to, w jaki sposób tworzony jest Bóg? Ważne jest tylko, żebyś był mu posłuszny.

Z trudem pokonując grozę, która zmroziła moje ciało, powiedziałem:

– Ma znaczenie, jeśli Bóg został stworzony poprzez strach i manipulację.

– Nie – odparł. – Jestem Kowalem. Nie manipuluję nikim, tak jak robi to wasza Krawcowa. Wykuwam. Kształtuję. Tworzę. – Spojrzał na mnie bez gniewu i nienawiści. – Nie rozumiesz, Falcio? Obaj wiemy, jak słaby stał się ten kraj, jak skorumpowani są jego obywatele, od najbogatszej szlachty po proste chłopstwo. Ty i twoje Wielkie Płaszczce... jak ludzie odpłacają wam za godność i przyzwoitość, które staracie się wnieść do ich życia? Drwiną i zdradą. Poświęciłeś wszystko, by ratować kraj, który jest niczym więcej niż gnijącymi zwłokami, o resztki których walczy ze sobą padlinożerna szlachta.

Wiesz, że to prawda, wiesz, że Tristia nie przetrwa w takim stanie. Musimy sprawić, by znowu była silna, a to niewątpliwie zapewnią rządy Boga.

Erastian zaśmiał się gorzko.

– Ty głupcze. Naszych przodków przepełniała nienawiść i wściekłość wobec świata. Siedzieli nocami przepełnieni goryczą, modląc się, by ktoś zabił ich wrogów. Nasi bogowie są niczym więcej jak zamaskowanymi diabłami.

„Oczywiście”, pomyślałem, „w końcu jesteśmy w Tristii, gdzie nawet bogowie, których czcimy, okazują się małostkowi i łatwi do kupienia”.

– Kim więc są święci, jeśli nie drobnymi złodziejaskami szukającymi własnej chwały? – zapytał Kowal.

– Pokazujemy ludziom, że mogą aspirować do bycia kimś lepszym – odpowiedział Erastian, po czym zwrócił się w moją stronę z uśmiechem. – Oczywiście, nie był to nasz pierwotny cel. – Starzec powrócił spojrzeniem do Boga. – Kiedy ludność Tristii stworzyła prawa, zgodnie z którymi chciała żyć, bogom bardzo się to nie spodobało: chcieli, byśmy klękali tylko przed nimi, przysięgali na nasze dusze posłuszeństwo ich przykazaniom. Niektórzy nie chcieli się podporządkować i stawili im opór. To właśnie jest nasz cel: istniejemy, by przeciwstawić się tyranii bogów, którzy chcą ze swoich wyznawców uczynić niewolników.

Bóg uśmiechnął się i po raz drugi przemówił:

– *Istniejcie. By. Służyć.*

Poczułem, jakby wraz z tym zdaniem na moje ramiona zrzucono górę kamieni; wszyscy upadliśmy na kolana, nawet Erastian i Ethalia. Nie byliśmy w stanie przeciwstawić się takiej sile. Nic, co czułem przedtem, nawet Zachwyty Birgid, nie mogło się z tym równać. To nie było zwykłe polecenie, a raczej objawienie: byliśmy błahymi, nieistotnymi stworzeniami, zrodzonymi, by służyć, spełnionymi jedynie, gdy klęczymy.

Obok mnie słyszałem Kesta charczącego z wysiłku niczym zwierzę próbujące wydostać się z bagna, które powoli, ale nieubłagane wciąga go

w głąb. Czuję, jak powietrze niemal wibruje wokół jego drżącego ciała, tak desperackie było jego pragnienie, by wstać z kolan. Zawstydził mnie tymi próbami i wysiłkiem, podczas gdy ja nie byłem w stanie podjąć walki. Na krótką chwilę znienawidziłem go za o wiele większe niż moje zasoby tego, co w naszych nędznych ciałach uchodziło za duszę.

Ktoś się odezwał i chwilę zajęło mi zdanie sobie sprawy, że to Erastian Co Zrywa Różę. Święty Romantycznej Miłości niefrasobliwym tonem rzekł:

– No cóż, wygląda na to, że czas rozmowy minął.

Zebrałem wszystkie siły, by unieść podbródek na tyle, by móc zobaczyć, jak wstał, otrzepał się i wyciągnął rękę do Ethalii.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, że Miłosierdzie to nie to samo, co bierność? Czas walczyć, siostrze. Nawet bogowie mają obowiązek odpowiedzieć na wyzwanie.

Ethalia spojrzała na mnie z szeroko otwartymi z bólu oczami i powoli podniosła się na nogi. Desperacko próbowałem wstać i dołączyć do niej, walczyć u jej boku.

Nie mogłem.

„Wygląda na to, że nie wszystkim nam dane jest być świętymi”.

APOSTATA

Jeżeli nigdy nie widzieliście dwóch świętych walczących o życie z wcielonym Bogiem, to... cóż, w sumie nic nie straciliście.

– Czy oni cokolwiek robią? – spytał Brasti, gdy nasza trójka wciąż była na kolanach, nie mogąc się podnieść. – Bo na mój gust to wygląda tak, jakby wszyscy próbowali zagapić się nawzajem na śmierć.

Ciężki oddech Kesta świadczył o tym, że on także walczy z siłą, która przygniatała nas do ziemi.

– Tego... nie da się zobaczyć – spróbował nam wyjaśnić. – Ich walka odbywa się w innym wymiarze.

Usiłowałem ujrzeć to, co Kest – doświadczyć bitwy między Bogiem a Świętymi, która rozgrywała się przed nami. Przez dłuższy czas było tak, jak powiedział Brasti: przed oczami miałem niemal komiczny obraz ich trojga stojących naprzeciw siebie, wpatrujących się sobie uważnie w oczy. W pewnym momencie jednak mój wzrok stał się rozmazany, jakbym zbyt długo patrzył w płomienie, poczułem palący ból w skroniach, mimowolnie zamknąłem powieki i wreszcie zobaczyłem, jak toczy się ten pojedynek. Nie było ognia, błyskawic czy gigantycznych węży połykających swoje ofiary w całości. Uchwyciłem za to coś innego. Coś znacznie, znacznie gorszego.

– Widzisz? – zapytał z trudem Kest.

Zobaczyłem zwalistego mężczyznę o szerokich ramionach wyrobionych od lat pracy w młynie, który szczyrzy zęby, zadając własnemu dziecku ciosy pięścią, raz za razem: brutalny, niekończący się rytm nieustannej kary...

Dwie młode kobiety trzymają starą matkę, a trzecia kopie ją w brzuch, jej noga porusza się niczym wahadło, raz, drugi, trzeci...

Ptak ląduje na parapecie, przyciągnięty do małej kupki nasion, ale zanim zdąży je zjeść, spada na niego dłoń i ściska, aż maleńkie kości klatki piersiowej pękają.

– Do diabła – szepnąłem. Widziałem to wszystko i setki podobnych okropności; gorzej, wiedziałem, że każda z nich jest prawdziwa i dzieje się właśnie w tej chwili w całym kraju. „Takimi ludźmi jesteśmy. To właśnie robimy, gdy nikt nie patrzy”.

Głos Erastiana pomógł mi otrząsnąć się z krwawych wizji.

– Tylko na tyle cię stać, głupi sukinsynu?

Starzec zmarszczył brwi w skupieniu, zamknąłem oczy i zobaczyłem...

...młodą dziewczynę, jej policzki rozkwitające pierwszym kwiatem kobiecości. Wspina się po zboczu góry, chociaż wie, że to niebezpieczne; wszyscy o tym wiedzą, a ona zawsze bała się wysokości. Ale nie dzisiaj, ponieważ tam rośnie niebieska róża, a ona chce ją zerwać. Włoży łyżkę między zęby i wybierze się do miasta, do młodego wędrownego grajka, który zagrał dla niej piosenkę na skrzypcach, piosenkę o róży, której nie można znaleźć. Ale ona wie, gdzie jej szukać, ona ją znajdzie i da mu w prezencie. A w zamian...

– Fascynujące – powiedział Kowal, stojąc z boku, najwyraźniej zupełnie nie dotknięty straszliwą wolą swego Boga. – Nie spodziewałem się takiej mocy u kogoś, czyja świętość to niewiele więcej niż dziecinna fantazja.

– *Na kolana* – rozkazał Bóg.

A moje uszy wypełniły...

...tysiące jęków dobywających się z ust setek przerażonych ludzi, zwisających na burtach łodzi rozrywanej przez sztorm, błagających, by burza ustała...

– Widzisz, to jest problem z bogami – powiedział Erastian, a kiedy się odwróciłem, ujrzałem, jak się uśmiecha, zaciskając szczęki. – Rozumieją tylko jednoznaczne, proste emocje związane z właściwą im domeną.

Nagle jęki zniknęły, zastąpione szeptem...

...dwojga kochanków, ich oddech rozgrzany przez poranne słońce. Składają obietnice, dzielą się w rozmarzeniu opowieściami o pełnym przygód i miłości życiu, które będą dzielić...

– Dość – powiedział Bóg, gasząc pieśń kochanków.

– Śmiejesz się z romantycznej miłości – powiedział Erastian. – Ale to właśnie ona wynosi nas ponad zwykłe przetrwanie i chciwość. Miłosierdzie jest uzdrowieniem, ale i obrońcą. Jest błogosławieństwem i uświęceniem, mieczem i tarczą. To, co przynosi nam życie, jest o niebo potężniejsze niż twoje koszmary.

– Co wiesz o koszmarach? – krzyknął Kowal, chodząc tam i z powrotem przed swoim Bogiem, po czym zatrzymał się i krzyknął mu prosto w twarz. – Pokaż im, jak wygląda prawdziwy koszmar!

...mężczyzna wraca przez pole do domu po długim dniu pracy w kuźni. Natyka się na piękne żółte kwiaty rosnące za starą świątynią. Nie widział ich tu nigdy wcześniej. Przynosi je do domu, aby rozjaśnić wieczór swojej rodziny w tych trudnych czasach...

– Co to jest? – spytał Erastian. – O czym ty...?

...mężczyzna patrzy, jak jego najstarszy syn krzyczy, cierpiąc takie męki, takie szaleństwo, że nawet kiedy już związał go grubymi sznurami, dziecko odgryza sobie język, by móc zadławić się nim na śmierć...

– Ty... – z trudem łapałem oddech. – To o tobie mówił Obladias: człowiek, który stracił wiarę po śmierci rodziny. Znalezione kwiaty to adoracja. To przez to...

...szaleństwo przechodzi teraz na drugie dziecko; cierpi jeszcze bardziej. Szczęka zębami, póki ich nie połamie, po czym pieńkami rozgryza ciało, aż...

– Pokaż im więcej! – krzyknął Kowal.

– Nie! – wykrzyknęła Ethalia – Wystarczy...

...mężczyzna patrzy na swoją żonę, tulącą ich najmłodsze dziecko. Nie ma nawet miesiąca i jest zbyt małe, by móc się zranić, ale ból przez to nie znika. Matka nie przestaje modlić się do każdego boga i każdego świętego,

jakiego znała, ale żaden z nich nie słucha...

– Z jednym wyjątkiem. – Kowal splunął, patrząc na Ethalię. – Przyszła i nie zrobiła nic. *Nic*. Jej Miłosierdzie było równie bezużyteczne jak podmuch wiatru przeciwko szalejącej gorączce.

Bóg otworzył szeroko usta i wypuścił z nich kolejne słowa:

– *Nie. Ma. Miłosierdzia.*

...żona spogląda na męża, czując, że choroba wreszcie dotknęła i ją. Jest wdzięczna, że nie będzie musiała patrzeć, jak on umiera pierwszy...

– Przeżyłeś – powiedziałem. – Trucizna...

– Modliłem się do bogów, by pozwolili mi umrzeć, ale nawet tego od nich nie dostałem. Myślałem, że oszaleję z żalu. I chyba tak się stało. –

Spojrzał na mnie. – Wszyscy jesteśmy szaleni w tym upadłym kraju, Falcio. Pytanie tylko, jaki kształt przyjmie to szaleństwo.

– Stałeś się taki jak ona... jak Krawcowa.

– To właśnie znaczy być inlaudati – powiedział. – Kiedy mój umysł się rozpadł, nie znalazłem spokoju w zapomnieniu, ani nawet czystości nieskończonej agonii. Zamiast tego zacząłem dostrzegać mechanizmy w otaczającym mnie świecie. Zobaczyłem, jak można go zmienić. Nierozpoznani, tacy jak twoja Krawcowa albo ja, nie zostają królami, królowymi czy świętymi. Kształtujemy wydarzenia. Decydujemy, kto zasiądzie na tronie, a kto umrze.

– Taka wielka moc – powiedziała Ethalia. – Mogłeś dzięki niej uczcić pamięć swojej rodziny. Mogłeś uratować ten kraj, a zamiast tego go niszcysz!

– Nie rozumiałaś nic z tego, co powiedziałem? – złązał ją Kowal. Spojrzał na Boga, swoje dzieło.

– Nie zniszczenie a porządek, nie tyrania, tylko wydajność. Ten kraj przeszedł już wiele prób i za każdym razem okazywało się, że czegoś mu brakuje. Jest zmęczony, osłabiony; to kraj kobiet w świecie, który domaga się siły mężczyzn.

– Ma chyba niezbyt dobre zdanie o kobietach – mruknął Brasti.

– I o naszym kraju – dodał Kest.

Kowal podszedł spokojnym krokiem do jednej z szubienic i rozhuścił wiszące na niej zwłoki Boga Wojny.

– Nadchodzi wojna, Falcio. Twój król był tego świadomy, wiesz o tym i ty. Awares wkrótce przekroczy góry i tym razem jego wojska rozbiją nas w puch. I na co zdadzą się wtedy te wszystkie twoje pieczołowicie przywracane prawa?

– *Nie będziesz mieć żadnych praw poza boskimi* – oznajmił Bóg.

Jego słowa przemieniły się w dzikiego psa, pałającego czystym gniewem, rozdzierającego nasze umysły kawałek po kawałku. Wyglądało na to, że czas na dyskusję naprawdę się skończył: Bóg spuścił ze smyczy swoje koszmary i chłostał nas nimi jeden po drugim...

...chłopiec nic już nie widzi, jego oczy są zbyt zapuchnięte. Śmierdzi własnym moczem, spływającym mu po nodze i zbierającym się na klepisku. Jego ręka ślizga się w kałuży, gdy próbuje odczołgać się, łkając: „Proszę, tato. Zrobię wszystko, co chcesz, obiecuję. Wszystko!”...

...stara kobieta kaszle, krew napływa jej do ust. Zapach żółci wypełnia jej nozdrza, gdy dwie dziewczyny krzyczą do trzeciej, by ta kopała mocniej. „Proszę”, mówi stara matka, „proszę, dam wam wszystko, czego chcecie. Wszystko”...

...puste kości pękają pod naciskiem potężnej ręki. W powietrzu czuć śmierć, gdy ptasie narządy wewnętrzne rozpadają się pod naciskiem. Nie ma nawet słów ani pieśni, którymi mógłby błagać...

Erastian zakaszłał, a cienka, pomarszczona skóra na jego twarzy zaczęła pękać z wysiłku od powstrzymywania potwornych obrazów. Krew zaczęła mu płynąć z nosa, potem z ust, w końcu z oczu.

W głosie Kowala było niemal słycać rozczarowanie.

– Twój święty nie przeszedł testu, Falcio.

– Nie! – krzyknęła rozpaczliwie Ethalia, chwytając Erastiana za rękę. –

Powiedz mi, jak ci pomóc.

Pomimo silnego bólu, jaki musiał odczuwać, stary Święty uśmiechnął się do niej. Mrugnął, a krew przywarła do jego rzęs.

– Już samo bycie przy tobie daje mi siłę, moja droga, ale gdybyś mogła przywołać odrobinę miłości w swoim sercu, pomogłoby mi to jeszcze bardziej.

Spojrzała na mnie i zdałem sobie sprawę, że szukała tej krótkiej chwili, kiedy byliśmy w sobie naprawdę zakochani; to było jak patrzenie na kogoś próbującego rozłupać kamień paznokciami. Nigdy nie czułem się bardziej żałośnie.

– Erastian nie wytrzyma dłużej – powiedział Kest gardłowo; wciąż ze wszystkich sił próbował się podnieść. – Nie mam wystarczająco dużo siły, by się uwolnić.

– To co w takim razie robisz? – spytał Brasti.

Jego próby były tak samo słabe i bezużyteczne jak moje.

– Ja... szukam w sobie siły, żeby się uwolnić.

– A jeśli nawet ci się uda? Co chcesz zdziałać mieczem przeciwko Bogu?

– On ma na sobie zbroję.

Brasti zdołał poruszyć głową zaledwie o cal, ale to wystarczyło.

– I co z tego? Trin, którą widzę, też nosi zbroję.

Wtedy zrozumiałem, co Kest miał na myśli: chociaż widzieliśmy różne twarze Boga, było jedno podobieństwo... „Dlaczego potrzebowałby zbroi, gdyby nie miał słabego punktu?”

– Kest, jako Pierwszy Kantor Wielkich Płaszczy, rozkazuję ci stanąć na nogi i zabić tego sukinsyna – powiedziałem powoli.

Kowal parsknął śmiechem, jakbym właśnie opowiedział przedni żart.

– Spodziewałem się, że taki doświadczony szermierz będzie znał różnicę między siłą a fałszywą nadzieją.

Erastian zdwoił wysiłki, ponieważ krew spływała mu po twarzy już

całymi strużkami.

– Nasze marzenia dodają nam sił – zauważył. – To największa różnica.

Ethalia odwróciła się ode mnie, próbując walczyć z Bogiem własnymi siłami.

...matka pociesza dziecko: „Wszystko będzie dobrze, kochanie, musisz tylko”...

Wizja zachybotwała się niczym latawiec przy niewystarczająco mocnym wietrze. Kropla potu spłynęła jej po czole.

...żołnierz ratuje życie pokonanego wroga. Owija ranę...

– Nie potrafię! – krzyknęła Ethalia.

– Potrafisz, cierpliwości – powiedział Erastian, zaciskając zęby z wysiłku. – Nie wymyślaj wizji, znajdź prawdziwą. Znajdziesz ją, jeśli dobrze poszukasz.

Zamknęła oczy, po czym...

...dziewczyna wychodzi zza stołu, gdzie się ukrywała. Jej ojciec krzyczy na nią, każe jej iść do pokoju, jednocześnie próbując przytrzymać bitego chłopaka za kark. Dziewczyna odchodzi, ale zatrzymuje się w pół kroku, wraca i staje przed ojcem, odgradzając go własnym ciałem od brata...

– Dokładnie tak, na pewno masz tego więcej – powiedział Erastian.

Bóg Kowala odpowiedział, zrzucając na nich swoje plugawe wizje, a Erastian i Ethalia stanęli tuż przy sobie, próbując wytrzymać jego atak. Widzieliśmy wokół siebie wizje, dźwięki i zapachy: bitwę toczoną na setkach różnych płaszczyzn przeciwko nieskończonej mocy Boga. Jedyne, co mogłem w tym wszystkim zrobić, to klęczeć na nierównej ziemi i patrzeć.

Potem wydarzyło się coś dziwnego: wizje powoli zaczęły się zmieniać; odgłosy szaleństwa zaczęły gasnąć pod naporem muzyki, miłości i odwagi, smród rozpaczki ustępował przed czystym zapachem nadmorskiej bryzy.

– *Przestańcie* – nakazał Bóg.

– Walcz, do cholery! – krzyknął Kowal na swoje bóstwo.

– On chyba słabnie – powiedziałem cicho.

Kest nie odpowiedział. Widziałem, jak jego ręce drżą, gdy walczył, by odepchnąć się od ziemi i podnieść się chociaż o cal.

– *Przestańcie!* – powtórzył głośniejszym głosem Bóg.

Kolejna fala rozbiła się o nas, rozdzierając nasze ciała i dusze.

Erastian, choć cały był już we krwi, nie zamierzał ustępować.

– Twój Bóg nie jest tak silny, jak ci się wydawało. Wygląda na to, że twoja wiara nie jest...

Starszy mężczyzna urwał w pół zdania, a słowa przeszły w jęk bólu. Gdy odwróciłem głowę w jego stronę, zobaczyłem Kowala stojącego nad Świętym Romantycznej Miłości z ostrzem wbitym głęboko w jego brzuch.

– Tyle pożytku z wiary. – Splunął na starca, gdy ten padał na ziemię.

Bóg odzyskał równowagę i patrzyłem, jak się do mnie uśmiecha, najpierw jako Fost, potem Trin, Caveil, aż w końcu jego rysy zaczęły się rozmazywać, pokazując mi twarze wszystkich innych potworów w ludzkiej skórze, których spotkałem w życiu.

– Nie! – krzyknęła rozpaczliwie Ethalia.

Na polu bitwy, które było tysiącem miejsc i żadnym jednocześnie, widziałem, jak atakuje z dzikością i siłą, której nie mogłem sobie nawet wyobrazić.

To nie wystarczyło.

– Przykro mi – powiedział Kowal, wyciągając sztylet z ciała Erastiana i ruszając w jej stronę. – Nie zrobiłaś nic, by na to zasłużyć.

Skupiła na nim swój Zachwyt i na moment się zatrzymał – ale teraz Bóg skierował całą swoją wolę wyłącznie na nią i w myślach zobaczyłem...

...dziecko, uwięzione w wąskiej studni, tkwiące w wodzie po szyję, jej poziom podnosi się i zakrywa usta, nos...

„Teraz”, powiedziałem sobie, „czas stanąć na te cholernie nieposłuszne nogi, zanim ją zabije”. W głowie miałem własną wizję młodego i głupiego męża, który klęczał na swojej ziemi, podczas gdy jego żona poświęcała się dla niego. Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło. Nigdy więcej.

Ale nie mogłem wstać, choć bardzo chciałem; moje ciało było zbyt słabe. Brakowało mi iskry, która pozwala człowiekowi stawić czoła bogom. Krzyknąłem rozpaczliwie do Kesta.

– Proszę cię, zrób coś! Musisz ją ocalić!

Mój najstarszy przyjaciel patrzył na mnie oczami szeroko otwartymi z bólu i nadludzkiego wysiłku, nie wierzyłem, że mnie usłyszał, dopóki nie dostrzegłem prawie niewidocznego skinienia głową, co napięło mięśnie jego szyi tak bardzo, że wyglądały, jakby zaraz miały się wszystkie pozrywać.

– *Teraz!* – krzyknął Bóg.

I nagle Kowal uwolnił się od Zachwytu Ethalii. Poprawił chwyt sztyletu i zobaczyłem krwawy koniec ostrza, które chciał zatopić w sercu Ethalii.

Krzyk udręki wypełnił moje uszy i przez krótką chwilę zdawało mi się, że to kolejna wizja w bitwie pomiędzy Bogiem a świętymi – ale wtedy stał się cud: Kest skoczył w powietrze, jednym płynnym ruchem wyciągając miecz z pochwy. Jego ostrze spadło na nadgarstek Kowala i usłyszałem trzask pękających kości. Ciężka rękawica naszego przeciwnika wytrzymała cios, Kowal przełożył sztylet do zdrowej dłoni i uderzył ponownie, jednak Kest wytrącił mu ostrze z ręki i płynnie kontynuował cięcie mieczem, by dosięgnąć nim Boga.

– *Dość* – rozkazał Bóg. Kest zatoczył się do tyłu.

Kowal schylił się po sztylet i podniósł go, przygotowując się do kolejnej próby ugodzenia nim Ethalii. Wtedy okazało się, że stary Święty Romantycznej Miłości miał w sobie jeszcze trochę sił. Jedną rękę miał zajęętą tamowaniem upływu krwi z rany na brzuchu, ale drugą wyciągnął i dotknął nogi Kowala.

Barczysty mężczyzna potknął się, jakby wszedł w ogień.

– Twój Bóg nie wygląda najlepiej – powiedział Erastian, plując krwią i wstając.

Kowal patrzył, jak jego twór usiłuje utrzymać się na nogach. Kest znowu odzyskał równowagę.

Może nawet wygrywaliśmy.

– Powinieneś być z siebie dumny – powiedział Kowal do Kesta. – Wyrzekłeś się własnej świętości, a mimo to udało ci się przeciwstawić boskiej woli. To coś naprawdę niezwykłego. Niech ta myśl osładza ci porażkę. – Spojrzał na swojego Boga; było oczywiste, że został poważnie osłabiony, dzięki połączonym wysiłkom Erastiana, Ethalii i Kesta.

Ale wtedy Bóg wypowiedział jedno słowo:

– *Apostata*.

Tym razem nie było wizji, fali przerażenia, okropnych doznań ani zatykającego dech w piersiach smrodu. Początkowo nie miałem pewności, czy Kest go usłyszał. Stał tylko w bezruchu, jakby planował kolejny atak.

– Kest? – zapytałem w końcu.

Otworzył szeroko usta, jakby do jego płuc nie docierało wystarczająco dużo powietrza. Miecz wysunął mu się z dłoni, podniósł rękę i chwycił się za serce.

– Za rzucenie wyzwania Bogu trzeba zapłacić swoją cenę – powiedział Kowal z pewną miękkością w głosie, po czym przeniósł wzrok na mnie.

– Współczuję ci, Falcio. Otaczasz się dobrymi ludźmi, którzy robią to, co uważasz za słuszne, ale świata, w który kiedyś wierzyłeś, dawno już nie ma. Być może nigdy nie był taki, jakim go sobie wyobrażałeś. – Zawahał się przez chwilę, po czym dodał: – Falcio val Mond, potraktuj to jako prezent, wróć do Aramoru. Zbierz swoich ludzi i znajdźcie sobie inny kraj godny waszej odwagi. Zostaw Tristię tym, którzy jeszcze mogą ją ocalić.

Odwrócił się i poprowadził Boga ścieżką w głąb lasu.

– Nie! – krzyknąłem za nim. – Nie rób tego. Nie musisz...

Wzrok Kesta spotkał się z moim, gdy zaczął osuwać się na ziemię, i widziałem, że zrozumiał, co się właśnie stało. Obyło się bez ciosu, rany czy choroby. Na rozkaz Boga, życie Kesta po prostu się skończyło.

ZŁAMANE SERCE

Kest upadł na plecy tak mocno, że w powietrze uniósł się kurz i grudki ziemi. Nawet nieprzytomny człowiek wydałby jakiś dźwięk, chociażby powietrza uciekającego z płuc, ale Kest leżał zupełnie cicho. Tę pustkę wypełniał ktoś, kto raz za razem wykrzykiwał jego imię. Po chwili rozpoznałem swój własny głos.

– Co mu się u diabła stało? – spytał Brasti.

Ethalia uklękła obok Kesta.

– Jego serce przestało bić.

Położyła mu obie dłonie na klatce piersiowej i mocno przycisnęła, powtórzyła ten gest jeszcze kilka razy, po czym zatrzymała się, nasłuchując oddechu. Kiedy ten się nie pojawiał, krzyknęła do Erastiana.

– Pomóż mi... Nie potrafię sprowadzić go z powrotem!

Święty wciąż leżał na ziemi, sam wyglądał, jakby jedną nogą był już w grobie. Przyłożył dłoń do rany i zobaczyłem wokół niej słabą poświatę koloru świeżo zakwitłej róży.

– Cholerne rany klute – mruknął, po czym podczołgał się w stronę Kesta i spojrzał na bladą twarz mojego przyjaciela, którego zmusiłem do niemożliwej do wygrania walki, ponieważ byłem zbyt słaby, by zrobić to samemu.

– Cięży na nim boska klątwa – rzekł Erastian. – Skurwysyny.

– Błagam, zrób coś – powiedziałem z naciskiem.

Święty objął dłońmi rękę Kesta.

– Czy Birgid nauczyła cię przywoływania? – spytał Ethalię.

Skinęła głową, powtarzając wyuczone ruchy, co wywołało na twarzy

Erastiana jednocześnie zmieszanie i rozczarowanie.

– Powiedziała ci, jak leczyć, ale nie pisnęła ani słowa o walce? Co ta kobieta sobie myślała?

Ethalia zmrużyła oczy, rozdrażniona.

– Że w moim życiu było już wystarczająco dużo przemocy.

Przemoc? Ethalia była najbardziej spokojną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Erastian nie był ani wstrząśnięty, ani pod wrażeniem jej groźnego wzroku.

– Kobieto, nie marnuj na mnie takich spojrzeń. Niejeden bóg próbował tego samego, z niewiele lepszym skutkiem.

Położył dłoń Kesta na sercu Ethalii i dał jej znak, by ją tam przytrzymała.

– No dalej, przyzwij go z powrotem. Pokaż mi, co potrafi moneta wybita tylko po jednej stronie.

Ethalia przycisnęła dłoń Kesta do serca, kładąc mu na piersi swoją rękę. Zamknęła oczy, a na jej twarzy pojawił się wyraz fizycznego wysiłku. Zaczęła szeptać cicho, tak że chwilę zajęło mi uchwycenie powtarzanego w kółko imienia Kesta.

– Nie zginął naturalną śmiercią – wyjaśnił nam Erastian. – Nie było rany kłutej czy infekcji. Jego serce po prostu przestało bić. Jeśli uda jej się do niego dotrzeć...

– Jak to dotrzeć? – spytał zdezorientowany Brasti. – Dokąd? Czy ktoś mi wreszcie powie, co...?

Zamilkł, gdy z ciała Ethalii zaczęło wydobywać się światło. Początkowo był to wewnętrzny blask, kiedy pot zaczął spływać jej po twarzy, potem wokół niej pojawiła się poświata, a ona wyglądała jak zrobiona z wypolerowanej kości słoniowej.

„Jest tak blada”, pomyślałem, a żart Erastiana o jednostronnie wybitej monecie napełnił mnie jeszcze większym przerażeniem. „Udowodnij mu, że

się myli, kochanie. Pokaż nam, że magia i święci nie są na tym świecie tylko po to, żeby go rujnować”.

– Co mogę zrobić? – spytałem.

– Możesz się zamknąć – odparł Erastian, wciąż zakrywając dłonią własną ranę. Starzec nie wyglądał najlepiej.

Napotkałem wzrok Brastiego, byliśmy boleśnie świadomi naszej bezradności. Nie było dla nas przeciwników, z którymi stanęlibyśmy do walki, nie mogliśmy dokonać żadnych śmiałych czynów, by powstrzymać cios, który już opadł.

– Moje serce bije równo z twoim – szepnęła Ethalia. – Usłysz mnie, Keście, synu Murrowa. Odpowiedz na wezwanie.

Blask wokół niej rozjaśnił się, a jej słowa nabrały mocy.

– Moje serce bije równo z twoim – powtórzyła. – Kest, przez miłość, którą darzysz ten świat, odpowiedz na wezwanie.

– Czy naprawdę powinna się aż tak świecić? – spytał cicho Brasti.

– Nie – odparł Erastian, wciąż wpatrując się w Ethalię. – Musi się zatrzymać – podniósł głos. – Musisz przestać, Ethalio. To koniec. Wystarczy, dziewczyno.

Otworzyła na moment oczy i był w nich ogień tak zimny, że uciszyła nim nawet Erastiana Co Zrywa Różę.

– Moje serce bije równo z twoim – powtórzyła, a jej głos był teraz silniejszy, choć całe jej ciało trzęsło się, jakby ziemia pod nią miała się zaraz rozpaść. – Święta Miłosierdzia wzywa cię, Królewskie Ostrze, a ty odpowiesz na wezwanie.

Przez chwilę myślałem, że Kest się poruszył, ale to tylko Ethalia zadrżała mocniej pod wpływem niewidzialnych sił, z którymi się teraz zmagала.

– Coś jest nie tak – zauważył Brasti. – Jej blask przygasa.

– Wystarczy – powiedział Erastian, wyciągając rękę, by złapać ją za nadgarstek. – Zabijesz i siebie.

Ethalia, trzymając mocno Kesta, krzyknęła:

– Birgid, pomóż mi! Nie mogę sprowadzić go z powrotem!

Starcowi udało się w końcu oderwać jej dłoń od jego piersi.

– Dość już, dziewczyno – powiedział cicho. – Nic już nie wskórasz.

Ethalia zachwiała się, ale udało jej się odzyskać równowagę. Skierowała na mnie swój wzrok.

– Przepraszam... tak mi przykro.

– Możemy jeszcze raz spróbować tej sztuczki z biciem go w pierś – powiedziałem, podchodząc do leżącego i próbując odtworzyć jej ruchy sprzed kilku chwil. – On ma w sobie mnóstwo siły. Jeszcze wróci.

„Nie dam ci odejść w ten sposób, Kest. Z mieczem w ręku, z tysiącami fechtistrzów pędzących na nas, niech będzie. Ale nie w ten sposób. Nie umieramy tylko dlatego, że jakiś pieprzony Bóg tak powiedział”.

– Falcio, przestań – powiedział Brasti. – Złamiesz mu żebra. To już w niczym nie pomoże. Pozwól mu...

– Nie. – Nie przestawałem uciskać jego klatki piersiowej, choć nie miałem pojęcia, co robię. Ale skoro Ethalia uważała, że to może pomóc, musiało coś w tym być.

– Dla niej jego serce nie zacznie znowu bić – głos Erastiana był pełen współczucia.

Jego słowa były tak proste i prawdziwe jednocześnie, że wszystkie siły w jednej chwili opuściły moje ciało. Podświadomie nie przestałem jednak powtarzać ich w głowie. „Dla niej jego serce nie zacznie znowu bić”.

Spojrzałem na starca, na ten bezużyteczny wrak człowieka, który nazywał się Świętym, a nie miał dla mnie nic poza frazesami.

– Dlaczego? – zapytałem.

Ethalia całą sobą zdawała się błagać mnie o wybaczenie.

– Jeśli nie podąży za biciem mojego serca, nie będę w stanie sprowadzić go z powrotem.

Chwyciłem rękę Kesta i położyłem ją na moim sercu.

– Pokaż mi, co mam robić. Może wróci na moje wezwanie.

– Nie masz takiej mocy, Falcio – powiedziała. – To część świętości. Nie mogę... Nie wiedziałabym nawet, jak mam ci to wytłumaczyć.

– Po prostu powiedz mi, jak go uratować, do cholery! – Wyciągnąłem rękę i złapałem ją za ramię. – Musi być coś jeszcze, czego możemy spróbować. Cokolwiek.

– Nie uda ci się! – krzyknęła. – Nie bez... Po prostu ci się nie uda, Falcio.

Odwróciła się ode mnie zbyt szybko, by było to po prostu spowodowane poczuciem winy. Jako sędzia nauczyłem się rozpoznawać, kiedy ktoś mnie okłamuje.

– Dokończ tamto zdanie – zażądałem.

– Ma prawo spróbować – powiedział Erastian słabym głosem. Jego rana musiała mu doskwierać coraz bardziej. Zwrócił się do mnie.

– Jak daleko jesteś w stanie się posunąć, by uratować przyjaciela?

Chwilę zajęło mi zrozumienie, o czym mówił.

– No tak – powiedziałem w końcu. – Przypuszczam, że ma to sens.

Ethalia chwyciła mnie za ramiona i dostrzegłem, że oczy ma pełne łez.

– Nic nie rozumiesz. Nie ma gwarancji, że uda mi się sprowadzić cię z powrotem.

– Po prostu powiedz mi, co mam zrobić.

Żal i niepewność przemknęły przez jej oblicze, jednak zbyt dobrze mnie znała. Mimo że między nami nie było już tego, co kiedyś, wiedziała, że nie poddam się bez walki. W końcu powiedziała:

– Połóż się obok Kesta z ręką na swoim sercu. Następnie... Falcio, nie mogę tego zrobić.

– Wiem – powiedziałem.

– Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co się do diabła dzieje? – spytał Brasti rozżalonym tonem.

Święty Erastian niezgrabnie przekręcił się na ziemi.

– Na pewno ci się to nie spodoba – mruknął.

Podniosłem się i chwyciłem Brastiego za ramiona. Zanim zdążył coś powiedzieć, potrząsnąłem nim.

– Brasti Goodbow, posłuchaj mnie. Nie jestem teraz twoim przyjacielem ani zwykłym Wielkim Płaszczem. Jestem Pierwszym Kantorem. Rozumiesz? Pamiętasz jeszcze, co to oznacza?

– Co na Świętego Zagheva jest z tobą nie tak? Oczywiście, że...

– Nie ma czasu na pytania i wyjaśnienia. Wydam ci teraz rozkaz, który albo wykonasz, albo odejdiesz ze służby. Na dobre.

W końcu zrozumiał, o co mi chodzi. Spojrzał na Kesta, a potem na mnie.

– Proszę, Falcio, nie każ mi tego robić.

– Przykro mi – powiedziałem miękko.

Pozwoliłem mu odejść i położyłem się obok Kesta, kładąc rękę na sercu, a potem spojrzałem na Brastiego i powiedziałem:

– Zabij mnie.

Brasti ukląkł przy mnie, zaciskając dłonie w pięści, próbując zebrać odwagę. „Lub cokolwiek innego, co jest potrzebne, kiedy jeden z twoich najlepszych przyjaciół każe ci odebrać sobie życie”.

– Nie mamy wiele czasu. Pewnych praw nie można obejść – powiedziała Ethalia łagodnym głosem.

– Brasti, wszystko będzie dobrze. Przysięgam ci, to nie jest dzień, w którym umrę – powiedziałem, zamykając oczy.

„Nie w ten sposób”.

Skinął głową i położył mi jedną dłoń na ustach, a drugą zacisnął mi nos. Tymczasem ja powtarzałem sobie: „Wszystko będzie dobrze. Dasz radę. Dziesiątki razy ocierałeś się o śmierć. Teraz po prostu dotrzesz nieco dalej niż zwykle”.

Z początku to było jak wstrzymywanie oddechu, później jednak płuca zaczęły mnie palić, jakbym zanurkował zbyt głęboko i desperacko potrzebował się wynurzyć. Potem zaczęły się pierwsze drgawki, a moje ciało

rozpaczliwie domagało się powietrza, opierając się uściskowi Brastiego. Ten wydał z siebie tylko przejmujący szloch i przytrzymał mnie mocniej.

Byłem wdzięczny, że Brasti chociaż raz w życiu wykonywał rozkazy. Jednak zaczynałem wpadać w panikę. „Nie!”, krzychałem w myślach. „To był błąd! To nie zadziała! Zabijesz mnie!” Desperacko próbowałem odszukać spojrzenie Brastiego, błagając go, by przestał, by zobaczył, że umieram, że mnie zabija.

Druga seria konwulsji była jeszcze gorsza, walczyłem teraz z całych sił, ale Brasti przytrzymywał mnie kolanami i miażdżył swoim ciężarem.

Zacząłem w myślach wyklinać go od głupców. „Niech cię piekło pochłonie, Brasti Goodbow, bękartie, zdrajco...” Nagle uderzyła mnie inna myśl i odnalazłem wzrokiem Ethalię. Ona mnie zrozumie i go powstrzyma. Ale jej oczy były zamknięte, gdy trzymała moją dłoń na swoim sercu. Czulem jego miarowe bicie. Nienawidziłem jej za to.

„Suka. Dziwka. Tego właśnie chciałaś przez cały czas, pozbyć się mnie ze swojego życia. Oszukałaś mnie!”

Chciałbym móc wam powiedzieć, że jestem lepszym człowiekiem, że w tych ostatnich chwilach znów odnalazłem odwagę i wiarę.

Tak się nie stało.

Umarłem, przeklinając wszystkich, których kiedykolwiek kochałem.

KRAINA UMARŁYCH

Każdy szermierz wie, że jedynym bogiem, z którym naprawdę trzeba się liczyć, jest Śmierć. To jej zimną dłoń czujesz tuż przy sercu za każdym razem, gdy rana po cięciu okaże się głębsza, niż myślałeś, lub gdy twoje ciało trawi paskudna gorączka. Śmierć jest przeciwniczką, której wyzwanie wszyscy musimy ostatecznie przyjąć, a pojedynku z nią nie da się wygrać, bez względu na umiejętności szermierskie czy szlachetność sprawy, o którą walczyliśmy. Żadne sztuczki i techniki nic nie znaczą, kiedy wchodzimy do jej sali rozpraw na ostateczny proces.

„Cholera”, pomyślałem, patrząc w dół. „Jestem nagi”.

Zawsze zakładałem, że kraina umarłych, jeśli takie miejsce w ogóle istnieje, jest nieskończonym oceanem ciemności i cieni. Tymczasem zobaczyłem pejzaż wyrzeźbiony z kości: drogi, drzewa, góry w oddali, a nawet niebo nad nimi – wszystko miało ten sam chorobliwy kolor kości słoniowej. Nie było światła, niczego, co świeciło lub płonęło, a jednak nie było też ciemności, tylko nieskończona, martwa biel.

„Poza mną”, pomyślałem, po raz kolejny podsumowując moją niezbyt imponującą budowę ciała. „Bo przecież najlepsze, co można zrobić, będąc martwym i nagim, to wyróżniać się na tle otoczenia”.

– A ludzie twierdzą, że to moje berło było skromnej wielkości – odezwał się ktoś za mną.

Gdy się odwróciłem, moim oczom ukazał się król Paelis, jego szaty lśniły siedmioma różnymi odcieniami czerwieni. „Nawet w zaświatach bogaci ubierają się lepiej niż reszta z nas”.

Moja żona, idąca obok niego, miała na sobie zbroję, która jaśniała w tym

ponurym otoczeniu. Była tak doskonale ukształtowana, że gdyby nie krawędzie i kłamy, wyglądałaby jak rozlana na ciele płynna stal.

– Dość nietypowy strój jak dla ciebie – powiedziałem.

– Naprawdę, mężu? Czy nie walczyłam o wszystko, w co wierzyłam?

Król prychnął.

– Dość tego, Falcio. Do tej pory znosiłem twoje fantazje, ale tego już za wiele. Naprawdę wyobrażasz sobie swoją żonę jako wojowniczkę kroczącą po bezdrożach?

– Dla mnie taka właśnie była – powiedziałem, życząc sobie, by była prawdziwa, by nie była tylko złudzeniem pojawiającym się za każdym razem, gdy ocieram się o śmierć. – Nic z tego nie jest rzeczywiste, prawda?

Aline podeszła do mnie i wyciągnęła odzianą w pancerną rękawicę dłoń, by odgarnąć mi włosy z twarzy. Jej dotyk był dziwnie miękki.

– Pamiętasz przysięgę, którą złożyłam na naszym ślubie, Falcio?

Jej pytanie sprawiło, że poczułem się nieswojo.

– Mówiłaś coś o miłości i dzieleniu się, ale szczerze mówiąc, byłem tak zajęty powtarzaniem w myślach słów swojej przysięgi, że kilka szczegółów twojej mogło mi umknąć.

Wzięła moje dłonie w swoje.

– Powiedziałam, że jesteś głupcem, zbyt niezręcznym i gorliwym, by poradzić sobie w kraju, który pożera właśnie takich ludzi. – Ścisnęła moje dłonie i teraz poczułem stal jej rękawic. – Powiedziałam też, że zawsze będę cię chronić.

Poczułem, jak coś we mnie pękło, i z moich ust dobył się drżący szloch.

– Nie tak się to odbyło. Ślubowania powtarzaliśmy za kapłanem. To ja miałem powiedzieć... – zacząłem.

– Skąd możesz wiedzieć? – spytał król Paelis. – Sam powiedziałaś, że nie zwracałeś uwagi na ceremonię.

– To moim zadaniem było chronić ciebie! – Odwróciłem się od nich, z całych sił życząc sobie, by wreszcie zniknęli. – Nie jesteś nią, tylko

złudzeniem stworzonym z okrucich wspomnień i snów.

– Spójrz na mnie – powiedziała Aline. Poczułem jej dłoń na ramieniu i tym razem łagodniej powtórzyła: – Spójrz na mnie, Falcio.

Zrobiłem to. Nigdy nie potrafiłem jej odmówić.

– Czy twoim zdaniem wyglądam jak złudzenie? – spytała.

Jej uśmiech nie był ani delikatny, ani surowy, jej oblicze – ani pospolite, ani szczególnie piękne. Po raz pierwszy od bardzo dawna widziałem ją taką, jaka była naprawdę: wiejską kobietę żyjącą z uprawy roli. Jej urok krył się w sposobie, w jaki się uśmiechała, chcąc mi żartobliwie dogryźć. Jej zmysłowość była widoczna tylko wtedy, gdy tańczyła. W jej oczach widać było, jak bardzo była mądra – nie dla samej mądrości, ale dlatego, że wymagała tego jej praktyczność. Jednak najważniejszą ze wszystkich cech Aline była jej niezłomna determinacja.

– Niezależnie od tego, czy jestem twoim snem, czy wspomnieniem, powiedziałam, że będę cię chronić. Zawsze.

– To powinienem być ja – powiedziałem. – Potrafiłem walczyć. Powinienem być...

W tej samej chwili niebo rozbłysło, rozległ się ogłuszający grzmot, a świat wokół nas zdrzął w posadach. Na krótką chwilę spowiła nas ciemność, którą po chwili na powrót zastąpiła nieskończona bladość tego miejsca.

– Ha! – ryknął król. – Widzieliście? To było...

– Niech sam na to wpadnie – przerwała mu Aline.

Skupiłem myśli i zdałem sobie sprawę, że pomyliłem źródło dźwięku.

– To nie był grzmot – powiedziałem. – To bicie serca.

– Jedno z twoich ostatnich, jeśli się nie pospieszysz – powiedział Paelis.

– Rusz się. Kest gdzieś się tu ukrywa, a ty musisz go znaleźć.

Niebo znów się zatrzęsło, kolejne uderzenie serca i znów świat na chwilę zatonął w czerni. Tym razem trwało to odrobinę dłużej. Pora iść.

– Przed kim ukrywa się Kest?

Król Paelis położył mi rękę na ramieniu i odpowiedział:

– Przed tobą.

– Przede mną? Dlaczego miałby...?

– On jest twoim najlepszym przyjacielem – ofuknęła mnie Aline. – Naprawdę aż tak słabo go znasz? Idź już. Musisz go znaleźć.

Ruszyłem przed siebie, po czym zatrzymałem się w pół kroku.

– To powinnaś być ty – powiedziałem.

Wiedziałem, że będę w stanie odejść, jeśli na nią spojrzę.

– Powinnaś zostać pierwszym Wielkim Płaszczem.

Nie odpowiedziała, ale król Paelis zaśmiał się głośno, słysząc moje słowa.

– Nic nie zrozumiałeś. Oddała wszystko, by cię chronić. Złożyła przysięgę, której dotrzymała mimo strachu, śmierci i samych bogów. Aline była pierwszym Wielkim Płaszczem.

Nie wiem, jak długo ścigałem Kesta w nieskończoności białych cieni, gdy on przemykał wokół i chował się za wszystkim, co tylko mogłoby skryć go przed moimi oczami. Niebo zatrzęsało się jeszcze dwa razy, ostatnie desperackie uderzenia jego lub mojego serca. „A może nic z tego nie jest prawdziwe, a to tylko ostatni błysk mojego ulatującego życia”.

Za każdym razem, gdy zbliżyłem się na tyle, by złapać Kesta za ramię, on odskakiwał, a pogoń zaczynała się na nowo. „Nic z tego nie dzieje się naprawdę”, pomyślałem. „Nie ma świata kościstej bieli, w którym moglibyśmy się ścigać. Leżymy na twardej ziemi. Niech cię szlag, Kest, po prostu zacznij oddychać i wyciągnij nas stąd”.

Krzyczałem do niego raz po raz i mimo że z moich ust nie wydobywał się żaden dźwięk, wydawało się, że mnie słyszy – choć wcale nie zamierzał się zatrzymać. Za każdym razem, gdy do niego wołałem, spoglądał nie na mnie, lecz w niebo, po czym odwracał się i biegł jeszcze szybciej.

Znów usłyszałem grzmot i tym razem towarzyszyły mu czarne chmury,

które zaczęły kłębić się nad naszymi głowami, rosnąc z każdą chwilą. Kiedy już zasnuły całe niebo, przyjmując grubą, oleistą postać, zaczęły spowijać wszystko wokół nas. Złapanie oddechu sprawiało mi coraz większy problem.

– Kest!

Nie odwrócił się, tylko biegł dalej, niezmiennie kilka kroków przede mną.

– Kest! – Z całych sił próbowałem wydobyć z siebie jakiś dźwięk.

Czarne chmury były już wszędzie wokół nas, jak gdyby nocna mgła, którą uwolniliśmy w kopalni, doścignęła nas nawet tutaj. Znowu ruszyłem śladem Kesta, ale zatrzymałem się, widząc sylwetkę człowieka, który torował sobie drogę w smolistej mgle, wypalając ją szkarłatnym ogniem. W ręku miał miecz i machał nim tak szybko, że nie widziałem stali, a jedynie ślad płomienia, który pozostawiał w powietrzu.

„Caveil Co Przecina Wodę”, pomyślałem. „Święty od Miecza na mnie poluje”.

Przypomniałem sobie słowa Birgid sprzed kilku miesięcy. To ja miałem stanąć do pojedynku z Caveilem – i miałem zginąć z jego ręki.

Instynktownie sięgnąłem po rapiery, ale świat umarłych ma w sobie tyle samo sprawiedliwości co świat żywych, wciąż byłem nagi i nieuzbrojony.

Caveil zamachnął się i poczułem, jak sztychem miecza uderza mnie ze sto razy, zanim jeszcze zdążyłem złapać oddech, żeby krzyknąć z bólu. Kiedy popatrzyłam na siebie, ujrzałem tysiące krwawiących drobnych skaleczeń, a na każdym z nich siedział już niewielki owad, spijając życiodajny płyn.

Święty od Mieczy uniósł wysoko oręż, który – na moment, na ułamek sekundy – zastygł w najwyższym punkcie, by za chwilę opaść w kierunku mojej głowy.

Rozmazany kształt przemknął między nami, a stalowy błysk zepchnął miecz Caveila z toru.

– Nie martw się, Falcio – powiedział mój wybawca, zajmując pozycję

między mną a Świętym. – Ochronię cię!

To był Kest, ale nie ten, którego znałem. Przede mną stał zaledwie dwunastoletni chłopiec. Tak właśnie wyglądał, kiedy go poznałem, uśmiechał się od ucha do ucha, jednocześnie starając się utrzymać ciężki miecz niepasujący do jego wagi i wzrostu. I z pewnością był zbyt powolny, by powstrzymać Świętego od Mieczy. Caveil roześmiał się bezgłośnie i zadał serię pchnięć, znacząc Kesta tuzinem ran, przez które przebijał się ów mroczny, wygasły świat.

Spojrzenie Świętego na powrót spoczęło na mnie, po czym z chłodnym uśmiechem zadał następny cios. Kestowi udało się podnieść miecz po raz kolejny i skontrolować, nie zważał na fakt, że był zbyt poraniony, by taki wyczyn był w ogóle możliwy. Zamiast zadać cios, kopnął Caveila w brzuch, posyłając go z powrotem w czarną mgłę.

Kest odwrócił się do mnie, nie przestając się wyszczerzać, mimo że krwawił z wielu ran.

– Łatwo nie było – powiedział beztrąsko.

– Kest, chodź ze mną – powiedziałem, wyciągając rękę w jego stronę. – Musimy iść.

Pokręcił głową i wskazał na chmury.

– Nie możemy, Falcio. Jest tylu innych, którzy chcą twojej śmierci.

Kolejna postać wynurzyła się z mgieł. Ten człowiek był wyższy i lepiej zbudowany od Caveila. Zbroja pokrywająca jego ciało była zrobiona z grubych, stalowych płyt. Miecz, który nosił, był niemal dłuższy niż ja.

„Shuran”.

Zanim Kest zdołał unieść broń, Shuran odepchnął go na bok i ruszył w moją stronę, machając potężnym mieczem w tę i z powrotem, jakby chciał przeciąć przestrzeń między nami. Mimo że twarz zakrywał mu hełm, widziałem, jak się uśmiecha, a jego zaciśnięte szczęki wskazywały, że szykuje się do rozplątania mnie na pół jednym potężnym ciosem.

Rozejrzałem się za czymś, co mogłoby mi posłużyć jako oręż. Na ziemi

zasnutej ciężkimi chmurami nie było nic prócz czarnych odłamków skalnych, ale kiedy próbowałem je podnieść, zamierzając rzucić nimi w Shurana, chociaż były niewiele większe od mojej pięści, odmawiały posłuszeństwa i pozostawały mocno przytwierdzone do ziemi.

„Świetnie. Nawet kamienie w tym kraju tchórzą przed walką”.

Pozbierałem się. Chciałem uciekać, ale teraz już nawet własne nogi przestały słuchać poleceń. Shuran zatrzymał się ledwie trzy stopy ode mnie i uniósł miecz nad głową.

– Żegnaj – powiedział.

W chwili, gdy jego ciężki miecz zaczął opadać na moją głowę, Kest doskoczył i odparował atak swoim pałaszem. Shuran tylko chrząknął w odpowiedzi, ponownie podniósł broń i zadał kolejny cios, odcinając dłoń Kesta w nadgarstku i posyłając ją wraz z mieczem na ziemię.

Młody Kest zignorował utratę kończyny i zanurkował na ziemię po miecz.

Podniósł go lewą ręką i przygotowywał się do ataku, ale Shuran był szybszy. Kolejnym ciosem odrąbał Kestowi drugą dłoń, czyniąc go niezdolnym do trzymania broni.

– Nie! – krzyknąłem.

Shuran próbował odepchnąć chłopaka na bok, by w końcu dostać mnie, jednak Kest uchylił się, a kiedy tylko miecz opadł, osłaniał mnie własnym ciałem. Kopnął rycerza gołą stopą w biodro, posyłając go do tyłu w mgłę.

– Muszę ruszyć za nim – powiedział. Potem odwrócił się, chcąc wejść w smoliste opary.

– Kest, nie! – krzyknąłem. – Nie możesz walczyć. On jest zbyt...

– Nie przejmuj się mną – odpowiedział chłopak z uśmiechem. – Mam jeszcze dwie nogi do stracenia, a jak będzie trzeba to i głowę!

Błyskawica przecięła niebo nad naszymi głowami. Ile czasu minęło od ostatniego razu? To była jak dotąd najdłuższa przerwa między uderzeniami. Korzystając z resztek siły woli, sięgnąłem w głąb mgły, chwyciłem

oddalającego się Kesta za ramię i przyciągnąłem go do siebie, zanim zdążył zniknąć w ciemnościach.

– Stój! – powiedziałem nie tylko do niego, ale i do całego otaczającego nas świata. – „Zatrzymaj się!”

Moje słowa miały dziwny efekt: krajobraz ponownie się zmienił, wrócił do znanej mi już bladej bieli. Znowu mogłem poruszać się bez problemu. Byłem tak wściekły z powodu lekkomyślnej chęci Kesta chronienia mnie za wszelką cenę, że odwróciłem go, chcąc mu to wygarnąć prosto w twarz. Kiedy to zrobiłem, stał się na powrót dorosłym Kestem. Znowu posiadał wszystkie kończyny, prócz odciętej kilka miesięcy wcześniej prawicy. Płakał.

– Co ty do cholery wyprawiasz?

– Proszę, Falcio – powiedział, a łzy płynęły mu po policzkach. – Proszę...

Puściłem go.

– O co? Czego ode mnie chcesz?

Przetarł oczy ramieniem, a potem wyciągnął kikut ręki w moją stronę.

– Pozwól mi umrzeć.

Kolejna błyskawica i towarzyszący jej grzmot były słabsze niż pozostałe, niczym ostatnie podrygi dogasającej burzy. Moje ręce i nogi omdlewały z wyczerpania. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że zaczynają kolorem zlewać się z bladością otaczającego nas krajobrazu.

– Nie rozumiem – powiedziałem, chyba nie po raz pierwszy.

– Oczywiście, że rozumiesz – odparł Kest głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji. – Po prostu wolisz udawać, że tak nie jest. – Podszedł do miejsca, gdzie na ziemi majaczył jego ciężki miecz. Uklęknął i podniósł go lewą ręką, krzywiąc się przy tym z bólu.

– Spójrz na mnie – powiedział, wyciągając broń przed siebie. Jego ramię drżało z wysiłku na całej długości, gdy walczył, by ostrze nie opadło.

– Minęło zaledwie kilka miesięcy – powiedziałem. – Uzdrowiciele ostrzegali, że pojawią się bóle fantomowe...

Kest roześmiał się gorzko i bez radości.

– Fantomowe? Falcio, nic wokół nas nie jest prawdziwe. Naszych ciał nie ma w tym miejscu. Ten miecz nie jest wykonany ze stali, czy jakiegoś innego materiału. To wszystko jest złudzeniem.

– To dlaczego...?

– Ponieważ to wciąż boli! – krzyknął, z wściekłością rzucając mieczem o ziemię. Upadł bez żadnego dźwięku. – Nie rozumiesz, co się dzieje? To nie trzymanie miecza sprawia mi ból, tylko sama myśl o tym, że muszę to zrobić!

Kolejne echo grzmotu, jego ulotne wspomnienie bez śladu poprzedzającej go błyskawicy.

– Musimy iść, Kest.

Odwrócił wzrok.

– Odkąd skończyłem dwanaście lat, każdego dnia swojego życia starałem się zostać najlepszym szermierzem na świecie, próbując cię chronić, próbując walczyć o rzeczy, w które wierzysz.

– W rzeczy, w które wierzymy – poprawiłem go, ale słowa te nawet w moich uszach zabrzmiały pusto. Przez całe życie chciałem być świetnym szermierzem, kimś, kto broni innych. Ale to wszyscy naokoło chronili mnie.

Kest pokręcił głową.

– Zrobiłbym wszystko, by móc cofnąć się w czasie i ocalić ją przed śmiercią, Falcio. Kiedy ją poznałeś, przez te pierwsze kilka lat...

– Nie kończ – ostrzegłem.

Zignorował mnie.

– Myślałem, że odłożysz na bok całą tę swoją gadkę o Wielkich Płaszczach, o walce z wszystkimi okropnościami tego kraju. Myślałem, że będziesz szczęśliwy, że może i ja znajdę sposób, by cieszyć się twoim szczęściem. I wtedy... odebrali ci ją. Kilku złych ludzi w gospodzie zrobiło

coś, co inni robili sobie nawzajem od tysięcy lat i ot tak, wszystko zniszczyli. – Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem. – Myślisz, że Fost, co się teraz smaży w piekle, ze zdziwieniem patrzy na to, co rozpętał na świecie?

– Nie obwiniaj Aline ani mnie – powiedziałem. – To było królewskie marzenie, które wszyscy...

Machnął jedyną dłonią, która mu pozostała.

– Nie zaczynaj od nowa. Nie ma na świecie nikogo, kto kochałby cię bardziej ode mnie, ale nawet ja nie mogę już słuchać tego pieprzenia.

Jego słowa zaboląły mnie w dwójnasób, jak gdyby moje serce było dotychczas zbyt zajęte próbami wykonania kolejnego uderzenia, by przejmować się tak błahymi rzeczami jak odkrycie, że najlepszy przyjaciel nie może znieść mojej obecności. Spojrzałem na miecz leżący między nami jak granica, której nie można było przekroczyć.

– I co w związku z tym? Nie możesz zostać największym szermierzem na świecie i dlatego życie traci dla ciebie sens? – zapytałem.

Łzy wciąż spływały mu po policzkach.

– Czy to takie dziwne? Każdy dzień wypełniałem ćwiczeniami, przeczytałem każdą książkę o szermierce, trenowałem z każdym żyjącym mistrzem. Studiowałem wszystko, od szermierki po tańce, badając każdy możliwy sposób poruszania się, doskonaląc swoje umiejętności tylko po to, by stać się kimś, kto coś znaczy. Kimś więcej niż tylko twoim... nie wiem nawet, jak to nazwać. – Wyciągnął do mnie kikut prawej ręki. – Kim mam się stać, skoro nie mogę być dłużej tym, kim byłem?

Niebo rozbłysło na moment – ledwie na krótką chwilę. Zastanowiło mnie, jak Kest może odczuwać tak silny ból, skoro pozostało w nas już niewiele życia. Rozejrzałem się wokół siebie: wszechobecna wcześniej cisza została zakłócona przez przerażonych mężczyzn i kobiety, którzy próbowali znaleźć schronienie za drzewami i kamieniami i splatali dłonie w modlitwie, na którą nikt nie odpowiadał.

– Idź, zanim będzie za późno – powiedział Kest. – Wyświadczyć mi tę jedną jedyną przysługę za to wszystko, co dla ciebie zrobiłem. Ciesz się życiem, walcz z bogami, próbuj krzykiem powstrzymać oceany; rób, co chcesz, tylko zostaw mnie w spokoju.

Zbierałem się do odpowiedzi dłuższą chwilę. Miałem ją w głowie, ale wiedziałem, że może tylko utrudnić sprawę.

– Możesz być gorszy – powiedziałem w końcu.

Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, po czym spokojnie powtórzył ostatnie słowo.

– Gorszy.

Uklęknąłem i podniosłem jego miecz. Praktycznie nic nie ważył.

– Nigdy nie będziesz już tak dobrym szermierzem. Do diabła, może nawet nigdy więcej nie będziesz trzymać w ręku miecza. – Odrzuciłem broń.

– Może nigdy nie byłeś w tym tak dobry, jak nam się wszystkim wydawało, może Caveil Co Przecina Wodę miał po prostu słabszy dzień, kiedy stanęliście do pojedynku.

– Wcale mi nie pomagasz – powiedział Kest.

Nie obchodziło mnie to.

– Wszyscy jesteśmy gorsi, niż byliśmy kiedyś, pewnie nawet gorsi, niż nam się wtedy wydawało. – Wskazałem na blaknący za naszymi plecami krajobraz. Zimna biel powoli zmieniała się w pustą szarość.

– Za to nasi wrogowie są gorsi i silniejsi, niż sądziliśmy. Jest ich coraz więcej i myślę, że nigdy nie pozbędziemy się wszystkich na dobre. Jesteśmy słabsi niż kiedyś, słabsi, niż nam się wydawało, zbyt słabi, by uratować ten świat. Odkąd to wszystko się zaczęło, dręczyła mnie uporczywa obawa, że może tym razem po prostu nie damy rady wygrać.

– Naprawdę zachowujesz swoje najlepsze przemówienia dla innych, co? – prychnął.

To było dla niego tak nietypowe, że zacząłem się zastanawiać, czy to wszystko nie rozgrywa się tylko w mojej głowie. „To bez znaczenia”,

pomyślałem. „Muszę to w końcu powiedzieć”.

– Może nie mam w zanadrzu żadnych dobrych przemówień. Ale jest jedno pytanie, które zadaję sobie każdego dnia, nawet kiedy zdaję sobie sprawę, jak bardzo mamy przesrane, jak dużą przewagę liczebną mają nasi wrogowie, albo kiedy wysyłają przeciwko nam pieprzonego Boga.

– Jakie to pytanie? – zapytał.

Wskazałem na rozmazane sylwetki ludzi w oddali, rozglądających się wokół i odkrywających, że w rozrastającej się pustce nie ma już miejsc, w których mogliby się schować.

– Jeśli nie my, to kto? Kto będzie stał, kiedy wszyscy inni klękają? Kto będzie się domagał respektowania praw w obliczu bezprawia? Kto podejmie wyzwanie, wiedząc, jak cholernie trudne może się ono okazać?

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę, zanim Kest w końcu powiedział na głos to, co dusił w sobie przez tyle czasu.

– Oni cię zabiją, Falcio. Proszę, nie każ mi być przy tobie, kiedy to się stanie. Tym razem cię nie ochronię.

Skinąłem głową. Zapewne miał rację.

– Zgadza się. Możliwe, że stracę głowę, życie i cały ten kraj. Ale odpowiedz mi na jedno pytanie: czy z tobą u boku moje szanse na porażkę będą mniejsze czy większe?

– Mniejsze – powiedział. Po chwili w kąciku jego ust pojawił się cień uśmiechu. – Sukinsynu. Nie mogę uwierzyć, że mnie w to wrobiłeś.

Słaby błysk z trudem rozświetlił niebo, po czym szybko zgasł.

– Chodź – powiedziałem, wyciągając do niego rękę. – Coraz trudniej jest mi słyszeć bicie serca Ethalii. Głupio by było, gdyby cała para z tego zamieszania poszła w gwizdek.

Kest chwycił wyciągniętą dłoń.

– Dokąd?

– Ruszamy śladami burzy – powiedziałem. – To tam zazwyczaj leży źródło problemu.

PRZEBUDZENIE

Obudziło mnie głośnie szlochanie. Co ciekawe, to nie Ethalia płakała.

– Cześć – powiedziała, pochylając się nade mną.

Trzymała mi głowę na kolanach i przykładała sobie moją dłoń do serca. Spojrzałem w prawo i zobaczyłem, że moja druga ręka wciąż leży na piersi Kesta. Oddychał powoli, ale miarowo. Kiedy spojrzałem z powrotem na Ethalię, powiedziałem:

– Moje serce bije dla ciebie.

Pokiwała głową.

– Na to wygląda.

– Czyli chyba nie jest tak, że zupełnie cię nie lubię – zauważyłem.

Odpowiedziała uśmiechem, a wokół jej oczu pojawiły się drobne zmarszczki i od razu poczułem się trochę lepiej.

– Całkiem możliwe, że tak naprawdę i ja cię nie nienawidzę, Falcio val Mondzie.

Uśmiechała się na tyle długo, bym mrugnął lub odwrócił wzrok, i tym samym nie zauważył, jak przestaje. Ale że czasami mam swoje przebłyski, wiedziałem, na co zwracać uwagę, i widziałem, jak czar pryska.

– Słyszę ją, kiedy z tobą rozmawia – powiedziała w końcu. – Czasami mówi też do mnie.

– Moja żona nie żyje – powiedziałem, starając się powstrzymać wstyd i urazę, które czułem na samą tę myśl. – Jedyne, co mi pozostało, to wspomnienia i halucynacje. Jak to w ogóle możliwe?

– Nie wiem – przyznała. – Być może masz rację i też sobie ją po prostu wyobrażam. – Zawiesiła spojrzenie w oddali, jakby ktoś stamtąd właśnie ją

zawołał. – Przepraszam, że nie potrafię cię kochać tak jak Aline.

„Nigdy cię o to nie prosiłem”, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos. Może nie jestem bardatti, ale umiem rozpoznać ostatnie dźwięki pieśni. Nie mogłem mieć za złe Ethalii tego, że doszła do wniosku, że nasz związek dobiegł końca niemal tak szybko, jak się zaczął. Potrzeba czasu na zbudowanie miłości, a nasza była iskrą, którą pomyliliśmy z płomieniem. Cieszyliśmy się nią, póki nie została stłumiona, raz za razem, przez śmierć i przemoc, czy wreszcie przez jej świętość – bardziej przekleństwo niż dar. Ale wiedziałem, że nie to było prawdziwą przyczyną. Kochałem raz kobietę, którą mi zabrano, a ja nie chciałem jej puścić. Nie wiedziałem, czy Aline jest duchem, wspomnieniem, czy tylko marzeniem o kobiecie, która tak jak Paelis w rzeczywistości nigdy nie była tym, za kogo ją uważałem. To było bez znaczenia: zawsze była ze mną. Jej utrata określała mnie tak samo jak kształt mojej twarzy czy barwa głosu. Byłem wdowcem, który nie był w stanie pogodzić się z tym faktem.

Kiedy więc Ethalia spojrzała na mnie z góry i patrzyliśmy sobie w oczy, zamrugałem, by pokazać jej, że się z nią zgadzam. Delikatnie przeniosła moją głowę na koc.

– Powinnam sprawdzić, co u Kesta – powiedziała.

Przekręciłem się i powoli stanąłem na nogi. Znowu usłyszałem płacz, a gdy się rozejrzałem, ujrzałem Brastiego, który siedział na pniu z twarzą w dłoniach.

– Przepraszam – powiedziałem, podchodząc do niego. – Niestety wygląda na to, że obaj będziemy żyli.

Brasti pociągnął nosem i wytarł się rękawem płaszcza.

– Erastian nie żyje, jakby to kogoś obchodziło. On cudownie nie zmartwychwstanie. – Wskazał na ciało świętego. Przysiągłbym, że pod warstwą brudu i krwi starzec się uśmiechał.

Wyciągnąłem rękę do Brastiego.

– Wstawaj.

– Po co?

– Bo zamierzam cię uściskać, idioto.

Odwrócił się i spojrzał na mnie, oczy i nos miał całe czerwone.

– Oni mają Boga, Falcio. Pieprzonego Boga.

– Nie da się ukryć.

– W dodatku ten Bóg potrafi strzelić palcami, a Kest, sam Kest!

Z miejsca pada martwy.

– Umarł tylko trochę – powiedziałem. – Już mu lepiej.

Brasti odtrącił moją wyciągniętą dłoń.

– Co, mam zwyczajnie zapomnieć, że Bóg tego rynsztoka zwanego naszym krajem ma z nami na pieńku? Nie myśl sobie, że nie wiedziałem o twojej zdolności do wkurzania ludzi, ale widzę, że nie doceniłem, jak ogromny masz talent w tym zakresie.

Znów pociągnął nosem, co pewnie normalnie rozbawiłoby nas obu, gdybyśmy nie mieli w sobie tyle bólu.

– Kazałeś mi cię zabić. Zmusiłeś mnie, żebym zacisnął dłoń na twoich ustach i nosie i udusił.

– Przepraszam cię za to – powiedziałem.

– Przepraszasz? Ty cholerny dupku! Świątynia, Inkwizytorzy, Boże Igły, a od niedawna również Bóg chcą naszych głów, ale nie ma co się tym przejmować, w końcu Falcio val Mond przeprosił. Pierdol się. Nie przychodzi mi do głowy ani jeden powód, dla którego miałbym chcieć cię uściskać.

– Mogę ci w tym pomóc.

– Doprawdy? Niby jak?

– Jeśli nie weźmiesz się w garść i nie wstaniesz, żebym mógł cię objąć, pocałuję cię prosto w usta.

Brasti patrzył na mnie przez chwilę wściekle zmrużonymi oczami, po czym powiedział:

– No dobra, wygląda na to, że są rzeczy gorsze od śmierci.

Wstał i przyciągnąłem go do siebie. Łapał oddech gwałtownie i urywanie, jakby się śmiał. Dopiero po chwili zorientowałem się, że znowu płacze.

– Chyba wystarczy, jeszcze ludzie zaczną gadać.

Spodziewałem się, że odpowie żartem. Odezwał się jednak z ponurą determinacją.

– Zniszczę go, Falcio. Przysięgam. Zanim to wszystko się skończy, chcę tylko jednej szansy. Nie obchodzi mnie, czy zabije mnie chwilę po tym, ale choćby miała to być ostatnia strzała, jaką w życiu wystrzelę, zamierzam zabić nią Boga.

Nieśliśmy ciało Świętego Erastiana przez ponad dwadzieścia mil, dopóki nie opuściliśmy hrabstwa Verderen. Zналиśmy staruszka na tyle, by mieć pewność, że nie chciałby, by jego szczątki spoczęły w tym piekielnym miejscu.

Ostatecznie postanowiliśmy złożyć go w ziemi za zrujnowaną świątynią Phenii, będącym jednym z wielu obliczy Bogini Miłości. Po wykopaniu grobu nie odmówiliśmy żadnej modlitwy, pewni od niedawna tego, że bogini nie będzie w stanie na nią odpowiedzieć.

– Był z niego brzydki, stary dziadyga – powiedział Brasti, ocierając pot z czoła.

Nie mając odpowiednich narzędzi do kopania ziemi, musiały nam do tego wystarczyć gałęzie z drzew, które zdążyły już wyrosnąć między potrzaskanymi kamieniami świątyni.

– Może jednak ktoś inny powinien zająć się wygłoszeniem mowy pożegnalnej – zaproponowała Ethalia. Stała w głębokim na trzy stopy dole, złożonymi dłońmi wyrzucając na powierzchnię ziemię.

– Ale to przecież najprawdziwsza prawda – powiedział z uporem Brasti.
– Miał niewyparzoną gębę. Był złośliwy. Aż dziw bierze, jak udało mu się natchnąć kogokolwiek do zakochania się.

Kest wbił swoją gałąź głębiej w ziemię. Powiedziałem mu, żeby zostawił robotę nam, nie dalej jak wczoraj był przecież na skraju śmierci, ale utrzymywał, że nic mu nie będzie.

– Może dla niektórych miłość nie opiera się tylko na wyglądzie?

Brasti prychnął.

– Jak rozumiem, te słowa wynikają z twojego ogromnego doświadczenia w tej kwestii? Wiesz, że jesteś jedyną znaną mi osobą, która kiedy mówi, że zamierza polerować klingę, to naprawdę ma na myśli czyszczenie miecza?

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem różnicę – powiedział Kest, po czym uśmiechnął się półgębkiem, by pokazać, że pojął żart.

Mimo że kopanie bez jednej dłoni nie należało do najłatwiejszych czynności, nie było po nim znać zmęczenia. Po raz pierwszy od dawna przypominał starego, dobrego Kesta. Wiedziałem, że to złudzenie. Trzymał się pozorów normalności jak człowiek niesiony prądem rozszalałej rzeki, łapiący się każdej gałęzi, jaką tylko napotka na swojej drodze.

Czułem, że ziemia staje się coraz twardsza i bardziej kamienista.

– Głębiej już chyba nie zejdziemy – powiedziałem, spojrzeniem sprawdzając, czy Ethalia zezwoli nam złożyć ciało Erastiana w zaimprovizowanym grobie.

– Kest ma rację – powiedziała, pogrążona we własnych myślach. – Romantyczna miłość to nie tylko pociąg fizyczny i piękne słowa. – Wyszła z dołu i uklękła obok ciała Erastiana.

– Nigdy tego nie rozumiałam, póki... – przerwała i spojrzała na mnie. – Był Świętym Romantycznej Miłości nie dlatego, że uosabiał jej cnoty, ale dlatego, że lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał jej moc i był gotów o nią walczyć.

Brasti spojrzał na nią z ukosa.

– Nadal nie rozumiem... – urwał, widząc karcące spojrzenie Kesta.

Ethalia ciągnęła dalej, zapominając o naszej obecności.

– Birgid była zawsze pełna dobroci i spokoju. Myślałam, że właśnie na

tym polega bycie Świętą Miłosierdzia.

To miało sens w teorii, ale przy żadnym z trzech naszych spotkań Birgid Co Wypłakuje Rzeki nigdy nie pokazała po sobie tego doskonałego spokoju. „Nie był to chyba jednak najszcześniejszy moment, by o tym wspominać”.

– Byłam głupia – powiedziała Ethalia.

Wstała i odeszła na bok, bym razem z Brastim mógł złożyć ciało w grobie.

– Nie ma nic głupiego w poszukiwaniu pokoju – powiedział łagodnie Kest.

Zaczęła garściami rzucać ziemię na ciało.

– W tym świecie pokój nie ma żadnej wartości. Nawet Miłosierdzie musi być okupione przemocą.

Kolejne minuty spędziliśmy w milczeniu, zasypując martwego Świętego, po raz ostatni myśląc o osobie, którą dane nam było znać tak krótko. Brasti miał rację: Erastian nie był ucieleśnieniem Świętego Romantycznej Miłości – nie był ani na jotę podobny do posągów stawianych na jego cześć, zdobiących ogrody zamożnej i sentymentalnej szlachty. „Byłeś niemiły, nieuprzejmy i zaskakująco brzydki jak na Świętego Romantycznej Miłości. Ale gdybym potrafił się modlić, modliłbym się do ciebie, staruszku”.

Ruszyliśmy na południe w stronę zamku Aramor i piekła, które tam na nas czekało. Przebraliśmy się w nasze płaszcze, jako że drogami nie przewalały się już hordy pielgrzymów. Widzieliśmy za to aż nadto pozostawionych przez nich śladów – koleiny, resztki ognisk przy drogach, pośpiesznie wykopane latryny, których nikomu nie chciało się zasypywać. „Tak właśnie wygląda świat pełen ludzi, którzy o nic nie dbając, są przekonani, że Bóg rozwiąże za nich wszystkie problemy”.

W nocy pozwalaliśmy wierzchowcom odpocząć, snuliśmy plany i debatowali nad taktyką. Kest deliberował nad mocą, która sprawiła, że dla większości z nas ostatnie starcie z Bogiem odbyło się na kolanach. Brasti

proponował pułapki – wykopanie dołu na tyle głębokiego, by po zwabieniu do środka Boga można go było tam zakopać. Ja z kolei próbowałem wyobrazić sobie, jak moglibyśmy wsadzić mu na głowę jedną z masek, łudząc się, że to by nam jakoś pomogło. Zapewne żaden z nas nie żywił nadziei na powodzenie tych przedsięwzięć – wciąż nie mieliśmy bladego pojęcia, jak pokonać Boga – ale wszyscy mieliśmy już serdecznie dość alternatywy, jaką były czarne myśli.

Ethalia siedziała samotnie w trakcie naszych bezowocnych dysput, medytując i próbując zgromadzić wystarczająco dużo siły do powtórzenia wyczynu Erastiana: zmierzenia się z Bogiem.

Ostatniej nocy przed dotarciem do Aramoru Brasti powiedział:

– Czegoś tu nie rozumiem. Jak możemy oczekiwać, że Święta Miłosierdzia stanie do walki? Czy to aby nie paradygmat?

– Ma na myśli paradoks – poprawił go Kest.

Brasti skrzywił się, obrzucając go gniewnym spojrzeniem.

– Wiesz, raz na jakiś czas zdarza mi się użyć właściwego słowa.

– Jesteś pewien, że to jeden z tych razów?

– Zamknijcie się – powiedziałem, nie mogąc wyrzucić z głowy słowa „paradoks”. Wstałem i podszedłem na skraj opustoszałej drogi.

Patrząc na ciemniejący w oddali horyzont, zastanawiałem się głośno:

– Dlaczego Kowal czekał tak długo? To, że przybyliśmy do świątyni akurat w chwili, gdy ukończył pracę nad stworzeniem Boga, nie mogło być dziełem przypadku. Nie mógł przecież chcieć, żebyśmy go tam znaleźli, prawda? Erastian i Ethalia prawie pokonali Boga, a już z pewnością osłabili na tyle, że Kowal wolał salwować się ucieczką, niż ryzykować, że święci odzyskają siły. Gdyby, jak przypuszczaliśmy, siła Boga rzeczywiście pochodziła od jego wyznawców, dlaczego wcześniej go do nich nie sprowadził? „Po co czekać na przejęcie władzy?”

– Święty Zaghevie Co Śpiewa o Łzy, on to znowu robi – jęknął Brasti. – Teraz będzie patrzył w dal i mrucał do siebie godzinami.

– Zamknij się, Brasti – powiedziała Ethalia. Wstała i dołączyła do mnie.
– Co widzisz?

„Widzę setki zwycięstw”, pomyślałem. „Widzę arcykapłana kontrolującego Luth i planującego przejęcie pozostałych księstw. Widzę prawie wszystkich świętych zamordowanych i nowego Boga, który jednym słowem potrafi zatrzymać ludzkie serce. A jednak Kowal nie jest gotowy...”

– On się boi – powiedziałem.

– O tak, jest przerażony – powiedział Brasti, rozgrzebując popiół naszego ogniska. – Ma tylko Boże Igły i Rycerzy Świątyni, którzy zabijają każdego, kogo im wskaże. Dziedziczka tronu pewnie ukrywa się gdzieś w stodole wraz z Obrończynią Królestwa, która na wypadek gdybyś zapomniał, wciąż jest uwięziona w żelaznej masce. W takiej sytuacji książęta ogłoszą wszelkie dekrety nakazane im przez kapłanów, które w zasadzie i tak nie mają większego znaczenia, ponieważ to cholerni Inkwizytorzy są odpowiedzialni za egzekwowanie Królewskich Praw... chociaż zaraz, przecież już nawet nie można ich tak nazywać, prawda? To są teraz Prawa Świątyni! – Odwrócił się i spojrzał na Kesta. – I to jest właśnie ten pierdolony paradoks.

Parsknąłem, słysząc jego komentarz, ale śmiech nagle uwiązł mi w gardle. Mam. Odpowiedź była tak prosta, że mogła być wyłącznie wynikiem tysiąca pojedynczych równań. A zatem rzeczywiście była pewnego rodzaju paradoksem.

– Wiem, co osłabia Boga – ogłosiłem reszcie.

– Co? – spytał Kest.

– Prawo.

Patrzyłem badawczo na ich twarze podczas przedłużającej się ciszy: Kest próbował zorientować się, czy tym razem naprawdę straciłem rozum. Brasti starał się pojąć ukryty w moich słowach żart. Tylko twarz Ethalii rozjaśniła się, jakby nagle zrozumiała, o czym mówię.

Wyjaśniłem:

– Podczas walki Erastian powiedział: „Kiedy Tristia stworzyła Prawa mające kierować naszym życiem, bogowie zaczęli się wściekać”.

– Zatem bogowie są małostkowi – powiedział Brasti. – Też mi nowość.

Ale Ethalia pokręciła głową.

– Gniew jest maską, pod którą zwykle skrywamy strach i słabość. Bogowie zostali stworzeni przez wiarę swoich wyznawców, ale kiedy ludzie zaczęli żyć według własnych praw, moc bogów osłabła. Wiara jest zasobem ograniczonym, jeśli więc Kowal chce, aby jego Bóg był wszechpotężny, musi najpierw zniszczyć całą wiarę w Prawo.

– Zdajesz sobie sprawę, jak to wszystko brzmi? – spytał Brasti. – Mówisz o tym, jakby Prawo było żywą istotą, którą Kowal próbuje zabić.

– Może dla Boga tak właśnie jest – zasugerował Kest. – Widzę w tym swoistą zależność matematyczną. – Jego wzrok stał się nieobecny, jak zawsze, kiedy obliczał nasze szanse na przetrwanie walki. – Kowal zamordował świętych i wypuścił na świat Boże Igły, by ludzie się zlekli, że bogowie zwrócili się przeciwko nim. Następnie pielgrzymi zaczynają stanowić zagrożenie dla możnych, a książęta wycofują poparcie dla Obrończyni Królestwa. Świątynia przejmuje władzę, a Wielkie Płaszczce zostają zastąpione przez Inkwizytorów. – Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem. – Myliłeś się co do Kowala, Falcio. On nie jest awertarzem. Nie stosuje zwodów i pozorowanych ataków, żeby odsłonić nasz słaby punkt. Jest delusorem.

– Kim? – spytała Ethalia.

– Boże, wracaj tu i zabij mnie – jęknął Brasti. – Kolejne bezsensowne słowo rodem ze starego podręcznika szermierki, którego nikt nie używał od stu lat...

– Tak naprawdę termin „delusor” nie pojawia się w żadnym ze starych tekstów na temat fechtunku – sprostował Kest. – To nie tyle styl walki, ile czysta strategia, i to najprostsza ze wszystkich: pokonaj wroga, zanim jeszcze rozpocznie się walka.

– Nie rozumiem – powiedziała Ethalia. – Myślałam, że pojedynku nie można rozpocząć, póki obie strony nie wejdą w pojedynkowy krąg. Jak zatem można...?

– To proste – odpowiedziałem. – Chcesz pokonać przeciwnika, zanim rozpocznie się walka? Wyślij bandytów, żeby obili go w mrocznym zaułku w noc przed pojedynkiem. Nie bardzo dotkliwie, byle następnego ranka jego ruchy były nieco spowolnione albo trochę mniej pewne. Możesz też przekupić karczmarza, by wlał mu coś do kufla; nie chodzi o to, żeby rano nie mógł wstać z łóżka, ale żeby go mdliło i miał problemy ze skupieniem wzroku.

– No dobrze. – Brasti westchnął. – Kowal jest delusorem, a całe to zamieszanie było jednym wielkim pojedynkiem z Prawem. – Wskazał na mnie. – Jesteś Pierwszym Kantorem Wielkich Płaszczy. Dlaczego nie zabił cię przy pierwszej nadarzającej się okazji?

– Ponieważ Wielkie Płaszcze są obrońcami Prawa, a nie jego uosobieniem – powiedziałem, w pośpiechu siodłając Bydlaka. – A przynajmniej nie w ten sposób, którego potrzebuje Kowal. To nie mnie będzie chciał zabić.

– Obrońca Królestwa – powiedział Kest, gdy wraz z Ethalią pakowali resztę naszych juków. – Jeśli chce uczynić swojego Boga wszechmocnym, Kowal musi zabić Valianę.

ZAMEK

Jechaliśmy całą noc i poranek, zatrzymywaliśmy się tylko wtedy, gdy Bydlakowi i innym koniom groziło połamanie nóg lub padnięcie z wyczerpania. Przekleństwa, które powtarzałem w myślach, były jak niekończący się refren: dlaczego pozwoliłem Aline wyjechać na północ? Znaleźliśmy miejsce, w którym zabijano świętych, ale nie miało to już znaczenia; Kowal dostał od nich to, czego chciał. Uratowaliśmy jednego starca tylko po to, by zginął, próbując nas ocalić. Tyle dobrze, że mu się to udało. Ethalia osiągnęła pełnię świętości tylko po to, by się przekonać, że musi się zmienić w wojowniczkę, by z niej korzystać – czy zatem miała poświęcić siebie, istotę tego, w co wierzyła, na ołtarzu naszych potrzeb? „Dlaczego w ogóle słucham rozkazów czternastolatki? Powinienem być zostać przy nich, w końcu na tym polega moja pieprzona praca”.

– Stój! – zawołał Kest.

Mocno szarpnąłem Bydlaka wozami, po czym obejrzałem się, by zobaczyć, że reszta grupy od jakiegoś czasu wdycha wzbijany przeze mnie kurz, próbując nadążyć.

Już miałem zamiar pędzić dalej, licząc na to, że dogonią mnie później, gdy zauważyłem znajomy zakręt. Byliśmy znacznie bliżej zamku, niż się spodziewałem. Wjeżdżanie galopem w armię, która zapewne nas oczekiwała, nie było najmądrzejszym pomysłem.

Uspokoilem oddech, po czym zrównałem Bydlaka z resztą grupy. Kest zsiadł z konia.

– Zakradnę się z drugiej strony i spróbuję znaleźć jakiś dobry wjazd do miasta.

– Ja to zrobię – powiedział Brasti. – Jestem szybszy, poza tym w razie kłopotów wciąż mam ze sobą pistolet.

Ethalia wpatrywała się w drogę przed nami.

– Za dużo kurzu, trudno cokolwiek zobaczyć.

– To jego wina – powiedział Brasti, wskazując na mnie. – Jeszcze trochę i zajeździłby to biedne zwierzę...

– To nie kurz z drogi – powiedziała, mrużąc oczy. – Jest szary a nie brązowy.

Zrobiliśmy kilka kroków do przodu, próbując przebić wzrokiem unoszącą się w powietrzu chmurę.

– To nie nocna mgła – powiedziałem. – Wygląda na kurz albo pył. Nie wiem, skąd się to wzięło.

– Wzięło się stąd, że przybyliście za późno – powiedziała Darriana, wyłaniając się spomiędzy drzew.

Stała niepewnie na nogach, ale nie widziałem żadnych ran prócz siniaka na czole. Jej płaszcz był prawie cały pokryty tym samym szarawym pyłem i odpryskami kamieni.

– I że wszystko stracone – dodała.

Brasti podbiegł do niej i mocno uścisnął.

– Nic ci nie jest? – zapytał z troską w głosie.

Zaczęła go odpychać, ale trzymał ją tak mocno, że w końcu ustąpiła.

– Brasti Goodbow, skąd ten nagły przypływ uczuć?

Odchylił się, wciąż nie puszczając.

– Znikąd. Witam się tak z każdym Wielkim Płaszczem.

Na jej przybrudzonej twarzy błysnął uśmiech i mógłby to być całkiem miły moment, gdybyśmy mieli na takowy czas.

Nie mieliśmy.

– Powiedz, co się tu stało.

Odepchnęła Brastiego stanowczo i tym razem jej na to pozwolił.

– Będzie lepiej, jeśli wam pokażę – odpowiedziała i ruszyła w kierunku

ostatniego zakrętu przed wjazdem do zamku.

– Poczekaj – powiedziałem. – Pielgrzymi...

– O tak, na miejscu jest wielu pielgrzymów. Inkwizytorów też nie brakuje – powiedziała, nie zatrzymując się ani na chwilę. – Nie zwracają sobie nami głowy. Nikogo już nie obchodzimy.

Słowa Darriany nie dodawały mi pewności siebie. Wyciągnąłem rapiery, podążając za nią drogą prowadzącą do zamku Aramor. Nie miałem własnej broni w ręku, odkąd wyruszyliśmy do kopalni; świadomość, że jeśli już będę musiał walczyć, to przynajmniej nie przyjdzie mi wymachiwać buzdyganem, trochę mnie uspokoiła.

– Lepiej będzie, jeśli przygotujecie się zawczasu – powiedziała Darriana.

– Na co? – zapytałem, próbując otrzeć oślepiający kurz z oczu. Im bliżej byliśmy, tym robił się gęstszy. – Nadal nie powiedziałaś nam, co się stało.

Ethalia szła obok mnie, obserwując Darri.

– Cierpi, ale się nie boi – powiedziała cicho. – Wyczuwam żal... stratę.

– Trzymaj się z dala od mojej głowy, ładacznico – rzuciła Darriana, przyspieszając kroku, jakby chciała ukryć łzy, które dopiero teraz dostrzegłem w jej oczach.

Chmura pyłu stawiała się coraz bardziej nieprzenikniona, oddychanie przychodziło nam z trudem, widzieliśmy ledwo na dziesięć stóp przed sobą. Ale kiedy dotarliśmy na szczyt wzniesienia, widoczność przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie trzeba widzieć wyraźnie, by zobaczyć coś, czego nie ma.

Wiele lat temu, kiedy król wciąż żył i był gotów zapłacić każdą cenę za wzbogacenie księgozbioru królewskiej biblioteki, razem z Kestem próbowaliśmy ustalić, ile napisano podręczników do szermierki. Wyliczyliśmy, że około dwustu dwudziestu sześciu: imponująca liczba, zwłaszcza że trudno byłoby znaleźć dwieście dwadzieścia sześć książek na jakikolwiek inny temat.

Pewnego dnia uderzyła nas myśl, że chociaż było wiele tekstów dotyczących szermierki, znaleźliśmy tylko jedną książkę na temat technik pojedynkowania się. Nie zrozumcie mnie źle, traktatów na temat pojedynków sądowych było bez liku, ale wszystkie skupiały się na regułach, broni i *politessi dan guerita*, czyli co powiedzieć, jak i kiedy. Tylko jedna z książek, o nieco przygnębiającym tytule *Nie unikniesz śmierci* – której autorem był bliżej nieznanego pisarz Sen Errera Bottio – opisywała, jak właściwie walczyć i wygrać pojedynek.

Kest miał na ten temat teorię: mistrzowie szermierki lubili chwalić się swoimi zdolnościami, by przyciągnąć uczniów, ale żaden z nich nie chciał ujawnić znanych tylko sobie technik z obawy, że mogą zostać użyte przeciwko nim. Ale że Bottio zapadł na bolesną i nieuleczalną chorobę, najwyraźniej uznał, że lepiej będzie mu zginąć szybko w pojedynku, niż odchodzić w powolnych męczarniach.

Każdy rozdział książki opisuje inny aspekt przygotowania mentalnego i fizycznego potrzebny w pojedynkach, w których można będzie wziąć udział w trakcie (prawdopodobnie krótkiego) życia. Pierwszy rozdział, „Poranek przed pierwszym pojedynkiem”, rozpoczyna się pełnym opisem tego, czego można się spodziewać, zanim po raz pierwszy stanie się na placu pojedynkowym.

To właśnie Bottio ukuł termin „delusor” w uroczo zatytułowanym rozdziale „W noc przed śmiercią”, w którym szczegółowo opisał sposoby, jakimi przeciwnik może próbować cię osłabić w dniach i godzinach poprzedzających pojedynek, by zapewnić sobie wygraną. Bottio uważał, że najbardziej wyniszczające ataki nie dotyczą ciała, a umysłu. Napisał: „Ciało jest w stanie wyzdrowieć pomimo wielu ran często z zaskakującą szybkością. Duch, raz złamany, może nigdy nie być taki sam, a zatem winien być celem ataku doświadczonego delusora w przededniu walki”.

„Bottio miał rację”, pomyślałem, patrząc na scenę przed nami.

Zamek Aramor był moim domem przez dziesięć lat. Znałem każdą

z jego dziewięciu wież, każdy cal murów obronnych. Byłem w każdym pokoju, przeczytałem większość książek i sikałem w każdym z wychodków. Bywają dni, kiedy nie potrafię rozpoznać własnej twarzy w lustrze, ale jestem w stanie narysować umocnienia Aramoru dokładniej niż którykolwiek z murarzy, który je zbudował.

Kochałem to miejsce. Przyjechałem tu, próbując zabić króla, a skończyłem jako jego najwierniejszy poddany. Wielkie Płaszcze odrodziły się w miejscu, gdzie miałem nadzieję któregoś dnia ujrzeć córkę mojego władcy na tronie: ucieleśnienie wszystkich moich niepoważnych marzeń.

Może dlatego wciąż potrafiłem sobie wyobrazić zamek wznoszący się wysoko ponad niezliczone tłumy pielgrzymów, którzy na kolanach wyśpiewywali hymny radości pośród kłębow pyłu wzbijającego się z kupy potrzaskanych kamieni, rozrzuconych po ziemi niczym dziecięce zabawki pogruchotane potężną ręką.

Staliśmy w bezruchu przez kilka sekund, zanim Darriana ruszyła do przodu, przedzierając się przez tłum pielgrzymów.

– Chodźcie. – Skinęła. – Nie zaatakują nas.

Szedłem za nią jak pogrążony we śnie, wciąż nie docierało do mnie, że widok, który mam przed oczami, jest prawdziwy. Widziałem wcześniej zniszczone zamki, ale nie w takim stopniu. Tylko jedna wieża wciąż stała wśród gruzów i co chwila osypywały się z niej fragmenty kamienia i zaprawy.

Darri poprowadziła nas przez klęczące tłumy, aż dotarliśmy do wielkiego wejścia do zamku: miejsca, w którym niegdyś czekaliśmy z dumnie wypiętą pierśią, by dyktować warunki Radzie Książęcej. To było zaledwie kilka miesięcy temu, tuż po bitwie z Czarnymi Tabardami. Teraz ten moment wydawał się odległy o dziesięciolecia.

– Jak to się stało? – zapytał Kest, spoglądając na ruiny i ich okolice. – Nie widzę śladów machin oblężniczych ani armii.

– Ot, tak – powiedziała Darriana, po czym podniosła rękę i pstryknęła palcami. – I już. Bóg Tristii podszedł do zamku, machnął ręką, a wieże zaczęły się walić.

– To niemożliwe. To zajęłoby...

– Oczywiście, wcześniej było przemówienie – powiedziała, po czym spojrzała na mnie. – Spodobałoby ci się. Przeprowadzili proces, dacie wiarę? Pierdoloną rozprawę. Ten ich arcykapłan, jak mu tam, Obladiaz? Wyszedł i oświadczył, że Świątynia uznała Królewskie Prawa za zepsute i sprzeczne z wolą Boga. Liczba pojedyncza. – Wskazała na niewielką przestrzeń wśród ruin, która jakimś cudem pozostała nietknięta. – Ten jego stwór stał tam, godzinami wysłuchując zeznań kapłanów, chłopów i, to wam się spodoba, pieprzonego księcia Hadiermo. Sam Żelazny Książę Domaris zeznał, że książęta są zdrajcami ojczyzny.

– Po co im była ta cała parodia? – spytał Brasti.

To było dobre pytanie: po co te formalności? Dlaczego urządzili cały ten teatrzyk?

– Czy proces przebiegał zgodnie z Prawem Orzecznictwa? – spytałem. – Czy przesłuchania były zorganizowane zgodnie z zasadami?

– Myślisz, że kogoś to obchodziło? – parsknęła Darriana. – Kogoś poza tobą, ma się rozumieć.

– Po prostu odpowiedz na pytanie – powiedziałem z naciskiem. – Czy wszystko było przeprowadzone zgodnie z prawem?

– Tak! Wszystko było miłe i legalne. Lepiej ci z tym?

Nie zadałem sobie trudu, by odpowiedzieć na jej zaczepkę. Rozumiałem ból Darri, sam go czułem, ale nie miałem czasu zajmować sobie nim myśli.

– W ten właśnie sposób chcą całkowicie zniszczyć prawo – powiedziałem do Kesta. – W legalnym procesie.

– Co było dalej? – zapytał Kest.

Darriana odwróciła się i wskazała na przestrzeń po lewej stronie ruin. Chmura pyłu była tam tak gęsta, że to, co wzięłem za szczątki drewnianej

konstrukcji, okazało się wysoką szubienicą. Kiedy przyjrzałem się jej lepiej, uświadomiłem sobie, że pod spodem nie leży sterta kamieni a rzucone bezładnie ciała.

– Wtedy zaczęły się egzekucje.

„Egzekucje. Święci, nie... Aline... Valiana...”

Serce zaczęło łomotać mi w piersi.

– Proszę, błagam, powiedz, że nie pozwoliłaś im tu przyjść.

Darriana obrzuciła mnie spojrzeniem tak pełnym wściekłości, że spodziewałem się, że zaraz rzuci się na mnie z wyciągniętym mieczem.

– Zeloci zajęli zamek. Oczywiście, że Valiana i Aline tu przyszły. Rozkazały nam odprowadzić się tu, by mogły stawić czoła oskarżeniom.

Zbliżyłem się do ciał przy szubienicy, próbując je rozpoznać, wznosząc w myślach modły do wszelkich pozostałych mi sił wyższych, bym nie ujrzał tam znajomych twarzy.

– Falcio, nie ma ich tam – powiedziała Ethalia, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Z pewnością uciekły.

Odwróciła się do Darriany i rozkazała:

– Przestań go torturować.

– Mówiłam ci, suko! Wynoś się z mojej głowy!

Kest stanął przed nią, odwracając jej uwagę.

– Nie obchodzi cię zamek, skoro więc Aline i Valiana wciąż żyją, skąd w tobie ta wściekłość?

Darriana odetchnęła.

– Twoja Święta dziwka ma rację. Arcykapłan rozkazał Inkwizytorom przywieść je na szubienicę. Quentis Maren odmówił.

– Quentis Maren? Odmówił? – spytał Brasti, wyrażając tym samym i moje niedowierzanie.

Darriana skinęła głową.

– Wygłosił swoją mowę na temat podążania za boskimi naukami – powiedziała. – Kowal odpowiedział mu, że bogowie, których czci, są

martwi, ale Inkwizytor odrzekł, że „lepiej podążać za martwym bogiem niż za bogiem zła”.

– Pomógł im uciec?

– Razem pomogliśmy – odparła.

Spojrzałem na zniszczenia wokół nas i zapytałem:

– Jak wam się to udało?

– I dlaczego pielgrzymi nie rzucają się, żeby rozszarpać nas na strzępy?

– dopytywał Brasti. – Czemu żołnierze nas nie aresztują?

Darriana uśmiechnęła się gorzko, pozbawiona jakiegokolwiek cienia radości czy nadziei.

– Ponieważ wszystko poszło w diabły, kiedy została przelana pierwsza krew. Aline wpadła na świetny pomysł domagania się pojedynku sądowego. Najwyraźniej miało to jakieś znaczenie dla tego pieprzonego Boga, bo na to przystał. Do jutrzejszego pojedynku nikt nie może nas tknąć.

– Uciekamy – powiedział Brasti, patrząc na mnie. – Zbierzmy wszystkich i wynośmy się jak najdalej stąd.

– Aline nie ucieknie – powiedziała Darriana. – Valiana zresztą też nie.

– Dlaczego nie? – spytał ze zdumieniem Brasti.

Darriana weszła między pielgrzymów, zatrzymała się i stanęła jak żywe drzewo wśród szarej pustyni. Rozłożyła szeroko ramiona i dopiero wtedy dostrzegłem, że śpiewający mężczyźni, kobiety i dzieci klęczący dookoła niej kaszlą i dławią się, a wśród nich ujrzałem ciała tych, którzy już zdążyli udusić się od pyłu.

– Bóg nakazał, aby zostali tutaj i chwalili go w pieśniach, dopóki Aline i Valiana nie powrócą, by stawić czoła jego osądowi.

ŚWIĄTYNIA

Z Darrianą na czele maszerowaliśmy ulicami Aramoru, który zdawał się ubogi bez zamku w tle. Szliśmy między domami, sklepami i warsztatami budowanymi z cegły i kamienia jeden przy drugim przez setki lat i przytulonymi do zbocza niczym skorupiaki do dna statku.

„Statku, który w tej chwili był w drodze na dno”.

Najbardziej zaskoczyło mnie to, jak wielu ludzi zajmowało się codziennymi sprawami, jak gdyby dzisiejszy dzień niczym nie różnił się od poprzedniego. Ignorowali nas przy tym, tylko kilku przechodniów zaszczyliło nas szyderczą uwagą. Wszystko wskazywało na to, że Wielkie Płaszcze w końcu zaczęły przystawać do towarzyszącej im powszechnie opinii: fantazji, kiepskiego żartu, który król Tristii zrobił swoim poddanym, nie rozumiejąc ich prawdziwych problemów. Ale byli też tacy, którzy odwracali się, gdy przechodziliśmy, a ich oczy podążały za nami. Zdawali się czekać na jakiś umówiony znak, potwierdzenie fortelu z naszej strony, za którym miał pójść kontratak wobec sił działających przeciwko krajowi. Ich spojrzeń unikałem za wszelką cenę. Byli najgłupszy z nas wszystkich.

Nie było żadnego planu, podstępu ani pomysłu na kontratak.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Darriana, przystając w wąskiej uliczce w brudnej dzielnicy nadrzecznej Ponte Calliet i wskazując na zwykłe, drewniane drzwi pod złamanym szyldem z koślawym napisem „Strzaskane Łuski”.

W środku mieściła się karczma, w dodatku dość podła.

Kiedyś mieliśmy tu nieformalne miejsce spotkań – co prawda, król zapewnił nam odpowiednie pomieszczenia w zamku, ale większość z nas

pochodziła z ubogich rodzin i nie czuła się komfortowo w pełnych przepychu wnętrzach. W tym podniszczonym przybytku mogliśmy rozmawiać, pić i opowiadać historie, nie czując się nie na miejscu.

– Nigdy wcześniej tu nie byłam – odezwała się Darriana. – Talia i Allister powiedzieli, że to najlepsze miejsce na przygotowanie planu. Nazywali je „sanktuarium Wielkich Płaszczy”.

– No tak – powiedział Brasti po chwili namysłu. – Zdarzało się nam doznawać tu różnych objawień.

Kiedy ruszyłem do wejścia, Darriana chwyciła mnie za ramię.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego jestem na ciebie wściekła? – warknęła. – Ponieważ to wszystko twoja pieprzona wina, Falcio. Nigdy nie powinienesz napełniać głów Valiany i Aline tym swoim bezużytecznym idealizmem. Powinny były uciec, jak tylko ten potwór pojawił się w Aramor. – urwała na moment. – Udało się nam je stamtąd wydostać, ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia.

– O kim mówisz? – spytałem.

Pchnęła drzwi.

– Zaraz sam się przekonasz.

Światło było przyćmione, ale widziałem Wielkie Płaszczki siedzące przy znajomych starych, zniszczonych stołach i opatrujące rany lub prowadzące ciche rozmowy. Talia i Allister pochylali się nad porwaną mapą i zaciekle dyskutowali z dwójką bardatti: Nehrą i Rhyleis.

Krawcowa siedziała w kącie, cerując jeden z płaszczy grubą stalową igłą; natychmiast rozpoznałem w nim ten, który Boża Igła ukradła Hardenowi. To dziwne, ale miałem lepszą pamięć do płaszczy niż do twarzy.

Antrim Thomas klęczał przy kłapie skrywającej jeden z naszych składów broni na czarną godzinę – był to jeden z pierwszych pomysłów Brastiego, wprowadzony lata temu. Spod stosu mieczy i włóczni próbował wyciągnąć tarczę. Uśmiechnąłem się pod nosem na ten widok, przypominając sobie, jak

król chciał dać ją któremuś z nas, ale nie potrafiliśmy wpaść na to, do czego miałyby nam służyć.

Dostrzegłem Mateo Tillera, który właśnie zmieniał bandażę na ramieniu siedzącego obok mężczyzny. Dopiero po chwili rozpoznałem w nim Quentisa Marena.

– Okazuje się, że nasze płaszcze nie chronią tak skutecznie jak wasze – powiedział na mój widok.

Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem niewielką, prawie idealnie okrągłą ranę.

– Postrzelono cię?

– Wygląda na to, że fakt, iż jestem dowódcą Inkwizytorów, nie przeszkodził moim ludziom w próbach pozbawienia mnie życia przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Znam to z autopsji – powiedziałem.

Parsknął śmiechem, po czym skrzywił się z bólu.

– Błagam, nie próbuj mnie rozśmieszać.

Mateo spojrzał na mnie i przewrócił oczami.

– Proponowałem mu alkohol na znieczulenie. Uparcie odmawia.

– Prawdziwy Inkwizytor nie pije – odparł Quentis. – To obraza dla bogów.

Nie byłem pewien, co mam na to odpowiedzieć.

– Diabli nadali – zaklął, dostrzegając wyraz mojej twarzy. – To prawda? Miałem nadzieję, że Kowal i ten jego potwór tylko się przechwalali.

– Przepraszam – odpowiedziałem. – Obawiam się, że prawo do naszych nieśmiertelnych dusz przeszło na nowego właściciela.

– W takim razie podaj mi to, z łaski swojej – odrzekł Quentis, wskazując na stojącą na stole butelkę.

Mateo uśmiechnął się.

– Zaczynam cię lubić, Inkwizytorze.

Poczułem, że ktoś stanął u mojego boku.

– Falcio – zwróciła się do mnie miękko Ethalia.

Podążyłem wzrokiem za jej wyciągniętą dłonią do miejsca, gdzie w cieniu siedziały Aline i Valiana. Nie zwlekając, podbiegłem do nich.

– Falcio, nic nam nie jest, nie tak mocno – powiedziała Aline, usiłując złapać oddech w moim uścisku.

Drugą ręką po omacku znalazłem dłoń Valiany.

Przez chwilę ignorowałem protesty Aline, szybko zorientowałem się, że niezręczność wynika z tego, że dziewczyna z trudem powstrzymuje emocje na wodzy. Valiana odpowiedziała mi uściskiem dłoni, ale w jakiś sposób u obu wyczułem więcej smutku niż radości. Poczulem rękę Ethalii na ramieniu.

– Co się stało? – spytałem.

– Chodź ze mną – powiedziała Aline. – Zostało mu trochę czasu i na pewno będzie chciał cię zobaczyć.

Powiodła mnie do pozbawionej okien komory na tyłach karczmy. Oświetlało ją tylko kilka świec i ledwo mogłem dojrzeć cokolwiek innego poza drobną postacią złożoną na zsuniętych ze sobą stołach i stojącym obok postawnym mężczyzną.

– Niech was piekło pochłonie, mówiłem, żebyście zostawili nas w spokoju! – krzyknął Jillard, ksiązę Rijou. – Nie trzeba nam waszego współczucia ani zawodzenia bardatti...

– Przyprowadziłam Falcia – powiedziała łagodnie Aline.

Ksiązę natychmiast zamilkł. Po chwili skinął na nas dłonią.

– Podejdźcie bliżej.

Wszedłem do pokoju, Ethalia szła tuż za mną z ręką wciąż na moim ramieniu. Kiedy zbliżyłem się do stołu, zobaczyłem leżącego na nim Tommera. Z trudem łapał oddech, nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w ciemność nad sobą. Nadal miał na sobie długi skórzany płaszcz, wykonany na wzór naszych. Jego płaszcz nie był jednak tak dobry; nie miał

wsztych dziesiątek kieszeni kryjących narzędzia, które pomagały nam w przetrwaniu. Nie miał kostnych płytek, które zatrzymałyby klingę. Tkwiła w jego brzuchu głęboko, nawet w ciemności widać było szkarłat krwi, przesączającej się przez grubą warstwę bandażu.

Ethalia wysunęła się przede mnie, żeby zbadać ranę, ale okazało się, że ta w brzuchu nie była jedyną. Jej spojrzenie upewniło mnie, że nie potrafiła pomóc chłopcu. Tutaj nie chodziło o zatrzymane na chwilę serce; obecny stan młodego Tommera nie pozwalał już zawrócić go z przedsonka zaświatów.

Spojrzała na mnie.

– Falcio, ta rana nie została zadana ostrzem.

Jillard odezwał się głosem cichym i spokojnym, nie był jednak w stanie ukryć przepęłniającej go wściekłości.

– Dwóch Inkwizytorów pochwyciło Obrończynię Królestwa w zamieszaniu, jakie się rozpętało. Zaczęli ciągnąć ją na szubienicę, wtedy Tommer wybiegł przed nich i próbował wyzwąć Boga na pojedynek. Zanim jednak zdążył rzucić wyzwanie... – przerwał i słychać było, jak bierze powolne oddechy, po czym odezwał się ponownie. – Bóg wbił pięść w brzuch mojego syna.

– Nie – powiedziałem, po czym powtórzyłem to jeszcze raz, chcąc ze wszystkich sił zatrzymać zegar nieuchronnie wybijający godzinę śmierci Tommera.

– Pierwszy Kantorze – wyszeptał chłopak, a jego słowa przerwał atak kaszlu.

Jillard otarł krew, która przy tej okazji buchnęła z ust Tommera.

Chciałem wziąć chłopca za rękę, ale zatrzymałem się i spojrzałem na jego ojca. Nie potrzebowałem nawet patrzeć mu prosto w oczy, by się upewnić, że obwinał mnie za to, co się stało. Wiedziałem, że mnie nienawidzi, i zapewne nawet teraz przywołuje w głowie wymyślne tortury, którym mnie podda. Potrzebowałem jednak jego pozwolenia.

Skinął słabo głową, po czym ponownie otarł usta Tommera.

Co można powiedzieć dwunastolatkowi patrzącemu w oczy śmierci? Że jest odważny? Obiecywać mu życie pozagrobowe w objęciach bogów, o których wiadomo, że są martwi? A może po prostu paść na kolana i złorzeczyć na niesprawiedliwość życia?

– Zdaj raport, Wielki Płaszczu – powiedziałem.

Oczy chłopca otworzyły się nieco szerzej, z trudem przełknął ślinę.

– Tommer zgłasza się do raportu, sir.

– Wydajesz się niedysponowany, Tommerze.

– Miałem drobne problemy, Pierwszy Kantorze.

– „Drobne problemy”? Ciekawy eufemizm na rzucenie rękawicy Bogu.

Zakaszłał, a krew znów trysnęła mu z ust. Musiał kilka razy przełknąć ślinę, aż złapał oddech.

– Ten głupiec próbował skrzywdzić moją siostrę, Pierwszy Kantorze.

Uśmiechnąłem się i tak zastygłem, ponieważ wiedziałem, że wciąż mnie widzi, nawet jeśli krew wypełnia mu usta i gardło. Wiedziałem też, że kurczowo trzymał się życia tak długo, byśmy zapamiętali go właśnie po tych słowach.

Niedługo później książkę wyszedł z ciałem syna na rękach, wciąż owiniętym w długi skórzany płaszcz. Wiedziałem, że między Jillardem i mną jest niewypowiedziana umowa: kiedyś przyjdzie mi za to zapłacić. „Gdybym nie zachęcał Tommera do spełnienia marzeń o zostaniu Wielkim Płaszczem, gdybym go unikał, kpił z niego lub robił te wszystkie rzeczy, które powinienem, widząc, że chłopak nie rozumie niebezpieczeństw związanych z naszym trybem życia...”

– Falcio, Tommer ocalił życie Valiany – powiedziała Aline, gdy pogrążałem się w rozpacz. – Być może ocalił też pozostałych.

– Wcale nie – odparłem szorstko. – Bóg mógłby ją zabić, gdyby chciał. To wszystko dzieje się na pokaz, jedno wielkie przedstawienie. Chce, żeby przyszła do niego na kolanach, żeby mógł zniszczyć Prawo tak, by wszyscy

widzieli.

Usłyszałem przelatującą strzałę i zobaczyłem, że Brasti naciąga na cięciwę kolejną. Tuż obok stał Allister.

– Pudło, i to prawie o cal – powiedział. – Płać.

– Mówiłem ci, że to nowe strzały – poskarżył się Brasti. – Potrzebuje rozgrzewki, żeby przyzwycząić się do ich wagi.

„Oczywiście”, pomyślałem, „bo to właśnie robisz, cały Brasti Goodbow, kiedy świat rozpada się dookoła, udajesz, że wszystko jest w porządku”.

Aline zwróciła moją uwagę.

– Mylisz się, Falcio. Kowal chciał nas wszystkich powiesić, kiedy stanął przed nim Tommer i rzucił wyzwanie Bogu. Wyglądało to tak, jakby ich to wystraszyło. Dlatego właśnie wpadłam na pomysł, by domagać się pojedynku. Może jest jakiś sposób, żeby...

– Dość – krzyknąłem. – Czy nikt z was nie dostrzega powagi sytuacji? Nie ma co udawać, że odwaga i waleczność mają jeszcze jakiegokolwiek znaczenie...

– Co takiego? – przerwał mi Brasti. – Mówisz, że odwaga i waleczność wychodzą z mody? Chociaż w tych świętych karczemnych murach mógłbyś powstrzymać się od bluźnierstw.

Podszedłem do niego z dłonią zaciśniętą w pięść. Kpina Brastiego przebrała miarę. Wciąż czułem krew Tommera między palcami, którymi przytrzymałem jego dłoń. Zamek Aramor leżał w gruzach. Bóg przechadzał się swobodnie między jego potrzaskanymi murami i rozpadającymi się wieżami, a Kowal raz na zawsze udowodnił, że Wielkie Płaszcze nie mogą zaprowadzić sprawiedliwości w Tristii, podobnie jak przywrócić życia zmarłym.

– Falcio... – zaczął Kest.

Zignorowałem go. Brasti stał przede mną z uśmiechem błakającym się w kąciku ust. Miałem serdecznie dość jego żartów i dowcipów. Byłem zmęczony jego pijackimi poradami, namolnym przypominaniem, że mam

„być mężczyzną” w obliczu wszystkiego, co mnie spotyka. Musiałem kogoś uderzyć, a w okolicy nie było nikogo innego, kogo mógłbym ukarać za własne niepowodzenia.

– No dalej – powiedział.

Wyraz jego twarzy się nie zmienił, nadal malował się na niej uśmiech, wciąż mówił beztroskim tonem, jakby rzucał mi wyzwanie. Jednak w jego spojrzeniu dostrzegłem dziwną miękkość i w jednej chwili przejrzałem go na wylot: chciał, żebym go uderzył. Chciał, żebym uwolnił swoją bezużyteczną złość. Spojrzałem na pozostałych. Byli tak samo zmęczeni i załamani jak ja.

„Chce, żebym go uderzył, żebym nie wyładowywał się na innych”.

Rozluźniłem dłonie i odwróciłem się od niego i od całej reszty. Skupiłem wzrok na gołych ścianach budynku, na zielonym mchu, który wdzierał się w szczeliny desek. Ile czasu zajęło mu przedostanie się do miejsc budowanych ludzką ręką, by stopniowo osłabiać je, aż zawała się od najłżejszego podmuchu? Paelis całe życie opracowywał wielką strategię mającą uratować kraj przed upadkiem. Ilu lat potrzebował Kowal, by zrealizować swój plan? Pięciu? Roku?

„Pewnie łatwiej jest nagiąć ludzi do swojej woli, jeśli zginanie kolan leży w ich naturze”.

– Falcio?

Głos Aline zdawał się dobiegać z oddali. Dotyk jej dłoni na moim ramieniu zwrócił moją uwagę i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że ktoś zadał mi pytanie.

– Słucham?

– Spytała, jaki masz plan, Pierwszy Kantorze – odparła Rhyleis z miejsca, gdzie siedziała, strojąc gitarę.

Użyła mojego tytułu, jakby chciała mi przypomnieć o odpowiedzialności, która mu towarzyszyła. Zaczynałem serdecznie nie lubić bardatti.

Słowo „plan” zabrzmiało absurdalnie i złapałem się na tym, że

parsknąłem śmiechem.

Ten dźwięk sprawił, że poczułem się swobodny i przerażony jednocześnie: śmiech w takiej sytuacji zwiastował niechybnie, że zaczynam pogrążyć się w szaleństwie.

Zdarzyło mi się to po śmierci żony. Błąkałem się wówczas po tristianskich drogach: od naszej małej wioski w Pertynii, której nikt nie zadał sobie nawet trudu nazwać, aż po królewską siedzibę, zabijając po drodze każdego, kogo mogłem obarczyć winą za to, co się stało. Przez chwilę zatęskniłem za tymi czasami.

Zmusiłem się, by podnieść wzrok, i zobaczyłem Wielkie Płaszczce, oczekiwali na rozkazy. Allister, Talia, Mateo, Kest, Brasti, Darriana – nawet Quentis Maren. Przez całe życie starali się postępować właściwie i do czego ich to doprowadziło? Spojrzałem na Aline, następczynię tronu, który nie miał obecnie żadnej wartości, na Ethalię, której bracia i siostry zostali wybici niemal do nogi. Valiana wytrzymała moje spojrzenie najdłużej: moja przybrana córka, uwięziona w żelaznej maską, od której nie mogliśmy jej uwolnić. „Zbierz swoich ludzi”, powiedział Kowal, „i znajdźcie sobie inny kraj godny waszej odwagi. Zostaw Tristię tym, którzy jeszcze mogą ją ocalić”.

To była najlepsza rada, jaką słyszałem od bardzo dawna.

– Zgromadźcie wszystkie zapasy, jakie uda wam się znaleźć – powiedziałem. – Rano kupimy, ukradniemy, zrobimy, co tylko się da, by zdobyć wierzchowce, i pojedziemy na południe.

– Nic podobnego, Pierwszy Kantorze – powiedziała stanowczo Aline.

Zignorowałem ją.

– Zaczynajcie się pakować.

Pozostali spojrzeli na mnie zdezorientowani.

– Co jest na południu? – spytał Mateo.

– Statki – odpowiedziałem.

Nic się nie zmieniło od chwili, w której Kowal darował nam życie: wciąż

nie wiedzieliśmy, jak z nim walczyć, a szanse na to, że nigdy się nie dowiemy, były bardzo duże. To nie był pojedynek, który moglibyśmy wygrać, co oznaczało, że pozostała tylko jedna taktyka – ta, której nienawidziłem najbardziej.

Fugidatysta nie jest prawdziwym szermierzem; tym słowem określamy osobę, która znalazła się w pojedynku nie do wygrania. By przeżyć, biega wokół placu pojedynkowego, rozpaczliwie unikając ostrza przeciwnika i błagając go o litość z nadzieją, że ów przeciwnik zakończy farsę, nie chcąc samemu okryć się wstydem. Taka taktyka rzadko okazywała się skuteczna, ale „rzadko” jest lepsze niż „nigdy”. Chciałem dać Aline choć odrobinę z tego, na co zasługiwała w życiu, tak samo jak całej reszcie. Tyle będzie musiało im wystarczyć.

– Opuszczamy Tristię – powiedziałem.

ODWAGA

– Pierwszy Kantorze, czyżbyś już do reszty postradał rozum? – krzyknął Antrim.

Nie znałem go zbyt dobrze; król mianował go Wielkim Płaszczem, gdy przebywałem poza zamkiem, a nasze ścieżki dotychczas się nie spotkały. Wygląda na to, że nabrał niechęci do mnie dość szybko.

– Antrim, daj spokój – powiedziała Talia spokojnym głosem.

Zastanawiałem się, czy zdaje sobie sprawę, jak wiele było wściekłości i pogardy w jej oczach, gdy patrzyła na mnie.

Odwrocił się w jej stronę.

– Ani mi się śni. Zrezygnowałem z domu i poprzedniego życia, by zostać sędzią, po czym przestałem być sędzią, by spróbować wypełnić ostatni rozkaz króla. – Antrim przeniósł na mnie swój wzrok. – I po tym wszystkim, kiedy dotarliśmy do tego punktu, byłem gotów umrzeć za marzenie Paelisa, myśląc, że dzięki temu ten cholerny kraj będzie chociaż odrobinę sprawiedliwszy, nieco lepszy. A teraz mówisz mi, że to wszystko na nic?

– Nawet mniej niż nic – powiedziałem. – Zmarnowałeś swoje życie, Antrim.

Zacisnął szczęki i widziałem, jak z całych sił powstrzymuje się, żeby się na mnie nie rzucić. Chciał mnie pobić prawie tak bardzo, jak ja sam chciałem, żeby to zrobił. Byłem spragniony fizycznego bólu, dorównującego temu, który czułem w środku. To zapewne z tego samego powodu Brasti kpił ze mnie chwilę wcześniej.

– Dość tego – powiedziała Ethalia.

I nagle wszyscy zaczęliśmy mieć trudności z utrzymaniem się na nogach.

– Nie wydaje mi się, Święta Miłosierdzia – powiedziała Talia. Opierała się mocy Zachwytu z dłonią zaciśniętą mocno na włócznie. – Może gdybyś nie była tak cholernie pokojowo nastawiona, byłabyś w stanie pomóc nam zapobiec tej katastrofie.

– Nie rób tego – ostrzegłem ją. Wyglądało na to, że miałem większy problem z utrzymaniem się na nogach niż inni.

Aline krzyknęła:

– Uspokójcie się! Pani Ethalio, i cała reszta! Przestańcie natychmiast!

Ethalia spojrzała na swoje dłonie i nacisk nagle zniknął.

– Wybaczcie mi. Nie byłam w stanie dłużej wytrzymać wściekłości nagromadzonej w tym pomieszczeniu.

– Nie, to ja przepraszam – powiedział Antrim, kłaniając się przed nią. – Twoja krzywda jest ostatnią rzeczą, do jakiej chciałbym się przyczynić, pani.

– Och, na wszystkich pozostałych nam jeszcze bogów, Antrim. – Brasti westchnął teatralnie. – Nie mów mi, że ty też zaczynasz podrywać kobietę Falcia.

– Ona nie jest... – przerwałem, zdając sobie sprawę, że Mateo, Allister i ja zaczęliśmy to mówić w tym samym momencie.

– Co u diabła jest z wami nie tak? – spytał Antrim, co wywołało powszechny, choć krótki, wybuch śmiechu.

Ethalia podeszła do ławki, na której w milczeniu siedziała uwięziona w żelaznej masce Valiana. Wzięła ją za ręce i kolejny raz spróbowała ukoić trawiące ją szaleństwo.

Kiedy już się uspokoiiliśmy, Talia powiedziała:

– No dobrze, porozmawiajmy o tym. Powiedzmy, że uciekniemy: wsiądziemy na statek płynący do Południowych Ziem, do Dieram, czy w jakiegolwiek inne odległe miejsce. Co dalej?

– Żyjemy – powiedziała Krawcowa.

Odezwała się po raz pierwszy, odkąd się pojawiłem, ale jej głos i wygląd

były inne, niż zapamiętałem: zdawała się starsza i mocno przybita, zupełnie jakby... zmaląła. Zastanawiałem się, jak to jest być tak błyskotliwym i wyjątkowym i nagle odkryć, że jednak jest na świecie ktoś lepszy i bardziej niezwykły. Spojrzała na mnie i skrzywiła się.

– Żyjemy dalej i dajemy Kowalowi i jego Bogu czas na porażkę w nadziei, że w przeciwieństwie do jego oczekiwań Tristiańczycy nie dadzą się ponownie tak łatwo zakuć w kajdany.

– Mówisz tak, jakbyś nigdy nie mieszkała w tym kraju – burknęła Darriana. – Oczywiście, że przyjmą nową teokrację z otwartymi ramionami. Daje im to, czego zawsze pragnęli: nowego pana, któremu mogą służyć. –

Popatrzyła na mnie. – I to takiego, który nie będzie komplikował im życia prawami i sprawiedliwością, a już na pewno nie idącą za nimi odpowiedzialnością. On powie im, kiedy mają wstawać, kiedy pracować i kiedy zdechnąć.

Poczułem, jak Aline bierze mnie za rękę.

– Falcio, nie chcę uciekać. Mój ojciec każdą swoją decyzją starał się pokazywać, że możemy być lepsi niż nasza przeszłość. Ale jeśli wierzysz, że to jedyne, co nam pozostało, jeśli straciłeś wiarę, to – spuściła wzrok – nie będę cię prosiła, byś dłużej dla mnie walczył, jeśli ma to spowodować tylko większy rozlew krwi.

Nie miała chyba zamiaru o nic mnie oskarżać ani niczego mi zarzucać, ale w wyobraźni od razu zobaczyłem ciało Tommera leżące w słabo oświetlonym pomieszczeniu.

– Nic więcej nie możemy zrobić – powiedziałem do pozostałych. –

Dlaczego tego nie dostrzegacie? Jedyne wybór, jaki mamy, to żyć lub umrzeć, tylko tyle. Jest nas mniej niż tuzin, oni mają całą armię. Do tego Boże Igły. Mają na swoich usługach pieprzonego Boga. Czego się po mnie spodziewacie?

Ethalia odezwała się pierwsza.

– Falcio? Valiana chyba próbuje nam coś przekazać.

Usiadłem obok niej, podczas gdy inni rozeszli się po pokoju w poszukiwaniu czegoś do pisania. Po kilku minutach trzymała w dłoni umoczone w atramencie pióro i pisała na czymś, co kiedyś było księgą rachunkową karczmarza.

– Nie jestem w stanie tego przeczytać – powiedziałem.

Aline wzięła ode mnie wiadomość; wystarczył jej tylko rzut oka.

– Falcio, wiesz dobrze, co tu jest napisane.

Valiana wyciągnęła rękę i Aline oddała jej książkę. Pisała dalej, zapelniając kartkę koślawymi literami: „Przysięgałam bronić tego kraju. Jestem Obrończynią Królestwa i nie będę uciekać przed nikim, ani człowiekiem, ani Bogiem”.

Pod spodem napisała raz jeszcze to samo, co na początku: „Zdejmijcie maskę”.

– Oszalejesz, gdy tylko ją zdejniemy! – krzyknąłem rozpaczliwie. –

Zaczniesz drapać własne ciało do kości, a kiedy będziemy próbowali cię powstrzymać, pozrywasz sobie mięśnie i powykręcasz stawy, chcąc się uwolnić. Kiedy to ci się nie uda, twój umysł odmówi posłuszeństwa, a po upływie kilku minut podda się i twoje serce.

Oderwała stronę i zaczęła pisać dalej. „Przynajmniej przez te pięć minut będę walczyć”.

– Głupia dziewczucho! – krzyknąłem. – To nic nie da, nie widzisz tego? Jaka jest różnica, czy umrzemy, stojąc czy klęcząc?

Odpowiedziała mi Aline.

– Kiedy pozostała już tylko śmierć, to jedyne, co ma jakiegokolwiek znaczenie.

Rozejrzałem się po pokoju, spojrzałem na pozostałych w oczekiwaniu, że wyjdą na środek i powiedzą Valianie, że taka śmierć będzie tylko głupim marnotrawstwem, ale nikt nie powiedział ani słowa. Jeden po drugim kiwali głowami, jakby ich zgoda miała jakiegokolwiek znaczenie, jakby ich podziw się liczył, jakby szlachetny akt Valiany miał być zapamiętany. Może mieli

rację: może ten ostatni, bezwartościowy akt odwagi to najlepsze zakończenie, na jakie mogliśmy liczyć. Ale byłem już zmęczony walką, a jeszcze bardziej zmęczony przegrywaniem. Nic, co zrobiłem – nic, co ktokolwiek z nas zrobił – nie poprawiło sytuacji w kraju. Brakowało mi odwagi, by sprostać ich oczekiwaniom, ale gdybym się poddał, nie miałbym siły spojrzeć im potem w oczy. W końcu po prostu odwróciłem się i uciekłem.

CHŁOPIEC I KOT

Kiedy szedłem ulicami miasta, za każdym kolejnym zakrętem targały mną coraz bardziej sprzeczne uczucia. Cały czas spodziewałem się, że zostanę zaatakowany przez Boże Igły, Rycerzy Świątyni, samego Boga – cholera, nie zdziwiłbym się, gdyby za rogiem czekała na mnie para zabójców dashini. Pragnąłem miłosiernie szybkiej śmierci, ale moje ciało buntowało się przeciwko takiej uległości: za każdym razem, gdy na zatłoczonej ulicy poczułem na sobie spojrzenie, moja dłoń odruchowo wędrowała w stronę rapiera. Miałem się na baczności przy każdej mijanej przecznicy – serce zaczynało szybciej pompować krew, przygotowując mięśnie do walki. Mojego instynktu nie obchodziło to, że nie miałem ochoty dłużej stąpać po tym świecie.

„Znajdź rzeczną krypę”, powiedziałem sobie, „albo barkę. Ba, w tej sytuacji dobra będzie i w miarę stabilna kłoda. Zabierz stąd wszystkich, byle dalej, a o resztę będziesz się martwić później”.

Pomimo wszystkich wydarzeń na świecie sklepy i stragany były otwarte; tłumy krążyły wokół stołów z mięsem i koszów z owocami, ludzie targowali się zajadle i wiedli codzienne życie, jakby nic się nie zmieniło. Podróżnik z obcego kraju mógłby pomyśleć, że patrzy na zwykłe życie mieszkańców tego miasta; że jest w miejscu, w którym ludzie żyją i umierają jak wszędzie indziej. Ci tutaj może modlili się odrobinę za często, ale poza tym byli zupełnie zwyczajni.

Z pewnością nie uwierzyłyby, że są gotowi oddać swoją wolność, zamienić ją na poddaństwo, nie byłby w stanie pojąć, dlaczego tak łatwo było im na powrót dać się zakuć w kajdany. Chciałem krzyczeć i wściekać

się na moich rodaków, ale brakowało mi sił i chęci, po prostu szedłem dalej, aż w końcu zatrzymałem się, zapatrzony na mostek na zwężeniu kanału, jakieś trzydzieści jardów dalej. Rzeczni przewoźnicy często zatrzymywali się tu, by pohandlować.

Grupa chłopców bawiła się na moście, krzycząc do siebie, śmiejąc się i chichocząc. Uwięzili wielkiego rudego kota, jego dręczenie sprawiało im teraz wiele radości. Zwierzę walczyło zaciekle, drapiąc i sycząc, nawet gdy już udało im się go wepchnąć do worka, który szybko zawiązali. Na moment upuścili go na bruk i ze śmiechem obserwowali, jak torba podskakuje na ziemi niczym opętana. Jednemu z nich nie było jednak do śmiechu. Był mniejszy od pozostałych i zdałem sobie sprawę, że próbuje sięgnąć po torbę, ale któryś z wyrostków go przytrzymał. To tylko jeszcze bardziej bawiło pozostałych.

Przez chwilę myślałem, żeby zainterweniować, ale szybko straciłem na to ochotę. Dzieci torturujące koty – ile razy w tygodniu zdarza się, że jakiś paskudny ulicznik przychodzi na ten most, by utopić kocięta, które znalazł głodujące w jakimś zaułku? Ilu chłopców w innych miastach, nawet w tej chwili, powtarza to samo okrucieństwo, ten dziwny, niemal rytualny akt oddania się pragnieniu patrzenia na istoty, które walczą i umierają. Po co miałbym ich powstrzymywać, skoro działali zgodnie z naturalnym porządkiem tego świata?

Wychodzi na to, że wywoływanie strachu u innych to jedyny sposób na radzenie sobie z własnym lękiem.

W końcu worek przestał się ruszać. Jeden z większych chłopców kopnął go i dał reszcie powód do kilku chwil zabawy, kiedy kot zamknięty w środku raz jeszcze próbował się wydostać, ale w końcu i to im się znudziło. Któryś z nich podniósł worek i wrzucił do kanału. Przez kilka chwil worek unosił się na powierzchni wody, a chłopcy krzyczeli ze złością i obrzucali go kamieniami. W końcu worek poddał się prądom rzeczny i poszedł na dno, kończąc tym samym istnienie kota.

Odwróciłem się, pełen obrzydzenia dla własnej bezczynności. Kawałek po kawałku Kowal niszczył naszą wiarę w sprawiedliwość i udawało mu się to coraz lepiej.

Nagle usłyszałem krzyk, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, jak ten mniejszy chłopiec kopie swojego dręczyciela w kostkę. Któryś z pozostałych uderzył go mocno w twarz, aż malec się zatoczył, ale udało mu się wywinąć z uścisku. Zanim ktokolwiek mógł go powstrzymać, skoczył do kanału.

„Marnujesz swój czas, dzieciaku”. Nawet jeśli uda mu się wyłowić torbę, odbiorą mu ją i wrzucą z powrotem do wody. Jego próba ratunku tylko przedłuży cierpienie zwierzęcia.

Pozostali chłopcy obrzucili go obelgami, za nieposłuszeństwo obiecując mu wymyślne katusze, ale też marnowali czas. Chłopiec nie słyszał ich pod wodą.

Patrzyłem na to wszystko jak zaczarowany: mogłem odnieść wrażenie, że Bóg Kowala stworzył to idealne przedstawienie tylko dla mnie; była to metafora mojego życia, daremności działań Wielkich Płaszcy i wszystkiego, co staraliśmy się zmienić.

Wtem chłopcy na moście przestali krzyczeć. Jeden z nich zobaczył mnie i zawołał do innych, po czym jak jeden mąż wzięli nogi za pas i rozpięzchli się po małych uliczkach. Chwilę zajęło mi zrozumienie ich reakcji: chłopiec nie wynurzał się na powierzchnię. Utonął, a oni nie chcieli zostać złapani na miejscu zdarzenia.

Moje stopy uderzyły o bruk, kiedy biegiem ruszyłem w stronę mostu. Tymczasem odruchowo zrzuciłem z siebie płaszcz, zostawiając go na ulicy, jednocześnie przeczesując wzrokiem tafłę wody w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu tonącego.

Prądy w tym miejscu rzeki nie były zbyt mocne, ale woda była głęboka. Nabrałem powietrza w płuca, przeskoczyłem przez kamienną balustradę, ponieważ zdając sobie sprawę, że zapomniałem zdjąć buty, po czym wpadłem do kanału.

Otoczyła mnie zimna woda – o wiele chłodniejsza, niż się spodziewałem o tej porze roku – wciągało mnie coraz głębiej. Zmusiłem się do otwarcia oczu, a świat zasnęła mi zielono-brązowa mgła, brudna od mułu i odpadów wrzucanych do kanału. Na policzkach czułem drobne ukłucia pożółkłych roślin wodnych wyrastających z dna. Staralem się opaść jeszcze bliżej dna i zastanawiałem się przy tym, czy uda mi się odróżnić brudne ubrania chłopca od mulistej wody kanału.

Poczułem pierwsze ukłucie w płucach, które zaczynały domagać się powietrza, w chwili kiedy przed oczami przepłynął mi porzucony kawałek jedzenia. „Cholera – prąd! Na pewno zniósł go dalej”.

Wypłynąłem na powierzchnię i dałem się nieść nurtowi, jednocześnie wypatrując jakichkolwiek śladów chłopca i przeklinając ograniczoną widoczność pod wodą. Po trzecim powrocie na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza, poczułem zmęczenie. Musiałem odpocząć chociaż przez chwilę przed kolejną próbą. Płynąc z prądem, minąłem masywny kamienny filar, który musiał być jedną z podpór następnego mostu. Na dnie dostrzegłem duże głązy pokryte brązową roślinnością, która przesuwała się wraz z przepływającą wodą.

Nagle zdałem sobie sprawę, że jeden z nich się porusza.

Chłopiec był przy dnie, ledwie kilka stóp przede mną, i wyraźnie się z czymś siłował. Odepchnąłem się mocniej nogami i zanurkowałem, aż dotarłem do dna koryta. Zorientowałem się, że ubranie chłopca musiało się zaczepić o kamienie. „Jak długo był bez powietrza?” Wyciągnąłem rękę, chwyciłem go i zacząłem podnosić, ale wyszarpnął się i wrócił do wydobywania czegoś spod kamienia. Przyjrzałem się bliżej – to nie była nogawka jego spodni. Jego nadgarstek wysunął się z mojego uścisku, gdy rozpoznałem worek: chłopiec dalej próbował uratować kota.

„Umrzesz, głupcze – zostaw to cholerne zwierzę!” Ale widziałem, że nie ma zamiaru odpuścić. Nagle chłopiec odwrócił się do mnie i kiwnął głową, pochwyciłem go wtedy za ramię i z całych sił odepchnąłem się od dna. Płuca

desperacko próbowały zmusić mnie do zaczerpnięcia wody z kanału, ale udało mi się powstrzymać, mimo że zaczynałem już widzieć mroczki przed oczami.

Chwilę później wynurzyliśmy się na powierzchnię. Próbowałem zbyt szybko wziąć oddech, co skończyło się sporym łykiem wody, przez co rozkaszałem się tak mocno, że zacząłem opadać na dno pod ciężarem przemoczonych ubrań i butów. Chłopak zdołał już złapać się kamieni ułożonych na nabrzeżu kanału, wepchnąć na nie torbę i właśnie miał wspiąć się na brzeg, ale zamiast tego wyciągnął rękę i przytrzymał mnie, dopóki nie znalazłem oparcia dla rąk i nóg.

Po chwili, gdy pozbyłem się resztek wody z płuc, w końcu odzyskałem dość sił, by wciągnąć się na brzeg. Powietrze miało orzeźwiający i słodki smak. „Wygląda na to, że nie ma znaczenia, czy dbamy o nasze życie – nasze ciało i tak będzie o nie walczyć”.

– Cholerny głupcze! – krzyknąłem do chłopca, ścierając wodę z oczu. – Życie ci niemiłe?

– Oczywiście, że nie, Falcio – odpowiedział. – To byłoby dość głupie, nie uważasz?

Spojrzałem na niego, po raz pierwszy widząc wyraźnie jego twarz.

To był Tommer.

KAMIEŃ MODLITEWNY

Odskoczyłem do tyłu, zdzierając sobie skórę dłoni o szorstkie kamienie. Sięgnąłem najpierw po rapiery, potem po noże do rzucania, ale cała moja broń była w płaszczu, który porzuciłem kilkaset jardów stąd.

– Chyba trochę przesadzasz, co? – powiedział sobowtór Tommera, próbując jednocześnie rozwiązać torbę.

Czy naprawdę tak łatwo jest postradać zmysły?

– Można by pomyśleć, że ktoś, kto pogrąża się w szaleństwie tak często jak ty, powinien umieć rozpoznać ten stan nieco lepiej – dodał chłopiec. – Ale jeśli chcesz zobaczyć naprawdę oszalałą istotę...

Otworzył torbę, z której natychmiast wyskoczył kot. Zwierzę nastroszyło przesiąknięte wodą futro i zasyczało na mnie z furią, której starczyłoby do przestraszenia niedźwiedzia.

Chłopak z twarzą Tommera uśmiechnął się na ten widok.

– Jest piękny, nie uważasz?

Nie miałem pojęcia, jak mam na to odpowiedzieć, zdecydowałem się więc być szczery.

– To chyba najbrzydszy kot, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Chłopak puścił to mimo uszu i wskazał na ulicę za mną.

– Wczoraj w tamtej alejce był szczeniak. Inni chłopcy rzucali w niego kamieniami dla zabawy, chcąc sprawdzić, któremu uda się jako pierwszemu zranić go do krwi. Nagle między nich wskoczyła ta kotka i jakimś cudem udało jej się nastraszyć ich na tyle, że uciekli.

Wyciągnął rękę, by pogłaskać kota, który natychmiast zamierzył się na niego łapą. Chłopak cofnął dłoń poznaczoną trzema krwawymi szramami, co

tylko wprawiło go w jeszcze lepszy humor.

– Jesteś ranny – powiedziałem. Była to prawdopodobnie najgłupsza moja wypowiedź.

– To zabawne, nie sądzisz? – zapytał chłopiec – Kot, który broni psa? Ale tak właśnie było. Z kotki zmieniała się w lwicę chroniącą swoje młode. –

Spojrzał na most i westchnął. – Wrócili dzisiaj i złapali ją. Mogła wczoraj uciec, ale nie chciała zostawiać szczeniaka.

Kotka, zadowolona z faktu, że pozbawiła nas jakichkolwiek wątpliwości co do tego, kto tu rządzi, podeszła do mnie. Ofuknęła mnie raz jeszcze zdawkowo, po czym umościła mi się na kolanach i zasnęła.

– Ona jest... bardzo odważna – powiedziałem.

Chłopiec wyglądał na zaskoczonego.

– Odważna? Falcio, nic nie zrozumiałeś. Nie broniła swoich młodych, tylko psa. Zupełnie inny gatunek, którego los nie powinien był jej obchodzić. Chroniła coś, czego instynktownie nie musiała chronić.

– Nie rozumiem. Czy tym właśnie nie jest odwaga?

Uniósł ręce w górę.

– To nie ma nic wspólnego ze zwykłą odwagą, Falcio, to bohaterstwo – przerwał, uśmiechając się do siebie ze zdziwieniem. – Kto by pomyślał, że to ostatni brakujący element, który był mi potrzebny?

– Potrzebny do czego?

– Żeby istnieć. No dalej, wiem, że nigdy się nie poznaliśmy... fakt, byłoby to nieco trudne, zważywszy na okoliczności, ale naprawdę mnie nie poznajesz?

W ciągu ostatnich tygodni dźgano mnie, bito i dręczono psychicznie, do tego byłem świadkiem, jak wszystko, na czym mi zależało, jest krok po kroku niszczone. Krótko mówiąc, nie byłem w najlepszej formie. Ale nie byłem głupi.

„Co, jeśli Kowal nas oszukał, jeśli bogowie nie umierają, jeśli ciała, które wisiły przed świątynią, były tylko... ciałami”.

– Jesteś... Bogiem?

Kiedy uśmiechnął się w odpowiedzi, dodałem:

– Którym? Nie jesteś Wojną, ale i zupełnie nie przypominasz mi Monety, Śmierci czy choćby Rzemiosła.

– Nie jestem żadnym z nich – odparł.

Przypomniałem sobie jego historię o kotce chroniącej szczeniaka.

– Jesteś Miłością?

Potrząsnął głową.

– Znów pudło. Zgaduj dalej.

– Żal? – To zabrzmiało dziwnie, już wtedy gdy wypowiadałem to słowo. Zawsze wyobrażałem sobie, że Żal jest znużonym światem starcem.

– Znowu źle. Żal zginął wraz z resztą.

– Ale...

To, co właśnie powiedział, leżało poza moimi zdolnościami rozumowania. Przez chwilę nie byłem w stanie skupić na nim spojrzenia, przeniosłem je więc na kocicę. Stworzenie mrucało przez sen, najnormalniejszy i najbardziej naturalny widok, jaki można sobie wyobrazić.

– Mam halucynacje – zacząłem. – Utonąłem w kanale i wszystko to nie dzieje się naprawdę.

– Chyba zaczynasz przesadnie dramatyzować, nie uważasz? – Chłopiec zaczynał wyglądać na znudzonego. – No dalej, Falcio. Czy Kowalowi udało się aż tak bardzo namącić ci w głowie, że jesteś skłonny uwierzyć, że wiara nie może prowadzić do niczego dobrego?

– Niby jak? – spytałem łamiącym się głosem. – Jak coś dobrego może wypływać z miejsca, w którym widzę tylko okrutnych, małoszkowych ludzi próbujących rządzić światem?

Wzruszył ramionami, jakby moje pytanie nie miało znaczenia.

– Złośliwa, stara kocica staje w obronie przestraszonego szczeniaka. Chłopiec staje twarzą w twarz z Bogiem, by chronić kobietę, o której wie, że nie jest jego siostrą. – Wyciągnął rękę w moją stronę i postukał mnie palcem

w czoło. – Człowiek o złamanym sercu wdaje się w każdą walkę, każdy pojedynek, wciąż próbując ocalić kobietę, która umarła przed laty.

Poczułem łzy spływające po policzkach.

– Tak jest łatwiej, prawda?

– To najtrudniejsza rzecz na świecie, i dlatego tak ważna. A teraz dokończmy grę. Kim jestem?

W końcu zrozumiałem, dlaczego widzę twarz Tommera, ale zajęło mi jeszcze chwilę, zanim byłem w stanie powiedzieć to na głos:

– Jesteś Bogiem Bohaterstwa.

Nie jestem pewien, jak długo siedzieliśmy, powoli schnąc w promieniach słońca, z kotem wiercącym się i mruczącym na moich kolanach. Wtem usłyszałem, że ktoś woła moje imię.

– Tu jesteś! – krzyknął Brasti, podbiegając z moim płaszczem i rapierami w rękach.

Kest był tuż za nim. Kotka najwidoczniej uznała, że jest już wystarczająco sucha i że pięcioro to już tłum, bo zeskoczyła z kolan i ostentacyjnie powolnym krokiem ruszyła w kierunku jednej z przecznic.

Oczy Kesta zwięziły się, gdy podeszli bliżej.

– Co ona tu robi? – zapytał.

Na początku myślałem, że Kest mówi o kotce, ale Brasti przerwał mu, zdziwiony:

– Jaka ona? – Nałożył strzałę na cięciwę, mierząc grotem to we mnie, to w chłopca. – Powiedz mi lepiej, który z nich jest prawdziwy.

– Zaczekajcie – powiedziałem, wstając. – Wszystko wytłumaczę.

Brasti skierował strzałę w moją stronę, chociaż jego wzrok wciąż spoczywał na chłopcu.

– Kest... który z nich to Falcio?

– Fascynujące – skwitował z namysłem Kest.

Chwilę zajęło mi zrozumienie, co widział Brasti. „Święci... kto by

pomyślał? Myślałem, że ma mnie za skończonego dupka”. On sam w końcu też to rozgryzł, choć nie opuścił łuku. W końcu powiedział:

– Eee, no tak. A to ci dopiero kłopotliwa sytuacja.

– Kogo widzisz? – spytał mnie Kest.

Odwróciłem się, by spojrzeć na Boga Bohaterstwa.

– Tommera.

– No tak, to ma sens.

– A ty? – spytałem.

– Valianę. Bez maski.

Brasti schował łuk.

– Dokładnie. Też widzę Valianę.

Podszedłem i uścisnąłem go, wiedząc, że to tylko pogorszy jego zakłopotanie. A przynajmniej miałem taką nadzieję – nie było ostatnio wielu okazji do dręczenia Brastiego.

Odepchnął mnie.

– Możesz przestać obłapiać mnie za każdym razem, kiedy mnie zobaczysz? I czy ktoś mi powie, co tu się u diabła dzieje?

Kest podszedł i spojrział na Boga Bohaterstwa.

– Wygląda na to, że świat miał nie tylko tych bogów, których znaliśmy wcześniej.

– Nie rób sobie nadziei – powiedziałem. – Ten konkretny Bóg był właśnie zajęty ratowaniem tonącego kota.

Brasti spojrział najpierw na Boga, a potem na mnie, by w końcu wybuchnąć śmiechem.

– Czyli dokładnie tym, co robiłbyś na jego miejscu!

Popatrzyłem na Kesta w poszukiwaniu wsparcia, ale on też zaczął się śmiać.

– No dobrze – powiedział Bóg, gestem nakazując nam usiąść. – Przejdźmy do konkretów.

– Jesteś pewien? – spytał Brasti, wciąż chichocząc. – W okolicy mogą

być gołębie potrzebujące twojej pomocy!

– Pamiętasz, że nasz kraj się rozpada? – spytałem.

– No dobrze już, dobrze. W porządku, Boże Tonących Kotów, co my tu właściwie robimy?

Bóg przez chwilę patrzył na Brastiego zirytowanym wzrokiem.

– Wygląda na to, że mój Zachwyt nie jest jeszcze zbyt potężny.

– Próbowałeś go na kociętach? Albo zacznij od czegoś jeszcze mniejszego, może od myszy? – Brasti zwrócił się do mnie. – Już go lubię, jest dokładnie tak mało ważny, jak bym się tego spodziewał po Bogu Bohaterstwa.

– Tu nie chodzi o mnie – odparł z naciskiem Bóg. – W tym wszystkim nigdy nie chodziło o bogów. Kiedy zobaczyłeś mnie szamoczącego się przy dnie kanału, próbowałem wydostać spomiędzy nich to. – Sięgnął po coś do kieszeni i wyciągnął w moją stronę.

Kiedy się pochyliłem, zobaczyłem mały kamień, długi na kilka cali. Plamki rdzawego nalotu psuły jego idealnie szarą powierzchnię.

– Niezwykły kształt – powiedział Kest, wyglądając na autentycznie zainteresowanego.

– To kamień modlitewny – powiedział Bóg.

Brasti pochylił się i przyjrzał mu się uważnie.

– Wygląda raczej jak bryłka rudy żelaza.

– Bo nią jest. – Bóg Bohaterstwa podniósł go wyżej i potarł go w dłoniach. – Kiedy pierwsi Tristianie przybyli tu jako niewolnicy, nie mieli religii ani bogów. Siedzieli nocą w grupkach, robiąc to przez wiele godzin, czasami nawet dni. Brali w dłonie szorstki kawałek rudy i powoli pocierali go, aż stawał się idealnie gładki, modląc się przez cały ten czas. Przekazywali kamień jeden drugiemu, powtarzając w kółko tę samą modlitwę, póki nie nadali mu takiego kształtu. – Wręczył kamień Brastiemu. – Masz. Będziesz go potrzebował.

– Po co? – zapytałem.

– Dowiesz się później.

– O co się modlili? – spytał Kest.

– By bogowie zeszli na ziemię i ich uratowali.

– Nie powiedziałeś przypadkiem, że nie mieli wtedy bogów? – zapytałem.

– Zgadza się. Musicie zrozumieć: pierwsza modlitwa istniała przed pierwszym bogiem.

„Pierwsza modlitwa istniała przed pierwszym bogiem”.

– Nie rozumiem – powiedział Brasti.

Bóg Bohaterstwa podniósł się na nogi.

– Ależ rozumiesz. Zawsze tak było, odpowiedź była w was samych. To dlatego byliście w stanie walczyć, nawet za straconą sprawę. To dlatego król wysłał was w podróż po kraju, byście głosili prawa i wydawali werdykty, powtarzali je w kółko jak...

– Jak modlitwę – wszedł mu w słowo Kest.

Bóg przytaknął.

– Zupełnie jak modlitwę.

– Pierwsza modlitwa istniała przed pierwszym bogiem – powtórzyłem.

Właśnie dlatego Kowal zaplanował wszystkie te wydarzenia w takiej, a nie innej kolejności, dlatego tak ważne było zniszczenie wiary w Prawo.

Spojrzałem na boga z twarzą Tommera i ujrzałem na jego policzku cienką czerwoną strużkę krwi. Nie było jej tam wcześniej.

– Powinienem już iść – powiedział, gdy pojawiła się druga rana, tym razem na czole nad lewym okiem.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał Kest.

– Kowal zorientował się, że istnieję, podobnie jego Bóg. Od tamtej chwili walczymy.

Nagle wzdrygnął się, jakby ktoś uderzył go w twarz. Wyciągnąłem rękę, żeby go złapać, spróbować osłonić przed niewidzialnym wrogiem, ale zrobił krok w tył.

– Falcio, w tej walce nie możesz mnie zastąpić.

– Więc broń się, do cholery! On cię zabija! Dlaczego...?

Chłopiec uśmiechnął się w tym samym momencie, w którym pękła mu warga, a po brodzie popłynęła krew.

– Wszystko przemija, Falcio. Ludzie, zamki, nawet bogowie.

Pomyślałem o chłopcu, którego twarz widziałem, patrząc na boga. Chłopcu, który oddał życie, by Aline mogła cieszyć się swoim o jeden dzień dłużej. Miałem serdecznie dość przegrywania na każdym kroku.

– W takim razie po co walczyć? – spytałem. – Jaki w tym sens?

Bóg Bohaterstwa spojrzał na mnie.

– Ponieważ to nasza modlitwa. – Udał, że staje w pozycji do pojedynku.

– Bo w tych krótkich chwilach, kiedy ktoś taki jak ty, Tommer lub Valiana stawia czoła przeciwnościom losu, wtedy prawie wszystko jest możliwe.

Z tymi słowy najmłodszy Bóg Tristii, który jednocześnie miał żyć najkrócej z wszystkich bogów, wstał i odszedł z werwą chłopca marzącego o wielkich przygodach.

„Bo każdy bohaterski uczynek jest modlitwą...”

Po jego odejściu pierwszy odezwał się Brasti.

– Żeby dobrze zrozumiał, Tommer umarł i pomógł stworzyć nowego Boga, który jest wspaniały, ponieważ nie jest takim sukinsynem jak wszyscy pozostali, a jedyny uszczerbek na jego wspaniałości stanowi fakt, że jest za słaby, by walczyć z największym sukinsynem wśród bogów, co oznacza, że praktycznie wróciliśmy do punktu wyjścia...

– Nie – powiedział Kest. – Wszystko się zmieniło.

– Niby jak?

– Spójrz na twarz Falcia.

Brasti usłuchał Kesta.

– Patrzę i co? Wygląda, jakby był pijany, albo niespełna rozumu... Ach, chodzi ci o to, że właśnie wymyślił nowy plan.

POWRÓT

Całą trójką wróciliśmy do Strzaskanych Łusek, by znaleźć pozostałych. Wszyscy przygotowywali się do wyjazdu, ale gdy tylko wszedłem do środka, Aline dała znak, żeby przestali.

– Coś się zmieniło – stwierdziła, patrząc na mnie.

„Święci, nic dziwnego, że zawsze przegrywam w karty”.

Podszedłem do ławki, na której siedziały Valiana z Ethalią.

– Słyszysz mnie? – spytałem.

Darriana podeszła do nas, mrużąc podejrzliwie oczy, ale ją zignorowałem.

– Słyszysz mnie? – powtórzyłem. – Czy muszę krzyżeć w szczeliny?

Valiana przytaknęła w milczeniu, skryta za obscenicznie rzeźbioną żelazną maską.

Pozostali zgromadzili się wokół nas i czekali na to, co zrobię. Wziąłem z płaszcza jeden z noży i podałem go Kestowi. Tylko on potrafił to zrobić, nie łamiąc przy tym ostrza.

– Czy nadal chcesz, żebym zdjął maskę? – spytałem Valianę. – Wciąż chcesz walczyć?

Skinęła głową, ale dla pewności podałem jej do ręki przybory do pisania. „Nie boję się śmierci”, napisała.

– To nie wystarczy – odparłem.

Darriana zrobiła krok do przodu, z dłonią na rękojeści miecza.

– Wyciągnij to ostrze albo się cofnij, do cholery – powiedziałem.

Nawet nie drgnęła.

„Jestem Obrończynią Królestwa”, napisała Valiana.

– Nie, nie jesteś – przerwałam jej. – Oszalała kobieta uwięziona w masce nie jest w stanie być Obrończynią Królestwa. Co ci w takim razie pozostało? Wciąż jesteś Wielkim Płaszczem czy tylko zepsutą dziewczyną, która uważała się za księżniczkę?

– Falcio... – zaczęła Aline.

Obrzuciłem ją stanowczym wzrokiem. To nie był czas na delikatność.

– Odpowiadaj na pytanie.

„Jestem Wielkim Płaszczem”.

– W takim razie złóż meldunek.

Zawahała się, więc na nią krzyknąłem:

– Jestem pieprzonym Pierwszym Kantorem Wielkich Płaszczy. Kiedy rozkazuję ci meldować, robisz to. Jesteś Wielkim Płaszczem czy nie?

Napisała swoją odpowiedź gwałtownymi pociągnięciami, które z każdym słowem stawały się silniejsze i coraz bardziej stanowcze, aż do momentu, w którym pióro przebiło papier.

„Nazywam się Valiana val Mond. Jestem Odpowiedzią Serca. Póki starczy mi tchu i po śmierci, na zawsze pozostanę Wielkim Płaszczem”.

– Dobrze – powiedziałem. – Trzymaj się tej myśli i sprawdźmy, czy rzeczywiście tak jest.

Skinąłem na Kesta, który stanął za nią. Darriana chwyciła mnie za ramię i warknęła:

– Skurwysynu, w jej żyłach wciąż płynie trucizna! Jeśli zdejmiesz tę maskę, natychmiast pograży się w szaleństwie!

– Tak właśnie będzie – odpowiedziałem jej, odnajdując wzrokiem Ethalię, która już domyśliła się, co zamierzam zrobić. – Ale tym razem będę tuż przy niej.

– Falcio, nie wiem, czy to, co chcesz zrobić, jest możliwe – powiedziała Ethalia. – To nie to samo co w przypadku Kesta. To szaleństwo, a nie...

– Po prostu spróbuj. Proszę.

Ethalia ujęła moją prawą dłoń, a lewą położyła w dłoni Valiany.

Spojrzałem na Kesta, który mimo że zawahał się przez moment, nie spytał, czy jestem pewien tego, co robię. To nie dla nas. Chwilę później wbił nóż w żelazną maskę zakrywającą twarz Valiany. Prowadzone pewną dłonią ostrze rozłupało dwie cienkie metalowe klamry, maska się otworzyła, a pod nią zobaczyłem bladą skórę Valiany i trzepot jej rzęs, gdy otworzyła oczy na otaczający ją świat.

– Och – westchnęła cicho.

Patrzyłem, jak na jej twarzy zaczęły się pokazywać pierwsze oznaki szaleństwa. Czułem też obłęd pełzający w zakamarkach mojego umysłu. Korzystając z resztek władzy nad własnym głosem, powiedziałem:

– Wypowiedz przysięgę.

Ruchy oczu Valiany były nieznaczne, drgania jej policzka ledwo zauważalne, a jednak każdy z nich dotykał mnie głęboko, wciągając w jej szaleństwo.

– Jestem przy tobie – powiedziałem, choć z moich ust nie dobiegł żaden dźwięk.

Jedyne, co mogłem zrobić, to mieć nadzieję, że Ethalii uda się utrzymać więź między nami, kiedy wpadaliśmy w bezdenną studnię wspólnego obłędu. Swędziała mnie skóra twarzy. Moje palce zadrżały; próbowałem puścić Ethalię, by móc się podrapać, usunąć warstwy strachu jedną po drugiej, pozbyć się bólu, zdrapując z siebie to, co go powodowało. To było jedyne wyjście – rozbić naczynie, w którym trzymałem cały swój strach, by mógł ulecieć i zostawić mnie w spokoju.

„Nie!”, pomyślałem, desperacko próbując się skupić. „Zwalcz to! Pokaż jej, jak to powstrzymać”.

Raz mi się to udało, lata temu, po śmierci Aline: zebrałem w sobie całe szaleństwo tego świata i zamknąłem szczelnie, spalając niczym paliwo, którym podsyciałem każdy krok, każdy pojedynek na długiej drodze z Pertynii do Aramoru; ze wsi, w której brutalnie zamordowano mi żonę, do

zamku, gdzie spotkałem dziwnego, szczupłego człowieka, który miał marzenie – i choć było utopią, wciąż warto było o nie walczyć.

– Wypowiedz przysięgę – powtórzyłem, czując przy tym, że Valiana odsuwa się ode mnie, spada szybciej, niż byłem w stanie za nią nadążyć.

„Zostań ze mną”, błagałem ją w myślach. „Jesteś najdzielniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem, uda ci się. Jesteś Wielkim Płaszczem! Wypowiedz przysięgę!”

Przez chwilę czułem, jak zaciska dłoń na mojej, walcząc z szaleństwem, usiłując utrzymać się na powierzchni, ale po chwili zacząłem ją tracić. Spojrzałem na nią i dostrzegłem, że w oczach ma łzy, a jej usta otwierają się do krzyku, który raz zaczęty, miał się nigdy nie skończyć.

„Proszę, nie”. Zamknąłem oczy i sięgnąłem po wspomnienia, nadzieję, wiarę: w nich była siła, której nawet Kowal i jego przeklęty Bóg nie mogli całkowicie wymazać ze świata. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że to za mało, poczułem, że i ja zaczynam pogrążyć się w szaleństwie. W nagłym przypływie tchórzostwa chciałem zerwać kontakt – dla Valiany było już za późno, ale ja wciąż miałem szansę. Czy nie zasługuję na szansę od życia? Co by się stało, gdybyśmy oboje zginęli?

Nagle uświadomiłem sobie, że te myśli nie należą do mnie, tylko są ostatnim desperackim wysiłkiem Valiany, by mnie uratować. Odpowiedziałem jej z całą mocą, jaką jeszcze w sobie miałem. „Nic z tego, do cholery – jeśli upadniesz, pójdę z tobą na samo dno”.

Tym razem sięgnąłem głębiej, czerpiąc z każdej cząstki i z każdej chwili odwagi, którą mieliśmy w sobie ja lub Valiana. Przyciągnąłem je do nas i owinałem wokół nas jak płaszcz, dając opór lodowatemu wichrowi naszego szaleństwa. Bezskutecznie.

Poczułem coś nieuchwytnego, ulotne wspomnienie, i złapałem je z całych sił. Przez krótką chwilę czułem je w dłoniach, po czym znów mi się wymknęło.

– Przysięga! – krzyknąłem bezgłośnie. – Musisz złożyć przysięgę.

Ale nie zrobiła tego, a wokół nas zapanowały nieprzeniknione ciemności. Usłyszałem, jak Ethalia krzyczy:

– Nie! Wracaj, jest zbyt...

Wciąż leciałem w dół, aż uderzyłem w coś twardego: dotarłem na dno. Moim ciałem wstrząsały nieustanne drgawki. Tak kończy się życie głupiego Falcia: zasłużony koniec daremnego trwania.

– Falcio?

Otworzyłem oczy i ujrzałem klęczącego nade mną Brastiego, który potrząsając mną, próbował wrócić mi przytomność.

– Brasti? – powiedziałem. Pozostali też stali wokół mnie. – Czy jestem...?

– Całkiem szalony? Przykro mi, tak. Już od dawna.

– Valiana...

Brasti cofnął się i zobaczyłem, że padła na kolana obok mnie. Jej palce zaciskały się i rozluźniały, jakby próbowała wyrwać podłogę paznokciami. Jej powieki mrugały zbyt szybko, a usta drżały, podczas gdy jej wnętrze trawiło nieubłagane szaleństwo. Z przerażeniem patrzyłem, jak wyciąga rękę i chwytą resztki żelaznej maski, podnosząc je w boleśnie powolnym tempie do twarzy. Jej wargi zaczęły drżeć, w końcu odezwała się:

– Zrodziłam się z niczego i w nic się obróćę.

„Nie udało mi się”, pomyślałem ze smutkiem i przerażeniem. „Wciąż tkwi w szponach szaleństwa”.

Przez krótką chwilę Valiana trzymała maskę przy twarzy, a ja byłem przekonany, że straciliśmy ją na dobre. Po chwili jednak zaczęła unosić ją jeszcze wyżej, aż w końcu zamarła, trzymając ten okropny kawał żelaza wysoko nad głową. Nagle gwałtownym ruchem i z nadludzką siłą cisnęła ją na podłogę, aż musiałem osłonić wzrok przed odłamkami żelaza lecącymi na wszystkie strony. Kiedy otworzyłem oczy, maska leżała rozbita na kawałki.

Szczęki Valiany były mocno zaciśnięte, jakby jej własne ciało starało się ją uciszyć.

– Ale do śmierci będę bronić praw tego kraju. Będę bronić Królewskich Praw – artykułowała powoli słowo po słowie, wyrzucając je raz spomiędzy zaciśniętych zębów, raz szlochając z wysiłkiem. – Będę przemierzać drogi tego kraju i pilnować właściwego egzekwowania praw. – Odwróciła głowę, zbyt mocno i szybko, po czym spojrzała na Aline. – Będę cię chronić tak długo, jak będę mieć siłę w rękach, by walczyć, i krew w żyłach, by krwawić. – Valiana drżała na całym ciele, dłońmi uderzając o podłogę, kiedy próbowała się podnieść na nogi.

„Wystarczy”, pomyślałem, „to musi wystarczyć”.

Ale ona nie zamierzała kończyć. Z szaleństwem adoracji wciąż płonącym w spojrzeniu i rozdzierającym jej duszę, moja córka stanęła wyprostowana.

– Nazywam się. Valiana val Mond. Jestem obrońcą Królestwa Tristii. Jestem Odpowiedzią Serca.

Wiedziałem, że na adorację nie było antidotum, ale wola Valiany była zbyt silna, by poddać się truciznie. Wiedziałem też, że będzie musiała zmagać się z tym szaleństwem przez resztę życia. Wyciągnęła rękę, żeby pomóc mi wstać.

– Jestem Wielkim Płaszczem – powiedziała.

PRZYSIĘGI

– No dobrze, co teraz? – spytała Darriana, pochylając się nade mną, gdy opadłem na ławę przy ścianie.

Ethalia siedziała obok mnie, wyglądała na równie zmęczoną i wyczerpaną.

– Wszystko w porządku? – zapytałem, łapiąc ją za rękę.

Jej skóra była nienaturalnie chłodna.

– Dam sobie radę – powiedziała, uśmiechając się słabo. – To była... ponura wycieczka.

– No tak – powiedziałem, samemu próbując stłumić drżenie rąk. – Powinienem był cię ostrzec, że mój umysł nie jest miłym miejscem do zwiedzania.

– Nie wypada źle w porównaniu z tym wszystkim dookoła – powiedziała, a potem spojrzała w górę.

Darriana wciąż czekała na odpowiedź.

– Czego jeszcze ode mnie chcesz? – westchnąłem. – Ledwo pamiętam, jak się nazywam.

– Nazywasz się Falcio val Mond, jesteś pieprzonym Pierwszym Kantorem Wielkich Płaszczy, a my wciąż mamy przejebane. A teraz łaskawie racz się ogarnąć i powiedzieć nam, co mamy zrobić, żeby zwyciężyć, bo sytuacja wciąż wygląda na beznadziejną.

Zerknąłem na Valianę, stojącą pewnie mimo wewnętrznej walki, jaką wciąż toczyła. Próbowwała uspokajająco skinąć mi głową, chociaż to ja powinienem uspokajać ją. „Więc to zrób, idioto. Powiedz jej”. Zazwyczaj w takich sytuacjach jestem beznadziejny, ale zmusiłem się, by wstać

i podejść do niej. Położyłem dłonie na jej policzkach.

„Jeśli nad światem czuwają jeszcze jacyś bogowie, niech pozwolą mi powiedzieć to bez wybuchnięcia płaczem w obecności pozostałych Wielkich Płaszczy”.

– Cała nadzieja, jakiej będę kiedykolwiek potrzebował, kryje się w nieskończonej odwadze mojej córki – powiedziałem.

Valiana położyła dłonie na moich.

– To brzmiało jak przysięga – powiedziała, uśmiechając się do mnie, choć w jej głosie wciąż kryło się napięcie. – Będę o niej pamiętać. Ja... myślę, że przysięgi kryją w sobie coś więcej niż tylko słowa.

– Wszystkie słowa kryją w sobie coś więcej niż tylko słowa – parsknęła Rhyleis, po czym dodała: – Kiedy wreszcie się tego nauczycie, trattari?

– Nie prowokuj ich – zgaśniła ją Nehra.

Ale w kpinach Rhyleis było dużo prawdy, w końcu to pojąłem. W Baern, kiedy Birgid starała się powalić nas swoim Zachwytem, powiedziałem jej, że Wielkie Płaszcze nie klękają. Właśnie uświadomiłem sobie, że w tamtej chwili całą siłę, by się jej oprzeć, czerpałem ze swojej przysięgi. Zwróciłem się do pozostałych, próbując zdecydować, od kogo zacząć. Wybrałem Antrima.

– Dlaczego zostałeś Wielkim Płaszczem? – spytałem go.

– Co? Czemu pytasz?

– Po prostu odpowiedz.

Spojrzał z zakłopotaniem na pozostałych.

– Pochodzę z centrum Orisonu, gdzie rządził wicehrabia Drance. On... miał swoje zasady dotyczące podatków: każdy, kto nie zapłacił w chwili przyjazdu poborcy, był zmuszany spalić swoje uprawy, dobytek i zwierzęta. Nikt nie mógł im przeszkodzić ani się nimi potem zaopiekować ze strachu przed takim samym losem; nie można było nawet podzielić się z nimi jedzeniem. Mogłeś patrzeć, jak twoi sąsiedzi żywią się korzonkami i jagodami, wiedząc, że umrą z głodu, gdy tylko nadejdzie zima. Albo do

nich dołączyć.

– Nie mogłeś zapłacić podatków? – spytała Talia. – Myślałam, że twoja rodzina jest bogata.

– Zgadza się – przyznał. – Ale próbowałem przekazać jedzenie rodzinie, która była zmuszona zniszczyć swój dom. Przyłapano mnie i miałem być ukarany.

– Jak udało ci się uciec? – spytała.

– Zabiłem rycerza, ukradłem konia i gnałem, jakby mnie gonił sam diabeł – prychnął. – Na wpół żywy dotarłem do Aramoru, w dodatku pościgowi w końcu udało się mnie dopaść. Na moje szczęście interweniowali strażnicy i zaprowadzili mnie do króla. Zapytał, co zrobię, jeśli udzieli mi łaski. Musiałem być chyba jeszcze w szoku, ponieważ powiedziałem: „Zadbam o to, żeby żaden pierdolony wicehrabia już nigdy nie był w stanie zmusić kogoś do spalenia własnego domu”.

– To była twoja przysięga? – zapytał Kest.

Antrim wzruszył lekko ramionami.

– Lubię myśleć, że wyszło mi trochę bardziej elokwentnie, ale tak, w zasadzie tak to właśnie brzmiało – zwrócił się do mnie. – Dlaczego kazałeś mi opowiedzieć tę historię?

– Kiedy to było? – odpowiedziałem pytaniem.

Nie wahał się ani chwili.

– Sześć lat, trzy miesiące i siedem dni temu.

– Złóż przysięgę raz jeszcze – powiedziałem.

– Falcio, król...

– Przysięgnij przed nią. – Wskazałem na Aline.

Spodziewałem się, że będzie się opierał, ale tak się nie stało. Podniósł miecz i zrobił trzy kroki do przodu, stając przed Aline.

– Żyłem w bogactwie i poznałem biedę. Widziałem hojność i ostatni kawałek chleba odbierany dziecku. Prawo mówi, że nikt nie może cierpieć głodu przez kaprys innej osoby. Będę przemierzał drogi tego kraju, póki to

prawo nie stanie się faktem – Chwycił mocniej swój miecz. – Nazywam się Antrim Thomas z hrabstwa Drance i jestem...

Aline przerwała mu, zanim zdążył dokończyć. Objęła dłońmi jego twarz i przyciągnęła do siebie. Myślałem, że zamierza go pocałować w policzek, ale szepnęła mu coś do ucha. Puściła go, a on spojrzął na nią z namysłem.

– Brzmi niczego sobie – powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha.

Talia nie dała się prosić; zajęła miejsce Antrima i stojąc przed Aline z uniesioną włócznią w dłoni, odezwała się czystym głosem.

– W księstwie Pulnam, gdzie się urodziłam, dziesięcioletnia dziewczynka mogła zostać przymusowo poślubiona mężczyźnie w wieku pięćdziesięciu lat. Jej siostry i bracia mogli zostać zabici za próbę ochrony jej przed jej agresywnym mężem. Król powiedział, że żadne dziecko nie może zostać zmuszone do małżeństwa, że każdy ma prawo samemu zdecydować, kogo ma kochać. Będę przemierzała drogi tego kraju, póki to prawo i wszystkie inne nie staną się faktem. Nazywam się Talia Venire i na wszystkich pozostałych bogów i świętych jestem...

Aline tak samo przerwała jej uniesieniem dłoni. Podeszła bliżej do górującej nad nią kobiety i przytuliła ją mocno, co wywołało wyjątkowo niezręczny grymas na twarzy Talii. Zanim ją puściła, Aline szepnęła jej coś do ucha.

– Pasuje – odparła Talia.

Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek wcześniej widziałem taki uśmiech na jej twarzy.

– Wszyscy wiecie, co myślę o Królewskich Prawach – powiedział Brasti, najwyraźniej decydując, że nadeszła jego kolej. Zaczął krążyć po pokoju niczym aktor po scenie, obracając strzałę między palcami, po czym nagle zatrzymał się na chwilę i spojrzął na nas, a strzała znieruchomiła w jego dłoni.

– Moi zdaniem wszystkie są nic niewarte. – Strzała znów zawirowała w rękach Brastiego, a on sam dalej przemierzał pomieszczenie miarowym

krokiem. – Ale w tym kraju jest wielu sukinsynów: w większości są wielcy i brutalni. – Odwrócił się i rzucił strzałę Kestowi. – I ze znanych tylko im powodów chcą mnie zapoznać z klingami swoich mieczy – przerwał, czekając na wybuch śmiechu, który nie nastąpił, wzruszył więc tylko ramionami i ciągnął dalej. – Jeśli te kilka praw wprowadzonych tu i ówdzie będzie w stanie powstrzymać tych ludzi od uprzykrzania nam wszystkim życia, a bycie Wielkim Płaszczem oznacza, że ludzie w tym kraju będą mogli spać spokojniej, to będę przemierzać drogi. Będę Wielkim Płaszczem. Będę istnym archetypem... – Tu przerwał, zerkając ukradkiem na Kesta.

– Co ciekawe, to właściwe słowo – przyznał Kest.

Brasti uśmiechnął się, po czym dokończył:

– Będę archetypem Wielkiego Płaszczka.

Odwrócił się, mierząc słowa i kroki tak, by w odpowiednim momencie dotrzeć do Aline.

– Młoda damo, nazywam się Brasti Goodbow i jestem...

Sięgnęła do niego tak samo jak do pozostałych, ale on w ostatniej chwili uchylił się, delikatnie uszczypnął ją w policzek i pocałował w czoło. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wyszeptał jej coś do ucha.

– Jesteś niepoprawny, Brasti Goodbow – powiedziała, gdy tylko skończył. – I nadal nie mogę uwierzyć, że mój ojciec mianował cię Wielkim Płaszczem. Ale zgadzam się.

Odwrócił się na pięcie.

– Oczywiście, że się zgadzasz, kochanie. Jaki masz wybór? Przecież jestem bezcenny.

Kolejny był Mateo, za nim Allister, a po nich nawet Darriana zdobyła się na tyle pokory, by powtórzyć swoją przysięgę. Kiedy na koniec Aline szeptała jej do ucha, Darriana uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Oho, to mi się podoba.

Kiedy Kest zaczął składać przysięgę, prawie zemdlał z bólu, próbując utrzymać rękojeść miecza, aż Aline wyszeptała:

– Starczy tego. – Delikatnie odsunęła jego rękę. – Od teraz musisz być czymś więcej niż mieczem.

Pochyliła się ku niemu i szeptała mu coś do ucha tak samo jak innym; jego twarz początkowo wyrażała zwątpienie, ale i on w końcu jej przytaknął.

Kiedy skończyłem swoją przysięgę, uśmiechnęła się do mnie, ale nic nie powiedziała.

– Nie masz dla mnie żadnej tajnej wiadomości?

– Należysz do niego, Falcio. Zawsze byłeś i będziesz sercem mojego ojca. – Wzięła moją dłoń i uściśnęła ją. – Cieszę się z tego.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, puściła mnie, podeszła do pozostałych i stanęła przed Quentisem Marenem, który siedział z zabandażowanym ramieniem i przyglądał się całej scenie z wielką uwagą. Inkwizytor zerwał się na równe nogi.

– Przepraszam, pani – powiedział, zaskoczony jej obecnością. – Nie chciałem was urazić. Słyszałem o rytuałach trattari, ale nigdy nie byłem ich świadkiem. Powinienem był wyjść z pokoju.

– I jak ci się podobają nasze „rytuały”, Inkwizytorze?

– Są dziwne – odpowiedział szczerze. – I... wybacz, że to mówię, ale nieco nieskładne w porównaniu z naszymi.

– Miarka się przebrała – powiedział Brasti. – Teraz już na pewno go zabiję.

Aline uśmiechnęła się.

– Chyba istotnie jesteśmy nieco nieskładni. Oto ja, następczyni tronu, bez żadnego autorytetu i krzty władzy.

– A od niedawna i bez tronu, wszak zamek legł w gruzach – dorzucił uczynnie Brasti.

A miałem taką dobrą okazję, żeby go uderzyć. Aline puściła jego komentarz mimo uszu.

– Mam jednak wciąż jeden przywilej. Mam prawo wybierać tych, którzy będą wymierzać prawo w Tristii. – Odczekała sekundę, by się upewnić, że

zrozumiał, co miała na myśli, po czym dodała: – Quentisie Marenie, mianuję cię Wielkim Płaszczem.

Inkwizytor wyglądał na zszokowanego i nieco przerażonego.

– Pani, wybacz, ale jestem cogneri, ja...

– I jak ci się to udaje? – wszedł mu w słowo Mateo.

Quentis pokręcił głową.

– Myślę, że niezbyt dobrze. – Spojrzał na Aline. – Ale oddałem swe życie w ręce bogów, nawet jeśli ci bogowie są martwi. Nie mogę przysiąc na cokolwiek innego.

– Złóż taką przysięgę, jaką chcesz – powiedziała Aline.

Chciał przed nią uklęknąć, ale wzięła go pod ramię i zatrzymała, by stał.

– Wielkie Płaszcze nie klękają.

Był chyba najbardziej zdenerwowanym kandydatem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Głośno przełknął ślinę, po czym powiedział:

– Wierzę, że powinniśmy służyć bogom.

– Mimo iż wiesz, że nie żyją? – spytał Brasti.

– Tak, ale nadal wierzę w siłę wyższą, która istnieje gdzieś poza doczesnym światem naszych pól, lasów czy miast – przerwał na chwilę, po czym dodał stanowczo: – Ale wierzę też, że wiara nie może rodzić się ze strachu i zniewolenia. Tylko wolni możemy odnaleźć prawdziwą wiarę. Nie będę stał z boku, gdy ktokolwiek, człowiek czy bóg, próbuje za pomocą strachu wzbudzić posłuszeństwo.

Aline również do niego przemówiła szeptem, po czym pocałowała go w policzek. Przesunął palcami w miejscu, w którym dotknęły go jej usta, dziwnie poruszony jej prostym gestem. Krawcowa podniosła się w milczeniu, w rękach trzymała płaszcz Hardena. Wreszcie zrozumiałem, że cały ten czas dopasowywała go do wymiarów Inkwizytora.

– I tyle? – zapytał Quentis, naciągając płaszcz, który leżał jak ulał. – Jestem trattari?

Talia podeszła do mężczyzny ubranego w płaszcz jej brata i obrzuciła go

groźnym spojrzeniem. Potem wymierzyła mu kuksańca w ramię – to zdrowe ramię – na tyle mocno, że były Inkwizytor mimo wszystko skrzywił się z bólu.

– Zdecydowanie wolimy określenie „Wielki Płaszcz” – powiedziała.

Mateo uniósł do góry kielich.

– Witamy w szeregach Wielkich Płaszczy, Quentisie. Pieniądze są marne, a szanse na przeżycie jeszcze mniejsze.

– Pamiętaj o jednym – powiedziałem ponuro, tłumiąc radosne okrzyki towarzyszące toastowi Mateo. – Twoja przysięga będzie głównie warta, jeśli padniesz na kolana.

Nie wyglądał na przekonanego, podobnie jak pozostali. Poznali moc nowego Boga i wiedzieli, że nie mają wystarczającej siły woli, by mu się oprzeć.

– Nie wiem nic o magii – powiedziałem. – Tylko tyle, że jej nienawidzę. Jeszcze mniej wiem o wierze. Wiem za to, że ten świat jest pełen chaosu i zepsucia, i tylko Wielkie Płaszcze są w stanie się temu przeciwstawić. Każdy z was złożył swoją przysięgę i być może to tylko słowa, ale gdy słuchałem Antrima, Talię i wszystkich pozostałych, odniosłem wrażenie, że są czymś więcej. Kiedy przysięgamy, związujemy swoje czyny tymi słowami niczym...

– Magią? – podpowiedział Brasti. Chociaż raz kpiąco się nie uśmiechał.

– Magią Wielkich Płaszczy – powiedziała Talia, zaciskając dłoń na włócznie. Prawie świeciła z dumy.

– Słowa – powiedziała Darriana ironicznym tonem. – Głupie słowa i jeszcze głupsze uczynki. Czy tylko to pozostało nam do obrony tego zasranego świata?

– Dlaczego nie? – odpowiedział jej Kest. – To jedynie pozwalało nam zwyciężać w przeszłości.

– Do świtu pozostało kilka godzin – zauważył Mateo. – Powinniśmy się przygotować, jeśli jutro zamierzamy stawić czoła Bogu w ruinach Aramoru.

Miał rację. Już miałem zacząć wydawać rozkazy, kiedy uprzedziła mnie Aline.

– Jeszcze nie skończyłam, Pierwszy Kantorze.

Krawcowa znowu wyszła na środek, trzymając w rękach jeszcze jeden uniform. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego płaszcza: brązowa skóra była przetykana subtelnymi odcieniami czerwieni i miedzi, a na piersi miał wyszytą gołębicę.

– Jesteś tego pewna, złotko? – spytała Krawcowa. – Osobiście uważam to za okropny pomysł.

Następczyni tronu westchnęła ciężko.

– Babciu, czy możesz nie kwestionować moich decyzji? I przestań nazywać mnie złotkiem.

– Nigdy! – Staruszka zaśmiała się i przez chwilę wyglądała jak prawdziwa troskliwa babcia. Był to dziwnie przerażający widok.

Aline wzięła płaszcz i przez chwilę myślałem, że ma zamiar sama go założyć. Ale nie zrobiła tego; podeszła do ciemnego kąta pomieszczenia, gdzie stała Ethalia.

– Ethalio Co Dzieli Wszystkie Smutki, Święta Miłosierdzia. – W pokoju zaległa cisza. – Mianuję cię Wielkim Płaszczem.

Milczenie przerwały głośne okrzyki, większość z nich wyszła z mojego gardła.

– Nie możesz jej o to prosić!

– Dlaczego nie? – spytała Aline, irytująco spokojnie, kontrapunktując moje głośne protesty.

Odwróciłem się, by spojrzeć na Ethalię, która nie zdążyła jeszcze powiedzieć ani słowa.

– Poświęciła całe swoje życie na dawanie pokoju i współczucia. My zajmujemy się jedynie walką, umieraniem i...

– Zgadzam się – powiedziała cicho Ethalia.

– Nie musisz tego robić – powiedziałem jej. – Birgid zmusiła cię do zostania Świętą Miłosierdzia, nie pozwól, żeby i ta decyzja zapadła bez twojej woli.

Ethalia uśmiechnęła się do mnie przelotnie.

– Falcio, myślałam, że znasz mnie już na tyle, żeby wiedzieć, że mnie nie da się do niczego zmusić. Sama zdecydowałam się przyjąć dar Birgid, choć wtedy go nie rozumiałam.

Brzmiało to bardzo rozsądnie i odważnie, w dodatku niesamowicie mnie zirykowało.

– Jesteśmy szermierzami, zdajesz sobie z tego sprawę? Dużo gadamy o prawach i przestrzeganiu sprawiedliwości, ale większość z nas nosi przydomek od broni, którą walczy; miecze, włócznie i strzały, wszystkie służą do zabijania.

Ethalia wzięła płaszcz z rąk Aline.

– Ale każdy z was również nazywa się od tego przedmiotu, bo zapewniają ochronę nie tylko wam, ale i tym, których chronicie. –

Wyciągnęła rękę i położyła ją na mojej piersi. – Może wszyscy możemy pełnić więcej niż jedną funkcję.

Chwyciłem jej dłoń i przytrzymałem przez chwilę.

– Już czas – powiedziała Aline. – Powiedz swoją przysięgę.

Ethalia odwróciła się do niej i powiedziała słowa, które spodziewałem się usłyszeć:

– Jestem przyjacielem w mrocznej godzinie. Jestem wiatrem w palącym słońcu. Jestem dobrowolnie darowaną wodą i dzielonym z miłością winem. Jestem odpoczynkiem po bitwie i uzdrowieniem po ranie... – przerwała na chwilę, po czym stanowczym głosem dokończyła: – Jestem mieczem przeciwko mieczowi, włócznią przeciw włócznie. Jestem głosem odpowiadającym na wołanie o pomoc. Jestem przyjacielem w mrocznej godzinie – powtórzyła. – I jestem Wielkim Płaszczem.

Tym razem usłyszałem, co Aline powiedziała jej na ucho i pomimo

wściekłości musiałem przyznać, że dobrze wybrała. Rozejrzałem się po pokoju, spojrzałem na Kesta i Brastiego, z którymi dawno temu zrobiłem pierwszy krok w tej podróży. Szczęrzyli się jak głupi do sera. Znalazłem powód ich radości na twarzach mężczyzn i kobiet wokół nas: Antrim, Mateo, Allister, Talia, Quentis, Valiana i Ethalia. Wokół mnie stało mniej niż tuzin głupców, chronionych niczym więcej niż skórą i kośćmi oraz kilkoma rozpaczliwymi słowami. Nie można było nie kochać tych ludzi.

Aline podeszła do miejsca, w którym siedziały Nehra i Rhyleis, mamroczące do siebie i od czasu do czasu zapisujące coś w małej książeczce.

Zapewne spisują wszystko, co tu się działo, kombinując, co przekreślić i gdzie podkolorować.

– Pani Nehro – odezwała się Aline. – Czy jesteś w stanie przekazać wiadomość Kowalowi i jego stworzeniu, gdziekolwiek się teraz znajdują?

– Jestem bardatti – odpowiedziała. – Oczywiście, że tak. Jak brzmi wiadomość?

– Racz poinformować Boga, że nadchodzą Wielkie Płaszczce.

PLAN

W przedostatnim rozdziale swojego traktatu o pojedynkach Sen Errera Bottio opisuje siedem wad, które mogą przywieść nawet najlepszego szermierza do śmierci. Pierwsza, jak pisze Bottio, to wiara w pochwały popleczników: „Będą opiewać twoje umiejętności w takich superlatywach, że słuchając ich, możesz zapomnieć o własnych słabościach. Twój przeciwnik na pewno będzie o nich pamiętał”.

Mądra rada, chociaż w moim przypadku naprawdę nie była konieczna.

– Gratulacje – wykrzyknął Brasti, siedząc naprzeciw mnie na krześle w zaskakująco przestronnej sypialni na drugim piętrze, gdzie miałem nocować. – Poświęciłeś całe życie, by wymyślić najgorszy plan, jaki kiedykolwiek stworzono. W końcu ci się udało.

– Masz lepszy? – odparowałem, bezskutecznie starając się ignorować ból, który zaczynał pulsować coraz mocniej tuż za moimi oczami. Brasti nie był pierwszym, który wyraził podobną opinię.

Wyrzucił ręce do góry w bezsilnym geście.

– Może po prostu skonstruujesz wielką balistę i wystrzelisz nas jednego po drugim w kierunku Boga, krzycząc: „Niesprawiedliwość! Niesprawiedliwość!” Taki plan byłby co najmniej tak samo dobry jak twój.

Odwrociłem się do Kesta, który opierał się o ścianę w głębi pokoju. Do tej pory słuchał nas w ciszy, ale w końcu zdecydował się odezwać:

– Twoja taktyka jest... pomysłowa, ale oparta na domysłach dotyczących magii i wiary, których nikt z nas nie rozumie. Jeśli pomyliłeś się chociaż o włos, wszyscy będziemy martwi, zanim Brasti zdąży powiedzieć „A nie mówiłem?”.

– Co, nawiasem mówiąc, byłoby jedyną pozytywną częścią tego planu – powiedział Brasti, po czym wskazał na Aline. – Po tym wszystkim, co przeszliśmy, spodziewasz się, że ona po prostu...

– Walczymy z Bogiem. Musimy mieć trochę wiary w siebie nawzajem – przerwała mu.

Jak się pewnie domyślacie, Bottio w swoim traktacie nie przywiązywał większej wagi do wiary. „Kolejna zastawiana przez najbliższych pułapka, to ich próby przekonania was, że zwycięstwo jest nieuniknione; że bogowie wręcz domagają się waszego sukcesu. Pamiętajcie, że takie słowa zostały bez wątpienia przekazane z równym entuzjazmem waszemu poprzedniemu przeciwnikowi, na kilka minut przed tym, jak go zabiliście”. Sugerowane przez Bottio rozwiązanie tego problemu polegało na szeptaniu pod nosem: „na pewno umrę, na pewno umrę”, gdy przyjaciele i rodzina kibicują naszemu nieuchronnemu zwycięstwu.

– Nie wiem, jak to się stało, że ktoś o takim ptasim mózdzku jak ty zdołał przeżyć tak długo – powiedziała Krawcowa, kiedy kończyła naprawiać mój płaszcz. – Ale tym razem na pewno nie uda się wam wywinąć. – Rzuciła płaszcz w moją stronę. – Postaraj się za bardzo go nie zakrwawić. Nie chciałabym go czyścić przed przekazaniem kolejnemu idiocie.

– Myślisz, że jeśli przegram, to będzie jeszcze komu go nosić?

Wstała ze swojego stołka i ruszyła do drzwi.

– W tym właśnie tkwi piękno wiary. Zawsze znajdzie się głupiec, który zechce dorównać wyssanym z palca opowieściom o legendarnych wojownikach z przeszłości. – Zatrzymała się przy wyjściu i przez chwilę patrzyła na mnie, po czym obdarzyła mnie uśmiechem, który miał chyba w jej wydaniu wyrażać współczucie. – Niech ta myśl pociesza cię, gdy Bóg będzie rozrywał ci gardło gołymi rękami.

Naprawdę nie sądzę, że Bottio miał na myśli Krawcową, gdy pisał o ostrożnym podejściu sojuszników do wiary w zwycięstwo. Po jej wyjściu

zdjąłem buty i położyłem się na łóżku, które było przeraźliwie miękkie i podejrzenie zalatywało pleśnią. Zamknąłem oczy, uspokojony pewnością, że nie będę musiał się martwić tą poradą Bottia, przez co prawie przespałem ciche pukanie do drzwi.

– Może po prostu zabijcie mnie tu i teraz, i wszyscy będziemy mieli święty spokój? – powiedziałem, otwierając drzwi.

Zaskoczył mnie widok Rhyleis, muzykantki bardatti, opartej o framugę drzwi. Jej jasne włosy migotały w słabym świetle świecy, którą trzymała w dłoni.

– Da się zrobić – powiedziała, uśmiechając się kącikiem ust. – Ale dzisiejszej nocy szukam tylko małej śmierci.

„To był chyba najbardziej niebezpieczny uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałem”.

– Co ty tu robisz?

Wyprostowała się.

– Kowal wysłał jedną ze swoich Igiełek z odpowiedzią na wiadomość Nehry. Bóg stawia nam czoła w zamku, kiedy pierwsze promienie słońca padną na jego zniszczone mury.

– Wiem – odrzekłem. – Nehra powiedziała mi o tym godzinę temu. Byłaś tam.

– Och, doprawdy? – odparła, nie próbując nawet udawać zaskoczonej. – W takim razie przypuszczam, że przyszedł tu tylko po to, żeby się z tobą przespać.

– Ja... – Był to jeden z rzadkich przypadków, kiedy żałowałem, że nie mam giętkiego języka Brastiego. – Bardzo mi... eee... miło?

– Oczywiście, że tak – powiedziała bardatti, trącając mnie palcem w czubek nosa. – W końcu, gdybyś jeszcze nie zauważył, jestem całkiem niczego sobie.

Tak było. Są w życiu takie chwile, gdy bardzo chcesz poczuć coś innego niż rozpacz, a to była właśnie jedna z nich. Niemal potrafiłem sobie

wyobrazić, jak Errera Bottio krzyczy mi do ucha: „Jest kilka dobrych powodów, by przegrać pojedynek, ale i przynajmniej jeden spektakularnie zły”. Wyglądało na to, że Rhyleis była zachwycona moją męczarnią.

– Wiesz, krążą plotki, że miłość fizyczna przed pojedynkiem uspokaja dłonie i nerwy.

Parsknąłem nerwowym śmiechem.

– Przeczytałem niemal wszystkie książki na temat szermierki, jakie kiedykolwiek napisano, i w ani jednej nie znalazłem tej konkretnej porady.

– My, bardatti, jesteśmy strażnikami tajemnic – powiedziała i stanęła na palcach, żeby mnie pocałować. – Wiemy rzeczy, które inni mogą sobie tylko wyobrazić.

– Wygląda na to, że są też takie, które robicie, a dla innych byłyby niewyobrażalne – powiedziała Ethalia z za jej pleców.

Żadne z nas nie słyszało, jak wchodziła po schodach. Chociaż może powinienem mówić tylko za siebie.

– Wybacz mi, *Sancti* – powiedziała Rhyleis bez śladu wstydu. – Jestem okropnie zakłopotana moim bezmyślnym zachowaniem. Musisz uważać mnie za prawdziwie godną potępienia.

Ethalia podeszła o krok i stanęła w świetle świecy.

– Rhyleis, nie jestem pewna, czy kpisz sobie ze mnie, bo jestem zbyt pruderyjna, czy dlatego, że byłam kiedyś ładacznicą.

– Czy jedno musi wykluczać drugie? – odparła muzykantka. – A może po prostu nie rozumiem kobiety, która porzuca uroczego szczeniaka na poboczu drogi, po czym jest urażona, gdy ktoś inny chce się nim zaopiekować.

Kiedy tak zabijały się wzrokiem, przypomniałem sobie opowieści Brastiego o czasach, gdy walczyły o niego dwie piękne kobiety. Zawsze zakładaliśmy, że zmyślał... „a teraz byłem całkowicie pewny, że tak właśnie było. Niech go diabli”.

– Daj spokój, Rhyleis – rzuciłem z irytacją.

Rhyleis spojrzała na mnie, w oczach miała niewinne zakłopotanie.

– Kochanie, jak możesz? – Udało jej się utrzymać powagę jeszcze przez chwilę, po czym wybuchnęła śmiechem. – Nie myśl sobie, że wszystko wysłałam z palca, Pierwszy Kantorze. Gwarantuję ci, że poważnie rozważyłabym spędzenie z tobą nocy... w innych okolicznościach.

Ethalia zmrużyła podejrzliwie oczy.

– To była gra. Upewniłaś się, że widzę, jak zbliżasz się do pokoju Falcia.

Bardatti delikatnie dygnęła przed nią.

– A teraz, skoro wypełniłam swoje zadanie... – Podniosła wzrok i puściła do mnie oko. – Nie będę wam dłużej przeszkadzać w niewątpliwie czysto duchowych dywagacjach. – Ruszyła w dół po schodach, zostawiając nas samych.

– A ludzie mówią, że to moje plany są głupie – powiedziałem.

– Może powinno nam to schlebiać – powiedziała Ethalia. – Mówią, że bardatti ingerują w sprawy sercowe tylko wtedy, kiedy przewidują miłość na wieki.

– Naprawdę? Ciekawe, kto konkretnie tak mówi.

– Pewnie oni sami – uśmiechnęła się.

Wygląda na to, że Rhyleis chciała nam obojgu podarować odrobinę radości w życiu, zanim wszystko rozpadnie się w diabyły.

– Przykro mi, że zakłóciła twoją medytację – powiedziałem.

Ethalia precyzyjnie przycisnęła się obok mnie, wchodząc do środka.

– Szczerze mówiąc, to... myślałam, żeby do ciebie przyjść.

– Naprawdę?

Potem nastąpił niewyobrażalnie dziwny ciąg ukradkowych spojrzeń i na w pół zaczętych słów, aż w końcu udało nam się ustalić, że Ethalia nie miała na myśli, że chciała się ze mną przespać, a ja nie zamierzałem sugerować, że w przeciwnym razie nie chciałbym się z nią widzieć.

– Wygląda na to, że jesteśmy w tym zupełnie beznadziejni – powiedziała w końcu ze śmiechem.

– Bycie beznadziejnym to jedna z niewielu umiejętności, które ostatnio opanowałem do perfekcji.

Ethalia wzięła moją dłoń w swoje i spoważniała.

– Falcio, co do twojego planu... na końcu wszystko będzie zależało od nas.

– Wiem.

Spojrzała na mnie.

– Mimo całej ich odwagi, pozostali nie wierzą, że mamy szansę na zwycięstwo. Boją się, że zwykli ludzie nie będą w stanie oprzeć się woli Boga.

– O tym też wiem.

Staliśmy tak dłuższą chwilę, patrząc na siebie. O Ethalii można dowiedzieć się wszystkiego z jej oczu i dlatego nagle poczułem, że ledwo mogę oddychać. Nie widziałem w nich strachu, zwątpienia czy nawet współczucia. To była czysta determinacja.

– Zatem pokażmy im, jak niebezpieczni możemy być my dwoje.

UPADAJĄCA WIEŻA

Bottio rozpoczyna rozdział o śmierci doświadczonych szermierzy takimi słowami: „Rankiem przed twoim ostatnim pojedynkiem przeciwnik, niczym genialny i doświadczony generał, zajmie bardziej dogodny teren”.

Pamiętam, że czytając te słowa po raz pierwszy, zastanawiałem się, czy nie pomyliłem ksiązek. Wszyscy wiedzą, że plac do pojedynków jest płaski – nie ma „terenu”, który byłby bardziej korzystny dla jednej ze stron, to tylko klepisko. Ale w kolejnym akapicie Bottio tłumaczy swoje słowa. „Nie patrz na ziemię, biedny głupcze, ale na otaczającą cię przestrzeń. Czy na sali są damy używające perfum na które jesteś uczulony? Słuchaj. Czy muzycy grają rzewną pieśń, która sprawia, że robisz się smutny i przestraszony? Czy wróg niczym pionki na planszy ustawił w twoim polu widzenia przedmioty, które sprawią, że poczujesz się jak w pułapce, jak lis w klatce, wokół której krążą psy?”

Mówcie, co chcecie o jego stylu pisania, ale Bottio naprawdę rozumiał pojedynki.

Kiedy podchodziliśmy do zgliszcz zamku Aramor, stało się jasne, że Kowal też je rozumiał.

Gęste chmury szarego pyłu wciąż przewalały się bezładnie po ruinach, zakrywając pielgrzymów, którzy kaszląc i dławiąc się, na kolanach sławili pieśnią tego samego Boga, którego rozkaz powoli ich zabijał.

Nad rumowiskiem wzniesiono masywną drewnianą platformę. Przed promieniami wschodzącego słońca chroniła jedynie samotna wieża, stojąca niepewnie na resztkach muru, wyglądająca jak zmęczony starzec oparty na lasce. Zastanawiałem się, czy nasz przeciwnik zostawił ją tam, by w razie

kaprysu móc zwalić ją nam po wszystkim na głowy.

Rycerze w białych tabardach i Inkwizytorzy w szarych płaszczach stali z tyłu, a na środku platformy, pomiędzy dziesiątkami wykwintnie ubranych dostojników, stał pusty tron Aramoru.

– Mieli szczęście, że tron przetrwał zniszczenie zamku – zauważył Brasti. – W przeciwnym razie musieliby znaleźć inny rekwizyt.

– Dlaczego miałyby to ich w ogóle obchodzić? – spytała idąca za mną Darriana.

– Bo to jedno wielkie przedstawienie – odpowiedziała jej Valiana. – Kowal chce wykorzystać tę sytuację do stworzenia pozorów praworządności.

– Przestańcie się martwić o to cholerne krzesło – powiedziałem.

Całą uwagę skupiłem na grupie możnych, którzy wyglądaliby zupełnie normalnie, gdyby nie dzika radość bijąca im z oczu i broń u boku. Mężowie i żony stali razem, zjednoczeni pragnieniem zdobycia choć odrobiny władzy za cenę swoich dusz. Dzieci obojga płci ledwie odrośnięte od ziemi wpatrywały się z diabelskimi uśmiechami w tłumy pielgrzymów, spragnione zemsty za każdy drobiazg, którym według nich świat im zawinił. W Tommerze widziałem to, co najlepsze w młodzieńczym entuzjazmie; zebrani tutaj uosabiali to, co najgorsze.

Miałem ochotę wykrzyknąć im prosto w twarz: „Jak dużą część waszej duszy oddaliście za tę odrobinę mocy, możni panowie i damy? Jak myślicie, jak długo przyjdzie wam się nią cieszyć?”.

– Przynajmniej nie ma wśród nich żadnego z książąt – zauważył Kest.

– Pewnie chowają się w swoich zameczkach – dorzucił Brasti.

„Jillard na pewno nie będzie biernie czekał”, pomyślałem. „Jeśli jeszcze nie połączył sił z Kowalem, to prawdopodobnie tylko dlatego, że przewidział dla mnie gorszy los”.

Brasti szturchnął mnie ramieniem.

– Falcio, jeszcze nie jest za późno na wywiezienie Aline z kraju.

Spojrzałem na towarzyszy: kilkoro Wielkich Płaszczy i czternastoletnia dziedziczka tronu przybyli, by rzucić Bogu wyzwanie na pojedynek. Byłem pewien, że Brasti wiedział, jak bardzo miałem ochotę skorzystać z jego rady. „Może i bym uciekł, gdybym był pewny, że zdołamy znaleźć miejsce, gdzie ukryjemy się przed Bogiem”.

– Dosyć uciekania – powiedziała Aline. – Skończymy to tu i teraz.

Co można powiedzieć komuś, kto mimo trzęsących się ze strachu rąk, stoi nieruchomo, czekając z odwagą na śmierć? Gdyby był tu jej ojciec, z pewnością by w tej chwili zażartował, więc i ja bezskutecznie próbowałem wymyślić coś zabawnego. Patrząc na ruiny zamku przed nami, pomyślałem: „Wasza Wysokość, niektóre rzeczy po prostu nie są zabawne”. Odkąd mój król umarł, walczyłem i krwawiłem, próbując przywołać przeszłość, która prawdopodobnie istniała tylko w mojej wyobraźni. Inni mieli własne wyobrażenie tego, jak powinien wyglądać złoty wiek naszej ojczyzny: koszmar, którego ten kraj jeszcze nie widział.

– Nadchodzą – ostrzegł Kest.

– Ostatnia szansa – powiedział Brasti. – Jeśli ruszymy teraz, będziemy mogli...

Arcykapłan Obladias wynurzył się z szarego pyłu w olśniewających szatach w stu odcieniach bieli. Kowal szedł tuż za nim, ubrany w prosty skórzany fartuch i szeroki pas z narzędziami. Jego zwyczajny wygląd był maską skrywającą najbardziej pokrętny i niebezpieczny umysł, jaki kiedykolwiek znał świat. Nie potrzebowałem na to więcej dowodów, niż tylko idącego u jego boku jedyne prawdziwego Boga Tristii.

– Za późno na ucieczkę – uciałem krótko.

W przeciwieństwie do arcykapłana Bóg nie nosił ozdobnych szat, ale w odróżnieniu od Kowala nie udawał też, że jest prostym rzemieślnikiem. Nadal miał twarz Fosta. Na jego piersi widniał ten sam stalowo-złoty napierśnik z odsłoniętymi umięśnionymi ramionami, na których miał grube, złote naramienniki. Nogi chroniły mu nabiodrki i nagolenice. Do tego lśnił,

jak gdyby odbijało się od niego całe światło słoneczne.

W jego obecności głosy tysięcy pielgrzymów w pełnym zachwyty śpiewie wybrzmiały unisono – nawet ja miałem ochotę go wychwalać. Jak mogłem myśleć, że uda mi się stanąć z nim do walki? Nie byłem Krawcową ani Kowalem; nie potrafiłem zmieniać biegu wydarzeń wedle swego upodobania. Byłem zwykłym sędzią, którego zadaniem było egzekwować prawo, to wszystko.

„A zatem zrób to”, zgańłem się w myśli. „Przestań rozmyślać o magii, bogach i losach tego świata”. Zerknąłem na Ethalię. Z zamkniętymi oczami próbowała znaleźć siłę, by sprostać dziedzictwu świętej Birgid.

„Zaczął się od morderstwa, niech więc zakończy się procesem”.

– Nie powinieneś był zabijać Birgid Co Wyplakuje Rzeki, sukinsynu – mruknąłem głośno pod nosem. Spojrzałem na pozostałych i zobaczyłem na ich twarzach Boży Zachwyt.

– Pamiętajcie, jest jak każdy inny przestępca, którego musieliśmy aresztować. Z tą małą różnicą, że jest niewyobrażalnie potężny i przesiąknięty złem – powiedziałem głośno. – Pieprzyć go i jego Zachwyt.

Parsknąłem rozbawiony własnymi słowami i dostrzegłem, że niektórzy wyglądali jakby bardzo chcieli uwierzyć, że naprawdę jestem tak odważny, jak próbowałem wyglądać.

– Zaczyna się – powiedziała Aline, gdy Obladiaz stanął na przedzie drewnianego podestu.

– Nadszedł czas, fałszywa królowo – zagrzemiał. Naprawdę potrafił grać na emocjach tłumu, który wpatrywał się w niego z zachwytem. – Nadszedł czas, byś wyznała swe grzechy.

Aline poprowadziła nas na podwyższenie, po czym zatrzymała gestem dłoni, gdy dotarliśmy do jego stóp. Odwróciła się do mnie i wzięła mnie za rękę.

– Pamiętajasz swoje rozkazy, Pierwszy Kantorze? – zapytała bardzo poważnie.

– Wbić sztych miecza w złego człowieka – odpowiedziałem.

– Czy mój ojciec kiedykolwiek mówił ci, że wykazujesz się wyraźnym brakiem szacunku dla monarchii?

– Tylko dwa razy dziennie, złotko.

Puściła mnie.

– Mam zaraz umrzeć za sprawę, którą zacząłeś razem z nim. Mógłbyś chociaż przestać nazywać mnie złotkiem.

– Co tylko sobie życzysz, pyszczku.

Pokręciła głową w milczeniu i weszła na podwyższenie.

– Przybywam na wezwanie – powiedziała do Obladiasa i zebranych pielgrzymów – by stawić czoła tym, którzy czyhają na przyszłość tego narodu. Nazywam się Aline z Tristii i staję przed wami bez...

– *Na kolana.* – Bóg przerwał jej obcesowo.

Bez oporu, jak gdyby tysiące łańcuchów nagle zacisnęło się wokół jej stóp, Aline padła na kolana.

– Do diabła.

Usłyszałem za sobą szept Mateo.

– Zabiłeś ją – syknęła Krawcowa wprost do mojego ucha. – Wysłałeś ją na pewną śmierć, a teraz jest już...

– Zamknij się – powiedziałem, powstrzymując przemożną chęć wbiegnięcia na podest i wydostania jej stamtąd. – Teraz się okaże.

– Niby co? – spytała Krawcowa. – Nie wytrzymała ani sekundy. Jego Zachwyt jest zbyt silny.

Spojrzałem na czternastoletnią dziewczynę, w rękach której złożyłem losy świata.

– Teraz się okaże, czy Aline zasługuje, by być naszą królową.

Pierwsza część naszego planu opierała się na przeczuciu. Każde bóstwo zostało stworzone z jednej podstawowej ludzkiej potrzeby: uczucia Miłości, chciwości Monet, zapędów do Wojny. Arcykapłan chciał, byśmy uwierzyli, że jego Bóg jest jedyny, prawdziwy i stoi ponad wszystkimi innymi. Miałem

inną teorię. Kowal stworzył Boga z dostępnego materiału. Użył morderstwa i terroru, by zasiać panikę wśród ludu, ponieważ było to najłatwiejsze do ukształtowania tworzywo. Ludzie w Tristii zawsze się czegoś bali, Kowal dał więc światu Boga Strachu.

– Pamiętajcie o swoich przysięgach – powiedziałem, starając się spojrzeć w oczy każdemu z nich chociaż przez chwilę. – Pamiętajcie te słowa, kiedy nadejdzie pora.

– Zaraz będziemy mieli większe zmartwienie niż niechybna śmierć z ręki Boga – zauważył Brasti, a kiedy przejęta jego słowami Talia spojrzała na niego, wyjaśnił: – Wygląda na to, że ten przeklęty mnich ma zamiar wygłosić przemówienie.

Obladias wyprostował się i rozłożył szeroko ramiona, a luźne rękawy jego szat zaczęły majestatycznie łopotać na wietrze. „Założę się, że miał to przećwiczone”.

– Mieszkańcy Tristii – zaczął, jakby słuchał go cały kraj, a nie tylko garstka religijnych fanatyków zgromadzonych przed zrujnowanym zamkiem. „Zresztą może rzeczywiście słyhać go poza Aramore”, pomyślałem; jego głos odbijał się podejrzenie czystym echem w przestrzeni pełnej kurzu i gruzu.

– Sprytnie sobie to wymyślili – zauważył Kest.

– Dziwne, Kowal wygląda na znudzonego – zauważył Quentis.

– Jego zadanie jest wykonane – powiedziała Krawcowa, patrząc na wielkiego mężczyznę. – Wszystkie pionki są na miejscu i to dokładnie tak, jak sobie zamierzył. Nie dba o całą tę pompę i ceremoniał; dla niego liczy się tylko praca przy ich przygotowaniu.

Inlaudati: tak Kowal nazwał ludzi podobnych jemu czy Krawcovej. Mam szczerą nadzieję, że jest ich na świecie tylko dwoje.

– Mieszkańcy Tristii – powtórzył Obladias. – Zamiarem Świątyni nie jest wami rządzić, tylko was wyzwolić.

– Uff, co za ulga. Czy to znaczy, że możemy wracać do domu? – spytał

beztroskim głosem Brasti.

– Cisza.

Byłem ciekawy, jaki Obladias ma w tym wszystkim cel. Stanął przed Aline i nachylił się nad nią.

– Ten naród zbyt długo żył pod rządami tyranów. – Uklęknął i wziął do ręki pukiel jej włosów.

Moje dłonie zadrżały, z całych sił musiałem powstrzymać się, by nie dobyć rapiera i nie przeciągnąć ostrzem po gardle tego drania. „Zaczekaj”, powiedziałem sobie. „Miej wiarę chociaż raz w swoim cholernym życiu”.

– To przecież jeszcze dziecko z dziecięcą ambicją i arogancją, a chce mówić wam, co macie robić. – Pozwolił włosom na powrót opaść na twarz Aline. – A dlaczego? Ponieważ tak stanowi prawo. Słowa zapisane niegdyś w opasłej księdze nakazują, by pozwolić głupiej dziewczce panować nad wszystkimi w kraju.

– Czy mi się wydaje, czy kapłani naprawdę nie lubią kobiet? – spytał Brasti.

Obladias zrobił kilka szybkich kroków w naszą stronę.

– Tam! – krzyknął, wskazując na nas wyciągniętą ręką – Widzicie ich? Oto, co przyniosła nam herezja tak zwanego prawa. Święci, trattari, bardatti, dashini i wszelkie inne zwyrodniałe stworzenia stawiają się ponad wami, żyjącymi sprawiedliwie i zgodnie z naturą.

„W końcu to powiedział: zgodnie z naturą”.

– Widzicie, jak ci heretycy patrzą na was z góry? Uważają was za niższe istoty przez to, jak żyjecie, pracujecie i robicie to, co podpowiada wam instynkt. Ci... sędziowie, chcą wam mówić, jakich praw macie przestrzegać. A przecież jest tylko jedno prawo: żyj zgodnie z naturą!

„Znów to zdanie”.

– Ci, którzy żyją w pokorze, żyją w szczęściu – krzyknął wysokim tonem. – Ci, którzy żyją w pokorze, żyją przyzwoicie. Przestrzegają jedyne słusznego prawa. – Obladias odwrócił się, by spojrzeć na

stworzonego przez Kowala Boga. – Dzisiaj przed wami staje to jedyne prawo obleczone w ciało. Dzisiaj uwalniamy was z kajdan fałszywych praw stworzonych przez zdrajców. Dzisiaj dajemy wam prawo do życia zgodnie z naturą. Oddajemy wam radość z bycia pełnymi pokory. Oddajemy wam najcenniejsze prawo ze wszystkich.

– *Na kolana* – powiedział Bóg.

Wszyscy zgromadzeni natychmiast uklękli. Włącznie z nami.

„To by było na tyle, jeśli chodzi o stawianie oporu”.

Obladiaz, zupełnie niewzruszony rozkazem Boga, wrócił do Aline i chwycił ją za podbródek.

– Teraz, dziewczynko, możesz się wyspowiadać.

Kiedy się nie odezwała, spojrział na tłum, z wyrazem udawanego zdumienia na twarzy.

– Żadnych szumnych deklaracji czy proklamacji praw? – Wskazał na pusty tron. – Może wstaniesz i obejmiesz swoją ojcowiznę, o, potężna królowo Tristii? – Obladiaz potarł podbródek w parodii namysłu, po czym postukał się w bok głowy. – Ach tak, rozumiem. Może nie jesteś w stanie tego zrobić, bo nie potrzebujemy w naszym kraju królowych? A może dlatego, że jesteś tylko rozpieszczonym bachorem, który już dawno powinien dostać odpowiednią karę? – Chwycił ją po raz trzeci i złapał za włosy, tym razem ciągnąc mocno i zmuszając ją do popatrzenia w górę. – A może po prostu się boisz? No dalej, dziewczko, odpowiadaj!

– Boję się – odpowiedziała Aline cichym i spokojnym głosem, a mimo to wszyscy mogliśmy ją usłyszeć. – Zawsze.

– Niemożliwe – warknęła Krawcowa. – Na pewno zmusza ją do...

– Zaczekaj – powiedziałem.

Jakby tknięty nagłym współczuciem arcykapłan delikatnie położył dłoń na policzku Aline.

– Już dobrze. Jesteś tylko dzieckiem i słusznie, że obawiasz się lepszych od siebie. – To powiedziawszy, pochylił się i splunął na jej głowę.

„Zginiesz jako pierwszy, sukinsynu”.

Zaczął się podnosić, ale Aline złapała go za rękę drżącą z wysiłku dłonią.

– Bardzo chciałabym mieć dziecięce koszmary, venerati. Chciałabym, żeby moje obawy zniknęły w objęciach matki albo gasły w świetle dnia.

– Dosyc – rzekł Obladius, wyszarpując dłoń z jej uścisku. – Nie myśl sobie, że błaganie o...

Ale Aline nie pozwoliła, by jej przerywano.

– Miałaś rację, nazywając mnie dzieckiem, venerati. Każdego dnia budzę się jako młoda dziewczyna. Każdego ranka siedzę w łóżku ze łzami w oczach, czekając na próżno, by ktoś przyszedł i sprawił, że przestanę się bać. Ale nikt nie przychodzi, nikt nie jest w stanie mi pomóc. Wiesz, czego się dowiedziałam o byciu królową, venerati? – Wyglądała niezwykle krucho, drżąc na kolanach pod spojrzeniem Boga.

– Coś się dzieje – powiedział Quentis Maren.

Chwilę zajęło mi odkrycie, że mówił to z niekłamanym podziwem w głosie.

Aline rzuciła mi krótkie spojrzenie przez ramię.

– Każdego dnia królowa musi pokonywać swój strach – odparła.

Wtedy, gdy oczy wszystkich były skupione na niej, przeciwstawiając się woli samego Boga Strachu, córka mojego króla wstała z kolan.

Twarz kapłana przybrała blady kolor jego szat.

– To niemożliwe – powiedział z niedowierzaniem.

Wolno – tak, że aż obawiałem się, iż w każdej chwili może z powrotem paść na kolana – Aline obeszła Obladiusa, by stanąć przed Bogiem Strachu.

– Nazywam się Aline z Tristii, córka Paelisa, następczyni tronu Aramoru. – Zdawała się rosnąć i prostować z każdym słowem. – Wynoś się z mojego zamku.

ŻELAZO

Przez dłuższą chwilę wokół zapanowała cisza i bezruch. Potem Boże Igły cofnęły się, zszokowane tym, co zobaczyły, a pielgrzymi przestali śpiewać swoje hymny. Bóg Strachu spoglądał na Aline, a ona odpowiadała mu równie stanowczym spojrzeniem.

W końcu odezwał się krótko:

– *Bluźnierstwo.*

Jego słowo było jak wiatr, gorący i wilgotny, który niszczy wszystko na swojej drodze, ale nie Aline.

– Przestałam chylić czoła przed strachem – powiedziała.

Przez cały ten czas Kowal nie odezwał się ani razu, zdawało się wręcz, że nie jest zainteresowany sceną, jaka rozgrywała się przed jego oczami. Teraz jednak wystąpił na front podwyższenia i spojrzał na mnie.

– Czy to był ten twój wspianiały fortel, Falcio? Miałeś nadzieję, że skoro dziewczyna czuła strach przez całe życie, będzie w stanie oprzeć się Zachwytowi mojego Boga?

Nie odpowiedziałem. Bottio nazywa czwarty śmiertelny błąd *canto anticipato* lub nieumyślnym ujawnieniem swoich zamiarów przed ostatecznym atakiem. Kowal był znacznie mądrzejszy ode mnie i wykorzystałby przeciwko mnie wszystko, co bym powiedział. Potrafił prześledzić każdy plan, który miałem w głowie, i znaleźć sposób na pokonanie mnie. Czasami cisza jest najlepszą ripostą.

– Sprytnie – skwitował moje milczenie, wciąż nie zadając sobie trudu, by odezwać się bezpośrednio do Aline. – Zapomniałeś chyba, że mimo całej jej odwagi dziewczynę wciąż można zranić i zabić.

Odwrócił się i skinął głową, a dwóch rycerzy podeszło i chwyciło Aline za ręce.

Za plecami słyszałem, że pozostałe Wielkie Płaszczce postępują z wysiłku, próbując podnieść się z ziemi.

Kowal wyciągnął zza pasa ciężki młot.

– Ciało i kość zawsze ustępują pod żelazem. – Podeszedł do Aline i spojrzał na nią z niemal bolesną rezygnacją. – Moja córka była prawie w twoim wieku – powiedział. – Ona też miała w sobie dużo odwagi. Do czasu.

– Cholera, on ją zabije – powiedział Allister. – Nadal nie mogę się ruszyć, a ty?

– Zaczekaj – powtórzyłem.

– Żal mi cię. – Aline zwróciła się do Kowala drżącym głosem. – Straciłeś dziecko, co z kolei kosztowało cię utratę wiary.

Posłał jej blady uśmiech.

– Rozejrzyj się, mała królowo. Pokazałem ci całą wiarę w Tristii, pokazałem, jak moc przepływa od człowieka do Boga i z powrotem. To wszystko jest oparte na matematyce i obliczeniach. Nie ma nic więcej.

– Ależ jest – odparła i zaczęła śpiewać pod nosem: – Pierwsze Prawo mówi, że wszyscy są wolni. Bez wolności wyboru nikt nie może podążać za swoim sercem, a bez serca nie można służyć bogom, świętym ani królowej. – Głos miała czysty i mocny.

Kowal odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Widzisz, jaką głupotę sprowadzasz na innych, Falcio? Dziewczynka mogła być teraz daleko stąd, mogła ocalić życie! Bądź przeklęty za to, że muszę...

– Rozmawiaj ze mną – powiedziała Aline. – Wysłuchasz mnie, Kowalu, bo chcę przywrócić ci wiarę i skruszyć za jej pomocą twoje czarne serce.

– Śpiewaj zatem, dziewczuszko. Śpiewaj, gdy mój młot będzie opadał.

Odwróciła się, by na nas spojrzeć, a my raz jeszcze z całych sił

spróbowaliśmy wstać, ale siła boskiego uroku była zbyt wielka. „Tak mi przykro, złotko...”

Aline uśmiechnęła się.

– Sędziowie, pierwsze Prawo zostało złamane. W jego imię rozkazuję wam wstać i wydać wyrok. Wielkie Płaszczce, wykonać!

„Nie widzi, że wciąż jesteśmy uwięzieni”, zdałem sobie sprawę z przerażeniem. Druga część naszego planu właśnie brała w łeb.

Próbowałem ją ostrzec, ale zanim zdążyłem otworzyć usta, zwróciła się do Kowala i powiedziała:

– Pokaż mi siłę swojego żelaza, a zobaczymy, czy jest w stanie mierzyć się z moim.

Z okrzykiem, w którym było tyle samo cierpienia co wściekłości, Kowal uniósł młot wysoko nad głową. Już miał go opuścić, gdy nagle dostrzegłem tuż obok niego rozmazany kształt, a broń zastygła w miejscu trzymana przez parę smukłych dłoni owiniętych wokół grubych nadgarstków Kowala. Z siłą płynącą z krążącej w jej żyłach adoracji Valiana wyrwała młot z uścisku mężczyzny i odrzuciła za siebie.

– Niemożliwe – powiedział, gdy zdał sobie sprawę, kim jest i co musiała przejść. – Na truciznę nie ma lekarstwa. Bez maski powinnaś była...

Przerwała mu uderzeniem na tyle mocnym, że oszołomiony zatoczył się do tyłu.

– Mam dość masek, sukinsynu. Nazywam się Valiana val Mond, Obrończyni Królestwa Tristii, i jestem Żelazem Królowej.

Byłoby miło, gdyby Kowal zdecydował się wtedy poddać albo gdyby Bóg w magiczny sposób zniknął, a wszyscy jego zwolennicy uciekli do domów. Niestety, świat nigdy nie jest tak przychylny, chociaż całe życie marzę, że może kiedyś się to zmienić.

Obladiaz przejął dowodzenie, krzycząc:

– Czarna magia! Pogwałcenie praw natury! – Tym razem w jego głosie

nie było ani śladu ironii. Zwrócił się do czekających w pogotowiu Bożych Igieł: – Sprawcie, by prosili o boże miłosierdzie!

Jeden z nich, na oko dwudziestoletni młodzieniec ubrany w srebrny płaszcz wicehrabiego i trzymający w ręku miecz, który wedle wszelkich przesłanek powinien być dla niego o wiele za ciężki, ruszył w stronę Aline z bojowym okrzykiem. Promień porannego słońca odbił się od ostrza, gdy w biegu wznosił je do ataku. W policzek uderzył mnie rąbek płaszcza, gdy obok mnie przemknęła druga postać. Dostrzegłem tylko, jak Boża Igła mruga ze zdziwieniem, gdy jego miecz skrzesał iskry na metalowej tarczy, która teraz chroniła głowę Aline. Napastnik warknął ze złością, a trzymający pewnie stalowy dysk o średnicy trzech stóp Kest odpowiedział mu uśmiechem. Po raz pierwszy od miesiący na jego twarzy nie było widać bólu.

– Nazywam się Kest Murrowson – powiedział. – Jestem Tarczą Królowej.

Bóg Strachu, rozwścieczony widokiem człowieka, którego skazał na śmierć kilka dni wcześniej, wystąpił naprzód i obrzucił go władcym spojrzeniem.

– *Na kolana* – rozkazał.

Kest zachwiał się, nieustannie powtarzając pod nosem swoją przysięgę, a kolejna Boża Igła – wielki, brodaty mężczyzna z długą na osiem stóp halabardą – ruszył w jego stronę z zadziwiającą szybkością i wyprowadził zamaszysty cios w kark.

Kest obrócił się, płynnym ruchem odbijając ostrze topora tarczą, uchylił się przed drugim atakiem, skracając dystans do przeciwnika, po czym z całych sił uderzył go krawędzią tarczy w głowę, powalając na ziemię.

– Fascynujące – powiedział, spoglądając najpierw na napastnika, a potem na mnie. – Walka tarczą nie sprawia mi ani trochę bólu.

– Świetnie – powiedział Brasti, stękając z wysiłku, by wstać i nałożyć strzałę na cięciwę. – Teraz będziemy musieli w nieskończoność

wysłuchiwać, że to tarcza jest najbardziej elegancką ze wszystkich broni. Chociaż biorąc pod uwagę, że pewnie i tak wszyscy dziś zginieemy, to chyba nie aż taka zła wiadomość.

– Dość tego! – krzyknął arcykapłan do pozostałych Igieł. – Na nich!

Rzucili się na Aline jak stado wilków, w ich żyłach buzowała *adoracia fidelis* i krew świętych. Na ich oszalałych twarzach pozbawionych najmniejszego śladu człowieczeństwa szczyrzyły się tylko upiorne uśmiechy. Stawialiśmy im czoła: przerażeni, zmęczeni, w kółko powtarzający nasze przysięgi, żeby być w stanie przewyciężyć wolę Boga. Kiedy tylko czuliśmy, że jesteśmy blisko poddania się jej na powrót, wykrzykiwaliśmy nasze nowe imiona.

Darriana, przebijając mieczem szyję byłego margrabiego Therios, krzyknęła:

– Nazywam się Darriana, córka Shanilli. – Cofnęła ostrze i uniosła je do góry, promień słońca odbił się w karmazynowej cieczy spływającej po zboczu. – Jestem Ogniem Królowej.

Antrim, któremu właśnie wytrącono z rąk oręż, zatrzymał ostrze przeciwnika gołymi rękami, jednocześnie cedząc przez zaciśnięte zęby:

– Nazywam się Antrim Thomas, syn Margarite z Lanjou. – Mocnym kopnięciem strzaskał kolano napastnika, który poleciał na ziemię, wypuszczając broń z ręki. Antrim zamierzył się podniesionym z ziemi mieczem na mężczyznę, po czym ogłuszył go ciosem głowicy. – Bądź wdzięczny, bo jestem Łaską Królowej.

Quentis, zauważywszy, że jeden z Inkwizytorów celuje w plecy Antrima, powalił go kulą z własnego pistoletu, oświadczając:

– Nazywam się Quentis Maren, jestem Modlitwą Królowej.

Jeden po drugim wypowiedaliśmy nasze przysięgi, by wyrwać się z mocy Boga, walcząc z zaciętością, która z pewnością wywołałaby uśmiech na twarzy Boga Bohaterstwa, gdyby tylko nie był tak samo martwy jak inni. Nasi przeciwnicy mieli znaczną przewagę liczebną, ale gdy już poznaliśmy

sposób, w jaki walczą Boże Igły, mogliśmy wykorzystać ich ślełą furię przeciwko nim. Darri stała się mistrzynią w wabieniu swoich przeciwników w zasięgu włócznie Talii, która wyłączała ich na zawsze z walki ciosem w tył głowy. Mateo korzystał z proszku, który stosowaliśmy do usuwania rdzy; w kontakcie ze skórą piekielnie swędzi, sypał nim w twarze Bożych Igieł. Może i nie odczuwali bólu, ale swędzenie tak: w amoku wydrapywali sobie oczy, a pokonanie oślepionych nie stanowiło już takiego wyzwania.

– A niech mnie, nawet dobrze nam idzie – powiedział Brasti, wypuszczając trzecią strzałę w chudego mężczyznę, który zbliżał się do nas z ciężkim Morgensternem trzymanym niemal niedbale w prawej dłoni.

Rozejrzałem się i zobaczyłem, że miał rację. Łatwo było zapomnieć, zwłaszcza biorąc pod uwagę wszystkie szalone wydarzenia ostatnich dni, że zostaliśmy wyszkoleni do walki z każdym przeciwnikiem, od rycerza na polu bitwy po skrytobójcę w mrocznej uliczce. Kiedy byliśmy odpowiednio przygotowani, niewielu było w stanie skutecznie stawić nam czoła.

– Pomóżcie Valianie chronić dziedziczkę tronu! – krzyknął Quentis Maren, wbijając łokieć w szczękę jednego ze swoich niedawnych towarzyszy.

Zręcznie przechwycił pistolet przeciwnika, odwrócił się i strzelił do drugiego Inkwizytora, który właśnie brał na cel Aline. Quentis odrzucił wypaloną broń, wdrapał się na podium i wskoczył na plecy rycerza, przewracając go. Obalił potem dwóch jego towarzyszy, którzy zbliżali się do Valiany własnym ciałem zasłaniającej Aline. Nie można było nie być pod wrażeniem jego umiejętności w walce wręcz.

Brasti dwukrotnie wystrzelił z łuku, dwóch rycerzy padło na ziemię ze strzałami w wizurach hełmów. Zajęliśmy pozycję obok Aline. Wśród odgłosów toczącej się wokół walki wciąż słyhać było cichy śpiew dobiegający z jej ust.

– Co na Świętego... – zaklął Brasti, po czym urwał skonfundowany. – Chyba nie ma już żadnych świętych, na których można przeklinać, co?

W każdym razie co ona wyprawia?

– Śpiewa Prawa – odparłem, krzyżując oba rapiery nad głową, by sparować uderzenie ciężkiego miecza, a następnie kopiąc mojego napastnika w brzuch i nabijając go na włócznię Talii.

– Czy nie byłoby lepiej, gdyby nie wiem, rzuciła kamieniami w naszych przeciwników?

– Nie czujesz tego? – spytała Valiana. Jej własne ostrze błysnęło niczym koliber w locie, gdy powstrzymywała jednego z Inkwizytorów przed wycelowaniem w nią z pistoletu. – Ona na powrót konsekruje królewskie Prawa!

W istocie – coś się działo. Powietrze wydawało się naładowane jak tuż przed uderzeniem pioruna. Obladiaz wykrzykiwał rozkazy Igłom, by nie przestawali walczyć, ale było ich coraz mniej. Bóg po raz pierwszy wyglądał na przejętego obrotem sytuacji, co zauważył nawet Brasti.

– A zatem stary Święty Erastian miał rację? Prawa naprawdę krępują bogów?

– Miejmy nadzieję, że tak – odparłem.

Trzecia część naszego planu opierała się na teorii, że stworzenie nowego boga było możliwe dzięki osłabieniu rządów prawa po śmierci króla Paelisa. Jeśli prawo miało duchową moc, to jego ponowna konsekracja przez zasiadającą na tronie córkę króla powinna osłabić twór Kowala.

– Skoro tak się sprawy mają, to może spróbowałyby śpiewać nieco głośniej? – Brasti uchylił się przed buzdyganem Inkwizytora, po czym wbił strzałę w odsłoniętą pierś mężczyzny.

– Chyba ktoś zaczął jej pomagać – powiedziała Talia, przystając na chwilę, by złapać oddech.

Zdałem sobie z tego sprawę, dopiero gdy zwróciła moją uwagę. Dotychczas ze wszystkich sił starałem się zignorować irytujące hymny pielgrzymów, ale teraz słyszałem coraz wyraźniej, że przez śpiewany dotąd hymn zaczyna przebijać się inna pieśń; zaczęła się od łagodnej harmonii, ale

stopniowo rozprzestrzeniała się w tłumie, przejmowała melodię i słowa.

I nagle wszyscy rozpoznaliśmy trzecie Prawo królewskie. Ale jak...?

– To Nehra i Rhyleis – powiedziałem. – Stosują sztukę bardatti, by wpleść Prawa do religijnych zawodzeń!

Melodia była przedziwnie piękna i widziałem, że przynosi radość i siłę do dalszej walki pozostałym Wielkim Płaszczom, jednocześnie doprowadzając Boże Igły do szału.

– Miarka się przebrała, rezygnuję z bycia Wielkim Płaszczem – powiedziała Talia, powalając drzewcem włóczni kolejnego rycerza. – Dołączę do bardatti, żeby nauczyć się zaśpiewywać ludzi na śmierć.

– Widzę, że i włócznią idzie ci to równie dobrze – powiedział Antrim, wyciągając ostrze z szyi innej Bożej Igły, po czym zwrócił się do mnie: – Falcio, czy to możliwe, że wygrywamy?

Rozejrzałem się dookoła. Uniemożliwienie przeciwnikom zastosowania spójnej taktyki sprawdzało się doskonale. „Nigdy nie walczyliśmy tak dobrze”, pomyślałem. Przez chwilę wydawało się, że czas Wielkich Płaszczy dawno minął, ale patrząc na to, jak dużo możemy zdziałać, jeśli tylko nauczymy się lepiej współpracować, poczułem radość, której nie spodziewałem się już doświadczyć.

„Co czyni tym bardziej niesprawiedliwym fakt, że tej walki nie jesteśmy w stanie wygrać”.

Nie potrzebowałem Kesta, żeby sobie uzmysłowić, jak nikłe mamy szanse: przeciwników było po prostu za dużo i prędzej czy później pozostałe Boże Igły, Rycerze Świątyni i Inkwizytorzy zaczną zdobywać przewagę. Poza tym wciąż mieliśmy większy problem.

– Ty przekłety głupcze! – krzyknął Kowal stojący obok Boga. – Mogłem ocalić ten kraj. Mogłem dać nam...

– Och, zamknij się w końcu – powiedział Brasti i strzelił do niego z łuku.

Oczywiście trafienie go nie było takie proste. Bóg sprawił, że strzała przeleciała bokiem.

– Musimy coś zrobić z tą jego sztuczką – skomentował Brasti.

– Robi się – powiedziałem.

Zatrzymałem się w pół kroku, patrząc z przerażeniem, jak Bóg podnosi ramiona, a wraz z nimi unoszą się wszyscy pielgrzymi na placu, jakby z nieba spadło nagle tysiąc niewidzialnych pętli, które powoli się zaciskały. Mężczyźni, kobiety i dzieci z trudem łapali oddech, z głowami przechylonymi na boki i wywróconymi oczami.

– Wszystko przez ciebie, Falcio! – krzyknął Kowal głosem tak pełnym wściekłości, że przez chwilę niemal mu uwierzyłem. – Jeśli nie pozwolisz mi dać temu krajowi Boga, którego potrzebuje, by przetrwać, będę musiał zniszczyć wszystko i zacząć od nowa!

Allister pobiegł w tłum i złapał chłopca, który balansował na czubkach palców stóp i walczył o złapanie choć odrobiny powietrza. Podniósł dziecko w ramionach, jednak nic się nie zmieniło.

– To na nic! – krzyknął Allister. – Nie ma tu żadnej pętli, z której mógłbym go uwolnić. Niech mi ktoś powie, jak ich uratować!

– Falcio – powiedziała miękko Ethalia, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Odwróciłem się do niej i zobaczyłem, że krwawi z rozcięcia na czole. Wyciągnąłem rękę, by otrzeć krew, ale powstrzymała mnie.

– Czas na nas. Bóg słabnie coraz bardziej. Aline pokazała im, że jego woli można się oprzeć. Pozostali stanęli w obronie prawa. Wiara pielgrzymów znika, a wraz z nią moc Boga.

– Więc jak mu się to udaje? – spytałem rozpaczliwie, pokazując na duszonych niewidzialną siłą ludzi.

– Nadal jest Bogiem, a oni jego wyznawcami. – Wzięła mnie za rękę. – Możemy to zakończyć tylko w jeden sposób. Wszystko zależy teraz od nas.

Odwróciłem się, by spojrzeć na Boga stojącego wśród ruin naszego domu, na jego zbroję lśniąca w świetle słońca. Był majestatyczny, idealny... nie do zniszczenia.

– W porządku – powiedziałem i ruszyłem za Ethalią. – Chodźmy zabić

Boga.

WYZWANIE

Zwykle w walce to ja działam lekkomyślnie, ale tym razem to Ethalia zaatakowała pierwsza. Kiedy wbiegaliśmy po schodach na podwyższenie, wokół niej rozkwitał blask świętości.

– Wiem, że jesteś Bogiem Strachu – zawołała. – Dlatego jestem w stanie związać cię, tak jak wiąże cię prawo. Nazywam cię Ingnavus, Bóg Tchórzostwa. Inni poznają cię jako Relinquere, Boga Rozpaczy. Dla reszty będziesz znany jako Timidus, Władca Przerażenia.

Jej słowa zdawały się odnosić pożądany skutek.

– *Jestem waszym Bogiem* – zagrzemiał, zalewając nas falą strachu.

Zachwiałem się, nie mogąc utrzymać równowagi, ale Ethalia złapała mnie za rękę i przytrzymała.

– Może i jesteś Bogiem – powiedziała. – Ale na pewno nie moim.

– Cokolwiek ona robi, działa – krzyknął za naszymi plecami Brasti. – Pielgrzymi ledwo żyją, ale oddychają.

Pozwoliłem sobie na szybki rzut oka za siebie i zobaczyłem, że wciąż stoją na palcach, wyciągani w górę przez niewidzialną siłę.

– Pozwól im odejść – zwróciłem się do Kowala. – Chcesz zakończyć rządy prawa w tym kraju? Możemy to załatwić w inny sposób.

– Jesteś głupcem, Falcio. Naprawdę wierzysz, że możesz spętać Boga regułkami, których nikt dziś już nie pamięta, nie mówiąc nawet o stosowaniu, a następnie grożąc nam... właściwie czym? Daremnym aktem męstwa? – Jego wzrok powędrował w stronę Ethalii. – Stawiaj się i krzycz do woli, Pani. Oboje wiemy, że brakuje ci ducha walki.

Uśmiechnęła się kpiąco – niezwykle dla niej wyraz twarzy.

– Nie martw się o mojego ducha, inlaudati. Spuść tego całego Boga ze smyczy, a twoje czarne serce poczuje moc gorętszą niż ogień i jaśniejszą od gwiazdy.

„Co się z nią stało?” Bijący z niej blask oślepił i mnie. Wiatr wiał coraz mocniej, wzbijając w ruinach zamku tumany kurzu. „Czy naprawdę chciałem stawić czoła takiej mocy? Równie dobrze mógłbym rzucać kamieniami w księżyc, starając się go strącić z nieba”.

– *Będiesz krwawić* – oświadczył Bóg, uderzając pełną mocą Zachwytu w Ethalię.

Przez chwilę zatraciliśmy się w nim zupełnie, tonąc w zalewie krwi i brudu, desperacko starając się schwycić cokolwiek, by wydostać się na powierzchnię. Zacząłem powtarzać w głowie przysięgę, przyłgnąwszy do słów niczym tonący uczepiony przepływającego pnia. „Będę przemierzał drogi... Będę sądził sprawiedliwie... Będę jeździł szybko i walczył zaciekle. Jeśli będę musiał, przytargam Prawo na plecach w każdy zakątek kraju”. Sięgnąłem do płaszcza po kawałek bursztynowego światła i narysowałem nim szeroki krąg na podeście. Kawałek skały rozbłysnął na drewnie, posypały się iskry, a wokół mnie zaczęła rosnać smolista linia.

– Widzę, że spodobały ci się magiczne sztuczki – zakpił Kowal. – Czy to twoja sekretna broń w tej walce?

– Zabawne, ale chyba zaczynam lubić magię – powiedziałem, kończąc rysować krąg o średnicy trzech jardów. Cofnąłem się za linię i spojrzałem prosto w oczy Boga stojącego po drugiej stronie.

– Nazywam się Falcio val Mond, Pierwszy Kantor Wielkich Płaszczy i główny sędzia Tristii. Uznaję cię za winnego morderstwa Birgid, Świętej Miłosierdzia, i Anlasy, Świętego Pamięci. Uznaję cię winnym setki innych śmierci i tysiąca innych przestępstw – urwałem, patrząc na ruiny wokół nas. – W tym kilku aktów wandalizmu. Czy podporządkowujesz się mojemu wyrokowi, czy domagasz się sądu przez pojedynek?

Bóg poświęcił mi nieco uwagi, osłabiając chwilowo atak na Ethalię,

która zmagala się z mocą jego Zachwytu. „Będę przemierzał drogi”, mruknąłem pod nosem. „Znajdę drogę do każdego zamku i pałacu, każdej brudnej rudery i zniszczonego chlewu. Będę sądził sprawiedliwie, jeździł szybko i walczył zaciekle”.

– *Pojedynek* – powiedział Bóg, rozpoczynając rytuał tak stary jak cały ten kraj.

Sięgnął po topór przypięty na plecach i wyciągnął go. Szerokie ostrze wykuto z najtwardszej stali, długie stylisko inkrustowane było srebrem i złotem. Sam uchwyt został wykonany z surowego żelaza.

Ethalia dołączyła do mnie po tej samej stronie koła.

– *Pojedynek* – powiedziała. Czoło miała już zroszone potem. Na jak długo starczy jej sił, gdy zacznie się prawdziwa walka.

Kowal potrząsnął głową z niesmakiem, a każde jego słowo wręcz ociekało rozczarowaniem.

– Mogłeś przeżyć, Falcio. Oboje mogliście znaleźć szczęście gdzieś daleko stąd. Naprawdę wierzysz, że jesteś w stanie walczyć z Bogiem swoimi rapierami?

– Nie – przyznałem i odrzuciłem rapiery na bok, po czym podszedłem do ciężkiego miecza, który z pewnością nie był już potrzebny jego leżącemu obok właścicielowi. Podniosłem broń obiema rękami; była równie ciężka i nieporęczna jak każdy miecz o szerokim ostrzu, jakim kiedykolwiek walczyłem. Wycelowałem w środek lśniącego pancerza Boga. – To powinno zrobić w nim większy otwór.

Pojedynek sądowy rozpoczyna się, gdy obaj przeciwnicy zaczynają obchodzić krąg. Śledząc nawzajem swoje kroki, szukają okazji do ataku. Errera Bottio twierdził, że bez względu na zdolności aktorskie, każdy szermierz ujawnia swoje słabości w tych pierwszych, powolnych ruchach. Píše: „odkryj, czego boi się twój przeciwnik, szukaj zawahania w jego ruchu, a znajdziesz sposób, by go pokonać”.

Wraz z Ethalią i Bogiem poruszaliśmy się po okręgu, stawiając męcząco powolne kroki niczym tancerze czekający, aż rozbrzmi muzyka. Byłem jednak prawie pewien, że mój przeciwnik nie ujawni żadnych słabości.

– To chyba odpowiednie zakończenie całej historii – powiedział Kowal, stojąc kilka kroków dalej. – Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o tobie i twoim zamiłowaniu do pojedynków, pomyślałem: „Oto człowiek z jednym narzędziem, jedną bronią, której używa do osiągnięcia każdego celu”. Postanowiłem zgłębić tę sztukę nieco bardziej, żeby móc lepiej przewidywać twoje kroki.

– Schlebiasz mi – powiedziałem, starając się nie odwracać wzroku i nie wpaść przy tym na Ethalię.

Po rozpoczęciu pojedynku i wejściu do kręgu twój przeciwnik musi dołączyć do ciebie najdalej jedno uderzenie serca po tobie lub poddać pojedynek. Jeśli uda się wyczekać, aż straci nieco równowagę lub odrobinę się rozproszy, można uzyskać przewagę na samym początku walki.

– To doprawdy fascynujący temat, wszyscy ci sangwiniści i awertierzy, persegwerzy i ludatorzy. Niezwykle ciekawe rozróżnienia. Ktoś twojej profesji musi spędzić całe życie, opanowując jeden styl, wiedząc jednocześnie, że każdy z nich ma swoje mocne i słabe strony. A ty który z nich wybrałeś?

Przez chwilę miałem ochotę wybuchnąć śmiechem; tylko prawdziwy amator zadałby takie pytanie. Dałem mu odpowiedź, na którą zasłużył.

– To proste. Opanowałem je wszystkie.

Po tych słowach razem z Ethalią weszliśmy do kręgu i zajęliśmy miejsce na samym środku. Kiedy ona natarła na Boga całą mocą swojego Zachwytu, ruszyłem na niego z mieczem.

W chwili kiedy nasza broń uderzyła o siebie po raz pierwszy, zorientowałem się, że nie będę w stanie go pokonać.

POJEDYNEK

Kiedy w powietrzu rozległ się szcęk broni, poczułem, że skulony próbuję ukryć się na polu pełnym wysokich łodyg kukurydzy. Czułem się mały i wychudzony, a wokół kostek miałem zapięty łańcuch. „Jestem niewolnikiem”, dotarło do mnie. *Bóg był moim właścicielem, krzychał na mnie w języku, którego nie rozumiałem, bijąc mnie grubym powrozem raz za razem, w twarz, pierś, plecy. Próbowałem wyrwać mu sznur, ale zanim zdążyłem...*

...siedziałem przy stole naprzeciwko Kowala. Między nami leżała plansza pełna kolorowych figur o różnych kształtach i rozmiarach. Kowal podniósł jedną z nich przypominającą dzika, ale kiedy położył ją na innym polu, zmieniła się w rycerza na ogromnym rumaku.

– Twoja kolej – powiedział.

Spojrzałem na moje pionki – małe, blade kawałki kości wyrzeźbione na kształt wychudzonych, przerażonych postaci kulących się w ciągłym strachu.

– Nie znam zasad.

Kowal uśmiechnął się.

– Oczywiście, że nie. O to właśnie chodzi.

Podniosłem losowo figurę z nadzieją, że przeciwstawi się rycerzowi, i zobaczyłem...

...że nie byłem już jednym człowiekiem, ale wieloma, tuzinem – nie, setką. Siedzieliśmy w kucki przy małych ogniskach w zimną noc, z drewnianymi kijami na podporządku, modląc się, by spokojnie doczekać do świtu. Nagle ze wszystkich stron otoczyły nas masywne wierzchowce, których

dosiadali uzbrojeni w ciężkie miecze mężczyźni w zbrojach. Wydaliśmy bojowy okrzyk, złapaliśmy maczugi i ruszyliśmy na nich, wiedząc, że walka jest już...

„...przegrana”, pomyślałem, zdając sobie sprawę, że z powrotem stoję w pojedynkowym kręgu. Ręka zwisała mi ciężko u boku, koniec miecza ciągnąłem po ziemi. Ethalia próbowała mnie podtrzymać, chociaż sama ledwo stała na nogach. Bóg wyglądał tak, jakby nawet nie ruszył się z miejsca.

– Jestem rozczarowany – powiedział Kowal. – Spodziewałem się, że mistrz pojedynków i Święta dostarczą mi więcej rozrywki.

Jak długo walczyliśmy? W pojedynku czas płynie inaczej, niekiedy mija błyskawicznie, by innym razem wlec się w ślimaczym tempie, gdy ostrze przeciwnika zbliża się do twojego serca. „Pięć minut”, zgadywałem, „może siedem?”

– Daj mi chwilę na złapanie oddechu – powiedziałem. – A z przyjemnością pošlę tego Boga do piachu.

– Chcesz złapać oddech? – parsknął Kowal. – Falcio, walka właśnie się rozpoczęła. Sparowałeś tylko jeden cios.

„Cholera. To się nie uda”. Spojrzałem na Ethalię, zastanawiając się, czy potrafię czymś zwrócić uwagę Boga wystarczająco długo, by zdołała uciec, a pozostali mogli ją ochronić, dopóki nie odzyska sił lub nie znajdzie sposobu, by pomóc reszcie się stąd wydostać. Wtedy spojrzała mi prosto w oczy.

– Trzymaj się planu – powiedziała, oddychając ciężko.

– Jasne – odparłem. – To może pocałunek na szczęście?

To była głupia uwaga. Jedna z takich, które wychodzą z twoich ust, kiedy desperacko chcesz ukryć fakt, że jesteś przerażony.

– Brzmi dobrze – odpowiedziała ze słabym uśmiechem. – Ale ostatnio ani twoje, ani moje pocałunki nie były szczególnie szczęśliwe, prawda?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, rozłożyła ręce i raz jeszcze zwróciła całą moc swojego Zachwytu przeciwko Bogu. *Dostrzegłem migoczący obraz mężczyzny czołgającego się po wysuszonym piasku. Jego usta były tak spieczone, że co chwila pękały na czerwono. Mężczyzna podniósł wzrok na młodą dziewczynę, córkę wroga, który wysłał go na śmierć, podając mu naczynie z wodą.*

Oczy Boga zaszkliły się na moment, obuch topora opadł. Wykorzystałem to, rzucając się na niego i wyprowadzając płaski cios niczym drwal ścinający drzewo. Sparował z łatwością, a siła, z jaką to zrobił, odrzuciła mnie na skraj kręgu.

Ruszył w moją stronę, jednak Ethalia związała go wizją dwóch górników schodzących do głębokiego szybu, by ocalić psa, który leżał na dnie ze złamaną nogą. *Pies piszczał z bólu, ale i merdał ogonem, gdy jeden z górników mocno przyciskał go do piersi, podczas gdy drugi wyciągał ich na powierzchnię.*

Muszę pozbawić Boga tej cholernej broni. Obróciłem miecz w rękę i trzymając go za ostrze, z całych sił spuściłem mu go na dłoń niczym młot, przez cały czas zastanawiając się, czy bogowie mają kości, które można złamać. Okazało się, że odpowiedź brzmi „nie”, i chwilę później zobaczyłem, jak ostrze topora wznosi się z ziemi, mierząc w moje gardło. Bóg chybił i zachwiał się, gdy Ethalia w samą porę wytrąciła go z równowagi inną wizją.

Wizją, którą rozpoznałem: *masywny mężczyzna z dużymi, bezlitosnymi dłońmi i szczękami zdolnymi przegryzać kości gapi się na więźnia, którego kazano mu torturować bez końca. To jego praca – zna ją i wykonuje na co dzień. Ale tym razem się waha. Patrzy na głupiego więźnia wyśpiewującego łamiącym się głosem Prawa dawno zmarłego króla. Kat pochyla się, podnosi swoją ofiarę i niesie ją przez korytarz i po schodach do góry ku wolności. Uczynek, który będzie go kosztował własne życie. Głupota. Akt Miłosierdzia.*

„Nigdy bym nie pomyślał, że to powiem, ale naprawdę za tobą tęsknię Auć, czy jak się tam naprawdę nazywałaś”.

– Falcio... – odezwała się słabym głosem Ethalia.

Przez chwilę myślałem, że zaczynamy mieć nikłe szanse na wygraną, gdy dostrzegłem, jaka jest blada, jak otwartymi ustami łapie urywane hausty powietrza.

Bóg ryknął, rozpędzając wszelkie wizje i wstrząsając ziemią pod nami.

– *Żadnego. Miłosierdzia.*

Ethalia zatoczyła się na mnie, gdy próbowałem podnieść miecz. Czuję się tak ociężały, że nie mogłem przyjąć nawet pozycji obronnej.

Bóg ruszył w naszą stronę, drewno podestu gięło się pod ciężarem jego kroków.

Na zmęczonej twarzy Kowala pojawiło się współczucie.

– Ostrzegałem cię, Falcio. Błagałem, byś nie rozpoczynał tej walki.

Dał sygnał Bogu, który znów uderzył w nas pełną mocą swej woli, obrazami, które zdawał się trzymać specjalnie na tę okazję.

– Nie... – jęknąłem bezsilnie, gdy zobaczyłem przebłyski nadchodzącej wizji.

Coś pociągnęło mnie za nadgarstki i zauważyłem, że ręce mam przywiązane do słupa wysoko nad głową. Mięśnie w moim ciele głośno zaprotestowały, gdy dziesiątki igieł wbiły się w nie aż do kości. Coś przytrzymało moje usta otwarte, a krępy mężczyzna ubrany w ciemnoniebieskie szaty darł mi nożem pasy skóry z języka. Próbowałem przypomnieć sobie słowa przysięgi, ale zostały zagłuszone przez inny głos.

– *Zaczynamy?* – pytał Heryn raz po raz.

Usłyszałem krzyk głośniejszy nawet od mojego: Ethalia była uwięziona w tej wizji razem ze mną.

– Wiesz, jak bogowie karzą śmiertelników za ich zbrodnie, Falcio? – spytał Kowal, gdy jego twór odtrącił moje ostrze na bok. – Cóż, powiedzmy tylko, że różni się to od kary, jaką ty lub ja moglibyśmy wymierzyć. Gdy

Bóg uwięzi twoją duszę, nigdy już nie zaznasz spokoju. Stajesz się zabawką, którą można kształtować, na zawsze zamkniętą w prywatnym piekle. Piekłem, które mój Bóg przygotował specjalnie dla was, jest Lament, powtarzany bez końca. To śmierć, którą ty jej zgotowałeś. Zostaniecie ze sobą na wieczność.

– Nie – powiedziałem błagalnym tonem, a każdy cal mojego ciała zaczął się bezwolnie trząść. Nie mogłem nawet próbować wyobrazić sobie, że to się nie dzieje naprawdę. – Błagam, tylko nie to!

– Nie pros o litość. Nie zaznasz jej ode mnie. Dałem ci szansę, byś uciekł i pozwolił mi dokończyć wielkie dzieło, naprawić ten zrujnowany kraj. Woląłeś przeszkadzać mi swoimi cwanymi sztuczkami, obelgami i dziecinnymi Prawami.

Po raz pierwszy zobaczyłem zimną, pustą nienawiść w jego spojrzeniu, gdy przenosił wzrok na Ethalię.

– Ostrzegałem cię, Pani: potrzeba więcej niż mocy świętego i pełnego miłosierdzia serca, by rzucić wyzwanie Bogu.

Włosy zasłaniały twarz Ethalii, gdy powoli uniosła głowę i odparła:

– A ja obiecałam ci, Kowalu, że w dzisiejszej walce na pewno nie zabraknie mi ducha.

Po jej głosie dało się poznać, że w przeciwieństwie do mnie, wcale się nie bała. Spojrzałem na nią badawczo. O Ethalii wszystkiego można się dowiedzieć z jej oczu i dlatego w końcu zrozumiałem, co zrobiła i jak planowała walczyć. Jej słowa rozbrzmiewały echem w mojej głowie: „Słyszę ją, kiedy z tobą rozmawia. Czasami mówi też do mnie”.

Nasze spojrzenia spotkały się.

– Nosłam ją w sobie przez długi czas – powiedziała. Po chwili bladoniebieski ocean jej tęczywek zaczął ustępować ciemnemu brązowi świeżo rozkopanej ziemi. – Nikt inny nie jest w stanie kochać tak jak ona.

DUCH

W pojedyńkowym kręgu czas płynie w dziwny sposób. Niekiedy zbyt szybko, innym razem niemożliwie się wlecze. Errera Bottio nazywa to drugie zjawisko „łaską zwalnającego ostrza”.

Bóg zbliżał się do nas, by rozerwać nasze dusze, a jednak zarówno on, jak i wszystko wokół zdawało się na krótki moment zastygnąć w kompletnym bezruchu. Stałem tak, trzymając w objęciach kobietę, której oczy należały do innej.

– Drogi mężu – odezwała się Aline głosem wychodzącym z ust Ethalii. – Wygląda na to, że znowu przegrywasz.

– To było kilka naprawdę ciężkich miesięcy – odpowiedziałem.

– Biedaku. Niedługo wszystko się skończy.

Rozejrzałem się dookoła, mając jednocześnie świadomość, że nie jestem w stanie poruszyć głową.

– Czy ja umarłem? – zapytałem.

Podniosła wzrok, tak jak kiedy liczyła, ile nasion możemy kupić na wiosenny zasiew.

– Jeszcze nie całkiem – oświadczyła.

Westchnąłem. Naprawdę myślałem, że mam to już za sobą. Walczyłem długo i ciężko o marzenie, które z góry było skazane na porażkę. Można by pomyśleć, że poczuję wdzięczność, gdy w końcu będę mógł odpocząć. Tymczasem usłyszałem, jak z moich ust dobywają się słowa:

– Nie chcę umierać.

Objęła mnie ramionami i czułem się tak, jakby to wszystko działało się naprawdę.

– Zapomniałeś już, co ci powiedziałam? – zapytała. – Nie pamiętasz złożonej przeze mnie przysięgi?

– Powiedziałaś, że będziesz mnie chronić.

– Udało mi się dotrzymać słowa?

Chciałem powiedzieć coś zabawnego, ale odparłem głosem łamiącym się ze wzruszenia:

– Każdego dnia.

Puściła mnie i poklepała po policzku dłonią Ethalii.

– Biedny Falcio. Jak na sędziego, który rzuca się ochoczo na każdą okazję do utraty życia, jesteś zaskakująco sentymentalny. To pewnie dlatego przepłakałeś cały nasz ślub.

Wziąłem głęboki oddech, by wyjaśnić jej, że łzy były oznaką zrozumienia tego, jak nieczuła jest moja przyszła żona, ale powietrze w moich płucach nagle zrobiło się przeraźliwie zimne i nieznośnie rzeczywiste.

Aline położyła mi palec na ustach.

– Zachowaj ten oddech, mężu. Zaraz się zacznie. – Poklepała miecz zwisający mi luźno w dłoni. – Czas wbić tę spiczastą klingę w serce złego człowieka.

Wszystko przyspieszyło, gdy stopa Boga dotknęła desek podwyższenia, a ostrze jego topora ruszyło oddzielić moją głowę od szyi. Jednak cios nigdy nie dotarł do celu; Bóg zatoczył się do tyłu, gdy tuzin wizji pełnych męstwa i miłosierdzia uderzyło w niego z siłą huraganu.

Podniosłem gardę i spojrzałem na stojącą przy mnie Aline, na kpiący uśmiezek na jej twarzy. Poczulem czystą radość, jakby największa porażka mego życia, niewybaczalny grzech – dopuszczenie do śmierci mojej Aline – zostały wymazane. Była tutaj ze mną, żywa. Byliśmy razem i patrzyliśmy z góry na Kowala i Boga oraz wszystkie parszywe kreatury, jakie kiedykolwiek wydał ten świat. Wiedziałem, że to głupia, desperacka

dziecięca fantazja, ale w tej chwili zupełnie mi to nie przeszkadzało.

Boski topór świsnął w powietrzu, jak zawsze szybki. Ale teraz, za każdym razem, gdy próbował uderzyć, siła Aline wsparta świętością Ethalii odbijała go.

– Naprawdę myślałeś, że pozwolę go zabić? – krzyknęła, a w jej głosie mieszały się wściekłość z miłosierdziem, miłość i wytrwałość. – Wydawało ci się, że przeszkoda tak drobna jak śmierć jest w stanie przewyciężyć małżeńską przysięgę, ty bezsilny, bezduszny potworze?

Bóg po raz kolejny zatoczył się przytłoczony siłą jej Zachwytu, który niczym ocean opadł na małą łódkę jego siły. To dlatego narodzili się święci, zrozumiałem w końcu; w ten sposób oparliśmy się jarzmu, które próbowali nam narzucić bogowie.

– *Przestań* – powiedział i zaczął gromadzić wiarę swoich wyznawców, oplatając ją wokół ostrza topora, aż stała się tak czysta i pełna mocy, że wiedziałem, że przewyższy wolę Aline i zabije Ethalię na miejscu.

– Nie! – krzyknąłem rozpaczliwie, uderzając mieczem.

Rozproszyłem jego uwagę i starałem się, by skupił ją na mnie. Machnął toporem szerokim cięciem, pełnym surowej furii. Byłem pewien, że nawet jeśli uda mi się je sparować, jego ostrze strzaska moją broń. Odskokczyłem, czując, jak topór przecina wierzchnią warstwę skóry płaszcza.

Aline zdwoiła wysiłki, a on wycofał się ostrożnie, ale widziałem, że czoło Ethalii obficie spływa potem.

– Tak mi przykro... – wysapała. – On jest zbyt silny.

Bóg ryknął z radości, gdy poczuł, że jej wola słabnie, i znów skierował na nią całą swoją siłę. Machał przed sobą toporem niczym kosą, niszcząc osłaniające nas wizje.

– *Może i masz w sobie moc świętej* – krzyknął Bóg gardłowo – *ale wciąż jesteś tylko kobietą.*

Uderzył ją w twarz z siłą, która mogła na miejscu złamać kark.

Ruszyłem biegiem w jego stronę, próbując szarżą wytrącić go

z równowagi, ale odepchnął mnie bez wysiłku i podszedł, by złapać Aline. Wciąż miał twarz Fosta, jego uśmiech i drapieżny głód, i zalał ją tysiącem przerażających wizji.

– *Spójrz na mnie* – rozkazał.

Uczyniła tak i nagle kąciki jej ust uniosły się w sardonicznym uśmiechu.

– Widzisz, właśnie dlatego bogowie nigdy nie będą nami rządzić – powiedziała, nagle przestając ciężko dyszeć. – Jesteście zbyt łatwowierni.

Wyciągnęła przed siebie ręce, a powietrze wokół nas zapłonęło czystym, białym światłem, które na chwilę sprawiło, że świat stał się jasny i piękny niczym wspomnienie pierwszej miłości. Oślepiiony Bóg Strachu odwrócił głowę. Aline zerknęła na mnie i krzyknęła:

– Mężu, teraz!

W jednym z bardziej poetyckich ustępów Bottio utrzymuje, że w chwili ostatecznego uderzenia umysł po prostu przestaje istnieć: oczyszcza się z myśli i rozterek, by ciało mogło stać się niepowstrzymaną bronią.

Stanąłem pewnie na deskach podwyższenia, mięśnie nóg napięły się, po czym eksplodowały, popychając mnie do przodu. Biodra przenosiły siłę do tułowia, a następnie do ramienia, gdy zrobiłem wypad w prostej, idealnej linii. Miecz nagle w mojej dłoni stał się nieważki, bo tak naprawdę przestał istnieć. To ja byłem ostrzem.

Po napierśniku Boga przeskoczyła iskra, gdy miecz uderzył w twardą stal. Przez ułamek sekundy nieustępliwy pancerz opierał się hartowanej kładzie, ale w końcu zbroja ustąpiła, a powietrze wypełnił charakterystyczny zgrzyt. Kirys rozstąpił się na boki, a ostrze niczym język kochanka wchodziło coraz głębiej w szczelinę w boskiej zbroi.

Bóg spojrział w dół na wystający z piersi miecz i przez chwilę zastygliśmy tak w bezruchu.

– Wygraliśmy – powiedziałem, po czym gwałtownie przekręciłem ostrze, poszerzając dziurę w napierśniku, wreszcie wyciągnąłem miecz.

Bóg tylko się uśmiechnął.

STRZAŁ

Valiana weszła na podwyższenie z towarzyszącą jej dziedziczką tronu.

– Pojedynek dobiegł końca. Twój zawodnik przegrał. Twoje tak zwane Boże Igły leżą pokotem. Wycofasz resztę swoich sił z miasta i kraju, a najlepiej z tego świata.

I to powinien być koniec. Gdyby życie było sprawiedliwe, chociaż odrobinę, ostrze przeszywające serce Boga powinno spowodować, że krew tryśnie z rany i zabulgotze mu w gardle, po czym umrze u moich stóp. „A niby co takiego w twoim nędznym życiu kiedykolwiek przekonało cię, że masz aż tyle szczęścia?”

Kowal podszedł do nas z wyrazem szoku i niedowierzania malującymi mu się na twarzy. Nie sądzę, by przy jego geniuszu i zdolności dostrzegania mechanizmów tego świata brał nawet pod uwagę, że możemy wygrać.

– Niebywałe – powiedział jak Kest po zakończonej walce, którą powinniśmy byli przegrać.

Ta myśl połączona z ulgą sprawiły, że prawie wybuchnąłem śmiechem. Kowal spojrzał mi w oczy.

– To, co zrobiłeś, jest fascynujące. Powinieneś być z siebie dumny. Niestety, obawiam się, że bogowie nie giną od ciosów zwykłym mieczem.

Na potwierdzenie jego słów Bóg, pomimo dziury ziejącej mu w piersi, podniósł topór i wrócił do kręgu, stając w wyczekującej pozycji.

– Co powiecie na drugą rundę? – spytał Kowal.

– Czy to aby nie oszustwo? – spytał Brasti, wchodząc na podwyższenie razem z Kestem.

Próbowałem podnieść miecz, ale bezskutecznie. Przychodzi taki

moment, w którym bez względu na szanse lub stawkę po prostu nie jesteś w stanie iść dalej. Odrzuciłem broń na bok.

– Zapomnij – powiedziałem. – Mam dość.

Kowal dał znak Bogu, który uniósł topór wysoko nad głową. Poczułem, jak pada na mnie jego cień i spojrzałem w górę bez strachu.

Topór opadł, ale odbił się od tarczy Kesta, który zdążył stanąć przede mną.

– Jestem przekonany, że to oszustwo – potwierdził Brasti. – Chociaż można się było tego spodziewać. Strach był zawsze wyjątkowo paskudnym rodzajem bóstwa.

Bóg warknął w odpowiedzi i wziął zamach. Kest ponownie mnie uratował. Po trzecim ataku tarcza pękła.

– To koniec – powiedział Kowal. – Przegrałeś.

– Możliwe – przyznał Kest. – Muszę się jednak przyznać, że miałem tylko odwrócić uwagę.

Nawet oczy Boga rozszerzyły się ze zdziwieniem, gdy Kest odsunął się na bok, odsłaniając stojącego za nim Brastiego. Na cięciwę miał naciągniętą strzałę o dziwacznie ukształtowanym kamiennym grocie, którą właśnie celował w otwór w napierśniku Boga.

– Moja kolej – powiedział Brasti z uśmiechem.

Kowal wreszcie zrozumiał nasz plan. Domyślił się, dlaczego tak potężny Bóg nosi zbroję.

– Nie! – wrzasnął Kowal, gdy Brasti zwolnił cięciwę.

Usłyszałem odgłos pękającego kamienia, który uderzył w stal pancerza. Bóg spojrzał na złamaną strzałę leżącą u jego stóp.

Brasti chybił.

STRZAŁA

Wszystko, co planowaliśmy, zostało w tej konkretnej chwili zaprzepaszczone. Brasti Goodbow, człowiek, który zarzekał się, że zawsze trafia do celu, gdy sytuacja tego wymaga, właśnie spudłował.

Z przerażeniem patrzyliśmy, jak nasza ostatnia, największa nadzieja legnie w gruzach.

– No co? – krzyknął do mnie z oburzeniem Brasti. – Ile razy ci powtarzałem, że zawsze muszę przetestować nowe strzały, żeby wziąć poprawkę na ciężar. „No, ile?”

Wszyscy spojrzeliśmy na strzałę na ziemi. Dopiero wtedy zauważyłem, że nie była zakończona kamieniem modlitewnym.

– *Stój!* – krzyknął Bóg.

– Zamknij się wreszcie – powiedział Brasti i jednym płynnym ruchem, doskonale ilustrującą piękno harmonii łuczника i jego kunsztu, naciągnął drugą strzałę, tym razem z metalicznie błyszczącym grotem, i wypuścił ją.

Brzęk zwalnianej ciężki był jedynym słyszalnym dźwiękiem, gdy strzała trafiła w cel, grzebiąc kamień modlitwy głęboko w piersi Boga.

Bóg Strachu spojrział na strzałę sterczącą mu z piersi. Jej brzechwa wciąż jeszcze drżała od siły, z jaką wbiła się w ciało. Potem spojrział na nas i wyglądał teraz zupełnie inaczej. Nie rozpoznałem jego oblicza, ale był na nim ten sam wyraz co u setek ludzi, którzy zginęli w bitwie. Bóg miał na twarzy maskę odpowiadającą jego domenie: strach.

Ten, który właśnie go zabił, odpowiedział mu spojrzeniem.

– Nazywam się Brasti Goodbow. Jestem Żartem Królowej.

Bóg powoli opadł przed nami na kolana. W przedśmiertnym geście

złożył ręce jak do modlitwy.

„Do kogo się modlisz?”

W tej samej chwili to, co pozostało z jego świadomości, zniknęło. Potężne ciało runęło bezwładnie, a on sam ruszył do piekła czekającego na niepotrzebnych ludzkości bogów.

KONIEC

Gdybym kiedykolwiek wcześniej pomyślał o śmierci bogów, przypuszczam, że spodziewałbym się, że będzie inna niż człowieka.

– Już nie robi takiego wrażenia, prawda? – powiedział Kest, podchodząc do mnie, gdy przyglądałem się martwemu Bogu.

Brasti dołączył do nas po chwili.

– Im dłużej mierzymy się z naszym strachem, tym mniejszy się on staje.

Kest odwrócił się, patrząc na niego z podziwem.

– To nawet miało sens. Przyznaj się, przygotowałeś to zdanie zawczasu?

Brasti uśmiechnął się i odpowiedział:

– Myślałem nad nim, odkąd Falcio przedstawił nam cały plan. Chcę, żeby opowieści o moim olśniewającym zwycięstwie miały odpowiednią oprawę.

– W takim razie nie powinieneś był na koniec kazać mu się zamknąć – powiedziała Valiana, dołączając do nas.

Wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że nawet ja mam granice swojej wspaniałości.

To, co pozostało z Boga Strachu, patrzyło na nas martwymi oczami pełnymi niedowierzania. Zastanawiałem się, co czują inni, bo ja ze zdziwieniem odnotowałem, że ten widok nie napełnia mnie ani gniewem, ani ulgą. Nie miałem ochoty go upokarzać czy poświęcać mu choćby jednej myśli więcej, odwróciłem się do Kowala i tylko powiedziałem:

– To koniec.

Skinął głową. Sądziłem, że spróbuje mnie zaatakować albo schowanym w rękawie ostrzem zakończy własne życie, ale nie zrobił żadnej z tych

rzeczy. Uklęknął przed nami i powiedział:

– Poddaję się.

Czasami ludzie potrafią mnie jeszcze zaskoczyć.

KURZ PO BITWIE

To dziwne, jak świat sam potrafi się poukładać po tym, jak został przewrócony do góry nogami. Spodziewałem się, że tysiące ludzi w tłumie – kapłani, żołnierze, szlachta, chłopci, właściwie wszyscy, oszaleją. Zupełnie nie miałbym im tego za złe.

Bóg umarł; co gorsza, dowiedzieliśmy się, że bogowie, poza małymi wyjątkami, są tak samo małostkowi jak my, a charakterem przypominają ludzi o najniższych instynktach, którzy zresztą przybyli tu niczym niewolnicy zawsze spragnieni nowych panów. Może po prostu urodziłem się, by padać na kolana. Tłum zdawał się to potwierdzać, czekał w niepokojącej ciszy wypełniającej przestrzeń, szurając stopami, niepewny i przestraszony, nie mając pojęcia, co się wydarzy.

„Na szczęście i od tej reguły istnieją wyjątki”, pomyślałem, patrząc na córkę mojego króla.

Ledwie czternastoletnia Aline stała przed tłumem. Bała się tak samo jak my wszyscy – właściwie to pewnie nawet bardziej – a jednak to ona dała nam szansę na pokonanie Boga i pokazała, jak stawić opór naszym lękom.

„Możliwe, że są jeszcze w tym kraju cuda, które warto chronić”.

Młody szlachcic stojący z przodu zakrzyknął:

– Królowa stoi przed nami! – Uklęknął na jedno kolano i skłonił głowę.

– Królowa! – krzyknął ktoś inny i też przyklęknął.

Ludzie zaczęli wiwatować i powtarzać na głos tytuł Aline, a fala przeszła przez tłum, gdy wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, młodszy i starsi skłonili się przed dziewczyną, którą pierwszy raz spotkałem brudną i wynędzniałą w ruinach spalonego domu w Rijou.

– Królowa! – wykrzyknął świszczącym głosem książę Erris z Phan.

– O proszę, nagle książęta zdecydowali się pojawić – powiedział Brasti, wskazując na barczystego człowieka stojącego nieco dalej w tłumie.

Nie był ubrany tak wspaniale jak kiedyś, ale nadrabiał to głośnymi okrzykami „Aline Pierwsza!”. Hاديermo, Żelazny Książę Domaris, w magiczny sposób nabrał pokory przed swoją zwierzchnością.

Bez wątpienia obaj mieli nadzieję, że taki pokaz entuzjazmu uratuje ich głowy przed szubienicą, gdy przyjdzie czas wyrównywania rachunków.

Powinienem czuć się szczęśliwy: książęta nie mieli wyboru, nie będą nam dłużej stawiać oporu. Córka mojego króla stała wśród swojego ludu, który padł przed nią na kolana. A jednak widok ten sprawiał, że w środku miałem tylko pustkę.

„Jesteś po prostu zmęczony”, powiedziałem sobie. „Wygrałeś. Przestań narzekać”.

Ale nawet kiedy ludzie krzyczeli i wiwatowali na cześć Aline, ta pustka mnie nie opuszczała. Nie widziałem Jillarda, choć domyślałem się, że jest gdzieś obok i tylko czeka, by odegrać się na mnie za mój udział w śmierci Tommera.

– Wystarczy! – okrzyk Aline wyrwał mnie z tych mrocznych myśli. Jej głos nie był donośny, ale kiedy podniosła rękę, wszyscy zamilkli. – Dość.

Nerwowe szepty wypełniły tłum. Choć wokół zgromadziły się tysiące ludzi, a nas była zaledwie garstka, niemal słyszałem ich myśli. „Teraz zostaniemy ukarani. Nowa królowa da przykład swoim wrogom. Lepiej trzymać głowę nisko, siedzieć cicho i mieć nadzieję, że nie wybierze mnie, lecz tego, który stoi obok”.

Miała do tego prawo. Miała prawo zabić każdego, jeśli tylko tak postanowi. Kiedy spojrzała na mnie, zobaczyłem pokusę w jej oczach. Była celem morderców i spisków przez całe swoje życie, i prawdopodobnie szybko się to nie skończy. Czy istnieje lepszy sposób, by pozbyć się strachu i bólu, niż zabicie tych, którzy jej go przynieśli?

Skinęła do mnie, jakbym zadał jej pytanie.

– Dlaczego klęczycie? – spytała tłum.

Szlachcic, który ukląkł jako pierwszy, spojrział w górę.

– Jesteś naszą królową! – wypowiedział te słowa tak, jakby właśnie sam ją ukoronował.

– Pewnego dnia – odpowiedziała. – Nie dziś.

– Zatem królową naszych serc. – Szlachcic odważył się raz jeszcze, a pozostali zawtórowali mruknięciami.

– Być może, kiedyś – odpowiedziała Aline. Rozejrzała się po tłumie. – To nie jest zadanie, o którym marzyłam całe swoje życie. Może nawet część z was wolałaby, żeby mi się nie powiodło.

Tego już było zbyt wiele dla młodego szlachcica.

– Jesteśmy twoimi lojalnymi sługami! Rozporządzaj nami!

– Słudzy – powtórzyła Aline, po czym weszła w tłum klęczących.

Myślałem, że Antrim dostanie zawału, gdy pośpiesznie podązał za nią. Zatrzymała się przed staruszką, który trząśł się, oparty na lasce.

– Dlaczego cierpisz, dziadku? – spytała Aline.

– Wybacz mi, Wasza Wysokość – odparł starzec, nadal nisko skłaniając głowę. – Moje kolana nieomagają. Boli, kiedy...

Aline położyła mu dłoń pod brodę i sprawiła, by popatrzył do góry.

– Dlaczego więc klęczysz, skoro to tak boli? – zapytała.

Oczy starca rozszerzyły się.

– Bo... przecież my...

– Wstań – przerwała mu.

Przez chwilę myślałem, że tego nie uczyni, ale strach przed nieposłuszeństwem przewyciężył niepewność, czy jest w stanie utrzymać się na nogach w jej obecności.

– Czyż nie lepiej? – spytała Aline.

– No... tak, Wasza Wysokość. Jest niezgorzej, kiedy nie klęczę.

– Naprawdę? – odpowiedziała. – Ciekawe. Zastanawiam się, czy to

właśnie dlatego Wielkie Płaszcze nigdy nie kłękają. – Odwróciła się, odnajdując mnie wzrokiem. – To prawda, Pierwszy Kantorze?

– Zauważyłem, że na kolanach trudniej jest stawiać czoła wszelkim wyzwaniom – odparłem.

– Może więc nadszedł czas, byśmy wszyscy tego spróbowali. – Aline, córka Paelisa, następczyni tronu Tristii, wydała swój pierwszy królewski rozkaz.

– Wstańcie – powiedziała.

– Czy mi się wydaje, czy spadkobierczyni tronu właśnie obaliła tysiącletnie prawo? – spytał Allister.

– Tysiąc sześćset dwudziestosiedmioletnie – poprawił go Kest. – Pierwsza wzmianka o wymogu klęczenia przed monarchą pojawiła się już w *Ediacto Regiae Principe*, choć jest wielce prawdopodobne, że zwyczaj ten był powszechny już wcześniej.

– Kest? – powiedział Allister.

– Tak?

– Zamknij się, proszę.

Następnie należało zrobić to, co konieczne: znaleźć ludziom dach nad głową, opatrzeć rannych i pochować zabitych. Po szybkiej naradzie z książętami, Antrim przejął dowództwo nad gwardią zamkową, a oni z kolei objęli komendę nad pocztami książęcych zbrojnych. Nawet jeżeli ktoś choć przez chwilę chciałby się temu sprzeciwić, nie dał nic po sobie poznać. Czasem ludzie po prostu wiedzą, kiedy nadszedł czas, by się poddać. A ja czasem chciałbym, by częściej o tym pamiętali.

Tłumy, wciąż jeszcze w szoku po niespodziewanym objęciu tronu przez Aline, rozpraszały się stopniowo, ludzie pomagali sobie wzajemnie, gdy tylko mogli, a niektórzy po prostu zatrzymywali się i patrzyli w dal. Kilka osób zaczęło gorzko płakać – może z żalu za zmarłymi, a może nad sobą, gdy zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, jak wiele porzucili lub sprzedali, by tu dotrzeć. To będzie dla nich trudny powrót.

To miał być trudny powrót dla nas wszystkich.

Oparłem się o Bydlaka. Zostawiliśmy nasze wierzchowce uwiązane przed Potrzaskanymi Łuskami, ale Bydlak zdołał się uwolnić i dotarł aż tu. Jego miedziana sierść pokryta była szarym pyłem i podjąłem ślamazarną i raczej daremną próbę oczyszczenia go. Nic sobie z tego nie robił i nawet prychał od czasu do czasu na znak aprobaty.

– Jesteś cholernie dobrym koniem – powiedziałem, delikatnie szcztokując mu boki. W tym momencie prawdopodobnie powinienem robić ważniejsze rzeczy, ale byłem zbyt wykończony, by mnie to obchodziło.

– Ten widok naprawdę robi wrażenie, kochanie.

Usłyszałem mocny kobiecy głos, jednocześnie kojący i odrobinę złośliwy.

Spojrzałem znad kłębu Bydlaka i ujrzałem Ethalię – jednak zamiast niebieskich oczu dostrzegłem brązowe. Usta należały do Ethalii, ale słowa wypowiedziała moja żona.

– Miałem dość ciężki dzień – odparłem.

Podeszła bliżej i objęła dłońmi moją twarz.

– Być może gdybyś nie próbował dać się zabić przy każdej nadarzającej się okazji, miałbyś się o wiele lepiej. Ile razy jeszcze zamierzasz samotnie stawiać czoła światu?

Wszystko się w końcu rozleci, jeśli uderzysz w to odpowiednią ilość razy.

– Dopóki cię nie uratuję – odparłem i poczułem, jak łzy spływają mi po policzkach na jej palce.

Smutno potrząsnęła głową.

– Falcio... tej historii nie da się opowiedzieć powtórnie. Nadal nie rozumiesz? To ja jestem tą, która ocali ciebie.

Łzy płynęły mi coraz mocniej.

– Za każdym razem – wyszeptałem łamiącym się głosem.

Uśmiechnęła się, jakbym właśnie rozpoczął nowy rozdział: dla mnie, dla

niej, dla nas obojga. „Tylko że życie nie jest takie proste”.

– Musisz odejść, Aline – powiedziałem.

Odsunęła się, wpatrując się we mnie przez dłuższą chwilę.

– Mężu, od kiedy masz tyle krępujących zasad? – Machnęła ręką. – Możesz oszukać wszystkich, ale oboje dobrze wiemy, że gdy żyłam, wcale taki nie byłeś. Albo byłeś, ale jednocześnie byłeś też trochę samolubny, strachliwy i bardziej niż trochę leniwy – uśmiechnęła się. – A teraz jesteś, no... bohaterem. Czy nic nie zostało już z tego lekkoducha, którego poślubiłam?

– Głuptasie, przecież nie musimy być cały czas jednym i tym samym.

Oczekiwałem, że się zaśmieje, ale tego nie zrobiła. Jej twarz przybrała śmiertelnie poważny wyraz.

– Ethalia cię nie kocha, Falcio. Cokolwiek było między wami, zniknęło w chwili, gdy została świętą.

– Wiem o tym. Ale to jej życie i jej wybór.

– Jej wyborem było też to, aby się dla mnie poświęcić. Była świadoma konsekwencji i ochoczo je zaakceptowała, bez żadnych zastrzeżeń. Ethalia dała nam szansę na wspólne życie, którego wcześniej nam odmówiono.

– To prawda – zgodziłem się. Wzięłem głęboki oddech i wstrzymałem go, mając nadzieję, że wzmocni to moją determinację. – Ale i tak musisz odejść.

Aline westchnęła.

– No dobrze – szepnęła z uśmiechem, przysuwając się bliżej. – Zadowolili mnie jeden pocałunek, przez wzgląd na dawne czasy. Pozwól mi po raz ostatni poczuć usta mojego męża.

Chciałem poczuć smak tego pocałunku bardziej niż wszystkich win świata. Chciałem tę jedną chwilę, ten maleńki fragment jej miłości nieść ze sobą przez resztę swoich dni. Czyż sobie na to nie zasłużyłem?

– Ale... to nie są twoje usta – powiedziałem, zanim zdążyłem się zapomnieć. – Ethalia by tego nie chciała.

Aline jęknęła cicho.

– Naprawdę? Myślisz, że miałaby ci za złe tę jedną maleńką rzecz? Czy ona jest aż tak samolubną kobietą?

– Nie jest ani trochę samolubna i dlatego nie możemy tego zrobić – odparłem.

Aline cofnęła dłonie z mojej twarzy i przez chwilę stała bez słowa, dając mi szansę, bym zmienił zdanie, aż w końcu powiedziała:

– Jak chcesz. – Po czym spojrzała na mnie oczami Ethalii, która odwróciła się i odeszła bez słowa.

Stałem tak przez dłuższą chwilę, pogrążony we własnej stracie, ale w końcu musiałem ruszyć w drogę. Udało mi się przedostać do ruin zamku. Nadal pozostawały długi, które należało spłacić.

Stopnie pod zawałoną siódmą wieżą zapadły się miejscami, ale pozostało ich na tyle dużo, bym mógł zejść do piwnicy. Drzwi do zamkowej komnaty śmierci były otwarte.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział Jillard. Stał nad ciałem swojego syna, odwrócony plecami do mnie.

– To nie najlepszy pomysł, żeby go tu trzymać – powiedziałem, rozglądając się dookoła. – Sufit może w każdej chwili się zawalić.

Jillard zignorował moje ostrzeżenie.

– Przyszedłeś spłacić dług? – zapytał.

– Tak – odparłem.

Książę Rijou kilkakrotnie potrząsnął głową jak stary paralytyk.

– Zatem wróć jutro, albo w przyszłym tygodniu. Przyjdź do mnie za rok, w Rijou, gdzie zaprowadzę cię do lochów i gdzie wyrównamy nasze długi.

Podszedłem do drugiego końca stołu i spojrzałem na chłopca, który oddał swoje życie i pomógł w stworzeniu boga. Chciałem powiedzieć Jillardowi, o tym, jak spotkałem Boga Bohaterstwa na moście, gdy ratował tonącego kota, ale nie sądziłem, że to złagodzi jego ból, a przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Mógłbym cię zabić – powiedział swobodnym tonem i bez gniewu w głosie, jakby stwierdzał prosty fakt. – Pewnie myślisz, że jesteś odporny na to, skoro do tej pory ci się udawało. Ale gwarantuję, że mnie by się powiodło.

– Próbowaleś niejednokrotnie, Wasza Łaskawość.

Gdy spojrzał na mnie, zobaczyłem ciemne wory pod jego oczami.

– Wówczas nie byłem jeszcze aż tak zdeterminowany.

Rozumiałem jego ból, który czynił go w mojej ocenie bardziej ludzkim. Ale nawet ja mam swoje granice, kiedy mi się grozi.

– Jeśli jest cena, której zapłacenia oczekujesz ode mnie za śmierć Tommera, to mów.

Przytaknął skinieniem głowy, tak jakby czekał na to pytanie od samego początku.

– Muszę go godnie pochować, w rodzinnej ziemi. To trochę potrwa. Trzeba dokonać pewnych ustaleń, zająć się polityką. Oczywiście do tego czasu kraj znów będzie w niebezpieczeństwie i niewątpliwie zabicie cię tylko pogorszyłoby sytuację. Będę musiał jeszcze poczekać.

– Jeśli chcesz czekać, aż nasz kraj będzie bezpieczny, możliwe, że przyjdzie ci czekać całymi latami.

– Wiem – odpowiedział. – Jestem cierpliwym człowiekiem. Niech to potrwa i całe dekady. Świat potrzebuje nas takich, jakimi jesteśmy, ciebie i mnie, robiących to, co robimy. Do czasu, gdy kraj uformuje się w pełni tak, jak powinien, możesz być już martwy. A jeśli nie, to kiedy to wszystko się skończy, a ty nadal będziesz oddychać, poślę po ciebie. Przybędziesz?

Spojrzałem na twarz Tommera, na całą tę obietnicę młodości i odwagi odebranej światu.

– Tak – odpowiedziałem.

Jillard nie zareagował na moją gotowość zostania jego więźniem; miałem wrażenie, że omawiamy szczegóły dawno uzgodnionego kontraktu.

– Zrobisz to w tajemnicy, nie mówiąc nikomu. Wybiorę czas i miejsce. –

Otworzył usta, po czym zawahał się, a ja widziałem palący go ból. W końcu zaczął mówić dalej: – Wyrzekniesz się wszelkiej broni, jaką będziesz miał przy sobie. Zostawisz płaszcz. Moi ludzie przyprowadzą cię do celi i przykują, a wtedy zjawię się ja.

– Torturowanie mnie nie...

Przerwał mi.

– Potem, Falcio val Mondzie, Pierwszy Kantorze Wielkich Płaszcz, opowiem ci o moim synu, o moim Tommerze. Opowiem ci o wyrazie zdziwienia na jego twarzy, gdy po raz pierwszy otworzył oczy i uśmiechnął się, nie płacząc jak inne dzieci. Opowiem ci, jak wstał i zaczął chodzić, na długo przed innymi chłopcami. Opowiem ci o głupotach, które mówił, i dziwnych pytaniach, które zadawał. Opowiem ci to wszystko, aż twoje serce pęknie z bólu. Opowiem ci, byś zaznał choć części bólu, który będę czuł każdego dnia. A kiedy skończę...

Czekałem na dalszy ciąg, ale zdawał się tracić oddech. Zrozumiałem, że te słowa były dla niego największą torturą, jakiej kiedykolwiek zaznał.

– Dokończ – ponagliłem go.

Zmierzył mnie wzrokiem, po czym powiedział:

– Kiedy skończę, opowiesz mi historie o Wielkich Płaszczach, które słyszałeś jako chłopiec. Te, które minstrel Bal Armidor opowiadał Tommerowi. Chcę znać wszystkie opowieści, które go ukształtowały i doprowadziły do śmierci na jego własnych warunkach. Opowiesz mi to, bym w swoich ostatnich latach życia mógł spróbować być chociaż po części takim ojcem, na jakiego zasługiwał mój chłopiec.

– Umowa stoi.

Podaliśmy sobie ręce, choć nie było takiej potrzeby. Jillard był potworem, mistrzem intrygi, uosabiał wszystko, czego nienawidziłem w możliwych. Ja z kolei byłem wcieleniem wszystkiego, czego on nienawidził w Wielkich Płaszczach. Ale żaden człowiek nie jest monolitem; nikt z nas nie jest idealny w swoich przekonaniach i poświęceniu. Każdy z nas ma

swoje słabości – niektóre z nich karmią naszą nienawiść, a inne sprawiają, że od czasu do czasu chcemy być lepszymi ludźmi.

W PRZEDDZIĘN OSTATNIEGO POJEDYNKU

Pewnie myślicie, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, po tygodniach pojedynków i knowań, po pokonaniu Boga, będę spał tej nocy jak niemowlę. Nic podobnego.

Dawna kwatery Wielkich Płaszczy wciąż stała na swoim miejscu wśród ruin zamku, choć była teraz nieco bardziej zakurzona od gruzu. Ściągnąłem brudne łachy i rozłożyłem się na jednej ze starych kanap, która miała służyć mi za łóżko, ale bez względu na to, jak bym się nie układał, sen nie przychodził. W końcu dałem za wygraną i nie mając nic lepszego do roboty, przebrałem się, poprawiłem stojak na broń, wybrałem stary rapier i zacząłem ćwiczyć osiem podstawowych pozycji.

„Nigdy za wiele podstaw”, pomyślałem, starając się udawać, że nie jest to zupełnie niedorzeczny moment na trening. Zrobiłem pełnych dziesięć rund z nadzieją, że wyczerpią mnie na tyle, że będę mógł zasnąć. Kiedy to nie zadziałało, zrobiłem następne dziesięć, i jeszcze kolejne. Po jakimś czasie ledwo trzymałem broń, ale i tak nie mogłem przestać.

„Dzieje się z tobą coś bardzo niedobrego, Falcio val Mondzie. Jesteś bardzo chorym człowiekiem”. Byłem tak pogrążony w myślach, że musiało minąć nieco czasu, zanim zorientowałem się, że ktoś puka do drzwi. Przysłuchiwałem się z uwagą, aby mieć pewność, że nie wyobraziłem sobie tego tak jak całej reszty. Kto miałby powód, by sądzić, że jeszcze nie chrapię w tej chwili w najlepsze?

Ponownie usłyszałem pukanie do drzwi i już wiedziałem, kto za nimi stoi. Otworzyłem i zobaczyłem Ethalię. Miała na sobie prostą szarą

sukienkę. „Dość zwyczajny strój”, pomyślałem, po czym zastanowiłem się, czy nie ubrała jej specjalnie dla mnie. Trzymała długi, drewniany futerał. Czarne skórzane pokrycie było przetarte na brzegach, w miejscach, gdzie zapomniałem go skleić.

– Przyniosłaś moje rapiery?

Wyciągnęła futerał w moim kierunku.

– Pomyślałam, że bez nich możesz się czuć samotny.

W jej słowach nie wyczułem pogardy, uznałem, że nie taki był ich cel. Wziąłem futerał, wróciłem do pomieszczenia i położyłem go na stole. Ethalia zrobiła krok do przodu, ale potem zatrzymała się w drzwiach.

– Przypuszczam, że równie ciężko było ci spać z nimi w komnacie jak mi bez nich – powiedziałem. W mojej głowie brzmiało to lepiej.

– To tylko kawałki metalu, Falcio. Nie sprawiają, że śpię lepiej lub gorzej. Po prostu pomyślałam, że zechcesz je odzyskać.

Sam nie wiedziałem, czy mam czuć się obrażony, czy zadowolony, że wiedziała, jak niepewnie bym się bez nich czuł. W końcu powiedziałem po prostu:

– Dziękuję.

Rozejrzała się dookoła.

– Jeśli zamierzasz się tu urządzić, to naprawdę powinieneś sprawić sobie porządne łóżko.

– Czy masz lepszą...? – Miałem dokończyć „lepszą propozycję”, ale wolałem urwać w połowie zdania. Owładnęło mną koszmarnie przecucie. – Ethalio, to, że odesłałem Aline... nie oznacza, że powinnaś się czuć... – przerwałem. To też nie brzmiało dobrze.

Oparła się o drzwi i skrzyżowała ręce, uniosła brew, przechylając głowę.

– No dalej, Falcio. Dokładnie jak nie powinnam się czuć?

Byłem na tyle bystry, że wiedziałem, że stąпам po niebezpiecznym gruncie, ale nie do końca świadomy, co robię źle.

– Nie powinnaś się czuć zobowiązana – powiedziałem po chwili. „No

dobrze, tego zdecydowanie nie powinienem był mówić”.

Roześmiała się, zbyt ironicznie jak na mój gust.

– Naprawdę, Falcio? Obawiasz się, że mogę czuć się zobowiązana? Do czego? Żeby cię kochać? Ponieważ odesłałeś Aline? Bo byłeś na tyle szlachetny, że nie pozwoliłeś jej użyć mojego ciała?

– Sama ją wpuściłaś – powiedziałem, nieco defensywnie. Teraz byłem pewien, gdzie popełniłem błąd, i że nie uratuję już sytuacji.

– Aby ocalić ci życie, i cały kraj. – Potrząsnęła głową. – Przysięgam, Falcio, jesteś najdziwniejszym człowiekiem, jakiego poznałam. Próbujesz ratować życie każdej kobiety spotkanej na swojej drodze i wyobrażasz sobie, iż tylko dlatego, że masz na tyle przyzwoitości, by nie pozwolić swojej zmarłej żonie przejąć nade mną stałej kontroli, miałabym tu przyjść i paść w twoje objęcia.

– Kiedy ujmujesz to w ten sposób, faktycznie nie brzmi to zbyt szarmancko.

Patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę, po czym powiedziała:

– Załóż koszulę i chodź ze mną.

– Dokąd?

– Brasti chce, żebyśmy spotkali się o północy na ruinach południowych murów obronnych. – Przewróciła oczami. – Najwyraźniej chce, żebyśmy od teraz określali go mianem „Brasti Goodbow, Bogobójca Królowej”. „Święci, chrońcie nas od ego Brastiego”.

– Co na to Aline?

– Chyba odetchnęła z ulgą, że nie chce wznosić świątyń pod swoim wezwaniem. Ale wcześniej musimy się przejść do rynku. Nie jadłam jeszcze kolacji. Podejrzewam, że ty też nie.

– Chcesz zjeść ze mną kolację?

– Tak.

– Dlaczego?

Ethalia odetchnęła głęboko.

– Bo jestem głodna. Bo widać gwiazdy i wciąż jest jeszcze ciepło. – Weszła do pokoju i wzięła mnie za rękę. – Prawda jest taka, że nie znamy się zbyt dobrze. Myśleliśmy, że tak jest, że uczucie między nami było wystarczająco silne, ale wszystko się rozpadło. Może i dobrze, że tak się stało. Może powinniśmy się lepiej poznać. W końcu oboje potrzebujemy jeść; może się nawet okazać, że lubimy te same potrawy albo jest całe mnóstwo innych rzeczy, które będą nas łączyć.

Stałem tak przez chwilę, ciesząc się miękkością jej dłoni. Musiałem przed wyjściem założyć koszulę, ale nie chciałem puszczać Ethalii, jeszcze nie teraz. Potem poczułem niezręczną ciszę, raz jeszcze otworzyłem te swoje cholerne usta i powiedziałem:

– Wiesz, brzmiałaś właśnie zupełnie jak Aline. – „Bogowie, dlaczego pozwalacie mi się odzywać w takich momentach?”

Ethalia zmrużyła oczy ze złością.

– Naprawdę nie jesteś w tym dobry, Falcio val Mondzie.

Gdzieś w innym świecie Święty Erastian niewątpliwie zaśmiewał się do łez.

– Fakt, jestem zupełnie beznadziejny – przyznałem.

– Jesteś tego świadomy, to jakiś sukces. Możemy iść?

Podniosłem koszulę i spojrzałem na nią. Przez chwilę żałowałem, że nie mam nic czystego do ubrania, ale skonstatowałem, że przecież Ethalia i tak wie, kim jestem. Częściej widziała mnie pokrytego brudem, kurzem oraz sporą ilością krwi niż czystego i pachnącego. Spojrzałem na futerał z rapierami.

– Ethalio...

Zakryła oczy dłońmi.

– W imię bogów starych i nowych, ani słowa więcej.

Wiedziałem, że to ryzykowne, ale nie chciałem gryźć się w język tylko dlatego, żeby utrzymać ją przy sobie. To nie różniłoby się niczym od kłamstwa, a ona zasługiwała na coś lepszego.

– Te miecze... wiem, że są dla ciebie narzędziami przemocy, i masz oczywiście rację. – Pochyliłem się i otworzyłem pokrywę. – Ale dzięki nim uratowałem też życie młodej dziewczynie, która okazała się dziedziczką tronu. Pomogły mi gromić tyranów i zabójców. Wiem, że istnieje granica między męstwem i przemocą, ale bycie szermierzem pozwala mi chronić ludzi, których kocham. Nie mam zamiaru dłużej przeproszać za to, kim jestem.

Myślałem, że odwróci się i odejdzie, ale podeszła do mnie i przesunęła palcami po jednym z rapierów.

– Dobrze – powiedziała. – W takim razie nie przepraszaj. Bądź sobą, ja też będę sobą i zobaczymy, czy jesteśmy w stanie zjeść razem posiłek i nie doprowadzić przy okazji do końca świata.

Wyjęła rapier z pudła i podała mi go. Przypiąłem pochwę do pasa.

– Myślałem, że skoro jesteś świętą...

– Jestem Świętą Miłosierdzia i muszę to uszanować, podobnie jak wiarę Birgid we mnie.

– W takim razie...

– Ale zdałam sobie sprawę, że jestem także kobietą urodzoną na tej ziemi, w tym kraju, i chronienie go jest tak samo moim obowiązkiem jak twoim.

– To nie są słowa świętej – zauważyłem.

W odpowiedzi wzięła moją dłoń i pociągnęła w kierunku drzwi.

– Głuptasie – odparła. – Przecież nie musimy być cały czas jednym i tym samym.

Tej nocy zjadłem zwyczajny posiłek w zwyczajnej karczmie z bardzo nadzwyczajną kobietą. Przez pierwsze pół godziny skupialiśmy się głównie na jedzeniu – gulasz z dziczyzny wywołał sporo naszych komentarzy i wątpliwości co do jego składu. Pomiedzy daniami rozmawialiśmy o obrazach przedstawiających dość pokraccze zwierzęta hodowlane i o tym,

który z krewnych karczmarza był artystą i te dzieła namalował. Inni goście, na pierwszy rzut oka mieszanka majątnych kupców i mniej zamożnych ludzi z różnych środowisk, również zostali przez nas dokumentnie obgadani. W ten właśnie sposób zwykli ludzie spędzają czas w swoim towarzystwie.

W końcu wyruszyliśmy chwiejnym od wina krokiem w stronę ruin zamku. Ethalia nie zaczęła mnie całować i wyznawać mi miłości, ale też nie mówiła o zachowaniu powściągliwości w naszym związku, a ja nie poruszyłem tematu błyskawicznego działania w różnych aspektach. W rozmowie nie skupialiśmy się szczególnie na losie kraju, ale nie stroniliśmy od tego tematu, kiedy jakaś wzmianka nas na to naprowadziła. Po prostu pozwalaliśmy, by chwile przychodziły i odchodziły. Oczywiście pragnąłem czegoś więcej, ale nie chciałem wracać do tego, co było między nami wcześniej. Cieszyłem się, wierząc, że przyszłość stawia przed nami wiele drzwi; ani zamkniętych ani otwartych.

Tuż po północy weszliśmy po długich schodach na południowe mury obronne. Muzykę słyszeliśmy na długo przed przybyciem, rozpoznałem styl gry Nehry i Rhyleis. Zatrzymaliśmy się u szczytu schodów, by posłuchać Brastiego, który właśnie przypominał wszystkim, żeby przypadkiem nie wpadli na pomysł mówienia o podupadłej relacji między mną a Ethalią. A że słuch ma wyjątkowo dobry, byłem przekonany, iż doskonale wie, że zdążyliśmy już przybyć na miejsce.

– Jesteście w końcu – powiedział, gdy tylko weszliśmy na mury. – Jak zwykle każecie na siebie czekać.

Ethalia zaszokowała mnie odpowiedzią:

– Na naszą obronę mam, że po drodze nie obyło się bez seksu.

Zdałem sobie sprawę, że coś podobnego powiedziałem podczas pojedynku z Undrielem – czy to naprawdę było tylko kilka tygodni temu? Rzeczywiście nie znałem jej tak dobrze, jak mi się wcześniej wydawało.

Brasti zacisnął usta i wyduł policzki, jakby zbierało mu się na wymioty.

– Proszę was – powiedział po tym dość długim występie. – Tu są dzieci.

– Zakładam, że mówisz teraz albo o sobie, albo o Keście – powiedziała zgryźliwie Aline. – Jako że wkrótce zostanę twoją królową, będzie lepiej, jeśli przestaniesz mnie do siebie zrażać. A przynajmniej rób to nie bardziej, niż leży to w twoim okropnym charakterze.

– Jego okropny charakter jest nam bardzo dobrze znany, Wasza Wysokość – wtrąciła się Darriana.

Brasti zignorował je obie, podniósł imponująco ciężki dzban wina i przystąpił do napełniania zbieraniny brudnych, cynowych kielichów. Usiadłem na blankach muru, a Ethalia tuż obok mnie, nie na tyle blisko, by sprawiać wrażenie nadmiernej intymności, lecz by pokazać, że jest tam ze mną.

– Za co wypijemy? – spytała Valiana.

Doktor Pasquine dokonała cudów, lecząc rany na jej twarzy, ale pojawiły się na niej nowe blizny, zlewając się z tymi z przeszłości.

„Jest wojowniczką”, przypomniałem sobie, „teraz z wyboru, nie tylko przez przypadek. A wojownicy mają blizny”.

– Wypijmy za niezwykłego towarzysza, choć zbyt często zapominanego w obliczu jego wielkich czynów – wzniósł toast Brasti. – Za człowieka o wielkiej wizji i męstwie. Którego niektórzy nazywają legendą, a wszyscy znają jako bohatera. Za człowieka, który...

– Za Falcia! – Aline przerwała mu głośnym okrzykiem.

– Nie jego miałem na myśli.

Brasti chciał mówić dalej, ale został zagłuszony hałaśliwym skandowaniem mojego imienia, i choć oczywiście żaden z tych okrzyków nie był na moją cześć, to cieszyłem się, mogąc przyczynić się do sprowadzenia Brastiego na ziemię.

– O, przepraszam – powiedziała Aline po tym, jak gwar ucichł. – Czy mówiłeś o kimś innym?

– W sumie to tak. Wiecie, właśnie dlatego ten kraj cały czas schodzi na psy. To jawna niesprawiedliwość, żeby ci, którzy tak naprawdę go chronią,

nie dostawali za to...

– Za Valianę! – przerwałem mu okrzykiem, a pozostali dołączyli zgodnie.

– Niech was wszystkich szlag trafi! – krzyknął Brasti i już miał zamiar rozpocząć kolejną tyradę, gdy zza pleców dobiegło nas głośnie chrząknięcie.

Naszym oczom ukazał się młody mężczyzna ze srebrną tacą w dłoni, na której leżała koperta z książeczą pieczęcią wytłoczoną w czerwonym wosku. Pieczęć była złamana, a urzędnik wyglądał na dość zdenerwowanego.

– Co to jest, Claiden? – spytała Valiana.

Młodzieniec w odpowiedzi wyciągnął przed siebie tacę, jakby list był zbyt gorący, by sam mógł go dotknąć.

– Przynoszę wiadomości z Północy, Obrończyni Królestwa. Pojawiły się pewne...

– Zaczekaj! – przerwał mu Brasti.

– Tak, panie?

Podszedł do Claidena i spojrzał na kopertę leżącą na srebrnej tacy.

– Przeczytałeś list?

– Ja... moim obowiązkiem było to zrobić, Obrończyni Królestwa...

– Poprosiłam Claidena, by przeglądał wszystkie listy – przerwała mu Valiana. – Ufam mu.

– Dobrze – powiedział Brasti. – A zatem znasz już treść listu? – Kiedy nieszczęśliwy urzędnik skinął głową, dodał: – Domyślam się, że są to złe wieści? Kłopoty? Niebezpieczeństwo, komplikacje i katastrofy tuż za progiem?

– Tak, to... zacna ocena, panie.

Brasti potarł szczękę i zapytał:

– A czy którekolwiek z tych nieszczęść ma szansę dotknąć nas jeszcze dziś wieczorem?

– Dziś wieczorem? Cóż, nie do końca, ale może gdybym mógł przekazać wiadomość Obrończyni Królestwa...

– Nie – zaproponował Brasti.

– Eee... nie, Panie?

– Brasti, zostaw tego biednego człowieka w spokoju i pozwól mu przekazać wiadomość. Jeśli to pilna sprawa... – powiedziała Valiana.

– Oczywiście, że to pilna sprawa – zagrzemiał Brasti, wyrzucając ręce w powietrze. – Zawsze jest jakaś pilna sprawa. Jeszcze tego nie odkryliście?

– Czego? – spytał zmieszany Kest.

– Że cały świat się na nas uwziął. Cokolwiek jest w tym liście, to tylko pierwszy sygnał działania kogoś, kto jest następny w kolejce, by uprzykrzyć nam życie. Więc powtarzam, zostawmy to do jutra.

– I postanowiłeś podjąć taką decyzję w imieniu Korony, hmm? – zapytała Aline, a jej oczy zwęziły się podejrzliwie.

Brasti wykazał nagle szczególne zainteresowanie stanem swoich paznokci.

– Ktoś musi rządzić tym krajem. Najwyraźniej jest to zbyt skomplikowane dla was wszystkich.

– Jakie zatem są twoje rozkazy, mądry i wielki łuczniku? – powiedziała Aline, podnosząc się na nogi.

Uśmiechnął się podstępnie i odpowiedział:

– Taniec.

– Taniec?

Brasti dał znak Nehrze i Rhyleis.

– Chcę zobaczyć Kesta Murrowsona, niegdyś Świętego od Mieczy, Ostrze Króla, a dziś Tarczę Królowej i zdecydowanie najnudniejszego sukinsyna, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi... tańczącego grandanze!

Nehra najwyraźniej została uprzedzona wcześniej, bo w tej samej chwili zaczęła grać pierwsze akordy grandanzy, tańca o dziwnym metrum i rytmie, który zmienia tempo między zwrotką a refrenem. Byli go w stanie tańczyć niemal wyłącznie eksperci.

Wszyscy spojrzeliśmy na Kesta, nawet urzędnik.

– No dalej, szermierzu – podpuszczał go Brasti. – Czas pokazać, czy jesteś na tyle odważny, by choć raz coś spieprzyć.

Kest wstał i rozejrzał się wokół. Jego twarz była nieprzenikniona i sam zacząłem się zastanawiać, czy się obraził.

– Kest, nie musisz...

Przerwał mi, zwracając się do Ethalii i z wdziękiem wyciągając do niej lewą dłoń:

– Pani, czy mogę prosić?

Ethalia wstała, Kest objął ją prawym ramieniem, a następnie lewą ręką delikatnie ujął jej prawą dłoń. Prawą nogę wyciągnął daleko w tył. Gdy melodia wróciła do pierwszego taktu, tupnął nogą i zaczął wirować z Ethalią w przedziwnym tempie. Brasti wybuchnął śmiechem, a reszta z nas parskła ukradkiem, jednak w miarę trwania utworu – a żadne z nas nie było ekspertem, więc zajęło to trochę czasu...

– Na płonące jaja Świętego Zagheva – powiedział Brasti. – To niemożliwe...

– A jednak – dopowiedziała Aline.

– Nie! – krzyknął Brasti, bezskutecznie machając Nehrze, by przestała grać. – On nie może być tak cholernie dobry we wszystkim.

Kest był rzeczywiście wyjątkowym tancerzem; prowadził Ethalię przez skomplikowane figury, jakby całe życie spędził na dworze.

– No co? – zapytał, choć Nehra nie przestawała grać. – Wiele rozpraw naukowych traktujących o szermierce poleca taniec jako doskonały trening dla nóg. W rzeczywistości grandanza jest wymieniana w wielu tekstach jako jedna z...

– Sukinsyn – zaklął Brasti. – Czy naprawdę nie ma sprawiedliwości na tym świecie?

– Niewiele – odparłem, wstając i wyciągając dłoń do Valiany. – Ale pracujemy nad tym.

Reszta z nas nigdy nie ćwiczyła tego tańca, więc zupełnie go skopaliśmy,

a kiedy Nehra zaczęła grać skoczniejszą, karczemną piosenkę, poszło nam jeszcze gorzej. Ale to nie miało znaczenia. Tańczyliśmy, bo byliśmy razem, bo się kochaliśmy i dlatego, że jutro miało przynieść nam jeszcze więcej smutków i problemów.

Aline dołączyła do mnie i Valiany, i cała nasza trójka obracała się dookoła, muzyka wypełniała powietrze, a świat wirował wokół. Z każdym obrotem widziałem Claidena, który stał cierpliwie, trzymając w dłoni tace z kopertą i czekał, aż zdamy sobie sprawę z nowego zagrożenia. Lekkość mojego serca kontrastowała z ponurym przeczuciem, ponieważ w końcu po raz pierwszy od śmierci króla zrozumiałem, czego od nas oczekiwał. Wielkie Płaszczce nie były po to, by przywrócić przeszłość. Król Paelis chciał, abyśmy chronili przyszłość. Zawartość koperty zwiastowała niewątpliwie kolejnego tyrana, który uważał, że może ją zawłaszczyć i kształtować wedle swojego upodobania.

Spojrzałem na Ethalię, wciąż tańczącą z Kestem, potem na Brastiego i Darri, na nich wszystkich, a na końcu na list leżący na półmisku.

„Chcecie naszego kraju?” – pomyślałem. „Lepiej miejcie po swojej stronie coś więcej niż tylko bogów i armie”.

Poślizgnąłem się i poczułem, że tracę równowagę, upadłem na kamienie murów obronnych. Valiana i Aline rzuciły się na pomoc i ukłękły przy mnie. Ktoś coś powiedział, ale został zagłuszony przez muzykę. Potem Nehra przestała grać i po chwili wszyscy stali wokół mnie. Spojrzałem w górę i zobaczyłem ludzi, których kochałem najbardziej na świecie, otoczonych przez więcej gwiazd, niż jest diabłów na ziemi. Próbowałem coś powiedzieć, ale sam wybuchnąłem niekontrolowanym śmiechem.

– Co powiedział? – spytała Aline.

Ethalia nachyliła się i położyła mi dłoń na policzku.

– Powiedział, że „Wielkie Płaszczce w końcu nadeszły”.

KONIEC

Historia Falcia, Kesta, Brastiego i Wielkich Płaszczy
będzie miała ciąg dalszy w *Tronie tyrana*.

PODZIĘKOWANIA

LAMENT AUTORA

Moja wybitna redaktorka i wydawca, Jo Fletcher, twierdzi, że nigdy nie obiecywała mi, że trzecia książka z serii będzie łatwiejsza do napisania niż druga. Drodzy Czytelnicy, komu zamierzacie wierzyć? Kobiecie, która pomogła wydać na świat książki takich gigantów, jak Ursula K. Le Guin i Terry Pratchett, a teraz pomaga wzbić się na nieboskłon nowym gwiazdom Naomi Foyle, Snorri Kristjansson i Sue Tingey? A może uwierzycie autorowi, który czasem nie ufa swoim własnym wspomnieniom? No dobrze, nie odpowiadajcie na to pytanie.

Uczynienie z tej książki mojej ulubionej w całej serii nie było łatwe. Na szczęście, gdy robi się trudno, z pomocą przychodzą mi...

ŚWIĘCI

Nadprzyrodzona interwencja czasami wymaga rozlewu świętej krwi:

Christina de Castell Co Czyta i Czyta i Czyta, Święta Literackiej Tolerancji;

Jo Fletcher Co Kłamie o Książkach Które Coraz Łatwiej Napisać, Święta Redagowania;

Kim Tough Co Zna Tristię Lepiej Niż Ja Sam, Święta od Gaszenia Pożarów Przez Skype'a;

Eric Torin Co Widzi To Co Nie Jest Napisane, Święty Filozofii Narracji;

Heather Adams Co Wciąż Zatrudnia Pewnego Pisarza, Święta od Agentów.

INKWIZYTORZY

Niestrudzeni, nieustraszeni i szczęśliwi, że mogą na torturach wydobywać prawdę z autorów i ich historii:

Wil Arndt ([@warndt](#));

Brad Dehnert ([@BradDehnert](#));

Sarah Figueroa;

Kat Zeller;

Jim Hull (www.narrativefirst.com).

INLAUDATTI

Niektórzy pomagają książce powstać w tajemnicy, działając magicznie w niczego niepodważającym świecie:

Nathaniel Marunas, który posunął się dalej, niż jakikolwiek wydawca posunąć się powinien, by zdobyć odpowiednią okładkę do amerykańskiego wydania;

Nicola Budd, która pamięta o wszystkim, o czym wszyscy zapominają;

Andrew Turner, za którego tweetowaniem wszyscy tęsknimy;

Olivia Mead, która przywraca *Wielkie Płaszcz* na właściwe ścieżki;

Patrick Carpenter, przez którego okładki nigdy nie wiadomo, którą książkę ściągnąć z półki;

Dave Murphy i Ron Beard, królowie sprzedaży;

Frances Doyle, królowa e-booków.

BARDATTI

Będę to powtarzał do znudzenia: bohaterami świata publicystyki w XXI wieku są blogerzy, sprzedawcy książek, bibliotekarze i czytelnicy, a czasem i znajomi pisarze, którzy starają się dzielić ze światem powieściami, które odkryli. To także osoby, które sprawiają, że bycie pisarzem jest czystą

przyjemnością. Oto tylko kilka wspaniałych osób z całej rzeszy, z którymi zetknąłem się w tym roku:

Mieneke van der Salm z www.afantasticallibrarian.com, wspaniała towarzyszka kolacji i osoba na tyle uprzejma, by udawać, że mój niderlandzki da się zrozumieć.

Walter & Jill z White Dwarf Books, którzy nieustannie wspierają twórców fantasy i science-fiction.

Cindy z draumrkopablog.wordpress.com, którą poznałem podczas Nine Worlds w jej oszałamiającym steampunkowym stroju.

Conn Iggulden, który przypomniał mi, żebym pozwolił bohaterom zdecydować, jak rozwinie się ich historia.

David i świetna ekipa z Goldsboro Books, która wydała piękne pierwsze wydanie tej serii.

Margo-Lea Hurwicz, autorka znakomitych wierszy o Wielkich Płaszczach.

Robin Carter z parmenionbooks.wordpress.com, który naprawdę zasługuje na swój własny Wielki Płaszcz.

Wendell Adams z bookwraiths.com, któremu również należy się Wielki Płaszcz!

John Gwynne, który jest niesamowicie uprzejmy i ma najmiłą rodzinę na świecie.

Sam Sykes, który mówi miłsze rzeczy o moich książkach niż ja sam.

Bob Milne z beauty-in-ruins.blogspot.com, który napisał jedną z moich ulubionych recenzji *Cienia Rycerza* w tym roku.

Eon (Windrunner), który wybrał się aż do Kapsztadu, żebyśmy mogli napić się kawy i pogadać o książkach.

Annika Thomaften z lesekatzen.blogspot.de, która jest moim jedynym sposobem na sprawdzenie, czy niemieckie wydania moich książek są dobre!

Nazia Khatun, która zaczepia nieznanomych i każe im czytać moje

książki.

I oczywiście, wszyscy mili czytelnicy, którzy poświęcają swój czas, by napisać do mnie e-maile z przemyśleniami, pytaniami i komentarzami dotyczącymi cyklu o Wielkich Płaszczach. Czytanie Waszych maili jest jedną z głównych atrakcji mojego dnia.

Z wdzięcznością,
Sebastien de Castell
Haga, Holandia
styczeń 2016

Twitter: [@decastell](https://twitter.com/decastell)
WWW PL: www.decastell.pl
WWW EN: www.decastell.com

PS Każdy, kto poświęca czas na czytanie podziękowań, zasługuje na poznanie nieujawnionej wcześniej tajemnicy.

W jednej z wewnętrznych kieszeni płaszcza Tommera książkę Jillard znalazł starannie złożony list.

Aline!

Być może zastanawiasz się, dlaczego właśnie przekazałem Ci ten list, napisany przed laty przez nieopierzonego dwunastolatka. Kiedy to czytasz, wyobraź sobie mnie właśnie takiego: niskiego młodzieńca (mam nadzieję, że od tego czasu sporo urosłem) bez większych osiągnięć na koncie (choć mam nadzieję, że i to udało mi się zmienić). Pomyśl chwilę o tym chłopcu, który uganiał się za Tobą (subtelnie, mam nadzieję) i zawsze starał się stać u Twojego boku

z mieczem w ręku. Zrozum, że doskonale wiedział, jak głupio wygląda. Wiedział, że był wtedy bardziej ciężarem niż obrońcą. Wiedział, że nie ma szans, by zdobyć twoje serce.

Jeśli czytasz teraz te słowa, to dlatego, że znów stoję przed Tobą, bez wątpienia z długim szeregiem zalotników za plecami, czekających niecierpliwie, bym zszedł im z drogi. To z pewnością dobrzy ludzie, a każdy z nich ma cnoty i cechy, które przyćmiewają moje własne: lordowie, margrabiowie, księżęta, bez wątpienia nawet zagraniczni przybysze będą walczyć o Twoją rękę. Zgaduję, że przywieźli dla Ciebie prezenty: najwspanialszą biżuterię, dzieła sztuki, skrzynie wypełnione złotem i srebrem. To będzie ich jedyny błąd i moja jedyna szansa. Nie przyniosę ze sobą klejnotów, pieniędzy i tytułu, bo zamierzam zrzec się tytułu księżęcego mojego ojca.

Stając przed Tobą, będę mieć przy sobie tylko ten list. Kiedy go przeczytasz, dowiesz się, że kochałem cię, zanim jeszcze stałem się mężczyzną, i że byłaś moją królową, zanim jeszcze nosiłaś koronę. Dowiesz się, że każdego dnia, który przeżyłem, odkąd spotkałem Cię po raz pierwszy, próbuję stać się człowiekiem godnym Twojego szacunku, i jeśli po skończeniu tego listu spojrzysz na mnie i uśmiechniesz się, wszystko to będzie tego warte.

*Twój
Tommer*

Księżę Jillard przeczytał list trzykrotnie, po czym powierzył go płomieniom kominka.

SEBASTIEN
DE CASTELL



SERIA WIELKIE PŁASZCZE